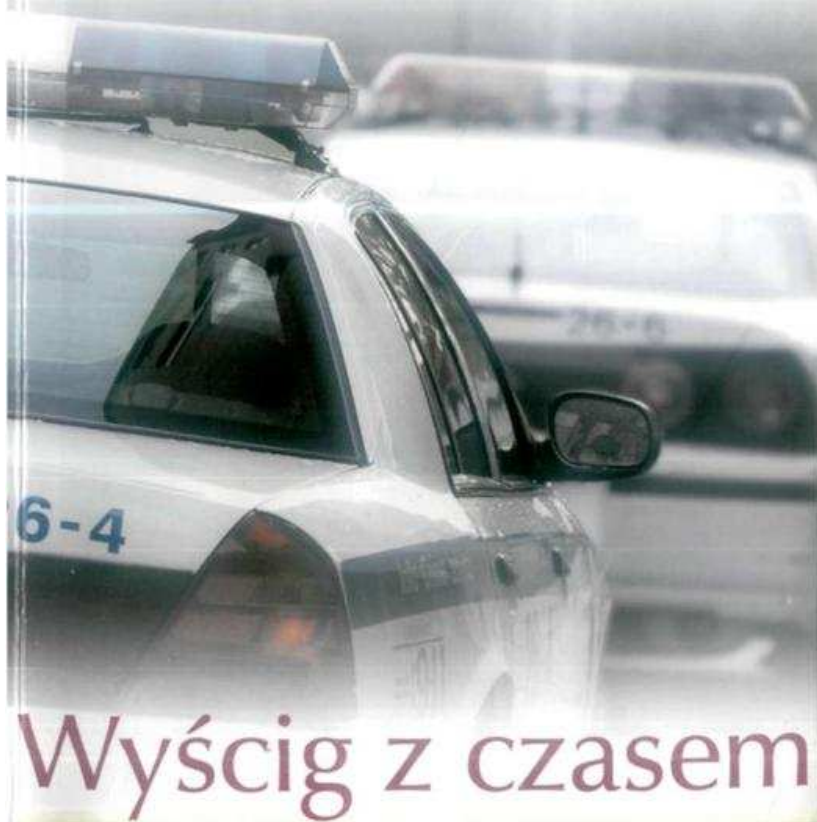


John
LESCROART

BESTSELLING *NEW YORK TIMES* AUTHOR



Wyścig z czasem

Najnowsza powieść Johna Lescroarta już w Polsce!!!

Wyścig z czasem

W własnym domu zostaje zastrzelony sędzia federalny. Obok niego leży ciało kochanki. Zbrodnia skupia uwagę całego San Francisco. Zdaniem inspektora wydziału zabójstw, Devina Juhle'a, jest to zwykły przypadek zazdrości i gniewu żony. Ale dochodzenie ujawnia, że sędzia miał potężnych wrogów... Niektórzy z nich skłonni byłiby nawet zabić, aby zapobiec ingerencji w ich sprawy.

W tym samym czasie, prywatny detektyw, Wyatt Hunt, najlepszy przyjaciel Juhle'a, zakochuje się w pięknej i tajemniczej adwokat Andrei Parisi. Kobieta, dzięki pracy w TV Proces, szybko zyskuje sławę. Jest urodzoną gwiazdą i otwarcie dąży do celu, którym jest posada w ogólnokrajowym kanale w Nowym Yorku. Śledztwo Juhle'a ujawnia jednak, że także ona ma związek z morderstwem...

Wtedy Andrea znika.

Detektyw Juhle uznaje kobietę za główną podejrzaną. Mimo to Wyatt Hunt niezłomnie wierzy, że mogła paść ofiarą porwania lub nawet... ofiarą kolejnego morderstwa...

„Lescroart błyskotliwie przedstawia skomplikowane scenariusze, jego styl jest fascynujący”.

Los Angeles Times Book Review

„Lescroart dużo rzeczy robi dobrze, ale dwie z nich wyróżniają jego pisarstwo. Po pierwsze realizm... Po drugie, jego książki są wybitne z powodu bohaterów... To powieści od których nie można się oderwać”.

The Washington Post

ISBN-13: 978-83-60283-37-0
ISBN-10: 83-60283-37-0



9 788360 283370

cena: 31,00 zł

John Lescroart

Wyścig z czasem

Przełożyła Aleksandra Kulesza

Tytuł oryginału *The Hunt Club*

Copyright © 2006 by The Lescroart Corporation AU rights reserved

Copyright © for the Polish edition by VIZJA PRESS&IT Warszawa 2007

Redaktor prowadzący Wojciech Żyłko

Redakcja i korekta Aneta Zdunek

Opracowanie graficzne okładki Mariusz Stelągowski

Wydanie I

ISBN-13: 978-83-60283-37-0 ISBN-10:83-60283-37-0

VIZJA PRESS&IT

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel./fax 536 54 68

e-mail: vizja@vizja.pl

www.vizja.net.pl

Skład i łamanie Mariusz Maćkowski

Dla Justine Rose Lescroart, córki mego serca

Myślisz, że znasz siebie, ale wszystko zaczyna się zmieniać,

a ty powoli tracisz bezpieczną izolację normalności.

Robert Wilson „Mała śmierć w Lizbonie”

Wtedy...

1

1992

Duży, czteropiętrowy blok mieszkalny na Dwudziestej Drugiej Alei San Francisco, w pobliżu Balboa, w dzielnicy Richmond, wyglądał z zewnątrz na dobrze utrzymany, ale wiedziałem z doświadczenia, że samo w sobie nic to nie oznaczało. Budynek ten mieścił prawdopodobnie czterdzieści mieszkań, a każde stanowiło niezależny i wyraźnie oddzielony wszechświat zamieszkały przez osoby samotne, pary, studentów, ludzi starszych, pary szczęśliwe i nieszczęśliwe, małżeństwa i nie, homo i hetero, z dziećmi lub bez.

Tego zimnego i ponurego ranka wezwanie pochodziło ze szkoły podstawowej Cabrillo i dotyczyło dwójki dzieci z szóstej i czwartej klasy. Oboje byli nieobecni cały miniony tydzień, a do dyrektora nie zadzwoniło z usprawiedliwieniem żadne z rodziców. Inspektorka szkolna skontaktowała się z Dade'ami po raz pierwszy w ubiegłą środę, ale na pozostawioną przez nią wiadomość nikt nie odpowiedział. W piątek zadzwoniła ponownie i rozmawiała z Tammy, szóstoklasistką, która powiedziała, że wszyscy mają gripę, to wszystko. Nie, mama też była chora i spała, i nie mogła podejść do aparatu. Tammy uważała, że do poniedziałku jej i bratu pewnie się poprawi i przyniosą usprawiedliwienie od mamy albo od lekarza. Od kogoś, w każdym razie. Kiedy jednak dzieci nie pojawiły się w poniedziałek, inspektorka zawiadomiła Służbę Ochrony Dzieci, by sprawdzili, co się naprawdę dzieje. Na zgłoszeniu dopisała, że dzieci wyglądają na niedożywione i są nędznie ubrane.

Teraz był wtorek rano, dochodziła godzina dziesiąta. Moja partnerka do tego wezwania, moja ulubiona partnerka w SOD, jeśli już o tym mowa, Bettina Keck, stała ze mną - Wyattem Huntem - przed drzwiami bloku. Pierwsze kilka dzwonek domofonu pozostało bez odpowiedzi.

- Czemu nie wierzę, że nikogo nie ma w domu? - powiedziała Bettina. Zamarzałem stojąc tak i już miałem dość czekania. Zacząłem naciskać, jeden po drugim, guziki przy nazwiskach wszystkich lokatorów.

- Nienawidzę, gdy muszę to robić. Jak ktoś się odezwie, masz ochotę mówić?

- Czemu ja?

- Bo jesteś mądrzejsza? Moment, nie, to nie to.

- I zabawniejsza - dodała. Jakby to był sygnał, z głośnika dobiegł skrzekliwy głos starszej kobiety.

- Kto tam?

- Przesyłka. FedEx - odparła Bettina, pochylając się w stronę mikrofonu.

- Widzisz? - powiedziałem. - Znakomicie. Bettina uciszyła mnie i dobiegło nas:

- Nic nie zamawiałam.
- Pod którym numerem pani mieszka?
- Ósmym.

Wskazałem Bettinie palcem wizytówkę z nazwiskiem. Przeczytała bez zająknięcia.

- Pani Craft?
- To ja.
- Cóż, musi pani podpisać przyjęcie przesyłki.
- A co to?
- W chwili obecnej, proszę pani, jest to mała brązowa paczka. Jeśli pani nie chce przyjąć, to odeślemy.

- Dokąd?

- Niech no spojrzę. Wygląda na sklep jubilerski. Może wygrała pani nagrodę.

- Hm, no dobrze.
- I drzwi zabzyczały, pozwalając nam na wejście do budynku.
- Może i jesteś w tym lepsza - przyznałem, przytrzymując jej drzwi.
 - Żadnego może - odparła z uśmiechem. - Najlepsza część pracy.

Schodami weszliśmy na trzecie piętro. Mieszkanie Dade'ów miało numer 22 i znajdowało się w korytarzu po lewej stronie.

Stanęliśmy przed drzwiami, zza których dobiegał odgłos telewizji. Bettina skinęła, a ja zastukałem do drzwi. Telewizja ucichła natychmiast. Zastukałem ponownie. I jeszcze raz.

- Ktokolwiek właśnie wyłączył telewizor - odezwałem się głośno autorytatywnym tonem - proszę otworzyć drzwi.

W końcu usłyszeliśmy wysoki i nieśmiały głos dziewczynki.

- Kto tam?
- Służba Ochrony Dzieci - odparła Bettina łagodnie. - Otwórz, proszę.
- Nie wolno mi.
- Nie wolno ci ~~nie~~ otworzyć, słoneczko. Ty jesteś Tammy? Po chwili z wahania usłyszeliśmy pytanie:

- Skąd pani wie?

- Zadzwoniono do nas z twojej szkoły, żebyśmy sprawdzili, jak się czujecie. Martwią się o ciebie i twojego brata. Opuściliście wiele dni.

- Byliśmy chorzy.
- Tak nam powiedzieli.
- Chcielibyśmy się tylko upewnić, że wszystko u was w porządku - wtrąciłem.
- Możemy jeszcze zarażać.

- Zaryzykujemy, Tammy - powiedziała Bettina. - Nie wolno nam odejść, dopóki was nie obejrzymy.

- Jeśli nas nie wpuścisz - dodałem - będziemy musieli wrócić z policją. A tego nie chcesz, prawda?

- Nie musicie wzywać policji - powiedziała Tammy. - Nie zrobiliśmy nic złego.

Bettina bez wysiłku przejęła pałeczkę:

- Nikt tak nie twierdzi, słoneczko. Chcemy się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. Czy twój brat jest z tobą?

- Ma się dobrze, tylko jest jeszcze chory.

- A twoja mama? Ona też tam jest? Albo tata?

- Nie mamy taty.

- OK, no to twoja mama.

- Śpi. Nie czuje się dobrze. Też ma grypę.

- Tammy - odezwałem się, usiłując nie zdradzać rosnącego niepokoju - musimy wejść do środka. Otwórz drzwi, proszę.

Po kilku sekundach usłyszeliśmy przekręcanie zamka i oto ją ujrzelśmy. Imponująco opanowana i względnie porządnie ubrana, pomyślałem natychmiast, jak na dziewczynkę, która najwyraźniej umiera z głodu.

Bettina uklękła na jedno kolano i dobiegło mnie jej pytanie:

- Tammy, słoneczko, jadłaś coś ostatnio? - Ja w tym czasie otworzyłem drzwi szerzej, a mijając je usłyszałem odpowiedź dziewczynki:

- Trochę chleba.

W salonie, przed telewizorem, pod warstwą koców, siedział wychudły chłopiec, wpatrując się pustym wzrokiem w milczący ekran.

- Hej, kolego - powiedziałem łagodnie. - Ty jesteś Mickey? Spojrzał na mnie przelotnie i przytaknął.

- Jak się czujesz?

- OK - odparł dźwięcznym głosem. - Tylko jestem trochę głodny.

- Zatem zaraz dam ci coś do jedzenia. Co ty na to?

- Dobrze. Jeśli pan chce.

- Tak. Chcę. Gdzie jest twoja mama, Mickey?

Bettina, trzymając Tammy za rękę, usłyszała pytanie wchodząc do pokoju.

- W sypialni - odparła. - Może ja tu zostanę z dziećmi, a ty sprawdź, jak ona się czuje?

- Robi się.

Pani Dade była w łóżku i, owszem, spała. Ale takim snem, z którego nikt się już nie budzi.

Sekcja zwłok wykazała później, że zmarła w wyniku przedawkowania heroiny, prawdopodobnie meksykańskiej czarnej smoły, trzeciego lub czwartego dnia nieobecności dzieci w szkole. Podczas gdy czekaliśmy na niepo-

trzebną karetkę, Tammy powiedziała nam, że kilka tygodni wcześniej jej mama straciła pracę w supermarkecie Safeway z powodu problemu z narkotykami, który tak naprawdę był chorobą, na którą nic nie mogła poradzić. Wyjaśniła dzieciom, że wie, iż nie powinna zażywać narkotyków, że są złe i próbowała przestać, ale to naprawdę bardzo, bardzo, bardzo trudne. Najważniejsze było jednak, że nie wolno im nigdy, przenigdy, komukolwiek o tym powiedzieć, ponieważ, jeśli policja się dowie, to przyjedzie i albo zabierze mamę, albo ich.

Tammy miała w szkole zajęcia na temat uzależnienia od narkotyków i wiedziała, że to prawda. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nie można mieszkąć z narkomanami.

I dlatego Tammy nikomu nie powiedziała.

To nie był pierwszy raz. Czasami mama zniknęła w sypialni na kilka dni. Tym razem trwało to dłużej niż zazwyczaj. Tammy nie chciała zaglądać, bo czasami mama gniewała się na nią, gdy sprawdzała, jak się czuje. Nie chciała, żeby jej dzieci widziały jak zażywa narkotyki. Wstydziła się. Tammy myślała, że za dzień czy dwa mama wyjdzie z sypialni, albo sprawdzi, czy mają jeszcze coś do jedzenia, a wtedy oni wrócą do szkoły, a mama pójdzie na zakupy i kupi coś do jedzenia. W międzyczasie Tammy karmiła siebie i Mickeya tym, co znalazła w kuchni. Podzieliła jedzenie na takie porcje, żeby im nie zabrakło. Tak jak mamę, musiała też chronić swojego brata.

Poszedłem sprawdzić. Zostały im trzy kromki spleśniałego białego chleba, trochę krakersów ryzowych i, mniej więcej, łyżka stołowa masła orzechowego.

1996

Pracowałem w Służbie Ochrony Dzieci pięć lat i wciąż nie miałem swojego biura. Tak naprawdę nie chciałem go, ani nie potrzebowałem. Siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu procent czasu pracowałem w terenie. Resztę zajmowało mi pisanie raportów. Kierownicy mieli biura i jeśli o mnie chodzi, to niech je mają. Zajmowali się zamykaniem spraw, cyframi i postępowaniem zgodnie z ustalonymi procedurami. Ja zajmowałem się ratowaniem dzieciom życia. Mieliśmy zatem różne nastawienia.

Każdego ranka, minąwszy szpalery bezdomnych kocujących na okolicznych ulicach, dojeżdżałem do budynku na Otis Avenue gdzieś około godziny ósmej, sprawdzałem, czy są jakieś prawdziwe nagłe wezwania, po czym, zazwyczaj, zabierałem się za mój przydział „normalnych” przypadków. Każdy z nich był swego rodzaju nagły, choć zbyt często nie zaznaczony jako taki przez biurokrację.

Aby wezwanie określono mianem nagłego i przydzielono natychmiast opiekuna społecznego lub ich zespół, sytuacja domowa dziecka musiała zostać uznana za zagrażającą życiu, i mam tu na myśli zagrożenie bezpośrednie. Na przykład kobieta trzymająca swe trzyletnie dziecko za nogi przez okno na szóstym piętrze, byłaby nagłym przypadkiem. Do codziennych problemów, uznawanych za pomniejsze, zaliczały się chroniczny głód lub podejrzenie znęcania się fizycznego, lub rodzic w stanie upośledzenia fizycznego spowodowanego narkotykami bądź czymkolwiek innym. Albo wujek podejrzany o cielsny związek ze swą ośmioletnią siostrzenicą.

Tego ranka, mniej więcej rutynowe wezwanie pochodziło z Holly Park, osiedla mieszkaniowego blisko południowej granicy miasta. Z uwagi na walczące gangi, skrajną nędzę i nieustępliwą aurę beznadziei oraz olbrzymią liczbę ludzi, którzy zażywali albo handlowali narkotykami, teren ten miał najwyższy odsetek morderstw, zaraz po Hunter's Point. Ale w ilości niemal wszystkich innych przestępstw, brutalnych i nie, był niekwestionowanym numerem jeden.

Nie przeszkadza mi mgła ani deszcz, upał ani zimno, ale nienawidzę wiatru, a w ten kwietniowy wtorek wiało potężnie. Aby uchronić moją i tak zdezelowaną luminę przed wandalizmem, który był plagą Holly Park, zaparkowałem trzy przecznice na wschód od osiedla, po czym wysiadłem prosto na chłód docierający tutaj z Alaski, przeciwko któremu moja parka była mniej więcej tak skuteczna jak łańcuszek szczęścia. Dzień był jasny i słoneczny, ale wiatr był niepohamowany i potwornie, potwornie, potwornie zimny.

Wcisnąwszy ręce głęboko w kieszenie kurtki, dotarłem do zapamiętanego

adresu i, stojąc po drugiej stronie ulicy, patrzyłem na poharataną i oszpeconą ziemię jałową, na którą miałem wejść. Wiedziałem, że pięćdziesiąt lat temu miejsce to było swego rodzaju modelem pokazowym - świeżo pomalowane baraki mieszkalne, z trawnikami i dobrze utrzymanymi ogródkami, nawet drzewami. Mieszkańcy karani byli grzywnami, jeśli nie kosili trawników albo ich własne ganki i balkony były brudne lub zaśmiecone, albo wisiała na nich susząca się bielizna. Teraz nie było tam ani jednego drzewa, ani śladu ogródka, ledwie żdzębło trawy. Ze swej pozycji po drugiej stronie ulicy ujrzałem setki błysków na ubitej i spalonej ziemi dokoła budynków - byłem tu już wielokrotnie i wiedziałem, iż są to pozostałości niezliczonych wyrzuconych i potłuczonych butelek po piwie, winie, gorzałce, jakimkolwiek butelkowanym alkoholu. Na tej arenie Pepsi i Coca-Cola nie walczyły o dominację.

Tym jednak, co najbardziej mnie niepokoiło był fakt, że nikogo nie widziałem. Oczywiście, przy takim chłdzie i wietrze ludzie nie wygrzewają się i nie figlują, ale spodziewałem się ujrzeć kogoś przemykającego między klockami budynków, jakąś kobietę wieszającą pranie, kogokolwiek. Ale miejsce wydawało się całkiem opustoszałe.

Zastanawiałem się, czy powinienem był poczekać trochę i znaleźć partnera do tego wezwania. Może kogoś spośród względnie świeżo zatrudnionych, kto miał jeszcze jakiś zapas. Ale znalezienie w biurze kogoś, na kim mógłbym polegać, z kim byłbym w stanie wytrzymać trochę czasu, stało się niemożliwe. A to dlatego, że przez minione kilka lat biuro toczył rak. Zbiegło się to w czasie z mianowaniem i przybyciem wicedyrektora Wilsona Mayhewa. Począwszy od kierowników mojego szczebla dzielących włos na czworo i bawiących się w rozgrywki władzy, a na moich kolegach, odpowiedzialnych za nagłe wezwania, którzy używali całego swego doświadczenia, by unikać telefonów, nawet jeśli zadali sobie trud pojawienia się w pracy, kończąc, większość ludzi zdawała się postępować wedle wskazówek Mayhewa. Mimo wszystko, co do jednego byliśmy pracownikami okręgu, chronionymi przez związki zawodowe i, zasadniczo, niewrażliwymi na dyscyplinę. Pozbawieni motywującego wicedyrektora, opiekunowie społeczni, których obchodzi ich praca, dzieci, zwykli wypalać się po kilku latach. Większość z tych, którzy zostali, byli tam, ponieważ nie można ich było ruszyć - pomiędzy zmasowanymi urlopami, zwolnieniami lekarskimi i oszukiwaniem na kartach kontrolnych na setki wymyślnych sposobów. Jedna trzecia opiekunów nigdy nie robiła nic konkretnego. Kilkoro w ogóle nie pojawiała się w pracy, co zdawało się nie interesować ani Mayhewa, ani kierowników niższego stopnia, którym w ten sposób oszczędzony był kłopot konfrontacji.

Bettina, ciągle zatrudniona, sama borykała się ze spowodowanym rozwodem problemem alkoholowym i wolałem pracować sam.

Cóż, nie miałem innego wyjścia, niż ruszyć naprzód. Oto byłem tu. A Ke-

eshiana Jefferson potrzebowała pomocy. Musiałem tam pójść i ocenić sytuację. Zszedłem z krawężnika.

- Hej.

Odrzuciłem się, cofnąłem, przyglądając uważnie całkiem niemożliwemu w tej okolicy widokowi białego mężczyzny. Po chwili rysy skupiły się w coś początkowo niewyraźnego, potem bardzo znajomego.

- Dev? - spytałem. - Dev Juhle?

Juhle był shortstopem drugiej bazy w mojej drużynie baseballowej w ogólniaku. Nim rozdzielił nas college, był prawdopodobnie moim najlepszym przyjacielem.

Na twarzy mężczyzny pojawił się niewymuszony, choć nieco zakłopotany uśmiech, po czym on też mnie poznał.

- Wyatt? Co ty tu robisz?

- Pracuję - odparłem, sięgając półautomatycznie po portfel, identyfikator. - Pracuję w SOD. Służbie Ochrony Dzieci.

- Wiem, co to jest SOD. Jestem gliną.

- Nie jesteś.

- Właśnie, że jestem.

- Nie jesteś ubrany jak glina.

- Jestem inspektorem. Nie nosimy mundurów. Pracuję w wydziale zabójstw.

- Mówisz zatem, że się spóźniłem? - spytałem, zerkając na osiedle.

- Na co?

- Keeshiana Jefferson.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

Poczułem falę ulgi. Keeshiana nie była przynajmniej ofiarą zabójstwa, w sprawie którego Dev prowadził dochodzenie. Może jednak byłem na czas.

- Cóż - powiedziałem - miło było cię zobaczyć, ale mam tam sprawę do załatwienia.

- Nie idziesz tam chyba sam? - spytał Juhle, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Taki mam zamiar. - Ale widząc troskę Juhle'a, dodałem:

- Nie martw się, Dev. Robię to codziennie.

- Tutaj?

- Tu, tam, wszędzie.

- A co właściwie robisz?

- Głównie rozmawiam z ludźmi. Czasami zabieram dziecko. Juhle spojrzał z niepokojem na osiedle, po czym na mnie.

- Masz coś przy sobie?

- Broń? - zachichotałem i rozsunąłem szeroko poły kurtki. - Tylko ciastka i chipsy, na wypadek gdyby ktoś był głodny. Naprawdę muszę już iść.

- Jaki jest dokładny adres? - spytał Juhle. - I tak kręcę się tu z partnerem,

szukając świadków. Będę trzymał się w pobliżu.

- Nie trzeba - odparłem. - Ale dzięki za propozycję. Serio pogadamy kiedy indziej. Muszę sprawdzić to wezwanie.

Gdy drewniane drzwi do baraku zamknęły się za mną, korytarz pograżył się w ciemności, która wydawała się nieprzenikniona. Ktoś zamalował podłużne szyby po obu stronach drzwi. Dałem oczom chwilę na dostosowanie się, po czym sprawdziłem włącznik. Nie działał.

W korytarzu śmierdziało, znajoma trójca pleśni, moczu, zwierząt. Rozróżniłem również nutę dymu papierosowego, choć pozostałe zapachy dominowały. Na zewnątrz wył wiatr przedzierający się pomiędzy budynkami i słysząc to, zdecydowałem się zawrócić i ponownie uchylić drzwi, by wpuścić do środka nieco światła. Tuż obok ściany, z kupy gruzu wybrałem zdalny kamień. Zablokowałem nim drzwi, tak, że utworzyła się szpara szerokości około pięciu cali.

Jeffersonowie mieszkali pod trójką, w głębi korytarza, po lewej stronie. Przyłożyłem ucho do drzwi i usłyszałem znajomy szum telewizora, ale nie byłem w stanie stwierdzić, czy dochodził z tego mieszkania, czy z jednego z pozostałych. Zapukałem, nic, zapukałem ponownie.

- Pani Jefferson.

W końcu szuranie kapci, potem kobiecy głos:

- Kto tam?

Sam znałem kilka sztuczek. Jak niektórym powie się Służba Ochrony Dzieci, to drzwi nigdy się nie otworzą. Ale jak się powie opieka społeczna, której SOD jest częścią, często myślą, że to ich zapomoga i działa jak „sezamie otwórz się”. Pani Jefferson uchyliła drzwi na kilka cali, nie zdejmując łańcucha.

- Czego pan chce?

- Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

- Już pan to robi.

- Odebraliśmy zgłoszenie w sprawie Keeshiany. Czy ona dobrze się czuje?

- Kto zgłosił?

- Pani matka. - I dzięki Bogu, pomyślałem. Powinna to być szkoła, ponieważ mała opuściła już dwa tygodnie, ale nie zauważyli tego, aż do chwili, gdy zadzwoniłem, weryfikując wezwanie. Na szczęście babcia przysłała z wizytą i po wyjściu zadzwoniła do SOD. - Martwi się o was obie. - Przeniósłem wagę ciała na drugą nogę, utrzymując spokojny język ciała.

- Nie ma się czym martwić. Umie się opiekować mojom małym.

- Jestem pewien, że tak właśnie jest, pani Jefferson, ale gdy zgłasza się do nas czyjaś mama, mówiąc, że się niepokoi, moim zadaniem jest sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. - Owinałem się ciaśniej kurtką. - Jeśli mógłbym wejść na chwilę i porozmawiać z wami obiema, to zaraz mógłbym wra-

cać.

Drzwi po mojej prawej stronie, na drugim końcu korytarza, nagle otworzyły się z hukiem, a do środka weszła grupa trzech mężczyzn w powodzi przekleństw i pozerstwa. Wszyscy mieli na sobie po kilka kurtek, szli powoli popisowym krokiem. Moje jądra schowały się w jamie ciała, gdy pani Jefferson zatrzasnęła mi przed nosem drzwi.

Drzwi z tyłu stały otworem. Szef paczki widząc mnie, zatrzymał się, obejmując za siebie, po czym spojrzał na korytarz za moimi plecami.

- Te, pierdziel. Skinąłem głową.

- Co jest? - odparłem, serwując błyskotliwą ripostę. Niemniej odwróciłem się do niego przodem, nie ustępując.

- Po jakie gównu żeś tu przylazł? - podeszli blisko, otaczając mnie. Oczy mężczyzny miały chorobliwą, żółtą barwę. Nie golił się od kilku dni. Najwyraźniej też nigdy nie mył zębów.

Spojrzałem w jego żółte oczy.

- Żadne gównu - odparłem. Pokazałem identyfikator - SOD, panowie. Sprawdzam tylko, czy Keeshiana ma się dobrze.

Facet z przodu poszedł dalej, jeszcze raz się rozglądając. Ponownie przeklął, pochylił głowę i grupa przeszła obok mnie. Ostatni z mężczyzn, wyrzekając się dotychczasowych dobrych manier, odchrząknął i splunął na podłogę tuż obok moich stóp.

Kusiło mnie, by życzyć im miłego dnia, ale stwierdziłem, że nic dobrego by z tego nie wyniknęło, więc ugryzłem się w język, odwróciłem i zapukałem do drzwi.

- Znowu ja.

Drzwi otworzyły się, tym razem bez łańcucha.

- Pan głupi czy co? - spytała.

Gdy drzwi zostały zamknięte i zaryglowane, poszedłem za nią do środka. Był to typ mieszkania, jaki widziałem dziesiątki razy w podobnych okolicznościach. Kuchnia, salon, dwie małe sypialnie. Ani porządne, ani czyste, z brudnymi ubraniami porzucanymi na meblach, papierowymi torebkami zaśmiecającymi podłogę, stertami pudełek po jedzeniu z KFC i McDonald's na brzegach stołu i regałami, które od pół wieku nie widziały książki.

Żaluzje były zasunięte, a większa część okien zakryta została zasłonami oraz materiałem, który wyglądał na prześcieradła albo poszewki, wewnątrz było zatem tak ciemno jak w korytarzu, ale róg płachty zasłaniającej górną połowę kuchennego okna odczepił się, wpuszczając nieco światła dziennego.

- To moja mała, Keeshiana - powiedziała pani Jefferson. Dziecko siedziało przy stole kuchennym. Słodka, drobniutka sześciolatka miała na sobie czerwoną koszulkę z krótkim rękawem, ręce spoczywały na stole, dłonie miała złożone.

Nie wyciągnąłem ręki, ale skinąłem tylko, by utrzymać niezobowiązujący charakter wizyty.

- Ja jestem Wyatt - uśmiechnąłem się profesjonalnie, a mała skinęła w odpowiedzi ze zmęczeniem. Odwróciłem się do jej matki.

- Może moglibyśmy na chwilę usiąść? - spytałem, przysuwając sobie krzesło. - A więc, Letitio - zacząłem - tak do ciebie mówią?

- Lettie.

- Zatem, Lettie.

- Moja mama nie ma po co do was dzwonić - przerwała mi nagle zła. - Nic nie zrobiłam, tylko chronię siebie i mojom małym od złego.

- Od złego?

- Od Szatana - wyjaśniła.

- Diabła?

- Tak.

- Czy on prześladowuje cię w jakiś specjalny sposób?

- Poedział mi. Poedział, że jak mała wyjdzie, to jom zabierze. Bardzo jom chce.

- Kiedy ci to powiedział?

- Już parę tygodni. Widziałam go, wie pan?

- Gdzie?

- Tam - odparła, wskazując ruchem głowy na zewnątrz.

- W korytarzu? Skinęła.

- I na dworze też. Dlatego zakryłam okna, żeby nie mógł tu zajrzeć, żeby nie wiedział, że ona tu jest.

Nagle zrozumiałem, jak to się stało, że szyby w drzwiach na korytarzu zostały zamalowane. Zza poły kurtki wyciągnąłem torbę chipsów ziemniaczanych i snickersa, po czym położyłem je bez słowa na stole, przesuwając w zasięg rąk Keeshiany.

- Możesz, kochanie - powiedziała jej matka, a dziewczynka ostrożnie wzięła chipsy, otworzyła torbę i zaczęła je szybko jeść, jeden po drugim.

Wykorzystałem tę zmianę tematu, żeby przełamać z nią lody.

- A więc, Keeshiano, nie byłeś na dworze już jakiś czas? Spojrzała pytająco na matkę, a widząc skinienie, odparła:

- Nie.

- A chciałybyś?

Zjadła kolejnego chipsa, tym razem wpatrując się w stół.

- Mamuś mówi, że to dlatego, że jestem niedobra. Dlatego on mnie chce.

- Każdego dnia się modle - powiedziała Lettie. - Każdej nocy. Już jej lepiej.

Nie byłem przekonany, czy rozumiem, ale i tak mi się to nie podobało.

- W jaki sposób jesteś niedobra, Keeshiano? Mnie się nie wydajesz zła.

- Mama tak mówi.

- Nie - poprawiła Lettie. - Nie ja, Szatan ją woła.

- A jak to robi? Lettie? Keeshiano? - przenosiłem wzrok z jednej na drugą. W końcu zatrzymałem się na matce. - Lettie. Kiedy pozwoliłaś jej wyjść po raz ostatni?

Spojrzała na dziecko. Pokręciła głową.

- Odkąd on tu jest.

- Diabeł? A odkąd?

- Nie wiem dokładnie.

- Parę tygodni? Miesiąc?

Lettie zaczęła mrugać, broniąc się przed łzami.

- Ona tylko wyjdzie i już nie można będzie wygrać. On jom zabierze.

- Nie zabierze jej - powiedziałem. - Dopiero, co tam byłem i nie ma tam po nim śladu. W tej chwili wiatr zawył niskim jękiem, a okno kuchenne nad naszymi głowami zadrżało.

- Oto znak - powiedziała matka. - Śmieje się z pana. Tylko czeka na swoją szansę.

- To wiatr, Lettie. Tylko wiatr.

- Nie! Nabrał pana.

- Mamuś - odezwała się Keeshiana, wpatrując się w snickersa. - Proszę. Lettie ponownie przytaknęła.

Próbując nie poddać się absurdalności sytuacji, przywołałem brutalną rzeczywistość.

- Lettie - powiedziałem łagodnie - pani Jefferson, proszę mnie posłuchać. Muszę być pewien, że wypuści pani Keeshianę z domu, by mogła wrócić do szkoły. Czy pani mnie zrozumiała?

- Ale nie mogę. Naprawdę nie mogę. Przecie pan widzi. Nie chciałem uciekać się do gróźb, że odbiorę jej dziecko.

W przypadku braku postępów i tak będę musiał niebawem do tego dotrzeć. Próba zabrania dziewczynki spod opieki matki zawsze była rozwiązaniem ostatecznym i była ostatnią rzeczą, którą chciałem zrobić.

- Zrobimy tak. Może tak ty i Keeshiana ubierzecie się ciepło i wyjdziemy teraz na chwilę razem? Lettie, każde z nas może trzymać Keeshianę za jedną rękę. Jeśli zobaczymy cokolwiek, co by nam się nie podobało, to od razu wrócimy. Obiecuję.

Lettie zmarszczyła brwi, kiwając głową z boku na bok, ale dziewczynka przestała żuć, a jej oczy rozjaśniły się.

- Mogłabyś pozwolić mi wstać na chwilę, mamuś - powiedziała.

Zdanie wydało mi się dziwne, a przeczucie, jakie rozwinąłem z biegiem lat w tej pracy, spowodowało, że przeszły mnie ciarki i spytałem:

- Keeshiano, jak to „wstać”?

- No wie pan - zaczęła wiercić się na krześle - żebyśmy mogła stanąć na nogach.

Frustracja wyparła wszystkie inne uczucia malujące się na twarzy Lettie.

- Nic ci nie jest - powiedziała do córki, po czym zwróciła się do mnie bez namiętnym, nawet rozsądnym tonem. - Nie ma po co wstawać. Jak wstanie, to będzie próbowała wyjść.

Przeniosłem beznamiętne spojrzenie z matki na córkę.

- Keeshiano, chciałbym, żebyś wstała. Jej spanikowany wzrok padł na matkę.

To był dla mnie znak. Z przesadną powolnością odsunąłem krzesło, wstałem i bokiem podszedłem do Keeshiany. Odsunąłem jej krzesło i głośno wciągnąłem powietrze. Sznur do suszenia bielizny owinięty został jakiś tuzin razy dokoła jej pasa i nóg, uniemożliwiając jej podniesienie się.

* * *

Devin Juhle, gliniarz z wydziału zabójstw, z którym spędziłem dzieciństwo, znalazł się przy mnie, gdy wyłoniłem się z zaciemnionego baraku na jasny i targany wiatrem kawałek ubitej ziemi i szkła, który prowadził na chodnik. W ramionach niosłem Keeshianę, nogi miała owinięte kocem, ręko ma obejmowała mnie za szyję.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Juhle.

- Zabieram się stąd. Jej matka ją związała.

- I pozwoliła ci ją po prostu zabrać?

- Wyjaśniłem sytuację, dałem jej formularze.

- Ale i tak. Jak cię ktoś zobaczy, albo ona wybiegnie wrzeszcząc i podnosząc lament, ludzie tutaj...

- Mamusia będzie musiała nauczyć się z tym żyć. To mój zawód, OK? Jest metoda - szedłem szybko, dysząc. - Masz tu blisko samochód? - spytałem. - Mój jest trzy przecznice stąd. Błąd.

- Ta, ale jak ktoś wyjdzie...

- Dev, a niby dlaczego ja prawie biegnę? - wtrąciłem szybko. Wskazałem na Keeshianę. - Martwię się o nią.

- Mój samochód jest tu, zaraz za rogiem - odparł Juhle i poprowadził nas szybkim marszem

3

2000

Wicedyrektor Wilson Mayhew zostawił w moim boksie uprzejmą wiadomość, prosząc, bym niezwłocznie przyszedł do jego gabinetu. W wezwaniu tym nie było nic złowieszczonego poza faktem, iż był to mój pierwszy osobisty kontakt z Mayhewem od czasu, gdy wymieniliśmy serdeczne pozdrowienia na przyjęciu gwiazdkowym dwa lata wcześniej. Wtedy to, trzymając nieprzerwanie rękę na pulsie wszystkich poczynań swych podwładnych, zapytał mnie o mój związek z SOD. Ponieważ byłem wówczas pracownikiem z ośmioletnim już stażem, podczas gdy sam Mayhew dołączył do nas pięć lat wcześniej, to poprosiwszy go, by zachował to dla siebie, powiedziałem, że tak naprawdę jestem agentem FBI. Pracuję pod przykrywką, tropiąc stręczyciela, który przewodzi grupie zajmującej się prostytutką dziecięcą wśród nielegalnych imigrantów prosto z SOD. Na pewno musiał o tym słyszeć.

Po tym przynajmniej wiedział, kim jestem.

Zatem, tego październikowego popołudnia, stanąłem przed biurkiem wice w jego gabinecie na trzecim piętrze na Otis Avenue. Chociaż umeblowanie i wystrój innych biur mogły stanowić książkowe przykłady burej estetyki, wypełnione głównie szarościami, zieleniami i metalowymi powierzchniami, to miejsce pracy Mayhewa, podobnie jak i on sam, urządzone zostało, aby sprawiać wrażenie stylu, jeśli nie smaku. Biurko było olbrzymim klockiem sekwoi, wypolerowanym i asymetrycznym, pozbawionym widocznych szuflad, o blacie tylko na tyle dużym, by pomieścić telefon i niemal pustą skrzynkę na dokumenty przychodzące i wychodzące. Nigdzie nie było śladu komputera ani jakiegokolwiek stacji roboczej. Na każdym wolnym skrawku ściany wisiały trzy oprawione obrazy Waltera Keane'a - dzieci o dużych oczach, na skraju łez (łapiecie?). Po mojej prawej stronie, naprzeciwko okna, stał przysunięty do ściany kredens z drewna tekowego. Nakryty był olbrzymią koronkową serwetą, na której stał, jak się zdaje, autentyczny, rosyjski srebrny samowar. Na półkach za dyrektorem stało niewiele książek. Większość miejsca zajmowały oprawione głównie w srebrne ramki zdjęcia Mayhewa z trzema byłymi burmistrzami, szefem policji, gubernatorem Greyem Davisem, Bozem Scaggsem, Danielle Steel i kilkoma innymi VIP-ami, których nie byłem w stanie rozpoznać. Najwyższa półka poświęcona była ceramicie Lladró. Wzruszające.

Mayhew siedział. Garnitur od Armaniego nie był w stanie ukryć jego

czterdziestofuntowej nadwagi. Jego okrągła, lekko cherubinkowata twarz świeciła się nieco, jakby, być może, przesadził z peelingiem. Wysokie czoło nijak nie wypadło lepiej, gdy zdecydował się zaczesywać swą resztkę włosów gładko do tyłu. Nawet jego własna matka nie uznałaby go za atrakcyjnego, niemniej roztaczał aurę pewności, jaką dawało mu sprawowanie władzy. Gruby, starszawy biały facet, któremu się powiodło, a jeśli nie podobało ci się, jak wygląda, to możesz mu naskoczyć.

Podniósł się nieco na krzesło, aby przez biurko uścisnąć mi dłoni i podziękować za rychłe przybycie. Siedział ponownie, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

- Jasne. O co chodzi? Jakiś problem?

- Nie, nie. Żadnego problemu. Całkiem przeciwnie, w rzeczy samej.

- Świetnie - czekałem.

- A więc, ile czasu pracujesz już w terenie, odpowiadając na zgłoszenia?

- Osiem lat. Zagwizdał cicho.

- To rozumiem. Zdajesz sobie sprawę, że, tam na dole, jesteś starszym opiekunem?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- I do tego wszystkiego twoje oceny są wzorowe.

Wzdrygnąłem się.

- Zależy mi, proszę pana.

- Najwyraźniej. Najwyraźniej - opierając się, złożył ręce nad brzuchem. - Chodzi o to, że dysponujesz wielką wiedzą praktyczną, którą mógłbyś przekazywać nowym pracownikom.

- Staram się pomagać, gdy tylko mogę.

- Tak, cóż... Ale tak myślałem, że moglibyśmy trochę sformalizować ten układ. - Pochylił się, jego małe oczka wbite we mnie, jakiś półuśmieszek. - Powiem wprost, Wyatt. Czy rozważyłaś kiedyś przejście na stanowisko kierownika?

- Nie, proszę pana, nigdy się nie zgłaszałem.

- Czemu nie?

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Chyba dlatego, że lubię pracować w terenie.

- Godne uznania. Tam, gdzie coś się dzieje, he?

- Coś w tym stylu.

- Zastanowisz się nad awansem?

Ponownie nie odpowiedziałem od razu. Musiało wyglądać na to, że rozglądałem się po pomieszczeniu, podziwiając jego zdjęcia i trofea. Ślepo zinterpretował to jako zazdrość.

- Biorąc pod uwagę twoją dotychczasową gwiazdorską kartotekę - powiedział - niewykluczone, że już za kilka lat mógłbyś być tu, gdzie ja.

O, ucichnij, me serce.

Poza tym było to bezczelne kłamstwo. Mayhew nigdy nie pracował w terenie. Nie byłem nawet przekonany, czy ukończył studia z zakresu pracy socjalnej, co dla nas, pracujących w terenie, było warunkiem koniecznym. Ale praca socjalna nie była jednym z wymogów koniecznych dla wicedyrektora. Polityczna poprawność, owszem. Mayhew był bratem administratora miejskiego, Chrissy Mayhew. Ani nie brałem, ani nie chciałem brać w tym udziału.

Ale nadal byliśmy mili i nie widziałem powodu, żeby zmieniać ton.

- Cóż, schlebia mi, że mnie pan bierze pod uwagę...

Znowu się wtrącił, nim zdołałem wprost odmówić.

- To całkiem znaczący skok w pensji.

Pokręciłem głową.

- To nie o to chodzi.

- Co zatem?

- To, co powiedziałem. Nie nadaję się do pracy w biurze. Lubię odpowiadać na zgłoszenia.

Oparł się i ponownie osunął na krzesło, a jego twarz spochmurniała.

- I często jeździsz sam.

Nie było to pytanie, ale i tak odpowiedziałem.

- Tak, proszę pana, zgadza się.

- A czemu to?

Ponieważ moim współpracownikom, których zatrudniłeś, brakuje motywacji, idioto. Ale odparłem:

- Czasami trudno skoordynować grafiki.

- I uważasz, że to jest wybitnie wydajne?

- Czasami w terenie niedoświadczony partner może stanowić bardziej utrudnienie niż pomoc.

- Ale jak mają zdobyć to niezbędne doświadczenie praktyczne, jeśli weteran nie chce zabierać ich ze sobą?

- Cóż... to nie tyle „nie chce”. Niektóre osoby tam na dole uważają, że muszą pisać sprawozdania i to jest dla nich priorytetem. I to czasami trzyma ich przy biurku. - Szybko opuszczaliśmy arenę udawanej serdeczności. - A co do wydajności, to sam pan powiedział, że mam dobre oceny.

- Na samych wezwaniach, tak. Ale my tu mamy okręt i wszyscy marynarze muszą współpracować, jeśli chcemy utrzymać go na powierzchni - analogia ta nie zdołała przemówić do mojej natury wilka morskiego.

Więc zatrudnij ludzi, którzy chcą iść w teren i robić, co do nich należy. Jednakże zdobyłem się na pełen nadziei uśmiech:

- Mnie się wydaje, że umiem współpracować, proszę pana.

Przez dłuższą chwilę Mayhew zagryzał wąską dolną wargę.

W końcu, wzdychając ciężko, z udawanym głębokim żalem, powiedział:

- Mamy kilkoro obiecujących młodych ludzi, których chcielibyśmy przyjąć, Wyatt, i szczerze mówiąc, mogliby zacząć z dużo niższą pensją niż twoja obecna. Nawet jeżeli awansujesz na kierownika, wpływ na nasz budżet byłby pozytywny, jeśli moglibyśmy przyjąć część tych osób.

A więc teraz chodziło o budżet. Mayhew bardzo się starał być przekonujący, gdy zacząłem dostrzegać zasadniczą kwestię. Obiecał posadę - moją posadę - synowi lub córce jednego ze swoich koleś.

- Czyje miejsce miałbym zająć - zapytałem - jako kierownik?

- Darlene jest na urlopie macierzyńskim już pięć miesięcy - odparł. - Dwa miesiące więcej niż się ubiegała. Nie sądzę, że wróci.

- Mogę się zastanowić?

- Oczywiście - błyszcząca twarz rozpogodziła się. - Pomyśl kilka dni, Wyatt. Tak długo, ile ci potrzeba.

Odmówiłem.

Dwa tygodnie później Mayhew ogłosił w wydziale restrukturyzację administracyjną, na mocy której troje pracowników o największym doświadczeniu - czyli ja, Bettina Keck oraz weterynarz z dziesięcioletnim stażem i wysoką absencją w pracy Lionel Whitmore - miało zająć się oceną wiarygodności zgłoszeń oraz przydzieleniem kandydatom opiekunów społecznych. Zasadniczo były to zadania naszych dotychczasowych kierowników pierwszego stopnia, a praca ta była wyłącznie biurowa, ale tym razem nie było mowy o podwyżce.

Każdy przypadek faktycznego znęcania się nad dzieckiem był, naturalnie, poważny, niemniej nie każde zgłoszenie dotyczące takiej sytuacji było prawdziwe. Gdy zacząłem pracę, byłem zaskoczony tym, ile ze zgłoszeń napływających do SOD było zmyślonych - ojcowie, którzy chcieli narobić kłopotów matkom swoich dzieci, sąsiedzi mszczący się za hałasy w nocy albo kobieta, która chciała dokuczyć byłemu mężowi, gdy dzieci spędzały z nim weekend. Takie i dziesiątki podobnych paskudnych, głupich, nieważnych rozgrywek między dorosłymi, w których dzieci używano jako pionków, zdarzało się codziennie. Powołując się na ciągły brak pracowników, ograniczenia budżetowe oraz nadmiar poważnych wezwań, Mayhew zdecydował, iż jego doświadczeni podwładni będą dokładnie tym, czego potrzebował do oddzielania plew od zboża w zgłoszeniach, co poprawi wydajność całości SOD.

Plan Mayhewa był tak oczywisty, jak i prosty. Z jego punktu widzenia nie nadawałem się do pracy w zespole, Bettina stanowiła kandydatkę na odwyk, a Lionel był bezużyteczny. Jeśli zdoła utrzymać mnie w biurze, bez pracy w

terenie, to niebawem się zwolnię. A beze mnie Bettina i Lionel wcześniej czy później coś by w końcu spieprzyli, zwalniając tym samym nie jedną, ale trzy posady. A Mayhew mógłby uszczęśliwić trzech swoich bogatych kumpli i może załatwić sobie tym nowy samochód - albo przynajmniej kolejny srebrny samowar, albo sesję zdjęciową ze sławną osobą.

Byłem naprawdę wkurzony i niech mnie diabli, jeśli pozwolę się tak łatwo usunąć z pracy, na której mi tak zależało. Doszedłem do wniosku, że mógłbym przetrzymać Mayhewa. Potrzebował dobrych, solidnych opiekunów społecznych albo zaczęłby źle wyglądać na zewnątrz. Stwierdziłem, że będzie to gra na przeczekanie, a ja będę grał, aż jego cierpliwość się wyczerpie i zostaną ponownie przypisany do pracy w terenie. Dzięki czemu wygram.

Myliłem się.

Późnego, lutowego, piątkowego popołudnia siedziałem sam w moim boksie - Bettina i Lionel już jakiś czas temu oddalili się samowolnie z miejsca pracy - mając przed sobą stertę zgłoszeń do oceny przed weekendem. Spośród nich wychwytiłem wiarygodne zgłoszenie ze Szpitala Ogólnego San Francisco. Pięcioletni latynoski chłopiec, Miguel Nunoz, został przyjęty krótko przed drugą tego popołudnia, ze złamaniem ręki. Pracownicy szpitala ocenili ten wypadek jako nietypowy. Zadzwoiłem do izby przyjęć, gdzie rozmawiałem z dr Turnerem, który odkrył, iż chłopiec był trzykrotnie przyjęty do trzech różnych szpitali - dwa złamania kości i jedno wywichnięcie - odkąd jego matka ma nowego chłopaka. Włożyli ramię chłopca w gips i kobieta już czeka, by zabrać Miguela do domu, ale Turner pomyślał, iż ktoś z SOD powinien przyjechać i porozmawiać z matką i synem i ocenić sytuację, aby lekarz mógł z czystym sumieniem wypisać chłopca.

Byłem podobnego zdania.

Willa Cardoza i Jim Freed weszli właśnie na popołudniową zmianę. Niezróżni, oboje byli jedynymi pracownikami zatrudnionymi w ciągu minionych dwóch lat, co znaczyło, iż są ludźmi Mayhewa. Z obojgiem miałem jedynie kontakty zawodowe i choć niekoniecznie nastawieni bojowo, przychodzili codziennie do pracy i wydawali się być w porządku. Przynajmniej zdawali się odpowiadać na wezwania, składali przyzwoite raporty, robili minimum. Nie wiedziałem również wtedy - nie byłem kierownikiem i nie miałem dostępu do akt pracowników - że żadne z nich nie musiało nigdy pociągnąć za spust, tzn. siłą odebrać rodzicowi dziecko.

Mimo to byli najlepszym, żeby nie powiedzieć, jedynym składem, jaki miałem. Moim zadaniem było ocenić autentyczność zgłoszenia, a to bez wątpienia było prawdziwe jak atak serca. Streściłem im zatem sytuację i powiedziałem, żeby się lepiej pospieszyli, ponieważ matka siedzi w poczekalni i nie

może się doczekać, żeby zabrać chłopca do domu, a dr Turner nie będzie w stanie grać w nieskończoność na zwłokę.

Gdy wyszli, była godzina siódma, a ja skończyłem ostatnią stertę ocen. Wciąż zaniepokojony powagą tego wezwania, przełknąłem dumę i wszedłem na górę sprawdzić, czy Mayhew jest jeszcze w biurze. Jego sekretarka poszła już do domu, ale on siedział, popijając coś, co wyglądało na brandy i rozmawiał przez telefon. Gdy zobaczył mnie w drzwiach, szybko przeprosił i rozłączył się. Była to moja pierwsza wizyta od czasu, gdy odmówiłem awansu.

- Tak, Hunt, o co chodzi?

Od tamtego dnia zwracał się do mnie per Hunt, a nie Wyatt. Opisałem mu krótko przypadek Miguela, poinformowałem, kogo wysłałem i powiedziałem, że moim zdaniem jest to sprawa, którą chciałby mieć pod kontrolą przez weekend, by śledzić rozwój wypadków.

Podziękował mi za zwrócenie jego uwagi na tę sprawę i zapewnił, że naturalnie zajmie się nią.

Panna Nunoz zabrała Miguela do domu w piątek wieczorem. W niedzielę ponownie został przyjęty do szpitala, ale tym razem z poważnym wstrząśnieniem mózgu, z którego już nie wyszedł. W czasie dochodzenia dr Turner zeznał, że rozmawiał ze mną, a ja zapewniłem go, że SOD przyjedzie w ciągu godziny, najwyżej dwóch, ale nikt z wydziału się nie pojawił.

W obydwu oddzielnych zeznaniach, Cardoza i Freed przyznali, że przydzieliłem ich do tej sprawy, ale nie wskazałem jej jako priorytetowej. Oczywiście, nie miałem nic na piśmie (i spiesząc się, by ich wysłać, to przynajmniej było prawdą). Udali się więc najpierw do innego zgłoszenia - na dowód mieli adres i numer sprawy - a gdy dotarli do szpitala, panna Nunoz już dawno pojechała z synem do domu. Wierząc, że dr Turner nie wypisałby chłopca, jeśli zachodziłoby jakieś niebezpieczeństwo, pojechali do następnego wezwania, zostawiając notatkę kontrolną o Nunozach na poniedziałek.

Wilson Mayhew, siedząc przede mną w małym pokoju w czasie przesłuchania dyscyplinarnego, spokojnie i dobitnie zaprzeczył, jakobym kiedykolwiek wspominał mu o tej sprawie, w jakimkolwiek kontekście.

4

2001

Kiedy wszystkie przesłuchania administracyjne i apelacje dobiegły końca, zasadniczą kwestią było to, iż mogę zostać w SOD, jeśli przyjmę oficjalną, pisemną reprimendę, która zostanie następnie włączona do moich akt. W aktach nie było nawet jednego negatywnego słowa o mnie, a w sprawie Nunozów nie popełniłem żadnego błędu. Żadna siła na ziemi nie zmusiłaby mnie do wzięcia udziału w sukcesie zdrady Mayhewa oraz niekompetencji i nieuczciwości jego protegowanych. Zdałem sobie sprawę, że ceną za odmowę przyjęcia reprimendy jest moja praca w SOD.

Niech i tak będzie.

Już od dziesięciu lat mieszkam w objętym kontrolą czynszów magazynie rozmiarów stodoły, pozostającym w dużej części w cieniu autostrady numer 101, na południe od Market Street. Kiedy się wprowadziłem, była to całkiem pusta przestrzeń przykryta sufitem na wysokości dwudziestu pięciu stóp. Oddzieliłem bezzaprawowym murem jedną trzecią powierzchni z trzech tysięcy stóp kwadratowych, a wewnątrz tej przestrzeni położyłem dywan przemysłowy i podzieliłem ją na trzy wyraźne pomieszczenia - salon/kuchnię, sypialnię oraz łazienkę.

Pięć miesięcy po odejściu z pracy siedziałem na swoim futonie, czytając ostatnie strony *The Last Lion* Manchestera, drugi tom wybitnej biografii Winstona Churchilla. Kiedy skończyłem, odłożyłem książkę i kontemplowałem przez chwilę życie człowieka, o którym właśnie czytałem. Znakomity dowódca wojskowy, hipnotyzujący mówca, wspaniały akwarelista, nagrodzony Nagrodą Nobla pisarz, premier Anglii oraz - a, tak - zbawiciel zachodniej cywilizacji. Jego osobiste losy pomiędzy dwoma wojnami światowymi, - kiedy to był dyskredytowany i szkalowany zarówno przez wrogów, jak i przyjaciół, ustawiły moje potyczki z Mayhewem i SOD w pewnego rodzaju perspektywie.

Co wcale nie oznacza, że nie miałem pewnych problemów z opanowaniem gniewu. Pracowałem nad tym, głównie uprawiając windsurfing po kilka godzin dziennie w Coyote Point. Grałem również w dwóch ligach koszykówki, gdzie dostaje się niezły wycisk. Dużo biegałem na Embarcadero. Podłączyłem swojego Strata i grałem tak głośno, że okna niemal wyleciały z ram. Parę razy w miesiącu wpadałem z Devinem Juhle'em do Jackson's Arms w South City i ładowałem kilkaset kul 9 mm w coś, co wyobrażałem sobie, że było

głową Mayhewa. Amy Wu, sympatyczna prawniczka z centrum, którą poznałem przez SOD, była niezłym, platonicznym kompanem do picia z niezwykłym talentem do trzymania mojego temperamentu, zawsze wybuchowego i jeszcze gorszego odkąd straciłem pracę, w ryzach.

Ale, jak już powiedziałem, pracowałem nad tym.

Wstałem i poszedłem sprawdzić zawartość lodówki. Stojąc boso w kuchni, czując brud pod stopami, zdałem sobie sprawę, że już dość długo nie sprzątałem gruntownie moich pokoi, i nie zastanawiając się nad tym, złapałem mopa. Kiedy skończyłem z podłogą, opróżniłem kosz na brudną bieliznę, wrzucając zawartość do pralki, wsypałem detergent i nastawiłem na „bardzo brudne”. Umyłem wszystkie blaty w łazience i kuchni, po czym usunąłem z narożników pajęczyny i kurz. Następnie włączyłem zmywarkę, w której od mniej więcej tygodnia gromadziłem opłukane jedynie naczynia - głównie kubki po kawie, kilka garnków i talerzyki.

Byłem rozebrany, gotowy do spania. Moje ubrania wirowały, łomocząc w suszarce. Blaty i podłogi były tak czyste, że można by z nich jeść. Zmywarka była cicho. Moja sypialnia, podobnie jak salon, miała wysokie okna wychodzące na Brannan Street i z powodu lamp ulicznych moja kwatery prawie nigdy nie była całkiem zaciemniona. Mając wszystkie światła wyłączone, tak jak teraz, pokoje i magazyn utrzymywały jasność podobną do poświaty księżyca.

Zadzwonił telefon i odebrałem.

- Pralnia Francuska - powiedziałem.

- Jeśli to prawdziwa Pralnia Francuska - odparł kobiecy głos - to chciałabym zrobić rezerwację.

- Przykro mi. Nie przyjmujemy rezerwacji.

- Myślałam, że jeśli zadzwoni się dokładnie dwa miesiące przed wybraną datą, dokładnie o dziewiątej rano, to można zrobić rezerwację.

- Ale tylko, jeśli jest wolny stolik, a telefon nie jest zajęty, ale zawsze jest.

- Ale nie teraz.

- Nie, ale teraz nie jest dziewiąta rano, więc przykro mi.

- Czy istnieje jakaś możliwość, bym mogła teraz zrobić rezerwację?

- Czy trzy pierwsze litery pani nazwiska to m-r-l?

- To nie są trzy pierwsze litery żadnego nazwiska. Poza tym moje nazwisko ma tylko dwie litery.

- W takim razie przykro mi, ale nie możemy pani nigdzie wcisnąć.

- Nie przyjmujecie ludzi o dwuliterowych nazwiskach?

- Bardzo rzadko - ale tutaj zabawa przestawała być już śmieszna. Spytałem Wu, czy szuka kompana na drinka.

- Obawiam się, że nie. Pracuję.

- Wciąż? - spojrzełam na zegarek. - O wpół do jedenastej?

- Płatny czas pracy na nikogo nie czeka, Wyatt. Jak mam takowy, to się od razu za niego zabieram - przerwała na sekundę.

- Zgadnij czyje nazwisko wylądowało właśnie na moim biurku?

- Winston Churchill.

- Niezły strzał, ale nie. Wilson Mayhew. Pamiętasz?

- Jak przez mgłę.

- Słyszałeś coś o nim ostatnio?

Nie byłem w stanie całkowicie ukryć zastrzyku podniecenia.

- Co wiesz, Wu? Powiedz mi, że masz złe wieści. Nie został zabity, prawda? To byłoby zbyt sprawiedliwe.

- Nie, nie został zabity. Ale najwyraźniej poszkodowany. Lub przynajmniej tak twierdzi.

- W jaki sposób poszkodowany?

- Straszliwy, całkowicie osłabiający, spowodowany przez pracę, związany ze stresem ból pleców.

- Ho, ho. Sporo przymiotników.

- Ano sporo.

- No i co oznaczają? Że w jakiś sposób nie jest fizyczny?

- Nie. Ból jest prawdziwy, o ile on go naprawdę czuje. Ale dokładna diagnoza fizyczna może być trudna.

- A skąd ty o tym wiesz? Jest twoim klientem?

- Nie. Ale jednym z naszych największych klientów jest Kalifornijska Agencja Ubezpieczeń Zdrowotnych, która wypłaca zasiłki rekompensacyjne dla pracowników stanowych. Mamy również sekcję, która zajmuje się ogólnie ujawnianiem defraudacji medycznych.

- Okay.

- Okay. Dobra. Słyszałeś kiedyś o Chorobie Szefa?

- Nie. Mayhew to ma? Pytanie wybiło ją z rytmu.

- Właściwie, można by to sprawdzić. Wiesz w ogóle, co to jest?

Nigdy o czymś takim nie słyszałem, więc Amy mnie wprowadziła. Najwyraźniej każdy z **sześciu** dotychczasowych dyrektorów kalifornijskiej policji drogowej złożył wniosek o rekompensatę pracowniczą w czasie końcowych miesięcy swojej kadencji, a teraz każdy wyciągał ponad sto tysięcy dolarów rocznie w rentach inwalidzkich, mając w dodatku normalne emerytury. Jeden z tych ekszszefów, mówiła dalej Amy, którego niezdolność do dalszej pracy w policji drogowej została spowodowana zdiagnozowanym nadciśnieniem wywołanym stresem, przyjął stanowisko dyrektora ochrony Międzynarodowego Portu Lotniczego San Francisco, które przynosiło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Pomiędzy jego pełną emeryturą z drogowki, inwalidz-

twem oraz nową pracą, ten ciężko pracujący oficer ochrony porządku publicznego, zarabiał rocznie niemal czterysta tysięcy dolarów, większość wolna od podatku, a wszystko z kieszeni podatnika.

- Dobra robota! - powiedziałem.

- Wspaniała robota - odparła. - A nas zatrudniono, żebyśmy dopilnowali, by ją stracił, lub przynajmniej tę inwalidzką część.

- A jak to zrobicie?

- Głównie od strony prawnej. Wzywamy na świadków ludzi, którzy z nim pracują lub pracowali, załatwiamy pozwolenie wglądu w historię medyczną, żądamy ponownego badania przy udziale naszych lekarzy, sprawdzamy jego leki, tego typu rzeczy. Ale zatrudniamy również prywatnych detektywów, aby śledzili tych ludzi, sprawdzili, czy na przykład nie zapomnieli założyć gorsetu na kark, gdy pojechali na narty wodne i myślą, że nikt ich nie widzi. Albo, jak w przypadku naszego dyrektora ochrony lotniska, czy wciąż oddają się wraz z synem uprawianiu sportu o niskim wskaźniku stresu, jakim jest skakanie na bungee.

- Żartujesz.

- Nie złapaliśmy go na gorącym uczynku, ale mamy kogoś, kto o tym słyszał. Tak czy inaczej, dowiemy się tego. Ale - i po to do ciebie zadzwoniłam - nie chodzi o Pana Ochrona Lotniska. Chodzi o Wilsona Mayhewa.

- Sprawdzasz jego wnioski?

- Nic ci nie umknie - odparła. - Dostaliśmy dziś po południu najnowszą partię papierów z Agencji i kiedy sprawdzałam pro forma wnioski zaznaczone jako potencjalne przekrety, rozpoznałam nazwisko Mayhew z naszych tak wielu fascynujących dyskusji.

- No po takiej ilości powinnaś, Amy. No więc co się stało? Zaznaczyli wniosek Wilsona?

- A i owszem. Ale nie miej zbyt dużych nadziei, Wyatt. Jest to normalna procedura w przypadku wniosków o stałą, pełną rentę inwalidzką. Poza tym, dzieje się tak z rentami powyżej stu tysięcy rocznie. Mayhew powołuje się również na spowodowaną stresem, nieokreśloną kontuzję - ból kręgosłupa to klasyka - gdzie nie ma bezpośredniej i wyraźnej przyczyny fizycznej. Nie wpadł, na przykład, do szybu windy i nie złamał kręgosłupa. Nie ma wypadającego dysku albo czegośkolwiek innego, co można by zobaczyć na prześwietleniu rentgenowskim albo wychwycić w czasie rezonansu magnetycznego. Najwyraźniej pomagał jednemu z pracowników podnieść coś w pracy, poczuł silne szarpnięcie i poległ. Następnego ranka nie był w stanie podnieść się z łóżka, choć ponoć obecnie jest pacjentem dochodzącym - wzięła wdech. - No więc został zaznaczony do weryfikacji ze wszystkich wymienionych powodów.

- Kłamie.

- Możliwe. Choć widziałam już, że tego typu wnioski okazywały się uzasadnione.

- Znam tego faceta - powiedziałem - i nie ma mowy, że pomógł komuś podnieść cokolwiek cięższego niż spinacz biurowy.

- Chcesz spróbować to udowodnić? - spytała.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, pomóż nam ustalić, czy wniosek jest uzasadniony.

- Jak miałbym to zrobić?

- W każdy dostępny sposób.

W rozmowie nastąpiła przerwa. W końcu odzyskałem głos.

- Zatrudniacie przecież gromadę detektywów do tego typu roboty?

- Nie gromadę, kilku.

- No to nie rozumiem. Dlaczego ja?

- Cóż, licencjonowani, uzbrojeni, prywatni detektywi są drodzy, jeśli się do czegoś nadają. Zazwyczaj firma sama przeprowadza wstępne śledztwo, zanim zdecydujemy się zaangażować jednego z naszych detektywów. Normalnie lubimy mieć podstawę, by podejrzewać możliwość oszustwa, nim wyślemy kogoś, aby się upewnić. Inaczej musielibyśmy badać wszystkie przychodzące wnioski, a wtedy moglibyśmy się przebranżowić na agencję detektywistyczną na pełen etat, a na to nie jesteśmy przygotowani. Jesteśmy kancelarią prawną.

Przez chwilę się zastanawiałem.

- Odpowiada to na ogólne pytanie „dlaczego”, Amy. Ale nie na „dlaczego ja”?

- Cóż, szczerze mówiąc, nie gniewaj się, jeśli zabrmi to bezczelnie, ale sam wspomniałeś, że rozważasz powrót i szukanie pracy. Pomyślałam, że do tego zadania miałbyś dużą motywację, a poza tym, dobrze by ci to zrobiło. Tak czy inaczej, w normalnym toku sprawy, firma wydawałaby kupę forsy przez kilka najbliższych tygodni, badając tło przypadłości Mayhewa. W efekcie moglibyśmy zdecydować się na śledzenie go, co kosztowałoby firmę jeszcze więcej, niezależnie od wyniku. Ale równie dobrze moglibyśmy tego nie zrobić. Zależy to od ustaleń wstępnych.

- Chcesz, żebym go sprawdził.

Zrobiła pauzę.

- Podkreślam, że nie mówię oficjalnie w imieniu firmy, Wyatt. Nie zatrudniam cię, ani nie oferuję nawet możliwości zatrudnienia. Mówię tylko, że byłabym skłonna zrobić rzeczy nieco od tyłu w tym przypadku, mając na względzie oszczędzenie firmie sporych funduszy i czasu. Jeśli powiesz, że mógłbyś spróbować znaleźć dowody defraudacji we wniosku pana Mayhewa, mogłabym dać się przekonać, by zatrzymać na jakiś czas wstępne kroki prawne.

- A jeśli znajdę coś rozstrzygającego?

- W takim przypadku moglibyśmy przedyskutować kwestię ewentualnej zapłaty.

- Zaczę jutro.

- Hej. Świetnie. Tak po prostu? Jesteś pewien?

- Jestem.

- Nie zmienisz zdania?

- Nie zmienię.

- OK - przerwała na chwilę - powinieneś trochę popracować nad decyzywnością. Nikt nie lubi guzdrał.

- Pracuję nad tym. W międzyczasie - powiedziałem - powiedz mi, co muszę wiedzieć.

Ukończyłem Uniwersytet San Francisco w 1989. Ponieważ pragnąłem zdobyć nieco doświadczenia życiowego i nie miałem żadnego pomysłu na to, co zamierzam robić do końca życia, zaciągnąłem się do wojska, aby zobaczyć świat. Krótco potem zaczęła się Pustynna Burza i zostałem wysłany do Iraku, który nie był częścią świata, o jaki mi chodziło. Jako magister anglistyki, pozbawiony wszelkich umiejętności poza pisaniem pełnymi zdaniami, z czasownikami, rzeczownikami i innymi częściami mowy w, mniej więcej prawidłowej kolejności, zostałem przydzielony do dywizji dochodzenia kryminalnego, by pisać raporty administracyjne i dyscyplinarne.

Choć raporty te były nudne, stanowiły moje pierwsze doświadczenie z mroczną stroną ludzkości. Nie jest to coś, co wojsko lubi reklamować, lecz z powodu napięcia, brutalności, zmęczenia, nadmiaru emocji, nacisku i traumy na ludzkiej psychice, teatry wojny są płodną wylęgarnią poważnych zachowań kryminalnych - głównie gwałtów i jego odmian, ale również mordów i okaleczeń, kradzieży oraz ogólnego zdeprawowania. Nie jest to nic nowego, ale dla mnie było. Po jakimś czasie dostałem awans i zacząłem przesłuchiwać podejrzanych w terenie. Po raz pierwszy w życiu praca była ważna i ekscytująca - pośpiech, czasami z prawdziwym elementem zagrożenia.

W ciągu lat pracy w SOD wiele wezwań do domów maltretowanych dzieci zapewniało podobne podniecenie i zdałem sobie sprawę, iż w pewnym sensie uczucie to było moim narkotykiem. Przez pięć miesięcy po tym, jak zostałem zmuszony do odejścia, pomiędzy fantazjami zemsty i problemami z kontrolą gniewu, zastanawiałem się dużo nad tym, jaką ścieżkę kariery wybrać, jeśli kiedykolwiek wydobędę się z osobistego rynsztoka. I jedna z cech się wyróżniała. Nieważne, w jakiej branży miałbym w końcu pracować, na pewno nie będzie wymagało to siedzenia w biurze.

Po telefonie Amy zastanowiłem się nad możliwościami i w końcu wyciągnąłem mojego canona 35 mm, mój teleobiektyw. Z dna szafy w sypialni wygrzebałem również kamerę Sony. Cudownym zbiegiem okoliczności -

cudowny, ponieważ nie pamiętałem, kiedy używałem któregośkolwiek z urządzeń - aparat i kamera zaopatrzone były w działające baterie i filmy, i wsadziłem oba oraz inne potrzebne drobiazgi do plecaka stojącego obok wejścia do korytarza za kuchnią. Następnie, wyłączając mózg, poszedłem spać.

Kiedy po raz piąty otworzyłem w ciemności oczy, dałem sobie spokój z próbami zaśnięcia. Zakładając dres i wiatrówkę, słyszałem ulewny deszcz uderzający o dach. Nim wybiła szósta, całkowicie przemoczony zawracałem na Cost Plus w Fisherman's Wharf, półtorej mili w jedenaście minut. Wolniej niż w wieku trzydziestu lat, ale pocieszyłem się, że bez wątplenia jest to szybciej, niż gdy będę miał czterdzieści pięć.

W domu, po prysznicu, przebrany, zdecydowałem się naśladować Churchilla póki czas, otwierając małą buteleczkę szampana Veuve Clicquot do mojej jajecznicy. Z zasady moim śniadaniowym napojem z wyboru jest kawa, ale po co ma się zasady, jeśli się ich od czasu do czasu nie złamie?

Pomyślałem, że pracę nad Wilsonem zacznę od tego, że go dla zabawy obudzę. Ponieważ nadal miałem jego numer domowy z książki telefonicznej SOD, zadzwoniłem do niego bezpośrednio. Usłyszawszy jego głos po drugim dzwonku, odłożyłem słuchawkę z uśmiechem. Pojechałem na Cherry Street, adres, który dała mi Amy, ślepa uliczka przecznicę na północ od Lake Street, która sąsiaduje z południową granicą Presidio. Było tuż po ósmej. Parkując po drugiej stronie ulicy, kilka domów dalej, zauważyłem czarnego mercedesa o wykonanych na zamówienie tablicach rejestracyjnych WTLMA - głupkowaty skrót jego imienia i nazwiska, niechybnie jego autorstwa. Byłem zatem pod dobrym adresem. Po raz ostatni sprawdziłem aparat i kamerę, wciąż niepewny, co dokładnie zamierzam zrobić. Amy opisała Mayhewa jako pacjenta dochodzącego, który jednocześnie pobiera pełną rentę inwalidzką. A więc zakładałem, iż oznacza to w jego przypadku, że jest w stanie wstać z wózka inwalidzkiego i przejść do łazienki albo coś w tym stylu.

Po kwadransie mojej pierwszej obserwacji, deszcz znowu zaczął padać pionowymi falami, które częściowo zasłaniały mi widok frontowych drzwi do dużego, dwupiętrowego domu Mayhewa, do których prowadziło dwanaście schodów. Okna mojej luminy, niemal całkiem zamknięte w obronie przed opadami, zachodziły parą. Zacząłem sobie uzmysławiać, że jeśli mój cel pozostanie w domu, przykuty do łóżka czy też nie, to będzie to kilka powolnych tygodni.

Nie był to raczej mój pomysł na spędzanie czasu.

Miałem dwie możliwości: zadzwonić raz jeszcze albo zapukać do jego drzwi.

W SOD, bezpośredni kontakt zwykł dawać najlepsze wyniki. Poczekałem

zatem na małą przerwę w deszczu, po czym wysiadłem z samochodu i pobiegłem na drugą stronę ulicy i po schodach. Zgodnie ze wszystkimi cywilizowanymi standardami było nieco za wcześnie na niezapowiedzianą wizytę, ale Mayhew był już na tyle rozbudzony, by odpowiedzieć na telefon godzinę temu, nieprawdaż? W porównaniu z rozważanym w żartach pomysłem sprzed kilku tygodni, by go zabić, wtargnięcie takie zdawało się niemal dobrotniwe.

Nacisnąłem dzwonek, poczekałem, nacisnąłem raz jeszcze. Po chwili usłyszałem odgłos kroków, po czym drzwi stanęły otworem. Jego żona, jak założyłem. Dobrze zachowana pięćdziesiątka, w zielonej podomce. O tej porze nie promieniała uprzejmością.

- W czym mogę pomóc? - Była szorstka, żadnego miejsca na bzdury. - Jest raczej wcześnie na pukanie do czyichś drzwi, nie sądzi pan?

- Tak, proszę pani, przepraszam, ale miałem nadzieję porozmawiać z panem Mayhewem.

- Obawiam się, że to niemożliwe w chwili obecnej. Ostatnio nie czuje się zbyt dobrze.

- Słyszałem o tym, ale to bardzo ważna sprawa. Nie zabiorę mu doży czasu. Jestem jednym z jego byłych pracowników w SOD, Wyatt Hunt. Jestem pewien, że będzie chciał się ze mną zobaczyć.

Zacisnęła usta w wąską linię.

- Nie jestem taka pewna, ale niech pan chwilę poczeka - zamknęła drzwi, a ja zrobiłem, jak poleciła. Czekałem.

Znowu kroki, tym razem cięższe i oto patrzyłem na Mayhewa. Ubrany był do pracy, bez płaszcza i krawata. Wątpię, że żona wyciągnęła go w tym ubraniu z łóżka, szczególnie w butach.

- Wilson - po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu. Zawahał się, niecodziennosc takiej bezpośredniości wybiła go z rytmu.

- Co ty tu robisz? Czego chcesz? Wyczarowałem chłodny uśmiech.

- Chcę moją pracę z powrotem, ale już na to za późno, prawda?

- To nie ja, panie Hunt. Sam podjął pan taką decyzję?

- A cóż to za decyzję, Wilson? - podobało mi się wpychanie jego imienia. Podnosiło to dynamikę.

- Nieprzyjęcia reprimendy. To była pańska decyzja.

- Owszem, moja. A wiesz, czemu ją podjąłem?

- Nie, nie wiem. Ale było to głupie posunięcie, jedyna szansa na utrzymanie pracy, a pan ją odrzucił.

- Blisko, ale jednak trochę chybione. Nie mogłem przyjąć reprimendy, ponieważ nie popełniłem żadnego błędu. A ty o tym wiedziałeś i skłamałeś.

- Pan ma urojenia - powiedział. Cofnął się i zaczął zamykać drzwi.

Od chwili, gdy na niego spojrzałem, gniew wzbierał we mnie jak przy-

plyw, a teraz już mną kierował. Siła tych odczuć trochę mnie zaskoczyła. Działając bez zastanowienia, wsunąłem stopę w drzwi i oparłem się na nich.

- A więc mówisz mi w twarz, że nie pamiętasz, jak przyszedłem do twojego gabinetu powiedzieć ci o sprawie Nunozów?

Nacisnął mocno na drzwi, bezskutecznie, i poddał się.

- Ostatnim razem też powiedziałem ci to w twarz, jeśli dobrze pamiętam, w czasie przesłuchania. Wtedy też mi to nie przeszkadzało, ponieważ jest to prawda - uśmiechnął się. - Na wypadek, jeśli ma pan założony podsłuch - jego twarz spochmurniała. - Proszę wziąć stopę, panie Hunt, albo będę zmuszony zadzwonić na policję. - Po czym dodał. - Gdy ostatnim razem doszło między nami do nieporozumienia, osoba trzecia rozstrzygnęła tę sytuację i źle pan na tym wyszedł, prawda? Jest pan pewien, że ma pan ochotę przejść ponownie przez coś podobnego?

- Nie - powiedziałem. - Masz rację. - Cofnąłem się, uwalniając drzwi. - Tym razem należy się tym inaczej zająć.

Spokojnie przechylając z zaciekawieniem głowę, powiedział:

- To brzmi jak groźba.

- Naprawdę?

- W przypadku jeśli była to groźba, powiem panu, iż zgłoszę to policji jeszcze dziś rano, a następnym razem, gdy nasze drogi się spotkają, złożę podanie - i mogę pana zapewnić, że zostanie rozstrzygnięte pozytywnie - o ograniczenie dostępu przeciwko panu.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Na pana miejscu wziąłbym to sobie do serca i nauczył się żyć dalej. Nie jesteśmy w jednej lidze, panie Hunt. Myślałem, że już zdążył się pan zorientować - powiedział. - Miłego dnia życzę - i zamknął drzwi.

Zadzwoniłem na pager Devina Juhle'a i oddzwonił pół godziny później. Deszcz zaczynał i przestawał falami całe rano, lecz teraz gdzieś tam plamy błękitu zaczynały przedzierać się przez pokrywą chmur, co zdecydowałem się interpretować jako zwiastun poprawy. W dużym domu, w dole ulicy, nikt się nie poruszał. Gdybym nie widział na własne oczy, że Mayhew cierpi na takie bóle kręgosłupa, jak, mniej więcej, ja, jego pozorny brak aktywności mógłby mnie zniechęcić. Niemniej jednak zachęcony przez pewność, iż jego wniosek o rekompensatę był w rzeczywistości fałszywy, poświęcałem czas, opracowując plan, jak najskuteczniejszego odkrycia jego oszustwa. Wydawało mi się, że mam niezły pomysł.

Devin znał każdy niuans mojej przeszłości z Mayhewem. Kiedy opowiedziałem mu ogólnie, czym się zajmuję, od razu się ożywił, chętny na małą akcję poza grafiką, jeśli w grę wchodził najmniejszy choć element zemsty.

Zapewniłem go, że nie zajmie mu to dużo czasu, a mój plan jest tak piękny, iż doprowadzi go do łez.

Jako kolejny dobry omen zaliczyć można fakt, iż Devin oraz jego partner Shane Manning nie byli akurat po uszy w pracy nad dramatyczną sprawą morderstwa. Luty zdawał się być nieco ospałym miesiącem, jeśli chodzi o zabójstwa i mieli tylko dwie sprawy. Poza tym, obaj tego ranka mieli być świadkami w sądzie. Z uwagi na to, zostawili sobie w ciągu dnia dużo wolnego czasu, ale z jakiegoś powodu proces ruszył dalej, i mieli teraz przed sobą długie popołudnie bez zaplanowanych przesłuchań, ani innych pilnych zadań. Mieli więc do wyboru przyjechać i się trochę zabawić, albo siedzieć w wydziale, pisząc zaległe sprawozdania.

Trudny wybór.

Dałem Juhle'owi numer telefonu i zwróciłem mu uwagę, aby zadzwonił do Mayhewa z automatu, skąd nie będzie go można namierzyć, i powiedział mu o jego przebitej oponie.

- Świetny pomysł, Wyatt - powiedział z typową ciężką ironią. - Nigdy bym o tym nie pomyślał.

Pomimo sarkazmu, obaj się przyłączyli. Miałem zatem prowizoryczny zespół złożony z trzech osób, włączając mnie samego, z czego dwie trzecie stanowili wyszkoleni inspektorzy policji. Nazwałem nas Klub Detektywów. Pewność siebie nie przyprawiała mnie o zawroty głowy, ale szanse były spore.

Co za przebita opona? - moglibyście spytać.

Otóż ta, którą mu załatwiłem, skradając się zgarbiony za samochodem, tak, że nie było mnie widać z domu, po czym odkręciłem zakrętkę wentyla, wypuszczając z przyjemnym sykiem powietrze, aż samo koło dotknęło jezdni. Przyznaję, iż można by to postrzegać w kategoriach infantylnego, niedojrzałego wandalizmu, zupełnie poniżej poziomu dorosłego, jakim byłem.

Niemniej, gdy potruchtałem z powrotem do mojego samochodu, by czekać, nerwy miałem napięte do granic wytrzymałości. Juhle miał zadzwonić, gdy będzie wystarczająco blisko i biorąc pod uwagę wszystkie dynamiczne czynniki jego grafika i ruchu ulicznego, mogło zabrać to godzinę albo i dłużej. Na szczęście on i Manning najwyraźniej z ochotą rzucili się do pracy w terenie, bowiem nie minęło dwadzieścia minut, gdy Dev zadzwonił na moją komórkę, powiedzieć, że wykonał telefon. Miałem być gotów. Sprawdzając po raz ostatni kamerę wideo, wysiadłem z samochodu i przeszedłem na stronę pasażera, gdzie Mayhew nie zobaczyłby mnie, nawet gdyby patrzył. Dla stabilizacji oparłem kamerę na budzie samochodu i przykucnąłem za samochodem tak nisko, jak mogłem, żeby nie było mnie widać. Naturalnie, zachodziła obawa, że Mayhew zadzwoni po prostu po Amerykański Związek Motorowy albo, że urocza pani Mayhew wyjdzie zbadać uszkodzenie i może nawet sama wymie-

ni koło. Wiedziałem jednak, że Mayhew nie śpi i jest już ubrany, i prawdopodobnie dostaje świra w domu. Miałby również ochotę na konfrontację ze mną, jeśli wyszedłby wystarczająco szybko i nadarzyłaby mu się okazja.

Mogło się nic nie wydarzyć. Zdawałem sobie sprawę, że Mayhew może być ostrożny z uwagi na realizowane oszustwo, więc będzie chciał zachować status przynajmniej półinwalidy. Znałem jednak również jego arogancję i stawiałem na to, że wierzy, iż jego znajomości oraz status społeczny uchronią go przed zbyt szczegółową kontrolą. Jeśli było w toku jakiegokolwiek dochodzenie w sprawie jego wniosku o zasiłek, to na pewno zostałyby o nim poinformowane na tyle wcześniej, by mieć się na baczności.

Poza tym przygotowałem zgrabny plan B, zakładający moje samobójstwo, jeśli ten nie wyciągnie go z domu. Ale okazało się, że tym razem nie będę musiał go zrealizować.

Czasami szczęście uśmiecha się do dobrych ludzi.

Gdy zbliżyłem zoom kamery, zobaczyłem, że Wilson wyszedł na ganek. Twarz miał zaciętą w ponurym gniewie i zerkał pobieżnie w górę i dół ulicy. Bez wątplenia po anonimowym telefonie Juhle'a założył, że to ja spuściłem powietrze z jego koła w przypiływie złości, po czym nawiałem. Oczywiście nie byłem na tyle głupi, żeby czekać w pobliżu i przyznać się do spowodowania szkody. Najwyraźniej zadowolony, potrząsając ze złości głową, ruszył po schodach pewnym krokiem. Nie złapał się za obolałe plecy. Nie oparł się o metalową barierkę biegnącą wzdłuż schodów.

W dole ulicy okrążył samochód. Kiedy zobaczył flaka, przeklął gwałtownie - dało się to słyszeć nawet z miejsca, z którego filmowałem - po czym wykonał szybki i, jak na moje oko, całkiem atletyczny pefen obrót, rozglądając się za sprawcą. Przeklinając ponownie, stał przez chwilę bez ruchu, z rękoma na biodrach. Wydawało mi się, iż mam już nagrane wystarczająco dużo, jak schodzi bez trudu po dwunastu stopniach z ganku, ale im więcej, tym lepiej.

Czekałem.

Nie zawiódł mnie. Otworzywszy bagażnik, pochylił się (nie zginając kolan, jak zauważyłem) i grzebał w nim przez chwilę, następnie wyjął najwyraźniej ciężką torbę z kijami golfowymi i postawił ją na chodniku. Zanurkował ponownie, tym razem wyciągając lewarek i nie dłużej niż minutę później, urządzenie było ustawione, a Mayhew, kręcąc żelazną korbą lewarka, podnosił samochód.

Obejrzałem się za siebie na róg i zobaczyłem Juhle'a i Manninga, wyglądających zupełnie jak dwaj faceci na spacerze. Pomachaliśmy do siebie, pozostając jeszcze przez kilka minut na pozycjach, obserwując, jak Mayhew

odkręcił nasadę śruby. Gdy prawie skończył, wstałem z kamerą w rękę i ruszyłem w jego stronę, wciąż nagrywając, podchodząc na niemal dziesięć stóp dokładnie w momencie, gdy zdjął oponę z koła i stał trzymając ją w ramionach.

Skupiłem kamerę na nim. Myślę, że się uśmiechałem. Odwrócił się bokiem, trzymając oponę, idąc w stronę bagażnika. Widząc mnie, zatrzymał się nagle w szoku.

- Ej, Wilson - powiedziałem. - Jak tam kręgosłup?

Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy opuściłem kamerę i oddałem do niego strzał z palca:

- Mam cię! - powiedziałem.

To dostarczyło mi bonusu. Mayhew okręcił się wokół własnej osi, upuścił oponę i sięgnął po żelazną korbę, której użył do podniesienia lewarka. Ze zwierzęcym rykiem rzucił się na mnie, podczas gdy ja odsuwałem się, chwytając cenne momenty na kliszy Kodaka, gdy Mayhew nadal szedł w moją stronę, wymachując korbą. Jeśli kręgosłup go bolał, to nie dał tego po sobie poznać. Ale był już teraz całkiem blisko, tak że musiałem pochylić się i wykonać pełen obrót, by uniknąć kolejnego zamachnięcia.

A wtedy rozległ się za mną jakże pożądaný głos Juhle'a:

- Stać! Policja! Rzuć broń!

Kawaleria ruszyła biegiem i nabierała prędkości. Miał już niemal pianę na ustach i wrywał się, gdy Juhle i Manning złapali go za ramiona, usiłując go opanować. Nie przestawał się opierać. Żelazna korbka upadła z brzękiem na ulicę.

Wszystko miałem na taśmie. Schody, kije golfowe, kręcenie korbą, podnoszenie opony, zamachiwanie się na mnie żelazną korbą oraz - moje ulubione - stawianie oporu przy aresztowaniu. Ostatnie gwarantowało, iż fałszywy wniosek dotrze aż do prokuratury okręgowej. Bez zarzutu stawiania oporu, prokurator mógłby poczuć się skuszony, zmuszony lub po prostu przekupiony, by zapomnieć o oszustwie. Jednak atak na inspektorów wydziału zabójstw na służbie zobowiązywał go do postawienia wszystkich zarzutów. Nawet znajomości Mayhewa nie pomogłyby mu w zatuszowaniu sprawy, jeśli na jaw wyszłoby, iż zaatakował dwóch policjantów, którzy akurat przechodzili obok i widząc atak śmiertelnoścą bronią, wkroczyli, aby przywrócić porządek.

- Dismas Hardy - powiedziała Amy. - To Wyatt Hunt.

Podaliśmy sobie dłonie. Hardy był po pięćdziesiątce. Zdecydowanie wyglądał na partnera zarządzającego w jednej z najlepszych firm prawniczych w mieście. Miał na sobie szary garnitur w najciemniejsze rdzawoczerwone prążki, rdzawoczerwony krawat, jedwabną koszulę z monogramem. Wyższe sfery na całego, ale wydawał się jednym z tych porządnych facetów. Plus miał nosa,

zatrudniając Amy.

- Panna Wu powiedziała mi, iż zaoszczędził pan dziś rano naszej firmie trochę pieniędzy. Doceniamy to.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Właściwie to nie pamiętam, kiedy się tak dobrze bawiłem.

- Jak już ci wspomniałam za pierwszym razem, Diz - odezwała się Amy - Wyatt miał trochę niewyważonych rachunków z panem Meyhewem. Pomyślałam, że będzie zmotywowany.

- Niemniej jednak - powiedział Hardy - jeden dzień, to imponujące. Nikt nie robi tego w jeden dzień - pokiwał głową z uznaniem. - Cieszę się, że Amy o panu pomyślała.

- Ja też.

Hardy oparł się o narożnik swego wielkiego biurka z wiśni.

- No więc teraz pozostaje kwestia, Wyatt - powiedział - co możemy dla pana zrobić?

Naturalnie brałem pod uwagę zapłatę, ale nie zajmowała mnie za bardzo. No i powiedziałem:

- Może tym razem uznamy to za jeden z tych przypadków, gdy praca sama w sobie jest nagrodą.

Hardy wyszczerzył do Amy zęby w uśmiechu.

- Nie, nie mogę z tym facetem - powiedział. Po czym zwracając się do mnie: - Pan jest prawdziwy?

Wzruszyłem ramionami.

- Czasami nie chodzi o pieniądze.

- W moim doświadczeniu nie tak często, jak mogłoby się wydawać. Mogę zadać osobiste pytanie? Jak długo nie ma pan już pracy?

Zerknąłem na Amy. Najwyraźniej miała dość konkretną rozmowę z Hardym, nim zaprosiła mnie do współpracy nad sprawą Mayhewa.

- Kilka miesięcy, ale oszczędzałem i pieniądze nie są dla mnie obecnie ważną kwestią. Staram się wymyślić, co robić dalej.

- No cóż, jeśli zrobiłbym to, co pan zrobił rano, uznałbym to za pewnego rodzaju znak. Rozważał pan kiedyś pracę prywatnego detektywa?

Zaśmiałem się.

- Ani razu.

- Okay, ale jeśli utrzyma pan poziom, to w ciągu sześciu miesięcy nie będzie pan w stanie podjąć pracy, z samej naszej firmy. Gwarantuję.

Kiwałem głową, wciąż uznając pomysł za wielce zabawny.

- Nawet nie mam pojęcia, jak miałbym się za to zabrać.

- A jakie pojęcie chce pan mieć? Dostaje pan licencję, wieszka szyld, otwiera drzwi dla klientów - pstryknął. - Ot, tak.

Teraz...

5

Sędzia federalny George Palmer poznał Staci Rosalier, gdy pewnego dnia przyjęła od niego zamówienie na drinka w MoMo, restauracji w San Francisco, po drugiej stronie ulicy, niedaleko stadionu SBC Park, gdzie Giganci grają w baseball. Było to ciepłe, październikowe popołudnie, a sędzia Palmer, znany z widzenia połowie klienteli oraz większości stałych pracowników, siedział sam na zewnątrz, czekając na realizację zamówienia.

Staci pracowała tu pierwszy tydzień jako kelnerka. Gdy przyjęła zamówienie wielkiego mężczyzny - gin Hendrick z lodem - wymienili zwyczajne, beztroskie, lekko kokieteryjne żarciki. Pomimo różnicy wieku, żadne z nich tego nie uznało za niestosowne. Staci była doświadczoną i wyrafinowaną kelnerką, przywykłą do obsługiwanianadzianych i odnoszących sukcesy.

A jak na mężczyznę w jego wieku, figura Palmera była godna pozazdroszczenia, jego twarz urzekająca, uśmiech szczerzy. Był również ujmujący, dowcipny, pewny siebie, dobrze ubrany. Roztaczał aurę władzy wynikającej z jego pozycji. Praca, jakiej pragnie Bóg, jak mawiają, to praca sędziego federalnego USA.

Gdy lokal zaczął się zapełniać, Staci wpadła w regularny rytm pracy i Palmer opuścił jej myśli. Mimo wszystko zajmowała się przecież połową z szesnastu stolików po jednej stronie zewnętrznego patio, obsługując między innymi jednego sędziego sądu najwyższego, głównego doradcę burmistrza, stado ważnych adwokatów, czwórkę zawodników „49”, administratora miejskiego.

MoMo był popularnym lokalem o wysokim, jak go zwa, wskaźniku yoo-hoo.

Przez kolejny miesiąc sędzia Palmer przychodził niemal w każdy dzień roboczy, zawsze wybierając stół w sekcji Staci, pojawiając się wystarczająco wcześnie, wystarczająco często, aby mieli czas na rozszerzenie rozmów. Jego napiwki zaczęły się od szczodrych dwudziestu procent i rosły, odzwierciedlając przyjemność, jaką sprawiało mu jej towarzystwo. Dowiedział się, że jest samotna, bez stałego chłopaka, że mieszka w wynajętym studio na północ od Market Street nad Castro. Uczęszczała do college'u miejskiego i miała nadzieję ukończyć dwuletnią uczelnię wyższą i pójść na Berkeley za kilka lat, ale obecnie zależało jej jedynie na zarobieniu na życie, co nie było tak proste na napiwkach, pomimo hojności sędziego - nie każdy miał taki gest jak on. Zwierzyła mu się, iż rozważa podjęcie drugiej pracy jako kelnerka, w dni, w które nie pracuje w MoMo. Ale wtedy pewnie musiałaby rzucić szkołę, a tego nie chciała. Nie ma przyszłości bez odpowiedniego wykształcenia.

Ona z kolei dowiedziała się, nie tylko od niego samego, że sędzia jest zo-

naty z Jeannette od niemal czterdziestu lat. Mieszka w wielkim domu na Pacific Heights na Clay Street. Ma troje dorosłych dzieci. Pracuje w sądzie federalnym i apelacyjnym dla dziewięciu okręgów. „Czysta przyjemność” powiedział jej. Jest również zapalonym wędkarzem na muchę oraz ma coś w rodzaju świra na punkcie win, jak już zdążyła zgadnąć po tym, co zamawiał do picia do lunchu, po ginie z lodem.

Po jakimś czasie zaczęli spotykać się poza MoMo, w cichych lokalach na wybrzeżu, z dala od centrum, gdzie nikt nie rozpoznałby sędziego. Pewnego dnia przyszedł dużo później niż zwykle, blisko pierwszej trzydzieści, wyliczając, by skończyć około trzeciej, gdy Staci kończyła zmianę. Szli razem w dół Embarcadero jakieś sto jardów, rozmawiając swobodnie, jak zwykli to czynić w restauracji. Spytał, czy zechciałaby zejść nad wodę, gdzie było bardziej dyskretnie. Powiedział, że ma dla niej prezent, który, miał nadzieję, że przyjmie.

Był to pojedynczy, jednokaratowy diamentowy wisiołek na platynowo-złotym splecionym łańcuszku.

6

Choć uznany oficjalnie za bohatera, inspektor Devin Juhle, przechodził bardzo trudny okres. Sześć miesięcy wcześniej, on i jego partner Shane Manning byli w drodze na rozmowę ze świadkiem, o drugiej po południu, gdy odebrali nagłe wezwanie z centrali - w obozowisku bezdomnych pod estaka-

dą autostrady Cesar Chavez Street rozpięta się strzelanina. Tak się złożyło, że znajdowali się jedyne sześć przecznic dalej i byli pierwszymi gliniarzami na miejscu.

Manning prowadził i gdy tylko wjechali swym nieoznakowanym, miejskim Plymouthem na ziemię niczyją rozmiarów parkingu pod estakadą, jakiś mężczyzna wyszedł zza betonowej kolumny oddalonej jakieś sześćdziesiąt stóp od nich i wymierzył w samochód ze śrutówki.

- Padnij! Padnij! - wrzasnął Juhle, podczas gdy Manning zahamował gwałtownie, z całej siły naciskając na hamulce. Juhle jedną ręką odpiął kaburę, a drugą nacisnął klamkę i pochylając się uderzył całym ciałem o drzwi, otwierając je na oścież i padając, jednocześnie słysząc huk wystrzału i eksplozję szyby nad nim, która pokryła go drobinkami szkła. Kolejny strzał, a Juhle był na asfalcie obok samochodu, turlając się i usiłując ukryć się za kołem.

- Shane! - zawołał partnera. - Shane! Cisza.

Zerkając pod podwozie samochodu - pamiętał to wszystko jako jeden obraz, choć to niemożliwe, bowiem było ich znacznie więcej - zobaczył dwa ciała leżące na ziemi przy tekturowej budowlu, a za nimi około tuzin ludzi kuczających za zawietrzną jednej z betonowych kolumn, które podtrzymywały estakadę, odgradzonych tak, że nie mogli uciec. W tym samym czasie mężczyzna z bronią cofnął się z powrotem za filar. Juhle pomyślał - do takiego stopnia, w jakim był jeszcze w stanie myśleć, a nie tylko reagować - iż strzelec przeładowuje. Ale była to jego jedyna szansa na oddanie strzału i uratowanie siebie oraz być może również tych ludzi.

Rzucił się pędem w stronę niskiego pniaka tkwiącego pośrodku asfaltu. Nie powinno go tam być - Caltrans powinni byli go wyrwać z korzeniami nim wylali masę, ale tego nie zrobili. Był tam, a on zamierzał do niego dobiec, jeśli będzie mógł. Podbiegł zgarbiony, następnie rzucił się w przód i przeturlał, dotarł do pniaka w dwie czy trzy sekundy, wystarczająco czasu dla strzelca, który ponownie wyszedł na otwartą przestrzeń, aby oddać kolejną partię strzałów, która trafiła w pniak przed nim, obsypując policjanta drzazgami i kawałkami mokrego drewna.

Juhle leżał płasko na brzuchu, z bokiem twarzy i ciałem przyklejonym do ziemi. Wiedział, że pniak nie dawał mu sześciu cali przestrzeni i że strzelec zbliżał się teraz, wyczuwając swą przewagę. Znajdował się wciąż w odległości prawdopodobnie sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu stóp - ale szedł szybko. Gdy znajdzie się około czterdziestu stóp od niego, jego wzrost zapewni mu niezbędny kąt. Jeszcze jedna seria z karabinu, a Juhle należałby do przeszłości.

Nie było czasu na zastanawianie się. Juhle przeturlał się o trzysta sześć-

dziesiąt stopni, trzymając pistolet przed sobą w wyciągniętych rękach, wycełował i oddał dwa strzały. Mężczyzna zatoczył się, stracił równowagę, padł jak worek cementu i nie poruszył się.

Juhle ponownie zawołał swego partnera i ponownie nie otrzymał odpowiedzi. Wciąż w szoku, napędzany adrenaliną, stanął w końcu na nogach, nieprzerwanie trzymając leżącego mężczyznę na muszce. Małymi kroczkami podszedł do innego ociężała, z pistoletem w dwóch wyciągniętych dłoniach. Kiedy dotarł do swej ofiary, zobaczył, że oddał prawdopodobnie najcenniejszy strzał swego życia. Kula trafiła mężczyznę między oczy.

To powinno stanowić koniec. Mimo wszystko Juhle miał na całe zajście sześciu świadków. Manning nie żył, zabity przez pierwszą serię strzałów.

Samochód wyglądał jak wrak. Była to co najmniej samoobrona i heroizm wedle każdego standardu.

Ale niekoniecznie.

Nie w San Francisco, gdzie każdy strzelający policjant jest podejrzany. Jeden z bezdomnych z obozowiska, oficjalnie zdiagnozowany schizofrenik w stanie upojenia alkoholowego, upierał się, że policjant podbiegł do ofiary i wykonał bezpodstawną egzekucję. Fakt, iż utrzymywał również, że było tam pięciu takich oficerów oraz że mężczyzna nie miał wiatrówki - pomimo dowodów na to w postaci śmiertelnych ran Manninga - nawet na chwilę nie zmniejszył publicznych przykrości ze strony antypolicyjnego tłumu.

Poza tym strzał Juhle'a był tak precyzyjny, że skłonił Byrona Diehla, jednego z administratorów miasta, do wyrażenia opinii, że być może śmierć ta była rzeczywiście wynikiem przesadnej reakcji nadgorliwego i rozwścieczonego gliniarza. Być może była to, faktycznie, egzekucja. Nikt nie był w stanie strzelić poruszającemu się mężczyźnie z pistoletu między oczy, z odległości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stóp. To po prostu nie jest prawdopodobny strzał. Mężczyzna ze śrutówką mógł się już poddać, rzucić broń, a Juhle - straciwszy nad sobą kontrolę z powodu śmierci partnera - podszedł do niego i strzelił z bliska.

Inni świadkowie? Proszę bardzo. Większość z nich i tak chciała śmierci strzelca. Plus, naturalnie, bali się policji. Jeśli Juhle powiedział im, żeby dla własnego dobra poparli jego wersję, to powiedzieliby wszystko, co chciał. Byli niewiarygodni, a ich zeznania bezwartościowe. Za wyjątkiem, oczywiście, schizofrenika, który walczył z nałogiem alkoholowym. Idiotyczność była tak namacalna, że przyglądanie się było nawet zabawne, ale branie udziału zdecydowanie nie.

Juhle spędził zatem trzy następne miesiące na zwolnieniu administracyjnym, w cieniu zarzutu morderstwa. Zeznawał czterokrotnie przed różnymi komisjami policji i miasta, nie licząc oficjalnej sesji obrony swych czynów i konfrontacji z Diehlem w izbie administracji miejskiej. Musiał demonstrować sprawność w posługiwaniu się pistoletem na różnych strzelnicach policyjnych w San Francisco, Alameda i San Mateo, gdzie mieli wyskakujące tarce, które wymagały zarówno szybkości, jak i dokładności.

W końcu po kilku miesiącach został oczyszczony ze wszystkich oskarżeń. Po powrocie do wydziału zabójstw - Manning oczywiście odszedł na zawsze - okazało się, że jego nowym partnerem jest człowiek zatrudniony z wyraźnie politycznych powodów - Gumqui Shiu - którego dziesięcioletnia kariera nie wydawała się zawierać jakiegokolwiek prawdziwej pracy policyjnej. Był instruktorem w Akademii, pracował w laboratorium fotograficznym i przydzielany był do wielu podobnych drobiazgów, gdzie jego postęp był szybki, nie znaczący jednak żadnym prawdziwym osiągnięciem - ewidentnie miał jakieś powiązania, ale nikt nie wiedział gdzie.

Tego ranka Juhle siedział przy biurku. Jakby tego było mało, wciąż miał prawe ramię na temblaku po operacji artroskopowej - trzy małe otwory. Lekarz powiedział mu, że jest to krótka i prosta procedura, nieco więcej niż wizyta w gabinecie. Będzie miotać na treningach Małej Ligi, nim się obejrzy.

Nie.

Zupełnie jakby w ogóle chciał do tego wracać. Zacząć trzeba od tego, że Mała Liga była powodem, dla którego wywichnął to cholerne ramię, pozwalając, aby jego ukryty głęboko instynkt macho przekonał go do małego *mano a mano* z Dougiem Malinoffem - doskonałe nazwisko dla baseballisty - managerem Szerszeni, drużyny, w której grał syn Devina, Eric. Doug był porządnym facetem, naprawdę, mimo że może bardziej skorym do rywalizacji niż typowy zawodnik pierwszej ligi w czasie decydującego spotkania, namawiając asystenta trenera Devina do zabawy w „spalonego” dla uciechy dzieci. Żeby dać im smak tego, jak to jest **naprawdę** pragnąć zwycięstwa.

„Spalony” to prosta zabawa dla prostych dorosłych i dorastających chłopców: rzucasz piłką tak mocno, jak potrafisz, zaczynając z odległości, powiedzmy, sześćdziesięciu stóp. Używasz normalnych rękawic, dodatkowo wyściełane rękawice łapacza są niedozwolone, i przysuwasz się krok bliżej po każdej rundzie. Pierwszy, który się podda, przegrywa. Devin nie był bynajmniej byle jakim sportowcem, jako, że grał w baseball przez cały college.

Wciąż miotał z cholerną siłą. Mimo to poddał się, uznając swoją porażkę po siedmiu rundach, gdy przeciwnik niemal przewrócił go ostatnim rzutem z trzydziestu pięciu stóp.

Malinoff był shortstopem w średniej lidze, gdzie był prawdziwą gwiazdą. Był w stanie przebić rzuconą piłką ściankę ze sklejki.

Juhle chwycił ostatni rzut nie w palce rękawicy, ale w sam środek. Nigdy nikomu nie wspomniał, i nie zamierzał wyznać, że nie tylko zrujnował sobie, przez własną głupotę, ramię, tego zimnego i mglistego marcowego dnia, ale w dodatku pozwolił, by szybka piłka Malinoffa z pierwszej ligi złamała dwie kości w jego łapiącej dłoni.

Od tamtej pory Juhle miał problemy z pewnością siebie. Z trudem przychodziło mu przekonanie siebie, iż należy do najbardziej błyskotliwych inspektorów wydziału zabójstw na świecie, jeśli jednocześnie uważał się za patentowanego durnia przez przyjęcie wyzwania Malinoffa.

Był wtorek rano, 31 maja, kwadrans po dziewiątej. Czerwiec, oddalony o zaledwie jeden dzień, jest w San Francisco równoznaczny mgłę, i dziś Juhle nie mógł dostrzec podwyższonej autostrady oddalonej o sześćdziesiąt jardów na lewo od okna. Czekał na przybycie partnera, siedział za biurkiem w zatłoczonym, ciasnym, lecz wielkim pokoju pozbawionym wewnętrznych ścian, który stanowił wydział zabójstw na czwartym piętrze Pałacu Sprawiedliwości San Francisco. Popijał trzeci kubek kawy tego ranka. Jego prawe ramię oraz nieopatrzona lewa dłoń - prędzej szczerze niż komuś powie - pulsowały pomimo sześciuset miligramów motriny, jakie zażywał co cztery godziny przez ostatnie dziesięć dni. Przewrócił stronę transkryptu zeznania świadka w jednej z prowadzonych przez niego spraw, sprawdzając jego zgodność z taśmą i nagle zdjął słuchawki, wstał i przeszedł obok wysokich do ramienia zielonoszarych, zniszczonych regałów na akta, które służyły za ścianki działowe, i stanął przed drzwiami gabinetu porucznika Marcela Laniera, który podniósł wzrok znad dokumentów.

- Co jest, Dev?

- Musimy coś zrobić z poziomem tych ludzi, których zatrudniają, Marcel.

Lanier, zaledwie pięćdziesiąt parę lat i już jakieś sto lat w wydziale, pochrząknął skórę dokoła ust.

- Już od lat powtarzam to jak zacięta katarynka. O kogo chodzi tym razem?

W odpowiedzi Juhle podał mu wydruk, który czytał.

- Sam zobacz - powiedział.

Po pięciu sekundach Lanier prychnął krótkim, bezgłośnym śmiechem, po

czym przeczytał na głos:

- „Jaki jest pana związek z panną Dorset?”

Juhle przytaknął.

- Dokładnie. Nie co dzień widzi się taki związek.

- Był jej parą do muru?

- Musi być, skoro stoi napisane czarno na białym.

- Jej para do muru.

- Ta, tyle, że nie powiedział para do muru, ale „par amour” - Juhle oparł się o framugę. - I to jest dziesiąty taki błąd na stronie, Marcel, nie licząc sporych fragmentów, które zaznaczyła jako „nieczytelne” w transkrypcie, ale nawet ja słyszę je doskonale na taśmie. Czy oni przechodzą test na inteligencję, nim zaczynamy im płacić? Oczywiście, i tak musiałbym poprawić transkrypt, ale teraz zajmie mi to dwa dni zamiast godziny. Szybciej byłoby pisać całe to cholerstwo od razu zamiast nagrywać.

Shiu pojawił się za Juhle'em w wolnej przestrzeni w drzwiach.

- Co zabierze dwa dni?

Lanier zignorował zarówno jego przyjsście, jak i pytanie. Zadzwoił telefon:

- Wydział zabójstw, Lanier - zmarszczył brwi, nagle bardzo spoważniał, wyciągnął żółty notes i zaczął notować. - Dobra, mam. Jedziemy - spojrzął na obu inspektorów, po czym powiedział do słuchawki - Juhle i Shiu. - Kiedy się rozłączył, nie było znać żadnego śladu, że kiedykolwiek się śmiał lub myślał, że cokolwiek na świecie kiedykolwiek było śmieszne. - Któryś z was oddał już samochód?

Policjanci spojrzeli po sobie.

- Nie, proszę pana. Dzień w biurze - powiedział Juhle.

- Już nie. Idźcie na dół, weźcie radiowóz - powiedział - i na sygnale na Clay przy... - rzucił szybko okiem na notatki - Lyon. Pędem, chłopcy. Zawiadomię techników. Wszyscy mają tam być dziś obecni. Ktoś właśnie zabił sędziego federalnego.

Jeannette Palmer zadzwoniła na 911 dokładnie kwadrans przed dziewiątą. Wysokim i spanikowanym głosem powiedziała, że jej mąż nie żyje, że ktoś go zastrzelił. Ponieważ Pacific Heights jest zamożną okolicą, reakcja na zgłoszenie nagłego wypadku jest zazwyczaj natychmiastowa. W tym przypadku samochód patrolowy znajdował się kilka przecznic w dół Cow Hollow i dojechał na miejsce w ciągu dwóch minut.

Jeannette stała w drzwiach - ubrana, z załamanymi rękoma, zapłakana - czekając na policję, by poprowadzić ich do gabinetu sędziego, sporego po-

mieszczenia z lewej strony od frontu domu, o oknach wykuszowych i tysiącach książek. To właśnie tam Jeannette znalazła męża i młodą kobietę, której nigdy wcześniej nie widziała. Oboje leżeli na podłodze za jego biurkiem, dokąd później oficerowie skierowali techników medycznych z karetki, którzy spojrzeli krótko i nie ruszali ciała. Oba były zimne.

Juhle i Shiu, zgodnie z rozkazem, dojechali na miejsce w ciągu kwadransa radiowozem z włączonymi syrenami i światłami, aby oczyścić drogę. Mimo tego furgonetka Kanału 4 najwyraźniej podsłuchiwała wezwanie i była już zaparkowana na ulicy, zapowiedź stuprocentowego cyrku medialnego na pełną skalę. Gromadka ludzi - prawdopodobnie sąsiadów - stała przy furgonetce, opowiadając nieważne historie. Na szczęście na terenie były już trzy radiowozy, a umundurowani oficerowie odgradzali teren i zabraniali wstępu.

Juhle nie mieszkał od urodzenia w San Francisco, ale przeprowadził się tu z Półwyspu w czasie nauki w college'u na Stanowym San Francisco, i został. Zawsze kochał Clay Street, szczególnie ten jej odcinek. Latarnie w stylu staromodnych lamp gazowych. Eleganckie domy w kolorze piernika zbudowane były przyzwoity kawałek od chodnika, zazwyczaj z niskim murkiem albo dyskretnym ogrodzeniem znaczącym granice nieruchomości. I jeszcze architektura krajobrazowa, jakby każdy dom wychodził na swój własny mały, prywatny park - nie większy niż przeciętny trawnik na przedmieściu - stanowiąc dowód całkiem odmiennego smaku, życia miejskiego, dobrego wychowania.

Dom sędziego Palmera był w tym samym stylu. Trzypiętrowy, wiktoriański, nieskazitelnie utrzymany. Niski, jasnobrązowy stiukowany murek o siatce z kutego żelaza biegł wzdłuż chodnika. Za murkiem, okrągły podjazd rozciągał się aż do schodów ganku. W półkolistym ogródku, ogrodzonym ceglany podjazdem, trój poziomowa kamienna fontanna spływała do małego stawu z liliami, otoczonego krzewami, z których każdy, najwyraźniej jakoś to zaaranżował, by akurat mieć porę kwitnienia.

Dwaj inspektorowie dotarli na miejsce zbrodni tak szybko, że sierżant z najbliższego posterunku, który miał kierować tego typu sprawami, nie dojechał jeszcze. Niemniej oficer Sanchez, prowadzący szkolenie w terenie, czekał na nich w drzwiach wejściowych i poinformował, iż pani Palmer, najwyraźniej w szoku, znajdowała się w towarzystwie jego partnera żółtodzioba w salonie, po prawej stronie. Gabinet, w którym były ciała, był po lewo.

- Nikt niczego nie dotykał - powiedział. - Żona twierdzi, że ona też nie, za wyjątkiem telefonu na biurku, z którego wezwała dziewięćset jedenaście.

Juhle i Shiu, partnerzy od dwóch miesięcy, wiedzieli, że w ciągu kilku minut dołączy do nich asystent koronera oraz grupa badająca miejsce zbrodni,

która zmierzy i uwieczni na taśmie wideo i kliszy fotograficznej, zbada, pobierze odciski palców oraz/lub spisze wszystko w pomieszczeniu. W zależności od tego, jak szybko rozchodziły się wieści, mogli spodziewać się również agentów FBI, jako że zabójstwo sędziego federalnego mogło stanowić przestępstwo federalne. Departament Bezpieczeństwa Narodowego mógłby nawet próbować zbadać, czy nie jest to jakiś akt terrorystyczny, a Juhle musiał przyznać, iż, faktycznie, nie jest to wykluczone.

W międzyczasie Juhle miał szansę rozejrzeć się bez bycia niepokojonym i bynajmniej nie miał zamiaru przegapić takiej okazji.

* * *

Jak powiedziano, ciała leżały na podłodze, w większości zasłonięte przez biurko. Sędzia miał na sobie jasnobrązowe spodnie, białą koszulę i sweter w ciemniejszym odcieniu brązu. Duży, wyglądający na wygodny, skórzany fotel obrotowy leżał na boku obok ciała. W prawym policzku sędziego widniał mały otwór, a pod jego głową, na plastiku chroniącym dywanik przed kółkami fotela, kałuża zaschniętej, czarnej krwi. Nad głowami zapalone było światło, podobnie jak lampka na biurku, która wyglądała na nietkniętą.

Kobieta była dużo młodsza od sędziego - maksymalnie trochę ponad dwadzieścia lat. Ubrana była w sprane jeansy, jakąś podkoszulkę i czarny sweter, który odsłaniał jej brzuch. W pępku widać było diamentowy kolczyk. Leżała płasko na plecach, z głową lekko przekrzywioną wskutek uderzenia o ścianę, która była za nią. Nie było widocznej rany wejściowej, ani krwi pod jej zwłokami, choć z ust wypływała cienka, czarna strużka i kończyła się w ciemnej kałuży na podłodze pod nią. Na jej swetrze błyszczał duży, diamentowy wiorek.

- Cóż, nie był to napad rabunkowy - stwierdził Juhle.

- Nie, i stało się to szybko - powiedział Shiu. - Stała obok niego, strzelec wpada, pif-paf!, i po wszystkim.

- Może - Juhle podszedł do biurka, skąd mógł widzieć oba ciała. Ale nie patrzył na nie. Patrzył na regały za biurkiem. - Ale może pif-paf-pif! Trzy strzały.

Przeszedł nad ciałem kobiety, pochylił się i wskazał na ślad na półce na wysokości mniej więcej pasa, który wyglądał najwyraźniej na przerwę między dwiema książkami.

- Jedna książka została wepchnięta głębiej. Zgaduję, że mamy kulę - przyjrzał się dokładniej. - Mamy tu też sporej wielkości rozbryzg, mniej więcej na tej samej wysokości.

- Gdzie ty to widzisz?

Juhle zignorował pytanie. Nie zamierzał nikogo uczyć.

- Ale tylko u jednego z nich - cofnął się, przyglądając regałowi nad ciałem kobiety. - Mały kaliber. Bez rany wyjściowej - przeszedł na prawo, gdzie w poduszkę fotela na w pół wciśnięta była torebka-kopertówka. Założył gumowe rękawiczki. - To powinno nam powiedzieć, kim ona jest.

Nie powiedziało jednak. Torebka zawierała jakieś kosmetyki, paczkę chusteczek, osiemdziesiąt pięć dolarów i trochę drobnych, opakowanie na diafragmę oraz paczkę gumy do żucia Trident, ale prawa jazdy nie. Żadnego dokumentu tożsamości.

Shiu rzucił okiem na drzwi gabinetu.

- Gdzie oni są?

Juhle wzruszył ramionami. Grupa badająca miejsce zbrodni będzie, kiedy przyjedzie.

- Ciekawe, czy ktoś coś słyszał.

Juhle zastanawiał się, czy jego partner wygłasza te bezmyślne komentarze, żeby wypełnić ciszę, jak Dandy Don Meredith w czasie kiepskiego meczu futbolowego, czy też uważa to za pomocne? Na samą myśl, przeszły go ciarki. Osobiście nie miał pojęcia, czy ktokolwiek z sąsiadów coś słyszał i nie bardzo się nad tym zastanawiał. Wiedział, że odwiedzenie mieszkańców okolicy należało do jego i jego partnera najbliższej przyszłości. Dowiedzą się, czy ktoś coś widział lub słyszał, zwyczajnego lub nie. Sprawdzą również ponownie archiwum 911, by dowiedzieć się, czy nie było powiązanych wezwań. Ale powiedział:

- Jeśli nie było nikogo tuż na zewnątrz, to nikt nic nie słyszał. Właściwie przy tak małej kuli, to trochę dziwne, że siła rażenia była wystarczająca, aby przewrócić go razem z krzesłem.

- Może wstawał. Po pierwszym strzale do niej.

Więcej bezsensu. Może, mogło, możliwe - wszystko to strata energii, aż nie będą mieli jakiegoś dowodu. Co gorsza, osądy przyjęte bez dowodów, zakłócały zdolność trzeźwej oceny, co faktycznie jest dowodem, a co nie. Ważną częścią ich pracy było opieranie sprawy na faktach, a nie na wyobraźni.

Juhle nadal się rozglądał, sprawdzając podłogę za zasłonami, na wszelki wypadek. Pochylił się za skórzanym fotelem i podnosząc się, popełnił błąd, opierając się na lewej dłoni, i zaklął, gdy ból połamanych kości przeszył jego ramię.

- Nadal boli?

- Nieprzerwanie. Próbowałem znaleźć jakąś grę, w której mógłbym zranić Malinoffa w rewanżu. Jedyнным problemem jest to, że jest on ode mnie silniejszy i szybszy we wszystkim. I to wtedy, gdy nie jestem ranny i cierpiący.

Będę musiał oszukiwać. Może powinienem zatrudnić kogoś, by zrobił mu krzywdę.

- Nie możesz, Dev. Jesteś gliniarzem - powiedział Shiu. - Dzieci się na tobie wzorują.

- A, tak, dawanie przykładu. Zapomniałem na chwilę. Ale i tak bym nie oszukiwał, Shiu. To sprzeczne z moją religią.

- Ty nie wyznajesz żadnej religii.

- A i owszem. Tyle, że nie jest taka oficjalna jak twoja. I jedną z głównych zasad jest: nie oszukuj.

Z tego, co Juhle wiedział, Shiu był prawdopodobnie jedynym Azjatą Mormonom w stanie Kalifornia. I nawet teraz nie mógł przepuścić okazji wykonywania swej pracy misyjnej.

- To też główna zasada Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego, Dev. Jesteś w połowie drogi, by stać się jednym z nas. Z odrobiną szkolenia i modlitwy mógłbyś...

- Shiu - Juhle chciał podnieść rękę, ale ból mu nie pozwolił i ponownie się skrzywił. - Czy nie przerabialiśmy już tego? Jesteśmy w mieście tolerancji, zgadza się? Cholera, my celebруем nasze różnice. Ja toleruję twoją religię. Ty tolerujesz, że nie wyznają religii.

- Ale nie podoba mi się to, Dev. W naszej pracy, wiesz, można zostać zabitym każdego dnia, bez żadnego ostrzeżenia. Nie chcę patrzeć, jak umierasz i zostajesz wtrącony w wieczną ciemność.

- Wiem. I doceniam to. Naprawdę. I w połowie się zgadzam - jeśli chodzi o umieranie. Ale w międzyczasie staram się tylko zrozumieć, co tu się stało i znaleźć sposób, w jaki mógłbym zadać ból Malinoffowi, tak bardzo jak się da, nie narażając się na aresztowanie. To wszystko. Tylko te dwie rzeczy.

- I tak będę się za ciebie modlił.

- Wiem, że będziesz, Shiu, wiem. - Juhle spojrzął po raz ostatni na gabinet. Był cztery lata starszy od Shiu i, będąc dużo dłużej w wydziale, był uznanym, starszym partnerem. Kiedy obejrzeni na miejscu zbrodni wszystko, co chcieli, to do niego należała inicjatywa i podejmowanie decyzji, co właśnie teraz zrobił. - Cóż, w oczekiwaniu na naszych asów od zbierania dowodów, być może powinniśmy zobaczyć, co ma nam do powiedzenia pogrążona w żałobie żona.

* * *

Salon urządony został w pastelowych odcieniach kości słoniowej, różu i lawendy. Pomieszczenie było lustrzanym odbiciem gabinetu po przeciwnej

stronie korytarza, gdzie obecnie leżeli sędzia Palmer i pani X. Uderzyło ono Juhle'a jako sterylne - podobne na swój sposób do tych pokoi, gdzie nieużywane meble przy krywane są folią, by trwały wiecznie. Choć Juhle'owi daleko było do konesera, oszołomił go pokaz bogactwa i dobrego smaku. Szeroki, zdobiony złotem mahoniowy stolik; kredens z kolekcją szkła weneckiego; kilka stolików ozdobionych wspianiałą i, najwyraźniej, świeżą kompozycją kwiatową; dwie dwuosobowe kanapki; dwa dopasowane kryształowe żyrandole; orientalny dywan osiemnaście stóp na dwadzieścia, wyściełana kanapa - każdy element umeblowania był wyjątkowej jakości. Niemniej jednak wnętrze wydawało się pozbawione życia, poczucia ciepła czy choćby szczególnej swojskości. Jakby było domkiem dla lalek, który pani Palmer zbudowała nie po to, by w nim żyć, ale tylko, by mieć, urządzić, imponować.

W swej karierze Juhle widział wystarczająco wielu zszokowanych członków rodziny ofiar, żeby wiedzieć, że teraz patrzy na coś w tym stylu. Kobieta była duża, choć nie gruba. Siedziała na samym brzegu kanapy w pastelowe, kwiatowe wzory, ubrana w dopasowaną, kremową garsonkę, ze spódnicą do kolan, która teraz, gdy kobieta zwiesiła ramiona, wyglądała jakby wisiała na wieszaku. Włosy pani Palmer, umiejętnie ufarbowane na miodowy blond, wyglądały ewidentnie na starannie uczesane, lecz teraz co jakiś czas przejeżdżała przez nie ręką, z przodu w tył, po czym wyciągała pasma jak rozkojarzona uczennica. Jej twarz, prawdopodobnie atrakcyjna, gdy nosiła makijaż, pokryta była plamami i wymizerowana, a jej oczy maleńkie za spuchniętymi powiekami.

Naprzeciw niej, na kanapce, obserwując ją milcząco, siedział zółtodziób Sanchez, oficer Garelia, który wstał, gdy Juhle i Shiu weszli do pokoju i bezzwłocznie podszedł, by stanąć cichy i wyprostowany jak kotek. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia trzy lata i Juhle przypuszczał, że mogło to być jego pierwsze morderstwo, być może pierwszy raz, gdy widział z bliska zwłoki.

Ale Juhle nie był tam, by oceniać meble czy obserwować reakcje niedoświadczonych policjantów. Oszczędzając obolałe ramię, przysunął sobie kanapkę nogą i usiadł.

- Pani Palmer - zaczął - jestem sierżant inspektor Devin Juhle z wydziału zabójstw, a to mój partner inspektor Shiu. Czy jest pani w stanie z nami porozmawiać?

Poprawiła się na kanapie, siadając głębiej. Przenosiła zdziwione spojrzenie z Juhle'a na Shiu, jakby nie zauważyła, kiedy weszli.

- Myślę, że tak - jej twarz wyrażała desperację. Wypuściła powietrze i spytała. - Kim jest ta kobieta?

- Nie wiemy, proszę pani. Mieliśmy nadzieję, że może pani będzie nam to w stanie powiedzieć.

Głowa pani Palmer zaczęła poruszać się z boku na bok, jakby kobieta nie miała nad nią kontroli.

- Nigdy w życiu jej nie widziałam. A teraz jest w moim domu, martwa. O co może tu chodzić?

- Nie wiem, proszę pani.

- I co ona robiła tutaj? Z moim mężem? To nasz dom. On by jej tu nie przyprowadził - patrzyła na mężczyzn w pokoju, szukając potwierdzenia. - Nie zrobiłby tego.

Juhle i Shiu spojrzeli po sobie. Shiu przerwał ciszę.

- Odkryła pani ciała dziś rano?

- Tak. Kiedy wróciłam - wzięła głęboki oddech, po czym pociągnęła zwijsające pasmo włosów. - Byłam wczoraj u siostry. Vanessa Waverly. To nasze nazwisko panięskie - rozwiodła się i wróciła do niego - Waverly.

Juhle notował rwany potok jej słów. Musiał pamiętać, by pytania były proste i spróbować ją uspokoić.

- A gdzie?

- Novato. - Hrabstwo Marin, około pół godziny samochodem na północ. Dość daleko, zazwyczaj zostaję na noc, gdy ją odwiedzam.

- Często pani to robi?

- Co kilka tygodni. Jest moim partnerem w interesach - prowadzimy spa i salon w Mili Valley. JV.

- Było to zatem spotkanie w interesach.

- Tak, ale... jest też moją siostrą, przede wszystkim. Zjadłyśmy obiad. Z reguły tak jest. Głównie rozmawiamy.

- I kiedy wyjechała pani z domu?

- Właściwie wcześniej. Około czwartej. Chciałam uniknąć godziny szczytu na moście.

- W porządku - Juhle panował nad głosem. - I potem została pani całą noc u siostry?

- Tak.

- Czy może pani powiedzieć, o której przyjechała pani dziś rano? Westchnęła ciężko, zamykając oczy. Gdy je otworzyła, wzięła ze znużeniem kolejny wdech.

- Przyjechałam przed ósmą, ale nie chciałam go obudzić, gdyby udało mu się jeszcze spać. Zawsze cierpiał na straszną bezsenność. Zostawiłam zatem torbę z moimi rzeczami przy schodach i poszłam do kuchni zaparzyć sobie kawę. Ale wtedy zdało mi się, że czuję spaleniznę, więc zaczęłam się rozglą-

dać i zapach dochodził z jego gabinetu. Kiedy zatrzymałam się przy drzwiach, zdałam sobie sprawę, że nie widzę jego fotela, więc podeszłam bliżej...

Juhle nie musiał zamykać oczu, aby przywołać scenę masakry, jaką dopiero co widział. Choć właściwie zza biurka wystawało wystarczająco dużo ciała kobiety, by nawet patrząc pobieżnie, móc je zauważyć. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że pani Palmer mogła wcale nie zaglądać do gabinetu. Ale jeśli pamiętała, że nie widziała fotela...

Ponownie zamknęła oczy, a teraz otworzyła je.

- Przepraszam - powiedziała. - Chcę pomóc znaleźć tego, kto to zrobił.

- Czy ma pani jakieś pojęcie, kto mógłby to być? Czy pani mąż miał jakichś wrogów?

- Czy nie uważa pan, że powinniśmy się najpierw dowiedzieć, kim jest ta kobieta? Czemu tu jest? Cokolwiek jest powodem, to o nią musiało chodzić. Prawda?

Juhle nie był przekonany. Mógł bez wysiłku wyobrazić sobie kilka scenariuszy, które wyjaśniałyby obecność dziewczyny. Ale Jeannette Palmer miała rację. Prawdopodobieństwo, że nie chodziło o samego sędziego, było bardzo duże. Pani X była tego częścią.

- Ale dobrze. Wrogowie George'a - jej ramiona zadrżały w pozbawionym radości śmiechu. - Brzmi to strasznie jak na tak czarującego człowieka, ale to mógł być naprawdę każdy. Musi pan sprawdzić jego akta. Każdą podjętą decyzją robił sobie wrogów, a robił to już od lat. Poza tym, jest jeszcze CC-POA...

Juhle zerknął na Shiu. CCPOA, Kalifornijski Związek Oficerów Straży Więziennej, najpotężniejszy i najbogatszy związek zawodowy w całym stanie. Powszechnie wiadomo było, że nie szło im najlepiej utrzymywanie swych członków w ryzach. Nagle Juhle przypomniał sobie z szokującym zdziwieniem, że sędzią - który w wiadomościach mówił o rozważanej możliwości wzięcia CCPOA w sekwestr sądowy, zdymisjonowania jego prezesa oraz zamrożenia aktywów - był George Palmer.

Jeannette Palmer nie zauważyła milczącej wymiany i kontynuowała:

- To nie są mili ludzie i bali się, że George usunie ich z rynku.

- Grozili mu? - spytał Shiu, wyjmując mały notes.

- Ja nic o tym nie wiem. Nie otwarcie, w każdym razie. George powiedziałby mi.

Juhle poczekał chwilę, po czym spytał, czy wie, co sędzia miał w planach na miniony wieczór.

- Był w domu, kiedy wychodziłam, ale powiedział, że wybiera się na

obiad.

- Powiedział gdzie lub z kim?

- Nie. Nie zawodowo. Powiedział tylko, że ma spotkanie w sprawie konia, co było naszym kodem na sprawy, o których nie wolno mu było rozmawiać. Nawet ze mną. Może jego sekretarka będzie wiedziała. Przykro mi. Ale to nie o obiad chodzi. Wiemy, że wrócił z obiadu, prawda? Z nią.

W tym momencie Juhle nie był pewien, czy sędzia w ogóle wyszedł z domu, ale powiedział:

- Może nie z nią. Może przyjechała później.

Pomysł taki wydał się uspokoić ją na chwilę. Skinęła głową, jakby z wdzięczności.

- Może - powiedziała. - Może przyjechała z mordercą. Juhle pomyślał, że to uspokajająca opcja. Ale mało prawdopodobna.

Przeczesała włosy dłonią i westchnęła.

- O, Boże - wyszeptała. - O, Boże.

Juhle dał jej chwilę, po czym zwrócił się do niej po imieniu, otworzyła oczy, ale ponownie patrzyła odległym wzrokiem, jak w chwili, gdy weszli.

- Pani Palmer? - spróbował jeszcze raz. Ale tylko patrzyła na niego, kręcąc głową.

7

Pstrykając palcami, szef Amy Wu, Dismas Hardy, powiedział do Wyatta Hunta, że mógłby założyć agencję detektywistyczną, ot, tak. Ale nie było to jednak, ot, tak. Najpierw musiał przekonać Biuro Ochrony i Usług Śledczych Kalifornijskiego Departamentu Spraw Konsumenckich, że okres jego służby wojskowej w Dywizji Dochodzenia Kryminalnego powinien liczyć się jako udokumentowana znajomość pracy policyjnej, prawa karnego lub wymiaru sprawiedliwości, a następnie, że lata pracy w SOD równoznaczne były sześciu tysiącom godzin doświadczenia w pracy detektywistycznej. Potem został oceniony przez Federalny Departament Sprawiedliwości i sprawdzony w kartotece karnej. Już nie wspominając o dwugodzinnym egzaminie pisemnym z prawa i przepisów. I w końcu spełnić musiał dodatkowe wymagania co do uzyskania pozwolenia na broń. Wszystko to zajęło, niemal nieprzerwanie, okres dwóch miesięcy.

Wtedy, cztery lata temu co do dnia, zawiesił szyld.

Teraz siedział plecami do ściany, przy dużym, okrągłym stole w rogu „U Sama”, klasycznej restauracji i knajpie na rogu Bush Street i Belden Alley. Dopiero co zakończył z powodzeniem poszukiwania dziewiętnastoletniej córki dentysty z Piedmontu, która wyprowadziła się z internatu uniwersyteckiego i zamieszkała z chłopakiem w dzielnicy Mission. Hunt stawiał się jako pierwszy na przyjęcie rocznicowe. Siedząc samotnie przy stole, wziął pierwszego łyka ze swojego Bombay Sapphire Gibson i odetchnął z zadowoleniem.

Wiedział, że za kilka minut nie będzie bynajmniej brylował w towarzystwie znaczących, nawet nieco sławnych, jednych z odnoszących największe sukcesy prawników w mieście. Miał na sobie garnitur i krawat. Wśród nich cytować może trochę łaciny z ogólniaka, francuski z college’u i wszyscy go rozumieją - co więcej, chcą znać jego zdanie. Będą pić dobre wino, a obsługujący ich kelner Stephano będzie się zwracał do nich po imieniu.

Wydawało się to niemal niemożliwe. To, ile osiągnął.

Hunt wychowywał się w kilku rodzinach zastępczych, aż w wieku ośmiu lat, cudownym zrządzeniem losu, bezdzietna natenczas para, Richard i Anna Hunt, zdecydowała się go zaadoptować (krótco po czym mieli czworo naturalnych dzieci).

Kiedy otworzył agencję, nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad nazwą. W praktycznym sensie, jako nazwa, Klub Detektywów brzmiał rzeczowo, jakby grupa podobnie myślących zawodowców trzymała się razem i wykonywała dobrą robotę. W organizacji o nazwie Klub Detektywów zatrudnionych może być nawet pięćdziesięciu pracowników.

Naprawdę na początku był sam.

Następnie dołączyła Tamara Dade. Ona i jej brat Mickey byli dwójką z bardzo niewielu dzieci, które Hunt poznał w czasie pracy w SOD, a z którymi utrzymał kontakt. Tamara znalazła Hunta, gdy miała około czternastu lat, by podziękować mu za uratowanie jej życia, gdy była małą Tammy i została jej tylko łyżka stołowa masła orzechowego.

Zaczął się od niespodziewanego telefonu, po czym zostali w nieregularnym kontakcie. Przed kilku laty Hunt wziął udział w rozdaniu świadectw, gdy ukończyła stanową szkołę średnią w San Francisco. Potem Tamara pracowała trochę w urzędach, szukając „prawdziwej” pracy, ale nic ekscytującego nie było na horyzoncie. Wtedy Hunt otworzył agencję i okazało się, że interes idzie dobrze, a on potrzebuje przynajmniej asystenta i osoby do pracy w terenie. Obecnie Tamara pracowała w biurze codziennie, wypełniając obowiązki recepcjonistki, kierownika biura, księgowej, sekretarki oraz, z uwagi na to, że studiowała kryminalistykę i zaczęła rejestrować godziny dochodzeniowe, czasami jako partner w terenie. Choć była wzorem wydajności w biurze, to jeszcze lepiej szła jej brudna robota w terenie - całkiem nieuleknioma i pierwszorzędna w przesłuchaniach, a ludzie naturalnie jej się zwierzali.

Byli jeszcze całkiem krótko na rynku, gdy Hunt zadzwonił do Devina Juhle'a, by poprosić o pewne zastrzeżone informacje z wydziału ruchu drogowego, których nie mógł uzyskać normalnymi kanałami. Hunt znał kilku informatorów wydziału zabójstw, którzy zwykli wiedzieć, gdzie ukrywają się świadkowie. Po tym Juhle i jego partner Shane Manning zaczęli nazywać siebie klubowiczami. Kiedyś, gdy Hunt gościł u Juhle'a w domu na obiedzie - regularne wydarzenie - jego żona, Connie, odmówiła nakarmienia go, dopóki nie zrobi z niej członka klubu.

Cała sprawa nabrała znamion poufałości. Pewnego wieczoru, Amy Wu wstąpiła na drinka do „U Lou Greka” z Wesem Farrellem, jednym z partnerów w jej firmie, podczas gdy Hunt, Juhle i Manning, już nieco wstawieni, opracowywali regulamin klubu. Rozważali oficjalne przyjęcie cytatu z Saturday Night Live Willa Ferrella, opartego na piosence Fishbone'a, jako klubowego pozdrowienia: „Paskud, nie masz na to świadków, ej Pa-askud, hej, hej, ej Pa-askud”.

Naturalnie Amy i Wes wnioskowali o przyjęcie, ale Hunt i jego kompani udawali trudnych do zdobycia. Mimo wszystko, po co mieć klub, jeśli nie trzyma się jakichś standardów. Co Amy i Wes mogą wnieść? Wes nie wahał się ani chwili. Rozpiął koszulę i pokazał T-shirt, jaki miał pod spodem, na którym napisane było: „Wszystko jest lepsze na sterydach anabolicznych”.

- Codziennie mam inną - powiedział. - Całkiem możliwe, iż posiadam najlepszą na świecie kolekcję ohydnych T-shirtów.

Kiwając głowami z podziwem - Farrell przeszedł pomyślnie test osobowości i zostanie przyjęty - Hunt i gliniarze zwrócili się do Amy. Wytarła łzę, która niespodziewanie zajaśniała na jej policzku.

- Nigdy, przenigdy, w całym życiu nie byłam w żadnym klubie - wyszepiała. - Nikt, nigdy nie pozwolił mi przystąpić. Och, nieważne.

Ewidentnie zraniona, odwróciła się i zrobiła kilka niezdecydowanych kroków. Hunt, czując się podle, przewrócił oczami i podniósł się, by spróbować naprawić nieco szkód moralnych, jakie wyrządził - mimo wszystko była jego przyjaciółką, nie wspominając o znaczącym źródle jego dochodu. Położył jej łagodnie dłoń na ramieniu:

- Amy, nie chcieliśmy... Odwróciła się, uśmiechając się szeroko:

- Żartujesz? - powiedziała. - Nie sądzisz, że ludzie gotowi są zabić, żeby mieć mnie w swoich klubach? - przyciągnęła go do siebie i cmoknęła w policzek. - Świetni kłamcy zawsze mają wzięcie, Wyatt. Nigdy nie wiadomo, kiedy możesz takiego potrzebować.

W końcu Amy poznała i była już zaręczona z Jasonem Brandtem, innym prawnikiem, który specjalizował się w przestępczości nieletnich, ale został przyjęty do klubu po tym, jak wygrał zakład z Huntem o to, że jest w stanie wprowadzić ich trójkę na jakikolwiek mecz Gigantów, w dowolnym terminie, bez biletów i rezerwacji. Czy też na jakikolwiek publiczny koncert, wydarzenie, happening. Brandt nie mógł pojąć, czemu ludzie w ogóle płacą lub kupują bilety, aby cokolwiek zrobić. Powiedział Huntowi, który naprawdę był skłonny w to wierzyć, iż w czasie wakacji na ostatnim roku studiów - zgoda, było to przed 9/11 - urządził sobie podróż po Stanach normalnymi liniami lotniczymi, zatrzymując się w Chicago, Bostonie, Nowym Jorku, Miami i Los Angeles, nie kupiwszy ani jednego biletu.

Wreszcie Hunt zatrudnił jeszcze jednego dorywczego pracownika, młodego Craiga Chiurco, do pomocy przy inwigilacji i niebawem Chiurco i Tamara zaczęli się mieć ku sobie. Teraz, po śmierci Shane'a Manninga, było ich ponownie ośmioro - czworo zatrudnionych, licząc Hunta - i czworo, którzy co jakiś czas robili sobie przerwę w swych codziennych zajęciach jako prawnicy, gliniarze i nawet matki, aby trochę zaszaleć, wyrwać się z rutyny.

Rano w biurze Hunt wypłacił każdemu pracownikowi premię w wysokości pięciuset dolarów. Dla nieregularnych, rocznica była dobrą okazją, by zjeść wspólnie obiad „U Sama” i pożartować.

Wes Farrell znowu zapuścił włosy, choć nie tak bardzo jak przed kilku laty, gdy sięgały mu za ramiona. Zebrane w kucyk długie włosy traktował jako bunt, podobnie jak dzisiejszą koszulkę, którą właśnie wszystkim pokazał: „Powiedziano mi, że nie będzie matmy”. Tłumaczył akurat, że woli bunt

pozajęzykowe, jak jego włosy.

- No, to o co chodzi z tymi włosami? - spytał Wyatt Hunt.

- Nie podobają ci się? - zraniony Farrell położył rękę na sercu. - Całe tygodnie nad nimi pracowałem.

- Wiem. Są cudowne. Serio. Po prostu nie jest to typowy wygląd prawnika.

- Tony Serra też ma - powiedziała Amy Wu, mając na myśli legendarnego adwokata, o którym nakręcono nawet film. - Długie włosy, znaczy.

- Tony Serra nie jest raczej stereotypowym przykładem prawnika - powiedział Hunt.

- Ani, jeśli mogę zauważyć, ja - Farrell poczuł się urażony.

- Nie - powiedziała jego dziewczyna - nie jesteś. Samantha Duncan - niepokrewniona z Samem z restauracji - położyła dłoń na jego rękę i pochyliła się do Hunta.

- A jeśli chodzi o ten bunt, to nie zamierza obciąć włosów, aż coś będzie miało sens. Powtarzam mu, że do tego nie dojdzie, dopóki w Waszyngtonie nie będzie nowej administracji.

Sam popierała Partię Zielonych, ale raczej na pokaz, co w San Francisco stawiało ją wśród większości mieszkańców, choć niekoniecznie pomiędzy zebranymi tu osobami.

- Kochanie, nie zaczynaj - Farrell zakrył jej dłoń ręką. - Nie musi być na froncie krajowym. Znak czegokolwiek, gdziekolwiek, mającego sens, może skłonić mnie do wizyty u fryzjera. Ale mało widzę na to dowodów - Farrell spojrzał dokoła stołu.

Obiad był bardzo przyjemny, nie okazał się jednak być rocznicową ekstrawagancją Klubu Detektywów, jakiej pierwotnie spodziewał się Hunt. Devin Juhle zaczął właśnie tego ranka wielką sprawę - morderstwo sędziego federalnego - i on, i Connie musieli zrezygnować. Hunt zarezerwował stół dla dziewięciorga, puste krzesło było dla uczczenia pamięci Shane'a Manninga i raczej dobitnie nie dla nowego partnera Juhle'a. Kiedy Amy zauważyła zespół TV Proces - zajmujący się toczącym się już szósty tydzień w Pałacu Sprawiedliwości procesem o morderstwo przeciwko Randy'emu Nolanowi, który karmił brukowce - oraz jej przyjaciółkę Andree Parisi, zaprosiła ich, by wypełnili trzy wolne miejsca. Oprócz Parisi dołączyli do nich Spencer Fairchild, producent, oraz Richard Tombo, czarnoskóry adwokat, który razem z Parisi pracował jako ekspert w czasie procesu.

- Na przykład - powiedział Farrell, wskazując na Tombo - gdybyś ty, Rich, albo Andrea, albo wy oboje, zyskali prawdziwą sławę z TV Proces, to miałyby jakiś sens.

- No to już cię umówię z fryzjerem - powiedział Tombo.

- Andrea zabierze nas na scenę narodową - spojrzał na producenta. - Prawda, Spence?

Fairchild usiłował się nie skrzywić.

- Myślę, że już o tym wspominałem, moi drodzy, ja zajmuję się tylko lokacjami. Cały ten cyrk z Donolanem skończy się za parę tygodni, a wtedy przenoszę się do Kolorado albo Arkansas, na kolejny głośny proces. Ważne decyzje podejmowane są w Nowym Jorku, nie w terenie.

Ale Brandt, zawsze chętny, aby omawiać sprawy prawne, skupił na sobie uwagę.

- Myślicie, że Donolan potrwa jeszcze dwa tygodnie? Po tym, co zrobił dziś w czasie zeznania...

Andrea Parisi skończyła nakładać pomadkę i spojrzała na swe odbicie w lustrze w damskiej toalecie. Starła się nie myśleć o tym, co zaszło poprzedniego dnia i czuła, że potrzebuje kilku kieliszków wina do lunchu, by nie stracić humoru na transmisję podsumowującą kolejny dzień procesu. Razem z producentem i telewizyjnym partnerem wypła trochę szampana w limuzynie, w drodze do restauracji. Przez minione dziewięćdziesiąt minut, odkąd przyjechali, wypła wódkę martini („Belvedere, wytrawne, siup”) przy barze, zanim usiedli do stołu, następnie kieliszek pinot grigio do małży słonowodnych, trochę Jordan Cabernet (dwa kieliszki? trzy?) do grasicy. Ważyła 122 funty i zdawała sobie sprawę, że jest prawdopodobnie oficjalnie pijana, choć czuła się dobrze.

Sprawdziła, czy drzwi są na pewno zamknięte. Następnie zamknawszy oczy, uniosła prawą stopę, dotknęła koniuszka nosa i policzyła do pięciu. Otwierając oczy, postawiła nogę na podłodze i zmusiła się do szerokiego uśmiechu.

- W czasie suszy szosa sucha - wyszeptała. Trzykrotnie powtórzyła bezbłędnie.

Mogła się założyć, że tak jak teraz, będzie całkiem trzeźwa, ale mały test nigdy nie zaszkodzi. Teraz sama przekonała się, iż bez trudu podoła Amaretto albo, zależy od reszty towarzystwa, odrobinie Grand Marnier lub kieliszkiowi koniaku do deseru. Potem niektórzy pójda do baru cygarowego tuż za rogiem, gdzie wypiją jeszcze kolejkę w czasie palenia i zamierzała być jedną z nich, jeśli tak potoczy się wieczór.

Spojrzała na swe odbicie raz jeszcze i coś w jej oczach zatrzymało ją na moment. Och, wiedziała, że jest wystarczająco olśniewająca, tego można być pewnym. Jej ciemne włosy, sięgające nieco poniżej ramion, mieniły się bordowymi pasemkami - naturalnymi, dziękuję bardzo, jako że miała dopiero trzydzieści trzy lata. Pasma jasnych piegów zaczynało się na obu gładkich policzkach i stykało na nosie, który mógł wyjść spod pędzla Modiglianiego. Być może w technicznym sensie jej podbródek był zbyt mały, a wargi zbyt

pełne, lecz w telewizji stanowiły tylko zaletę. W kąciakach swych pięknych zielonych oczu dostrzegła, jak delikatna siateczka zmarszczek pojawia się, by zniknąć jak przewidzenie. Pochylając się do przodu, próbowała dostrzec, co kryje się w tych wpatrujących się w nią oczach. Ale nie istniała gotowa odpowiedź, a ona nie mogła już dłużej tu siedzieć, chyba że chciała zwrócić na siebie uwagę przynajmniej jednego z mężczyzn przy stole, a tego nie chciała. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na to.

Wyprostowała się, oblizała usta, czerwoną pomadkę i uśmiechnęła się do siebie. Wymknęło jej się ciche westchnięcie, ale nie była go świadoma.

- Wszystko dobrze - powiedziała na głos do swego odbicia. - Wyluzuj. Nic na siłę.

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała ramiona, złapała za klamkę i wróciła na salę restauracyjną.

* * *

Hunt sięgnął po swoje wino, podniósł kieliszek do ust i zatrzymał się, ujrawszy obraz. Odnotowując toczącą się w tle dyskusję na temat losu Randy'ego Donolana, patrzył, jak boska Andrea Parisi idzie z gracją ślalomem przez zatłoczoną restaurację z powrotem do stolika. Z uwagi na swe szczęśliwe miejsce pod ścianą, będzie znajdowała się w polu jego widzenia aż usiadzie.

Wszystko dokoła ucichło.

Deser i znowu o TV Proces.

- Spence i tak nigdzie nie pojedzie - powiedział Hunt. - Nie po sprawie z Palmerem dziś rano. Sędzia federalny zostaje zastrzelony, sprawa rozgrywa się na scenie narodowej.

- Ale nie od razu - powiedział Farrell. - Nawet jeśli kogoś znajdą i oskarżą, to jeszcze przez lata nie będzie procesu.

- Stawiam milion dolarów, że to związek strażników więziennych - powiedział Brandt. - Zamierzał ich zamknąć, no to go zlikwidowali.

- Zbyt oczywiste - Farrell pokręcił głową, aż jego loki się zatrzęsły.

- A dziewczyna akurat przypadkiem tam była? Nie wydaje mi się, Jason - zgodziła się Wu.

- Amy ma rację - Tombo wypił resztę swojego wina. - Nie musimy *cherchez la femme* w tym przypadku. Już w tym jest, żona. Gwarantuję, że to o nią chodzi.

- Zdecydowanie żona - powiedziała Sam. - Dowiedziała się, skonfrontowała go, adios.

- Tyle, że słyszałem, że nie było jej w domu - powiedział Tombo.

- Tylko, poczekajcie - mówiła Sam, kiwając palcem wskazującym. - Okaże się, że to ona.

- Ja też tak myślę - wtrącił Fairchild. - Albo żona to zrobiła, albo komuś zleciła.

- Coś wiadomo o drugiej ofierze? - spytała Wu.

Hunt zorientował się, że pewnie to on ma najświeższe wiadomości.

- Devin mówi, że nie. Ale nawet jakby wiedział, to by mi nie powiedział.

- Nawet tobie, bliskiemu przyjacielowi? - spytał Brandt. Skinięcie.

- Powiedziałem, że to niesprawiedliwie, potem trochę płakałem, ale nie zadziało.

- Hunt we łzach - powiedziała Wu. - Chciałabym to zobaczyć.

- Ej, przestań! Jesteś okrutna - Hunt położył rękę na sercu. - Ja płaczę. Mam uczucia. Płaczę w czasie reklam Hallmarku, na ślubach, czasami płaczę dla przyjemności. Płacz to nowy śmiech.

- Spróbuję - powiedziała Wu. - Ile miała lat? Dziewczyna.

- To Devin wiedział - odparł Hunt. - Niewiele ponad dwadzieścia - pauza.

- Palmer miał sześćdziesiąt trzy.

- OK - wtrącił Fairchild. - To rozumiem. Jak tylko zacznie się proces, wszystkie kamery Ameryki będą w San Francisco. Szczególnie, jeśli to żona jest winna.

- To była żona - powtórzyła Sam. - To zawsze żona, oprócz przypadków, w których to mąż - poklepała Farrella po dłoni.

- To właściwie główny powód, dla którego ja i Wes nie jesteśmy małżeństwem. Żeby się nie pozabijać.

Wu spojrzała na pierścionek zaręczynowy, po czym na narzeczonego:

- Ja nadal chcę się pobrać. Obiecuję cię nie zabić.

Brandt pocałował ją w policzek.

- Ja też.

- Umieście to sobie w przysiędze małżeńskiej - powiedział Tombo. Wszyscy zaczęli się śmiać, ale w środku tej radości Hunt zerknął na Andreę Parisi, która wydawała się być myślami gdzie indziej, ale widząc, że na nią patrzy, uśmiechnęła się uśmiechem, który nic nie stracił na swym uroku, mimo iż był ewidentnie wymuszony.

Sam i Wes poszli po obiedzie do domu, a cała reszta towarzystwa przeniosła się do Okcydentalnego Klubu Cygarowego, tuż za rogiem, niedaleko od „U Sama”, na Pine. Klub miał na drzwiach wywieszoną „To nie jest klub zdrowotny” dla tych, którzy nie zważając na chmury dymu, mogliby zawędrować tu w celu trenowania, ubrani w lycrę i potniki.

Właściciele lokalu znaleźli sposób, żeby obejść surowe rozporządzenia an-

tynikotynowe władz miasta. Żaden dostawca alkoholu, cytując ojców miasta, nie mógł pozwolić na palenie w zamkniętej nieruchomości, ponieważ biernie palenie jest szkodliwe dla pracowników. Wyjątek stanowi przypadek, gdy właściciel małego baru jest pracownikiem. A więc w Okcydentalnym wszyscy pracownicy posiadali mały udział w interesie.

Hunt, siedzący z Jasonem i Amy przy frontowym oknie - wszyscy musieli pracować następnego dnia - zrezygnował z alkoholu w czasie obiadu i pił teraz kawę bezkofeinową. Wu paliła małe Sancho Panza, a Hunt i Brandt - Monte Cristos.

Oczy Hunta podążyły do baru. Widział Fairchilda, Tombo i Parisi nad świeżą kolejką w szklankach. Poważne trunki.

- Będzie bolało jutro - powiedział.

Wu zerknęła na nich.

- Andrea łoi cały wieczór, Wyatt, jeśli nie zauważyłaś. Będzie jutro umierała, ale tylko na nią popatrz...

- Tego nie musisz mu mówić - powiedział Brandt. - Patrzeniem się już zajął.

Hunt rzucił mu śmiertelnie poważne spojrzenie:

- Siedzę do nich przodem, Jason. Mam odwracać wzrok. Poza tym istnieje dużo gorszych rzeczy, na które można patrzeć.

- Oj, oj, jak się broni - powiedziała Wu. - Przekażę Andrei, co powiedziałaś.

Hunt napił się kawy.

- Nie sądzę, aby moja opinia miała wpływ na jej światopogląd.

- Nie oszukuj się - powiedział Brandt. - Od czasu do czasu bardzo dobrze się o tobie wyraża.

- Z pewnością - odparł Hunt. Po czym spytał, usiłując, by zabrzmiało niezobowiązująco. - Co mówi?

Brandt wypuścił trochę dymu.

- Lubi, gdy zdarzy się wam spotykać w czasie porannego joggingu. Mówi, że często jest to najlepsza chwila w ciągu dnia, wy oboje sapiący wzdłuż Embarcadero.

Hunt pracował z Parisi, reprezentującą firmę Piersall-Morton - od niemal roku. Uważał, że jest bardzo atrakcyjna, ale ich kontakty były stricte zawodowe. Kilka miesięcy temu spotkali się przypadkowo w czasie porannego joggingu. Szósta rano, gęsta mgła, Parisi powiedziała mu, że nie sądziła, iż jest takim samym idiotą jak ona. Biegł z nią aż do zatoki, gdzie zawróciła, oboje niewiele mówili.

Od tamtej pory spotkania nie były przypadkowe. Teraz Hunt wychodził z domu zawsze o tej samej porze, obierał tę samą trasę i nigdy się nie umawia-

jąc, spotkali się już kilkadziesiąt razy. Nigdy nie brał pod uwagę, że ona też może to planować.

- Co jej się w tym podoba? - spytał.

- Nie marudzisz - odparła Wu.

- Fakt. Sądzę, że nie powiedziałem do niej więcej niż sto słów.

- I to jej się podoba - odparł Brandt. Najwyraźniej on i Wu rozmawiali o tym. - Traktujesz ją jak zwyczajną osobę.

- Ona **jest** zwyczajną osobą - powiedział Hunt, omiatając ją ponownie wzrokiem. - W dresach i włosach spiętych w kitkę, - brodą wskazał trio medialne. - Ale tam, to nie jest zwyczajna osoba. To gwiazda.

- Cóż - powiedział Brandt - to również ona. Choć nie wydaje mi się, żeby była taka szczęśliwa albo przekonana.

- No to świetnie udaje - powiedział Hunt.

- Stara się wszystko poukładać - Wu wydmuchnęła dym.

- Znaczy, nie widzicie, jakie to kuszące? Nowy Jork. Sława i splendor. Każdego dnia w TV. Wielkie pieniądze. Wiecie, co robiła przez cały ten czas, pracując nad sprawą Donolana?

- Myślałem, że minimum - powiedział Hunt. - Wydawało mi się, że jest to głównie reklama dla jej firmy.

- Nie - Brandt pokręcił głową.

- Zaczęła od pięciu tysięcy tygodniowo - powiedziała Wu - i dostała świetne notowania. Teraz zarabia dwadzieścia. Hunt niemal zachłysnął się kawą.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów tygodniowo? Za maksymalnie trzy komentarze dziennie?

- Jeśli pojedzie do Nowego Jorku - powiedział Brandt - to będzie pięćset tysięcy rocznie - i szybko rośnie.

- Co - dodała Wu - bije na głowę siedemdziesiąt godzin tygodniowo u Piersalla.

- To bije na głowę wszystko, o czym do tej pory słyszałem - powiedział Hunt. Spojrzał na ludzi przy barze. - Nic dziwnego, że próbuje to ponaglić.

- Cóż - Wu niemal tęsknie odwróciła się, by spojrzeć. - Ale jak powiedziałeś, jest zwyczajną osobą.

Przy barze, akurat gdy spojrzeli, Parisi stuknęła się kieliszkiem z Fairchildem, a jej wspaniały kontrakt rozległ się śmiechem w klubie. Wu napiła się espresso.

- Obawiam się, że ona ze sobą walczy.

Hunt pochylił się w stronę Wu.

- Co masz na myśli?

- Nie musiałyby się tak poić, jakby wszystko szło gładko. Mówię o wielkiej osobowości, gwiazdorstwie. Nie musisz tyle pić, jak jesteś szczęśliwy, Wyatt. Wierz mi, wiem o czym mówię.

- Może po prostu się dobrze bawi - Hunt nie odrywał wzroku od Andrei.
- Może - przyznała Wu. - Ale, jak ja tak balowałam, nie tak dawno temu, wcale nie byłam szczęśliwa. Ukrywałam się.
- A ja cię znalazłem - powiedział Brandt.
Uniosła jego dłoń i pocałowała.
- I Bogu niech będą dzięki.
- Wynajmijcie sobie pokój - powiedział Hunt.
Brandt przejechał dłonią wzdłuż pleców Wu.
- Może powinniśmy.

Ponownie dobiegł ich śmiech Andrei Parisi. Przy barze zamówili kolejną kolejkę i ponownie stuknęli się kieliszkami.

Pół godziny później Wu i Brandt już nie było. Skończywszy cygaro, Hunt wstał, gdy oni wyszli, ale przed opuszczeniem lokalu zerknął na Andreę przy barze. Nie zastanawiając się nad tym, usadowił się na stołku przy ścianie, w kącie, z tyłu, gdzie bynajmniej nie był niewidoczny.

Tombo też już nie było. Tylko Fairchild i Parisi, z głowami pochylonymi ku sobie. Widząc jej skupioną, nagle pustą twarz, Huntowi trudno było wyobrazić ją sobie śmiejącą się z czegokolwiek. Odwróciła twarz od Fairchilda, a w odbijającym się od jej twarzy przyćmionym, bursztynowym świetle, Hunt zdał sobie sprawę, że patrzy na ślad łzy, a Andrea płacze.

Fairchild pochylał się w jej stronę, gdy w mgnieniu oka wyprostowała się i odwróciła w jego stronę. Jej dłoń poruszyła się szybko. W tej samej chwili rozległ się odgłos policzka wymierzonego Fairchildowi oraz ostre: „Pieprz się!”, co razem wywołało ciszę w barze. Ponownie: „Po prostu pieprz się, Spencer!”.

I już wstawała ze stołka, by niepewnym krokiem obejść bar w stronę drzwi. W pełnej napięcia ciszy Hunt usłyszał gardłowy szloch, gdy otworzyła drzwi wystarczająco mocno, by uderzyły o ściany na zewnątrz. Zatrzymała się na chwilę, po czym skręciła w prawo i zaczęła biec.

Hunt podniósł się, nim drzwi się zamknęły i wyszedł za nią. Była mniej niż sto stóp przed nim. Odgłosy, jakie wydawała, odbijały się echem od śródmiejskich budynków. Niemal łkała - w rytm jej kroków rozlegało się nieustające, choć rwane, zawodzenie. Hunt zawołał ją po imieniu, po czym zaczął za nią biec.

Przed następnym rogiem ulica opadała ostrzej i Parisi krzyknęła zaskoczona, zahamowała gwałtownie i potoczyła się z jękiem do rynsztoka na Montgomery Street. W kilka sekund Hunt był przy niej, usiłując ją odwrócić i sprawdzić, czy nic jej nie jest.

Ale słysząc męski głos, jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła dziko okładać go na oślep, krzycząc:

- Nie! Nie! Nie! Zostaw mnie w spokoju.

Miotła się, ale jej nie puścił:

- Andrea, już dobrze. Już dobrze. To ja, Wyatt. Parisi wciąż się wita, potwarzając:

- Nie, nie, nie, nie.

- Andrea, to ja, Wyatt. Podnieśmy cię.

- Nie mogę - zamknęła oczy. - Niedobrze mi.

Hunt odwrócił jej głowę, gdy wyrzuciła z siebie kilka ostatnich drinków i większość obiadu.

- Dobrze - powiedział. - Już dobrze. Wyrzuc to z siebie. Nic ci nie będzie. Kiedy skończyła, ściągnął krawat, wytarł jej twarz, po czym zostawił go w rynsztoku. Podnosząc, przesunął ją z krawężnika. Hunt posadził dziewczynę pod ścianą najbliższego budynku i poszedł podnieść jej torebkę, która poleciała na środek ulicy, gdy Andrea upadała. Kiedy wrócił, miała zamknięte oczy, oddychała nierówno. Ukucnął i dotknął jej policzka.

- Andrea, słyszysz mnie? Ledwo się poruszyła.

- Myślisz, że możemy zabrać cię do domu? Brak odpowiedzi. Otworzył jej torebkę, wyjął portfel i zaczął szukać jej adresu. Mieszkała na Larkin Street, daleko na północnym krańcu miasta. Hunt spojrzął na zegarek - niemal północ. Mimo że w dzień zatłoczona, w nocy Montgomery Street była całkiem wyludniona. Przez cały czas, gdy tu byli, nie minął ich ani jeden samochód.

Teraz Hunt dostrzegł zbliżającą się do nich taksówkę. Stał na brzegu jezdni i wyciągnął rękę. Gdy zatrzymała się, Hunt podszedł do kierowcy:

- Moja dziewczyna trochę za dużo wypija - powiedział, wskazując na Parisi. - Jeśli mógłby pan chwilę zaczekać.

Taksiarz był Murzynem w średnim wieku, ubranym w czapkę Gigantów i kurtkę.

- Pomóc panu? - spytał.

Po chwili leżała na tylnym siedzeniu, nieprzytomna.

- Chce ją pan zawieźć na pogotowie?

Hunt niemal przytaknął, ale zdecydował, że to mogłoby przysporzyć jej jeszcze więcej problemów. Oddychała. Wypiła dużo za dużo, ale nie umrze od tego. A pogotowie oznaczało komplikacje w związku z jej pracą i telewizją. Nie chciał robić jej więcej problemów. Chciał jej po prostu pomóc.

- Nie trzeba. Do domu - podał swój adres.

Taksówka skręciła i kierowca dodał gazu.

8

Poranne przesłuchania Jeannette Palmer oraz sprawozdania dla FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego zabrały Juhle'owi i Shiu czas na lunch. Z asystentem koronera, Janey Parks, pojechali do śródmieścia, gdzie wzięli własny samochód i wrócili na Clay Street porozmawiać z sąsiadami i sprawdzić wyniki z laboratorium.

A nie było ich zbyt wiele.

Dzięki kuli, którą Juhle znalazł w książce, kaliber narzędzia zbrodni określono na .22. Bazując głównie na dokładności strzałów i pozostałości prochu na biurku, ludzie z zakładu medycyny sądowej oszacowali, że strzelec stał bardzo blisko lub przy samym biurku. Kolejne testy miały na celu rozwinąć wstępne dane, które, w najlepszym przypadku, były pobieżne. Skłoniły one Shiu do założenia - na podstawie rozbryzgu krwi i kąta trajektorii przez książkę - że strzelec był niskim mężczyzną lub kobietą.

Juhle obruszył się. Wiedział, iż istnieje zbyt wiele zmiennych w pozycjach broni i celu względem siebie, by wyciągać wnioski. Jak można było, na przykład, odróżnić wysokiego mężczyznę strzelającego z biodra, od niskiego mężczyzny trzymającego broń w wyciągniętej dłoni. Nie mógł się powstrzymać.

- A więc kobieta albo mężczyzna. No popatrz. A moim pierwszym podejrzanym był szympans.

Rozmowy z sąsiadami też nic nie przyniosły, z jednym wyjątkiem. Shari Levin, która mieszkała dokładnie naprzeciwko Palmerów, a która poszła na brydża około dziewiętnastej trzydzieści, zauważyła zaparkowany na ulicy samochód, należący, jak sądziła, do pani Palmer. Zwróciła na niego uwagę, bowiem zastanowiło ją, czemu nie zaparkowała, jak zwykle, na swym podjeździe. Przynajmniej był to ten sam typ samochodu, jeden z tych cabrio „jakię się ciągle widzi”.

Wiedziała, że pani Palmer jeździ tym BMW Z4, który zaparkowany był obecnie na jej podjeździe, i zdawało jej się, że to był ten samochód, ale za padł już wtedy niemal zmierzch, a samochód jest ciemny. Juhle i Shiu zapisali informacje, wiedząc doskonale, iż jeśli nie był to samochód pani Palmer, mógł równie dobrze okazać się audi, porsche albo mercedesem. Nawet hondą. W bardziej drobiazgowym przesłuchaniu pani Levin przyznała jedynie, iż rzuciła tylko okiem i ledwo zauważyła, że na ulicy, prosto w linii podjazdu, stał samochód, który w tamtej chwili, pomyślała, należy do pani Palmer. Do kogo innego mógłby przecież należeć?

A więc niezupełnie wyprowadzili sprawę na szerokie wody przez kilka pierwszych godzin. Nie żeby na to liczyli, ale publiczna wyrozumiałość wo-

bec wolnego postępu nie jest długotrwała. Szef policji Batiste nie pozostawił co do tego wątpliwości, mówiąc w czasie popołudniowej konferencji prasowej, że morderstwo sędziego federalnego uderza w samo serce naszego wolnego społeczeństwa i że zatrzymanie winnego tej potworności będzie najwyższym priorytetem jego wydziału policji, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana. Słowa „mój wydział policji” nie wróżyły nic dobrego. Przypisze sobie zasługę za sukces i weźmie na siebie winę porażki. Obiecał wyniki - wkrótce.

Juhle nie cierpiał, gdy tak się zachowywali. Batiste nie miał pojęcia, gdzie jest śledztwo, jaki mają materiał; nie miał najmniejszego wyobrażenia o złożoności przestępstwa. Właściwie to nikt jeszcze nie miał. Ale Batiste obiecywał rychłe wyniki. Głupio i daremnie, a teraz wszystko spoczęło na barkach Juhle'a i Shiu.

Dzięki szefie. A ty się dziwisz, czemu morale padło?

Na konferencji prasowej Batiste podkreślił napięcie o jeszcze jeden stopień, ogłaszając, iż on i burmistrz West przeznaczili na tę sprawę specjalną pulę, co oznaczało uwolnienie, poza budżetem policji, nieograniczonych funduszy z ogólnego funduszu miasta na dochodzenie.

Nie było co do tego wątpliwości: jeśli Juhle i Shiu nie czuli od początku presji, a czuli, to teraz byli ugotowani. A nawet nie zidentyfikowali jeszcze drugiej ofiary. Wszystkie typowe metody nie przyniosły żadnych skutków. Nie było jej w kartotece kryminalnej, nie była w wojsku, w żadnej agencji pracy, do której się zgłaszała, nie składała nigdy odcisków palców. Odciski palców wysłane do wydziału drogowego, wróciły z negatywnym wynikiem.

Nie miała nawet prawa jazdy.

Była niemal pierwsza rano, gdy Shiu zaparkował samochód na parkingu policyjnym za Pałacem Sprawiedliwości. Półprzyciemni i milczący weszli na górę zewnętrznego korytarza, który zaprowadził ich do kostnicy.

Noc była jasna, zimna i cicha.

Shiu nacisnął nocny dzwonek koronera - Juhle nie brał od rana żadnych środków przeciwbólowych, więc jego zdrowa ręka pulsowała. Po chwili sylwetka Janey Parks pokazała się na tle zaciemnionej wnęki zewnętrznego biura. Janey była wydajnym, choć zazwyczaj sympatycznym biurokratą i to ona podwiozła ich do miasta dwanaście godzin wcześniej.

Otworzyła drzwi, po czym poprowadziła ich z powrotem pomiędzy biurkami tam, skąd przyszła, od razu zaczynając:

- Świadkiem jest Mary Mahoney. Pracuje jako kelnerka w MoMo. Lat dwadzieścia siedem. Zgłosiła się dobrowolnie. Żadnych wątpliwości w czasie identyfikacji. Pozytywna.

Co do ostatniego, to nie była raczej niespodzianka, ponieważ twarz młodej kobiety nie została tknięta przez kulę. Tajemnica, którą panna Parks rozwią-

zała wcześniej tego dnia, otwierając usta ofiary obleczoną w gumową rękawiczkę dłonią i oświetlając wnętrze jamy ustnej latarką, gdzie odkryła ranę wejściową na tylnej ścianie gardła. Dziewczyna musiała mieć otworzone usta, gdy oddany został strzał. Wszystkie zęby były nienaruszone. Kula nie miała wystarczającej siły, by przebić czaszkę, nie było zatem rany wyjściowej.

- Ale, jeny, człowieku, w środku narobiła trochę zniszczeń - powiedziała Janey. - Odbiła się rykoszetem w górę i poobijała czaszkę jak kuleczka w pinballu. Mózg wyglądał jak jajecznicza.

- Hej, świetnie. Cudowny szczegół. Dzięki, Janey - był to jeden z tych obrazów, które miały zwyczaj utkwienia Juhle'owi w głowie i budzenia go zlanego potem. Ale otrząsnął się - i tak wróci, by go nawiedzać, trafi go rykoszetem, jak zwykle.

Dotarli do biura Johna Strouta, lekarza sądowego dobrze po siedemdziesiątce, który już dawno przestał się przejmować formalnymi aspektami swego zawodu. Miejsce to stanowiło muzeum dziwactw, całkowitej makabry i niebezpieczeństwa. Trzy granaty ręczne na jego biurku, rzekomo sprawne, służyły za przyciski do papieru. Przy wejściu do chłodni kostnicy, na autentycznej, zabytkowej garrocie spoczywał szkielet z fajką w zębach i jedwabnym sznurem dokoła szyi. Na wysuniętej półce regału Strout trzymał swoją kolekcję noży, mosiężnych kastetów, ostrych i śmiercionośnych narzędzi ninja. Opartych o ścianę stało kilka strzelb i wiatrówek. W ogromnym terrarium na środku biura - co technicznie niezgodne było z prawem - trzymał swoje ulubione narzędzia zbrodni użyte w sprawach, nad którymi aktualnie pracował. Wiele z nich pokrytych było plamami krwi: boleć do lodu, zlewka pełna pustych strzykawek, kij baseballowy, różnorodne pogrzebacze i tępe narzędzia, jeszcze kilka noży o wyjątkowo wymyślnych kształtach.

Nawet jeśli odwiedzający nie doświadczył własnie identyfikacji zmarłej, bliskiej osoby, to miejsce to działało deprymująco. A na dodatek Parks przyciemniła światła, co wzmagało nastrój grozy.

Juhle pstryknął włącznik i pokój rozjaśnił się. Pomogło.

Mary Mahoney siedziała z ramionami ciasno splecionymi na klatce piersiowej, oczy miała zaczerwienione od niedawnego płaczu. Juhle przysunął do niej drewniane krzesło i usiadł. Zauważył, że Parks usiadła na miejscu Strouta.

Usiadłszy na swoim stołku, Shiu przełamał lody.

- Chciałbym podziękować pani za dzisiejsze zgłoszenie się. Nie każdy by tak postąpił.

- Nie wiedziałam, co innego zrobić - powiedziała panna Mahoney.

- Postąpiła pani słusznie - powiedział Shiu. - Każda minuta, którą zaoszczędzamy we wczesnym stadium dochodzenia, zwiększa nasze szanse na

znalezienie sprawcy.

- Tak myślałam - panna Mahoney miała krótkie, nastroszone czarne włosy, szeroko rozstawione, wilgotne, brązowe oczy - jej najatrakcyjniejsza cecha - usta, w które wstrzyknięto kolagen, oraz nos, z którym się nie urodziła. Efekt nie był bynajmniej negatywny.

- Zatem, jak pani doszła do tego, iż mogła to być... pani przyjaciółka? - spytał Shiu.

- Staci. Staci Rosalier - kontynuowała cichym głosem. - Kiedy przyszedłam około czwartej do restauracji, wszyscy mówili o sędzim, o tym, co się stało. Wie pan, on tam jadał, prawie każdego dnia. Nikt nie mógł w to uwierzyć. No i wtedy, nie wiem dokładnie kiedy, ale po tym, jak zaczął się cały ten rejwach, usłyszałam coś, że była z nim kobieta. Młoda kobieta. Nie żona - popatrzyła na Shiu, po czym przeniosła wzrok na Juhle'a, który przytaknął, zachęcając ją, by mówiła dalej. - No i - cały wieczór mieliśmy pełno ludzi - ale zaczęłam się martwić. Więc jak miałam chwilę - jakoś około dziesiątej trzydzieści - zapytałam jedną z kierowniczek, czy mogłaby sprawdzić, czy Staci miała dziś pracować. Jak ją poznałam, to pracowała w porze lunchu, tak jak ja. I tak się zaprzyjaźniłyśmy, nie?

- Więc - zapytał Juhle - spytała pani kierowniczkę, czy Staci przyszła?

- Tak. Ale nawet nie dzwoniła. A Staci nigdy nie opuszczała pracy. W czasie lunchu była jak skała - Mahoney zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. - No i, w każdym razie, jak się o tym dowiedziałam, to zaczęłam się poważnie martwić.

- Więc jaki był związek między Staci a sędzią Palmerem? - wtrącił Shiu. - Co panią tak zaniepokoiło?

Ale nagle Mahoney zaczęła kręcić głową z boku na bok. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie mogę uwierzyć, że tylko tyle z niej zostało. To znaczy, przecież była taka słodka. Kto mógłby jej coś takiego zrobić?

- Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć - powiedział Shiu. Mahoney zamilkła. Shiu dał jej chusteczkę i wytarła oczy.

- Możliwe, że jestem jedyną osobą, która o tym wie, ale Staci i sędziego coś łączyło.

- Mówi pani o romansie? - spytał Juhle.

- Nie do końca. Może więcej. Utrzymywał ją, wie pan. Płacił jej czynsz.

- Mary, czy wie pani, jak długo to trwało? - spytał Juhle.

- Oni? Nie wiem dokładnie, ale przynajmniej od ostatniej jesieni. Ale do nowego mieszkania wprowadziła się jakieś parę miesięcy temu.

Inspektorzy wymienili spojrzenia. Juhle odezwał się.

- Nowe mieszkanie?

- Naprzeciwko restauracji MoMo. W tych nowych poddaszach.

Juhle je znał. Ceny za jednopokojowe studio zaczynały się od czterystu tysięcy dolarów i kończyły na ponad milionie za apartament. Jeśli sędzia Palmer podarował Staci Rosalier jedno z tych mieszkań, to był to poważny związek.

- Była pani kiedykolwiek w tym mieszkaniu? - spytał Shiu.

- Parę razy, choć Staci niewiele o tym mówiła. Nikomu by nie powiedziała o tym, co było między nimi, ale to rozumiała.

- Ale pani powiedziała - oznajmił Shiu.

- Byłyśmy prawdziwymi przyjaciółkami. To było takie super, że komuś musiała powiedzieć - lzy spłynęły jej po twarzy. - Ja... - zaczęła, po czym opuściła głowę i zamilkła.

Juhle dał jej chwilę. Po czym zapytał łagodnie:

- Ma pani na myśli nowe apartamenty na Drugiej, dokładnie naprzeciwko MoMo?

Podniosła na niego wzrok i przytaknęła.

- Dlaczego to musiało się stać? - spytała.

Juhle nie znał odpowiedzi.

Zarządca budynku, Jim Franks, nie był zbyt zadowolony, gdy obudzono go za dziesięć druga w nocy. Temu blademu, brzuchatemu mężczyźnie w średnim wieku, zejście na dół do drzwi zajęło niemal dziesięć minut, a kolejną, bardzo długą minutę znalezienie pośród dwunastu kluczy tego odpowiedniego. Juhle i Shiu stali cały czas na zewnątrz w przejmującym zimnie - niecierpliwi, milczący, poważni.

Franks zarzucił wygniecione brązowe spodnie i poplamiony T-shirt z nadrukowaną na przodzie butelką Corony. Otworzywszy drzwi, cofnął się kilka kroków:

- To nie mogło poczekać do rana?

Juhle pokazał Frankowski nakaz, jakimś cudem przyjął tolerancyjną minę i powiedział:

- Panie Franks - zaczął rozmownym tonem - proszę mi wierzyć na słowo, iż my również dużo chętniej robilibyśmy to rano. Ale kobieta, która mieszkała w tym budynku, została zastrzelona przedwczorajszej nocy i uważamy, że nie zasłużymy na chwilę odpoczynku, dopóki nie znajdziemy jakiegoś śladu sprawcy, czego nie mamy. Wydaje nam się, iż możemy znaleźć w jej mieszkaniu coś pomocnego. Czy może pan to zrozumieć?

Mały wykład dokonał swego. Nagle Franks stał się mniej wrogi.

- Powiedział pan Staci Rosalier? Nie żyje?

Juhle skinął potwierdzająco.

- Została zidentyfikowana godzinę temu przez przyjaciółkę, która powiedziała nam, że ofiara tu mieszkała. Dlatego pana niepokoiśmy.

- Chcecie zobaczyć jej mieszkanie? - ale nagle coś sobie przypomniał. - Nie musicie mieć do tego jakiegoś nakazu?

Juhle westchnął i jeszcze raz wyjął dokument.

- W porządku - powiedział w końcu Franks. Poszli w dół ciemnego korytarza na pierwszym piętrze do biura, gdzie Franks udał się do szafki, otworzył ją przy trzecim podejściu i zdjął klucz z haczyka. - Proszę - powiedział, podając go Juhle'owi.

- A teraz, jeśli to wszystko...

Shiu, niezadowolony udawać spokoju, stał przy drzwiach, ramiona miał skrzyżowane na torsie. Juhle spojrzął na partnera, po czym zwrócił się ponownie do Franksa.

- Jeszcze kilka pytań.

Wzdychając przesadnie, Franks oparł się o róg biurka. Ręką potarł oczy.

- Dobra, słucham?

- Czy zauważył pan, by miała gości?

- Nie wydaje mi się. Ludzie mogli do niej przychodzić, kiedy tylko chcieli.

- Ale nie zauważył pan nikogo szczególnego?

- Cały czas ktoś się tu kręci. Nie zwracam za bardzo uwagi - odparł Franks, patrząc na zegar ścienny. - Powiedział pan, że macie tylko kilka pytań...

- Zgadza się - Juhle'owi zdało się, że naprawdę poprawia mu się humor - pomimo godziny, pomimo połamanych kości. - Oto kolejne: pamięta pan, by ktokolwiek ją odwiedzał w ciągu kilku minionych dni? Ktokolwiek niezwykle?

- Przykro mi - odparł Franks. - Po prostu nigdy nie zwracałem na to uwagi. Mamy niemal tysiąc mieszkańców, wszyscy mają przyjaciół i rodziny, większość z nich niezwykle, w taki czy inny sposób. Ludzie przychodzą i wychodzą cały czas - Franks podniósł się z biurka. - A teraz, jeśli nie jestem już potrzebny, wracam do łóżka. Jak skończycie, to klucz możecie wrzucić do skrzynki.

- Dziękujemy panu - powiedział Juhle. - Doceniamy pańską współpracę. Franks wzruszył ramionami.

- Nie ma problemu.

W windzie Juhle zerknął na Shiu.

- Sympatyczny facet.

- Jak z tym nie miał problemu - odparł Shiu - to chciałbym zobaczyć, jak coś jest dla niego problemem.

- Jest zmęczony - odrzekł Juhle, wzruszając ramionami.

- A kto nie jest?

- Powiedz to biednym duszom w czyścicu.

- Co to niby takiego?

- Czyściec? Rodzaj poczekalni przed rajem, choć coś słyszałem, że już nie istnieje. To by ci dopiero było, nie? Co by się stało z tymi wszystkimi duszami, które tam czekały, jeśliby zdecydowali, że już go nie ma?

- To było poważne pytanie? Pospieszmy się.

Staci Rosalier mieszkała na czwartym piętrze, trzy kroki od windy, co stwarzało małe niebezpieczeństwo, że ktoś rozpoznałby sędziego w czasie odwiedzin.

Otworzyli drzwi i zapalili światło. Mieszkanie było luksusowe i nowoczesne w stylu i wystroju, ale mniejsze niż Juhle sobie wyobrażał. Dwadzieścia stóp długości, może piętnaście szerokości.

Przy barze biegnącym po ich lewej stronie stały cztery stołki, a za nim niska kuchenna ze zlewem i dwupalnikową kuchenką. Kontuar kończył się dokładnie przy drzwiach do małej łazienki, zaopatrzonej jedynie w prysznic. Naprzeciwko znajdowała się zabudowana szafa wnękowa i wbudowane regały wypełnione książkami w miękkich okładkach. Ścianę z tyłu stanowiło w całości okno, zasłony odsunięte po obu stronach, widok na boisko. Zgadywał, że kanapa się rozkładała. Na kiczowatym dywaniku stał niski stolik, a w rogu pod lampą do czytania wygodny, brązowy, skórzany fotel.

- Wygodne życie - powiedział Shiu.

- Nie podoba ci się?

- To pokój hotelowy. Nikt tu nie mieszka.

- Nie, popatrz - powiedział Juhle - żonkile na barze. Książki na półkach.

Zapalił stojącą na małym stoliku przy sofie lampkę do czytania o trzech żarówkach i podniósł dwa oprawione zdjęcia, jedno - bardzo rozmyte - uśmiechniętego chłopca, a drugie sędziego Palmera.

- Prywatne zdjęcia. Mieszkała tu, Shiu. Po prostu nie miała za dużo miejsca.

Shiu był już za barem, przeglądając zawartość szafek, szuflad, lodówki. Sięgał do szafki, gdy Juhle złapał go za ramię:

- Rękawiczki - przypomniał.

Juhle otworzył inną szafkę, wypełnioną ubraniami i tuzinem, lub więcej, par butów. Staci oznaczyła wieszaki kolorami. Odwrócił się.

- Znalazłem portfel - na wbudowanej komodzie. Wróciwszy do pokoju, usiadł na sofie i zaczął opróżniać zawartość portfela na stolik przed sobą. Znowu gotówka - cztery pięćdziesiątki i cztery jedynki. Karty kredytowe. Karta do biblioteki. Ubezpieczenie społeczne. Costco. Mniejsza wersja tego samego rozmytego zdjęcia chłopca. Zdjęcie szeroko uśmiechniętego sędziego - dużo swobodniejsze niż formalne biurowe zdjęcie, które oprawiła i trzymała w pokoju, a Juhle stwierdził, iż zrobione zostało w fotelu w rogu pokoju.

Juhle nieświadomie westchnął, przyciągając uwagę Shiu.

- Co?

- To dziwne.

- Co?

Juhle wzruszył ramionami, pokazując mu wizytówkę:

- Andrea Parisi - widząc pozbawione wyrazu spojrzenie Shiu, zastanowił się szybko i dodał - telewizyjny ekspert w sprawie Donolana?

- A - Shiu połączył osobę z nazwiskiem, ale ani ono, ani wizytówka nic dla niego nie znaczyły. - No i co w tym dziwnego? Zadaje się z sędzią, to zna kilku prawników. A w dodatku - dodał - wiesz tak dobrze jak ja, że MoMo to znana przystań prawników.

- Masz rację - Juhle nie widziała żadnego powodu, by powiedzieć Shiu, że jego kumpel Wyatt biegał z nią czasami. I że zamęczał go fantazjami na temat Andrei Parisi przez około sześć minionych tygodni. Zamiast tego, włożył wizytówkę oraz całą resztę z powrotem do portfela. - Dziwne tylko, że to jedyna wizytówka, którą zachowała.

Shiu był innego zdania.

- Może, jak każda kelnerka na świecie, chciała dostać się do telewizji.

- Nie tu. To w L.A.

- Wszędzie - powiedział Shiu. - To prawda uniwersalna. Tak czy inaczej, założę się, że w którejś szufladzie znajdziemy stertę wizytówek. Albo Staci dostała ją i nie zdążyła jeszcze wyrzucić. Poza tym obaj wiemy, że to nie ma żadnego związku z Andrea Parisi.

- Moglibyśmy udawać. Spędzić trochę czasu z jej śliczną osobą - Juhle uśmiechnął się, nie usłyszał żadnej odpowiedzi, spróbował ponownie. - Spędzić trochę czasu z jej...

- Słyszałem cię.

- To miało być śmieszne.

- Cudzołóstwo nie jest dobrym tematem żartów.

- Tak bardzo się mylisz. Cudzołóstwo jest na trzecim miejscu listy tematów do żartów wszechczasów. Właściwie, to był sobie ten Irlandczyk, Paddy, który nie był w kościele jakieś dwadzieścia lat i pewnego dnia...

- Dev - Shiu podniósł dłoń - to coś, o czym ja nie chcę żartować, w porządku?

- A więc poza religią i przynależnością etniczną, i gejami, i kobietami, teraz nie chcesz też rozmawiać o cudzołóstwie. Chryste, co zostało?

- A dlaczego musi coś zostać? - Shiu usiadł na jednym ze stołków. - Devin - powiedział - jest środek nocy. Prowadzimy dochodzenie w sprawie podwójnego zabójstwa, które całe jest o cudzołóstwie, okay? Wiemy, że w następnym tygodniu, może nawet wcześniej, aresztujemy Jeannette Palmer. Jej życie zostanie zrujnowane, już zostało. Ta młoda kobieta nie żyje. Tak jak i

sędzia federalny. Nic z tego nie jest śmieszne. I dla Connie nie byłoby śmieszne, jakby się dowiedziała, że chcesz się kokosić z Andrea Parisi.

- Tak, masz rację. Przepraszam, mój błąd - Juhle zwiesił głowę. - Kokoszenie się z Parisi byłoby złe - powiedział z głęboką szczerością. Po czym nagle się rozpogodził. - Ej, ale mógłbym zaprosić Connie. Jak chcesz, to moglibyśmy zrobić czworokącik.

W łóżku Juhle nakrył swój temblak z pewną ostrożnością. Connie poruszyła się obok niego.

- Która jest godzina?

- Nieludzka. Prawie trzecia, tak myślę. Nie śpisz?

- Śpię - po czym - jak poszło?

- Myślę, że rozwiązaliśmy sprawę. Ku zaskoczeniu, to żona. Ale muszę załatwić sobie nowego partnera.

- Zawsze tak mówisz. Co zrobił tym razem.

- Nic. Jest doskonały. Nienawidzę go. Nawet zaprosiłem go, żeby przyłączył się do małej orgietki z tobą, ze mną i Andrea Parisi, kociakiem zajmującym się procesem Donolana w TV. Odmówił. Bez wahania.

- Nie wiedziałam, że ją znasz.

- Nie znam, ale zdecydowanie mógłbym ją spotkać w czasie pracy nad tą sprawą.

- Jest zaangażowana?

- Nie wiem jak. Ale ofiara miała jej wizytówkę i jestem pewien, że mógłbym wykombinować spotkanie.

- Może to ja. Może nie podobam się Shiu.

- Niemożliwe.

- To byłoby dziwne - zgodziła się. - Jesteś zmęczony?

- Mógłbym prawdopodobnie nie zasnąć jeszcze przez kilka minut, jeśli bym musiał.

- Wiesz, ile czasu minęło? Od operacji?

- To był ostatni raz? Dziewięć dni?

- Właściwie dzień przed, jeśli liczysz, co daje dziesięć. A to stwarza sytuację, w której musisz - powiedziała, po czym położyła się na nim.

9

W magazynie Hunt ćwiczył skale na niepodłączonym Stracie, gdy usłyszał stłumiony krzyk Parisi powracającej do świadomości. Stał w korytarzu, gdzie mogła go zobaczyć.

Siedziała na jego łóżku wśród rozrzuconych przykryć, w ubraniu, które miała na sobie poprzedniego wieczoru.

- O mój Boże! Wyatt? Co ja...? - zakryła rękoma twarz i zapłakała.

Hunt odpiął gitarę i położył ją na dywanie. Napełnił szklanke wodą z kranu, wziął butelkę aspiryny i podszedł do niej. Podając jej szklanke, wysypał na dłoń kilka tabletek.

- Dziękuję - wzięła je wszystkie na raz, popijając wodą. - Która godzina?

- Kilka minut po ósmej.

Jej oczy otworzyły się szeroko, lecz wysiłek ten był zbyt duży. Opuściła szklanke na kolana.

- Niemożliwe. Ja muszę iść... - opuściwszy stopy na podłogę, usiłowała wstać, ale jej się nie powiodło. Postawiła szklanke na podłodze, po czym padła z powrotem na łóżko.

Hunt ponownie napełnił szklanke i podał jej.

- Wypij więcej wody. Musisz się nawodnić. Podniosła głowę.

- Nie sędzę...

- Woda - nie słuchał jej. - Woda uratuje ci życie.

Podniosła się i wypila.

- Wszystko - powiedział Hunt. - Jeszcze mi podziękujesz.

Zmusiła się, by wypić do końca, po czym ponownie spróbowała wstać.

- Muszę wrócić do domu. Muszę...

- Raczej poczekaj jeszcze trochę.

- Nie mogę. Muszę... jaki dziś jest dzień?

- Środa.

- Jak ja się tu dostałam?

- Nie wiedziałem, gdzie indziej cię zabrać. Straciłaś przytomność.

Zaczęła grzebać w pamięci.

- Byliśmy... Spencer, ten skurwiel - coś zaczęło wracać.

- Cały czas wiedział... nic nie mógł zrobić...

- Nowy Jork?

Położyła się na poduszce, zakryła oczy ramionami.

- Muszę zadzwonić do pracy.

- Ja mogę to zrobić.

- Nie - ale nie poruszyła się.

Leżała na łóżku, oddychając przez usta. Hunt podszedł do telefonu. Pracował z jej firmą na tyle długo, że numer znał na pamięć. Znał również jej

sekretarkę, Carlę Shapiro, ale nie chciał z nią rozmawiać, bo zadawałaby za dużo pytań. Zatem porozmawiał z recepcjonistką. Przedstawił się jako lekarz Andrei i poinformował, iż cierpi ona na poważne zatrucie pokarmowe. Odpoczywa i spożywa wyłącznie płyny i nie pojawi się aż do następnego dnia. Andrea usiłowała się sprzeciwić.

- Czekaj - powiedziała. - To zbyt...

- Może po południu - powiedział Hunt do słuchawki - ale osobiście, odradzam jej to.

Kiedy skończył, Andrea ponownie padła na łóżko.

- Naprawdę muszę jechać do domu.

- Musisz wstać, musisz zadzwonić do pracy, musisz jechać do domu. Andrea, jak na razie, to musisz dać sobie trochę czasu, żebyś przetrwała alkohol. Wypić więcej wody. Nic ci tu nie będzie. Połóż się, zamknij oczy, nakryj się. Rozłącz telefon. Śpij dalej.

- Może i powinnam.

- Żadnego „może”.

- Ale muszę iść do łazienki.

- Możesz wstać?

- Nie wiem - usiadła, spróbowała stanąć, ale musiała usiąść.

- Chyba nie.

Hunt pochylił się nad nią.

- Nie... Śmierdzą - powiedziała. - Moje ubrania.

- Cicho. Ręce.

Posłuchała. Podniósł ją, wprowadził do łazienki, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Po odgłosie spuszczonej wody usłyszał odkręcany kran.

- Wyatt - jej głos był słaby.

Otworzył drzwi. Siedziała na pokrywie deski klozetowej, ze łzami w oczach. Ponownie przykląkł przed nią na jedno kolano.

- Ręce - powiedział.

Po chwili poruszyła się, zaprowadził ją z powrotem i pomógł wejść do łóżka.

- Możesz zdjąć ubrania, jeśli chcesz. Będzie ci wygodniej. Odwróć się.

- Dobrze - powiedziała. Ale zamiast tego, położyła się na boku i naciągnęła na siebie nakrycie. Hunt włożył jej poduszkę pod głowę. Nim się wyprostował, znowu spała.

Kiedy się obudziła następnym razem, wzięła cztery kolejne aspiryny, które, zmuszona przez Huta, popiła dwiema szklankami wody. W łazience użyła świeżej szczoteczki do zębów. Zakręciła w końcu wodę i wyszła spod prysznic. Czystym białym ręcznikiem wytarła lustro kilkoma okrężnymi ruchami.

Jej ubrania leżały złożone na koszu na brudną bieliznę, pod torebką, którą teraz postawiła przed sobą na brzegu umywalki. Wciąż miała szczotkę do włosów i puder. Nie miała zamiaru wyjść, dopóki ich nie użyje.

Kiedy była wreszcie zadowolona, owinęła się ręcznikiem, ledwie zachowując techniczną skromność.

Wyatta Hunta nie było w żadnym z pokoi, które widziała, zatem bosą i owiniętą ręcznikiem przeszła przez sypialnię i otworzyła drzwi. Zaskoczył ją. Był po jej prawej stronie, odwrócony do niej tyłem, przy starej, popękanej skórzanej kanapie. Otoczony kilkoma wzmacniaczami i czterema gitarami na podpórkach, trzymał piątą i cicho grał na niej skale.

Wzrok Parisi powędrował w górę, do sufitu, około dwudziestu pięciu stóp nad nią. Cicho wyszła na otwartą przestrzeń, która wyglądała z grubsza na to, czym była, zamieszkały magazyn. Po lewej stronie, wciśnięty w róg, zaparkowany był cooper mini. Pod odległą ścianą, do której stała twarzą, stało biurko z komputerem i szafki na dokumenty. Narożnik po prawej stronie zasłonięty był matą, jaką zazwyczaj zobaczyć można za łapaczem na meczu baseballowym, poniżej której stało kilka kijów baseballowych. Obok leżał zestaw ciężarków. W końcu wzmacniacze, połowa drewnianego boiska z tablicą i całą resztą, z logiem Golden State Warriors.

- Wyatt.

Odrzucił się. Jego oczy natychmiast spoczęły na jej nogach, lecz w oka mgnieniu spojrzął jej w twarz.

- Hej - powiedział. - Lepiej?

Aż tak dużo by nie powiedziała.

- Przynajmniej istnieje nadzieja, że przeżyję - gestem wskazała magazyn dokoła siebie. - Fajnie tu.

Hunt odpiął gitarę i postawił ją na stojaku. Wykorzystał tę chwilę, by się w nią nie wpatrywać. Rozejrzał się wokół.

- Ano. Podoba mi się. Masz ochotę, to cię oprowadzę. Zauważyłaś moje profesjonalne boisko do koszykówki, kupione używane od Warriors'ów za jedyne cztery tysiące?

- Nie. Gdzie jest? - zażartowała. Spojrzała na siebie. - Miałbyś coś, co mogłabym założyć? Nie mogłam zmusić się do założenia wczoraj szych ubrań.

Hunt zdecydował się nie mówić jej, że jak dla niego, to wygląda cholernie dobrze w ręczniku.

- Na pewno coś znajdę - odparł.

Miała na sobie T-shirt, na nim jeden z czarnych swetrów Hunta oraz jeansy, które w pasie zebrała kawałkiem sznura. Pili kawę przy stole w kuchni.

- I jak ja mogę ci się odwdziaczyć? - spytała.

- Nie trzeba. Byłaś w tarapatkach. Miałem cię zostawić nieprzytomną na ulicy?

- Niektórzy ludzie by tak zrobili.

- To nie ludzie.

- Cóż... dziękuję - napiła się kawy. - Nie mogę przestać o tym myśleć. Nienawidzę robić scen.

- Widziałem już gorsze - powiedział Hunt.

- Uderzyłam go?

- Tak. Spoliczkowałaś, tak konkretnie.

- To niewybaczalne.

Hunt wzdygnął się.

- Okłamywał cię.

- Mimo wszystko. To nie jest żadna wymówka. Jak się zacznie bicie, to wymówki robią się dość szybko głupie.

- Zauważyłem.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, przykuło jej uwagę, filiżanka zatrzymała się w połowie drogi do jej ust.

- Brzmi jak osobiste doświadczenie?

- Może trochę.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić...

- Nie, w porządku. Jako dziecko spędziłem trochę czasu w rodzinach zastępczych, to wszystko. Dowiedziałem się, że gdy przekroczona zostanie granica starych, dobrych kar cielesnych... jak powiedziałaś, każdy powód jest wystarczająco dobry.

Postawiła filiżankę.

- Byłeś w rodzinach zastępczych?

Przytaknął.

- Przez jakiś czas. Aż skończyłem osiem lat. Miałem szczęście. Zostałem adoptowany.

- W wieku ośmiu lat?

- Wiem, to nietypowe - zrobił minę. - Musiałem być wtedy ładniejszy.

- Cóż - powiedziała - może w inny sposób. Ale ty też znasz metody kar cielesnych.

- Też? Kto cię bił?

Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

- Drugi mąż mojej matki. Richie. Wierzył w dyscyplinę, a ja byłam jego ulubienicą.

- A to czemu?

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

- Spytałem.

Westchnęła.

- Chyba dlatego, że próbowałam z nim walczyć. Zauważ słowo „próbowałam”. Na szczęście trwało to tylko rok.

- Co się stało?

- Mama się dowiedziała. O mnie. Sprowokowała go do zaatakowania i go zabiła. Nazwali to samoobroną.

- Brzmi jak samoobrona.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Wystarczająco blisko, w każdym razie - kręciła filiżanką stojącą na stole.

- Przepraszam za ten dramatyzm.

- W porządku. Jakoś wytrzymam.

- Tak czy inaczej, to dlatego czuję się źle z tym, że uderzyłam Spencera, nawet jeśli jest tylko kupą gówna. Myślałam, że nauczyłam się, by nigdy tego nie zrobić.

- Myślisz, że upiłeś się i dostrzegłeś w Spencerze coś z Richie’go?

- Nie chcę tak myśleć. Nie chcę w kimkolwiek widzieć Richie’go.

- Ale jakoś wciąż gdzieś tu jest?

- We wspomnieniach. Gdzieś, tak. I wiem, co teraz powiesz.

- Jeśli faktycznie wiesz, to jesteś krok przede mną.

- Wątpię.

- Dobra. No to, co chciałem powiedzieć?

- Że wiesz dlaczego pragnę tego powszechnego uwielbienia, tej pracy prezentera w Nowym Jorku.

- Serio? Znaczący, pragniesz tego?

- Muszę. Głęboko w środku, nie sądzę, iż jestem godna czyichkolwiek uczuć. Jestem wybrakowana. Więc może wystarczająca ilość miłości tłumów wynagradza brak miłości jednej, konkretnej osoby. No i jak ci się widzi ta teoria?

- Bolesna - Hunt zaczął przesuwając rękę po stole, by nakryć jej dłoń, pocieszyć ją tym pełnym współczucia gestem. Ale nie pozwolił sobie na to.

- Nie wiem, jak inaczej... - mówiła dalej. - Dlaczego inaczej... w każdym razie, przepraszam.

- Ta - powiedział Hunt. - Miłość. Nie dobrze chcesz czegoś takiego - skończył kawę, postawił filiżankę. - Wystarczy przeprosin, okay? Jak głowa?

- Głowa pulsuje. Głowa próbuje ustanowić nowy rekord.

- No przynajmniej będziesz miała z tego coś pozytywnego.

Słaby uśmiech, ale po chwili struktura jej twarzy zdawała się pękać. Ponownie pojawił się cień łez.

- Wiesz, najzabawniejsze jest to, że Spencer był kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Wiesz, dlaczego w ogóle zaczęłam się z nim zadawać?

- Chciałaś być gwiazdą.

- Okay, to. Ale głównie po to, by wydostać się z San Francisco. Do Nowe-

go Jorku albo gdziekolwiek. I zrobić to jako VIP. Pokazałoby to... - ponownie zaczęła bawić się filizanką.

- Co by pokazało?

- Nie. Komu - wzięła wdech i wymamrotała. - Innemu facetowi. Rozstaliśmy się pół roku temu, kiedy Donolan się zaczynał. Powiedział, że biorę to zbyt poważnie. A on nie chciał nic poważnego. Poza tym miał już nową dziewczynę. Byliśmy razem dwa lata, a on nie chciał, żeby było na poważnie. Byliśmy dorośli, koledzy po fachu. Po stronie zawodowej, nic by się nie zmieniło.

- I tak było?

- To jest najlepsze. Było - spojrzała Huntowi w oczy. - Wtedy pojawił się Spencer. I nowa szansa. Nagle wszystko stało się możliwością ucieczki.

- Ucieczki od tamtego faceta?

Skinęła.

- Nie mogłam znieść jego towarzystwa, ale cały czas musieliśmy się spotykać. Praca. Sprawy strażników więziennych, CCPOA. Chleb powszedni u Piersalla, jak sam wiesz.

Ale tego Hunt akurat nie wiedział.

- Myślałem, że są po prostu jednym z klientów.

- Niezupełnie. Są naszym numerem jeden. Osiem milionów, same honoraria.

- Każdego roku? Nie wiesz, czy szukają prywatnego detektywa?

- Nie sądzę, żebyś chciał dla nich pracować.

- Dla każdej dziesiątki procent od ośmiu milionów spróbowałbym. Bardzo bym się starał - Hunt wrócił do sedna. - Więc musiałaś spotykać się z tym facetem zawodowo? Nie mogłaś się po prostu wycofać?

- Nie wycofujesz się z tego typu spraw, utrzymując posadę. Nie u Piersalla.

- Więc Nowy Jork stanowił wyjście?

- Cóż, było to **jakieś** wyjście - obróciła filizankę, jednocześnie zmuszając się do słabego uśmiechu. - Myślę, że czas wezwać taksówkę.

- Nie potrzebujesz taksówki. Zawiozę cię do domu.

- Nie. I tak zrobiłeś już za dużo. Wezwę taksówkę.

- Nie ma dyskusji - powiedział Hunt. - Weź swoje rzeczy. I tak czas, że bym się ruszył. Mogę cię podrzucić.

10

Gdy Juhle dotarł do wydziału było po dziesiątej. Założył, że skoro pracował w terenie nad sprawą Palmera - obecnie Palmera/Rosalier - aż do wczesnych godzin porannych, porucznik Lanier będzie trochę bardziej pobłażliwy w czasie normalnych godzin pracy. Z kilku powodów okazało się jednak być inaczej.

Po pierwsze, jego partner był za biurkiem przed ósmą rano, ogolony i wycackany, pisząc raport z identyfikacji Staci Rosalier przez Mary Mahoney, nie pomijając faktu, iż ofiara była utrzymanką Palmera. Tego ranka zespół badający miejsce zbrodni przeszukiwał mieszkanie jeszcze dokładniej i liczył na to, iż będzie w stanie dostarczyć wydziałowi zabójstw dużo więcej informacji, plus nazwisko najbliższego krewnego, jeszcze tego samego dnia.

Drugim powodem tego, iż Lanier nie był w wybaczącym nastroju było to, że dwóch agentów specjalnych FBI, którzy zajmowali się tą sprawą, umówiło się z nim, by zwołać nieoficjalne spotkanie grupy dochodzeniowej o dziewiątej trzydzieści w jego biurze, z Juhle'em i Shiu oraz dwoma agentami z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego.

Tak, aby nie wchodzili sobie w drogę.

Gdy Juhle się pojawił, okazało się, że Shiu całkiem nieźle sprzedał ich sprawę. Podzielił się wiadomościami o związku między Rosalier i sędzim, jak również zeznaniem sąsiadki, panny Levin, o tym, jak widziała przed swym domem samochód pani Palmer, podczas gdy oficjalnie miał on być w Navato. Pomimo wszystkich potencjalnych problemów z jurysdykcją Shiu przekonał wszystkich pozostałych pięciu zawodowych śledczych w gabinecie Laniera, iż najbardziej prawdopodobnym scenariuszem przebiegu podwójnego morderstwa było to, że żona dowiedziała się o niewierności męża i w jakiś sposób wiedziała, że dziewczyna będzie u nich w domu, gdy ona wyjedzie. Albo skusiła ich tam pod jakimś pretekstem.

Pozostało jedynie, powiedział im Shiu, zniszczenie alibi pani Palmer, zapewnianego jej przez siostrę i, jeśli im się poszczęści, znalezienie narzędzia zbrodni, choć prawdopodobnie pozbyła się go gdzieś po drodze albo wrzuciła do Zatoki, gdy wracała do domu siostry w Navato. Wnioskiem było to, iż sprawa wyglądała na zbrodnię namiętności, osobistą i lokalną, a jako taka podlegała jurysdykcji wydziału policji San Francisco.

Jeden z inspektorów tego wydziału nie pojawił się na spotkaniu.

- To prawdziwy cud, że tam byłeś - powiedział do Shiu. - Co ty w ogóle robiłeś tak wcześniej w pracy?

Siedzieli w samochodzie, jadąc tunelem Sausalito w drodze do Mili Val-

ley. Shiu odparł.

- Nie chciałem, by obrócili się w złym kierunku, Dev. Poza tym wiesz, że staram się być na miejscu, gdy zaczyna się zmiana, a spotkanie nie zaczęło się przed dziewięcioma trzynaściami, co każdemu powinno zapewnić wystarczającą ilość czasu na przyjazd.

- Boże, ja nawet nie wiedziałem o tym cholernym spotkaniu. I tylko mi nie mów, żebym nie wzywał cholernego imienia Bożego nadaremno, co właśnie miałeś zamiar zrobić. Ponieważ faktem jest, że jestem cholernie wkurzony i muszę przeklinać. Wiesz, o czym mówię?

- Pewnie, też bywam zły. Wszyscy potrafią odczuwać gniew - Shiu zerkał z ukosa. - Dla jasności, uważam, że Lanier był dziś nieco szorstki.

- Nieco szorstki! - Juhle naśladował Laniera. - Czy kiedykolwiek wpadłem na to, że morderstwo sędziego federalnego może być ważniejsze od mojego odpoczynku? Czy można by spodziewać się, że uczynię tę sprawę moim priorytetem, ponieważ jeśli nie, to jest pewien, iż ci pracownicy federalni z radością nam pomogą. Kto jego zdaniem znalazł osobę, która zidentyfikowała Rosalier i jej związek z sędzimą, w niecałą dobę, co? Do diabła, na pewno nie było to FBI.

Shiu skrzywił się na zjazd z autostrady.

- Było mu wstyd, to wszystko.

- Nie było powodu do wstydu. Dostaliśmy sędziego z milionem nierozstrzygniętych spraw, z których każda mogła wyciągnąć morderców z opresji, mogliśmy śledzić błędne poszlaki stąd to Timbaktu i z powrotem, a jednak, prawie żeśmy zamknęli sprawę w ciągu jednego dnia. To niespotykane. Cholera, to niemal boska interwencja. Powinniśmy zbierać pochwały, a nie dostawać po dupsku. To nie fair.

- Może chce, żeby była całkowicie zamknięta. Sam jest pod niezłą presją. Jeśli odwoła FBI, a się myli...

- Nie myli się, my się nie mylimy.

- Nie powiedziałem, że się mylimy. Powiedziałem „jeśli”.

- Myśl pozytywnie - powiedział Juhle. - My jesteśmy dobrzy i mamy rację.

Salon JV w Mili Valley był dużo większy, niż Juhle się spodziewał. Zajmując powierzchnię kilku apartamentów w ekskluzywnym kompleksie handlowym, swym klientkom zapewniał pełen wachlarz pielęgnacji osobistej. W ogrodzonej szklą antyseptycznej recepcji Juhle i Shiu czekali na Vanesse Waverly, by poświęciła im trochę swego czasu. Umówili się na spotkanie, zatem, teoretycznie, Waverly powinna ich oczekiwać, ale nie odpowiadała na telefon recepcjonistki i teraz młoda rudowłosa kobieta szukała swojej szefowej gdzieś w labiryncie salonu.

Shiu przechadzał się po pomieszczeniu, sprawdzając usługi.

- Co to jest eksfoliacja? - spytał.

- Coś z włosami, myślę. Usuwanie. Choć może skóry. Nie jestem pewien.

- Usuwanie skóry?

- Tylko zewnętrznej warstwy.

- To musi być skóra, bo woskowanie jest wymienione oddzielnie. Woskowanie, to musi być usuwanie włosów, nie sądzisz?

Juhle spojrział na niego z niebywałym wyczerpaniem.

- Musimy o tym rozmawiać?

- Tylko posłuchaj, co oni tu mają - manicure, farbowanie i usuwanie włosów, salon odnowy biologicznej, masaż, zabiegi kosmetyczne twarzy, opalanie, wizaż, złuszczenie, wosk. Robiłeś cokolwiek z tego?

- Jasne. Strzygę się co miesiąc albo dwa i ogryzam paznokcie, gdy mi przeszkadzają.

- A więc nie.

- Shiu - Juhle podniósł rękę - kobiecie piękno jest jak kiełbasa, okay? Nie chcesz wiedzieć zbyt wiele na temat tego, jak się je tworzy. Jeśli o mnie chodzi, to miejsce tego typu jest sposobem Boga na powiedzenie, że niektóre kobiety mają za dużo czasu, za dużo pieniędzy i są, może, ale tylko może, trochę zapatrzone w siebie.

- Proszę, proszę - rozległ się za nim kobiecy głos - cóż za postępową uwaga.

Uśmiechała się serdecznie - zęby też sobie poprawiła, pomyślał Juhle - wyciągając do niego rękę. Z powodu temblaka, jego prawa przylegała ciasno do ciała, lecz szybko wyciągnął lewą, a jego połamane kości zmiażdżone zostały za fatygę.

Vanessa Waverly była wysportowaną, kasztanowłosą Wenus w średnim wieku i miała na sobie czarny kostium kąpielowy oraz wielobarwny szal owinięty wokół bioder. Juhle pomyślał, iż stanowiła wspaniałą, żywą reklamę chirurgii plastycznej. Na pierwszy rzut oka widać było, że wszystko, co dało się zoperować w jej ciele, zostało zoperowane.

- Przepraszam, że musieliście panowie czekać - wyjaśniła - mieliśmy problem z suszarką, a potem Jeannette znowu zadzwoniła.

Shiu wydobyl legitymację i odznakę, które Waverly dość dokładnie obejrzała, po czym zaproponowała, iż wygodniej będzie rozmawiać w jej biurze. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i poprowadziła w głąb wyłożonego wykładziną korytarza, na ścianach którego wisiały oprawione okładki magazynów kosmetycznych, przeplatane powiększeniami kolorowych, połyskujących zdjęć rozneglizowanych kobiet w różnym wieku, od dzieci po, najwyraźniej, babcię. Gabinet Waverly, o przyciemnionych oknach wychodzących na porośnięty dębami stok, powtarzał ten sam motyw, jednak w nieco bar-

dziej surowym stylu. W narożnikach, na piedestałach, wznosiły się cztery brązowe posągi wyidealizowanych kobiet. Duża figura półleżącej kobiety z czarnego marmuru służyła za stół otoczony kanapami i fotelami z białej skóry. Na szklanym biurku stał telefon i komputer, ale nie leżały żadne papiery, ani suszka, ani żadne inne rzeczy. To było biurko władzy, proste i zwykłe, choć Waverly nie usiadła za nim.

Odwróciła się do inspektorów.

- Mogę zaproponować panom kawę, herbatę, wodę mineralną? Nie. Mają panowie coś przeciwno, jeśli ja się napiję? W międzyczasie, proszę, niech panowie usiądą, gdzie chcą - ponownie, nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i podeszła do lodówki, która tkwiła, bynajmniej nie ukryta, w półkach za biurkiem.

Kiedy powróciła z butelką Evian, usiadła na kanapie. Inspektorzy zajęli fotele.

- To straszny dzień - powiedziała bez żadnego wstępu. - Co mogę dla pań zrobić?

Juhle odchrząknął.

- Po pierwsze, to, co powiedziałem...

- Proszę, inspektorze, już to słyszałam, niech mi pan wierzy. Wyrosła mi bardzo gruba skóra. Przyszli panowie z powodu George'a i Jeannette - to nie było pytanie.

- Tak, proszę pani - odparł Juhle. Wyjął z kieszeni magnetofon. - Nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę, ale w przypadku każdego dochodzenia w sprawie morderstwa zazwyczaj nagrywamy przesłuchania. To standardowa procedura. W porządku?

- Tak, oczywiście. Dlaczego miałyby się nie zgadzać? Juhle wzruszył ramionami.

- Niektórzy się nie zgadzają. Wolę spytać - uśmiechnął się, włączył nagrywanie, podał dane wstępne: numer sprawy i swojej odznaki, datę, adres i nazwisko świadka. - Powiedziała pani właśnie, że gdy przyjechaliśmy, rozmawiała pani z siostrą?

- Tak - skinęła głową. - Pomieszka u mnie przez jakiś czas. Aż... No cóż, aż poczuje, że jest w stanie wrócić do siebie. A to może nigdy nie nastąpić.

Juhle przejął prowadzenie przesłuchania.

- O co chodziło? W tej rozmowie?

Vanessa Waverly, być może zaskoczona szorstkim tonem, pochyliła głowę w jedną stronę.

- Chciała wiedzieć, czy już przyjechaliście. Nie rozumie, dlaczego chcecie ze mną rozmawiać. Właściwie dla mnie też nie jest to całkiem jasne, prawdę mówiąc.

- Wiedziała zatem, że przyjeździemy? - spytał Juhle.

- Tak. Powiedziałam jej po tym, jak do mnie zadzwoniliście. Wydawało mi się to naturalną reakcją. Czemu? Czy to problem?

- Nie, proszę pani, tylko pytanie.

- Jak ona się czuje? - spytał Shiu.

Waverly odetchnęła.

- Jest oczywiście zdruzgotana. Jak miałyby się czuć w takich okolicznościach? I nie mówię tylko o śmierci George'a, co samo w sobie jest tragedią, ale również o drugiej ofierze, tej młodej kobiecie. Odkryliście kim była?

Shiu skinął. Do wieczornych wiadomości informacja ta zostanie upubliczniona i nic nie zyskaliby, usiłując ją ukryć.

- Nazywała się Staci Rosalier. Słyszała pani kiedykolwiek o niej ?

- Nie.

- Była kelnerką w MoMo, gdzie sędzia Palmer często jadał lunch. Kobieta spuściła głowę.

- Cholera, George! - powiedziała. - Niech cię szlag.

- Nic pani nie wiedziała? - spytał Shiu.

- Nic. Szczerze wierzyłam, że George i Jeannette byli jedyną parą, jaką znam... - kiwając głową z boku na bok, przeklęła ponownie. - Człowiek stara się zachować trochę wiary w ludzi, wie pan? Ale oni wciąż rozczarowują.

- Zatem - odezwał się Shiu - nic nie wskazywało na to, że pani siostra coś o tym wiedziała?

- Nic. Nie wiedziała. Wciąż może nie wiedzieć. Nie na pewno, w każdym razie. Choć, oczywiście, coś podejrzewa. Ale dlaczego mieliby być w ich domu? Szczególnie, jeśli w pobliżu miała mieszkanie? Zamierzał obrazić Jeannette, sprowadzając tę swoją małą ladacnicę do domu? - ponownie pokręciła głowę. - To znaczy, to byłoby takie bez charakteru. Wiem, że George nie nienawidził Jeannette, a musiałyby, żeby zrobić coś tak okrutnego. Nawet, jeśli był w tym... związku. W porządku, jest mężczyzną, a oni robią takie rzeczy. Ale szanował ją. Po prostu nie przyprowadziłyby innej kobiety do domu. Nie obraziłyby Jeannette w taki sposób.

- Jeszcze nie wiemy, dlaczego ją tam przyprowadził - powiedział Shiu - ani czy w ogóle ją przyprowadził. Jest bardzo możliwe, że sama przyjechała. Ktoś mógł ją przywieźć. Może miała innego partnera i to on jest mordercą. Może przyjechała taksówką. Może życzyła sobie ostatecznej rozgrywki z pani siostrą i sędzią. Po prostu nie wiemy.

Ku pewnemu zaskoczeniu Juhle'a, Shiu zachowywał się porządnie, mówił do tej kobiety, utrzymując ją w stałym zainteresowaniu i gotową do odpowiedzi. Większą niemal niespodzianką było to, że posiadał najwyraźniej głębokie zrozumienie różnorodnych scenariuszy tego podwójnego morderstwa.

Może tym razem porządnie się nad tym zastanowił. Czy cudom nie będzie końca?

Poza tym Shiu nie zdradzał informacji na chybił trafił, co często wydawało się być jego zwyczajem. Na przykład nie było powodu, by mówić Vanessie Waverly, że biuro lekarza sądowego poinformowało ich rano, iż Staci Rosalier miała w sobie spiralę i krótko przed śmiercią uprawiała seks, prawdopodobnie z sędzią, może w łóżku na piętrze, choć nie można tego potwierdzić przed otrzymaniem wyników badań DNA ze spirali i pościeli.

Po chwili przerwy odezwał się Juhle.

- Pani siostra powiedziała nam, że spędziła u pani całą noc - we wcześniejszej rozmowie z Jeannette Juhle i Shiu ostrożnie unikali dania jej do zrozumienia, że jest podejrzaną - tak naprawdę, główną podejrzaną - o dokonanie morderstwa. Być może w wersjach sióstr będzie jakaś rozbieżność. - Mogłaby pani prześledzić z nami ten czas?

- Po co, na Boga? - jej zaskoczenie było w pewien sposób przyjemne. Od chwili morderstwa Juhle był niemal pewien, nie rozmawiały ze sobą na temat alibi Jeannette.

Dawało mu to wolną rękę i wykorzystał to.

- Jeannette powiedziała nam, że wyjechała z miasta około czwartej, by uniknąć korków. Czy pamięta pani, o której się spotkałyście?

- To śmieszne - powiedziała Waverly, oczy błyszczały jej ze złości. - Jeannette nie zabiła George'a. Nie wiedziała, że spotykał się z tą dziewczyną - potrząsnęła głową, przeczesала palcami włosy. - Ale w porządku. Była... Przyjechałam do domu o zwyczajnej porze, czyli około siódmej.

- I tam się spotkałyście? U pani w domu? - spytał Juhle.

- Tak.

- A więc była tam, gdy pani przyjechała? - Shiu chciał wyraźnego potwierdzenia.

- Nie - rzuciła im obu wyzywające spojrzenie. - Pracuję cały dzień. Zwyczajnie nie mam w domu dużo jedzenia, a kiedy Jeannette przyjeżdża, często idzie na zakupy, abyśmy mogły coś razem ugotować.

Juhle nie zmniejszył nacisku.

- Czy to właśnie zrobiła tamtego wieczora?

- Tak.

Shiu:

- I o której wróciła do domu? Po zakupach?

- Nie jestem pewna.

Juhle:

- Ale nie było jej, kiedy pani przyjechała?

- Już powiedziałam, że nie.

Shiu:

- Była pani po pracy. Nalała sobie pani drinka po powrocie do domu? Albo wzięła prysznic? Sprawdziła pocztę? Pamięta pani?

Wciąż wyraźnie przygnębiona tym sposobem przesłuchiwania, Waverly niemniej jednak usiadła głębiej na kanapie i zastanowiła się. Wreszcie odkreśliła wodę i wzięła duży łyk.

- Zaparkowałam na podjeździe, wyjęłam pocztę, weszłam do środka i z porannych pozostałości zrobiłam sobie mrożoną kawę. Jeannette zadzwoniła do mnie z komórki.

Juhle na ułamek sekundy zerknął na partnera.

- O co chodziło?

- Nie wiedziała, czy mam jakieś schłodzone wino, a zapomniała kupić. Zadzwoniła z prośbą, bym sprawdziła, co też zrobiłam, i nie miałyśmy żadnego, więc powiedziała, że wstąpi do „Adriano” i weźmie butelkę. „Adriano” jest tuż obok 101, następny zjazd.

- Więc dziesięć minut? - sprecyzował Juhle.

- Możliwe, owszem.

- I dziesięć z powrotem - dodał Shiu. - Kiedy zatem przyjechała do pani?

Pytanie wyprowadziło ją z równowagi.

- Cóż, jeśli wyjechała z miasta około czwartej, jak powiedziała, to przyjechała tam pewnie około czwartej czterdzieści pięć. Możliwe, że któryś z sąsiadów ją widział. Moglibyście ich spytać.

- Spytamy - Juhle mówił łagodnym tonem. - Oczywiście, że spytamy.

- Potem, jak już mówiłam, wyszła na zakupy.

Juhle nie ustępował.

- Ale nie dojechała do pani domu aż do ósmej, może ósmej trzydzieści. Zgadza się, mniej więcej? Czy było już ciemno, przypomina pani sobie?

Waverly oparła się i zamknęła oczy. W końcu powiedziała:

- Było ciemno. Pamiętam, ponieważ gdy dojechała, wyszła się przywitać i zobaczyłam, że zapomniała wyłączyć światła.

W drodze do Novato Shiu powiedział:

- A więc zapomniała sprawdzić, czy mają wino, potem zapomniała je kupić, a później zapomniała wyłączyć światła...

- Coś innego zaprzętało jej głowę.

Popołudnie było jasne, chmur niewiele. Juhle spojrzął na Zatokę i niemal pozwolił sobie na myśl, iż czeka ich ładna pogoda.

- Ta kobieta - powiedział - jej siostra - to naturalny afrodyzjak.

- Nie będziesz pożądał żony bliźniego swego - powiedział Shiu.

- Mam jedno dla ciebie - odparł Juhle. - Co powiesz na: „Nie będziesz mówił nie będziesz” - Poza tym, nie jest mężatką. Zatem nie jest żoną żadnego bliźniego.

- Ale ty masz żonę.

- Jeju, dzięki Shiu, przez chwilę jakoś zapomniałem. Nie pożądam jej, cokolwiek to dla ciebie, do diabła, znaczy. Zwyczajnie skomentowałem, że to

naturalny afrodyzjak. To nasz zjazd.

- Wiem.

„Adriano” był małym sklepem monopolowym w kolejnym centrum handlowym hrabstwa Marin, którego parking wypełniały w niewiarygodnej części luksusowe samochody. Shiu zaparkował dokładnie naprzeciwko drzwi i inspektorzy weszli do środka. W tle płynęła muzyka klasyczna, a gdy przekroczyli próg, rozległ się dzwonek. Z zaplecza wyszedł dobrze ubrany, niski, siwy mężczyzna o zadbanych wąsach.

Po przedstawieniu się, okazało się, że choć raz wszystko może być proste. Pan Adriano powiedział, że w sklepie pracuje sam. Sześć dni w tygodniu. Poza nim nikt nie ma dostępu do kasy.

Oczywiście zna panią Palmer z widzenia. Była u niego wielokrotnie z Vanessą Waverly.

- Jej siostra, prawda?

Ale chętniej porozmawiałby o Vanessie. Tak między nimi - poznali ją? Mamma mia!

- Z radością oddałbym moje lewe jądro za jedną noc, wiecie panowie, co mam na myśli? Choć obawiam się, że musiałbym ustawić się w bardzo długiej kolejce. Ale, co chcą panowie wiedzieć o jej siostrze, pani Palmer? Jeanne?

- Jeannette - poprawił Shiu.

- A tak, Jeannette. Muszę zapamiętać - jego zwyczajowy uśmiech zbladł. Nagły przebłysk pamięci spowodował, że przyłożył dwa palce do czoła. - Właśnie do mnie dotarło. Panowie. Sędzia. Jej mąż, prawda?

- Obawiam się, że tak, proszę pana. Czy pamięta pan, kiedy była tu po raz ostatni? Pani Palmer - spytał Juhle.

Przez chwilę Adriano drapał się po policzku.

- Na pewno nie ostatnio, nie sądzę. Chyba z miesiąc temu.

- Nie przed dwoma dniami? - spytał Shiu.

- O nie. Na pewno nie.

- Jest pan pewien? W porze kolacji? Około ósmej.

- Nie - odparł mężczyzna, wpatrując się przed siebie. - Mogła wejść i nic nie kupić, jeśli mnie tu nie było i potem może wyszła. Mogłem to przegapić. Zawsze staram się nasłuchiwać dzwoneczka i wychodzić, kiedy pracuję na zapleczu. Ale nie kupiła nic, co miałbym w kasie. I o ósmej nie jest tu zbyt gęsto. Oczywiście - na jego twarzy ponownie pojawił się szelmowski uśmiech - jeśli schowała się i ukradła butelkę...

- Nie - powiedział Juhle - nie zrobiłaby tego.

- W takim razie, przykro mi - odparł Adriano - nie widziałem jej.

11

- Nie ma jak w domu - powiedziała Parisi. - Jeśli chcesz, to możesz wejść na dziesięć minut i oddam ci od razu ubrania.

- Mogę je później odebrać. Albo możesz mi je podrzucić.

- Ale oboje już tu jesteśmy.

- Dobra wygrałaś.

Parisi mieszkała w wolno stojącym, jednopiętrowym domu przylegającym do małego parku niemal na samej północy Larkin, przecznicę od, jak się okazało, placu Ghirardelli. Dom był pokryty stiukiem w hiszpańskim stylu, z wąskim paskiem trawnika z przodu i zadaszonym gankiem prowadzącym do drzwi wejściowych. Pomiedzy podjazdem Parisi a jej sąsiadów było miejsce do parkowania. Miało rozmiar pudełka do butów, ale to z takiego właśnie powodu Hunt kupił coopera.

- Masz dom? - spytał, gdy wysiedli z samochodu. - W jaki sposób można w obecnych czasach dochrapać się domu w San Francisco?

- Powiedział człowiek, który mieszka w magazynie.

- Tak, ale ja wynajmuję. Co więcej, jest to wynajem objęty kontrolą czynszów.

- Zaraz zobaczysz - powiedziała. - To mały dom. Koleżanka mamy przeszła na emeryturę i dała mi okazijną cenę - pogrzebała w torebce, po czym małe drzwi do garażu zaczęły się podnosić. - Nie pytaj czemu, ale nigdy nie używam drzwi wejściowych.

- Ciekawe, czemu nie używasz drzwi wejściowych - dumął na głos Hunt.

- Nie pytaj - odparła ze śmiechem. Po czym biorąc go za rękę: - Chodź za mną.

Przeszli przez garaż, mijając zaparkowaną tam czarną miatę cabrio. Przybijając przy drzwiach, jak się okazało, do kuchni, Andrea nacisnęła guzik przy drzwiach, żeby zamknąć bramę garażową.

Hunt szedł blisko za nią, wystarczająco blisko, by czuć jej perfumy. Wciąż trzymała jego dłoń w ciemności, po czym puściła ją, aby otworzyć drzwi.

- Poczekaj chwilę - powiedziała. - Muszę coś sprawdzić. Dobrze, teraz możesz wejść.

Była to mała kuchnia, nowoczesna i funkcjonalna, ale nosiła ślady normalnego użytkowania. Na metalowym okapie przy ścianie obok lodówki wisi kilka garnków i patelni, a na blacie obok kuchenki, przy pojemniku na przybory kuchenne - drewniane widelce i łyżki, łopatkki i pędzelki - stał drewniany, pionowy stojak na, jak się zdawało, komplet porządných noży.

- Co sprawdzałaś? - spytał Hunt.

- Czy zmyłam naczynia. Nie byłam pewna. Nie chciałam, żebyś wziął mnie za bałaganiarę.

- Nie wzięłbym. Ale skoro mogą tu być naczynia do zmywania, to znaczy, że tu jadasz.

- Pewnie, że jadam. A co ty myślałeś?

- Że jadasz co wieczór w restauracjach. Kończysz program, a potem do jakiegoś eleganckiego lokalu. Światowe życie. Jak wczoraj.

Wzdrygnęła się.

- Czasami. Ale nie. Większość wieczorów jestem tu sama, późno pracując. Spytaj Amy. Ma taki sam grafik. Ale żeby wszystko było jasne, powinieneś wiedzieć, że nieźla ze mnie kucharka. Właściwie, to może i wybitna. Nie możesz być z Włoch i źle gotować. To przestępstwo.

- Jaka jest twoja specjalność?

- No cóż, mój sos pomidorowy jest, oczywiście, fantastyczny. I bakłażan z parmezanem. Miałam zamiar... nie.

- Co? - spytał Hunt.

- Nic.

- To nie fair. Jak zaczęłaś, to musisz skończyć.

- Masz rację. To było nie w porządku - na chwilę położyła mu dłoń na ramieniu. - Chciałam powiedzieć, że miałam zamiar przygotować moje sławne spaghetti carbonara po chłopsku i chciałam spytać, czy może zostałbyś i zjadł ze mną. Ale zajęłam ci już tyle czasu.

- Wiem - odparł Hunt - to okropne.

- Nie musisz pracować?

- Tak się złożyło, że wczoraj zamknąłem sprawę, na którą zaplanowałem co najmniej dwa dni, a zajęła jeden. Więc szczęśliwie dla ciebie, i tak mam dziś pusty grafik.

- No to mam faktycznie szczęście - Parisi rzuciła okiem na zegar ścienny. - Cóż, pomimo zaleceń lekarza i tak muszę iść później do pracy. Mam spotkanie o trzeciej. Ale i tak mamy dużo czasu. Jeśli masz ochotę.

- Zostać?

- Na lunch.

- Będziesz musiała wykręcić mi ramię, żeby mnie przekonać

Hunt wyciągnął rękę. Podziałało, bo znowu ją chwyciła.

- Wystarczy - powiedział, nim nawet na niby zaczęła.

W czasie, gdy bekon się piekł, a woda gotowała, Andrea oprowadziła go po domu. Reszta domu dorosła do zapowiedzi - mały. Ale, podobnie jak kuchnia, nowoczesny, wydajny, ciepły. Parisi utrzymywała dom w czystości większej niż sterylna. Przez chwilę Hunt stał jak zahipnotyzowany zawartością szklanej gablotki w jadalni - kolekcja krótkiej broni - pistolety i rewolwery, kilka pistolecików kieszonkowych w stylu derring, parę staroświeckich

pasów na broń ze skórzanymi kaburami, przedmioty wyglądające na tabakierki.

- Lubisz broń? - spytał.

- Teraz już nie tak bardzo.

- Wygląda na całkiem niezły zbiorek.

- Wiem. Gdy byłem młodsza, przesłamałem przez okres Dzikiego Zachodu.

Ale teraz już ich nie ruszam.

- Ale działają? Można z nich strzelać?

- O tak. Wszystkie strzelają. Nie ma sensu trzymać pistoletu, który nie strzela, nie? Ale nie martw się, wszystkie są zarejestrowane.

- Nie martwiłem się.

- Powinnaś się ich pewnie pozbyć, ale...

Hunt rzucił na nią spojrzenie.

- Richie?

Potakując, westchnęła i powiedziała: - Może po części. Chodź - wzięła go pod rękę i zaprowadziła do przylegającego salonu. - W porównaniu z twoim mieszkaniem trochę tu ciasno, co?

- Raczej przytulnie. Kominek działa?

- Doskonale. To chyba najlepsza część domu.

- Choć jest tu nieco ciemno.

Ścisnęła jego dłoń, po czym podeszła do podwójnych okien, by otworzyć okiennice. Światło wydobyło z pomieszczenia brakujące wcześniej wrażenie życia. Oprawione druki jaskrawiły się radosnymi żółcieniami, czerwieniami i zieleniami. Odwracając się, wyjaśniła:

- Nieczęsto otwieram żaluzje, a powinnaś, prawda? Widać różnicę, nie?

- Pięknie tu - powiedział Hunt. - Serio. Naprawdę chciałaś się wyprowadzić?

Rozejrzała się.

- Wiesz, Wyatt, jakoś przestałam to zauważać - uśmiechnęła się smutno.

Nagle - Bekon!

Podczas gdy w kuchni gotowała się woda, Andrea stwierdziła, że jest bardzo ciepło i zdjęła pożyczony od Hunta sweter, wieszając go na oparciu krzesła.

- Tylko go nie zapomnij, powtarzam, nie zapomnij - powiedziała. Pod wciśniętą głęboko w jeansy koszulką bez rękawów nie miała stanika. Hunt siedział przy stole i obserwował, jak poruszała się między szufladą ze sztućcami a stołem, stołem a kuchenką, lodówką a stołem. Jak stawia butelkę Pellegrino

i dwa kieliszki. Jak kładzie upieczony bekon do odsączenia na papierowym ręczniku. Kilka sporych szczypt soli wylądowało w garnku z wodą. Na stole położyła podkładki pod talerze, ułożyła serwetki w czerwono-białą kratkę. Po jednym widelcu i łyżce stołowej dla każdego. Kawałek parmezanu i metalową tarkę, następnie młynek do pieprzu na środku stołu.

Patrzył, jak miesza spaghetti, ujmujący wyraz skupienia na jej twarzy, łokieć wysoko, koszulka falująca przy każdym ruchu. Wyciągnęła jedną nitkę z wody.

- Znasz to? - po czym rzuciła ją na ścianę, gdzie ta się przykleiła. - To jest test. Jak jest al dente, to się klei do ściany - podkreśliła płomień pod tłuszczem z bekonu.

Patrzył, jak bierze duży gar wrzątku z makaronem i odlewa nieco wody do wielkiej szklanej miski, po czym wlewa resztę zawartości garnka do durszlaka w zlewie. Patrzył, jak podnosi miskę i wylewa z niej wodę na spaghetti w durszlaku. A potem - tak szybko, iż nie mógł uwierzyć, że nie parzy sobie dłoni - wlewa odsączone spaghetti z powrotem do podgrzanej miski. Wszystko było takie płynne, ani jednego zbędnego ruchu.

A jednocześnie szybkie. Z chrzęstem rzuciła bekon na makaron. Siedział jak w transie, a gdy wracała do kuchenki, zatrzymała się tylko na chwilę, chwytając patelnię po bekonie, by się do niego uśmiechnąć.

- Jeszcze dwadzieścia sekund - powiedziała. - Będziesz wniebowzięty.

Następnie patrzył, jak wbija dwa jajka na spaghetti w wielkiej misie, po czym wlewa na nie rozgrzany tłuszcz z bekonu. W końcu, łapiąc przez rękawice, przyniosła misę do stołu, gdzie w pierwszym rzędzie siedział Hunt.

Trzymając drewniany widelec w jednym, a drewnianą łyżkę w drugim ręku, zaczęła przerzucać jajka, tłuszcz i bekon z makaronem, aż wszystko było dobrze wymieszane. Łapiąc za parmezan, ścierała energicznie, ponownie marszcząc brwi z głębokim skupieniem, aż ser pokrył spaghetti niczym śniegu.

Patrzył, jak obraca młynkiem do pieprzu jakieś dziesięć razy nad potrawą. Odgarnęła niesforny kosmyk z czoła. Po raz ostatni wymieszała makaron drewnianymi sztućcami, aż wreszcie uniosła doskonale odmierzoną porcję i umieściła ją na środku białego, głębokiego talerza stojącego przed Huntem. Następnie nałożyła sobie i usiadła.

- Zawsze możesz dodać parmezan i pieprz. Tych nigdy nie za dużo - po wiedziała. - I jak?

Pod wpływem zapachów unoszących się z miski oraz prostego, lecz olśniewającego baletu, jaki właśnie obejrzał, Hunt niemal mdłał z zachwytu. Nawinawszy na widelec kilka nitek, trzymając poniżej łyżkę, włożył kęs do ust.

- To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłem - oznajmił.

Byli w połowie posiłku.

- No dobra, a więc co z tobą? - spytała Andrea.

- Niewiele - odparł. - Czego jeszcze nie wiesz?

- Cóż, wiem, że nie byłeś gliną, nim zostałeś prywatnym detektywem, a to dość niezwykle. Pracowałeś z dziećmi, zgadza się?

- Tak. SOD. Ale najpierw byłem gliną.

- Jak to możliwe, skoro Amy o tym nie wie?

- No wiem. Niech to będzie nasza tajemnica. Chyba nie lubię o tym zbyt dużo mówić. To nie było tu.

- Chcesz, żebym zgadywała, tak?

- Nie - zaśmiał się zadowolony z siebie. - Oto i ta podniecająca historia. Byłem w Dywizji Dochodzenia Kryminalnego w czasie wojny w Zatoce. Ale, kiedy odesłali mnie z powrotem do Stanów, miałem jeszcze około roku do odświeżenia i zacząłem zajmować się domami patologicznymi w rodzinach wojskowych. Gdy skończyłem i przeprowadziłem się tutaj, miałem dość wojska i policji, obu. Ale te dzieci... Sam nie wiem. To wydawało się mieć sens - uśmiechnął się do niej. - I mamy jeszcze czas na kilka tylko pytań.

- W porządku. Gdzie dostałeś?

- Jestem z Półwyspu. San Mateo.

- Naprawdę? A ja cały czas miałam cię za chłopca z miasta. To znaczy po tym, jak się tu rozeznajesz. Jestem tu od sześciu lat, ale zabierz mnie poza centrum albo na zachód od Van Ness, a się zgubię. Po prostu myślałam, że jak ktoś zna miasto tak dobrze jak ty, to musiał się tu urodzić.

- Nie. Przeprowadziłem się tu jako dwudziestopięciolatek.

- Tak jak ja.

- Ale w moim przypadku - powiedział Hunt - to nie było sześć lat temu, tylko piętnaście.

Zmarszczyła brew.

- Jakoś mi z obliczeń nie wychodzi.

Uklonił się, przyjmując komplement.

- Jesteś nazbyt miła, ale owszem, zgadza się.

- Dobra, wierzę ci. Jeszcze jedno pytanie.

- Jedno.

- Jak zaprzyjaźniłeś się z gliniarzem z wydziału zabójstw?

- Właściwie - odparł Hunt - to jak się ponownie spotkaliśmy po latach, jest fajną historią. Dev i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Graliśmy razem w baseball w ogólniaku. A potem, wiesz, college, i jeszcze wojsko w moim przypadku. Tak czy inaczej, nie widzieliśmy się przez jakieś dziesięć lat... - po czym opisał jej skróconą wersję swojego spotkania z Juhle'em - osiedle Holly Park, Keeshiana przywiązana do kuchennego krzesła.

Kiedy skończył, Andrea siedziała pochylona w jego stronę, z jedną stopą

na podłodze, a drugą podwinęta pod siebie.

- Ale niesamowita historia, Wyatt - powiedziała. - Cały czas robiłeś takie rzeczy?

- Nie. Czasami. Nie ciągle. Dzięki Bogu. Tak czy siak, po tym, Dev i ja kontynuowaliśmy z miejsca, gdzie przerwaliśmy w szkole. Wyjawszy, oczywiście, takie szczegóły, jak to, że ma żonę i troje dzieci.

- A ty?

- Co ja?

- Byłeś żonaty?

- Nie.

- Dzieci.

- Nigdy nie żonaty, bezdzietny - nie chciał okłamywać Andrei, a to formalnie była prawda. Nigdy nie był żonaty, był bezdzietny. Zaręczony, owszem, jedyne sześć tygodni. Sophie miała dwadzieścia sześć lat, była w drugim miesiącu ciąży, w doskonałym stanie zdrowia, gdy zabił ją tętniak.

Wybrał chyba jednak odpowiednio bez troski ton, ponieważ Andrea kontynuowała.

- A chciałbyś? To znaczy, po tylu latach pracy z dziećmi...

Wzruszył ramionami, udzielając odpowiedzi, którą już dawno doprowadził do perfekcji.

- Chyba zbyt często widziałem, co dzieje się z wieloma rodzinami.

- Ale nie ze wszystkimi.

- Nie, nie ze wszystkimi. To prawda.

Twarz Parisi posmutniała nagle.

- Co? - spytał Hunt.

- Właśnie myślałam o tym, co tyle robiłam ze Spencerem i... innym facetem, aż on i nieustająca pogoń za karierą i... - westchnęła głęboko. - Nagle wszystko to wydaje się takie puste.

- Po napchaniu się taką ilością jedzenia, nie możesz być teraz pusta. Poczuj, że rozumiała, co chciał osiągnąć, by odpuściła na chwilę swoim demonom. Jej ostatnia doba była wystarczająco bolesna, upokarzająca, ciężka. Nie powinna się już więcej katować. Nie dziś.

Spojrzała mu w oczy, po czym wstała i podeszła, zatrzymując się naprzeciwko niego. Kładąc mu dłonie na karku, pociągnęła go do siebie, przytulając jego głowę do swego brzucha. Puściła go po chwili, a on wstał, objął dłońmi jej twarz i pocałował ją.

Po jakimś czasie odsunęła się na tyle, by powiedzieć:

- I tak muszę zdjąć te ubrania, by ci je oddać.

Hunt zostałby w jej łóżku całe popołudnie, może cały tydzień, ale powiedziała, że naprawdę musi kilka godzin popracować. Ale chciałaby się z nim spotkać tego wieczora.

- W jakiejś miłej restauracyjce. Ty wybierasz, ja płacę.
- Co pobiłoby to, co właśnie jedliśmy?
- Nic - odparła. - Niemniej, niektórzy ludzie jadają częściej niż raz dziennie.

- Wezmę to pod uwagę - powiedział. - Ale, że zaryzykuję drażliwy temat, co ze sprawą Donolana?

Pokręciła głową.

- Dziś nie ma rozprawy. Jutro dowiem się, jaki jest stan rzeczy i pewnie będę kontynuować, aż ten cholerny proces się skończy.

- W porządku - Hunt trzymał ubrania, które od niego pożyczyła. Stał w otwartych, sporadycznie używanych drzwiach wejściowych. - Jeśli nadal będziesz miała ochotę po pracy. Ale jeśli będziesz wolała się wyspać, to zrozumie.

- Taki dobry z ciebie facet - powiedziała. - Poważnie - ponownie dostrzegł w jej oczach wdzięczność. - Co powiesz, jeśli zostawimy kwestię otwartą? - spytała. - W każdym razie, zadzwonię do ciebie. Powiedzmy, do siódmej.

- Brzmi fair. W każdym razie.

Przytaknęła.

- Zadzwonię.

Choć patrząc wstecz było to uderzająco logiczne, to policjanci nie przewidzieli tego w odpowiedniej chwili - gdy tylko Juhle i Shiu wyszli po zakończeniu przesłuchania w Salonie JV, Vanessa zadzwoniła do siostry, by poinformować ją, że, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, była podejrzaną o morderstwo męża. Inspektorzy wyrazili się dostatecznie jasno.

Zanim jeszcze zdążyli wyjść z „Adriano”, Shiu - przejawiając niemal nieprzerwanie oznaki tego, iż presja znalezienia podejrzanego wpływała na jego zdolność osądu - naprawdę próbował udowodnić, że powinni spotkać się z jednym z zastępców prokuratora okręgowego. Teraz. Powinni przedstawić, co mają na Jeannette i zacząć dyskusję na temat strategii oskarżenia jej o morderstwo - czy aresztować ją, nim będzie miała okazję uciec, albo zrobić coś podobnie nagłego jak samobójstwo, czy też powinni poczekać i przedstawić posiadane dowody wielkiej ławie przysięgłych, rozstrzygającej zasadność takich wniosków, by otrzymać oficjalny akt oskarżenia.

Juhle nie był przeciwny żadnemu z tych rozwiązań per se. Właściwie on sam niemal wierzył w to, co bredził Shiu w drodze do „Adriano” - że, ni mniej, ni więcej, rozwiązali sprawę w jeden dzień. Niemniej, abstrahując od presji, aby wnieść oskarżenie przeciw Jeannette, to najzwyczajniej nie mieli narzędzia zbrodni.

Fakt, w grafiku żony mieli dziurę, której nie potrafili wyjaśnić, a w czasie której niewykluczone, że mogła dokonać morderstw, ponieważ miała motyw - zakładając, że w ogóle wiedziała o Staci Rosalier. Ale to, że nie pojechała do „Adriano” kupić wina, wcale nie pomogło im wyjaśnić, co robiła w czasie krytycznych czterech godzin. Poza tym, jeszcze nawet jej nie przesłuchali.

Trochę pechowym byłoby, gdyby przedstawili ją jako podejrzaną prokuratorowi okręgowemu albo porucznikowi Lanierowi lub, co gorsza, Batiste, a ona pojawiłaby się ze świadkiem lub dwoma, którzy widzieli ją w domu siostry albo rozmawiali z nią w sklepie spożywczym.

Albo cokolwiek.

Przekonawszy Shiu, że muszą z nią ponownie porozmawiać - i to szybko, Juhle zadzwonił do niej na komórkę, pytając, czy mogłaby poświęcić im godzinę lub nieco więcej. Wtedy dowiedzieli się, że Vanessa do niej dzwoniła. Jeannette, naturalnie, chętnie się z nimi zobaczy, kiedy tylko będą sobie życzyli, ale spotkanie to będzie musiało się odbyć w biurze jej adwokata, Everetta Washburna. Podała im adres na Union Street i powiedziała, że mogą spotkać się tam za czterdzieści pięć minut, powiedzmy o 16:30.

Ale ich powrót do miasta wydłużył się znacznie, ponieważ jeleń zdecydował się wyrwać ze swego wiejskiego otoczenia na Marin Headlands i zaznać,

bez zapowiedzi, nieco kultury miejskiej, może życia nocnego w San Francisco. By to uczynić, musiał naturalnie przejść przez most Golden Gate. Trzymilowa przeprawa, zakończona ostatecznie sukcesem dzięki pomocy sześciosamochodowej eskorty kalifornijskiej policji drogowej, zamroziła ruch na moście w obu kierunkach na niemal cztery godziny.

Everett Washburn dobijał siedemdziesiątki i gustował w prząsnym stylu - workowate brązowe spodnie, czerwone szelki, super szeroki krawat republikański pod wygniecioną sportową marynarką. Sumiaste wąsy i rumiana, właściwie koloru mięsa wołowego, twarz upodabniała go do świętego Mikołaja, choć Juhle pomyślał, że niebieskie oczy pod grzywą śnieżnobiałych włosów były tak ciepłe i serdeczne jak, mniej więcej, lodowcowa kra. Jeśli któryś z reniferów wykręciłby mu jeden ze swoich głupawych numerów, ten odgryzłby mu kawał dupska. Otwierając drzwi wejściowe, sześć, może osiem stóp poniżej poziomu chodnika, pod Café de Paris, prawnik zrobił zawodową minę pokerzysty. Ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

- Ósma zero sześć - oznajmił zamiast powitania. - Naprawdę powinienem wystawić rachunek raczej miastu niż mojej klientce, za cały czas, jaki musiałem czekać po wyznaczonym terminie spotkania, na które przyjechałem aż z Redwood City.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, Redwood City mogło znajdować się ze sto albo i więcej mil od miejsca, w którym stali, podczas gdy było to tylko około trzydziestu; większość autostradą oraz ani kawałka, którym, przynajmniej tego dnia, spacerował jeleni.

- Jeśli pani Palmer nie byłaby moją drogą przyjaciółką, tak jak i klientką, i gdyby wszelka możliwa współpraca przy dochodzeniu nie była jej życzeniem, nigdy nie zostałbym tu do tej niehumanitarnej godziny. Dwa lata temu przeszedłem zawał i lekarz odradził mi pracowanie po godzinach. Ale ona pragnie schwytania zabójcy jej męża. To przede wszystkim. Zakładam, że mogą się panowie wylegitymować. Bardzo proszę.

Juhle proponował przełożenie spotkania, gdy oczywistym stało się, że nie zdążą na czas, ale Washburn marudził o swojej jeździe i o tym, że przyjechał do miasta tylko z powodu tej rozmowy. Był bardzo zajęтым człowiekiem i nie wiedział, kiedy mógłby znowu dysponować czasem na dojazd. Później, choć postara się być elastyczny, to może trochę potrwać i, oczywiście, nie pozwoliłby swej klientce na kolejną rozmowę z policją pod jego nieobecność. Pokrótce, ograł ich.

A teraz robił to ponownie.

Juhle'a kusilo, żeby odwołać to wszystko i stawić czoła staremu łobuzowi, by zezwolił swej klientce na samodzielne stawienie się przed wielką ławą

przysięgłych, jeśli nie będzie z nimi rozmawiać, ale ugryzł się w język. On i Shiu musieli jakoś ruszyć to śledztwo, a dopóki nie wykluczą lub znajdą zarzuty przeciwko pani Palmer, dreptali w miejscu.

Washburn doskonale wiedział, że miał ich w garści.

Jego kancelaria mieściła się w piwnicy starego wiktoriańskiego budynku, gdzie wprowadził ich bez żadnego kolejnego słowa, ciemnym i wąskim korytarzem, który tylko po lewej stronie prowadził do mieszkań. Na końcu hol otwierał się w nieco szerszą, lecz nadal małą recepcję. Za nią mieścił się gabinet Washburna, stosunkowo przestronny, ośmioboczny pokój o sześciu oknach oraz książkach na każdym wolnym calu ścian. Nie było tam biurka, ani śladu prowadzonych interesów. Oceniając wedle wyglądu, znajdowali się w salonie - dużo zieleni, orientalne dywaniki, niskie stoliki i kilka miejsc do siedzenia. Na zewnątrz, za oknami, zapadł już niemal zmierzch, lecz pomieszczenie było dobrze oświetlone lampami.

Jeannette Palmer nie wstała z małej kanapy, na której siedziała. Ubrana była na czarno, sprawiała wrażenie kruchej i wyczerpanej. Washburn przysunął sobie drewniane krzesło o prostym oparciu i wskazał inspektorom kanapę po drugiej stronie stolika. Na blacie Juhle umieścił magnetofon, na co Washburn skinął przyzwalająco. Juhle wyrecytował zwyczajowy wstęp, po czym napotkał rozwścieżony, choć słaby, wzrok swej podejrzaney.

- Pani Palmer, jak się pani czuje?

Najwyraźniej została pouczona, by nic nie mówić bez zgody adwokata. Spojrzała z ukosa na Washburna w niemym pytaniu. A on na nie odpowiedział.

- Szczerze mówiąc, inspektorze - powiedział prawnik - miałyby się lepiej, gdyby nie musiała borykać się absurdalnością bycia ewidentnie podejrzaną. To absurd.

- Pozwoli jej się pan odezwać? - spytał Shiu.

- Oczywiście. Powiedziałem już, że pani Palmer chce zrobić wszystko, co możliwe, by pomóc wam w dochodzeniu. Prawda, Jeannette?

- Całkowicie.

- W porządku - powiedział Juhle. - Może zatem moglibyśmy nam wszystkim to ułatwić.

- To już zostało dalece zbyt skomplikowane - odparł Washburn. - Zbyt niepotrzebnie skomplikowane.

Juhle ponownie oparł się pokusie, by źle się obejść z tym prawnikiem. Nie było sensu wdawać się z nim w daremne kłótnie, choć zdawał się go do tego prowokować. Zamiast dać się poirytować, Juhle spojrzał pani Palmer w twarz.

- Wczoraj - zaczął - u pani w domu, spytaliśmy, co robiła pani w poniedziałek po południu i powiedziała nam pani, że pojechała spędzić noc u sio-

stry, wyjeżdżając około szesnastej, by uniknąć korków. Zgadza się?

- Tak.

- Pani Palmer - Juhle zniżył głos - bardzo by nam to pomogło w śledztwie, gdyby mogła nam pani opowiedzieć dokładnie wszystko, co pani pamięta, od wyjazdu z domu aż do przyjazdu do siostry.

Ponownie spojrzała na prawnika, lecz tym razem skinął i pozwolił jej opowiedzieć.

- Dobrze. Jak już powiedziałam, wyjechałam o czwartej. Nie pamiętam żadnych problemów na drodze, ani dokładnego czasu, gdy dojechałam do Vanessy, ale zdziwiłabym się, gdyby nie było to jeszcze przed piątą.

- Gdzie pani zaparkowała? - spytał Shiu. Juhle, który chciał, by po prostu mówiła, rzucił mu ostre spojrzenie.

Ale odpowiedziała.

- Na podjeździe. Ale nie wiem, czy ktoś mnie widział. Z nikim nie rozmawiałam.

Shiu ewidentnie nie chciał odpuścić.

- A telefonicznie? Pokręciła głową.

- Nie musiałam nigdzie dzwonić. Z Vanessa rozmawiałam już wcześniej, więc wiedziała, że przyjeżdżam, a George był... - przywołanie imienia męża wywołało natychmiastowy i, według Juhle'a, nieco przesadny szok, z którego otrząsnęła się po maleńkiej, lecz niezaprzeczalnej wewnętrznej walce. - Szedł na obiad, jak już mówiłam - przeniosła wzrok z Shiu z powrotem na Juhle'a, westchnęła po raz kolejny i mówiła dalej. - Tak czy inaczej, obawiam się, że niewiele robiłam. Jazda trochę mnie zmęczyła, więc zdrzemnęłam się na chwilę, aż w końcu wzięłam egzemplarz *Sunset*, gdzie znalazłam przepis na nadziewaną pierś kurczaka, więc postanowiłam zaskoczyć Vanesse i zrobić to na obiad, zatem pojechałam na zakupy.

- Cofnijmy się na chwilę - rzekł Juhle. - Powiedziała pani, że już wcześniej rozmawiała pani z siostrą.

- Tak.

- Z domu?

- Nie. Z samochodu. Zazwyczaj dzwonię do niej, mijając JV, żeby potwierdzić, że nadal jesteśmy umówione.

Juhle spojrzał na Shiu, zastanawiając się, czy jego partner zrozumiał wagę tego faktu. Jeśli pani Palmer zadzwoniła z komórki, jadąc autostradą przez Mili Valley między szesnastą a siedemnastą, mogli określić jej położenie z dokładnością do mili lub dwóch, odnajdując zapis przyjęcia i transmitowania połączenia. Jeśli istotnie znajdowała się w Mili Valley, to wielce nieprawdopodobnym było, żeby wróciła do San Francisco zastrzelić męża i jego kochankę. Jeśli jednak, z drugiej strony, telefon wykonano z miasta - lub, lepiej, z okolic jej domu - to nadal byli na dobrym tropie.

Ale tak łatwo nie zamierzał jej odpuścić. Motyw był zbyt dobry, symetria zbyt dokładna. Za dużo w to włożyli. Wciąż mieli sklepy, wino, problemy z tą historią. Wciąż było to możliwe.

- Okay, wróćmy do zakupów - powiedział. - Do którego sklepu pani pojechała.

- Do supermarketu Safeway w Novato. Nie znam dokładnego adresu, ale jest to jeden zjazd przed zjazdem do Vanessy.

- Która była, pani zdaniem, godzina? - odezwał się Shiu.

- Nie wiem dokładnie. Szósta? Nie. Myślę, że spałam do szóstej. Raczej bliżej siódmej.

- Rozmawiała pani z kimkolwiek? Może ktoś panią zapamiętał? - spytał Shiu.

Najwyraźniej Washburn za długo znosił już milczenie.

- Proszę o wybaczenie, panowie - powiedział - sugerowałbym, aby spytali panowie, czy użyła swej karty Safewaya w czasie zakupów.

Ponownie jasne było, że już to przedyskutowali. Patrzył wyczekująco na panią Palmer.

- Tak. Użyłam.

- A więc jest tego zapis? - spytał Juhle.

- Z jej nazwiskiem i dokładnym czasem, jeśli o to chodzi - Washburn oparł się, kładąc stopę na kolanie drugiej nogi.

Frustracja Shiu osiągnęła krańcową fazę.

- A co z „Adriano”? - spytał.

- Zadzwoń pani do siostry powiedzieć, że zapomniała pani o winie i wstąpi po nie do „Adriano”.

Na chwilę zmęczone czoło pani Palmer zachmurzyło się ponownie. Oparła się o poduszki małej kanapy, na której siedziała, po czym ścisnęła dłońią skronie.

- „Adriano” - powtórzyła.

- Jeannette - Washburn nachylił się w jej stronę i dotknął oparcia kanapy.

- Nie, wszystko w porządku, Everett - powiedziała. Wyprostowując się ponownie, zdawała się niemal uśmiechać. - Trudno przypomnieć sobie coś, czego się nie robiło - powiedziała. Po czym odwróciła się do Shiu. - Nie pojechałam do „Adriano”. Wróciłam do Safewaya. Przypomniałam sobie, że płacąc za inne zakupy, nie wzięłam gotówki, a oni mają terminal ATM przy kasach, więc wróciłam tam. Tym razem Juhle był szybszy.

- I ponownie użyła pani karty?

- Tak, mojej karty Safewaya, a potem zapłaciłam ATM.

13

Hunt dodzwonił się na komórkę Juhle'a, kiedy inspektorowie wychodzili po zakończonej rozmowie z Everettem Washburnem i Jeannette Palmer. Najpierw spróbował do domu, ale Connie powiedziała, że go nie ma i że prawdopodobnie nie jadł też kolacji. Rozmawiała z nim, kiedy stał w korku na moście i zamierzał pracować do późna. W czasie, gdy będzie wracał, ona będzie kładła dzieci spać - nie jest to ulubiona pora Juhle'a. Jeśli zatem Hunt chciał się z nim spotkać, to zdaniem Connie, Juhle prawdopodobnie się ucieszy.

Straciwszy wreszcie nadzieję na „w każdym razie” telefon Andrei Parisi, Hunt powiedział Juhle'owi, że został wystawiony do wiatru i wieczór wionął przed nim pustką. Jeśli Shiu podrzuciłby go do Tong Palace na Clement, to mogliby uratować resztki tego gównianego wieczoru.

Sędziwa kelnerka podeszła właśnie z kolejną tacą przysmaków, co czyniła co mniej więcej pięć minut, odkąd usiedli w restauracji serwującej tradycyjną chińską kuchnię. Hunt i Juhle pokazali, co chcą - język migowy był tu lingua franca - i niebawem na ich stole pojawiły się talerze krewetek owiniętych w przezroczyste won ton, smażone ostrygi, małe parujące zawiniątka ciasta nadziewane owocami morza, mięsem albo warzywami, talerz siu mei, makaronu ryżowego z wieprzowiną na ostro. Była to już trzecia kolejka, lecz ich entuzjazm wobec jedzenia nie zmalał zbyt. Juhle podniósł rozłożone szeroko dłonie, co znaczyło dużą butelkę i naprawdę powiedział „Asahi”, podczas gdy Hunt podniósł filiżankę po herbacie i gestykulując poprosił o ponowne napełnienie.

- A więc Jeannette tego nie zrobiła? - spytał Hunt.

Juhle, mając za sobą tylko pięć godzin snu, zsunął się na krzesło przy ich narożnym stoliku. Podniósł swoją filiżankę i skrzywił się.

- Nie, jeśli dzwoniła do siostry z Mili Valley o szesnastej trzydziści i jeśli płaciła w Safewayu zarówno o dziewiętnastej trzydziści, jak i czterdziści pięć. Nie pojechała do Marin, gdzie nagle sobie przypomniała: A miałam dziś wieczór zabić George'a i jego dziewczynę, zatem wróciła do domu, dokonała dzieła i pojechała z powrotem do Novato.

- Faktycznie mało prawdopodobne.

- Co najmniej mało. Poza tym, ta sąsiadka na Clay Street, która widziała samochód zaparkowany przy podjeździe? To było w pół do ósmej, gdy z całą pewnością Palmer była w Safewayu. Znasz Everetta Washburna, prawnika? Nie? Cóż, jakoś zmusił kierownika, żeby znalazł rachunki pani Palmer i mu je przefaksował. Pojedziemy tam sami sprawdzić, ale nie jestem dobrej myśli.

Była tam.

- Kto zostaje?

- Podejrzany? W przybliżeniu prawie cały świat.

- Ja nie - Hunt podniósł prawą rękę. - W poniedziałek wieczorem byłem z tatą w Palo Alto. Poręczy za mnie.

- Dobra, wyłączając ciebie. I prawdopodobnie Connie, która w tym czasie podawała mi kolację, więc ją chyba też mogę odliczyć. Ale i tak, cała reszta.

Wydobywszy ostrygę, Juhle żuł, zastanawiając się przez chwilę.

- Kłopot w tym, że nie rozumiem, po co Staci Rosalier tam była, jeśli to nie była sprawa osobista. To znaczy musiało chodzić o nią.

Hunt wzruszył ramionami.

- Może po prostu tam była?

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Chciała to zrobić w łóżku żony. On chciał to z nią zrobić w łóżku żony. I dalsze kombinacje. Tak czy siak, wiedział, że żony nie będzie, chciał się zabawić dla dreszczyku emocji. Może po prostu źle skalkulował czas.

- I pojawił się ktoś inny akurat, gdy im zdarzyło się tam być? Innymi słowy zbieg okoliczności? - Juhle pokręcił głową. - Nie wierzę w nie. Nie w przypadku morderstwa.

- Może to wyjątek.

- Nie. Ktoś tam był, ponieważ wiedział, że Palmer i dziewczyna tam będą. Wierz mi. Albo teraz tak sobie myślę, Palmer mógł spotykać się jeszcze z kimś. Zaprosił ją do siebie, ale ta zabita - Staci - dowiedziała się o nowej i przyjechała stanąć z nimi obojgiem twarzą w twarz. - Juhle pochłonął kęs bułeczki z wołowiną. - Więc Staci ma przy sobie broń, zabija Palmera...

- Stojąc przed biurkiem?

- Pewnie. Czemu nie? Wywiązuje się szarpanina. Pistolet wypala w książki. W czasie przepychanki druga kobieta wrywa Staci pistolet i zabija ją, a wiedząc, co zrobiła, bierze broń i ucieka.

Hunt poczekał, aż Juhle weźmie piwo od kelnerki i wleje do schłodzonej szklanki.

- A jakie macie dowody?

- Cholernie mało. Shiu uważa, że strzelec mógł być niski, więc, jak widzisz, naprawdę ograniczyliśmy zakres poszukiwań. Ja osobiście jestem za teorią karła stojącego na taborecie. Nikt z sąsiadów nic nie słyszał, ani nie widział, poza sportowym samochodem, którym mógł być BMW Z4 albo inny o podobnym wyglądzie. Lecz pomiędzy samochodem a czymkolwiek wewnątrz lub na zewnątrz domu nie ma żadnego powiązania. Nie była to nieudana próba rabunku lub włamania, a włamywacz nie parkuje na podjeździe - po drugim jałowym dniu dochodzenia Juhle najwyraźniej wycisnął ze sprawy

cały humor, jaki mógł.

Hunt wziął krewetkę.

- Słyszałem plotkę, że sędzia zamierzał zadrzeć ze związkami strażników więziennych.

- Gdzie to słyszałeś?

- Źródło, niestety, musi pozostać anonimowe. Ale z grubsza rzecz biorąc...

Hunt powtórzył mu w skrócie to, czego dowiedział się o CCPOA i związkach Palmera z nimi.

Oczywiście Juhle wiedział o nagłośnionej bitwie Palmera ze związkami, ale wewnętrzne szczegóły domniemań zaskoczyły nawet tego doświadczonego glinę.

Kiedy Hunt skończył, Juhle siedział wyprostowany, zapomniawszy o piwie i jedzeniu.

- Żona, Jeannette, też o nich wspomniała, o strażnikach - powiedział. - Oczywiście było to wczoraj, kiedy ją podejrzewaliśmy, więc nie zrobiło to za dużego wrażenia. Niemniej jednak teraz zacząłem się zastanawiać. Słyszałem, że niektórzy strażnicy wyciągają facetów z kicia, żeby odwalali dla nich brudną robotę. Jeśli Palmer faktycznie chciał zrobić z nimi porządek, to może trzeba ich sprawdzić. Kto ci o tym powiedział?

- Znajoma prawniczka. Jej kancelaria Piersall-Morton reprezentuje związek.

- Świetnie. Możesz oszczędzić mi trochę czasu. Masz tam wtyczkę?

- Oczywiście - odparł Hunt. - Wtyczki to moje życie. Ale jest zajęta, Dev. Jesteś gliną. Zadzwońisz do biura, to cię pokierują.

Juhle musiał się zgodzić.

- W porządku, w porządku - powiedział - Piersall. Skądś znam to nazwisko.

- Bo to znana kancelaria?

- Nie, to nie to... moment - Juhle pstryknął pokiereszowanymi palcami i ponownie skrzywił się z bólu. - Ach. Mózg się budzi i to znowu wraca. Miałem cię zapytać. Andrea Parisi?

Hunt wyraźnie zmarszczył brwi.

- Co z nią?

Juhle pochylił się i oparł o stół.

- Ano z nią to, że, jak sądzę, już ci mówiłem, że nie ma zbiegów okoliczności, a my znaleźliśmy jej wizytówkę ubiegłej nocy u Staci Rosalier.

- W mieszkaniu ofiary?

- W jej portfelu. No więc ona też jest w to zamieszana, znaczy Parisi, a ja muszę wiedzieć jak.

- A jak niby miałyby być?

- Nie mam pojęcia, ale może ty masz.

- Nie.

- Ale chodzisz z nią biegać.

- Czasami, Dev. Tylko czasami. I co z tego?

- No i mówiła kiedyś coś o Staci?

- Nie. Nigdy.

- Ale Staci miała jej wizytówkę

- No faktycznie, to przesądza całą sprawę.

- No dobra. A sędziego?

- Tak. Sędziego wspominała.

- W jakim kontekście?

- W takim kontekście, że rozmawiałem dziś z Andrea, a Palmera zabito dwa dni temu. Poruszałem ten temat ze wszystkimi chyba, których spotkałem przez ostatnie dni, Dev. Teraz włączając ciebie. Co masz dokładnie na myśli?

- To, że jeśli Parisi pracuje u Piersalla, to łączy ją to ze związkiem strażników, prawda? To poszlaka. To coś - ponownie pstryknął. - To ona jest twoją wtyczką. U Piersalla.

Hunt wymusił uśmiech.

- Bez komentarza. Mogę tylko powiedzieć, iż powszechnie wiadomo, że ja również całkiem sporo pracuję dla Piersalla. No i co z tego? Chyba ci powiedziałem, że nie zabiłem Palmera. Jestem całkiem pewien, że Andrea też nie. Choć zawsze możesz ją spytać.

- Nie twierdzę, że to ona. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego Staci miała jej wizytówkę.

- Zbieg okoliczności?

- Nienawidzę tego.

Hunt wzruszył ramionami.

- Zdarza się. Może poznała ją w MoMo i chciała się dostać do TV?

Juhle pokręcił głową.

- To samo powiedział Shiu, a więc to nie może być prawda.

- Okay, to może, jak będę się następnym razem widział z Andrea, zapytam ją, skąd Staci mogła mieć jej wizytówkę? Jeśli w ogóle coś pamięta.

Kelnerka przybyła z kolejną tacą do wyboru, lecz po trzech kwadransach nieprzerwanego jedzenia obaj mężczyźni mieli dość. Juhle poprosił o rachunek, po czym odwrócił się do Hunta.

- No to ostatnie pytanie. Kto cię wystawił?

Hunt postanowił nie udzielać zdecydowanych odpowiedzi.

- Nie zdecydowałem, czy było to wystawienie. Po prostu postanowiła nie iść na kolację. Niezłe się wczoraj zaprawiła i myślę, że nadal cierpi. Fizycznie, mam na myśli.

- Usprawiedliwiasz ją? Zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś przez to żałosny? Zakochałeś się?

- Minimalnie. Może trochę bardziej.

- Connie kamień spadnie z serca. Ale nie, jeśli zakochałeś się w kimś, kto upija się jednego wieczoru i wystawia cię następnego. Wedle wszystkich norm trochę to do dupy.

- Miała ciężki tydzień.

- Może powinniśmy założyć Klub Ciężkiego Tygodnia. No to o kim mówimy?

Hunt oparł się, dopił resztę herbaty, pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Znasz mnie przecież, Dev. Nie wyjawiam szczegółów moich romansów.

- Ale to żaden romans. Nie może być, skoro cię wystawiła.

- Jak już powiedziałem, ta część nie jest technicznie jasna. Mogłem zacząć romansowanie przed dzisiejszym wieczorem, wobec czego nadal nie powiem.

- Przystawiałaś się do niej wczoraj, jak była pijana?

- To byłoby zachowanie niegodne gentlemiana, więc możemy to wykluczyć.

- Nie powiesz mi, prawda?

- Widzisz. To dlatego jesteś taki dobry w tym, co robisz. Wytrenowany inspektor widzi to, co inni ludzie niechybnie by przeoczyli.

W drodze powrotnej Hunt podjechał pod dom Andrei. Nie było to po drodze, ani tak naprawdę wcale tego nie planował. Zatrzymał się naprzeciwko miejsca, gdzie stał po południu. Cały dom był pogrążony w ciemności. Było jeszcze wcześniej, przed dziesiątą.

Chciał ją ponownie zobaczyć. Tak po prostu.

Wjechał na jej podjazd, wyłączył silnik i światła, i wysiadł z samochodu. Drzwi do garażu miały okienko na wysokości oczu i Hunt zajrzał do środka. Samochodu nie było. Mimo to wszedł na werandę i zerknął przez szyby na górze drzwi wejściowych w całkowitą ciemność.

Wrócił do samochodu i usiadł za kółkiem, nie włączając silnika przez niemal pół godziny. Aż chłód przeszył go do szpiku kości. Jeśli Andrea wróciłaby do domu i zastała go tam, jaką żalosną wymówką by się posłużył? Sprawiłby wrażenie natręta, napalonego, chorego z miłości, może nawet potencjalnego prześladowcy.

Włączył silnik. Jutro się z nią skontaktuje. Wycofał z podjazdu, przejechał pół przecznicy aż do Bay Street, po czym zawrócił na południe, w stronę domu.

Hunt samotnie rzucał do kosza, na przedzie swojego magazynu, gdzie mieściło się boisko.

Wprawdzie koszykówka nie miała szansy zająć w jego sercu miejsca

zarezerwowanego dla baseballu, to jednak oprócz pozycji shortstopera był rozgrywającym w licealnej drużynie i grał w przynajmniej dwudziestu dwóch meczach rocznie w drużynie ligi miejskiej, która istniała przez jesień i wczesną zimą, choć ironicznie, nie był miłośnikiem zawodowego sportu. Razem z Juhle'em nazywali NBA - SWM - Stowarzyszeniem Wytatuowanych Milionerów - i nie bardzo podobała mu się muzyka, jaką puszczali w czasie rozgrywek.

Ale rzuty do kosza - rzuty do kosza były najlepszą terapią na świecie.

I tego wieczora sam zalecił sobie terapię. Zaczynał na samym brzegu swojej połówki boiska, oddawał rzut, przesuwał się o kilka kroków, ale wciąż poza linią trzech punktów, znów rzucał, stawał na szczycie trumny, następnie na linii rzutów wolnych. Ilekroć pudło wał, naturalnie atakował kosz dwutaktem, po czym zaczynał od nowa, aż się zmęczył. Mierzył sześć stóp dwa cale i jako nastolatek uznawał swą umiejętność wsadów za jedno z największych sportowych osiągnięć swojego życia, lecz gdzieś po skończeniu lat dwudziestu zdolność ta opuściła go. Mimo to próbował za każdym razem, gdy założył dres, bo skoki mogły powrócić na jeden ulotny dzień i nie chciał ich przegapić.

Wreszcie zegar przemysłowy nad tablicą pokazał 23:42. Hunt był zlany potem i miał dość. Lubił schodzić z trzema celnymi rzutami pod rząd, a teraz miał już dwa i stał na linii rzutów wolnych, odbijając piłkę o ziemię. Odbił jeszcze dwa razy. Raz. Trzymał piłkę jakieś trzydzieści sekund. Jego oddech zwolnił.

Puścił piłkę na ziemię, zatrzymał ją nogą, popchnął pod siebie i usiadł na niej.

Bez oddania tego ostatniego rzutu zszedł z boiska - wyłączając na nim lampy i wyłączając światło nad częścią mieszkalną, wszedł i wziął prysznic. Kiedy skończył, wszedł do sypialni, otworzył szafę i założył szary dres, po czym wysunął szufladę i sięgnął pod koszulki, gdzie trzymał zdjęcie.

Nie wyjmował go już kilka lat. Nawet nie pamiętał, kiedy po raz ostatni.

Było to ostatnie zdjęcie Sophie, które zatrzymał. Tamtej nocy, gdy spalił wszystkie inne, wyjął je z ramki, ale coś go powstrzymało. Nie był w stanie zmusić się do zniszczenia wszelkich śladów jej istnienia. Nie mógł.

Nie było to oszałamiające zdjęcie i może z tego powodu je najbardziej lubił - choć Bóg świadkiem, iż potrafiła być oszałamiająca, gdy miała odpowiedni nastrój - ale uchwyciło jej istotę. Uśmiech, skórę, magię. To mogła być noc, w której zaszła w ciążę lub, co zdradzała jej poświata, być może już wtedy wiedziała. Ale na tym zdjęciu ubrana była w lekarski kitel, tuż po obchodzie w Centrum Medycznym, w sobotni wieczór w Shamrock Bar, gdzie

się spotkali.

Hunt dostał od niej na urodziny teleobiektyw i cały dzień spędził pstrykając maksymalne zbliżenia ptaków w parku Golden Gate. Kiedy weszła do baru i zajęła miejsce przy kontuarze, on akurat był w toalecie - wyczucie czasu stanowiło jego specjalność - mając aparat i nowy rzucający się w oczy obiektyw zawieszony na szyi. Nie zauważyła go, gdy wszedł. Rozmawiała z barmanem, śmiejąc się. A Hunt uniósł aparat. Wykonał największe możliwe zbliżenie i zamroził ją w tej chwili. Kiedy zobaczył wywołane zdjęcie, powiększył je do rozmiarów dziesięć na osiem cali, oprawił i postawił przy ich łóżku, obok jej ulubionego jego zdjęcia - na desce windsurfingowej na zatoce.

Teraz przesunął połyskujące zdjęcie do światła i położył je płasko na komodzie. Jego twarz łagodniała stopniowo, aż położył dłonie po obu stronach zdjęcia i oparł się na nich.

Kiedy był z nią, rozważał możliwość dzielenia z kimś życia. Ale od tamtej pory uczucie to opuściło go. Spotykał się później z kilkoma kobietami - wystarczająco miłymi, wystarczająco atrakcyjnymi - umawianymi przez Connie, lecz skoro taki związek, w jakim był z Sophie, mógł tak dokładnie wyjałowić jego duszę, to jego własny instynkt samozachowawczy domagał się unikania takich sytuacji. Nie miał zamiaru ponownie otwierać tych drzwi. Nie było to warte tego bólu.

Nawet nie znał Parisi. Nie tak naprawdę. A to, co wiedział, wcale nie było takie pozytywne. Ale zauroczyła go.

- Ale ze mnie dureń - powiedział na głos do fotografii.

Ale Sophie, oczywiście, nie mogła odpowiedzieć.

14

Następnego dnia rano - czwartek, 2 czerwca - dwie okoliczności przekonały Hunta do przejścia na piechotę ponad piętnastu przecznic z domu do dwupokojowego biura swej agencji detektywistycznej nad Half Moon Café na Grant Avenue w chińskiej dzielnicy.

Po pierwsze, mgła niespodziewanie ustąpiła, przynosząc olśniewający poranek. A po drugie, czas oczekiwania wreszcie się skończył - zakreślił tę datę w kalendarzu - więc mógł odebrać swój nowy pistolet, 380 ACP Sig Sauer P232, który miał około cala mniejszą lufę i o cal mniejszą wysokość niż pistolet, który nosił przez ostatnie kilka lat, Sig P229.

W najnowszej broni zakochał się, gdy był ostatni raz na strzelnicy z Devinem Juhle'em. Dev wypróbował ten pistolet, ale się na niego nie zdecydował, był dla niego za mały i uważał, że nie może wystarczająco dobrze nim celować. Ale Huntowi właśnie te cechy odpowiadały. Był lżejszy i łatwiejszy w obsłudze niż cokolwiek innego, czego kiedykolwiek używał. Choć różnica w rozmiarze nie była taka duża, to pistolet wydawał się dużo mniej widoczny w kaburze z tyłu paska.

Uzbrojony w nową zabawkę, oszołomiony przez piękno dnia, ku własnemu zaskoczeniu, Hunt zatrzymał się, by kupić torebkę świeżych, wciąż gorących char siu bao - klejących się bułeczek nadziewanych wieprzowiną w słodkim sosie. Chińskie jedzenie poprzedniego wieczoru było tak pyszne, że nie mógł oprzeć się pragnieniu spałaszowania kolejnej porcji tego ranka. Dobre samopoczucie Hunta było silniejsze od niego, tak, że opróżnił kieszenie i wrzucił wszystkie monety do kapelusza bezdomnego śpiącego w drzwiach jednego ze sklepów.

W biurze Tamara wyszła zza biurka, by podlać kwiatki. Ubrana była w czerwoną mini, czerwone buty na niskim obcasie i skromną białą bluzkę, która kończyła się jednak wystarczająco wysoko, by pokazać kilka cali jej napiętego, płaskiego brzucha i sztuczny brylant w pępku.

- Jeśli dostaniesz kiedyś pracę w prawdziwym biurze - powiedział Hunt - to wiesz, że raczej nie pozwolą ci się tam popisywać brzuchem.

Uśmiechnęła się do niego z wyrozumiałością.

- To dlatego nigdy nie będę tam pracowała. Craig lubi mój brzuch.

- To ładny brzuch - odparł Hunt. - Ale faceci w moim wieku - nie mówię, że ja osobiście, ale faceci jak ja - mogą uznać to za rozprasające w pracy.

- Cóż, to ich problem. Nie mówię, że twój, ale ludzi takich jak ty. Ale nie zrobimy tu prawdziwego biura, nie? Z przepisowymi strojami i całą resztą?

- Mało prawdopodobne - odparł Hunt. - No chyba, że Craig przekłuje sobie coś, co miałbym oglądać.

- Język się liczy?

Hunt podniósł dłoń.

- Tam. Proszę. Nie przed śniadaniem. Chyba nie przebiję sobie języka, co?

- Nie. Ale tak sobie rozmawialiśmy, że może byśmy oboje... Nie wylałyś nas, prawda?

- Nie. Mam nadzieję, że nigdy. Lecz trochę trudno mi, ot, tak sobie o tym gawędzić, jak teraz to robimy, to naprawdę nieco przerażające.

Uśmiechnęła się do niego.

- No to lepiej nie powinnam ci mówić o jego...

- Wolę nie wiedzieć - przerwał jej. - Ale skoro już o nim mowa...?

- Dostarcza nakazy. Sześć.

- Sześć w jeden dzień? Nie mów, że ktoś został faktycznie pozwany. Skinęła.

- Wierz lub nie. Jeden z klientów Aarona Randa. Jeślibyś go potrzebował, Craig jest pod numerem komórki - wskazała na białą torbę, którą trzymał w ręku. - Powiedz, że to są świeże bao.

- Zagram w tę twoją durną grę słowną - odparł. - To są świeże bao, ale niestety kupiłem tylko tuzin.

Spojrzała na niego znacząco, wyciągając dłoń o czerwonych paznokciach, na której niebawem miał pojawić się pierścienek zaręczynowy.

- Tuzin nakarmi głodną, czteroosobową rodzinę. Daj.

- Poza tym są prosto z pieca. Zbyt gorące do jedzenia.

- Będę dmuchać.

- To nie w porządku - westchnął teatralnie.

Otworzył torbę i podał jej jedną z bułeczek. Odwrócił się i wszedł do swojego biura, zamykając za sobą drzwi z matowego szkła. Zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku przy drzwiach, po czym sięgając do tyłu, wyjął nowy pistolet, tylko po to, by go ponownie obejrzeć. Trzymając go, zorientował się nagle, że musi pojechać do centrum, żeby uaktualnić swoją licencję na noszenie ukrytej broni - tak, aby była ważna na nową broń. Z formalnego punktu widzenia nie powinien nosić nowej broni w kaburze, dopóki się nie upora ze wszystkimi papierami. Próbował o tym nie zapomnieć i zająć się sprawą w porze lunchu, po czym odłożył broń na miejsce i usiadł za biurkiem.

Gabinet był spory, kwadratowy, praktyczny. Gdy go zobaczył po raz pierwszy, była to zasadniczo spora, pozbawiona okien szafa - główny czynnik znośnego czynszu. Pierwszym ulepszeniem, jakie wprowadził, było rozbicie trzech stóp kwadratowych ściany i wstawienie szkła pomiędzy jego biurem a miejscem Tamary, tak, by wpuścić trochę naturalnego światła.

Następnie wszędzie położył wykładzinę. Kupił standardowe jasne biurko z IKEI, gdzie stał komputer i telefon, oraz dopasowane do niego obrotowe

krzesło i dwa regały na dokumenty z jasnego metalu. Z domu przywiózł dwie gitary akustyczne - stalową i akustyczną - i powiesił je w zasięgu ręki, po lewej stronie. Po prawo był kontuar wraz ze zlewem, płytą do podgrzewania jedzenia, a także drukarka i faks stojące na małej szafce zaopatrzonej w szuflady do przechowywania narzędzi do inwigilacji - noktowizory, lornetki, jednorazowe toaletowe, gdy przerwy na skorzystanie z wc nie wchodziły w grę. Nad kontuarem powiesił kilka oprawionych, czarno-białych zdjęć baseballowych, które kupił tanio na stadionie i uważał, że wyglądają całkiem nieźle.

Hunt oparł się pokusie zadzwonienia do Andrei od razu po przebudzeniu. Wiedział, że mógł udawać, że po prostu sprawdza jak się czuje, upewnia się, że wszystko u niej dobrze, że jej kac minął, ale nie potrzebował Juhle'a, żeby wiedzieć, jakie było to żałosne. Skontaktuje się z nią później, niby mimochodem. Nie wspominając o obiecanych poprzedniego wieczora telefonii.

Teraz, gdy przez całą drogę do pracy nie poddał się pragnieniu porozmawiania z nią, podjął decyzję, że zadzwoni później i po prostu zaprosi ją na randkę. Powie tak lub nie. Nie bardzo w to wierzył, ale wiedział, że to, co zaszło poprzedniego dnia, mogło być mimo wszystko wynikiem jej wyczerpania i bezbronności, a w takie karty nie miał zamiaru grać. Jeśli było to coś prawdziwego, to będzie takie samo dziś - a może również i jutro.

Zmusił się, aby o niej nie myśleć.

Po wczorajszym wolnym dniu nagromadziło się całkiem sporo do zrobienia. Na południe zaplanowany miał udział w zeznaniach wstępnych świadka w sprawie o defraudację, w biurze jednego z jego klientów, co mogło pochłonąć większą część popołudnia. Poza tym, czekały na niego trzy obserwacje różnego rodzaju, o, mniej więcej, aktywnym statusie. Pewien doktor zatrudnił go również, by poszukał informacji na temat nowego przyjaciela jego matki, który był sporo od niej młodszy. A jeśli brakowało mu zajęć, mógł zająć się odszukiwaniem świadków - zawsze było kilku, których trzeba było znaleźć.

Najpierw musiał przebrnąć przez trochę pracy z komputerem. Brał lekcję on-line na temat technologii informatycznej oraz informatyki kryminalnej, podnosząc swoje kwalifikacje tak, by być w stanie konkurować z dużymi agencjami detektywistycznymi, jeśli jego specjalizacja jako prywatnego detektywa miała stać się obowiązkowa. Po skończeniu lekcji planował pogrzebać w sieci w celu sprawdzenia doświadczenia jednego z ludzi ubiegających się o pracę w ekskluzywnej firmie pośrednictwa pracy, którą wywalczył jako klienta.

Zaabsorbowany zawłościami informatyki kryminalnej, nie słyszał telefonu, który odebrała Tamara. Powiedział jej, że ma zajęcia on-line i nikt ma mu przez godzinę nie przeszkadzać. Podskoczył więc, gdy przy łokciu odezwał

się telefon.

- To była krótka godzina - powiedział.

- Przepraszam, ale to Amy Wu. Pomyślałam, że będziesz chciał z nią porozmawiać. Wydaje się zdenerwowana.

Jeśli to była Wu, to zamierzał z nią porozmawiać. Nacisnął odpowiedni przycisk:

- Amy, co jest?

- Może nic - jej głos brzmiał niezwykle poważnie. - Może jestem paranoiczką. Rozmawiałeś niedawno z Andrea?

- Od wczorajszego popołudnia, nie.

- Okay, może to dobre wieści. O której to było?

- Druga. Wpół do trzeciej. Dlaczego miałyby to być złe wieści? Wu zrobiła pauzę.

- Wszędzie dzwoniłam. Nikt jej nie widział. Przynajmniej nikt z kim ja rozmawiałam. Zadzwoiłam też do Spencera, ale nie odzywała się do niego od wtorkowego wieczora. Powiedział, żebym zadzwoniła do ciebie.

Hunt wiedział dobrze, dlaczego Andrea nie rozmawiała z producentem. Założył, że Fairchild pewnie widział, jak pobiegł za nią, gdy wyszła z Occidental.

Ale Wu mówiła dalej.

- Wczoraj wieczorem zadzwoniłam na jej pager, zostawiłam wiadomość u niej w domu, żeby do mnie oddzwoniła, nieważne o której wróci, ale tego nie zrobiła.

- Nie odezwała się? Czy nie wróciła?

- Nie wiem. Jedno i drugie.

- A co było takie pilne? Wu zawahała się.

- Słyszałeś, że zidentyfikowano kobietę, która została zabita z sędzią Palmerem.

- Tak, Staci jakaś tam, zgadza się? Kelnerka z MoMo. Nie znałem jej.

- Ale my tak. Andrea, Jason i ja. Przynajmniej wiedzieliśmy, kim jest.

- I dlatego chciałaś się skontaktować z Andrea? Żeby jej powiedzieć o Staci?

- Początkowo. Wiesz, trochę o tym porozmawiać. Ale kiedy nie oddzwoniła...

- Próbowalaś w jej biurze? Szła do pracy, gdy się z nią rozstawałem. Kolejna pauza.

- Kiedy się z nią rozstawałeś? Mówisz, że nie tylko z nią rozmawiałeś, ale że byłeś z nią?

- Straciła przytomność, więc zabrałem ją do siebie - w skrócie opowiedział wydarzenia. - Tak czy inaczej, jak się zebrała, zabrałem ją do domu. Mówiła, że pojedzie do pracy.

- Ale nie dojechała. Wczoraj nie. I teraz też jej tam nie ma i nie dzwoniła od rana.

Marszcząc brwi, Hunt spojrzął na zegarek. Fakt, nie było jeszcze dziesiątej. No i w porządku. Parisi mogła przyjechać krótko po tym, jak on opuścił podjazd, i pojechać na wczesne spotkanie z klientem. Mogła robić poranny zestaw ćwiczeń. Mogła pójść pobiegać. Mogła się po prostu zdecydować, że zostanie w domu i nie odbierała telefonu. Możliwe nawet, że wystawiła go, żeby wyjść z innym facetem i jeszcze nie wróciła do domu. Ale Wu, niezbyt skłonna do komedii, była zaniepokojona. W głębi serca Hunt poczuł ziarnko autentycznego niepokoju.

- Jej sekretarka jest zaniepokojona? - zapytał.

- Nieszczęśliwie. Powiedziała, że czasami Andrea przychodzi później.

- I pewnie tak jest i teraz.

- Może. Ale znasz Andreeę, Wyatt. Dzwonisz na jej pager, ona odpowiada. Ma komórkę operacyjnie umieszczoną w uchu.

- Może ją wyłączyła.

- To by przeniosło nas na skraj rzeczywistości.

Hunt wierzył Wu, ale cóż z tego? Biorąc pod uwagę wydarzenia, jakie Parisi przeżyła przez kilka minionych dni, uważał, że mogła zwyczajnie wyłączyć telefon i dać sobie kilka godzin wolnego. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że chciała przemyśleć parę rzeczy. Ale jednak Wu była ich wspólnym przyjacielem, a jej niepokój był szczery i w pewien sposób zaraźliwy.

- Z kim jeszcze rozmawiałaś? - spytał. - Ma tu gdzieś blisko rodzinę? Może się u nich zatrzymała.

- Wiem, że jej mama uczy w Kalifornii i mieszka w Berkeley, ale nie znam jej numeru, a nie wiem, czy chciałabym ją niepokoić.

- Mógłbym ją znaleźć i porozmawiać, w całkiem niewinny sposób. Obiecuję.

- Myślisz, że głupio sprawdzić oficjalnymi kanałami?

- Znaczący jakimi?

- Nie wiem. Policja? Szpitale?

- Jeszcze nie, tak sądzę. Ile jej nie ma? To ja rozmawiałem z nią jako ostatni?

- Jak dotąd.

- No i ile nam to daje? Osiemnaście, dwadzieścia godzin? - choć liczby te nieco go przstraszyły, mówił dalej optymistycznym tonem. - To duża dziewczynka, Amy. Może być wszędzie. Może się po prostu ukrywa.

- Przed czym?

- Sławą. Nie wiem. Zastanawia się, co ma zrobić ze Spencerem. Albo swoją karierą prawniczą. Tu może chodzić o wszystko.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę nie wiem. Ale znajdę numer jej matki, a potem, jeśli jej z nią nie ma, trochę podzwonię w różne miejsca publiczne. W międzyczasie, ty czekaj, może oddzwoni. A jeśli to zrobi, to daj mi znać, okay?

- Okay.

- Dobra. To słyszymy się później.

Rozłączyli się i w przeciągu kwadransa Hunt rozmawiał z Deanne, siostrą Andrei, mieszkającą w Berkeley, zadając ogólne i swobodne pytania. Przedstawiając się jako prywatny detektyw, wyjaśnił, że wykonuje kontrolę pewnej osoby, która podała jej siostrę jako referencję, pod tym numerem. Deanne zdecydowanie nie brzmiała jak ktoś, kto doświadczył jakiegokolwiek traumy w niedawnej przeszłości. Zaśmiała się i powiedziała, że jej siostra nie mieszka tam już od lat, więc kogokolwiek Hunt sprawdzał, to nie była to osoba zbyt aktualna - powiedziałem, że samo to, może być istotną informacją dla osoby, dla której wykonuję tę kontrolę. Deanne nie widziała się z Andrea od około miesiąca, ale była całkiem pewna, że jej matka rozmawiała z nią w miniony weekend. Hunt podziękował jej i się rozłączył.

A więc Andrea nie była u matki. Kładąc nogi na biurku, zastanawiał się przez chwilę, po czym ponownie podniósł słuchawkę i wybrał kilka numerów, które znał na pamięć.

15

- Juhle, wydział zabójstw.

- Hunt, chińska dzielnica.

- Błąd.

- Jak to błąd, skoro jeszcze nic nie powiedziałem?

- Dlaczego muszę wszystko wyjaśniać, Wyatt? Jeśli ja mówię „Juhle, wydział zabójstw”, ty nie możesz powiedzieć „Hunt, chińska dzielnica”. Mówisz coś w stylu „Hunt, detektyw”. Chodzi o to, jaką pracę wykonujesz, a nie gdzie. Spróbuj później - i rozłączył się.

Huntowi wydawało się czasami, że jedyną rzeczą gorszą od zadawania się z kimś, kto ma charakter, było zadawanie się z kimś, kto go nie ma. Ponownie wystukał numer Devina i usłyszał jego śmiertelnie poważny głos:

- Juhle, wydział zabójstw. - I tym razem powiedział:

- Hunt, detektyw.

- Wyatt - zagrzmiał Juhle - jak się miewasz?

- Nieźle, Devin, ale nawet teraz nieprzerwanie prowadzę śledztwo. Musisz coś dla mnie znaleźć.

- To wtedy ja bym prowadził śledztwo, a nie ty. A jak sądzę, wspomniałem, że robię w zabójstwach. Dzwonisz w sprawie zabójstwa?

- Mam nadzieję, że nie.

- No to nie mogę ci pomóc. Shiu i ja wychodzimy zająć się zabójstwem, bo to właśnie robimy. I tylko to robimy. Więc powodzenia.

- Nie rozłączaj się! - Hunta zdziwił jego własny ostrzejszy ton. Pomimo iż zapewnił Amy Wu, że Andrea Parisi ma się dobrze, zdawał sobie sprawę, że ucisk w jego żołądku, gdzie spoczął ostatni bao, nie zniknął. - Pamiętaj, że wczoraj rozmawialiśmy o Andrei Parisi...

Głos Juhle'a spadł o oktawę.

- Ta.

- Właśnie dzwoniła do mnie Amy Wu.

- W jakiej sprawie?

- W takiej, że Andrea od wczoraj nie odpowiada na telefony i nie przyszła dziś do pracy.

- Hej, ja sam ledwie się tu przywlekłem. Zdarza się. Ręka mnie dobija. Musiałem wziąć vicodin.

- Nie to samo - Hunt starał się nie zdradzać zniecierpliwienia i niepokoju. - Zastanawiałem się, czy mógłbyś trochę podzwonić i sprawdzić, czy nie przyjeźli nigdzie trzydziestoparoletniej, niezidentyfikowanej kobiety.

- Jeśli to Parisi, to nie byłaby niezidentyfikowana. Ktoś by ją rozpoznał.

- Zależy od tego, jak by wyglądała, prawda? Jeśli na przykład została pobi-

ta...

- Ty mówisz poważnie, tak?

- Ano.

- A czemu ty nie możesz wykonać tych telefonów?

- Mam sprawy klientów przez kolejne kilka godzin. Ty możesz to zrobić szybciej przez jedną z tych magicznych sieci, jaką wy gliniarze macie, gdzie dowiadujecie się wszystkiego o wszystkich. Poza tym sam przyjąłeś rozmowę, co znaczy, że siedzisz w biurze nad papierami albo się opieprzasz, czekając na coś lepszego do roboty. No i masz.

Juhle spojrzął na leżącą przed nim pierwszą stertę wyciągów bankowych szdiego Palmera.

- Jak długo jej nie ma?

- Od wczorajszego wieczoru, pory kolacji.

- I gdzie niby mam sprawdzić?

- Wszędzie, gdzie byś sprawdzał, jakbyś kogoś szukał. Może kostnice sprawdziłbym na końcu, ale szpitala. Może się upiła i została aresztowana i sprawdza wiadomości.

- No to dzwoń do wydziału osób zaginionych - powiedział Juhle.

- Nie zaczną szukać, dopóki nie miną trzy dni, Dev. Dobrze o tym wiesz, a to za długo.

- Niezupełnie, ponieważ daje to czas zaginionej osobie, by się odezwała, jeśli się jej odwiedzi i zdecyduje się wrócić do małżonka albo chłopaka, albo rodziców.

- Ale nie w tym przypadku.

- Sprawdziłeś u niej w domu, w pracy, w...?

- Tak, wszędzie. Niektórzy z nas - Wu, Tamara, ja - będziemy dzwonić, ale wiesz, że ty możesz więcej się dowiedzieć, w krótszym czasie.

Juhle wahał się przez kilka sekund.

- A skoro o tym wspomniałeś, chciałem z tobą porozmawiać na temat tego, co powiedziałaś wczoraj.

- Znaczący o czym?

- O Palmerze, ogólnie rzecz biorąc. Strażnikach więziennych. Lanier uważa, że coś w tym jednak może być.

- Więc przynasz, że masz wobec mnie dług?

Juhle westchnął do słuchawki.

- Dobra. Zobaczę, czego mogę się dowiedzieć.

Tamara otworzyła drzwi, nim Hunt zdążył odłożyć słuchawkę.

- Naprawdę myślisz, że ma kłopoty?

- Podśłuchujesz moje rozmowy?

- Tylko dwie ostatnie i tylko po to, by zaoszczędzić czasu, jaki poświęciłbyś na streszczenie mi sytuacji. Martwisz się?

- Powiedzmy, że czułbym się lepiej, jakby się odezwała.

- Co masz zamiar zrobić? Spojrzał na zegarek.

- Miałem zamiar skończyć lekcję w sieci, po czym zająć się pracą, ale mam spotkanie u McClellanda, a to zabierze mi większość popołudnia.

- Chcesz, żebym w międzyczasie gdzieś zadzwoniła? Hunt wstał, pozbierał papiery, złapał aktówkę.

- Spróbuj ponownie do biura Andrei i zaprzyjaźnij się z jej sekretarką, unikając denerwowania jej. Dowiedz się, kiedy Andrea wyszła wczoraj z pracy, w co była ubrana, z którym klientem widziała się jako ostatnim, gdzie była wczoraj wieczorem...

- Zwolnij! - Tamara uniosła dłoń, przerywając mu. - Mam unikać denerwowania jej, tak? Pogadam z nią i zobaczymy, co mi powie.

- Okay, masz rację. Tak czy siak, bądź blisko telefonu, jakby Devin się odzywał. Możesz dzwonić na mój pager. Lub, oczywiście, jeśli ona się odezwie. Marcel Lanier zamknął drzwi do swojego gabinetu mieszczącego się w wydziale zabójstw. Usiadł za biurkiem, pozostawiając dwóch detektywów pogrążonych w zadumie, czy chcą, by stali, czy też, aby usiedli. Shiu wszedł przed Juhle'em i najwyraźniej nie zamierzał się ruszać, blokując jednocześnie dostęp do dwóch krzeseł stojących na małej przestrzeni naprzeciw biurka Laniera. A więc stali, nienaturalnie blisko siebie, obok drzwi.

- Rozumiecie, że jeśli to nie żona - zaczął porucznik niskim i niepokojącym tonem - to znowu będziemy borykać się z kwestiami jurysdykcji - miał na myśli FBI i Departament Bezpieczeństwa Narodowego. - Jakie macie w tej sprawie sugestie?

Juhle, niewyspany i pod wpływem działania vicodinu, który łagodził od rana ból w jego dłoni i ramieniu, uśmiechnął się nonszalancko:

- Federalni? Może im nie powiemy? Wczoraj się wycofali, myśląc, że sprawa jest miejscowa. Może nadal jest: po prostu trochę się skomplikowała. No więc dziś to zostawmy. Jak nie pytają, to my nic nie mówimy.

Wargi Laniera wygięły się na moment w parodii uśmiechu.

- Cudowny pomysł, Devin, wyjąwszy tę konferencję prasową, którą muszę poprowadzić za dwie godziny.

Juhle wzruszył ramionami.

- Dochodzenie jest w toku. Powiedz, że robimy postępy. Bo robimy. Reporterzy kochają postępy.

- Jak my wszyscy. Ale o jakich postępach mówimy w tym przypadku?

- Wykluczaniu podejrzanych. Nie musimy im mówić, że Jeannette już nie bierzemy pod uwagę, bo może wcale tak nie jest. Jesteśmy po prostu całkiem przekonani, że to nie ona strzelała.

Lanierowi nie spodobało się to.

- Całkiem przekonani? Shiu stał na baczność.

- Ja się założę, że ona nadal jest w to zmieszana. Lanier odwrócił głowę.

- A ty, Dev?

Nie przejawiając entuzjazmu, w ścisłym tego słowa znaczeniu, Juhle pochylił głowę o cal, co miało oznaczać skinięcie.

- Wykluczając jakieś bardzo dziwaczne rozwiązanie, prawdopodobnie faktem jest, że nie mogła być tam w czasie strzelaniny, sir. Była w Marin.

Shiu wtrącił szybko.

- Co nie oznacza, że nie mogła tego zaplanować albo kogoś wynająć.

- I to wasza teoria?

- Myślę, że to najlepsze, co mamy, sir. Jedno jest pewne - jeśli pani Palmer wiedziała o tej Rosalier, to miała najlepszy motyw. Mamy zamiar odkryć, czy wiedziała, a jeśli tak, to skąd.

- Więc nadal jest na celowniku? - spytał Lanier. - Tak na wszelki wypadek, gdyby pojawił się jakiś federalny z pytaniami.

- Nie jesteśmy gotowi odpuścić takiego motywu, Marcel. A wspomniałem, że ma już reprezentanta prawnego? Everett Washburn.

Choć w oczach policji zatrudnienie adwokata równoważne było z przyznaniem się do winy, to w tym przypadku wieści nie przypadły Lanierowi szczególnie do gustu.

- Można się było spodziewać, prawda? Żona sędziego. Zna zasady gry. Ale Washburn, cholera.

- Dokładnie - powiedział Juhle. - Stary wyjadacz. Niemniej pocieszające jest, że do procesu nie dojdzie przez kilka najbliższych lat, a do tego czasu może umrze.

Lanier pokręcił głową.

- Nie liczyłbym na to. Prokuratorzy powtarzają to już od dziesięciu lat. Stary przyk będzie żyć wiecznie. Za chytry, żeby umrzeć.

Ale najwyraźniej adwokat pani Palmer nie stanowił jego głównego zmartwienia. Oparł się, wpatrując się przez chwilę w sufit. Kiedy ponownie opuścił oczy, jego twarz miała kamienny wyraz.

- Shiu, chcę, żebyś wiedział, że zgadzam się z tobą co do tego, że miała dobry motyw. Do diaska, klasyczny motyw, bez dwóch zdań. Więc zabawię się przez chwilę w adwokata diabła.

Juhle'owi zaczynało się to podobać. W przeszłości, gdy jego partnerem był Shane Manning, we dwóch całymi dniami analizowali teorie, wte i wewte, wyszukując w nich niuanse, sprzeczności, konteksty. Może i Lanier był szefem, ale wspiął się na tę pozycję stopniowo i przez piętnaście lat sam był inspektorem. To robią gliniarze, tak mówią, w taki sposób rozumują. Juhle zastanawiał się, co takiego zrobił, że zasłużył na obecnego partnera, który nie był tak naprawdę złym facetem, ani tępym. Nie miał po prostu wyobraźni gliniarza. Stoi tak przed biurkiem, jakby korzenie zapuścił, na przykład.

- Przepraszam, zanim zaczniesz - odezwał się Juhle. - Mój szanowny kole-

ga najwidoczniej lubi stać cały dzień na baczność, ale ja chętnie bym usiadł.

O dziwo jego partner ruszył się, podchodząc do dalszego krzesła, podczas gdy Juhle zajął to stojące bliżej.

- OK - powiedział Juhle, gdy usiadł - adwokatuj.

Lanier nie zwlekając ani chwili, uniósł palec.

- Po pierwsze, stawiacie na profesjonalnego zabójcę, zgadza się?

- Tak - odparł Shiu. - Najbardziej prawdopodobne.

- Dobra. Kilka pytań. Na przykład, jak wyjaśnisz kulę w książkach? Strzelec stoi trzy, maksymalnie cztery stopy od celów, które co najmniej niewiele się poruszają. Palmer siedzi w fotelu. Jak to możliwe, że pudłuje? I dobra, jasne, pistolety czasami samoczynnie wystrzelują, ale weźcie to pod uwagę. Dalej, co to za bzdura, że można określić, że strzelec był prawdopodobnie niski? Jak rozumiem wzrostu dziecka, drobnej kobiety.

Juhle przytaknął.

- W tym miejscu wynajmujemy karła - powiedział.

Na twarzy Shiu odmalowała się frustracja, lecz całkowicie to ignorując, Lanier mówił dalej.

- Kolejne pytanie. Gdzie kobieta pokroju Jeannette Palmer znajduje zawodowego zabójcę, który, po pierwsze, jej zaufa, a po drugie, z którym będzie umiała rozmawiać, gdy już go znajdzie, zakładając, że doszłaby tak daleko? Jak w ogóle pyta? Że co, że badania do książki prowadzi, czy jak?

- Czy sugerujesz, że mamy sobie odpuścić? - spytał Shiu.

- Nie. Ale to naciągane.

- A to dlaczego?

Lanier zastanowił się przez dłuższą chwilę.

- Dobra, tak na początek, wszystko to, co wymieniłem. To dość istotne, szczególnie, po pierwsze, jak ona by to załatwiła. Potem, brak otarć na którejkolwiek z kul, co oznacza brak tłumika. Kolejny drobiazg, ale gwarantuję, że jeśli zabijam kogoś - a nawet dwie osoby - w ciągu dnia, w pokoju o oknach wychodzących na ulicę, w domu w cichej, luksusowej dzielnicy rezydencjonalnej, to nawet używając kalibru dwadzieścia dwa, staram się nie hałasować, wiesz? Zwykła ostrożność.

Lanier przerwał, podrapał się po prawym uchu. W pokoju zaczęła ciężać cisza, lecz najwyraźniej porucznik miał więcej do powiedzenia i nawet Shiu dostrzegł, że rozsądniej jest mu nie przerywać.

- Wiecie jednak, co jest najtrudniejsze? - spytał. - Próbuję sobie to wszystko wyobrazić, tak? Palmer siedzi w swoim wielkim, skórzanym fotelu, dziewczyna stoi obok niego, zabójca po drugiej stronie biurka - pokręcił głową. - Jakoś tego nie widzę.

- Czemu nie? - spytał Shiu.

- Mogę? - wtrącił się Juhle. Lanier skinął.

- Bo to daleko od wejścia - powiedział Juhle. - Ale sędzia go wpuścił, nie ma śladów włamania. W porządku, powiedzmy, że przy drzwiach pokazał broń, kazał im się cofnąć. Nie ma jednak mowy, że idą do gabinetu, a sędzia siada w fotelu. Nie, jak tylko zabójca przekracza próg, od razu strzela mu na wejściu w głowę, używając - Marcel ma rację - tłumika, a potem zabiera się za dziewczynę.

- Ja nie mam problemu, żeby to sobie wyobrazić - Shiu oparł się, skrzyżował nogi, mówiąc do Juhle'a, choć miał na myśli również Laniera. W jego głosie pojawiła się nutka defensywności. Jego oparte o drewniane oparcie plecy były proste i naprężone.

- Ale może osoba ta nie wyglądała groźnie. Może sędzia go znał. Albo ją. I ofiary myślały, że wszystko da się przedyskutować.

Ten facet nawet siedzi na baczność, pomyślał Juhle.

- Nie przesądza to wprawdzie sprawy, ale jest coś jeszcze

- Juhle odwrócił się do Laniera. - Strzeliłby do dziewczyny raz jeszcze, mam rację Marcel?

- Tak sądzę - odparł Lanier. Obniżył głos i przesunął się nieco bardziej, otwarcie patrząc Shiu w twarz. - Padła po pierwszym strzale, choć nie ma widocznej rany wejściowej. Co robisz, jak masz na nią zlecenie? Już co najmniej raz spudłował. Mogła zemdleć, albo nawet się uchylić. Zawodowiec nie zostawiłby jej, nie upewniwszy się. Obchodzi zatem biurko i rozwala jej mózg. I prawdopodobnie strzela jeszcze raz do sędziego.

- Jeśli strzelał z tak małej odległości w głowy, to wiedział, że są martwi - odezwał się Shiu po długim namyśle nad ich wątpliwościami. W końcu powiedział: - I tak nadal myślę, że pani Palmer jest w to jakoś zamieszana.

- Zgodzę się, że przypuszczenie takie ma mocną podbudowę - powiedział Juhle. Właściwie widział dostateczną ilość miejsc zbrodni i ofiar zabójstw, by wiedzieć, że mordowanie niemal zawsze zawierało sporą dawkę niedbalstwa. Całkiem często strzały mszczącego się gangu zabijały czworo gapiów, pozostawiając zamierzony cel nietknięty. Kobieta planuje zabicie niewiernego chłopaka, ale wysypuje za mało trutki na szczury do grochówki - albo on się w połowie orientuje - w wyniku czego wywiązuje się walka na noże i oboje giną. Zabójca-amator na głodzie narkotykowym często zabija nie tego, kogo trzeba. Ojej, pech.

Lecz pomijając przypadkowość, która często towarzyszy morderstwom, Juhle wiedział, że w zależności od osoby, obecne ceny za odebranie komuś życia w San Francisco wahały się od około tysiąca dolarów do sum w okolicach pięćdziesięciu tysięcy. Naturalnie, jeśli zapłacisz komuś z dolnej części stawek, to twój uliczny narkoman szukający zarobku, może popełnić cały szereg błędów technicznych zarówno w planowaniu, jak i wykonaniu. Oczywiście, Juhle zakładał, że jeśli pani Palmer wynajęła kogoś, to celowała ra-

czej w górną część skali, ale mógł się mylić.

Chciał po prostu, by Shiu nabrał nieco perspektywy. Z drugiej strony on i Shiu spędzali razem całe dni i nie miało sensu izolowanie go lub sprawianie, by źle wyglądał.

- Istnieje jednak pewna możliwość - powiedział.
- A to jaka? - spytał Lanier.
- Pamiętasz z prasy tę historię o Palmerze i strażnikach więziennych?

Hunt, ubrany w dobrze skrojony garnitur Nordstroma, siedział w pokoju pełnym bardzo poważnych ludzi, rozmawiających o finansowych szczegółach współpracy wartej milion dolarów, która się nie powiodła, ponieważ jeden z dyrektorów oszukiwał w księgach. Dla wszystkich pozostałych była to istotna sprawa - Hunt wiedział, że współpracownicy u McClellanda, wszyscy od niego młodszy, zarabiali minimum sto sześćdziesiąt dolarów na godzinę i żyli tymi szczegółami.

Teraz siedział tam, samemu zarabiając osiemdziesiąt dolarów na godzinę, aby upewnić się, że jego świadek, sześćdziesięcioletni gentleman, Neil Haines, zezna zasadniczo to samo, co powiedział Huntowi przed czterema miesiącami, w rozmowie którą Hunt pamiętał jak przez mgłę, ale na szczęście nagrał ją i zrobił też całą masę notatek.

Patrząc przez okna mieszczącej się na trzydziestym trzecim piętrze sali konferencyjnej w siedzibie firmy McClelland, Tisch & Douglas na zalane słońcem miasto, Hunt spędził resztę przedpołudnia w oparach detali i nudy. Andrea wciąż się nie zgłosiła. Najwyraźniej, będąc poprzedniego dnia w drodze do klienta, zadzwoniła do biura.

- Kto był tym klientem?

- Carol Manion. I tak, zanim zapytasz, ta Carol Manion. Hunt zagwizdał. O ile nie znała ich już osobiście wcześniej, to Andrea Parisi zamieniła sławę na wysokie honoraria, jeśli miała klientów tego pokroju. Ward i Carol byli znaną parą, która swoje pierwsze pieniądze zarobiła w przemyśle spożywczym, lecz od tamtego czasu zmieniła branżę na winiarnie i restauracje oraz drużyny sportowe. Byli właścicielami sporej części drużyny 49ers. Byli również stałymi bywalcami stron o VIP-ach, choć Hunt coś pamiętał, że ich publiczna obecność zmniejszyła się od czasu tragicznej śmierci ich syna.

- No i rozmawiałaś z nią, z panią Manion?

- Nie, żartujesz? Jak niby miałabym się do niej dostać?

- Przez sekretarkę Andrei?

- Wyatt, daj spokój. Nie ma szansy, żeby Carla Shapiro dała mi prywatny numer Carol Manion.

- A pytałaś?

- Czy pytałam? Trochę mnie to obraża - Hunt niemal widział, jak Tamara

robi nadaśaną minę. - Udawała, że go nie ma. Akurat.

- Więc nie wiemy, czy Andrea w ogóle tam dotarła?

- Zgadza się. Zadzwoiłam do ich biura - Manionów - i spytałam, ale najwyraźniej było to coś bardziej osobistego. W głównym biurze nic nie wiedzieli o jakichkolwiek związkach pomiędzy Carol i Andrea.

- Dobra. A Dev? Odezwał się?

Tamara powiedziała mu, że Juhle zadzwonił, by przekazać, że żaden z miejscowych szpitali nie miał niezidentyfikowanej ofiary wypadku, kostnica też nie, areszt również nie wzbogacił się przez noc o atrakcyjną, młodą prawniczkę. Wszystko to, jak dotąd, stanowiło dobre wiadomości - Parisi nie była oficjalnie ranna ani martwa - choć nie było to bynajmniej nawet namiastką tego, co stanowiłoby spotkanie z nią.

- Amy się odzywała?

- Nie.

- Zadzwoiłam do niej.

Ale gdy tylko się rozłączył, młody reformator McClellanda, który kierował zeznaniami, zapukał w szklane drzwi sali konferencyjnej, gestami pokazując Huntowi, że będą zaczynać. Czas to pieniąż, więc przerwa na lunch u McClellanda trwała tylko pół godziny. Lecz o cokolwiek chodziło, musiał wyjść, a telefon do Wu będzie musiał zaczekać.

16

Spencer Fairchild był producentem wykonawczym TV Proces w trakcie ponad dwudziestu pięciu procesów w całym kraju i w jego opinii proces Randy'ego Donolana oskarżonego o podwójne morderstwo, żony Chrissy i jej kochanka Josha Eberly'ego, był najlepszym ze wszystkich, przy których pracował.

Miał wszystko.

Randy miał trzydzieści jeden lat, Chrissa dwadzieścia sześć, Josh siedemnaście. Oboje dorośli byli atrakcyjni, choć nie dorównywali Eberly'emu pod względem czystego, rozdzierającego serce seksapilu. Chrissa uczyła w zastępstwie WF-u i historii w liceum Lincolna, gdzie poznała Josha i po kilku tygodniach nawiązali romans. Randy z kolei, aż do dnia aresztowania, ponad półtora roku wcześniej, był pastorem małej, lecz entuzjastycznej parafii fundamentalnych chrześcijan (oraz prowadził firmę projektującą strony www) w Sunset District.

Choć, jak na razie, nie odnaleziono ciał Josha i Chrissy, to w pojeździe, który Randy używał do wykonywania obowiązków pastora i webmastera, znaleziono ślady krwi oraz włosy z DNA odpowiadającym tym od obu zaginionych. Samochód okazał się własnością parafianina, Gerry'ego Coombsa. Kiedy policja odkryła krew i włosy, pan Coombs stworzył całkiem nową religię i został głównym świadkiem oskarżenia przeciwko Randy'emu, z którym łączył go homoseksualny romans.

Pośród dziesiątek domniemanych teorii, które pojawiły się przed i w trakcie procesu, były propozycje jakoby Gerry, Randy i Chrissa stanowili pewnego rodzaju trójkąt; Josh zdecydował się na Randy'ego i chciał zostawić Gerry'ego i Chrissę; Chrissa kochała Josha i chciała za niego wyjść; Gerry tak naprawdę zabił na polecenie Randy'ego oraz wszelkie inne wariacje tych wersji, które w środowisku San Francisco były niemal nieskończone.

Od początku sprawa była dla TV Proces żyłą złotą.

A teraz, zupełnie jakby było jeszcze mało, to skrajnie opanowany, logiczny i znający się na rzeczy kociak, Andrea Parisi, która wyjaśniała znaczenie i niuanse każdej strategii i każdego posunięcia obrony począwszy od pierwszego dnia, najwyraźniej zniknęła.

Spencer Fairchild dowiedział się o tym z porannego telefonu Wu. Andrea była oczywiście bardzo zdenerwowana tamtej nocy - wcale jej nie winił - ale nigdy nie pomyślał, że jeśli nie pojedzie do Nowego Jorku, to zrobi wszystko, by zaryzykować pozycję, jaką wyrobiła sobie w San Francisco. Mimo wszystko była z pewnością na najlepszej drodze do wszystkich przyszłych

procesów w tym mieście. Dawła czadu przed kamerą. A kwoty jakie jej płacili, nawet biorąc pod uwagę jej codzienną pracę wziętego prawnika, nie były zbyt małe. Już nie mówiąc o sławie i rozgłosie zarówno dla niej, jak i dla jej kancelarii.

Nawet jeśli jej pierwsza próba awansu do Nowego Jorku nie powiodła się, to Fairchild nie wątpił, iż uda jej się to, gdy będzie jeszcze młoda. Trochę więcej doświadczenia, pojawienie się tu i tam, i będzie gotowa. A nawet jeśli nie, to to, co tu miała, było bardziej niż dobre - telewizja to medium kariery, a ona już jest gwiazdą. Będzie musiała pogodzić się z afrontem na jej *amour propre*. To część tego biznesu.

Więc jego pierwszym pomysłem po rozmowie z Wu było to, że Andrea pewnie się dąsa i pojawi się najpóźniej na popołudniowe podsumowanie posiedzenia sądu, a już na pewno na podsumowanie wieczorne, kiedy to była naprawdę potrzebna. Był to program po zamknięciu obrad na dany dzień, zazwyczaj nie wcześniej niż o szesnastej, kiedy ona i Tombo nie tylko przytaczali najważniejsze wydarzenia dnia, ale również umieszczali je w kontekście odpowiednio obrony i oskarżenia. Świetna telewizja, szczególnie gdy wczuwali się w swoje role, jak im się czasami zdarzało.

Ale nie chciał stracić tego „talentu” z oka i, tak dla pewności, wykonał kilka telefonów - najpierw na całkiem prywatny, niedostępny dla nikogo innego, używany tylko na wypadek nagłych wydarzeń w TV Proces, numer Andrei, potem do Richarda Tombo do domu. Wiedząc, że Wyatt Hunt wybiegł za Andream tamtej nocy, przeprowadził krótką rozmowę z Tamarą w Klubie Detektywów, która sama starała się zlokalizować Andream. U Piersalla rozmawiał z Carla, którą znał i, która, był pewien, uwielbiała go jak diabli, ale naprawdę nie miała wiadomości od swojej szefowej. Martwiła się.

Teraz Fairchild siedział naprzeciwko Richarda Tombo i zamierzał zamówić coś, co mogło uchodzić za lunch w „U Lou Greka”, półpodziemnym, ciemnym i minimalnie higienicznym barze/restauracji po drugiej stronie ulicy od schodów Pałacu Sprawiedliwości, skąd transmitowali większość relacji. Dziś sędzia Villars odwołał poranną sesję w sprawie Donolana o jedenastej trzydzieści, zatem pod małymi i brudnymi oknami ciągnącymi się wzdłuż ściany od alejki, było jeszcze kilka wolnych stolików. Pomimo wad Lou, których zdaniem Fairchilda była masa - jedzenie, atmosfera, oświetlenie, jedzenie, zapach, jedzenie, a w szczególności danie dnia, które było jedyną pozycją w menu - miejsce to było popularne w środowisku prawników i funkcjonariuszy ochrony porządku publicznego i to już od ponad dwudziestu pięciu lat. Miejsca stojące dostępne były od południa do około pierwszej trzydzieści, drugiej i trzeciej dla rezydujących w głębi, przy barze.

Tombo zbliżał się lub dopiero co skończył czterdziestkę. Szerokie ramio-

na, masywna, ale nie gruba sylwetka, wzrost ponad przeciętną. Jego skóra była bardzo ciemna, włosy mocno skręcone, ciemne garnitury zawsze nieskazitelne. Dokładnie przyciętą kozią bródkę znaczyły ślady siwizny. Szeroki, nieco przyplaszczony nos dzielił twarz na dwie prawie idealne części, co nadawało jej regularny i przyjemny wyraz - całkiem normalny, a jednocześnie nieco niezwykły. Jego głębokie czekoladowe oczy, potencjalnie skłonne do smutku, często mrugały wesoło spomiędzy kurzych łapek. Na swój sposób Tombo był tak atrakcyjny jak Parisi, co odegrało oczywiście sporą rolę przy ich wyborze przez Fairchilda do programu.

Fairchild zabierał się w końcu do powiedzenia Tombo o reakcji Parisi sprzed dwóch nocy.

- Jestem pewien, że to o to chodzi w tym zniknięciu. Ale pozwól, że się spytam, Rich, czy ja kiedykolwiek udawałem, że mam tego typu wejścia? Czy nie powtarzałem wam cały czas, żebyście cieszyli się z tej przejażdżki, bo nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się szansa na następną?

Tombo wyjął z miski na środku stołu zielony strączek edamame, otworzył go i wysypał znajdujące się wewnątrz groszki na dłoń.

- Najwyraźniej nie przyjęła tego do wiadomości.

- Nigdy jej nie okłamywałem.

- Nie mówię, że to robiłeś - włożył jeden groszek do ust - ale mogła odnieść inne wrażenie, to wszystko. Byliście całkiem blisko.

- Ani trochę bliżej zawodowo niż ty i ja. To od samego początku miał być zespół, nasza trójka.

Na twarzy Tombo pokazały się kurze łapki.

- Ta, cóż, mnie chodzi nie tylko o sprawy zawodowe.

- Okay, rozumiem. Ale pierwszy raz zorientowałem się, że jej naprawdę chodzi o Nowy Jork we wtorek wieczorem. Nie ściemnam. To był pierwszy raz. Chodzi mi o to, że naprawdę liczyła na to, jako na kolejną fazę, że to naprawdę nastąpi. Gdy tylko to powiedziała... no cóż, musiałem ją poprawić. I wtedy zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Co to w ogóle jest?

Otwierając kolejny strączek, Tombo opuścił wzrok.

- Edamame. Soja. Świetna rzecz - rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu. - Lou podnosi poziom, zamienia się w smakosza.

- Zauważyłeś dzisiejsze danie dnia? - spytał. - Tempura dolmas? Co to jest?

- Tak jak powiedziałaś, specjalność. Sui generis - Tombo przerwał na moment, przełożył z grubsza. - Twój własny.

- Może i tak, ale co by to nie było, to dość dziwne na wyrafinowaną kuchnię.

Tombo wzruszył ramionami.

- Zależy od definicji. W Sudanie takie coś wywołałoby paradę radości -

wrzucił kilka ziarenek soi do ust. - No więc, jak myślisz, gdzie ona jest?

- Ukrywa się. Przekazuje wiadomość. Próbuje mi dopiec.

Tombo cmoknął ze współczuciem.

- Myśli, że to sprawa osobista.

Fairchild przechylił głowę, zastanawiając się, czy Tombo z niego kpi.

- Dokładnie - powiedział. - Wróci na czas, żeby zrobić podsumowanie, jestem pewien.

- Miejmy nadzieję.

- Cóż, a jeśli nie, to sam sobie świetnie poradzisz. - Kelnerka podeszła z tacą pełną szklanek wody, postawiła dwie na ich stole, niepotrzebnie zapisała zamówienie - specjalność: dolmas. Kiedy odeszła, Fairchild podniósł swoją szklankę. - Powiedz szczerze, Rich, zastanawiałeś się nad tym, co będziesz robił po tym procesie?

Tombo wzdrygnął się.

- Wróć do normalnej pracy. Boże, to brzmi strasznie teraz, gdy siebie słyszę - oczy mu się rozjaśniły. - Hej, może pociągniemy za parę sznurków i zorganizujemy zabójcy George'a Palmera proces w ciągu następnych dziesięciu dni. Nie byłoby świetnie?

- Rewelacja. Ale czy nie powinni go najpierw złapać?

- Jeśli to on. Skoro już o tym mowa, popatrz na to - spojrzenie Tombo powędrowało do tłumu przy drzwiach, gdzie dwie znajome postaci przebijały się do przodu. - Juhle i Shiu - powiedział. - I wygląda na to, że idą w naszą stronę.

Tombo przez dziewięć lat pracował jako zastępca prokuratora okręgowego, nim przeszedł do sektora prywatnego. Znał Juhle'a i Shiu i wiedział o ich przydziale do sprawy Palmera. Kiedy dotarli do ich stolika, wszystkich sobie przedstawił. Razem z Fairchildem zrobili miejsce dla inspektorów, przesuwając się na swych ławkach, przez co przy stoliku zrobiło się nieco ciasno. Shiu od razu zaczął:

- Jesteśmy właśnie w drodze do firmy Andrei Parisi i Devin pomyślał, że wy tu będziecie, więc mogliśmy najpierw pogadać z wami. Właściwie to mieliśmy cichą nadzieję, że Parisi będzie z wami.

- Nie - powiedział Fairchild. - Jak na razie jesteśmy tylko my. Jak widać.

- Rozmawiał z nią dzisiaj któryś z was? - spytał Shiu.

- Jeszcze nie. Zazwyczaj pojawia się po zakończeniu popołudniowego posiedzenia, ale czasami ma inne zajęcia i nie może przyjechać - Fairchild wzruszył ramionami, zupełnie jakby nic się nie stało. - Spodziewamy się jej jednak w porze podsumowania, może wtedy spróbujcie.

- O co chodzi? - spytał Tombo.

- Cóż, skoro już tu jesteśmy, na początek - powiedział Shiu - mógłby nam któryś z was powiedzieć trochę o zakresie jej zaangażowania w sprawę

związku zawodowego strażników więziennych?

- Znaczy poza tym, że są jej klientem? - spytał Fairchild.

- Masz na myśli klientami Piersalla - poprawił go Shiu. Producent wzruszył ramionami.

- Dobra, jasne, ale to ona cały czas się zajmowała ich sprawami.

- Chyba czegoś tu nie rozumiem - powiedział Tombo. - Wy dwaj pracujecie nad sprawą Palmera, zgadza się? Co Andrea ma z tym wspólnego? Albo strażnicy więzienni, jeśli już o tym mowa?

Juhle musiał interweniować. Jego partner i tak już za dużo powiedział.

- Nie wiemy - powiedział. - Mamy kilka punktów i sądziliśmy, że może Parisi stanowi między nimi jakiś łącznik.

- W sprawie Palmera? - spytał Tombo.

- Niby jak? - dodał Fairchild.

Juhle nie lubił dzielić się informacjami z ludźmi z telewizji. Posłał im bezbarwny uśmiech i w miejsce odpowiedzi zadał swoje pytanie.

- Czy wspomniała któremuś z was kiedykolwiek o młodej kobiecie, Staci Rosalier?

Tombo pokręcił głową. Fairchild zmarszczył brwi.

- Coś się kojarzy? - Juhle próbował wyczytać coś z miny Fairchilda.

- Nie. Nie od Andrei. Ale nazwisko brzmi znajomo.

- Była drugą ofiarą - powiedział Shiu. - Kobietą zabitą z Palmerem.

- Właśnie - potwierdził Fairchild. - Stąd je znam. Co ją łączy z Andrea?

Juhle poczęstował się edamame.

- Tego się chcemy dowiedzieć. Tombo i Fairchild spojrzeli na siebie.

- Okay. Wróćmy na chwilę do strażników więziennych - odezwał się Shiu, odwracając się do Fairchilda. - Powiedziałeś, że cały czas pracowała nad ich sprawami. Musiała zatem zdawać sobie sprawę z, mmmm, problemów Palmera z nimi.

- Pewnie - powiedział Fairchild. - Ale, kto nie wiedział? Co kilka tygodni pojawia się artykuł w jakiejś gazecie, prawda? Więźniowie przypadkowo zabici przez strażnika w Folsom. Meksykańska mafia zbija fortunę, handlując narkotykami z Pelican Bay. W Corcoran odbywają się walki na śmierć gladiatorów-więźniów. Połowa więziennych lekarzy jest notowanych, nie mają ważnych licencji, wypisują lewe recepty. I za każdym razem Palmer groził, że tym razem zamknie związek. Strażnicy wymykają się spod kontroli. Jeśli związek nie jest w stanie utrzymać w ryzach swoich członków, to umieści ich pod jurysdykcją federalną. No i zgadnijcie, kto przekazuje te wszystkie informacje pomiędzy nim a związkiem? Albo raczej przekazywał.

- Moment - Tombo pochylił się, wszelkie ślady rozbawienia zniknęły z jego oczu. - Myślicie, że CCPOA ma coś wspólnego ze śmiercią Palmera?

- Nie wiemy - powiedział Shiu. - Wiemy, że związki mają bojówki i nie

boją się ich używać. Wiemy też, że osoby, które kandydowały przeciwko popieranym przez nich ludziom, szczególnie na terenach wiejskich, spotkały różne nieszczęścia, albo ich sztaby wyborcze, ot, tak.

Juhle miał już dość nieodpowiedzialnej paplaniny Shiu. Zaraz powie im, że sprawdzają możliwość, że Jeannette kogoś wynajęła, może kogoś spośród wrogów Palmera ze związku, do zabicia męża. Omówili to już w gabinecie Laniera, wcześniej tego dnia. Ale od tego czasu doszli na tyle daleko, że Shiu mógł powiedzieć im, że zrozumieli, iż związek nie potrzebował wcale Jeannette jako prowodyra. Mógł to być ich samodzielny pachołek. Już wkrótce, jeśli Shiu nie zwolni, to usłyszą wszystkie swoje teorie w telewizji.

- Tak czy inaczej, chcielibyśmy zobaczyć się z Parisi w sprawach, które leżą w tym kontekście.

- Ale powiązaliście ją w jakiś sposób z drugą ofiarą - powiedział Tombo. - Zgadza się?

Juhle uchylił się od odpowiedzi.

- Ponownie kontekst - zaczął podnosić się z ławki, językiem ciała dając Shiu znak do pójścia za jego przykładem. - Jak się z nią zobaczycie - powiedział swym najbardziej przyjacielskim tonem - to możecie jej powtórzyć, że chcielibyśmy z nią porozmawiać, żeby poczekała na nas, pojawimy się w porze podsumowania, dobrze?

- Miała ujawnić jakąś niewiarygodną historię - Fairchild zdawał się nie mieć najmniejszych problemów ze swoimi dolmas. - To dlatego Nowy Jork miał być nią zainteresowany. Miała być tą wspaniałą reporterką śledczą. W każdym razie od tego się zaczęło.

- Powiedziałaś jej, że to nie ma znaczenia.

- Musiałem - wzdrygnął się Fairchild. - Nie miało znaczenia. Nadal nie ma.

- Powiedziała ci, co to? - spytał Tombo. - Ta historia.

- Częściowo. Ale po rozmowie z tymi facetami mam lepsze pojęcie, o co chodzi.

- Co?

Fairchild pochylił się nad stołem i zniżył głos.

- To, że związek ma jakichś oprychów do brudnej roboty, to jedno, prawda? Ale co, jeśli faktycznie wyciągasz więźniów na dobę czy dwie, by popełniali dla ciebie przestępstwa? To nad tym pracowała.

Tombo odsunął talerz, pozostawiając większość lunchu. Napęłniał się wodą.

- Jakie przestępstwa?

- Cokolwiek jest do zrobienia. Zdemolowanie sztabu wyborczego. Zastraszenie jakiegoś członka zgromadzenia ustawodawczego, który ma błędne

podejście w sprawie funduszy dla więźni. Nie wiem, może i zabójstwa. A w międzyczasie mają doskonałe alibi, jeśli ktoś miałby sprawdzać - siedzieli za kratkami.

Tombo podniósł wzrok, kręcąc głową.

- Nie.

- Co „nie”?

- Wszystko nie. To nie mogłoby się wydarzyć.

- Czemu nie?

- Ponieważ, Spencer, oto, co się dzieje, jeśli wypuszczasz skazańca - ucieka. Nie ma zamiaru wykonać roboty, o jaką go grzecznie prosisz. Opuszcza stan. A co najmniej nie powraca do swego przyjemnego, miejscowego więzienia, po tym jak kogoś dla ciebie zabił, aby spokojnie odsiedzieć resztę wyroku. Fairchild żuł chwilę, zastanawiając się.

- Owszem, jeśli, powiedzmy, siedzi z nim brat, któremu mógłby przytrafić się tragiczny wypadek, jeśli nie wróci.

- A tak, znana sztuczka dwóch braci w tym samym pudle.

- Może nie być dosłownie brat. Może być inny związek. Albo - wczuwając się w dyskusję, Fairchild mówił nieco głośniejszym głosem. - Albo, co jeśli masz co noc możliwość widzeń osobistych, plus prochy, plus alkohol, papierosy, różne kombinacje wymienionych? Wszystko dla ciebie wniosą.

- Kto?

- Strażnicy.

- Strażnicy, którzy cię pilnują?

- Tak, ci sami.

- A gdzie jest w tym czasie naczelnik?

- Bierze w tym udział. Zajmuje się sprawami związku. A związek jest wdzięczny. Pod stołem dostaje tygodniowy bonus. Nie ma się co dziwić, że to jest biznes uznaniowy.

Tombo uśmiechał się teraz szeroko ubawiony idiotycznością.

- A może tak dają mu harleya, żeby sobie nim jeździł po spacerniaku, co? Zgadzam się wyjść i kogoś zabić, ale domagam się harleya.

- Może nie harleya - powiedział Fairchild. - Zbyt widoczny. Mógłby wkurzać współwięźniów.

- A niby prawa do widzeń osobistych ich nie wkurzają?

- To mogą ukrywać.

- Takie rzeczy się nie dzieją, mój drogi. Nie mogę uwierzyć, że Andrea naprawdę się tym zajmowała.

- Myślę, że tak. Wciąż się może jeszcze zajmować. I mam na myśli chwilę obecną.

- Mimo że powiedziałaś jej, iż nie trafi dzięki temu do Nowego Jorku?

- Może to miała być sprawa Palmera. Jeśli myślała, że mogło mu się coś

takiego przytrafić. Znaczący, zabójca z więzienia. Mogłaby ujawnić sprawę, zdobyć sławę, przenieść się do Nowego Jorku i bez mojej pomocy. Nagle spoważniały Tombo zamilkł i obracał pustą szklankę na stoliku.

- Myślisz tak intensywnie, że niemal słyszysz, jak trybiki się poruszają - powiedział Fairchild.

- Nie wyciągają więźniów - odparł Tombo niemal niesłyszalnym szeptem.

- Wykorzystują tych na zwolnieniach warunkowych.

- O czym ty mówisz?

- Spencer, o czym właśnie rozmawialiśmy? O bojówkach związku. Andrea coś sprawdzała, ale nie chodziło o więźniów za kratkami. Ale o tych na zwolnieniach. Jeśli nie wykonają zadań, to zgłaszane jest złamanie warunków i wracają do więzienia. A jeśli robią, co im się mówi, może nawet i zabójstwo, to kryją ich kuratorzy sądowi.

- To teoria, Rich. Nie wierzę, nie sądzę, że znalazłoby się wielu gliniarzy, którzy chcieliby brać w tym udział.

- Nie, ja też nie sądzę, by gliniarze byli zainteresowani. Ale kuratorzy nie są gliniarzami.

- Pewnie, że są.

- Nie, nie są.

- No to kim są.

- Technicznie są strażnikami więziennymi. CCPOA.

Zdaniem Devina Juhle'a, Gary Piersall miał za dużo włosów jak na faceta po pięćdziesiątce, a do tego wszystkie doskonałej, siwej barwy i ani jeden nie potargany. Mierzący co najmniej sześć stóp cztery cale mężczyzna, ważył prawdopodobnie poniżej dwustu funtów, a jego doskonale skrojony jasnoszary garnitur przetykany był niemal niewidocznymi nitkami w kolorze jaskrawego błękitu. Wydatny orli nos i szerokie czoło nadawały mu wygląd arystokraty, podkreślany jeszcze przez przeszywające mętnoniebieskie oczy.

Siedzieli w jego biurze, siedemnaście pięter ponad San Francisco. Firma zajmowała cztery piętra w budynku na Montgomery Street, a biuro Piersalla było na bodajże trzecim od góry piętrze, w północno-wschodnim narożniku, skąd rozciągał się widok na Zatokę, Alcatraz, Golden Gate. Piersall przywitał Juhle'a i Shiu w drzwiach i zaproponował im zajęcie foteli stojących naprzeciw jego biurka, podczas gdy on przeszedł za nie, tak, żeby misternie zdobiony mebel znalazł się pomiędzy nimi.

- Obawiam się, iż nadal nie rozumiem, czemu chcieli się panowie ze mną zobaczyć. Jaki związek ma morderstwo George'a Palmera z CCPOA?

Juhle, spokojny, rozparł się wygodnie w olbrzymim fotelu, zakładając nogę na nogę.

- Otóż, proszę pana, nie było tajemnicą, że sędzia groził zamrożeniem fun-

duszy związku i wzięciem ich w sekwestr sądowy.

Piersall spróbował się lekko uśmiechnąć.

- Słowem kluczowym, inspektorze, jest tu **groził**. Musi pan zrozumieć, że jest to gra, w którą lubił grać, choć podnosił to larum już tyle niepotrzebnych razy, iż cała rozgrywka stała się bardziej nudna niż niepokojąca.

Shiu, w przeciwieństwie do Juhle'a, zajął jedynie sześć cali na brzegu fotela, stopy trzymając płasko na dywanie.

- Twierdzi pan zatem, iż nie miał wrogów w związkach?

- Nie. Z pewnością miał kilku. Był nieobiektywny i obojętny wobec sytuacji strażników i uwielbiał skupiać na sobie uwagę. Uwierzył we wszystkie brednie skazańców, a ponadto był głośnym, świętoszkowatym skurczybykiem. Więc pewnie miał kilku wrogów, Jim Pine może być najbardziej z nich widoczny.

Pine był przewodniczącym związków i z uwagi na kontrolowane przez niego ogromne sumy pieniędzy jedną z najbardziej wpływowych politycznych osobistości w stanie. Osobiście stał na czele kampanii na rzecz Prawa Trzech Wykroczeń, które znacznie podniosło populację więzienia stanowego, co z kolei stworzyło potrzebę zatrudnienia większej ilości strażników i stąd wyższych składek. Pine był również motorem Koalicji na rzecz Edukacji Ofiar, która nieprzerwanie walczyła o zaostrzenie kar, by utrzymać więźniów w zamknięciu na dłuższy czas. Każdy z opowiadających się za bezpardonową walką z przestępczością oskarżycieli i legislatorów w stanie Kalifornia, zyskiwał na tych wysiłkach i politycznych wkładach Pine'a i CCPOA.

- Lecz muszę panom powiedzieć - kontynuował Piersall - że pan Pine nie musi uciekać się do rozwiązań siłowych, co jak wnoszę, sugerujecie tu panowie. George Palmer nie byłby w stanie go usunąć i nawet George Palmer był tego świadom. Chciał po prostu utrzymać nacisk na wysiłki związku w samodyscyplinie, które - będą szczery - czasami w przeszłości się nie powodziły. Niemniej cała interakcja pomiędzy George'em i Jimem toczyła się w duchu mechanizmów mających na celu zachowanie równowagi politycznej funkcji sądowej i wykonawczej, i nic ponadto. Juhle uśmiechnął się nieznacznie.

- Dobrze to słyszeć i wszystko pięknie, wyjąwszy taki fakt, że przed przyjściem tutaj, byliśmy w biurze sędziego Palmera. Rozmawialiśmy z jego sekretarką oraz asystentem, który otrzymał już wstępne polecenie wzięcia związku w sekwestr. Ciężko uwierzyć, że nic pan o tym nie wiedział.

Piersall ostentacyjnie przewrócił oczami.

- Już kilka razy posunął się tak daleko. To po prostu kolejna faza jego gróźb - pokazując nagle zniecierpliwienie, potarł dłońmi o siebie i położył je płasko na blacie. - Ale pozwolę sobie zadać panom następujące pytanie: Czy obecność młodej kobiety, drugiej ofiary, nie dostarcza bardziej przekonującej

teorii śmierci George'a a niż jakieś pogmatwane i szczerze mówiąc dość niepokojące interpretacje na temat kręactw związku? Zakładam, iż ustaliliście intymny związek pomiędzy nią i sędzią? A w takim przypadku sądziłem, że będziecie szukać, że tak powiem, bliżej domu.

Instynktownie Juhle nie ufał ludziom, którzy nadużywali słowa **SZCZERZE**, wiedząc z doświadczenia, że jest to niezmiennie wskaźnik kłamliwości:

- Pani Palmer ma dobre alibi. I ma pan rację, wróciliśmy tym samym mniej więcej do punktu wyjścia. Więc szczerze mówiąc - powtórzył celowo - przyszedliśmy prosić o pomoc i współpracę. Badamy innych podejrzanych, ale również sposoby, jakie osoba o jej pozycji społecznej mogła znać i może nawet skontaktować się z kimś z bojówek takiej organizacji jak CCPOA.

Na twarzy Piersalla wywołało to prawdziwy szok, który zamienił się we współczujący uśmiech.

- Jeśli to jest wasza obecna pozycja - powiedział - to znajduje się ona w autentycznej nicości. Twierdzicie, że pani Palmer mogła nawiązać kontakt z kimś ze związku, aby pomógł jej zabić męża?

- Powiedzmy, że chcielibyśmy wykluczyć taką możliwość

- Shiu skinął głową.

- Pomijając przy tym fakt, że CCPOA nie ma bojówek

- dodał Piersall.

- Nie? - spytał Juhle, pochylając się. - Więc te małe incydenty w zeszłym roku, jakie przytrafiły się przeciwnikom waszych kandydatów w czasie wyborów, w ilu? Siedmiu hrabstwach? To czym były? Dziełami Boga?

Piersall wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Spora ich część to pogłoski i słyszałem teorie, iż za niektórymi aktami wandalizmu stali sami kandydaci, chcąc sprawić wrażenie, że to związek ponosi winę. Ale jeśli to do panów nie przemawia, proponuję przypadkową iskrę, może zwykłą nieostrożność, nie wiem. Miejscowi chuligani, żarty dzieciaków. I pozwolę sobie zauważyć, że, szczerze, jeśli pamięć mnie nie zawodzi, żaden członek związku nie został aresztowany w powiązaniu z tymi szkodami.

- Czynniki zbiegu okoliczności nie robi na panu wrażenia, prawda?

- Zbiegu okoliczności?

- Siedem różnych akcji wyborczych, a wypadki przytrafiają się wyłącznie naszym oponentom?

- Wypadki? Ktoś łapie gumę i to dowód na spisek? Właściwie to niektórzy z kandydatów związku również byli nękanymi, choć nie zostało to tak nagłośnione. Więc nie, zbieg okoliczności nie przemawia do mnie. I żeby wnioskować z tego i myśleć, że pani Palmer w jakiś sposób... - przerwał kręcąc głową. - Przykro mi, ale to jest po prostu niedorzeczne.

- Prawdę mówiąc, byłoby to niedorzeczne, gdyby nie jeden fakt.

- A jakież to?

- Andrea Parisi.

Piersall opuścił swe lodowato błękitne oczy.

- Co z Andrea?

- Z tego co rozumiem, była ona waszym reprezentantem wobec sędziego.

- Jednym z wielu, jeśli o to chodzi, i rzadziej odkąd zaczęła zajmować się sprawą Donolana w TV. Połowa naszych pracowników poświęca regularnie połowę czasu sprawom związku. Ale, owszem, miała dobry kontakt z sędzią Palmerem. On szanował ją, a ona jego - pochylając głowę na bok, mówił dalej. - Ale obawiam się, że nadal nie rozumiem tego toku rozumowania.

- Staci Rosalier, druga ofiara, miała w portfelu wizytówkę Parisi - młody inspektor zdawał się niezdolny do rozmowy bez ujawniania każdego skrawka informacji, jakie odkryli w czasie dochodzenia. - Jest zatem jedyną osobą, która łączy obie ofiary. A połączeniem z Palmerem jest CCPOA.

- No to klops - oznajmił Piersall.

- Tak - zgodził się Shiu. - Ale teraz, gdy najwyraźniej zniknęła, nie ma...

Cierpliwość Juhle'a była na wyczerpaniu. Postawił obie stopy na podłodze i podniósł dłoń w stronę partnera z nadzieją na powstrzymanie potoku jego wyznań.

Piersall zareagował, jakby ktoś go uderzył.

- Jak to najwyraźniej zniknęła? Ona... przepraszam na chwilę - podniósł słuchawkę. - Carla? Gary Piersall. Chciałbym mówić z Andrea. Rozumiem, jak długo? W porządku, dziękuję. Niech zadzwoni do mnie, gdy tylko się pojawi, dobrze? Dzięki - odłożył słuchawkę, jego dotąd pewna siebie twarz, nagle zwiotczała.

Juhle wstał, nim Shiu wyrządzi jeszcze więcej szkód. Zdołał jeszcze położyć swoją wizytówkę na biurku Piersalla.

- Naprawdę nie chcemy zabierać panu czasu. Gdy się do pana odezwie, będziemy wdzięczni, jeśliby do nas zadzwoniła. Najszybciej jak się da.

Jakiś czas później i trzy piętra niżej, Juhle i Shiu usiedli z Carla Shapiro w salonie pracowniczym, który był większy niż cały wydział zabójstw - sześć stołów otoczonych czterema krzesłami każdy, automaty z kawą, herbatą, napojami, słodyczami, przekąskami. Chuda sekretarka Andrei nosiła okulary, miała kręcone włosy, była poważna i, jak im powiedziała, śmiertelnie bała się o swą szefową. Śmiertelnie.

- Zadzwoniła około kwadrans przed trzecią - mówiła bardzo zdenerwowana, podczas gdy zajmowali miejsca przy jednym ze stołów. - Powiedziała, że czuje się już lepiej, więc przyjedzie i podgoni trochę z pracą, ale najpierw musiała pojechać do klienta do domu, ale zostanie pewnie, jak ja już pójdę do

domu, bez wątpienia do późna. Miałam nie czekać - zostawiłaby mi papiery na rano na biurku.

- Ale tego nie zrobiła? - spytał Shiu.

- Nie. Wcałe nie przyjechała. A przynajmniej nie wpisała się na dole. Po godzinach musimy wpisywać się na listę - po czym dodała, zupełnie jakby dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. - Większość dnia wczoraj też opuściła. A ona nigdy nie opuszcza dnia pracy. I mam na myśli dosłownie nigdy.

- No więc, co wczoraj robiła? - spytał Juhle. - Że nie było jej tu.

- Powiedzieli, że zatrucie pokarmowe.

- Kto taki?

- Jej lekarz, jak sędę. Zadzwoił, ale rozmawiał z recepcją, a nie ze mną.

- Ale około kwadrans przed trzecią miała się lepiej? - spytał Shiu.

- Tak myślę.

- Rozmawiała z nią pani osobiście - pytał dalej - i jechała do klienta do domu? Często to robiła? Spotykała się z klientami w ich domach?

- Tak sędę. Czasami. To zależy.

- Mówi pani coś nazwisko Staci Rosalier? - wtrącił się nagle Juhle. - Była jedną z klientek Andrei?

- Nie - Carla kręciła głową. - Nazwisko nie jest znajome. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi, proszę pani - powiedział Shiu. - Czy Andrea powiedziała do kogo jedzie?

- Tak. Carol Manion. Zna pan Manionów? Ale nigdy tam nie dotarła.

- Skąd pani wie? - spytał Shiu. - Dzwoniła pani do niej? Carla była tak zdenerwowana, że pytanie przestraszyło ją.

- Do kogo?

- Pani Manion.

W ciemnych oczach Carli pojawiło się prześladowujące ją poczucie winy.

- No, nie. To znaczy wczoraj, zanim wyszłam, nie było powodu, a potem... ona tu zadzwoniła. To znaczy do biura. Późnym wieczorem, wczoraj. Kiedy przyszłam dziś rano, na linii Andrei była wiadomość.

- Od pani Manion? Skinęła i opuściła głowę.

- Pytała, czy Andrea zapomniała albo zapisała złą datę spotkania. Co, oczywiście, nigdy by się jej nie przytrafiło.

- Nie - Juhle rysował palcem wskazującym okręgi na stole. - Więc nigdy nie dojechała do Manionów? Jeśli to tam się wybierała.

- Myślę, że tak. Tak mi powiedziała. I że potem tu wraca.

- I wtedy - spytał Juhle - rozmawiała z nią pani po raz ostatni?

Sięgnęła pod szkło okularów, by wytrzeć łzę.

- Z tego, co wiem - powiedziała - to ostatni raz, gdy ktokolwiek z nią rozmawiał.

17

Miejsce pracy Wesa Farrella nie przypominało za bardzo innych kancelarii prawnych, jakie Hunt odwiedzał w całym mieście. Zajmowała niemal całe trzecie piętro okazale odrestaurowanego budynku w sercu przedmieścia. Przypadkowy gość, który wjechał windą z podziemnego parkingu - unikając w ten sposób oficjalnej recepcji i tętniących życiem biur na niższych piętrach - mógł dojść do wniosku, iż trafił do prywatnej rezydencji ekscentrycznej i wyjątkowo niechlujnej osoby.

Biurko Farrella, którego zazwyczaj nie używał, stało pod jednym z okien w rogu, przez co reszta przestrzeni przypominała salon z tapicerowaną kanapą i dopasowanymi fotelami, kilkoma lampami na podłodze i stolikiem od Armii Zbawienia. Ścianę przy drzwiach zdobił kosz firmy Nerf. Gdzie popadnie poprzipinane było kilka starych i nieoprawionych druków reklamowych z czasów Fillmore'a oraz plakat bosko uśmiechniętej Cheryl Tiegs, wychodzącej z wody w prześwitującym kostiumie. Lada i szafki pod ścianą po lewej stronie mogły stanowić studencką kuchnię, ze zlewem, ekspresem do kawy i poustawianymi na zewnątrz kubkami oraz wałającymi się wszędzie dookoła pękatymi segregatorami, notesami i książkami.

Nikt jednak w tej chwili nie delektował się urokami tego miejsca. Farrell, siedzący niedbale na kanapie, z nogami na stoliku, podsumował za wszystkich obecnych:

- Mam złe przeczucia.

Wu osunęła się na jeden z foteli, złożywszy dłonie na udach. Hunt, który po zakończeniu zeznań został wreszcie wypuszczony od McClellanda kilka przecznic dalej, stał przy telewizorze, oparty o niski kredens pod oknem wychodzącym na ulicę. Sięgnął i wyłączył odbiornik. Skończyli właśnie oglądać podsumowanie kolejnego dnia procesu Donolana w TV Proces z udziałem Richarda Tombo, ani słowa o Andrei Parisi.

- Amy i ja wiemy trochę więcej od ciebie w tej sprawie, Wes - powiedział. - Zwrócił się do Amy. - Rozmawiałaś ze Spencerem?

- Czterdzieści pięć minut temu - odparła. - Nie dzwoniła. Spencer myśli, że to coś poważnego.

- I ma rację - powiedział Hunt. - No więc, o ile nam wiadomo, nikt nie rozmawiał z nią od czasu, gdy pojechała do Manionów?

- A wiemy chociaż, że pojechała? - spytał Farrell. Hunt skinął.

- Wzięła samochód. To wiemy. Był w garażu, gdy ją zawiozłem do domu, a poprzedniego wieczora go nie było.

- No więc, gdzie jest? - spytała Wu.

- No lo se - Hunt odetchnął z frustracją. - I najwyraźniej nie dojechała na spotkanie. Manion dzwoniła do jej gabinetu spytać, czemu się nie zjawiała -

czy zapomniała o spotkaniu.

- No więc co, wsiadła do samochodu i zniknęła? - zapytał Farrell.

- Jak na razie na to wygląda - odparł Hunt. - Tyle wiemy. I wcale nic dobrego - poszedł do miejsca, gdzie siedziała pozostała dwójka i usiadł okrakiem na oparciu fotela. - A skoro już o tym mowa, oto coś innego, nad czym zastanawiałem się przez większość dnia. Właśnie dowiedziała się, że nie dostanie pracy w Nowym Jorku, tak? Miała straszego kaca. Myślała nawet, że za spoliczkowanie Spencera może stracić posadę w TV Proces, a w konsekwencji może i u Piersalla, gdyby się dowiedział.

- Mówisz, że mogła popełnić samobójstwo? - spytała Wu.

Hunt nie chciał tak myśleć, ale wiedział, że nie można tego wykluczyć. Ludzie byli złożeni, nieskończenie nieodkrywalni. Co on interpretował jako obiecujący początek, dla niej mogło być kolejnym potencjalnie pogmatwanym epizodem w życiu, być może wypełnionym podobnymi związkami. - Tamara dzwoniła na stację pogotowia w całym mieście, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Amy, ty znasz ją lepiej niż ja. Co myślisz?

- Czy myślę, że mogła się zabić? Chciałabym powiedzieć, że nie, ale...

Zadzwoił telefon Hunta i podnosząc palec w stronę Wu, odebrał on połączenie, podchodząc do okna dla lepszego zasięgu.

- Tak, też właśnie oglądaliśmy - powiedział. - Wiem. Sutter Street. Na górze u Farrella i Wu i odezwał się nagle chropowatym głosem. - Devin chce wejść na górę. W tej sprawie. Będziemy tu jeszcze dziesięć minut? - widząc potakiwanie, wrócił do rozmowy. - Okay, Dev. Jesteśmy tu. Pewnie, jak chcesz.

Zamknąwszy telefon, został przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Jego ramiona uniosły się, opadły, uniosły się ponownie.

- Wyatt - w głosie Wu słychać było niepokój - co się stało?

- Tylko tyle, że Juhle i Shiu są z wydziału zabójstw i chcą porozmawiać o Andrei - odetchnął głęboko. - Wydział zabójstw oznacza, że ktoś nie żyje.

Kilka następnych minut upłynęło w udręczonej, nieprzerwanej zbyt wieloma słowami ciszy. W pewnej chwili Wu powiedziała:

- Jeśli mają coś konkretnego, byłoby o tym w wiadomościach. Szczególnie na kanale, który oglądaliśmy. Nie mogą nic mieć.

- Chyba, że policja im nie powiedziała lub kazała milczeć. Ale miejmy nadzieję - powiedział Farrell.

Hunt zadzwonił do Tamary, która powiedziała, że Andrea nie została przyjeta do żadnej stacji pogotowia, do której już zadzwoniła, choć zostało jej jeszcze około dziesięciu czy piętnastu w samej Bay Area o dziewięciu hrabstwach, nie wspominając o całym stanie. Trochę to zajmie.

Odezwał się telefon konferencyjny i Farrell odebrał, po czym powiedział:

- Dobrze. Niech wejdzie.

Pierwsze spojrzenie na twarz Juhle'a było pokrzepiające. Wyglądał na wyczerpanego długim dniem pracy, ale nie na kogoś, kto ma do przekazania złe wieści, których się obawiali - jego oczy wydawały się właściwie rozjaśnione jakimś oczekiwaniem. Jednak nie było szans na uczucie ulgi, bowiem Wu spytała, czy wie cokolwiek o Andrei.

- Nie mów tylko, że nie żyje - dodał Farrell. Juhle pokręcił głową.

- Mnie nic o tym nie wiadomo. Macie jakieś powody podejrzewać, że nie żyje?

- Robisz w zabójstwach, Dev - powiedział Hunt. - Chciałeś z nami mówić.

- Owszem. I nadal chcę. I nawet o zabójstwie, ale nie jej - spojrzał po kolei w trzy zaniepokojone twarze. - Rozmawiałem właśnie z Richardem Tombo przed Pałacem po programie. Zadzwoił do mnie i zostawił wiadomość, że jest coś, o czym musi mi powiedzieć. Czy ktorekolwiek z was słyszało plotkę, że Andrea Parisi miała romans z sędzią Palmerem?

Hunt poczuł, jak krew odpływa z jego twarzy. Ponieważ natychmiast plotka zabrzmiała jak prawda. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślał? Palmer, oczywiście - „inny facet”, z którym Andrea była przez dwa lata przed Fairchildem, który nie chciał poważnego związku, który ją rzucił, który pracował z CC-POA. A który teraz został zamordowany.

Wes Farrell zaoponował.

- To pomówienie, Dev.

- Cóż, zgadza się - Juhle nie miał zamiaru się z nikim kłócić. - Ale to nie proces i jest to rodzaj pomówienia, co do którego chcielibyśmy przesłuchać zainteresowaną, o ile to w ogóle możliwe.

- Ale, akurat teraz, nie jest - odparł Hunt.

- Na to wygląda - zgodził się Juhle.

- Moment - odezwała się Amy. - Chcesz przesłuchać Andreę w związku ze śmiercią George'a Palmera?

- Zgadza się.

- Jako podejrzaną? To śmieszne.

Juhle wzruszył ramionami.

- To tylko plotka - Farrell nie dawał za wygraną.

- Pewnie - odparł Juhle. - Ale wiemy, mniej więcej, kiedy Palmer zaczął ze Staci Rosalier. Drugą ofiarą. Około sześciu miesięcy temu. Kiedy zaczęła się sprawa Donolana. I według słów Tombo, to właśnie wtedy sędzia zerwał z Andrea.

- Tombo uważa, że nie pogodziła się z tym faktem - dodał Shiu.

- Dobra, ale Dev - powiedział Hunt - rozstali się pół roku temu. A ona miałyby ich oboje zabić w miniony poniedziałek?

- Przykro mi - odezwał się Farrell - ale nie ma takiej możliwości.

- Nie? A byłeś z nią w poniedziałek wieczorem, Wes?

- Nie, ale...

Juhle spojrział na Wu i na Hunta. - Któryś z was? W porządku. Oto co wiem. Po programie o szesnastej i drugim o siedemnastej limuzyna zawiozła ją do firmy około siedemnastej trzydzieści. Pracowała półtorej godziny i wpisała wyjście z budynku o dziewiętnastej zero osiem.

- I co potem? - spytał Farrell. Wzruszenie ramionami.

- Potem nie wiemy. Dlatego chciałem z wami porozmawiać. Tombo powiedział mi, że byliście razem następnego dnia wieczorem, na małym rocznicowym soiree Wyatta, które tak bardzo żałuję, że opuściłem. Może wspomniała coś komuś o tym, co robiła poprzedniego wieczora.

- To szaleństwo - oznajmiła Wu. - Wiem, że widywała się z sędzią raz, dwa razy w tygodniu w związku ze sprawami CCPOA. Właściwie to dopiero co... - Wu nagle przerwała.

Juhle nie przegapił przerwane zdania.

- Słucham, Amy.

Wu szukała wzrokiem pomocy Hunta i Farrella, ale żaden nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Cóż, widziała go jedzącego w poniedziałek lunch.

- A skąd pani o tym wie? - spytał Shiu.

- Bo jak byliśmy „U Sama”, to mi powiedziała. Nie mogło jej się w głowie pomieścić, że został zastrzelony. Zaledwie poprzedniego dnia widziała go w MoMo.

- MoMo - Juhle podniósł brew. - To miejsce, gdzie Staci Rosalier pracowała jako kelnerka w porze lunchu.

- Moment, Dev - wtrącił Hunt. - Więc twoja teoria jest taka, że pół roku temu, po tym, jak Andrea i Palmer się rozstali, ona zobaczyła go z nową dziewczyną w MoMo i ni stąd, ni zowąd, uległa temu szalonemu atakowi zazdrości i postanowiła ich oboje zabić jeszcze tego samego wieczoru? U niego w domu? Czy nie wydaje ci się to trochę naciągane?

- Jak najbardziej. Nie udaję, że znam wszystkie odpowiedzi, lecz tylko pytania. Po pierwsze, gdzie ona jest? Ale dodając do tego jej widoczny motyw... - wzdrygnął się - to nie wiem, czy nadal jest to takie naciągane.

Hunt stał na Sutter Street z Juhle'em, który czekał, aż Shiu podjedzie samochodem.

- Chcesz zatem wiedzieć, co robiła w poniedziałkowy wieczór?

- Ta. Najpierw jednak, tak jak i ty, chciałem ją znaleźć - jego twarz spoważniała i kontynuował - co zabawniejsze, to od Tombo dowiedziałem się, że wyszedł za nią z baru cygarowego we wtorkową noc. Dogoniłeś ją?

- Była pijana, Dev - odparł Hunt. - Zabrałem ją do siebie, żeby wydobrzała. Potem, około południa, odwoziłem ją do domu.

- To byłoby wczoraj, ostatni raz, gdy ktokolwiek ją widział - Juhle zrobił przerwę. - Przeleciałeś ją?

Pytanie całkiem niespodziewanie zamurowało Hunta na wystarczająco długo.

- Osz cholera. Przeleciałeś ją...

- Tego nie powiedziałem.

Juhle nie miał wystarczającej cierpliwości.

- Zrobiłeś to. Daj spokój. A teraz jesteś jeszcze ostatnim, który widział ją żywą.

- I co, też jestem teraz podejrzany?

- To wcale nie jest takie śmieszne, jak ci się wydaje. Nie żartuję. Shiu też na to wpadnie, gwarantuję ci.

- I wtedy co? Aresztuje mnie?

- Nie przeginaj, Wyatt. Nie dawaj mu powodu, bo to zrobi. - Po chwili Juhle dodał: - A więc to Parisi cię wczoraj wystawiła - to nie było pytanie. Połapał się i teraz postawił stopę na osobistym terenie Hunta. Ściszył głos do podszytego złością szeptu. - Może pamiętasz, że wczoraj powiedziałeś mi, że nie zajmowała się osobiście dużą ilością spraw związku? Oprócz cotygodniowych spotkań z moją ofiarą zabójstwa? Wiedziałeś też, że z nim sypiała?

- Nie wiedziałem. Nigdy bym tego nie podejrzewał.

- Lepiej dla ciebie. Ale cała reszta, nie sądziłeś, że to ważne?

Hunt poczuł ucisk w żołądku i zdał sobie sprawę, że się rumieni. Zasłużył sobie.

- Wiem, że to ważne, Dev. Co mogę rzec? Powinienem był ci powiedzieć. Spieprzyłem. Przykro mi.

- Cholerna racja, że spieprzyłeś.

- Racja. Wiem. Cierpiała. Była w rozsypce. Chyba chciałem ją chronić.

- Przede mną?

- Przed wszystkim. Ale przed tobą też. Zgadza się.

- Wiesz co? To mnie naprawdę wkurza. Jeśli jest niewinna, to nie trzeba jej chronić ani przede mną, ani nawet przed kimkolwiek, kapujesz?

- Ta, ale jeśli to wyjdzie na jaw, to nie będzie miało znaczenia, czy zabiła tych dwoje, czy nie. Jeśli w czasie prowadzenia swojej największej sprawy sypiała z sędzią, to jest ugotowana.

- Nie mój problem. Ani twój. Muszę ją znaleźć.

- Ja też.

- Jeśli ci się uda, to muszę się z nią zobaczyć.

- Dev, nie będę ją przed tobą ukrywał.

- Nie? Miejmy nadzieję. Ale skoro już o tym mowa, to o czym jeszcze mi

nie powiedziałeś?

Hunt milczał.

- Bez pośpiechu, Wyatt. Mam cały dzień.

- I tak się dowiesz, jak przeszukasz jej dom - powiedział w końcu. - Ma w jadalni kolekcję pistoletów.

- Bomba. Rewelacja. Kurwa, kapitanie.

- Ona... - Hunt przerwał. Nie było sensu kłócić się o to z Juhle'em, albo ją z tego tłumaczyć. Było to, czym było.

- Coś jeszcze? - spytał Juhle. - O czymś wiesz, co mogłoby być ważne? Po kolejnej minucie ciszy Hunt powiedział.

- Nic. - Po czym: - Nie. Moment - zastanowił się, czy faktycznie było to cokolwiek i wreszcie rzekł: - Myślę, że mnie nie wystawiła.

Juhle cofnął się pół kroku, opuścił wciąż zagniewany wzrok.

- Cieszę się twoim szczęściem. Co to ma niby, do cholery, znaczyć?

- To ona wpadła na pomysł kolacji. Powiedziała, że tak czy inaczej do mnie zadzwoni. Nie zrobiłaby tego, gdyby planowała ulotnienie się z miasta. Zadzwoniłaby. Więc cokolwiek się dzieje, to nie z jej woli. To się jej przytrafiło.

- Więc to ona jest ofiarą? Tak jak każdy skazaniec, w każdym więzieniu świata?

- Nie mówię, że ona uważa się za ofiarę, Dev. Mówię, że może być ofiarą. To moja najszczerza opinia.

Gliniarz cofnął się jeszcze o krok.

- Twoja najszczerza opinia? Okay, wezmę to pod uwagę

- Shiu zatrzymał się przy krawężniku i dał uprzejmy, cichy znak klaksonem. Juhle odwrócił się i otworzył drzwi, po czym rzekł jeszcze do Hunta: - Ale coś ci powiem, Wyatt. Twoje najszczerze opinie znacząły dla mnie więcej wczoraj, niż znaczą dziś.

Wskutek reprimendy Hunt dosłownie trząsł się na całym ciele. Lub może wskutek wiadomości - to wciąż tylko plotka, upomniał się, choć instynktownie w nią uwierzył - o Andrei i Palmerze. Stał na chodniku przed Freeman Building i wpatrywał się w ślad za samochodem Shiu i Juhle'a, długo po tym, jak zniknął za zakrętem.

Kiedy przyszedł do siebie, wrócił do głównych drzwi firmy Freeman, Farrell, Hardy & Roake, wcisnął przycisk dzwonka używanego po godzinach urzędowania i poczekał na bzyczek zwalniający zamek. Po chwili był już na górze i zapukawszy do drzwi Farrella, sam sobie otworzył. Wu siedziała na kanapie, rozmawiając przez telefon. Farrell rozwiązał krawat i zdjął koszulę, pozostając w dzisiejszym T-shircie - „Widziałeś jeden supermarket, widziałeś

i centrum handlowe”. Stał za fotelem i właśnie rzucił piłkę z gąbki w stronę kosza. Żadne z nich nie patrzyło na telewizor, który ponownie był włączony, aczkolwiek wyciszony. Na ekranie widniało zdjęcie Andrei Parisi. Hunt podbiegł i włączył dźwięk.

- ...nie widziano od wczesnego popołudnia. Dalszym powodem niepokoju władz jest fakt, że w następstwie pracy panny Parisi, spotykała się regularnie z sędzią George’em Palmerem, który został zastrzelony w swoim domu, w poniedziałek wieczorem. Ktokolwiek posiada jakiegokolwiek informacje co do miejsca pobytu panny Parisi, proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się na policję lub do naszej stacji.

Hunt wyciszył głos. Wu nadal trzymała telefon, ale teraz stała, patrząc na ekran. Farrell również się odwrócił, a jego twarz się zachmurzyła.

- Cóż, teraz jest to przynajmniej oficjalne - powiedział.

- Może wydział osób zaginionych się ruszy.

- Nie licz na to - odparł Hunt. - To, że w TV mówią, że ktoś zaginął, nie oznacza jeszcze, że faktycznie tak jest

- Ale ona zaginęła - upierała się Wu. - Wiem, że coś się jej stało. Wszyscy to wiemy. Jeszcze nigdy nie zniknęła na tak długo, nikomu nic nie mówiąc.

- Z kim rozmawiasz? - zapytał Hunt, wskazując na telefon w jej dłoni.

- Ach - robiąc minę „ale ze mnie głupek”, odezwała się do telefonu. - Jason, słyszałeś to?

Farrell siadł na oparciu fotela, zaciskając szczęki.

- Devin chyba nie traktuje jej poważnie jako podejrzanej w sprawie Palmera, prawda Wyatt?

Hunt usiadł na niskiej komodzie obok telewizora.

- Powiedziałbym, że podejrzewa ją w takim samym stopniu jak i żonę.

- A co ty myślisz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie chcesz wiedzieć.

- Myślisz, że nie żyje, tak? - Wu rozłączyła się i siedziała teraz, trzymając dłonie na kolanach, nerwowe niczym dwa ptaki. - Ja też tak myślę.

Twarz Farrella wyrażała, że sam jest raczej daleki od takich myśli, lecz powiedział:

- A porwanie?

- Czemu? - Hunt kręcił głową. - I nikt nie zażądał okupu. To nie ma sensu.

- Tak jak i jej zniknięcie - odparł Farrell. - Chyba, że pojechała w górę wybrzeża albo gdziekolwiek indziej, żeby oczyścić umysł. Pomiędzy tą sprawą z Palmerem a kłótnią ze Spencerem mógłbym sobie wyobrazić, że zaszyła się gdzieś na parę dni.

Ale Wu kręciła przecząco głową

- Powiedziałaaby Carli, przynajmniej. I prawdopodobnie Gary’emu Piersalowi

- Może powiedziała, Amy - odezwał się Hunt.

- Nie, Carli nie. Wystarczająco dużo dziś z nią rozmawiałam. Nikt nie umie tak dobrze grać.

- Może nie myślała trzeźwo i zapomniała komukolwiek powiedzieć - zaproponował Farrell.

- To nie w jej stylu - odparła Wu, kręcąc przecząco głową.

Miała się dobrze, gdy się z nią rozstawałam - powiedział Hunt. Nie świrowała. Miała zamiar jechać do pracy. Poza tym, jeśli zrobiłaby sobie wolne dla zdrowia psychicznego, to pojawienie się jej zdjęcia w TV na pewno ją sprowadzi. Jeśli się nie pojawi ani ona, ani jakieś żądanie okupu w ciągu kolejnych kilku godzin, to nie sądzę, żeby... - pozwolił, by zdanie zawisło niedokończone.

- No więc, co robimy? - spytała Wu. - Będziemy tak siedzieć i czekać?

- Nie wiem, co innego moglibyśmy robić - odparł Farrell.

- Albo się pojawi, albo nie.

- Cóż, może i niezupełnie - Hunt podniósł się z kredensu, mgliste pojęcie, po co w ogóle tu wrócił, zaczynało przybierać bardziej konkretną formę. - Jeśli nie żyje, to nic, co byśmy zrobili, nie sprawi żadnej różnicy. Ale jeśli nie... jeśli jest ranna albo uwięziona, albo miała wypadek i spadła z jezdni, albo przytrafiło jej się cokolwiek poza śmiercią, to nadal jest szansa, że coś możemy zdziałać.

- Dobra, może - powiedział Farrell. - Jeśliby udało się przekonać policję...

- Tylko pomyśl, Wes - przerwał mu Hunt, kiwając głową.

- Policja już w tym siedzi. Juhle chce ją znaleźć. Dołoży wszelkich starań, by mu się udało - objął ich oboje ramionami.

- Mówię o nas.

- Nas? Znaczy ty i ja, i Amy. Hunt skinął.

- I Jason. I moi ludzie: Tamara, Craig i Mickey. Wes uśmiechnął się słabo.

- I co mielibyśmy robić?

- Ja w to wchodzę - wtrąciła Wu. - Nieważne, co trzeba będzie robić.

- Oto, jak to widzę - opowiedział Hunt. - Wes, posłuchaj tylko. Mamy trzy możliwości. Pierwsza, Andrea już nie żyje. Druga, z jakiegoś powodu wyjechała sama. I albo wróci z własnej woli do domu, albo zamierza nigdy nie wracać, a w takim przypadku opuściła już kraj i nie zobaczymy jej nigdy więcej.

- Nie sądzę, że tak jest.

- Ja też nie - zgodził się Hunt. - Ale mogła mieć również wypadek w drodze tam, dokądkolwiek się wybierała, a wtedy gliny pewnie znajdą ją albo jej samochód. Więc pomijamy opcję pierwszą i drugą. Te są już poza zasięgiem naszych działań.

- Okay - powiedział Farrell. - A jaka jest trzecia?

- Ktoś ją uprowadził - Hunt podniósł rękę, uprzedzając odpowiedź, jaką widział w ich twarzach. - Nie mówię, że tak się stało, ale to jedyna możliwość, w przypadku której możemy działać i prawdopodobnie wpłynąć, bardziej niż siedzieć i czekać. Jeśli ktoś ją uprowadził, to zrobił to z jakiegoś powodu - coś zrobiła, kogoś znała, w coś była zaangażowana. Tylko to nam zostało.

- No więc, co robimy? - spytał Farrell.

- Może tak: porozmawiasz z Fairchildem i Tombo. Możliwe, że obaj wiedzą więcej niż my, choć nie zdają sobie z tego sprawy.

- A ja? - spytała Wu.

- Razem z Jasonem moglibyście pogadać z Carlą Shapiro. Dowiedzieć się, z kim Andrea się trzymała w pracy, kim byli jej klienci, jej życie osobiste, poza TV Proces. W międzyczasie każę Tamarze i moim ludziom dzwonić i spróbować podjąć jakikolwiek trop.

- Gdzie? - spytała Wu.

- Nie wiem dokładnie. Zacznę grzebać. Może, jak powiedziałaś, Wes, pogadam trochę z Devinem.

- To dobry facet, Wyatt, ale jest gliną prowadzącym dużą sprawę. Nie będzie raczej skłonny do dzielenia się. - Farrell pochylił się, trzymając łokcie na kolanach, dłonie złożone. - Nie zrozum mnie źle, jestem po tej samej stronie. Ale ten pomysł to cholernie trudne zadanie.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Hunt. - Ale jakie mamy alternatywy?

18

Hunt miał szczęście - Mickey Dade był w okolicy.

Poza okazjonalną pracą, jaką wykonywał dla Hunta, dwudziestotrzyletni brat Tamary jeździł wieczorami taksówką, uczęszczając również sporadycznie, gdy mógł zapłacić za zajęcia, do szkoły kucharskiej Kalifornijskiej Akademii Kulinarnej. Hunt uważał, że zainteresowanie Mickeya jedzeniem, mogło mieć jakiś związek z momentem w jego życiu, gdy została mu ostatnia łyżka masła orzechowego, choć nigdy o tym nie rozmawiali.

Gdy Hunt zadzwonił tego wieczoru na jego komórkę, Mickey krążył w okolicy Union Square, niecałe cztery przecznice od kancelarii Farrella. Podjeżdżając po niego, wyłączył taksometr. Hunt siedząc obok kierowcy, nie tracił czasu.

- Jak zapatrujesz się na pracę przez najbliższy dzień lub dwa, Mick?

- Spoko. Mógłbym znaleźć kilka godzin. O co chodzi?

- Jeszcze nie wiem. Słyszałeś o Andrei Parisi?

- O kim?

- No to raczej nie. Występuje niemal codziennie w TV, w związku ze sprawą Donolana.

- Nie oglądam telewizji, strata czasu.

- Wiem. To jedna z rzeczy, którą w tobie zawsze najbardziej lubiłem.

- Za wyjątkiem „Żelaznego kucharza”. Uwielbiam ten program.

- Mick.

- Ta.

- Andrea Parisi.

- OK.

- Zaginęła. Spróbujemy ją znaleźć.

- Jacy my?

- Ty, ja, Tamara, Craig, kilku moich znajomych.

- A gdzie zniknęła?

- To było mądre czy głupie pytanie?

Mickey zrozumiał.

- Głupie. Łapię. Ale skoro zaginęła, to czy automatycznie gliny jej nie szukają?

Hunt wyjaśnił mechanizm działań wydziału osób zaginionych oraz do tychczasową generalną sytuację z Parisi, podczas gdy Mickey, w drodze do Brannan, przejechał trzy razy na czerwonym świetle, przyspieszając między skrzyżowaniami do pięćdziesięciu mil na godzinę. Dowiózł Hunta do domu w mniej niż dziesięć minut, lecz zanim odjechał w chmurze żużlu, by odebrać przesyłkę kurierską z lokalu o nazwie Lulu, obiecał Huntowi, że nie wyłączy komórki i będzie czekał na instrukcje.

- Masz przy sobie aparat? - spytał Hunt. - Na wszelki wypadek.

- Zawsze, stary, zawsze - odparł Mickey, poklepując małą, skórzaną torbę na siedzeniu obok.

W domu Hunt zmienił biurowy garnitur na jeansy, pionierki i starą koszulę z flaneli Pendelton. Przebrany siadł przy komputerze i wpisał w Google'u „Ward i Carol Manion”. Andrea Parisi nie dojechała na ostatnie spotkanie z Carol Manion, fakt, ale jeśli obie kobiety rozmawiały po tym, jak Hunt wyszedł od Parisi, to pani Manion mogła być ostatnią osobą, z którą kontaktowała się Andrea przed zniknięciem. Może powiedziała coś, zostawiła jakąś wizytówkę.

Niemal pół godziny przeglądał wyniki wyszukiwania - było ich około siedmiu tysięcy, więc cokolwiek dokładniejszego aniżeli pobieżne spojrzenie było niemożliwe, nawet gdy wybrał wyszukiwanie przy najbardziej zawężonych parametrach. Nazwisko Manion nie znajdowało się jeszcze na samym szczycie panteonu San Francisco, zamieszkanego przez Swigsów, Gettych i Ellisonów, niemniej zdawali się być na dobrej drodze. Hunt wiedział już o ich stanowiej - a wedle pogłosek mającej stać się wkrótce narodową - sieci ekskluzywnych sklepów spożywczych. Podobnie w ciągu kilku minionych lat, rozreklamowali skutecznie markę nowo powstałych Piwnic Manionów, poprzez produkcję bardzo tanich, niezwykle dobrych jakościowo kalifornijskich cabernetów i merlotów. Hunt sam miał kilka butelek ich win, wraz z resztą minimalistycznej kolekcji na podłodze obok lodówki. Rodzina ta była pomiędzy największymi licytantami w czasie aukcji doliny Napa przez kilka ostatnich lat, a ostatniej wiosny zapłacili ponad sto tysięcy dolarów za butelkę Screaming Eagle z '96 - roku urodzenia ich najmłodszego syna, Todda. W sporcie, poza zaangażowaniem w 49ers i NFL, byli właścicielami drużyny baseballowej z niższej ligi w hrabstwie Solano oraz namiętnymi sponsorami amerykańskiej drużyny olimpijskiej w narciarstwie alpejskim. Tragedia, którą Hunt pamiętał jak przez mgłę, dotyczyła ich starszego syna, Camerona, który zginął w wypadku w czasie treningu narciarstwa wodnego w zeszłym roku. Dwudziestoczteroletni złoty chłopak był wyczynowym narciarzem, trenował na jeziorze Berryessa do Emerald Bay Classic na jeziorze Tahoe, kiedy przy prędkości siedemdziesięciu mil na godzinę, zderzył się z zanurzonym pniem.

Hunt wystarczająco dużo pracował z komputerem, by dokładnie wiedzieć, czego szuka, i oto znalazł. W 2000 roku prywatna rezydencja Manionów gościła na obiedzie przedstawicieli Fundacji na rzecz Osób z Chorobami Nerek, a recenzja tego wydarzenia zawierała informację, że z domu na Seaview Drive, w dzielnicy Seacliff, „rozciąga się oszałamiająca panorama od Golden Gate po Farallones”.

Hunt ponownie wybrał numer komórki Mickeya Dade'a i tym razem przekazał mu polecenie: Czy mógłby pojechać przed zmierzchem do Seacliff,

poproś, jeśliby musiał, i zdobyć dokładny adres Manionów? Mając takie dane, Hunt mógłby zdobyć ich domowy numer telefonu, pod którym być może zdołałby zamienić kilka słów z panią Manion.

Siedząc w kuchni, nagle wygłodniały, zdał sobie sprawę, że nie jadł nic od porannych **ba0** i ukroił sobie trzycalowy kawałek salami, które zwisało z kołka w lodówce. Musi wystarczyć.

Czas ruszać.

Hunt nie chadzał już zbyt często do Little Shamrock. Znajdujący się po drugiej stronie ulicy od parku Golden Gate, na rogu Lincoln i Dziewiątej Alei bar, był ulubionym miejscem spotkań jego i Sophie, ale nie mieszkał już w tej okolicy, a poza tym miejsce to samo w sobie nie było warte odwiedzenia. A nawet gdyby było, Hunt nie wybrałby go. Zapomniał i pochował tę część swojego życia.

Tego wieczoru u Juhle'a w domu nie było nikogo. Opieprzył się za to, że nie zadzwonił najpierw, nie chciał jednak wysłuchiwać dalszych reprimend i być może odmowy przez telefon. Jeśli jednak pojawiłby się u przyjaciela z ponownymi przeprosinami osobiście, mógłby zostać wpuszczony. I wtedy wy badać go pod kątem informacji. Nie był właściwie nawet pewien, co zamierzał powiedzieć.

Ale po tej stronie miasta mieścił się Shamrock, teraz jeszcze coś - niedawne, choć głównie skrętnie tłumione wspomnienia z tamtego życia, zdjęcie Sophie przy barze - ciągnęło go, by ponownie odwiedzić stare miejsce spotkań.

W czwartkowy wieczór o siódmej trzydzięci Hunt spodziewał się, że lokal będzie wypełniony ludźmi. Co wcale nie było przesadzone, bowiem w najlepsze noce maksymalna pojemność lokalu wynosiła ze sto osób. Sophie i Hunt przychodzili tu przed porą koktajlową, gdy siedziało tam zaledwie parę osób i za każdym razem wydawał im się niemal niemożliwie mały, jak na kwitnący interes, którym był bez wątplenia - przybytek otworzył swe podwoje w 1893 roku i od tamtej pory pracował nieprzerwanie.

Stary bar biegł przez pół lokalu. Dokładnie naprzeciwko niego było pomieszczenie o zaledwie ośmiu stopach szerokości. Trzy maleńkie stoliki otoczone czterema krzesłami zapewniały miejsca do siedzenia. Ścianę z przodu zdobiły stare rowery i inne pamiątki z przełomu wieków, włączając zegarek dziadka, który zatrzymał się w czasie trzęsienia ziemi w 1906 roku. Z tyłu przy tarczach do rzutek i szafie grającej pomieszczenie rozszerzało się nieco, lecz kilka zapadających się kanap i tapicerowanych krzeseł zajmowało dużo więcej miejsca, niż zajmowałyby stoliki koktajlowe i nadawały lokalowi swojską atmosferę.

Wpadające przez szerokie frontowe okno słońce, rzucało ostatnie, długie cienie na Lincoln. Na stołkach przy końcu baru siedziała para w identycznych czarnych skórkach, trzymając półlitrowe kufle piwa. Samotny gracz w rzutki widoczny był z tyłu. Z głośników cicho płynęła „Time After Time” Cyndi Lauper. Telewizor był wyłączony, a za barem nie było żadnego barmana.

Hunt zajął jeden ze stołków najbliżej drzwi, zastanawiając się, czy powinien po prostu wyjść, niepewny, po pierwsze, dlaczego w ogóle przyszedł. Siedział przez minutę i niemal zdecydował, by już wyjść, gdy grający do tej pory w rzutki mężczyzna przeszedł pod barem.

- Już idę.

Kładąc rzutki na ladzie poniżej baru, barman pobiegł do niego.

- Pan Hardy?

Mężczyzna zatrzymał się, przechylił głowę i uśmiechnął się.

- Doktor Hunt - odparł, po czym zniżył głos. - Daj sobie spokój z panem Hardym, gdy stoję za barem. Mów mi Diz. Co cię sprowadza aż na granicę, w tę piękną noc?

- Mam lepsze pytanie - powiedział Hunt. - Co sławny prawnik robi stojąc za barem w takim miejscu jak to?

Dismas Hardy - szef Amy Wu i wspólnik Wesa Farrella - pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Jestem właścicielem części tego lokalu - odparł. - Jednej czwartej, mówiąc dokładnie.

- I pracujesz dorywczo jako barman?

- Bardzo dorywczo. Prawie nigdy. Zazwyczaj pracuje tu mój szwagier, ale... cóż, jest chory i poprosił mnie, żebym zastąpił go przez parę dni. Nie wiedziałem, że tu zaglądasz.

- Nie, nie zaglądam. Już od kilku lat nie.

- No więc - Hardy rzucił serwetkę na bar - skoro tu jesteś, czego się napijesz?

- Piwo. Z kija.

- Już się robi - Hardy podszedł do kurków, nalał dwa kufle i wrócił z nimi. Postawił jedno na serwetce przed Huntem i napił się z drugiego, po czym postawił go na dolnej ladzie. - No i co? Pracujesz dziś?

- Nie za pieniądze. Słyszałeś o Andrei Parisi?

Hardy skinął.

- Amy i Wes mówili mi wcześniej. Wciąż się nie znalazła?

- Nie.

- Szukasz jej?

- Zaczynam. Właśnie byłem z Amy i Wesem w waszym biurze.

- I co tam robiłeś?

- Zlecałem im zadania do wykonania.

- Myślałem, że to działa na odwrót, że to firma prawnicza zatrudnia detektywa.

- Zazwyczaj tak jest - zawahał się, zastanawiając się, czy przypadkiem sobie nie zaszkodził. On i Hardy zawsze się dogadywali, ale Hunt z doświadczenia wiedział, że żaden przeciętny wspólnik zarządzający nie był zachwycony, słysząc, że jego podwładni wykonują pracę pro bono w czasie płatnych godzin. - Ale wszyscy martwimy się o nią - pokrótce przytoczył szanse Parisi. - Z naszych obliczeń wynika, że mamy dzień, może dwa.

- Jak długo jej nie ma? Hunt spojrzał na zegarek.

- Trzydzieści godzin, mniej więcej. Nie wygląda to zbyt dobrze, ale przynajmniej nigdzie nie znaleziono jej ciała. Pozostaje zatem marna szansa.

- A gliny? - spytał Hardy.

- Wydział osób zaginionych nie robi nic przez kolejny dzień lub dwa. Ale znasz Devina Juhle'a?

- Pewnie. Wydział zabójstw.

- Zgadza się. I przez większość czasu mój kumpel - powiedział Hunt wprost. - Uważa ją za podejrzaną w sprawie morderstwa sędziego Palmera.

Hardy zmrużył oczy.

- Mówimy o tej samej Andrei Parisi? TV Proces?

- Dokładnie. Więc teraz Juhle szuka jej tak gorliwie jak my, może bardziej. Mam nadzieję wyrzucić na nim nacisk, by zrobił to, czego nie robi jeszcze wydział osób zaginionych.

- Głina z wydziału zabójstw? A co ty od niego chcesz?

- Tego, co on wie.

Hardy uważał to za zabawne.

- I tak po prostu ci powie? Jak zamierzasz przekonać go, by to zrobił?

To był, oczywiście, problem Hunta. Szczególnie po ostatniej rozmowie z Juhle'em.

- Znamy się kopę lat - powiedział. Hardy'emu zdawało się sprawiać to frajdę.

- I ponieważ się przyjaźnicie, zamierzasz go zwyczajnie zapytać?

- Taki był pierwotny plan, ale wiedziałem o paru rzeczach i nie powiedziałem mu od razu. Więc teraz myślę, że ukrywałem je przed nim.

- Bo na to wygląda.

- No sam widzisz. W każdym razie jest to problem.

- No cóż, złą wiadomością jest to - powiedział Hardy - że i tak nie powiedziałby ci wszystkiego, o co byś go zapytał. To ten sam gen, który predysponuje tych gości do pracy w wydziale zabójstw. Swojej żonie pewnie też by nie powiedział. Dobrą wiadomością jest to, że mam trochę doświadczenia z dokładnie takim rodzajem problemów - przerwał. - Abe Glitsky jest jednym z moich najlepszych przyjaciół - Glitsky był zastępcą szefa śledczych. Przez

dwanaście czy więcej lat był szefem w wydziale zabójstw.

- To niemożliwe - powiedział Hunt. - Przecież jesteś adwokatem.

- To jest niemożliwe - zgodził się Hardy radośnie. - Jeślibyś znał Glitsky'ego tak jak ja - i dziękuj Bogu, że nie znasz - wiedziałbyś, jak niemożliwe. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że nie pomógł mi więcej niż raz.

- W tworzeniu linii obrony?

- Czasami gryząc i drapiąc, że pozwolę sobie dodać. Ale, tak.

- Jak do tego doszło? Hardy wziął kufel, napił się.

- Jeśli nie możesz po prostu zapytać - powiedział - musisz się wymieniać.

* * *

Hunt nie mógł zdecydować, czy w swoim mini cooperze najbardziej lubił turbo doładowanie, nowoczesną deskę rozdzielczą w stylu lekkie art deco, czy też fakt, że był w stanie zmieścić się na miejscu do parkowania niewiele większym od tosterka. Zatrzymał się dokładnie naprzeciwko znajomego, małego domu przy Dwunastej Alei, pomiędzy Ortega i Noriega, i zaparkował między podjazdem i domem, zajmując długość ośmiu, może dziewięciu stóp. Choć było już ciemno, wiedział, że garaże w górę i w dół ulicy nosiły napisy „Nawet nie próbuj tu parkować”. A doświadczenie nauczyło go, że właściciele mówią poważnie. Kilka razy przekroczył o pół stopy granicę czyjegoś podjazdu i został odholowany - sto dwadzieścia pięć dolarów i mandat, dziękując bardzo.

Dom Juhle'a wyglądał jak inne domy na tej ulicy - dwupiętrowy, zdobiony sztukaterią, o czterech schodkach prowadzących na werandę, a wbudowany jednosamochodowy garaż zajmował jedną trzecią powierzchni. W świetle dnia świeża, jasnozielona lamówka domu wyróżniała go nieco od sąsiadów, a o tej porze, każdej wiosny, na parapetach stały skrzynki pełne kwitnących stokrotek, niecierpków i anielskich włosów. Ale teraz, kilka minut po dziewiątej wieczorem, żaden z tych uroków nie był widoczny i dom był kolejnym budzącym dreszcze budynkiem, przycupniętym na granicy mgły przed Sunset.

Po jasnym i bezchmurnym dniu mgła powróciła i zasłaniała teraz większość ulicy. Ale u Juhle'a w domu widział włączone światła. Wrócili.

Gdy stanął na ganku, Hunt zdawał sobie sprawę, iż próbuje uspokoić nerwy. Ciągłe działanie, odkąd zakończył zeznania u McClellanda późnym popołudniem, wytłumiły jego rosnący, wewnętrzny niepokój - teraz już przybierający formę niemal fizycznej choroby - oto, co naprawdę przytrafiło się Parisi. Z każdą chwilą malały szanse, iż nadal jest żywa. Lecz nie mógł pogodzić się z jej możliwą śmiercią, choćby dlatego, że nie chciał uwierzyć, że los po-

nownie by mu to zrobił - dał mu nadzieję, nawet jeśli tylko zwodniczą, głupią nadzieję, po to, aby ją odebrać.

Wiedział tylko, że musi ją znaleźć. Dowiedzieć się, co dalej. A bez pomocy, a nawet aktywnej współpracy Juhle'a, nie mógł liczyć na powodzenie.

Nacisnął dzwonek, usłyszał wewnątrz melodyjkę i czekał we mgle.

Connie powitała go w drzwiach całusem w policzek.

- Odważny jesteś, Wyatt, to muszę ci oddać.

Ale zaprowadziła go do reszty rodziny. Juhle, z jedną ręką na temblaku, a drugą w kubie lodu, patrzył na niego nieobecny wzrokiem. Dzieci - Erie, Brendan i Alexa - skoczyły od kuchennego stołu, gdzie jadły pizzę. Wujek Wyatt był ich ulubieńcem. Często przychodził z ukrytymi monetami, słodyczami, innymi przysmakami, a ten wieczór nie stanowił wyjątku. Z jakiegoś powodu ich rodzice tolerowali takie prezenty od Hunta, ale od nikogo innego, co nadawało mu szczególny status. To, plus fakt, że ich ojciec zawsze wydawał się bardziej zrelaksowany w towarzystwie Hunta. Grał z nimi wtedy w gry, na które nie miał czasu - piłkarzyki i ping-pong w garażu, futbol albo baseball na ulicy, rzuty do kosza na podjeździe. Czasami obaj mężczyźni grali na gitarach i słuchali nowych płyt. Wyatt był w porządku.

Tego wieczoru, przeszukawszy jego kieszenie w poszukiwaniu wafli Neco, dzieci wróciły na swoje miejsca. Hunt poszedł za nimi i wyciągnął każdemu z nich po kolei dwudziestopięciocentówkę zza ucha. Erie miał na sobie wciąż kostium Szerszeni.

- Jak wam poszło? - spytał Hunt.

- Rozgromiliśmy ich, dziewięć do dwóch - odparł starszy chłopiec. - Tata był trenerem. Pozwolił mi miotać.

- A jak się stało, że został trenerem? Wygląda, jakby cierpiał?

- Nic mu nie jest - powiedziała Alexa. O siódmej była królową miłości wobec taty.

- Ani trochę nie jak trener Doug.

- Mówimy o panu Malinoffie?

- Tak - powiedział Brendan.

- Co mu się stało? W końcu Juhle rozluźnił napięte mięśnie twarzy.

- Ślizg - powiedział.

- Malinoff grał w ślizg?

- W korkach - powiedział Erie. - Na trawie.

- Znasz grę w ślizg, prawda, wujku?

- Pewnie, Brendan. Właściwie, to ja ją wymyśliłem. Bieganie tam i z powrotem pomiędzy bazami, wślizgi pod maty baz, zgadza się?

Alexa rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, po czym odwróciła się do ojca.

- Wujek naprawdę wymyślił ślizg?

- Skoro tak mówi - powiedział Juhle, po czym dodał z pewną ostrością w głosie. - Wiem, że by nie kłamał.

Hunt odwrócił się do Connie.

- No więc, co się stało Dougowi?

- Rzucił dzieciom wyzwanie. Powiedział, że da pięć dolców każdemu, kto go pokona.

- Tatuś powiedział mu, żeby tego nie robił - powiedziała Alexa - ale trener tylko nazwał go ofertą. Słyszałam.

- Tylko żartował, kochanie - powiedziała Connie. - Przekomarzał się. Wie, że twój tata nie jest ofertą. To był rodzaj żartu pomiędzy dorosłymi na temat tego, jak uszkodził sobie ramię.

- Wcale nie był śmieszny - Alexa zrobiła nadętą minę. - Nie podobał mi się.

- Bogu też się nie podobał, dlatego go ukarał - powiedział Juhle.

- I co Bóg mu zrobił? - spytał Hunt.

Connie z trudem utrzymała poważną minę.

- Złamał trenerowi nogę - powiedziała.

- Au!

- To samo powiedział Doug.

- Niezupełnie, tato - wtrącił Erie.

- Wiem, że nie. Ale założę się, że wujek Wyatt wyobraża sobie, co naprawdę powiedział. My nie używamy takiego języka, prawda? To niesportowa postawa. Zgadza się?

Słyszac chóralne „zgadza się”, Juhle wstał, wziął od Connie ściereczkę kuchenną i owinał nią lewą dłoń.

- Dobrze, kochani, kończcie pizzę i słyszałem, że macie jakąś pracę domową. I żadnych Naccos dziś wieczór. Con?

- Żadnych Naccos - powtórzyła Connie. - Dopiero jutro po szkole.

- Gdzie idziecie z wujkiem Wyattem, tato? - spytał Brendan.

- Do salonu - odparł Juhle. - Osobiste sprawy dorosłych.

- Dev, słuchaj - mówił Hunt. - Kiedy mi o tym opowiadałeś wczoraj wieczorem, może nie pamiętasz, ale obstawialiście na żonę. Parisi nie była tego częścią, a nawet jeśli bym o tym pomyślał i ci o tym wspomniał, powiedziałbyś, że to niemożliwe, że to historia starożytna. Jeśli cokolwiek było pomiędzy Parisi i Palmerem, rozstali się pół roku temu. Nie zrobiła się nagle zazdrosna o Staci Rosalier. Żona miała bardziej bezpośredni motyw. Po co innego sprowadzać ich oboje do domu? Musisz przyznać, że to nie jest coś, co robimy, ty i ja, nie ukrywamy informacji. Nie wiedziałem, że to ważne. Na-

stępnym razem powiem ci wszystko, nim jeszcze zdążę pomyśleć. Obiecuję. Będziesz kazał mi się zamknąć, zanim jeszcze otworzę usta.

Juhle nadal był niezadowolony. Jego twarz nie złagodniała, odkąd zamknąwszy drzwi do kuchni, powiedział, mając na myśli Malinoffa:

- To była piękna chwila, mówię ci. Szkoda, żeś tego nie widział. Karetka i wszystko.

Ale po tym, koniec zabawy.

Rozparł się - głowa odchylona, stopy w górze, oczy zamknięte - w dużym fotelu relaksacyjnym z brązowej skóry. Jego rysy zdawały się być napięte ze zmęczenia, bólu i rozdrażnienia. Dały się słyszeć zbliżające się z tyłu domu kroki Connie, i po chwili pojawiła się ze szklanką wody i jakimiś tabletkami. Spojrzała najpierw na męża, potem na Hunta, który siedział pochylony na jednym z krzesel, opierając łokcie na kolanach, szczeka zaciśnięta, oczy błyszczące, cały spięty.

- Przepraszam - powiedziała. - Czas na lekarstwo - położyła Juhle'owi tabletki na dłoni, poczekała aż włoży do ust, po czym podała mu wodę. Odwróciła się do Hunta:

- Zazwyczaj robi się po nich senny - dodała i wyszła.

- Bardzo bym nie chciał, żeby była na mnie zła - powiedział Hunt, gdy ponownie zostali sami.

Juhle otworzył oczy.

- Nie zadzieraj z przyjaciółmi, to ich żony nie będą na ciebie złe.

- Ile razy mam przepraszać? - brak odpowiedzi. - Dev, potrzebuję twojej pomocy.

- Co? Znaleźć Parisi? Chyba śnisz, Wyatt.

- Posłuchaj, ja też mogę ci pomóc - powiedział Hunt, przypominając sobie nagle słowa Hardy'ego.

Z gardła Juhle'a dobył się krótki, urywany chichot.

- Pewnie, że możesz. I jesteś zmotywowany, nie? Znajdziesz Parisi i mi ją wydasz. Nie, jeśli ją znajdziesz, to ją przede mną ukryjesz. Albo sama się ukryje, czy raczej pozostanie w ukryciu.

- Tak się nie stanie. Daję ci na to moje słowo. Jeśli uda się ją znaleźć, to mogę ci pomóc - powtórzył.

Wzdychając, Juhle podniósł swój fotel do pozycji siedzącej. Nadal wyglądał na zmęczonego, ale pojawił się ślad zainteresowania.

- Dlaczego miałbyś to zrobić, Wyatt? A najpierw muszę uwierzyć, że naprawdę to zrobisz.

- Dev, właśnie dałem ci słowo. W końcu Juhle skinął.

- W porządku. No to pozostaje pytanie „jak”? Hunt wypuścił powietrze.

- Wiesz, że w połowie przypadków zarabiam na życie w jeden sposób: znajdując ludzi. I w chwili obecnej mam grupę rozmawiającą ze wszystkimi, kogo zna, wszystkimi, do których możemy dotrzeć, osobiście, przez firmę, rodzinę, co tylko wymyślisz. Jeśli nie żyje, to nie żyje i pewnie któregoś dnia jej ciało zostanie znalezione. Ale kiedy widziałem ją po raz ostatni, to gwarantuję, że nie miała zamiaru się ukrywać, w czasie gdy oskarżana jest o morderstwo. Ktoś ją porwał i teraz modlę się, żeby nie zabił jej od razu. To mój punkt wyjścia. Słyszałeś cokolwiek o żądaniu okupu? Znalazłeś jakiś zapis używania karty kredytowej? Jakąkolwiek wskazówkę, że ucieka?

- To są wszystko informacje zastrzeżone.

- Dobra, to mamy umowę, czy nie? Mówię ci, że będę przekazywał ci wszystkie informacje w chwili, gdy je otrzymam. Ale muszę wiedzieć, co wiesz, każdy szczegół. Jeśli coś przeoczyłem. Jakieś miejsce, które powinienem sprawdzić.

- Jak na przykład?

- Gdybym wiedział, to bym się nie pytał, prawda? Ale powiedz mi, a zajmę się Parisi, a ty będziesz mógł skoncentrować się na kimś innym, pani Palmer, na kimkolwiek. Ale mogę zapewnić ci jeszcze coś, czego nie masz, a jestem przekonany, że potrzebujesz.

- Co takiego?

- Partnera.

Juhle zmrużył oczy, zacisnął usta.

- Mam partnera.

- Tak. Poznałem go. Nadaje się do czegoś?

- Jest gliną.

- Owszem, jest.

- Nie mam zamiaru robić nic za jego plecami.

- Oczywiście, że nie. Spróbuj to zrobić przed jego nosem. Zobacz, czy zauważą. A w międzyczasie ty i ja zrobimy to, co robiłeś z Shanem - spróbujemy to rozwikłać.

Juhle spojrzął na opuchniętą dłoń, po czym kilka razy złożył ją w pięść. W końcu poddał się z westchnięciem.

- Nic. Żadnego żądania. Żadnych kart kredytowych. Nic. A jak myślisz - spytał - czemu nie znaleźliśmy żadnego krewnego Staci Rosalier?

- No więc Wes rozmawia z Fairchildem i Tombo o tym, co mogła robić w poniedziałkowy wieczór, co samo w sobie mogłoby wyeliminować ją z twojej teorii. W międzyczasie Wu jest z Carłą...

- Z Carłą, sekretarką Parisi? Rozmawialiśmy z nią dzisiaj - przerwał mu Juhle.

- Coś nowego?

- Mniej więcej taki plan dnia, jaki już znasz. Nic nowego.

- Dobra, ale mówiąc o planie dnia, to posłałem Mickeya Dade'a, by dowiedział się, gdzie mieszkają Manionowie, żebym mógł dotrzeć do Carol, pani Manion.

- Szkoda zachodu - powiedział Juhle. - Shiu i ja rozmawialiśmy z nią dzisiaj. Mieszka na Seacliff. Wspaniała posiadłość. Weszliśmy jak do siebie.

- A to niby czemu?

- Niewielu o tym wie, ale wszyscy ochroniarze Manionów to inspektorzy wydziału zabójstw San Francisco, po służbie.

- Nawet Shiu?

- Dla Manionów tylko najlepsi, Wyatt. Jestem prawdopodobnie jedynym gliną w wydziale, któremu nie mówią po imieniu. Shiu zadzwonił do ochrony i rozwinęli przed nami czerwony dywan.

- Widzisz - omawiali sprawę od około dziesięciu minut i wszystkie tarcia zdążyły zniknąć. Hunt siedział oparty wygodnie, noga na nodze - oto dlaczego musimy współpracować. Więc, co powiedziała wam pani Manion?

- Zasadniczo nic. Nigdy jej nie widziała. Parisi nie przyjechała. To ślepy zaułek.

- Powiedziała, czego miało dotyczyć spotkanie?

Juhle wpatrywał się w sufit, przypominając sobie.

- Jest grubą rybą w jakimś Komitecie - Przyjaciół Biblioteki Publicznej? Coś w tym stylu - Shiu na pewno zapisał sobie w notesie. Tak czy siak organizują latem zbiórkę pieniędzy i chcieli, żeby Parisi, jako lokalny VIP, była mistrzem ceremonii, no więc chcieli ją pod tym kątem wy badać. Chyba podobobała im się w TV, nowa twarz i tym podobne.

Hunt wypuścił powietrze, w końcu zaczął kręcić głową.

- Więc wyszła z domu, wsiadła do samochodu i zniknęła?

- Zgadza się. Tyle wiemy.

- Masz zapisy połączeń z jej telefonu?

- Pracujemy nad tym, Wyatt. Dopiero dziś została podejrzaną. Jutro, najpóźniej w poniedziałek, będziemy mieli coś konkretnego.

Dla Hunta było to nieco późno, ale nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

- Z ludźmi w biurze Palmera też rozmawialiście?

Tabletki Juhle'a i zmęczenie zaczęły już spowalniać jego reakcje. Nim odpowiedział, minęło kilka sekund.

- Tak. Możliwe, że chciał dobrać się do związku, choć Gary Piersall uważa to za blef.

- I jaką rolę miałyby w tym odegrać Andrea?

- Cały dzień próbowałem znaleźć rozwiązanie. To ślepy zaułek.

- A jeśli sądziła, że wie lub odkryła, kto zlecił kropnięcie Palmera? Idzie do... jak mu tam, szefa związku?

- Jim Pine.

- Właśnie. Idzie do Pine'a - lub nie do niego bezpośrednio. Może do któregoś ze współpracowników u Piersalla, może dzieli się podejrzeniami. Ma zamiar donieść i ktoś decyduje, że trzeba ją powstrzymać...

- Trochę naginasz, Wyatt - przerwał mu Juhle. - Ale pozwól, że o coś cię zapytam. Związek Jeannette Palmer ze strażnikami więziennymi?

- To znaczy?

- Na razie istnieje tylko w głowie Shiu. Pytam cię o zdanie: odkrywa, że mąż ma romans i decyduje się wynająć zabójcę?

Nasłuchiwała się tyle o sile związku, zna ich adres, może wie nawet, jak się z nimi skontaktować. Hunt pokiwał głową.

- Bez urazy dla twojego partnera, Dev, ale nie.

- Po prostu „nie”? Skinięcie.

- Zastanów się tylko. Zakładając, że w ogóle zaczyna, to staje się na zawsze ofiarą szantażu. Jeśli związek chce z jakiegokolwiek powodu kropnąć sędziego, to po prostu to robi. Nie musi czekać, aż żona ich poprosi. Nie uwierzyliby jej, gdyby to zrobiła. To głupie.

- Mój partner nie uważa, że to głupie. Myśli, że to się prawdopodobnie wydarzyło. Starąłem się to przeanalizować, ale dostaję od tego potwornej migreny - Juhle potarł dłońmi twarz, po czym przycisnął jedną dłoń do czoła.

- Myślę, że co do jednego masz rację, Dev. Andrea jest w to jakoś zamieszana. Ale jako trzecia ofiara, nie podejrzana.

- No cóż - Juhle zmusił się do wstania - to twoja teoria. Ale, tak czy inaczej, znajdziemy ją.

19

Farrell dodzwonił się na komórkę Fairchilda i spotkał się z nim w klubie tenisowym Terrific, dużym zadaszonym kompleksie na brzegu Moscone Center. Kończył właśnie seta z kimś, kto na niedoświadczone oko Farrella wyglądał na zawodowca - ubrany jak zawodowiec, grający jak zawodowiec. Farrell stał za szybą z pleksiglasu, która biegła przez cały korytarz leżący z tyłu kortów, ściągnął na siebie uwagę producenta i po pięciu minutach, set - lub lekcja - dobiegł końca. W przepoconym białym stroju, z ręcznikiem udrapowanym na ramionach, Fairchild zatrzymał się przy stole, by wziąć butelkę wody, po czym usiadł naprzeciwko Wesa przy małym, wysokim do pasa stoliku.

- Widzisz tego faceta? Andy'ego Bressona? - zaczął bez żadnego wstępu. - Zapomnij o gubernatorze. To prawdziwy terminator. Sześć - zero, sześć - zero. Czy powinienem raczej powiedzieć zero - sześć, zero - sześć.

- A co za różnica?

- Zależy, kto serwuje.

- Ale obaj serwowaliście.

- Tak, to się zmienia. Wnoszę, że nie grywasz - Fairchild otarł czoło, pościągając dużego łyka z butelki. - No więc, - powiedział - Andrea. Nadal zagniona, jak sądzę?

Farrell przyjrzał mu się uważnie. Fairchild nie zadał sobie nawet trudu, by udać zainteresowanie.

- Muszę przyznać, że nie wydajesz się za bardzo o nią martwić.

- To dlatego, że się nie martwię. Słyszałeś, że trochę się posprzeczałyśmy tamtego wieczora?

- Słyszałem, że to było więcej niż sprzeczką.

- Spoliczkowała mnie i tyle - odparł Fairchild kręcąc głową. - Była pijana i uważała, że ją wykorzystałem, gdy okazało się, że nie mogę jej pomóc dostać się do Nowego Jorku. Teraz pokazuje, że ona też może olewać mnie i moją pracę.

- To o to chodzi?

- Ja na to stawiam, w każdym razie. Wszędzie o niej pełno, skupia dużo uwagi. Może roznieść się na cały kraj, jeśli wystarczająco długo zostanie w ukryciu. A wtedy nie będę jej już potrzebny. Nie. Jest rozpuszczona i durna, oto, jaka jest.

- Więc nie widziałeś się z nią, odkąd cię spoliczkowała?

- Nie.

- A rozmawiałeś?

- Ona nie będzie ze mną rozmawiać. Poszła się wyplakać w rękaw Wyatta

Hunta.

- Cóż, zabrał ją do domu, jeśli o to ci chodzi. A teraz próbuje ją znaleźć. Martwi się. Prawdę mówiąc, wszyscy się martwimy.

Fairchild zamierzał położyć spoconą dłoń na ramieniu Farrella, ale się powstrzymał.

- Wes, oszczędź sobie żalu. Zgaduję, że zadzwoniła już do matki, może do firmy, by powiedzieć im, że nic jej nie jest. A w międzyczasie patrzy na tę wrzawę medialną - wytarł rękę, osuszył ręcznikiem włosy. - Zaufaj mi, zrobiła sobie parę dni wolnego.

- Więc nie byliście razem w poniedziałek wieczorem?

- Poniedziałek. Chwila. Co mamy dziś?

- Czwartek.

- Więc pokłóciliśmy się we wtorek, zgadza się. Ale poniedziałek. Nie. Byliśmy umówieni, ale pojechała na trochę do pracy i zadzwoniła stamtąd, żeby odwołać.

- Powiedziała dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Coś musiało jej wypaść.

* * *

Farrell znał Richarda Tombo jeszcze z czasów, gdy był on świeżo wybijającym się zastępcą prokuratora okręgowego. Stali naprzeciw siebie w procesach toczących się w sądzie miejskim prawdopodobnie z dziesięć razy. Odkąd młodszy mężczyzna założył własną firmę, regularnie spotykali się w okolicach Pałacu Sprawiedliwości i w „U Lou Greka”. Zdawali się zamieszkiwać ten sam świat prawniczo-restauracyjny. Tombo miał kancelarię w staroświeckiej, pięknie odnowionej po wozowni o mosiężnych balustradach, w cieniu drapacza chmur Transamerica Pyramid. Siedział w swoim gabinecie, krawat rozwiązany, marynarka na wieszaku obok biurka. Blok na biurku pełen był zapisków. Trzy puste kubki po kawie stały na suszce. Przed nim leżał segregator wypełniony pismami procesowymi.

- Jak to, „co ja tu jeszcze robię”? - powiedział Tombo modulowanym głosem zawodowego lektora. - Wesley, przyjacielu, ja tu pracuję.

- Myślałem, że płacą ci królewskie sumy za stanie przed kamerą na tle Pałacu.

- A i owszem. Ale za tydzień, może dwa, to się skończy. A w międzyczasie - wskazał na rozłożone papiery - opuszczę moich klientów i oto nie mam stałego dochodu. A zatem nie, nawet częściowo nie zrezygnowałem. Wciąż wyrabiam sześćdziesiąt godzin.

Farrell pamiętał czasy, gdy sam dopiero co zaczynał w jednej z dużych

korporacji. Cieszył się, że dużo mu płacili, jeśli cały czas pracował. Pod pojęciem cały czas, rozumie się każdą jedną minutę każdego dnia. Włączając weekendy i święta. Licząc dwa tysiące dwieście płatnych godzin rocznie, oznaczało to minimum dwanaście godzin dziennie. Teraz, patrząc na względnie młodego i wciąż tętniącego entuzjazmem, energicznego, charyzmatycznego Tombo, zastanawiał się, jak długo będzie w stanie to znieść.

- Jeśli to twój czas pracy - powiedział - to nie chciałbym cię zajmować.

- Nie martw się - odparł Tombo - jeśli chodzi o Andreę, to cokolwiek... - podniósł jeden z kubków i widząc, że jest pusty, odstawił go z westchnięciem. - A zatem nadal się nie odezwała.

Farrell pokiwał potakująco głową.

- Muszę ci powiedzieć Rich, że całkiem miło jest słyszeć twój niepokój. Właśnie rozmawiałem z Fairchildem, który uważa, że chodzi tu tylko o niego.

Tombo pomachał lekceważąco dłonią.

- Cały Spencer. Pracuje w telewizji. Uważa, że we wszystkim chodzi o niego.

- Ale ty tak nie myślisz?

- Nie. Absolutnie nie. Nie opuściłaby zaplanowanego programu, Wes. To nie w jej stylu.

- Też tak myślę. Wszyscy tak myślimy - Wyatt Hunt, Amy, ja. Hunt stara się przekonać policję do współpracy. Choć, gdy ostatnio z nimi rozmawialiśmy, to twierdzili, że Andrea ucieka.

- Przed czym?

- Przed nimi. Glinami - pauza. - Wygląda na to, że myślą, iż to ona mogła zabić sędziego i jego kochankę.

- Nie, serio?

- Serio. Więc mogłoby tu pomóc, jeśli, na przykład, przypomniabyś sobie wszystko o poniedziałku, odkąd robiliście razem podsumowanie około piątej, zgadza się? Powiedz mi, że poszliście wszyscy na obiad i urządziliście sobie bal.

Tombo zastanawiał się przez chwilę, ponownie złapał za kubek, ale tym razem wstał.

- Nie - odparł, nalewając sobie kawy przy kredensie. - To był wtorek, nie? Jak byliśmy wszyscy „U Sama”? Jak się pokłóciła ze Spencerem?

- Tak, ale mówię o poniedziałku.

Tombo wyprostował kręgosłup, jak przeciągający się lew, aż coś w nim strzyknęło, po czym oparł się o blat w bardziej wygodnej pozycji.

- Dobra - zamknął oczy i napił się kawy z głośnym siorbnięciem. - Nie - powiedział w końcu. - Obiad z klientem. Pamiętam, bo pierwotnie Spencer miał dla nich dwojga inne plany.

- Tak mi powiedział. Pamiętasz, kto był tym klientem?

- Nie wiem, więc nie jest to kwestia pamięci. Ale nie sądzę, że wspominała o tym. Ale, Wes? Nie muszę ci mówić, co oznacza stara sztuczka pod tytułem „obiad z klientem”, prawda?

- Odniosłeś takie wrażenie w poniedziałek?

- Nie powiedziałbym, że aż wrażenie. Po prostu usprawiedliwiła się dość wcześniej, mogła coś przeczuwać, to wszystko. Zaczynała zdawać sobie sprawę z Nowego Jorku. Może wyczuła pismo nosem, ale nie chciała omawiać tego jeszcze ze Spencerem.

- Wiesz o kimkolwiek, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić? Że kogoś się bała?

- Andrea? Bała się? Nie. I nie mogę wyobrazić sobie, by ktoś chciał wyrzucić jej krzywdę.

Ale na chwilę jego czoło zachmurzyło się i Farrell spytał.

- Co?

Tombo ponownie zawahał się, po czym wziął głęboki wdech.

- Spencer wspomniał dziś rano, że może wpadła na jakąś wielką historię. Sensacyjny materiał.

- O czym?

- Brudne interesy - może nawet mokre roboty - prowadzone z więzień. Pomijając fakt, że, jak powiedziałem Spencerowi, mógłbym podać milion dobrych powodów, dla jakich byłoby to niemożliwe.

- Ale Andrea uważała to za możliwe? Czy też odkryła, że faktycznie ma to miejsce?

- Wes, ja mogę powiedzieć tylko, że mnie nigdy nic nie wspomniała.

Wu z Jasonem Brandtem i zrozpaczoną Carlą Shapiro byli w mieszkaniu sekretarki na Grove w Masonie, gdy Farrell zadzwonił z biura Tombo, by powiedzieć im o potencjalnej kolacji Andrei z klientem w poniedziałek wieczorem. Siedzieli przy kuchennym stole na czwartym piętrze starawego bloku mieszkalnego. Na podłodze położone było linoleum w biało-czarną kratkę, na kontuarach białe kafelki.

Zaparowane okno nad zlewem wychodziło na wewnętrzne podwórze, piętnaście, może dwadzieścia metrów stóp pustej przestrzeni i na identyczną kuchnię po drugiej stronie budynku. Mycie naczyń i wyjęcie ich ze zlewu nie wyglądało na priorytetowe zadanie ani Carli, ani jej współlokatorki, która spędzała tę noc poza mieszkaniem.

Wu zamknęła komórkę.

- Carla, rozmawiałam z osobą, która również z nami pracuje. Powiedziała mi, że Andrea mogła mieć spotkanie z klientem w poniedziałkowy wieczór. Coś ci to mówi?

Po młodej kobiecie widać było wyczerpanie niepokojem i brakiem snu. Przebrała się z pruderyjnych ubrań panienci z dobrego domu w za duży, bez kształtny szary dres, który jeszcze bardziej podkreślał jej niedowagę. Jej zaczerwienione oczy wydawały się wyrażać, że ma za sobą wszystkie pytania, jakie mogła wytrzymać, ale przygotowała się na jeszcze jeden wysiłek.

- Boże, poniedziałek - powiedziała. - Nawet nie pamiętam poniedziałku. Ponieważ Andrea często dzwoniła do niej po normalnych godzinach pracy,

Carla wyrobiła sobie nawyk wprowadzania na bieżąco kalendarza Andrei do palmpilota. Sprawdzili już wszystkie umówione spotkania Andrei w ciągu ostatnich kilku tygodni, lecz po raz kolejny postusznie wybrała poniedziałek i przewinęła do wieczora, westchnęła.

- Nic tu nie mam.

- Może porozmawiamy zatem o wtorku - Brandt mówił pełnym zrozumienia, nawet współczującym tonem. - Zajmijmy się może ostatnim razem, kiedy widziałas się z Andrea, dobrze? I to był wtorek, prawda?

- Tak. Było to, moment, około dziesiątej trzydzięści lub jedenastej. Wszyscy usłyszeliśmy wiadomość o sędzim Palmerze i poszłam do gabinetu Andrei zobaczyć, czy dobrze się czuje - Carla popatrzyła na każde z nich. - Ale się nie czuła. Siedziała otępiała.

- Płakała? - spytała Wu.

- Nie. Jakby była w szoku. Powiedziała, że dopiero co widziała go dzień wcześniej.

- No i proszę - powiedział Brandt - poniedziałek. Carla przytaknęła.

- Okay. Okay, teraz sobie przypominam. Była u niego w sądzie w poniedziałek.

- Czy była to jedna z ich regularnych, comiesięcznych konferencji statutowych? - spytała Wu.

- Tak. Zazwyczaj odbywały się w poniedziałki.

Brandt wrócił do tematu.

- Pamiętasz, gdy wróciła w poniedziałek z lunchu?

Carla na chwilę zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć. Kiedy się odezwała, w jej głosie słyhać było pewną ulgę.

- W porządku. Wróciła. Miała spotkanie z panem Piersallem w jego gabinecie, jak zawsze, gdy widziała się z sędzią. Trochę trwało, dłużej niż zazwyczaj.

- Wiesz czemu? - spytała Wu.

- Chyba tak. Najwyraźniej w ubiegłym tygodniu w Pelican Bay - wiecie, to więzienie - zaistniał jakiś problem i sędzia był bardzo zdenerwowany. Ale niewiele mi powiedziała, tylko tyle, że musi trochę porozmawiać z panem Piersallem. Kiedy skończyła, był już kwadrans po trzeciej, a o wpół do czwartej przyjeżdża po nią limuzyna TV Proces - nagle, wciągnęła z szokiem

powietrze, utkwiała oczy w przestrzeni przed sobą. - Ach.

Wu zrobiła krok do przodu.

- Co?

- To pewnie nic... ale właśnie przypomniałam sobie o Betsy Sobo.

- Kto to? - spytał Brandt.

- Jedna z naszych pracowników. Ma gabinet nad nami.

- I co z nią? - zapytała Wu.

- Dzwoniła dwa razy, kiedy Andrea była u pana Piersalla. Andrea zapytała ją, czy mogłaby zejść i coś z nią przedyskutować. Więc zarezerwowała pół godziny i trochę była zdenerwowana, gdy Andrea nie wracała od pana Piersalla.

- Wiesz może, o czym Andrea chciała z nią porozmawiać?

- Przyjaźniły się albo coś w tym stylu? - dodała Wu.

Carla zaprzeczyła, kiwając głową.

- Na oba pytania odpowiedź brzmi nie. Wiecie, pracuje u nas stu prawników. I nie jest tak, że wszyscy się znają. Nie sądzę, żebym ją kiedykolwiek wcześniej widziała. Nie jest w zespole zajmującym się związkami i pracuje na innym piętrze. Nie wiedziałam, że Andrea ją zna, ale chyba tak.

- I umówiła się z nią na spotkanie? - Wu nie ustępowała.

- To było po tym, jak wróciła ze spotkania z sędzią? - dodał Brandt.

- Tego nie jestem pewna. Mogła to naprawdę zrobić kiedykolwiek. Ale umówiła się na tamto popołudnie.

- Ale się nie spotkały? - spytał Brandt.

- Nie. To wiem. Andrei zabrakło czasu.

- Więc może rozmawiały wieczorem - Wu ożywiła się. Jeśli Andrea spotkała się z tą Sobo w poniedziałkowy wieczór, choćby na chwilę, nie byłaby już podejrzana o zamordowanie Palmera. - Możesz się z nią skontaktować? - spytała.

- Teraz? - Carla spojrzała na zegar: 21:40. - Na pewno jakoś mogę.

Carla najwidoczniej miała wprawę w odszukiwaniu współpracowników. Zadzwoiła pod nocny numer biura, dostała spis telefonów, połączyła się z Sobo, która, oczywiście, jako młody pracownik, była zawsze osiągalna.

Wu wybrała numer jej pagera i przez około trzy minuty czekali w rodzaju zawieszenia. Po czym zadzwoniła komórka Wu.

- Mówi Betsy Sobo. Jak mogę pomóc?

- Betsy, cześć. Mówi Amy Wu. Nie znasz mnie i przepraszam, że niepokoję cię o tej porze, ale jestem adwokatem u Freemana Farrella i jestem teraz w mieszkaniu Carli Shapiro. Sekretarki Andrei Parisi.

Jeśli Sobo była zła na Parisi w poniedziałek, nie było teraz słychać tego w jej głosie.

- O, Boże. Znaleźli ją?

- Nie. Jeszcze nie. Ale nad tym właśnie pracuję. Byłaś umówiona z Andrea na poniedziałkowe popołudnie, prawda?

- Tak. Powiedziałam, że mogę jej poświęcić pół godziny, ale... była zajęta i nie wyrobiła się.

- Oto moje pytanie. Czy przełożyłyście to na inny termin? Na poniedziałkowy wieczór być może?

- Nie.

W chłodnej, wilgotnej kuchni Wu opuściła ze zrezygnowaniem ramiona.

- Więc nie widziałyście się w poniedziałkowy wieczór?

- Nie. A w jakiej sprawie miałam się z nią spotkać?

- O to też chciałam cię zapytać. Dlaczego chciała się z tobą spotkać.

- Ja też tego konkretnie nie wiem. Zapytała mnie, czy mogłabym poświęcić jej trochę czasu, gdyż chciałyby się ze mną skonsultować, więc się zgodziłam. Przecież taka z niej gwiazda i tak dalej.

- Nie powiedziała, na jaki temat chciała się skonsultować?

- Nie konkretnie. Spieszyła się na spotkanie z panem Piersallem.

- Więc zadzwoniła do ciebie po spotkaniu z sędzią Palmerem?

- Tego nie wiem - nagle dotarło do niej. - Moment. Chodzi o tego sędziego Palmera? Którego zastrzelono? Mówisz, że była z nim w poniedziałek?

- Tak.

- O, mój Boże - w jej głosie pojawiło się przerażenie. - Więc mówisz, że ona prawdopodobnie też nie żyje, tak?

- Nie wiemy. Mamy nadzieję, że tak nie jest. Próbujemy ją znaleźć - Wu zawahała się. - Rozumiem, że nie kontaktowała się z tobą od poniedziałku, prawda?

- Tak. To znaczy, tak zgadza się. Nie, nie kontaktowała się ze mną.

- I nie masz pojęcia, o czym chciała z tobą rozmawiać?

- No jakieś pojęcie... Domyślałam się, że musi chodzić o jakieś zasiłki rodzinne w związkach. Tym się zajmuję.

- Ale Carla powiedziała nam, że nie jest w zespole związkowym.

- Tak, wiem. My jesteśmy biednymi, przygarniętymi sierotkami w firmie. Niemniej wydaje mi się, że jestem cudownym dzieckiem w zakresie prawa rodzinnego.

- Prawa rodzinnego?

- No wiesz - rozwody, unieważnienia, adopcja, prawa do opieki, nakazy sądowe zaniechania działań - same przyjemne rzeczy.

20

Jadąc od Juhle'a, Hunt słuchał wiadomości nagranej na automatyczną sekretarkę w biurze: „Wyatt Hunt, mówi Gary Piersall. Chciałbym z tobą porozmawiać tak szybko, jak będziesz mógł. Nieważne o jakiej porze. Chodzi o Andreę Parisi i może to być bardzo ważne.” Nagrał trzy numery telefonu.

Połączył się pod pierwszy z nich i włączył się z powrotem do ruchu. Piersall był nadal w biurze i powiedział mu, by przyjechał tak szybko, jak będzie mógł. Ma zaparkować na jednym z miejsc dla wspólników, na podziemnym parkingu. Były oznaczone.

Hunt spojrzął na zegarek. Zbliżała się dziesiąta trzydzieści.

- Może powiesz mi przez telefon?
- Dzwonisz z komórki? - spytał Piersall.
- Tak. Z samochodu. Pauza.
- Nie. Raczej nie.

Hunt rozłączył się zaintrygowany. Piersall był obytym i doświadczonym adwokatem, przyzwyczajonym do występowania przeciwko grubym rybam. Jeśli nagle popadł w paranoję, samo w sobie wiele to mówiło. Ale jeśli Hunt miał teraz się spotkać z Piersallem i dowiedzieć o czymś, wobec czego musiałby zacząć działać, to zachodziło duże prawdopodobieństwo, że nie będzie mógł trzymać się swojego pierwotnego planu. To znaczy rozmawiać z Mary Mahoney - świadkiem, który zidentyfikował Staci Rosalier - w czasie jej nocnej zmiany w MoMo. Chwilę później rozmawiał już z Tamarą, wysyłając ją i Craiga do wykonania tego zadania.

Z każdą mijającą godziną rosnęło w nim poczucie nagłości. Jeśli Andrea już nie żyła, czas nie miał znaczenia. Może był to jego sposób na odsunięcie od siebie ostatecznej chwili pogodzenia się z takim faktem, lecz czymkolwiek była to potrzeba działania, nie miał najmniejszego zamiaru z tym walczyć. Dowie się tak dużo, jak będzie mógł, w najkrótszym możliwym czasie, z każdego źródła, do jakiego jest w stanie dotrzeć. Była to jedyna rzecz - jeśli w ogóle pozostała jeszcze jakaś nadzieja - która może, może, mogła cokolwiek zmienić. Co więcej, była to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić.

Winda z garażu w budynku Piersalla automatycznie zatrzymała się na parterze i Hunt pobiegł truchtem do stanowiska strażnika, w przestronnym, przeszklonym holu. Piersall zdążył już uprzedzić strażnika i gdy Hunt wpisywał się na listę, strażnik zadzwonił na górę, by poinformować o przybyciu detektywa. Biegnąc do jednej z czterech wind - piętra 11-22 - Hunt niemal pozwolił sobie na iskrę nadziei. Najwyraźniej Piersall coś miał.

Drzwi windy otworzyły się na recepcję, która zaprojektowana została, by wzbudzać podziw. Mgła nie dotarła tak daleko w głąb ładu i widoczne poprzez biegnące od sufitu do podłogi okna miasto, mieniło się dokoła. Ma-

sywny, błyszczący, wysoki do pasa kontuar, wykończony sekwoją, długi na prawdopodobnie trzydzieści stóp, połykiwał nawet w przyćmionych światłach punktowych używanych po godzinach urzędowania. W olbrzymich donicach rosło kilka drzew, rzucając subtelne wzory cienia na drewno sekwoi i wykładzinę w spokojnych barwach.

Hunt był tak podekscytowany, że niemal podskoczył, gdy Piersall zsunął się z pustego biurka, na którym siedział w półmroku.

- Dziękuję za tak szybkie przybycie. Doceniam to. I pozwolę sobie wyjaśnić jedno: pracujesz dla tej firmy nad pewnymi sprawami CCPOA i cokolwiek mówię, mówię ci jako mojemu detektywowi, zatem wszystko mieści się w granicach tajemnicy zawodowej.

Mężczyzna był spięty. Hunt nigdy wcześniej nie widział go bez dopasowanego garnituru w doskonałym porządku. Teraz nie miał na sobie marynarki, ani krawata, koszulę rozpiął pod szyją, a rękawy podwinął do łokci.

- Usiądziesz? - Piersall podszedł do jednej z kanap i jego długie, szczupłe ciało spoczęło na niej. Zaczął mówić, nie czekając aż Hunt usiądzie wygodnie. - Nie wiem za bardzo, jak powiedzieć to w pozytywnym świetle, ale pracujesz dla nas już wystarczająco długo, wiesz, jak to czasami jest - wziął wdech, odetchnął głęboko. - Musiałem skłamać policji dziś po południu.

- O czym? O Andrei?

- Nie bezpośrednio, nie - zawahał się. - O naszym głównym kliencie, którym, jak wiesz, jest związek zawodowy strażników więziennych. Inspektorom zajmującym się morderstwem sędziego Palmera powiedziałem, że związek nie ma bojówek. Choć, oczywiście, ma.

- Gliny i tak to podejrzewają, sir. To czy im pan powie, czy nie, nic nie zmienia.

- Nie, ale rozumiesz moją pozycję. Ja reprezentuję tych ludzi. Nie mogę szczerzyć na nich policji. Płacą nam - i to całkiem pięknie, jak wiesz - żeby tak się nie działo. Rozejrzyj się dokoła, to wszystko opłacane jest przez CCPOA, wszystko.

Cisza. Hunt nie musiał się rozglądać, żeby zweryfikować to, co już wiedział.

- Myślisz, że zrobili coś Andrei. Długa cisza. Piersall wypuścił powietrze.

- Słyszałeś kiedyś o Porterze Andertonie?

- Nie.

Piersall cmoknął ze smutkiem.

- Wygląda na to, że nikt nie słyszał. Porter Anderton był prokuratorem okręgowym w hrabstwie Kings, startował w zeszłym roku ponownie na to stanowisko. Ale popełnił błąd, prowadząc dochodzenie w sprawie zarzutów o nadużycia strażników wobec więźniów w Corcoran, a potem tworząc oficjalne akty oskarżenia. Dwudziestu sześciu facetów.

- Dwudziestu sześciu? Wszystko strażnicy? Co zrobili?

- Masz na myśli - uśmiechnął się słabo - co rzekomo zrobili, pamiętaj. To nasi chłopcy. Bronimy ich. Ci konkretni mieli najwyraźniej ciężki dzień w pracy, więc kiedy więźniowie wysiadali z autobusu na podwórzu, musieli trochę się wyładować, więc dusili, kopali i bili więźniów, którzy najwyraźniej nadal byli skuci.

- Jaka uroczą opowiadka - skomentował Hunt.

- Ta.

- A tak z ciekawości - spytał Hunt. - Ile takich spraw dostajecie co roku?

- My? Przeciwno wszystkim pracownikom więzień? Około tysiąca. Hunt zagwizdał.

- Każdego roku?

- W dopuszczalnych granicach. Oczywiście większość z nich nie wychodzi poza fazę dochodzeniową. Z oczywistych powodów - dodał Piersall. - Jak na przykład więzień-świadek, który nagle stwierdza, że nie pamięta jednak dokładnie, co widział.

- No i co z tym Andertonem?

- No, cóż, Porter nastawił się strasznie bojowo przeciwko tym strażnikom. Stwierdził, że mają wielki problem z całym systemem w Corcoran, które należało do jego jurysdykcji, więc zamierzał położyć temu kres. Skontaktował się też z sędzią Palmerem.

- I Porterowi coś się przytrafiło - to nie było pytanie.

Piersall przytaknął.

- Wielki zbieg okoliczności, nieprawdaż? Miał wypadek w czasie polowania. Nigdy nie odnaleziono sprawcy. Jedno z tego typu zająć.

- No popatrz. A co z aktem oskarżenia?

- Jesteśmy prawnikami. Wykonaliśmy naszą pracę. Sprawy padły.

- Ta, ale autobus pełen ofiar? Inni strażnicy nie widzieli?

- Inni strażnicy, nie - Piersall wzdrygnął się. - Zapytaj któregośkolwiek strażnika, czy widział brutalne zachowanie kolegi, a zawsze usłyszysz kategoryczne zaprzeczenie. To się nie dzieje. Ale na ich obronę muszę powiedzieć, że jeśli twoja praca polega na zamknięciu w celi trzystufuntowego goryla, gdy on tego nie chce, to też czasami miałbyś twórcze pomysły. A więźniowie? Wszyscy w końcu uznali, że w ich interesie leży odpuszczenie sobie całej sprawy.

- Wszyscy?

W odpowiedzi Piersall zdobył się na lekki, nerwowy uśmiech.

- A więc myślisz, że Palmer i może Andrea... - powiedział Hunt.

- Nie wiem. Nie wiem. Sama myśl jest niemal nie do zmienienia, szczerze mówiąc - głowa Piersalla zwisała, jakby z szyją łączyła ją jedna niteczka. - Pracowałem z tymi ludźmi i na nich zbudowałem moją karierę przez ostat-

nich piętnaście lat. Moja rodzina jeździła na wakacje z rodziną Jima Pine'a. Nie chcę wierzyć, że mógłby zlecić to, co, niestety, myśle, że zlecił.

- Ale czemu właśnie teraz?

- O to chodzi. Teraz stało się to nagle wykonalne. Nie wiem, czy śledziłeś to, ale kilka ostatnich tygodni było bardzo ciężkich dla systemu więziennego. Ośmiu strażnikom z Avenal postawiono zarzut krwawego sportu...

- Co to?

- Walki gladiatorów, na śmierć i życie.

Podczas gdy Hunt usiłował wpasować taką brutalność w swój światopogląd, Piersall kontynuował:

- Na dodatek w Folsom zmarło czterech więźniów...

- W jednym tygodniu? Jak to się stało? Ponownie lekki uśmiech.

- Jeden niefortunny upadek. Jedna komplikacja - nie żartuję - po ekstrakcji zęba. I dwa zapalenia płuc, których nie zdiagnozowano na czas, co nie jest zaskoczeniem, z uwagi na to, że tamtejszy główny lekarz nie ma już licencji na pracę w szpitalach. Ale, hej - dodał z gorzkim uśmiechem - przynajmniej żadnej strzelaniny, więc to nie strażnicy.

- Często dzieją się takie rzeczy? Myślałem, że to głównie na filmach, strażnicy zabijający więźniów?

- Zależy, gdzie akurat siedzisz. Tu, w Kalifornii, raz na dwa miesiące. Reszta kraju może raz w roku i to z reguły, gdy sam próbujesz kogoś zabić. W każdym razie sytuacja jest na tyle zła, że Palmer wyznaczył śledczego i specjalistę, by stworzyć plan, jak poradzić sobie z konstytucyjnymi kwestiami w działaniu przeciwko tym wypadkom. Chcesz więcej?

- Chyba mam ogólne wyobrażenie.

- Potrzebujesz jeszcze ostatniego elementu, który doprowadził do osiągnięcia punktu krytycznego w ciągu minionego weekendu. Palmer zarządził audyt...

- Więc miał naprawdę dość, dobrze rozumiem?

- O tak. Dokładnie, ma dość - czy raczej miał - bez wątplenia. Tak czy inaczej, jakiś czas temu, dostał cynk, że w więzieniach prane są pieniądze, więc zarządził audyt książeczek więźniów w Pelican Bay.

- Nie wiem, co to są książeczki więźniów.

- Konta trustowe. Zakłada się takie każdemu z więźniów, tak, że ich przyjaciele czy rodziny mogą dawać im pieniądze, żeby mogli kupować rzeczy w więzieniu - jedzenie, przybory toaletowe. To są przedmioty sprawdzone komisyjnie. Pod ladą, oczywiście, dostajesz fajki, prochy, kobiety, chłopców, cokolwiek da się załatwić.

- W więzieniach?

- Tak.

- W Pelican Bay? Najcięższym więzieniu w kraju?

- To samo.

- Z tamtejszymi strażnikami.

- Ta. Prawdopodobnie załatwiają połowę transakcji, biorą procent od wszystkich.

Hunt musiał przerwać napięcie.

- Nie wymyślasz tego wszystkiego na poczekaniu?

Wywołało to ponownie lekki uśmiech.

- No więc, co ujawnił audyt? Połowa facetów w bloku pod specjalnym nadzorem, najgorsza nora w całym zakładzie, wierz mi, książeczki połowy tych facetów zawierały ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Dwie ponad czterdzieści.

- Tysięcy?

- Tysięcy.

- Można za to kupić sporo snickersów - powiedział Hunt. - Skąd mieli taką kasę?

- Spodoba ci się. To Eme.

- Niebawem będę musiał zacząć zapisywać moich ulubieńców. Kto to jest Emma?

- Nie, nie. EME. Meksykańska mafia. Bardzo, bardzo, bardzo źli chłopcy, najgorsi. Ich ludzie są w całym stanie, ale głównie na południu - mówię o handlarzach na rogach ulic - płacą za ochronę bosom EME w więzieniach. Jest to kolejna metoda wymuszeń, ale zdaje się przynosić dużo kasy, która wychodzi na zewnątrz, by zapłacić za więcej prochów albo wspomagać rodzinę więźnia. Nie wiem, może opłacają dzieciom studia. Ale kwestią zasadniczą jest to, że są to duże sumy, a jak się wydostają, to są czyste, wyprane przez więzienie.

- Jezu.

- Ta, no, złóż to sobie wszystko do kupy. Audyt był ostatnią kroplą i Palmerowi w końcu wyczerpała się cierpliwość. Jego biuro stworzyło pierwszą wersję natychmiastowego nakazu sfederalizowania całego systemu więziennego, co oznaczało usunięcie związku z całej sprawy. Miał pewne problemy jurysdykcyjne, ale nie wykluczone, że cholera byliby już w mocy.

- Ale został zabity.

- Właśnie. Ale - wyznanie tego wszystkiego zdało się, do pewnego stopnia, uspokoić Piersalla, ale teraz waga sytuacji ponownie zaczęła na nim ciążyć. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, ramiona opadły pod własnym ciężarem. - Cały dzień siedziałem w biurze - szeptał, być może obawiając się, że ktoś go słyszy. - Odkąd dowiedziałem się, że Andrea zniknęła, nie wiem, co mam zrobić, poza tym, że nie mogę iść na policję - patrzył na Hunta przez szerokość pomieszczenia. - Będę z tobą szczery. Boję się jak jasna cholera.

Huntowi wydawało się to sprawiedliwą reakcją. On też by się bał.

Może nawet powinien, choć nic nie czuł. Całe zamieszanie z więzieniami wydawało się strasznie oddalone od jego osoby. Choć, jeśli Andrea była w to zamieszana, to nie było to tak bardzo od niego oddalone. Był w tym po samą szyć.

- Zakładam - powiedział - że Pine wiedział o nakazie sędziego.

Piersall skinął.

- Zadzwoniliśmy do niego z mojego gabinetu, jak tylko Andrea mi to przekazała. Wczesnym popołudniem, w poniedziałek. No, a teraz popatrz na to - z kieszeni koszuli wyjął wycinek z gazety. - Wczorajszy „Chronicle”. Hunt wziął gazetę i zaczął czytać.

WYSZEDŁ NA PAPIEROSA I NIE WRÓCIŁ.

„Trzydziestopięcioletni były skazaniec, który niedawno złamał zasady zwolnienia warunkowego, uciekł wczoraj z więzienia San Quentin, gdzie oczekiwał na transport do zakładu Vacaville, kiedy to opuścił swoją celę po południu, uzyskawszy pozwolenie na wyjście na papierosa.

Choć na miejsce wysłane zostały psy tropiące, nie były one w stanie podjąć tropu Arthura Mowery’ego i w następstwie Departament Więziennictwa rozszerzył poszukiwania na sąsiadujące hrabstwa.

Mowery został po raz pierwszy aresztowany w lipcu 1998 roku za włamanie z bronią w rękę i był od tamtego czasu dwukrotnie na przepustce. Za jednym i drugim razem został aresztowany za złamanie warunków zwolnienia”.

Hunt spojrzął na datę.

- Wczorajsze wydanie „Chronicle”. A więc uciekł w poniedziałek po południu.

Piersall podniósł i opuścił głowę.

- Tak, zauważyłem.

- No więc, co mam zrobić? - spytał Hunt, wracając na swoje miejsce. - Myślisz, że ten Mowery...?

- Nie wiem - odparł Piersall, podnosząc dłoń. - To moja mantra w związku z całą tą sytuacją. Nie wiem o nim nic, poza tym, co właśnie przeczytałeś. Ale wiem, że większość pracy, jaką od nas dostawałeś, dostawałeś od Andrei. Jej sekretarka powiedziała mi, że twoja agencja dzwoniła kilkakrotnie, pytając o nią - wzięty głęboki oddech i w końcu spojrzął Huntowi w oczy.

- Słuchaj, Wyatt, nie mogę być oficjalnie zamieszany w cokolwiek, z czego mogą wynikać kłopoty dla związków. Chcę, żebyś dobrze to zrozumiał.

Ale jeśli miałyby to przynieść krzywdę Andrei, ktoś musi o tym wszyst-

kim wiedzieć. Ktoś musi to sprawdzić. Wydajesz się logicznym wyborem.

- Dobra, niech będzie. Ale co ty o tym myślisz? - spytał Hunt.

- Nie sądzę... Wiem, że parę lat temu Jim Pine zatrudnił przez kilka miesięcy Mowery'ego, gdy pierwszy raz wyszedł na warunkowym.

- W jakim charakterze?

Spowiedź wyraźnie ciążyła Piersallowi. Otarł czoło.

- Ochrona. Wrócił do więzienia, bo był trochę zbyt entuzjastycznie nastawiony. To wtedy po raz pierwszy o nim usłyszałem. Nie mogłem uwierzyć, że Pine oficjalnie go zatrudnił i mieliśmy na ten temat długą dyskusję. To nie mogło się powtórzyć. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak.

- Ale ponownie wyszedł na warunkowym.

- W czasie kampanii wyborczych - powiedział Hunt. - Kiedy pojawiły się te wszystkie problemy.

- Dokładnie. I od tamtej pory był cały czas na wolności, aż do minionej soboty, gdy ponownie złamał warunki - sprawdziłem po przeczytaniu artykułu. Tak między nami, to myślę, że to była prawdziwa ucieczka.

- No to co się, twoim zdaniem, stało?

- Myślę, że osoba kontrolująca go, kazała mu zabić Palmera, a on uznał, że to trochę za duże ryzyko. Znaczy wandalizm w okręgach wyborczych ma się nijak do zabicia sędziego federalnego. Mowery odmówił, więc za nieposłuszeństwo ponownie go wsadzili.

- A co z ucieczką?

- Albo dowiedział się, że mówili serio i wróci na dobre, więc zmienił zdanie, albo sam uciekł.

- Więc takie rzeczy naprawdę się zdarzają? To nad czym pracowała Andrea?

- Może. Wspomniała mi o tym w poniedziałek. Jednak nie wiedziała o Mowerym. Nie z nazwiska, w każdym razie.

- Wspomniałeś o jej podejrzeniach Pine'owi?

Z nieszczęśliwą miną Piersall potarł mocno twarz.

- Chyba wystarczająco, by sam się połapał.

Craig Chiurco i Tamara Dade wyglądali dokładnie na to, kim byli - parę młodych kochanków. Znali się - oboje pracując dla Hunta - już dwa lata, ale jako para byli jeszcze niecałe pół roku razem. Po raz pierwszy Hunt przydzielił ich do wspólnego zadania i miało ono atmosferę randki, szczególnie, że MoMo było miejscem, na które nie mogli sobie pozwolić w życiu prywatnym. Ale byli tam, wykonując pracę długo po tym, jak tłum zebrany na kolację, rozszedł się do domów.

Co, bynajmniej, nie oznaczało, że lokal był pusty i nudny - wręcz przeciwnie, spotkania i powitania zdawały się mieć wysoką częstotliwość.

Przez jakiś czas Mary Mahoney będzie zbyt zajęta, aby z nimi porozmawiać. Po rozmowie z Huntem, który dał jej instrukcje, Tamara zadzwoniła upewnić się, że Mary pracuje tego wieczora. A wtedy wystroili się i podążyli do śródmieścia.

Siedząc przy drzwiach wejściowych, by nie przegapić panny Mary, na wypadek, gdyby zapomniała, że obiecała z nimi porozmawiać, Tamara piła cosmo, a Chiurco gin z tonikiem. Był to dobry wieczór na ujrzenie gwiazd - z tyłu lokalu, w dwóch niezależnych grupach, bawili się Robin Williams i Sean Penn. Burmistrz, Kathy West, brylowała w towarzystwie przy dużym stole pod oknem frontowym. Właśnie usiłowali zidentyfikować siedzące z nią osoby, kiedy w drodze do toalety przeszedł obok nich dobrze zbudowany czarnoskóry mężczyzna. Chiurco pokazał go palcem i rzekł:

- Jerry Rice.

- To nie Jerry.

- Numer osiem-zero we własnej osobie. Zakład? Wyciągnęła dłoń wnętrzem do góry.

- Pięć dolicz - powiedziała.

Craig podniósł dłoń i delikatnie klepnął jej rękę.

- Niech będzie pięć.

Wrócili do swoich drinków, oboje ukrywając uśmiechy, gdy zobaczyli, że Mary Mahoney wyłoniła się z tłumu przy barze i podeszła do nich.

- Nie wiem, czy wyrwę się w ciągu najbliższych kilku godzin, więc poprosiłam Martina - mojego kierownika - czy mogłabym zrobić sobie przerwę, skoro chodzi o Staci. Zgodził się, ale niech to nie trwa zbyt długo, okay? - nie było dla niej żadnego wolnego stołka, więc Chiurco wstał, oferując jej swój i zapytał jednocześnie, czy to Jerry Rice właśnie przeszedł obok nich.

- A, tak, to on. Cały czas tu przychodzi.

Chiurco uśmiechnął się zadowolony z siebie do Tamary, podczas gdy kelnerka powiedziała:

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że go zamieniliśmy, wicie. To było takie głupie.

- Nie wiem - odparł Chiurco. - Zacząłem wierzyć, że to lepszy interes, niż Giganci wymieniający za wszystkich tych graczy na końcu kariery, zamiast ich odstawiać.

- Ta, ale Jerry. Tak, jakby oddali Montanę.

- Ja bym żadnego z nich nie oddała - oznajmiła Tamara. - A teraz pozwoliłabym Jerry'emu grać tak długo, jak by chciał, a potem zrobiłabym z niego trenera i trzymała tu na zawsze.

- A potem nazwać jego imieniem park - powiedział Chiurco, bawiąc się,

dając się ponieść chwili, naturalnie łamiąc lody.

- Podoba mi się - skinęła Mahoney. - Rice Park? Rice Field?

- A może The Rice Field? - spytała Tamara - The Rice Field?

- Doskonale - powiedziała Mahoney. - Powiemy mu, kiedy wróci.

- Ale już dla nas nie gra - powiedział Chiurco. Mahoney zrobiła smutną minę.

- Ach, tak. Fakt - ledwie robiąc pauzę, zmieniła temat.

- A więc jesteście z agencji detektywistycznej, nie z policji?

- Zgadza się - powiedziała Tamara. - Klub Detektywów - podała jej wizytówkę. - Teraz akurat szukamy Andrei Parisi.

Mahoney nie ukrywała swoich emocji, teraz miała pytającą minę.

- Tej od procesu? Widziałam ją w TV, ale nie wiedziałam... Ona naprawdę zaginęła?

- Dlaczego to miałyby być nieprawdą? - wtrącił Chiurco.

Wzruszyła ramionami.

- Bez powodu, właściwie. Znaczący opuściła tylko jeden program, nie? I to leci tylko na jednym kanale. Myślałam, że może chodzi o jakieś badania oglądalności.

- Nie - powiedziała Tamara. - Naprawdę zaginęła. Od wczorajszego popołudnia.

- I ma coś wspólnego ze Staci? Tamara starała się zachować spokój.

- Nie wiemy. Właśnie się tego staramy dowiedzieć.

- Zdecydowanie - powiedział Chiurco. - Staci miała w portfelu wizytówkę Andrei.

- To wszystko? To ma być trop? - z kieszeni wyjęła okazały stosik wizytówek i położyła go na stoliku. - To tylko z dzisiejszego wieczora - powiedziała. - I mam tyle co wieczór - umieściła wizytówkę Tamary na wierzchu kupki. - Teraz ty też tu jesteś - odwróciła się do Chiurco. - Jak ty też masz, to mogę cię dołożyć. Mam nadzieję, że macie coś więcej.

Tamara opanowana i elegancka, napiła się drinka.

- Niezupełnie.

Chiurco pochylił się i oparł łokcie na stoliku.

- Staramy się dowiedzieć, co mogło ich troje łączyć. Na przykład, czy Staci znała Andreę.

- Mnie nic o tym nie wiadomo - Mahoney czuła się pewnie - A powiedziała by mi. Zdecydowanie, jak sądzę. Była fanką TV Proces.

- Więc byliście blisko?

Momentalnie jej oczy niemal przepełniły łzy i Mary otarła powieki. Czekali.

Westchnęła dwukrotnie, zadrżała.

- Byłam dla niej miła, gdy się tu pojawiła i możliwe, że to nie było dla niej

takie oczywiste.

- Więc nie znałaś jej, zanim zaczęła tu pracować? - spytała Tamara.

- Nie.

- Dorastała tu, w mieście?

- Nie sądzę. Mieszkała tu przez kilka ostatnich lat. Przedtem, nie wiem.

- Ponieważ - mówiła dalej Tamara - nie odezwał się nikt z jej rodziny, policja nie była w stanie dowiedzieć się jeszcze niczego o jej przeszłości.

Kelnerka zrobiła zdziwioną minę.

- Niczego?

- Nic a nic.

- To takie niesprawiedliwe. - Nagle jej twarz rozjaśniła się. - Moment. Wiem, że ma... miała, znaczy się, młodszego brata. Trzymała jego zdjęcie w pokoju.

- Poznałaś go?

- Nie.

- A imię? - Tamara kontynuowała, podczas gdy Chiurco stał ze skrzyżowanymi rękoma, pozwalając jej pracować.

- Nie wiem, mówiła o nim brat.

Mahoney spojrzała na bar, jej przerwa trwała wystarczająco długo, a ten cały brat nie pomoże Staci, ani Andrei.

- Nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Zobaczyłam zdjęcie, zapytałam, kto to, a ona powiedziała „Ach, to mój brat”. Nie wdawałyśmy się w szczegóły. To był po prostu jej brat.

- To nie była jej pierwsza posada kelnerki - Chiurco zmienił temat, starając się ponownie zainteresować Mary.

- Nie. Pracowała, jak sądzę, w tajskiej restauracji na Ocean. Chodziła do Miejskiego Uniwersytetu i mieszkała po tamtej stronie miasta, aż dostała mieszkanie tutaj.

- To znaczy gdzie? - spytała Tamara.

- Tam - Mahoney wskazała ręką przez okno. - Te mieszkania po drugiej stronie ulicy. Sędzia jej kupił.

- Prawie skończyliśmy, Mary - powiedział Chiurco. - Możesz spróbować sobie przypomnieć, czy Staci kiedykolwiek mówiła coś o Andrei Parisi, w jakimkolwiek kontekście?

Jej kolagenowe wargi zacisnęły się na chwilę koncentracji.

- Przykro mi, naprawdę nic takiego nie pamiętam.

- Okay, ostatnia rzecz - powiedziała Tamara. - Czy jest coś, co pamiętasz o Staci, co mogłoby nam pomóc? Jakikolwiek powód, dla którego ktokolwiek mógłby chcieć ją zabić?

- Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógłby ją zabić. Myślę, że musiało chodzić o sędziego, a ona tam po prostu była.

- A z tego, co wiesz - dodał Chiurco - była już tam kiedyś, u niego w domu?

- Nie, jestem tego całkiem pewna. Wspomniałaby mi.

- Więc dlaczego? - Tamara zdawała pytać nie tyle Mary, co samą siebie.

- Nie wiem - Mahoney uśmiechnęła się krzywo. - Dlaczego to wszystko?

21

Hunt i Piersall zjechali w ciszy do głównego holu, potem przesiedli się do windy do piwnicy, wsiedli i Hunt nacisnął guzik oznaczony 4, gdzie, jak sądził, zaparkował. Nadal bez słowa, Piersall sięgnął i nacisnął 5.

Kiedy otworzyły się drzwi, Hunt wyszedł szybko i rozejrzał się w obie strony. Jedynym samochodem na tym poziomie była czarna miata. Nie znalazłszy swojego charakterystycznego samochodu, wrócił do windy. Na „5” obaj wysiedli. O tej porze na parkingu stały tylko ich dwa samochody. Piersall ponownie miał na sobie marynarkę i niósł dużą aktówkę. Po krótkim piśnięciu zamka centralnego, otworzył bagażnik lexusa, wrzucił aktówkę do środka i poszedł do drzwi kierowcy. Zatrzymał się na chwilę, rozważając, czy coś powiedzieć, ale zamiast tego skinął lekko Huntowi, otworzył drzwi i wsiadł.

Hunt siedział za kierownicą i zastanawiał się, co robić dalej. Był mgliście świadom wycofującego się i odjeżdżającego samochodu Piersalla.

Choć wszystkie informacje, jakie Piersall udzielił mu o CCPOA mogły mieć związek z morderstwem sędziego Palmera, to Hunt nie wiedział jeszcze, jak miałyby mu pomóc znaleźć Andreę. Z kieszonki koszuła wyciągnął wycinek z gazety, przeczytał po raz czwarty czy piąty, zastanawiając się, co to może oznaczać.

Jeśli cokolwiek.

Jeśli, zgodnie z opinią Piersalla, zbiegły więzień Mowery ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Palmera i w dalszej kolejności upatrzył sobie Andreę, to Hunt nie wątpił, że kobieta już nie żyje.

Ale trochę się ~~te~~ **jeśli** rozmnożyły.

I żadne z nich nie zakładało wersji, w którą on chciał wierzyć i dla której chciał działać - że Andrea jeszcze żyje. Choć z każdą upływającą godziną iluzja ta stawała się coraz trudniejsza do podtrzymania. Wiedział, że rano będzie musiał zadzwonić do Juhle'a, żeby przekazać mu wszystkie informacje uzyskane od Piersalla, jednak nic z tego nie wydawało się pomocne w osiągnięciu jego głównego celu, który zaczynał już postrzegać bardziej jako irracjonalną nadzieję niż faktyczną możliwość.

Ale dopóki nie zostanie znaleziona, dopóki mogła jeszcze żyć, nie zaprzestanie tych poszukiwań.

Sam na parkingu, w samym wnętrzu budynku, nagle pojął z siłą podobną do porażenia elektrycznego coś, co nie dawało mu spokoju. Energicznie włączył silnik i wrzucił wsteczny bieg, po czym wyjechał z piskiem opon, dojechał do końca rzędu i podążył za znakiem wyjazdu.

Zatrzymując się przy wjeździe na poziom czwarty, podjechał do wind i zaparkował obok miaty, którą przelotnie zauważył.

Wysiadłszy ze swojego coopera, podszedł do miaty od strony kierowcy i zajrzał przez szybę. Nie było tam nic, co mogłoby ułatwić identyfikację właściciela - żadnej torebki, żadnego ubrania, żadnego śmiecia. Tylko czarne skórzane fotele. Podszedł do tyłu spojrzeć na tablice rejestracyjne, próbując sobie przypomnieć, czy widział tablice Andrei, gdy jej samochód stał w garażu. Ale za Chiny nie mógł wydobyć nic, co byłoby mu znajome.

Niemniej adrenalina działała i choć myśl ta była irracjonalna, czuł, że **wiedział**. To był jej samochód.

Wyobraził sobie przebieg zdarzeń niczym klatki niemego filmu, którego nigdy nie widział. Mimo wszystko przyjechała do biura w środę, nie pojechała bezpośrednio do Manionów. Jej napastnik zatem prawdopodobnie nie zabił jej na miejscu - z pewnością nie z pistoletu, w każdym razie nie w środku popołudnia, kiedy to parking roiłby się od ludzi. Ale zabrał ją gdzieś, gdzie, niewykluczone, nadal żyła.

Musiał ponownie pojechać windą i wydostać się na ulicę, by mógł wykonać telefon. Stojąc na ciemnym i pustym chodniku, słuchał dzwonek na drugim końcu linii:

- Proszę, proszę, proszę. Odbierz. Connie! Wiem, przepraszam, ale to ważne. Muszę mówić z Devem.

Juhle nie był najszczęśliwszy z pomysłu sprawdzenia o tej nieprzyzwoitej porze, do kogo należał samochód, ale gdy oddzwonił do Hunta, znalazłszy kogoś z nocnej zmiany w Komendzie Głównej do wykonania dwuminutowej kontroli, brzmiał na całkiem obudzonego. Samochód faktycznie należał do Andrei.

Czekając na przybycie wozów patrolowych, Hunt sprawdził, jak wygląda sytuacja u jego ludzi.

Farrell, bystry facet, ogłosił fajrant, jego telefony były wyłączone, więc Hunt zostawił mu wiadomość, że zwołuje spotkanie na Sutter Street na ósmą rano, punkt.

Amy i Jason nadal nie spali, oglądając telewizję, po tym, jak nie powiodło im się z Carla Shapiro. Amy wspomniała o niewyraźnym, zwodniczym prawie spotkaniu z Betsy Sobo, być może na temat prawa rodzinnego/zasiłków związkowych, które Andrea umówiła, a potem odwołała w poniedziałkowe popołudnie. Poinformowali go również, że wszystkie lokalne stacje telewizyjne podjęły już temat zniknięcia Andrei i nadały mu spore znaczenie - w późnym wydaniu NEWS 4, które właśnie oglądali, był to temat godziny. Amy zadzwoniła również do matki Parisi, z którą skontaktowały się już media. Była zrozpaczona i nie miała pojęcia, gdzie jest jej córka, ani, co mogło się z

nią stać.

Tamara i Chiurco również nie mieli zbyt wiele do zaoferowania na temat jakiegokolwiek związku pomiędzy Staci Rosalier i Andrea Parisi. Hunt przypomniał sobie jeszcze, że nie kontaktował się z Mickeyem Dade'em, a teraz nie odbierał on telefonu. Hunt nie miał od niego żadnej wiadomości, co nie stanowiło raczej niespodzianki, bowiem Mickey był tradycyjnie najmniej odpowiedzialnym z ludzi, którzy pracowali dla niego dorywczo. Tym razem to prawdopodobne, że nie dotarł do rezydencji Manionów przed zmierzchem.

Hunt nagrał mu wiadomość, prosząc, by, jeśli nadal pracuje, sprawdził, czy któraś z tajszych restauracji na Ocean zatrudniała kiedyś kelnerkę Staci Rosalier. Wiedział, że jeśli ten trop okaże się cokolwiek wart, to Juhle znajdzie sposób, by kogoś do tego przydzielić, a wtedy praca Mickeya będzie całkiem zbędna.

Huntowi nie przychodziło do głowy inne zadanie, jakie mógłby powierzyć taksówkarzowi, kiedy przyjechał pierwszy radiowóz. Wcale nie minęło tak długo, odkąd obudził Juhle'a - może dwadzieścia minut. Spotkał się z policjantami przy wjeździe do garażu i poprowadził ich na miejsce. Mundurowi kazali mu przesunąć jego własny samochód, podczas gdy otoczyli miatę żółtą taśmą, traktując samochód jako potencjalne miejsce zbrodni.

Osiem czy dziesięć minut później podjechał Juhle - bez Shiu, bez komentarza. Oddział badający miejsce zbrodni był już w drodze, aby wykonać pobieżne oględziny i odholować samochód do centrum. Juhle był przekonany, że jeśli cokolwiek było na lub w samochodzie, to oni to znajdą. O tej porze nie potrzebowali kontroli gapiów, zatem Juhle odprawił mundurowych. Kiedy odjechali, oparł się o dach samochodu, którym przyjechał i powiedział:

- No i co o tym myślisz?

Hunt opowiedział mu swój wyimaginowany scenariusz.

- Twierdzisz, że ktoś ją porwał?

- Tak myślę. W lobby mają kamery wideo wychodzące na windy, więc możemy się upewnić, gdy dotrzemy do taśm. Ale nie ma mowy, że dotarła do biura. Ktoś by ją widział.

- A może zaparkowała tu, po czym wyszła z garażu na ulicę? I zniknęła.

- Mało możliwe, jak sądzę - powiedział Hunt. - Dlaczego miałyby to zrobić?

- Może po wyjściu z domu dowiedziała się o czymś albo z kimś rozmawiała i postanowiła zniknąć.

- Więc chce się ulotnić i natychmiast porzuca najlepszy sposób na opuszczenie miasta? Nie używała bankomatu, ani żadnej karty kredytowej - Hunt pokręcił głową. - Są tylko dwie możliwości, Dev. Ktoś ją stąd odebrał lub porwał.

- Nie mówię, że się z tobą nie zgadzam, ale nadal wracamy do pytania

„dlaczego”. Jeśli ktoś chciałby ją zabić, to by ją zabił. Jeśli to było porwanie, to gdzie żądanie okupu? Myślisz, że ktoś ją porwał, żeby sobie na nią popaprać albo coś w tym stylu? Przyznaj wreszcie, najbardziej logicznym jest to, że albo uciekła, albo się zabiła. A jeśli znasz lepszy powód, dlaczego miałyby to zrobić, niż ten, że zamordowała Palmera i Staci, to chciałbym go poznać.

Hunt zawahał się, ale już wystarczająco głęboko wciągnął w to Juhle'a. Musiał powiedzieć mu o Piersallu i CCPOA. Pieprzyć tajemnicę zawodową. Nim jednak dobrze zaczął, przerwało mu przybycie oddziału badającego miejsce zbrodni. Zaczął ponownie, a kiedy skończył, członkowie oddziału sprawdzili karoserię na obecność odcisków palców i odholowali cabrio Andrei do garażu, gdzie dokładnie przeszukają wnętrze, rozpylą luminol, szukając śladów krwi i poszukując śladów prochu.

Juhle spacerował, pozostając pod wrażeniem faktów o związkach strażników więziennych.

- Mówisz zatem, że Palmer przygotował już w poniedziałek nakaz federalizacji całego systemu penitencjarnego? Rozmawiałem z jego sekretarką i nic o tym nie wspomniała.

- A pytałeś ją?

- Pytałem, czy zna powody, dla których ktokolwiek chciałby zabić sędziego.

- Może nie widziała nakazu w tych kategoriach. Może był to dla niej tylko papier, taki sam jak tysiące innych, które już przepisywała. Zwykła harówka w sądzie.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Ważniejsze, czy to prawda. I jestem pewien, że to sprawdzisz, więc oszczędzę ci trochę czasu: to prawda.

- I Jim Pine dostał cynk i posłał kogoś na zwolnieniu warunkowym, by upewnić się, czy nakaz nie zostanie podpisany? To twoja teoria?

Hunt skinął.

- No a dziewczyna? Staci. Miała pecha, że akurat dokładnie w tym czasie tam była? No jakoś mi się nie wydaje.

- Mnie też nie. Mogę jednak wymyślić dziesięć dobrych wytłumaczeń.

- Ale założę się, że wszystkie są jakąś wariacją na temat przypadku i zbiegu okoliczności - Juhle, niezadowolony, ucisnął ramię, które przeszył ból. - Zostawmy to na chwilę i wróćmy do Parisi. Kiedy sędzia został zabity, powiedzmy, że miała wrażenie, że musi za tym stać Pine. I co? Myślisz, że poszła go zapytać? Jeśli tylko byłaby idiotką, a doszły mnie słuchy, że nie była.

- A może powiedziała o tym Piersallowi, żeby go trochę wy badać, a on powtórzył przypadkowo Pine'owi trochę za dużo?

- Już to przerabialiśmy - powiedział Juhle. - I powiedziałem, że naciągasz. Nadal to robisz.

- Nie sądzę, że związek pomiędzy strażnikami a Parisi jest naciągany, Dev. Pracowała dla nich. Sędzia się nimi zajmował. Wycucie czasu jest doskonałe. Wszystko pasuje.

- Staci Rosalier nie pasuje.

- Ponownie pech. Lub - wiem, jak tego nie lubisz - zbieg okoliczności.

- Nie. Mam lepszą teorię. Posłuchaj - Juhle podniósł palec. - Po pierwsze, Rosalier miała wizytówkę Parisi - pokazał na miatę i podniósł drugi palec. - Po drugie, bardzo podobny do tego samochód stał przed domem sędziego w czasie morderstwa. Po trzecie, niezależnie od tego, co sobie wyobrażasz, w zabójstwie sędziego i Staci nie było nic profesjonalnego. Mamy jeden chybiony strzał i żadnych dobijających strzałów w głowę. Amator. Po czwarte, co sam przyznałeś, Parisi mogła być zazdrosną kobietą, o co najmniej minimalnej skłonności do przemocy - wymierzenie policzka? - i posiada licencję na broń. Dalej, może właśnie tego dnia zdała sobie sprawę, że wbrew temu, w co wierzyła przez ostatnie sześć miesięcy, nie będzie w stanie przenieść się trzy tysiące kilometrów z dala od mężczyzny, którego nadal kochała, a którego, z uwagi na pracę, zmuszona jest regularnie spotykać. W końcu, i ponownie, tego dnia, w poniedziałek, idzie na lunch i widzi sędziego i składa sobie do kupy, że sędzia pieprzy małą śliczną kelnereczkę, która go obsługuje, zamiast niej! Nie sądzisz, że to ją trochę rozstraja? - ponownie spacerując, Juhle wprowadził się w zdenerwowanie. - Cholera, Wyatt, im więcej o tym myślę, tym bardziej mi ona pasuje do tych morderstw. A na koniec daje nogę.

Hunt milczał, opierając się o samochód Juhle'a. Musiał przyznać, że litania zrobiła na nim wrażenie. Wszystkim teoriom i niepokojom Piersalla o związku i rzekomej linearności kryzysu, który doprowadził sędziego do rozpoczęcia pracy nad nakazem, brakowało bezpośredniości i pasji argumentacji Juhle'a. Hunt nie mógł zmusić się do uznania jego racji, ponieważ nie chciał lub nie był w stanie, sam nie wiedział, które z dwojga.

- A wiesz, co ja bym wtedy zrobił? - Juhle stanął przed nim. - Spróbowałbym to przetrzymać, kontynuować pracę, normalne życie. Ale pierwszego wieczora tak się upijam, że tracę przytomność. A następnego, jestem tak rozkojarzony i zagubiony, że wychodzę na spotkanie, ale ląduję na parkingu w pracy, nie wiedząc, gdzie miałem jechać, ani co zrobić. I uświadamiam sobie, że to beznadziejna sytuacja. Nie uda mi się. Złapią mnie, aresztują i osądzą, a dużą część, jeśli nie resztę, życia, spędzę w więzieniu - a o tym wiem więcej niż większość ludzi, którzy nigdy nie siedzieli, ponieważ pracuję dla ludzi, którzy ich pilnują.

- Myślisz, że się zabiła?

Energiczne skiniecie głową.

- Myślę, że wyszła stąd o własnych siłach, dostała się na most Golden Gate już po zapadnięciu zmroku i doszła do połowy. To, lub coś bardzo podob-

nego, moim zdaniem, właśnie się zdarzyło, Wyatt, i jestem z tobą całym sercem, jeśli to prawda. Dobrze, czy sprawdzę rano nagrania z kamer wideo w tym budynku? Czy porozmawiam sobie z panem Pinem i będę kontynuował z panią Palmer, a może nawet zainteresuję się, jak pan Mowery zdołał uciec z dobrze strzeżonego zakładu karnego i co zrobił lub robił w czasie słodkiej wolności? Pewnie, że tak. Wszystko z wymienionych. - Ale dopóki nie znajdę najmniejszego choćby skrawka dowodu łączącego kogoś ze związków albo kogokolwiek innego z tymi morderstwami, będę trzymał się najbardziej sensownej wersji, wyłączając z niej zbieg okoliczności i przypadek. A to oznacza Andreę Parisi. I mam cholerną nadzieję, że znajdę dowód na potwierdzenie którejkolwiek z teorii. Nieważne której. Chcę dowodów - w końcu Juhle próbował się uśmiechnąć. - W międzyczasie jednak wrócę do domu i postaram się jeszcze trochę przespać, póki jeszcze mam okazję. I radzę ci zrobić tak samo.

- Wezmę to pod uwagę - odparł Hunt.

Pożegnali się, wsiedli do samochodów i ruszyli przez parking w stronę wyjazdu. Naraz Hunt mignął długimi i dał sygnał klaksonem, po czym wysiadł z coopera i pobiegł do okna Juhle'a.

- Mogę cię o coś jeszcze prosić?

- Pewnie. Czemu nie? I tak cię nie powstrzymam.

- Wiem, że masz nakaz, by zobaczyć zapisy połączeń z telefonów Parisi i zobaczysz je niebawem. Ale wiem również, że masz kogoś w ochronie SBC i Cingular i każdej sieci komórkowej na świecie, do kogo mógłbyś teraz zadzwonić. Widziałem, jak robisz takie rzeczy. To czego chcę, nie zajmie nawet pięciu minut.

- Chyba żartujesz? - ramiona Juhle'a uniosły się w bezgłośnym śmiechu. Spojrzał na zegarek. - O pierwszej piętnaście rano? Ale faktycznie, nie była to całkiem irracjonalna prośba i Juhle westchnął zrezygnowany, zaciągnął hamulec ręczny, wyjął telefon.

- Czego chcesz się dowiedzieć?

Hunt miał oba telefony Andrei, komórkowy i domowy, i chciał poznać połączenia wychodzące i przychodzące z obu telefonów, od południa w środę. To wszystko. Okazało się, że Juhle robił tego typu rzeczy wystarczająco często i znał potrzebny numer na pamięć. Gdy się połączył, powiedział Antoine, że wszystkie dokumenty - nakaz ujawnienia listy połączeń - zostały podpisane przez sędziego i są w drodze, ale chodzi tu o sprawę o zabójstwo. To sprawa życia i śmierci i potrzebuje natychmiast pewnych informacji.

Zajęło to trochę więcej niż przewidywane przez Hunta pięć minut. Andrea Parisi nie wykonała ani nie odebrała żadnej rozmowy na telefon domowy od 12:00 w środę. Na komórkę odebrała tego dnia jedno połączenie, o 14:18. Zostało wykonane z telefonu publicznego w hotelu St. Francis, około sześciu

przecznic od miejsca, w którym się aktualnie znajdowali, i trwało czterdzieści dwie sekundy.

Gdy się rozłączył, Juhle nie wyglądał na zbyt przejętego nowymi faktami.

- To mógł być ktokolwiek, Wyatt. Cholera, czterdzieści dwie sekundy, to mogła być pomyłka.

Hunt z grubsza zgadzał się z nim. To mógł być ktokolwiek. Ale w to Hunt nie wierzył. Zamierzał przyjąć, że telefon wykonała osoba, która ostatecznie spotkała się z Andream na parkingu, po tym, jak poprosiła o spotkanie w biurze. Co więcej, w umyśle Hunta istnienie tego telefonu zdołało podważyć wizję Juhle'a co do ostatnich godzin życia Andrei.

Nie była rozkojarzona i zdezorientowana, by bez zastanowienia, mniej więcej automatycznie, pojechać do pracy, a potem zdać sobie sprawę, jak beznadziejne stało się jej życie. Nie. Odebrała krótki, zawodowy telefon, który zmienił jej najbliższe plany. Był to szczegół, ale oznaczał, że nie we wszystkim Juhle miał rację.

Logicznie czy nie, Juhle mógł wcale nie mieć racji. A to z kolei oznaczało, logicznie czy nie, że Hunt mógł mieć rację.

Po służbie w wojsku, pracy w SOD, a potem jako prywatny detektyw, Hunt doszedł do wniosku, że na każdy temat istnieją żarty. Nieważne jak groteskowa, przygnębiająca, przerażająca, zupełnie straszna, głupia, chora lub niesmaczna była dana sytuacja, to jeśli tylko było w niej cokolwiek, co miało choć najmniejszą wyobraźalną szansę, by zawierać choć strzęp humoru - cholercia, dawaj! Ktoś się roześmieje. Martwe niemowlęta, maltretowane zwierzęta, AIDS i wszystkie choroby przekazywane drogą płciową, zaburzenia czynności seksualnych, morderstwa i samobójstwa, zdrady, przypadkowe okaleczenia, odcięte kończyny - padam ze śmiechu.

I z całą pewnością Wes Farrell wydobyl klejnot poranka, o odwiecznym zawodniku rezerwowym komedii - sędzim federalnym Stanów Zjednoczonych. Wszyscy weszli, rozsiedli się w jego biurze, nim na dole rozpoczął się oficjalny dzień pracy i Farrell spytał rozmownym tonem, czy znają różnicę pomiędzy sędzią federalnym a Ku-Klux-Klanem. Widząc same puste, pół-przytomne spojrzenia, odparł w końcu:

- Nikt? Okay. Ku-Klux-Klan nosi białe szaty i napędza cholernego stracha czarnoskórym.

W pokoju siedziało pięć osób - Hunt, Tamara, Chiurco, Amy Wu, Jason Brandt - i nikt nie zareagował bardziej niż uśmiechem. Nie była to zbyt radosna chwila - Andrea wciąż się nie odnalazła, a Juhle, jak doniósł Hunt, nadal brał ją za główną podejrzaną w sprawie morderstw Palmera i Rosalier. I jeszcze możliwe samobójstwo.

Nie powstrzymało to jednak Brandta od dołożenia się:

- No więc psychiatra pojawia się u bram rajy, wkurzony na maksa, bo był młody, zdrowy i nie powinien tak wcześnie umierać. To nie fair. Święty Piotr przeprasza, ale nie podaje żadnego powodu, dlaczego zabrali go do siebie wcześniej, niż zakładał pierwotny plan. Na to lekarz: „Co? Skończyliście moje cudowne życie na ziemi bez powodu? Dlaczego? Tylko dlatego, że możecie?”. A święty Piotr rozgląda się, nachyla do niego i szepcze: „To Bóg. Myśli, że jest sędzią federalnym”.

Pomimo zaledwie pięciu godzin snu, Hunt był w pełni obudzony. Odczekał stosowną, niezbyt w tym przypadku długą chwilę, rozejrzał się po pomieszczeniu, patrząc na zebranych i rzekł:

- Może porozmawiamy o tym, co robiliśmy wczoraj i czy coś z tego wyniknęło.

Ale kiedy zaczęli opisywać swoje spotkania, jasnym stało się, że wcześniejsze, pozbawione entuzjazmu żarciki pokrywały głębszą zmianę w ogólnych nastrojach. Był piątek rano, a Andrea zaginęła w środę po południu - półtora dnia. Czterdzieści dwie godziny. Wszyscy przeczytali tego ranka

artykuł na pierwszej stronie „Chronicle”. Cały świat szuka Andrei, fotogenicznej gwiazdy telewizji.

Do trzech prawników wielkimi krokami zbliżał się dzień pracy. Tamara i Chiurco byli naturalnie gotowi wykonywać polecenia - cokolwiek Hunt sobie życzył - ale Mary Mahoney ani trochę nie zbliżyła ich do Andrei Parisi. I w końcu Tamara odważyła się powiedzieć na głos:

- Wyatt, zaczynam wierzyć, że ona nie żyje. Wszystkie głowy poruszyły się w ponurych gestach zgody.

- Może to nie mieć na tym etapie znaczenia - zasugerował Brandt - ale może powinniśmy ponownie skontaktować się z wydziałem osób zaginionych. Powiedzieć im wszystko, co wiemy i zobaczyć, gdzie ich to doprowadzi.

- Jeśli Juhle nie może jej znaleźć, to im się też nie uda - uważają za główną podejrzaną. Jego ludzie pracują nad tym, wiercie mi.

Farrell, który siedział na brzegu kanapy, z opuszczoną głową, wyprostował się.

- To połączenie na jej komórkę - powiedział - to ostatnia rozmowa z nią, o której nam wiadomo?

Hunt potwierdził.

- Więc wiesz na pewno - dowiedziałeś się tego wczoraj? - że od tamtej pory nie używała komórki?

- Zgadza się.

Farrell odetchnął ciężko.

- Cóż, zatem moim zdaniem nieważne czy ucieka, czy nie żyje, nie pozostał nam żaden trop. Żadne z nas nie znalazło nic, co mogłoby gdzieś dalej prowadzić, prawda?

Ponownie milcząca, ponura zgoda.

Hunt jednak nie był gotów pogodzić się z tym.

- Dobra, sam jestem zniechęcony. Ale pomówmy przez chwilę o teorii Juhle'a, że Andrea ucieka albo się zabiła. Czy ktokolwiek, oprócz mnie, widzi straszliwą wadę w tym rozumowaniu?

- Zakłada, że Andrea jest podwójną morderczynią - odezwała się Wu. Hunt odwrócił się do niej, jego twarz jaśniała.

- Dokładnie. Wiem, że ty, Wes, Tamara i Craig nie znaliście jej zbyt dobrze. Ale Amy i Jason owszem, a ja byłem na dobrej drodze, i nie ma możliwości, bym zaakceptował to, że kogokolwiek zabiła.

- Ja też nie - powiedział Brandt. - Amy i ja znamy ją jeszcze ze studiów i zgadzam się. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- W porządku - powiedział Hunt. - Jeśli w to wierzymy, to możemy wykluczyć, że opuściła parking z własnej woli. Właściwie, oto co się stało: spotkała się z kimś, prawdopodobnie z osobą, która dzwoniła do niej z Saint Francis, kto albo przekonał ją, by z nim pojechała, albo najzwyczajniej ją

porwał.

- Ktoś, kogo znała - dodała Wu.

- Możliwe. OK - mówił dalej Hunt - więc to nasza obecna pozycja. I nadal twierdzą, że wyprzedzamy policję.

- Tak, ale, Wyatt? - odezwał się Brandt, jakby na znak grupy, przemawiał w imieniu ich wszystkich. Odkasznął. - Cokolwiek się stało, to nie ma jej już dwie noce. Próbuję sobie wyobrazić jakiś scenariusz, włączając dokładnie to, co opisaliśmy, w którym ona jeszcze żyje. I cholernie przykro mi to mówić, ale zaden nie przychodzi mi do głowy.

Hunt rozejrzał się po twarzach zebranych. Wu miała łzy w oczach. Tamara i Chiurco trzymali się za ręce. Nie widział ani śladu nadziei i zrozumiał, że ci wszyscy światli ludzie doszli do tego samego, lecz nieuchronnego wniosku.

Hunt, Tamara i Craig pożegnali się z Wu, Brandtem i Farrellem w siedzibie Freemana. W prawie nieprzerwanym milczeniu przeszli kilka przecznic z powrotem do biura Klubu Detektywów i wspięli się po schodach. Gdy weszli, Tamara usiadła za biurkiem, Hunt stanął przy oknie i patrzył na Grand Avenue, a Chiurco nastawił kawę.

Włączając głośnik, Tamara wcisnęła guzik i dowiedzieli się, że nagrano siedem wiadomości.

- Siedem? Nowy rekord - powiedział Chiurco. - Dobre wyczucie czasu, co?

Hunt, zagniewany, odwrócił się od okna i pochylił się ze skrzyżowanymi ramionami nad telefonem.

Pip. Wczoraj, 18:18: „Wyatt, Bill Frazier”. Był to lekarz, który chciał dowiedzieć się czegoś o przeszłości nowego chłopaka swej matki. „Dzwonię spytać, jak ci idzie. Wspomniałeś, że do jutra możesz coś mieć, a z tymi dwoma gołąbkami wszystko dzieje się dość szybko. Nie chcę, żeby mama zrobiła coś głupiego, jak potajemna ucieczka, nim będę miał szansę ją powstrzymać. Nie chcę naciskać, ale jeśli coś masz, to chciałbym to usłyszeć, zanim będzie za późno. Dzięki”.

Pip. Wczoraj, 19:04: „Hej, Wyatt, jesteś tam? Podnieś słuchawkę, jak możesz. Gdzie jesteś, stary? Wyłączyłeś komórkę? Tu Peter Buckner” adwokat prowadzący zeznania, w których w środę Hunt brał udział u McClellanda. „Dobra. Mamy problem z Jeremym Härterem. Nie pojawił się dziś po południu i nie odbiera...”.

Hunt wyłączył dźwięk i odwrócił się do Chiurco.

- Doręczyłeś wczoraj wszystkie wezwania do sądu?

- Cztery z nich.

- Cholera - Hunt pokręcił głową. - Kiedy jest rozprawa?

- We wtorek. - Oznaczało to, że Craig nie powinien zajmować się czymkolwiek innym, jak na przykład sprawą Andrei.

Przeklinając, Hunt ponownie nacisnął guzik, wysłuchał do końca wiadomości Petera Bucknera, następnie radosny głos kobiety, która przedstawiła się jako Melanie, oznajmił mu, iż został wstępnie wybrany do otrzymania platynowej...

Tamara przewinęła do następnej.

- Nigdy nie lubię otrzymywać takich wiadomości.

Pip. 21:19: „Panie Hunt. Nazywam się Ephraim Goldman i jestem starszym wspólnikiem w Mannheim Shelby, pana telefon podał mi Geoff Chilcott z...

Hunt przeskoczył końcówkę:

- Później.

Wysłuchali trzech kolejnych, Tamara robiła notatki. Wszystkie dotyczyły nowych lub istniejących klientów, żadna nie miała najmniejszego choćby związku z Andrea Parisi. Hunt usiadł na krześle przy drzwiach i starał się skoncentrować. Miał tu sprawy do załatwienia, lecz nie wydały mu się one nawet minimalnie frapujące. Zdał sobie sprawę, że firma rozwijała się tak szybko, iż niebawem będzie musiał zatrudnić więcej ludzi, ale na szczęście do wyboru było ich aż nadmiar - gliny po służbie, a nawet kilku byłych detektywów zawsze chętnych było zarobić trochę dodatkowej kasy. Ale nie miał teraz czasu nawet na rozmowę kwalifikacyjną, a co dopiero na zatrudnianie.

- Wiesz, gdzie się dziś podziewa Mickey? - spytał Tam.

- Myślę, że jeździ taryfą. Ale ma wyłączony telefon. Próbowалам rano.

- Wiem, ja próbowałem wczoraj w nocy. Myślisz, że da się go jakoś namówić, by go nie wyłączał, żebyśmy mogli się z nim skontaktować?

- Wątpię - uśmiechnęła się.

- No cóż, jak się zamelduje, powiedz, żeby do mnie zadzwonił. Wiesz co - dodał - to prawda. **Naprawdę** trudno znaleźć dobrych pracowników.

- Na szczęście - powiedział Chiurco - masz nas. Hunt przytaknął.

- Prawdziwe szczęście. Ale was dwoje to trochę za mało, żeby wszystko załatwić.

- No to mów, co mamy zrobić? - spytała Tamara.

Mając co najmniej mało sprecyzowany plan działania, Hunt zbliżał się do siedziby Piersalla, którą opuścił przed zaledwie ośmioma godzinami. Jedno wiedział na pewno, niech interes diabli wezmą, jego osobistym priorytetem była Andrea Parisi. Tamarze i Craigowi kazał jakoś poradzić sobie ze

wszystkimi pentami i zniechęcić całą resztę. Bądźcie pomysłowi. Wymyślajcie błyskotliwe wymówki. Coś wykombinujcie. Po to im w końcu dużo płaci. I mają być w stanie rzucić wszystko w oka mgnieniu, jeśli będą mu potrzebni w sprawie Andrei.

Jego pracownicy mogli naprawdę wierzyć, że ona już nie żyje - i widział, jak im przykro, iż on nie jest w stanie tego przyznać - ale on nie zamierzał zaakceptować, że jej nie ma, dopóki nie zostanie do tego zmuszony. Potrzeba czegoś więcej niż tylko wiary wszystkich dokoła.

W przeciwieństwie do poprzedniego wieczora, tego ranka Montgomery była załadowana. Normalne dostawy i gęsty ruch uliczny posuwały się powoli wokół kilku radiowozów oraz furgonetek wszystkich lokalnych i kilku krajowych stacji telewizyjnych. Tłum gapiów przybywał i falował wokół prezydenów i ich załóg.

Hunta tylko nieznacznie zaskoczyła - nie było jeszcze dziesiątej - obecność Spencera Fairchilda i Richarda Tombo kręcących się przy samochodzie TV Proces, popijających kawę ze styropianowych kubków i przedarł się przez tłum w ich stronę. Kiedy Tombo go zauważył, pokazał gestem, aby wszedł do kręgu znaczonego ich kamerami, oświetleniem i kablami.

- Co tu się dzieje? - spytał Hunt. - Wiadomo coś nowego o Andrei?

- Nie pojawiła się, jeśli o to ci chodzi - odparł Tombo. - Ale nadal zdaje się znajdować w centrum wszystkich wydarzeń. Słyszałeś, że w tym garażu znaleźli jej samochód?

- Żadni „oni”, Rich. To byłem ja.

- Żartujesz?

- Nie zostałem we mnie nawet cień humoru. Ubiegłej nocy znalazłem tu jej samochód.

Spencer Fairchild, stojąc obok, nie zwlekał ani chwili:

- Chcesz być w telewizji, Wyatt?

Może i Huntowi nie dopisywał humor, ale miał jeszcze w zanadru gorzki śmiech, który zaserwował, odpowiadając:

- Tak bardzo jak leczenie kanałowe. Ale co w tym samochodzie jest takiego ważnego, żeście się tu zlecieli jak muchy? Laboratorium coś znalazło?

- Nic, o czym ja bym wiedział - odparł Fairchild. - A kamery są z powodu zwrotu w sprawie Donolana. Chcieliśmy trochę zmienić otoczenie. Przerwać monotonię.

Hunt rozejrzał się dokoła, obserwując całe zamieszanie.

- Nie bardzo rozumiem, Spencer. Co ma w tym momencie Donolan wspólnego z Andrea?

Fairchild zastanawiał się, czy Hunt sobie z niego kpi.

- Andrea to Donolan. Piękna komentatorka znika w środku procesu? Jakbyś planował, to by lepiej nie wyszło. A teraz, nagle odkąd zniknęła, sędzia

Palmer też jest częścią Donolana. W tej chwili, Wyatt, to staje się najgorętsza sprawa w kraju. Muszę to Andrei oddać. Nawet jeśli tego wszystkiego nie zaplanowała...

- O czym ty mówisz? - Hunt ze zdziwieniem usłyszał w swoim głosie złość. - Ona... Nikt tu niczego nie planował.

Obojętna maska Fairchilda nieco opadła.

- Znam twoją wersję. Farrell to samo mi wczoraj powiedział. Ale interesujące, że byłeś ostatnią osobą, która widziała Andreę w środe, a teraz znalazłeś również jej samochód. Co podpowiedziało ci, żeby, mając całe miasto, szukać właśnie tutaj? Może to, że przyjechałeś tu za nią, żeby odwieźć ją do kryjówki.

- Hej, Spence, uspokój się... - wtrącił się nagle Tombo.

- Sam się uspokój, Rich - producent nie ustępował. - To nie byłby pierwszy raz, gdy Andrea znajduje sobie faceta, by wpełznąć karierę na kolejny szczebel. Najpierw ja, potem może Wyatt... Wszystkich robią w konia, ta parka, i myślą sobie, że to jest cholerna zabawa - odwrócił się. - Co ty na to, Hunt? Prawda? Fałsz? Jakiś komentarz?

- Tak - odparł Hunt. - Oto mój komentarz: jesteś żałosny.

Każdy nerw w jego ciele nakazywał przywalić Fairchildowi, aż się nogami nakryje, ale zmusił się, by się odkręcić.

Fairchild podążył za nim kilka kroków.

- Jak ją zobaczysz, przekaz jej, że za daleko się posunęła. Stamtąd nie ma już powrotu! Już nigdy nie będzie pracowała w telewizji!

Niemal oślepiiony z wściekłości, Hunt siłą woli przeszedł przez drzwi lobby i doszedł do wind. Po kilku sekundach drzwi windy otworzyły się na czternastym piętrze i detektyw nadal miał niewielkie pojęcie, co go tu właściwie sprowadziło. To było coś więcej niż potrzeba ucieczki od obłąkanych oskarżeń Fairchilda - zdązał tu nim jeszcze ujrzał kamery na zewnątrz. Mocował się z logiką tego, co, jak sądził, wie o Andrei i co mógł przyjąć, co czuł. Bowiem, jeśli nie żyła, jak wszyscy się teraz obawiali, Hunt nadal w jakiś nieokreślony sposób czuł się, w pewnym stopniu, odpowiedzialny.

Oczywiście nie za śmierć, ale za ostatnie godziny jej życia, kiedy dobrowolnie przyjął rolę jej obrońcy. I kochanka. Czując ukłucie poczucia winy, po raz pierwszy pomyślał, że być może nieświadomie wykorzystał jej kruchość, jej bezbronność. Wtedy tak tego nie postrzegał. Ale nie chciał się oszukiwać - to mogła być faktyczna kolej rzeczy. Na samą myśl poczuł skurcze żołądka.

A potem, gdy ją zostawił, ktoś ją porwał i wyrządził jej straszną krzywdę.

Nie wierzył, w przeciwieństwie do Juhle'a, że zabiła Palmera i Rosalier, po czym odebrała sobie życie.

Nie wierzył, w przeciwieństwie do Fairchilda, że uknuła własne zniknięcie

jako trik mający na celu zdobycie sławy i rozgłosu.

Ze zdumiewającą pewnością Hunt wierzył, że wie, co się stało. A pewność ta - dopiero co rozkwitła, teraz, gdy nadzieja wszystkich na to, że Andrea żyje, ulotniła się - przetwarzała jego wewnętrzny krajobraz z powrotem w coś, co, jak sądził, już dawno porzucił, lecz teraz rozpoznawał jako jednocześnie przerażające i znajome.

Gniew, który niemal dosłownie zaślepił go na dole, nie został spowodowany przez brednie rozbrykanego palanta, jakim był Spencer Fairchild. Te bezmyślne głupoty skruszyły jedynie ostatni opór przed głęboką i trwałą wściekłością, którą, jak sądził, opanował cztery czy pięć lat wcześniej.

Wściekłość, która władała jego życiem od porzucenia jako dziecko, poprzez szereg domów zastępczych, aż w końcu zamieszkał z Huntami. Wściekłość, która napędzała jego pracę w Dywizji Dochodzenia Kryminalnego w Iraku, po czym doprowadziła go do ratowania dzieci, w końcu rozwijając się w ogólną wściekłość na świat, w którym pozostał, gdy odebrano mu Sophie i ich nienarodzone dziecko. Wszechogarniająca wściekłość na biurokrację, korupcję, nieudolność i nieskrywaną nikczemność ludzi, takich jak Wilson Mayhew. Wreszcie wściekłość, która swą mocą i intensywnością doprowadzała go niemal do łez. Co dzień, co noc nieustający i straszliwy gniew. Ponieważ świat zdawał się tak dużo obiecywać. A obietnica ta, tak często była kłamstwem.

A potem, gdy otworzył agencję i pracował już jakiś czas jako prywatny detektyw, jego wściekłość zaczęła stopniowo ustępować. Jego zajęcie było teraz pracą, nie powołaniem. Wyatt Hunt czytał, uprawiał sport, grał na gitarze, spełniał życzenia swoich klientów. Nie zamierzał dalej karmić gniewu swym wszechogarniającym pragnieniem, by prześcigać, naprawiać, opiekować się, kochać. Nieuniknione porażki - i zaczął wierzyć, iż przynajmniej częściowa porażka była zawsze nieunikniona - wryły na nim zbyt głębokie piętno. Zrezygnował z życia na tym poziomie i był zadowolony. Odsunięty na margines, być może nigdy zbyt mocno niezaangażowany. Ale zadowolony.

A teraz, nagle, jakby ktoś wyłączył dopływ energii, to wewnętrzne zadowolenie dobiegło końca. Dlatego czuł się tak dezorientowany u Farrella, tak rozkojarzony w drodze do Piersalla, tak bardzo niezdolny zmusić się do tego, co winno być smutkiem wobec myśli o śmierci Andrei. Nie był naprawdę smutny, nie był rozkojarzony, ani zagubiony. Z poczuciem strasznej radości zdał sobie sprawę, iż czuł czysty gniew - gniew z powodu niesprawiedliwości, który wcześniej niemal go pochłoniął, ale który dał mu również życiowy balast, chwile prawdziwego szczęścia i znaczenia.

Jeśli ktoś zabił Andree Parisi, rozdarł tym samym konstrukcję jego świata tak brutalnie, że ktokolwiek to był, zostanie postawiony przed oblicze sprawiedliwości. Nic innego nie miało znaczenia. Przyjmie każdą oferowaną

pomoc, ale nie cofnie się, jeśli będzie musiał zrobić to sam.

Drzwi windy otworzyły się i Hunt podszedł do pierwszego biurka po lewej stronie, gdzie młoda kobieta przestała pisać, aby na niego spojrzeć.

- Mogę jakoś pomóc? - spytała.

- Tak - odparł. - Muszę porozmawiać z Carlą Shapiro.

- Nie. Żadnych dowodów - powiedział Juhle.

Był w biurze Laniera, siedząc niezgrabnie z powodu temblaka. Shiu, jak zwykle, stał, krok za progiem, blisko zamkniętych drzwi, sztywno na baczność. Było to małe pomieszczenie z wielkim biurkiem. Miało trzy okna, dwa w ścianie za plecami Juhle'a, a jedno za Shiu. Żadne z nich nie wychodziło na poranne słońce prawdziwego świata. Wcale nie wychodziły na zewnątrz. Za oknem po stronie Shiu, jakieś milion mil od niego, Juhle dostrzegł czterech kolegów z wydziału wydurniających się i roześmianych.

Kiedy wrócił wzrokiem do wewnątrz, Lanier bynajmniej się nie śmiał.

- Żadnego dowodu? - powtórzył, pytając jednocześnie.

Juhle spojrzał na Shiu - żadnej pomocy.

- Może jeśliby pani Levin - sąsiadka Palmerów, przyjechała obejrzeć samochód Parisi, mogłaby go zidentyfikować.

Lanier stęknął, oparł się i odepchnął od biurka, aż zatrzymał się przy ścianie.

- Może by i mogła, co?

Juhle wzruszył ramionami.

- Marcel, mamy tylko poszlaki. Sześć czy siedem, które razem są bardzo przekonujące, jeśli chcesz znać zdanie moje i Shiu, a właśnie o nie spytałeś.

- Nie mamy żadnych innych podejrzanych, sir - powiedział Shiu.

- Dam ci radę, synu - odparł Lanier. - Jest to typ informacji, której nie chcesz raczej mówić na głos osobie, która pisze na twój temat raporty - odwrócił się do Juhle'a. - Ale Parisi?

Juhle ponownie wzruszył ramionami.

- Nie wymyśliłem tego, Marcel. Naprawdę myślę, że to zrobiła, próbowała przetrwać, udało jej się przez dzień czy dwa, po czym wina, wyrzuty sumienia czy cokolwiek innego, czujesz, zmusiły ją do samobójstwa.

- Ja nic nie czuję - powiedział Lanier.

- Wiem, ja też nie. Uczucia, znaczy. Nie czuję uczuć. Czuję ramię.

- Nie chce brać ibuprofenu - wtrącił Shiu.

- Brałem przez pierwsze dziesięć dni. Nie tylko mi nie pomógł, ale uszkodził mi żołądek.

- Powiem ci, co mnie szkodzi na żołądek - powiedział Lanier. - Szkodzi mi, gdy myślę o wyjściu przed wygłodniałych przedstawicieli mediów z

oświadczeniem, że sprawa zabójstwa sędziego federalnego George'a Palmera - czy powiedziałem sędziego federalnego? - zaledwie czwartego sędziego federalnego zamordowanego w całej historii Stanów Zjednoczonych...

- Naprawdę? - spytał Shiu. - Dopiero czwarty? O rety. Lanier zaryzykował krótkie, konspiracyjne spojrzenie na Juhle'a, mówiące: „Wiem, czemu nie-nawidzisz tego gościa”.

- Tak. Więc powiem tym szakalom, że rozwiązaliśmy sprawę, zamknęliśmy ślicznie w trzy dni. Mordercą jest Andrea Parisi. Ale musicie uwierzyć nam na słowo, bo nie mamy żadnego dowodu. Jak myślisz, Dev? Pójdą na to?

Juhle zrobił obrażoną minę - był skonany po kilku nieprzespanych nocach, a Lanier miał rację.

- Co mamy zrobić? Mógłbym pojechać do domu Andrei, poszukać włosów w umywalce czy coś, podrzucić je u sędziego...

- Nie możemy... - zaczął Shiu.

Juhle podniósł dłoń.

- Żartuję, Shiu. Spocznij.

- Ale żarty na bok - powiedział Lanier. - Już mamy trochę problemów - szczególnie ty, Dev, nie dostaniesz tu taryfy ulgowej. Cokolwiek znajdziecie, musi być stuprocentowe.

Oczy Juhle'a pociemniały gniewnie.

- Co to ma niby znaczyć? - rzucił szefowi wyzywające spojrzenie.

Lanier odepchnął się od ściany i podjechał do biurka, po czym oparł na nim rękę.

- A to mianowicie, że niektórzy ludzie zajmujący znaczące stanowiska, nie byli do końca przekonani, co do oczyszczenia cię z zarzutów wynikłych po tamtej strzelaninie.

Strzelanina z udziałem oficera, która kosztowała Juhle'a trzy miesiące zwolnienia administracyjnego, lecz w efekcie zakończona została uznaniem jego zasług.

- Cóż, jakby to ująć? Pieprzę ich.

Shiu bardziej się wyprostował, zacisnął szczęki. Nawet Lanier zdawał się skrzywić. Wulgarność tolerowana była w terenie, ale zastępca szefa policji Abe Glitsky tępił ją we wszystkich oddziałach, które pozostawały pod jego rozkazami. Nieczuły na to, Juhle nawet nie zwolnił.

- Mówię serio, Marcel. Kim oni są? Nie, wiem kim są. Może powinienem...

- Może nie, Dev. Może nic, okay? Obaj wiemy, kim są i że się mylą, i startujesz na policjanta roku, okay? Mam nadzieję, że ci przyznają. Może nawet ci się uda, jeśli w obecności Glitsky'ego nie będziesz zbyt często mówić pie-

przyć. Ale chodzi mi o to, że kilku zarządców miejskich ma posłuch u burmistrza i szefa. A to nie tylko największa afera świata, ale zęcnie przekonaliśmy FBI, żeby się trzymali z daleka, bo nie jest to sprawa polityczna. Jest więc w waszych rękach, was obu, i róbcie, co się wam żywnie podoba. Ale błagam, nie przychodźcie do mnie bez dowodów. Jeśli to Parisi, pokażcie mi coś na potwierdzenie. Lub przynajmniej coś, co wykluczy wszystkich innych.

- Chcesz, żebyśmy dowiedli poprzez wykluczenie? - spytał Juhle. - To może być podchwytliwe.

- Nie mądruj się, Dev. Wiesz, czego chcę. Chcę więcej. Jeśli Parisi, w porządku. Ale jeśli się nie myślę, to nie mamy nawet krewnych jednej z ofiar. Jakby ktoś chciał się przyczepić, to mogłoby to wyglądać na brak aktywności w dochodzeniu. Wyrażam się wystarczająco jasno? - spojrział na Shiu. - Naprawdę nie macie żadnych innych podejrzanych?

- Nie wiem, gdzie mielibyśmy ich szukać, sir.

- Nie wiesz. Nie wśród wszystkich bojów ze związkami? A ktoś, przeciw komu sędzia wydał wyrok? Może jego dziewczyna miała innego chłopaka? Czy przypadkiem żona nie ma siostry? Co robiła w poniedziałek wieczorem? Nic nie wiem o sprawie, a przychodzi mi do głowy kilkanaście pytań, których jeszcze nie zadaliście.

- Zadałem je, Marcel - powiedział Juhle. - Zadałem wszystkie przekłete pytania, które właśnie wymieniłeś i jeszcze kupę innych, których nie wymieniłeś. I żeby było jasne, to pojechaliliśmy do biura sędziego i spędziliśmy kilka fascynujących godzin, dowiadując się, że prowadził wiele spraw, w których wkurzał ludzi. Nie tylko CCPOA. I wierz mi, bez przerwy łążą mi oni po głowie. I pewnie mogę się mylić, ale dobra praca policyjna polega na podążaniu najsilniejszym tropem - przerwał, aby zaczerpnąć powietrza.

- I to, z całym szacunkiem, sir - wtrącił się Shiu - wygląda na Parisi.

Lanier podniósł ręce.

- Słyszałem. Przyjąłem do wiadomości. Ale tradycyjnie lubimy te małe powiązania, które tworzą łańcuch dowodowy, które może...

Juhle wysłuchał już wystarczająco i przerwał mu wstając:

- Chcesz, żebyśmy poszukali w innych źródłach, Marcel, pewnie zrobi się. Ale nie ma tam ani trochę więcej dowodów niż w przypadku Parisi. Będzie naprawdę wyglądało na to, że próbujemy osłaniać sobie tyłki.

Lanier odetchnął z rezygnacją.

- Znam gorsze rzeczy - powiedział. Wskazał na zamknięte drzwi swego gabinetu. - Informujcie mnie na bieżąco. Moje drzwi są zawsze otwarte.

23

Ogromne szylkretowe oprawki okularów Betsy Sobo nie nabrały Hunta. Nosząc te głupkowate szkła, zmierzwione popielate włosy, nieznacznym jedynie makijażem oczu i żadnej szminki, młoda pracownica działu prawa rodzinnego u Piersalla wyraźnie starała się uchodzić w życiu zawodowym za pospolitą, nawet za mola książkowego. Tego dnia nawet ubrana była w typowy mundur szkoły katolickiej: spódnicę w szkocką kratę i białą bluzkę, czarne legginsy i czarne, proste buty. Niezła próba, ale Hunt pomyślał, że nawet jeśli miałaby na sobie włosienicę i głowę posypaną popiołem, to przyciągałaby pełne uwielbienia spojrzenia.

Wstała, by go przywitać i uścisnąć mu rękę, po czym wróciła za swoje biurko. Hunt usiadł naprzeciw niej na składanym krześle, które było jedynym przedmiotem, jaki zmieścił się jeszcze w jej biurze, po tym jak upchnęła tam swój regał i dokumenty. Miała za sobą sześć stóp okna, które wychodziło na centrum miasta i dalej na wschód. Zgodziła się, aby Hunt nagrywał ich rozmowę.

- Rozmawiałam na ten temat wczoraj wieczorem - powiedziała - z kobietą. Też prawnikiem.

- Amy Wu?

- Tak sądzę. Chyba nie pomogłam jej za bardzo. Powiedziałam jej, że nie wiem, o czym Andrea chciała ze mną rozmawiać.

- Ale osobiście zadzwoniła, prosząc o spotkanie? Rozmawiałem właśnie z jej sekretarką i powiedziała, że ona was nie umawiała.

- Tak. Sama do mnie zadzwoniła.

- Żeby zapytać, czy mogłabyś poświęcić jej pół godziny swojego czasu?

- Zgadza się. Ale to byłoby na tyle. Powiedziałam, że pewnie. Hunt pochylił się do przodu.

- Carla twierdzi, że Andrea zadzwoniła do ciebie, tuż po lunchu z sędzią Palmerem, prawda? Więc tak myślę, że może nadmieniła o czymś, o czym jeszcze nie wiemy.

- Nie wiem, co mogłoby to być. I nie powiedziałyby tego Gary'emu - panu Piersallowi - w czasie ich spotkania?

- Może - zgodził się Hunt. - Ale nie wydaje mi się. Myślę, że chciała porozmawiać z tobą o czymś innym. Rozmawiałem wczoraj wieczorem z panem Piersallem i najwyraźniej tym ważnym tematem, o którym rozmawiali, był nakaz, którego podpisaniem groził sędzia. Zupełnie nie rozmawiali o związkowych.

- Ale ja nawet nie wiem, czy to o tym chciała ze mną rozmawiać. Tylko przypuszczam.

- Czy powiedziała coś konkretnego, co skłoniło cię do takiego przypusz-

czenia?

- Nie wiem - wciągając powietrze, Sobo położyła łokieć na biurku i oparła czoło na palcach lewej dłoni. Na chwilę zamknęła oczy. - OK - odezwała się, otwierając je. - Powiedziała, że Mike Eubanks - zwierzchnik naszego działu - kazał jej do mnie zadzwonić. A skoro Mike, to musiało chodzić o zasiłki.

- No i proszę.

- Dodała „Ta osoba, którą poznałam w czasie lunchu”. I potem zamilkła i powiedziała, że nie ma czasu, ale chodzi o grube ryby i nie chce nic zaczynać, dopóki nie będzie wszystkiego pewna od strony prawnej.

Przez dłuższą chwilę Hunt siedział bez ruchu.

- I chodzi tu o prawo rodzinne, tak? Powiedziała „Osoba, którą poznałam w czasie lunchu”. Te słowa?

- Tak myślę. Tak. Albo coś bardzo podobnego.

- „Poznałam”? Nie, „spotkałam się na lunchu”.

- Nie, powiedziałabym, że nie.

- A więc nie sędzia - to nie było pytanie. - Pozwól, że spytam: Biorąc pod uwagę całą pracę, jaką firma wykonuje dla związku, miałaś kiedyś do czynienia z takimi zasiłkami?

- Ja, osobiście? Rzadko. Zajmuję się raczej sporami o przyznanie praw do opieki albo sądowym ograniczeniem dostępu, takimi rzeczami. Wśród rodzin tych biednych strażników strasznie dużo jest rozwodów. Aż się wierzyć nie chce.

- Więc, jak sądziłaś? O co mogło chodzić Andrei? Sobo zastanawiała się przez chwilę.

- Może o jakąś rekompensatę z tytułu rozwodu w uposażeniu członków. Może wynagrodzenie prawników albo koszty doradztwa, żeby nie pochodziło z kieszeni tych ludzi i ich rodzin. Zakładamy sprawę, że prawdopodobną przyczyną rozkładu pożycia małżeńskiego jest stres związany z pracą - wzdrygnęła się. - Wygraliśmy takie sprawy już kilkakrotnie - stres w tej pracy jest morderczy. I to niemal dosłownie.

- Jestem tego pewien - powiedział Hunt. - Więc Andrea mówiła o grubych rybach?

- Myślę, że jakieś towarzystwa ubezpieczeniowe. Ale mogło chodzić o polityków dużego kalibru, może i gubernatora, jeśli chcielibyśmy spróbować zmienić przepisy.

- Więc nie było to nic dziwnego? Że Andrea chciała się z tobą spotkać?

- Absolutnie. To normalna procedura. Zdecydowanie.

Sędzia Oscar Thomasino był sędzią pokoju tego dnia na służbie i łatwiej dał się przekonać niż Marcel Lanier. Juhle'owi zajęło około czterdziestu pięciu

sekund wyjaśnienie Wysokiemu Sądowi, czego będą z Shiu szukać u Parisi w domu i dlaczego niezbędny jest nakaz i sędzia podpisał, nim Shiu skończył wypełnianie oficjalnego oświadczenia pod przysięgą.

Dwadzieścia minut później byli już w jej domu i stali nad kolekcją pistoletów. Szafka nie była zamknięta i Juhle zaczął jeden po drugim wyjmować, wahał je, po czym kładł na stole obok. Wszystkie były sprawne, iglice nie-naruszone; większość wyglądała, jakby całkiem niedawno je czyszczono, choć w osłoniętej szafce mogły nie zebrać kurzu przez miesiące, nawet lata. Ale nadal pachniały smarem. Wszystkich było dziewięć. Siedem w stylu Dzikiego Zachodu. Jednak, gdy Juhle zjrzał do luf obu pozostałych derringerów, od razu wiedział, iż nie były czyszczone od ostatniego wystrzału. I oba miały kaliber .22. Kazał Shiu zapakować małe pistolety i zabrać je do laboratorium balistycznego, aby porównali je z kulami z gabinetu Palmera. Przekonany, że znalazł wreszcie dowód, pozwolił sobie na nieco tupetu.

- Shiu, no chyba się cieszymy, że tu przyjechaliśmy, co? Aż mam ochotę zawieźć te maleństwa od razu do laboratorium i mieć wyniki dla Marcela jeszcze przed południem.

- Mogą nie być identyczne.

- Cóż, to się okaże. Ale powiem ci - czuję, że mamy szczęście.

Juhle zamknął szafkę, powoli przeszedł przez kuchnię, następnie przez salon i na korytarz, który prowadził do sypialni i łazienki, do której wszedł, włączając światło.

- Czego tu szukamy?

- Pamiątasz te taśmy, których nie chciałeś oglądać? - odparł Juhle znad kosa na brudną bieliznę. - TV Proces z poniedziałku?

- Przez chwilę grzebał, po czym wyciągnął charakterystyczną, purpurową bluzkę. - Poznajesz? Sądzę, że nie przebrała się po programie. Najpierw wróciła do biura, tak. A potem pojechała do sędziego i zabiła go mając na sobie tę bluzkę. No więc do wora z tym i do badania na obecność prochu i krwi. Założę się, że w szafie znajdziemy garsonkę, którą na sobie miała. A jak nam się poszczęści, to i buty.

Jim Pine pracował w West Sacramento.

Lubił przebywać blisko stolicy, by móc utrzymywać kontakt z lobbystami i legislatorami oraz kierować działaniami komitetów wyborczych, które były

na jego skinienie. Mając pod kontrolą dochód ponad dwudziestu milionów dolarów w rocznych składkach, był największym współautorem politycznej sceny Kalifornii - większym niż numery dwa i trzy, odpowiednio Kalifornijski Związek Nauczycieli oraz Philip Morris. W każdych wyborach CCPOA popierał od dwudziestu do czterdziestu prawodawców stanowych, dziesiątki kandydatów do władz lokalnych, nie wspominając o gubernatorze, wicegubernatorze, sekretarzu stanu oraz stanowym prokuratorze generalnym, niezależnie od przynależności partyjnej. Pine zjednoczył również politycznie zaangażowaną część związku strażników więziennych z trzema najpotężniejszymi szczepami Indian w Kalifornii i utworzył Niezależny Komitet Rdzennych Amerykanów i Strażników Więziennych, kolejny superpotężny komitet wyborczy, który miał swą siedzibę również w West Sacramento.

Przez lata CCPOA i popierający go ludzie, pod rządami i przewodnictwem Pine'a, występowali o coraz surowsze prawa, a wraz z nimi o coraz większe więzienia do pomieszczenia łamiących te prawa kryminalistów. Równocześnie Kalifornijski Departament Więziennictwa zwiększył się z trzynastu do trzydziestu jeden zakładów karnych, z całkowitą populacją stu sześćdziesięciu tysięcy więźniów i rocznym budżetem operacyjnym pięciu miliardów dolarów. I podczas gdy każdy z dwudziestu pięciu tysięcy strażników więziennych zarabiał przeciętnie pięćdziesiąt cztery tysiące rocznie, nie należało do rzadkości, by strażnik był w stanie zarobić ponad sto tysięcy dolarów, z nadgodzinami i zasiłkami chorobowymi.

Teraz jednak Pine nie był w West Sacramento, ale w gabinecie zarządzającego wspólnika jego kancelarii prawnej, u Piersalla w San Francisco. Po poniedziałkowym zabójstwie sędziego Palmera, uważał, że musi trzymać rękę na pulsie dochodzenia, jeśli ktokolwiek z władz chciałby się z nim skontaktować lub go przesłuchać. Wiedział, iż czasami dochodziło do widocznych animozji między sędzią i związkiem, i był tu, by nikt nie miał wątpliwości, co do prawdziwej natury ich kontaktów. Przez kilka ostatnich dni udzielił kilkunastu wywiadów starannie dobranym przedstawicielom mediów, zawsze przekazując tę samą wersję: George Palmer i Jim Pine byli, od czasu do czasu, przeciwnikami w życiu zawodowym, niemniej prywatnie się dogadywali. Chodzili na te same przyjęcia charytatywne i uroczystości i popierali często tych samych kandydatów politycznych. I dziś Pine weźmie udział w pogrzebie Palmera, ubrany w głęboką czerń.

Głównie po to, aby upewnić się, że stary skurczybyk naprawdę nie żyje.

Gary Piersall był również w czerni. Minionej nocy nie zaznał nawet czterech godzin spokojnego snu i siedział teraz naprzeciwko swojego klienta, popijając trzecią filiżankę espresso.

Za kilka minut mieli udać się wspólnie do Katedry Najświętszej Marii Panny. Pine miał sześćdziesiąt trzy lata, ale w garniturze wyglądał, jak zaw-

sze, na dziesięć lat mniej. Ważąc dwieście dwadzieścia funtów, przy sześciu stopach wzrostu, miał porządne czterdzieści funtów nadwagi, włosy ścięte na jeża i rumiane policzki chórzysty albo pijaka.

Ale jak na wesołą, optymistyczną osobę publiczną, Pine nie był szczęśliwy. Gdy wchodził do budynku, został niemal zaatakowany przez dziennikarzy - wszyscy zebrali się na ulicy, a nawet w holu, chcąc jakichś wieści na temat nowej teorii zniknięcia Andrei Parisi. Ponownie zaczęły krążyć plotki - że jej zniknięcie powiązane jest z zabójstwem Palmera i w jakiś tajemniczy sposób ze związkim.

Pine chciał wiedzieć, skąd się biorą takie historie i jak można je powstrzymać.

- To znaczy, Gary, co oni myślą? Że organizują morderstwa? Najpierw George, a potem Andrea? Chryste! Lubiłem starego skurczybyka. I uwielbiałem Andreeę. Naprawdę - spojrzał przez pokój. - Strasznie wyglądasz, Gary. Dobrze się czujesz?

- W porządku, Jim. Po prostu jestem trochę zmęczony tym wszystkim.

- Powiem ci tylko - nie pozwól, by ci na dole to zobaczyli. Chcesz sobie chlunąć wodą w twarz, śmiało. Jak tylko okażesz słabość, to już po tobie.

- Nie martw się o mnie.

- Za późno - wpatrywał się beznamiętnie w prawnika. - I martwię się o Andreeę. Masz jakieś pojęcie, co mogło się z nią stać?

- Żadnego.

- Jesteś pewien? Żadnych pomysłów? Przypuszczeń?

Piersall zmusił się, aby zachować niezachwiany spokój. Co Pine wyprawił? Chciał wy badać, ile wie? Sprawdzić jego lojalność?

- Myślę, że mogła się zabić, Jim. Chciała na fali tej TV Proces dojechać do Nowego Jorku, ale gdy się to nie udało...

- Więc nie sądzisz, że to prowadzi do nas?

- Do nas?

- Do mnie, ciebie, do związku?

- Nie - odparł Piersall. - Jak miałyby prowadzić? Jakim tropem? Pine oparł się, wzór spokoju, ale jego oczy były ostrzami o niemal kociej intensywności.

- Gary, moi ludzie słyszeli różne rzeczy.

W tym momencie Piersall postanowił, że regularne przeszukiwanie jego biura na obecność urządzeń podsłuchowych musi rozszerzyć na hol przed gabinetem. Jeśli Pine słyszał, co wyznał wczoraj Huntowi...

- Dziś rano było to już w sieci, na stronie TV Proces. Skąd oni biorą to całe gówno? Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że do wieczora będzie już wszędzie. Wiesz o czym mówię?

Piersall odkaszlnął, spróbował przełknąć trochę kawy.

- Próbowałem przebrnąć przez to bez szwanku, Jim. Ale ci przekłęci, nie-

odpowiedzialni dziennikarze, prześcigający się wzajemnie... Pojawia się w sieci i wiesz, że to niepowiązany stek bzdur.

- Pewnie, ale szybko poważne stacje też to podejmują. Mam na myśli to, że musimy traktować tę historię jako wartą najgłębszej pogardy.

- Co za historię...?

- Że Andrea coś wiedziała, a my musieliśmy ją uciszyć. To czysta histeria i nie chcemy jej przecież napędzać. Nie powinniśmy tego omawiać na żadnym poziomie.

- Nie mam zamiaru, Jim. To w istocie zasługuje na najgłębszą pogardę.

- Nigdy nie rozmawiała z tobą o czymś takim?

- Nie, o niczym nawet podobnym. Była całą sobą po stronie firmy, Jim.

- A ty jesteś po stronie firmy?

Piersall odstawił kawę, zdobył się na najspokojniejszy ton.

- Jestem po stronie firmy od piętnastu lat, Jim. Trochę boli, że musiałeś spytać.

Pine przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

- Okay. Tak tylko pytam, żeby się upewnić.

* * *

Gdy Hunt pojawił się niezapowiedziany u Carli, od razu zadzwoniła do Piersalla. Lubiła Wyatta, a szef powiedział jej, by współpracowała z detektywem na wszelki sposób. Poza tym wiedziała, że jest on po stronie Andrei, a więc również po stronie firmy. Uważali ją za ofiarę porwania i Piersall wyraził zgodę, aby Hunt miał wstęp wszędzie, gdzie chciał. Wszędzie.

I gdy tylko wrócił od Betsy Sobo, wahał się, próbując zdecydować, co zrobić dalej, aż powiedział jej, że chciałby rozejrzeć się w gabinecie Andrei. Coś mogło być w jej aktach, notatkach, na taśmach albo na sekretarce, niemal wszędzie, co stanowiłoby wskazówkę, co się z nią stało.

Pozwolić Huntowi na dostęp do osobistych rzeczy Andrei - Carla czuła, że wychodziło to poza granice. Zadzwoniła do pana Piersalla, żeby uzyskać na to zgodę, ale powiedziano jej, że jest w gabinecie z panem Pine'em i w żadnym wypadku nie wolno mu przeszkadzać. Zatem grała na zwłokę, najpierw mając problemy ze znalezieniem klucza, potem udając się do toalety, ale kiedy Piersall nadal był nieosiągalny, zajęty Pine'em, nie miała wyjścia.

- Dev. Tu Wyatt.

- Mów. Gdzie jesteś?

- Znowu u Piersalla. W gabinecie Parisi.

- Chyba żartujesz? Właśnie jestem w drodze, ale tkwimy z Shiu w korku. Jak to jest, że ja prowadzę tę sprawę jako glina, a ty już tam jesteś?

- Może to mój urok osobisty?

- Niemożliwe. Nie dotykaj nic.

Za późno. Ale musisz to zobaczyć.

- Myślałem, że nie uważasz Parisi za podejrzaną?

- Nie uważam. Bo nią nie jest.

- A to kłops, bo my akurat zakończyliśmy sprawę pozytywnie tym, co znaleźliśmy w jej domu.

- Tym lepiej dla was, ale nikomu bym się nie chwalił, dopóki nie zobaczysz tego, na co ja właśnie patrzę.

- W skażonym środowisku.

- Co to niby znaczy?

- To, że ty tam jesteś. Więc cokolwiek masz, nie może służyć jako dowód. Kto będzie w stanie stwierdzić, że tego nie podłożyłeś?

- Ja. Ale nawet, jeśli to zrobiłem, to i tak powinieneś to zobaczyć.

Hunt był w pomieszczeniu - naprawdę niewiele większym niż klitka - od niemal kwadransa, zaniknąwszy za sobą drzwi, a oto przed biurkiem Carli stał właśnie mężczyzna legitymujący się jako Devin Juhle, inspektor wydziału zabójstw, w towarzystwie szefa ochrony, i pytał o Wyatta Hunta.

Carla Shapiro pomyślała, że chyba umrze. To nie mogło się dziać naprawdę. Samodzielnie podjęła decyzję, by wpuścić Wyatta do gabinetu Andrei, a teraz policja przysłała po nią. Przez chwilę walczyła, żeby zaczerpnąć powietrza, po czym zdołała wybąkać:

- Nasz detektyw jest w biurze panny Parisi.

Wyraz twarzy inspektora bynajmniej nie zmniejszał jej przerażenia.

- To wiem - odparł. - Gdzie jest to biuro?

Carla stała, choć nie pamiętała, by się podnosiła. Zrobiła kilka kroków, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi. Inspektor był tuż za nią.

Siedząc w fotelu Andrei, za jej biurkiem, Hunt zamknął dolną szufladę po lewej stronie i podniósł wzrok.

- Gdzie Shiu?

- W drodze do laboratorium. Rozwiążemy tę sprawę raz na zawsze. Co mam obejrzeć?

Hunt podał mu przygotowany folder z szarego papieru. Inspektor położył go na biurku i otworzył. Wewnątrz znajdował się gruby na pół cala plik wycinków z gazet różnych rozmiarów oraz kilka wydruków wyglądających na strony internetowe. Carla zaryzykowała krok do środka, by zobaczyć nagłówki. Ten na samym wierzchu brzmiał: „Wypadek w czasie polowania - prokurator okręgowy nie żyje”.

Podczas gdy inspektor przekładał strony, Hunt mówił:

- Zauważ, że nie ma etykiety. Znajdował się pod wiszącymi folderami, z tyłu tej szuflady na akta. Pierwszy jest o Porterze Andertonie - był prokuratorem okręgowym, który prowadził sprawę przeciwko strażnikom w Avenal. Potem jest siedem opisów przypadków wandalizmu na siedziby komitetów wyborczych w całym stanie. Razem szesnaście artykułów. Cztery wypadki śmierci - wypadek Andertona, dwie ucieczki z miejsca wypadku, jedno samobójstwo. Każda z ofiar miała na pieńku z tym czy innym więzieniem. Prokurator, dwóch informatorów, lekarz - Hunt postukał w wydruki. - Jeśli nadal nie wierzysz w zbiegi okoliczności, to wpadła na coś.

- Zbierała materiały.

Hunt przytaknął. Jego oczy były tak lodowate, że niemal biło od niego zimnem.

- Może więcej niż tylko zbierała, Dev. Może tworzyła akt oskarżenia. Nawet już go stworzyła. I powiedziała niewłaściwej osobie.

24

Mickey Dade zameldował się w końcu w agencji i dodzwonił się do Hunta, gdy ten był jeszcze u Piersalla. Kiedy Hunt z Juhle'em wyszli z budynku, Mickey stał, zaparkowawszy na drugiego na ulicy. Hunt podał mu adres Staci Rosalier i kazał jechać. Przez większość drogi do jej mieszkania Juhle rozmawiał przez komórkę z Shiu, który nadal był w laboratorium. Byli zakorkowani i różnorodne testy mogły zatrzymać go tam przez większość popołudnia. Nie, nie zrobili jeszcze nawet balistyki. Obiecali, że to będzie pierwszy test. Tak, Shiu zadzwoni niezwłocznie, gdy będzie miał wyniki.

Odpowiedź Juhle'a była krótka:

- Shiu, posłuchaj mnie. Potrzebujemy tych wyników **teraz!** Użyj trochę cholernej władzy, dobrze? Jesteśmy z wydziału zabójstw, na rany Chrystusa. Sama góra łańcucha pokarmowego. Nakop im do tyłków. Zagroź, że ich wyjeją. Zrób coś! - zamknął telefon. - Idiota.

Mickey Dade i Juhle nigdy wcześniej się nie spotkali, i młody taksówkarz rzucił zaniepokojone spojrzenie najpierw na szefa, a potem na tylne siedzenie, gdzie siedział rozjuszony Juhle. Siedzący obok Mickeya Hunt, odwrócił się i rzekł:

- Straszysz mojego kierowcę.

- To następna sprawa - odparł Juhle. - Skąd masz czynnego, darmowego taksówkarza, który wozi cię, gdzie tylko chcesz, podczas gdy ja jestem inspektorem wydziału zabójstw i muszę jeździć stopem?

- To musi mieć jakiś związek z karmą - odpowiedział Hunt.

Ponownie dostali klucz od niezbyt skorego do współpracy pana Franksa i stali w windzie jadącej w górę. Był to niezbędny przystanek, wyjaśniał Juhle, albowiem krytyka Laniera, że jak dotąd nie znaleźli żadnego krewnego jednej z ofiar, nie była tak całkiem bezpodstawna. Powinni poczynić w tym zakresie jakieś postępy, choćby tylko dla podtrzymania wiarygodności. Więc wrócił, by zabrać duże, oprawione, choć rozmazane zdjęcie chłopca i przekonać jedną z gazet do opublikowania go z podpisem „Czy poznajesz tę osobę?”. Powiększyli zdjęcie, które Staci nosiła w portfelu, ale okazało się bezużyteczne. Juhle spytał, czy zdaniem Hunta, chłopiec ten nie powinien być jakoś spokrewniony ze Staci? Hunt wiedział.

- To jej brat.

- Skąd wiesz?

- Od Mary Mahoney. Kelnerki z MoMo...?

- Wiem, kim ona jest, Wyatt. Sam ci ją wystawiłem.

Hunt nie zamierzał się kłócić. Nie miał Juhle'owi za złe jego frustracji. W

przeciągu minionej godziny Juhle przeszedł od tego, co uważał za zamknięcie sprawy do całkiem nowej i coraz bardziej prawdopodobnej na jej temat teorii. Szczególnie, jeśli testy balistyczne nie będą zgodne i czuł, że wrócił do punktu wyjścia. I nie pomogło wcale, że nową teorią była ta, którą Hunt narzucał mu niemal od początku, a którą Juhle prosto z mostu odrzucił.

Hunt postanowił być pojednawczy.

- Zgadza się, to Mary zidentyfikowała Staci, prawda? Tak czy siak, powiedziała Tamarze, że to brat Staci.

- A imię?

- Nie, chyba nie powiedziała.

- Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt proste.

- Fakt.

Dojechali na czwarte piętro, przeszli korytarzem do mieszkania i Juhle otworzył drzwi. Zasłony, tak jak je z Shiu zostawili, były nadal rozsunięte i pokój był względnie jasny. Juhle poszedł prosto do stolika przy sofie, podniósł zdjęcie chłopca i, jakby ze spóźnioną reakcją, wpatrywał się w nie dłuższą chwilę, coraz bardziej marszcząc brwi.

- Co? - Hunt spytał, podchodząc.

- To ma być jej brat?

- Tak twierdzi Mahoney.

- Ile ma twoim zdaniem lat? Hunt spojrzał.

- Oceniając po tym zdjęciu? Powodzenia. To ty masz dzieci. Sześć?

- Tak samo bym powiedział. A ona miała dwadzieścia dwa?

- No i?

- No i czternaście lat. Niezły odstęp między dziećmi, nie wydaje ci się? Zdjęcie może mieć sześć, dziesięć, piętnaście lat. Mogą być wiekowo tak zbliżeni, jak Mickey i Tamara.

Mina Juhle'a zrzędnęła. Poruszył bolącym ramieniem, odetchnął ciężko i nagle niespodziewanie odwrócił się i siadł na sofie.

- Tracę rozum, Wyatt, Bóg mi świadkiem - powiedział. - Wiesz? Naprawdę.

- O czym ty mówisz?

Juhle uniósł dłoń i ścisnął dwoma palcami nasadę nosa.

- Ta cholerna strzelanina. Ta kanalia, którą zabiłem w zeszłym roku.

- No i co? Nie miałeś wyboru, Dev. Ocaliłeś życie kilku osób.

- Ta, ale nagle jestem najwyższą makówką.

- Co to niby znaczy?

- No wiesz, pole maków, jeden z nich wysoko wystaje i właśnie tego ścinasz. Od czasu tego... tego zajścia, wszystko, co robię, jest podawane w wątpliwość. Dziś rano Lanier znowu to wyciągnął, mówiąc, mniej więcej, iż gdybym to nie ja został przydzielony do sprawy Palmera, to wszystko byłoby

dla niego dużo łatwiejsze. Dla wszystkich. No i co mam zrobić? Wiem, że jestem pod lupą, nie? No i o tym myślę. W jaki sposób moje działania są odbierane - możesz w to uwierzyć?

- Nie przejmuj się. Po prostu rób swoje.

- Łatwo ci mówić. Próbowałem rano przekonać Laniera, że faktycznie rozważałem innych podejrzanych, co jest prawdą, ale nikt, za wyjątkiem Parisi, nie przyszedł mi do głowy. Mam wrażenie, że nie mogę zmusić mózgu do wysiłku, do jakiego był kiedyś zdolny.

- Pracowałeś nad tropem aż się okazał błędny, Dev. Taka twoja praca.

- Nie. Tu chodzi o coś więcej. Jak na przykład to zdjęcie - Juhle zmienił głos. - O serio? Może nie zostało zrobione niedawno. Może ma tak naprawdę dziesięć lat - podniósł wzrok na Hunta, mówił dalej normalnym głosem. - Jezu Chryste! Co się dzieje z moją głową?

- Twoja głowa ma się dobrze, Dev.

- Miło to słyszeć, ale nie siedzisz ze mną w mojej głowie, Wyatt. Sam siebie zaczynam podawać w wątpliwość. Połowa tej roboty opiera się na instynkcie, a ja niemal straciłem wiarę w swój. A to, oczywiście, powoduje, że zachowuję się jakbym był wszystkiego taki pewien, nawet gdy nie jestem lub nie powinienem być. Zżera mnie to.

Hunt podszedł do okna i stał tam przez chwilę, po czym wrócił i usiadł obok Juhle'a.

- Jeśli to cokolwiek pomoże - powiedział - to uważam, że nadal jesteś takim samym rewelacyjnym gliną, jakim zawsze byłeś. I jedyny sposób, w jaki przekonasz o tym ludzi, to gdy będziesz nim bez przerwy. Nie daj się zmusić do obstawania przy czymś, co może być nieprawdą. Dochodzenie trwa. Nie wiesz i nie możesz powiedzieć, dopóki nie będziesz wiedział. Wtedy twoja głowa nie będzie zaśmiecona tym całym gównem o pewności siebie. Po prostu rób swoje.

- On mnie atakował, Wyatt. Zabił Shane'a i otworzył ogień do mnie. Nie miałem żadnego wyboru.

- Wierzę ci. Podobnie jak każdy glina w mieście, włączając Laniera.

- Do tej pory budzi mnie to kilka razy w tygodniu. Widzę zbliżającą się dubeltówkę. Connie nawet próbuje przekonać mnie do wizyty u psychiatry.

- Nie zabiłoby cię.

- Może powinienem.

- Na pewno nie zaszkodzi.

Po chwili ciszy Juhle sprawdził godzinę.

- Pogrzeb - powiedział i wstał.

Jechali w górę Second Street, w drodze na Fifth i Mission, do siedziby „Chronicle” i tym razem Juhle siedział z przodu. Hunt odezwał się z tylnego

siedzenia.

- Hej, Mick, dobrze się czujesz?

- Świetnie, czemu pytasz?

- Ponieważ wiozłeś mnie już jakieś czterysta razy i jeszcze nigdy niejechałeś z prędkością zbliżoną do dopuszczalnej.

- Nigdy nie przekraczam dozwolonej prędkości, nie wiem o czym mówisz.

- Inspektor Juhle nie jest z drogówki - uspokoił go Hunt. - Zajmuje się tylko zabójstwami.

Ale Mickey Dade wiedział, że Hunt zdolny jest do tego typu kłamstwa - próbując zmusić go do przyspieszenia do sześćdziesięciu - żeby Juhle wlepił mu mandat, a on sam nieźle by się przy tym uśmieł.

- Serio? Nie wypisuje pan mandatów? Myślałem, że wszyscy gliniarze zajmują się wszystkim.

- Żartujesz? - spytał Juhle. - Drogówka zajmuje się ruchem drogowym. Ja jestem z wydziału zabójstw. Powiem ci szczerze, że mnie samego zatrzymują za przekroczenie prędkości albo przejechanie na czerwonym, albo inne cholerstwo, co miesiąc albo dwa.

- Spisują pana?

- Nie. Pewnie, że nie. Widzą odznakę i albo sobie odpuszczają, albo strzelam. Ale teoretycznie, jak nie jestem na światłach i z syreną, to albo jadę zgodnie z przepisami, albo mnie spisują. Tak jak ciebie czy każdego innego obywatela.

- Super - powiedział Mickey. - Ale serio?

- Słowo harcerza.

- Fajnie - i nim dojechali do kolejnego skrzyżowania, Mickey przyspieszył do czterdziestu pięciu.

* * *

Kiedy Mickey zatrzymał się przed siedzibą „Chronicle”, Juhle otworzył drzwi i spytał:

- Możesz zaczekać?

- Nie ma sprawy.

Juhle zniknął w drzwiach i Mickey spojrzał przez ramię.

- No i jak, podobały ci się zdjęcia? Manionowie mają boską chatę.

- Ach, tak, przepraszam. Powinienem powiedzieć ci, że to już nieważne. Zapłacę ci za czas, ale okazało się, że Juhle już z nią rozmawiał. Byłem zajęty i nie miałem nawet czasu do ciebie zadzwonić.

- Nie ma o czym mówić. Tak czy inaczej, uwieczniłem dom i wysłałem ci jpeg, do biura i do domu. Powinieneś je sobie obejrzeć.

- Obejrzę.
- Jak kiedyś zostanę sławnym szefem kuchni, to też będę miał taki dom.
- Mam nadzieję, Mick. Mam nadzieję.
- Niech to szlag! Niech to szlag!- stojąc na rogu Geary Street, na betonowym placu przed Katedrą Najświętszej Marii Panny, Juhle zatrzasnął telefon.
- Znowu Shiu? - spytał łagodnie Hunt.
- Wiesz, ile trwa test balistyczny, od a do zet? Jak masz pecha, to może godzinę. A wiesz, ile Shiu już czeka, żeby zaczęli? - Juhle spojrzął na zegarek. - Dwie i pół godziny.
- I myślisz, że powinieneś być pojechać z nim, użyć trochę władzy, jak to ująłeś, ale może i lepiej, że tego nie zrobiłeś. Ponieważ Andrea nie strzelała do sędziego ani nikogo innego, te testy i tak nie dadzą ci tego, czego oczekujesz, a wtedy byłbyś naprawdę wściekły. Poza tym, jeśli byś tam pojechał, nie przyjechałbyś do gabinetu Andrei, a wtedy jaka byłaby twoja pozycja? Nadal uważałbyś ją za podejrzaną. A tak, jesteś tu i masz prawdziwą szansę sprawdzić, a może i porozmawiać z kimś, kto mógł być zamieszany w sprawę, którą próbujesz rozwiązać.

Przez kilka minionych dni Hunt zaczynał spodziewać się ekip telewizyjnych wszędzie, dokąd się wybierał. Oczywiście wszystkie programy lokalne oraz kilka kablowych były ponownie obecne, choć wyglądało na to, że TV Proces z jakiegoś powodu zdecydowała, iż nie musi transmitować na żywo pogrzebu Palmera.

Na chmary zjeżdżających się żałobników padało co jakiś czas słońce. Juhle trzymał się początkowo na peryferiach, robiąc rozeznanie terenu, niemniej wkrótce przepchnął się do Hunta, który zapinał płaszcz w ochronie przed nieprzerwanym wiatrem, po czym obaj zaczęli powoli iść w dół szpaleru minikamer.

Hunt ocenił tłum na dwieście, trzysta osób. Rozpoznał sporo przedstawicieli miejscowej elity i kłębiący się wokół nich tłum, prawdopodobnie liczący na to, że ktoś poprosi ich o wywiad - życie jako jedna, wielka sesja zdjęciowa. Zatrzymali się i przez chwilę słuchali jak burmistrz, Kathy West, wychwala blondynce z Kanału 4 cnoty sędziego Palmera. Komendant Policji Frank Batiste prowadził falangę wyższych oficerów wystrojonych w konserwatywne mundury aż do wejścia do katedry. Kobieta, która, z tego co Juhle wiedział, sama była sędzią federalnym, opowiadała jakąś anegdotę umięśnionemu prezynterowi z Kanału 7.

Oczywiście stałym strumieniem napływała masa cywili. Juhle dostrzegł żonę sędziego, Jeannette, i jej siostrę Vanesse, która była ekstrawagancka nawet w czerni. Dalej sekretarka Palmera i jego asystent.

Przez chwilę uwagę Juhle'a przyciągnęła starsza para. Znał ich. Miał to na końcu języka... Pstryknął palcami, mówiąc:

- Carol Manion i, jak sądzę, małżonek.

Hunt zauważył Dismasa Hardy'ego - w czarnym garniturze w prążki, w którym nie przypominał barmana - w towarzystwie pięknej, rudowłosej kobiety oraz dwóch współników, Wesa Farrella i Giny Roake. Farrell skinął mu ponuro.

Przy jednym z vanów Hunt zobaczył Gary'ego Piersalla, stojącego z rękoma w kieszeniach - wyglądał jak żywy trup. Po cichu wprowadził Juhle'a i gdy podeszli do Piersalla, Hunt dotknął lekko jego ramienia.

- Dzień dobry, panie Piersall.

- Panie Hunt. Inspektorze... Juhle, zgadza się? - Piersall wyciągnął dłoń. - To smutny dzień - oświadczył. - Śledztwo dobrze idzie?

- Mogłoby lepiej - Juhle wskazał ruchem głowy osobę stojącą przed nimi i udzielającą wywiadu. - Kto to?

- Jim Pine - odparł Piersall. - Mój klient. Znał sędziego. Hunt spojrział na niego z ukosa, sprawdzając, czy to miał być żart. Ale nie, taką przyjęli wersję oficjalną na ten dzień. Hunt zdał sobie sprawę, że Piersall nie zamierza przepytować go na temat tego, co znaleźli w biurze Andrei.

- Jest prezesem związku strażników więziennych, prawda? - spytał Hunt, informując w ten sposób Juhle'a.

Piersall rzucił szybko okiem na obu mężczyzn.

- O czym mówi? - spytał Juhle.

- Najwyraźniej jakieś nieodpowiedzialne osoby starały się wykazać powiązanie pomiędzy śmiercią sędziego i pewnymi niedawnymi działaniami, jakich podjęcie rozważał on w związku ze sprawami strażników. Pan Pine dementuje te spekulacje jako, naturalnie, absurdalne.

- Doprawdy? - odezwał się Juhle. - To pańskie stanowisko? Bo muszę panu powiedzieć, sam co nieco o tym słyszałem i mnie się nie wydaje takie absurdalne. Szczególnie biorąc pod uwagę obecną sytuację Andrei Parisi.

- Cóż, inspektorze, jeśli w tym kierunku wiedzie pańskie dochodzenie, to nic dziwnego, że nie idzie ono panu zbyt dobrze. A teraz, jeśli panowie wybaczą, wygląda na to, że pan Pine skończył i powinniśmy udać się do środka - Piersall rzucił Huntowi ostatnie spojrzenie i przeszedł obok niego, by dołączyć do swego klienta.

- Daj mu spokój - wyszeptał Hunt, zmuszając Juhle'a, aby szedł obok niego. - To przedstawienie na cześć Pine'a. W miejscu publicznym musi zgrywać dobrego adwokata. Wczoraj w nocy powiedział mi, że się śmiertelnie boi.

- Pine'a?

- Nie zatrzymuj się. Tak, Pine'a.

Gdy światło zapaliło się Juhle'owi w głowie, zatrzymał się.

- Widziałeś się z nim wczoraj. Tak znalazłeś samochód Parisi. Byłeś tam z

innego powodu.

- Byłem tam z powodu tego, co znalazłem dziś rano, Dev. Ale nie wiedziałem tego wczoraj, więc wczoraj tego nie znalazłem.

- Muszę zamienić parę słów z panem Pine'em.

- I myślisz, że będzie z tobą rozmawiał?

- Jestem gliną, Wyatt. Tak jakby miał jakiś wybór.

- Obwaruje się adwokatami. Już to zrobił. Strata czasu. Wiesz to, tak dobrze jak ja.

- Masz lepszy pomysł?

- Wiesz co - odparł Hunt. - Myślę, że tak.

Zdecydowali się sprawdzić zbiegłego więźnia.

Zaletą San Quentin było to, że zajmuje spory obszar wybrzeża i ma widok na port. Juhle opowiadał Huntowi, że dobry deweloper mógłby zbić tu fortunę, stawiając apartamentowce i ekskluzywne centrum handlowe, przystań z restauracją na wodzie. Największe obecnie budowle na terenie - olbrzymie, wyglądające jak fabryki, kwadratowe konstrukcje z betonu zbudowane wokół wewnętrznego podwórza - trzeba by, oczywiście, zburzyć i będą musieli znaleźć jakiś sposób na oczyszczenie złej karmy, która nagromadziła się tam przez dziesięciolecia, gdy w budynkach więziono, karmiono, strzeżono i zabijano więźniów. Ale gdy to będzie już za nimi:

- Dadzą mu jakąś fantazyjną nazwę. Yuppie ustawią się w milowych kolejkach, żeby brać udział w przetargu. Hej, „Q nad H₂O”! Łapiesz? Same litery?

- Łapię. Minąłeś się z powołaniem, Dev. Serio.

Miłą wcześniej zjechali z głównej drogi - Hunt za kierownicą - i stanęli w zaskakującej, aczkolwiek krótkiej kolejce pojazdów czekających przed budką strażnika przy bramie wjazdowej. Trzysta jardów w głąb za zespołem budynków administracyjnych ujrzeli wejście do samego więzienia. Stanowisko strażnika, podwójne ogrodzenie, drut kolczasty.

- Jak ktokolwiek może stąd uciec?

- Trafne pytanie. Jesteśmy tu, by się tego dowiedzieć.

W drodze Juhle zadzwonił do biura dyrektora, aby zapowiedzieć ich wizytę - jako inspektor wydziału zabójstw wykonujący swe obowiązki, szczególnie jeśli sprawa była znacząca, miał teoretycznie dostęp do wszystkiego - więc identyfikacja i wpisanie u strażnika zajęło im tylko chwilę.

Było wczesne piątkowe popołudnie i połowa parkingu po lewej stronie wypełniona była samochodami odwiedzających - żony, dziewczyny, dzieci, prawnicy. Hunta skierowano jednak na prawo, do budynku administracyjnego, gdzie zaparkował na miejscu dla gości. Gdy wysiedli z samochodu, uderzył ich wiejący znad zatoki zimny i przenikliwy wiatr.

Dyrektor Gus Harron uosabiał poważną, biurokratyczną kompetencję,

przystającą komuś, kto kierował instytucją o rocznym budżecie przekraczającym sto dwadzieścia milionów dolarów. W San Quentin siedziało ponad pięć tysięcy więźniów, niemal dwukrotnie więcej niż powinno i zatrudnionych było łącznie około tysiąca pięciuset strażników i innego personelu. Harron miał na sobie szary garnitur, białą koszulę, ciemnoszary krawat. Był masywny, ale bez grama tłuszczu. Okulary bez oprawek zdawały się wzmacniać, już i tak władcze oblicze, niemniej jednak obszedł biurko i dość sympatycznie się przywitał, po czym usiadł na kanapie pod jednym z okien, prosząc Juhle'a i Hunta, by zajęli stojące naprzeciwko krzesła.

- Czy dobrze zrozumiałem, inspektorze? - zaczął. - Pracuje pan nad sprawą zabójstwa Palmera?

- Zgadza się. A pan Hunt jest prywatnym detektywem, który prowadzi śledztwo dla jednego ze swych klientów - kancelarii adwokackiej Piersall-Moiton - które krzyżuje się w kilku punktach z moim własnym - zrobił pauzę. - Andrea Parisi pracuje dla Piersalla.

Harron oparł się, założył nogę na nogę, dając do zrozumienia, że intuicja podpowiadała mu możliwe powiązania.

- I w jakiś sposób oba dochodzenia mają związek z San Quentin?

Juhle poruszył się nieznacznie.

- Nie mamy całkowitej pewności. Chcemy dowiedzieć się wszystkiego co możliwe na temat zbiegłego stąd w miniony poniedziałek więźnia.

Życzliwość zniknęła z twarzy dyrektora.

- Arthur Mowery. Mój pierwszy zbieg od sześciu lat. Musicie się panowie skontaktować z personelem Departamentu Więziennictwa, prowadzącym śledztwo w tej sprawie. Mogę zapewnić, iż przeprowadzone zostanie wyczerpujące dochodzenie i sporządzone sprawozdanie z tego, co się stało.

- Według prasy wyszedł na papierosa i zwyczajnie stąd wymaszerował - Juhle naciskał nieco. - Ciekawi nas, czy zna pan jakieś szczegóły.

Harron postawił obie stopy na podłodze i pochylił się w przód.

- Proszę posłuchać. Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Zbieg to najgorsze, co może spotkać dyrektora więzienia, a teraz oczekujecie, panowie, ode mnie, że jeszcze doleję oliwy do ognia, łącząc tę ucieczkę z zabójstwem sędziego federalnego.

- Nie wiemy, czy są powiązane - powiedział Juhle. - Bylibyśmy wdzięczni, gdyby mógł pan wykluczyć taką możliwość.

Harron zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Ale jak, nawet teoretycznie, Mowery ma być związany z morderstwem Palmera?

- Czytaliśmy artykuły na temat możliwości, że związek wykorzystuje więźniów na zwolnieniach warunkowych do różnych zadań.

- Jakich zadań?

- Bojówki. Wymuszenia. Wandalizm.

- Mowery wrócił za naruszenie warunków zwolnienia - dodał Hunt. - Gdy wyszedł za pierwszym razem, został zatrudniony przez związek.

Harron zmrużył oczy.

- I co?

- I inspektor Juhle, i ja sam pomyśleliśmy, że warto by pana zapytać, czy słyszał pan może, że Mowery wrócił, bo sprzeciwił się wykonaniu poleceń.

- Jakich poleceń?

Juhle wzruszył ramionami.

- Zabicia Palmera, na przykład. Twarz Harrona skamieniała.

- Bzdury - nagle wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał. Następnie zamknął je i wrócił na miejsce. Gdy się odezwał, mówił ledwo słyszalnym szeptem. - To niemożliwe. A nawet jeśli ta teoria jest możliwa, to nikt nie zgłosiłby ucieczki Mowery'ego.

- Chyba, że uciekł samodzielnie - odparł Hunt. Juhle nie naciskał. - Chcielibyśmy tylko znać trochę więcej detali na temat tej ucieczki. Może była akurat jakaś niespodziewana zmiana między strażnikami. Ci, którzy mieli go

ochroniać, nie zdążyli na czas do nowych strażników...

- Wszyscy więźniowie muszą być w celach w czasie ich zamykania, inspektorze. Nie ma wyjątków. Jeśli kogoś brakuje, jest to natychmiast zgłaszane. Jak miało to miejsce w tym przypadku - spojrzał ostro na Juhle'a, kręcąc lekceważąco głową. - Proszę posłuchać. Ci ludzie, więźniowie, nie wychodzą wykonywać zadania.

- Zdajemy sobie z tego sprawę, sir - powiedział Hunt. - Ale aż do minionego weekendu Mowery był na zwolnieniu warunkowym.

- Okay. No i?

- I może wrócił, ponieważ odmówił wykonania zadania - wyjaśnił Juhle.

- W więzieniu czy na wolności, to nie są pracownicy najemni, panowie. To psychopaci. Nie dotrzymują umów i nie przestrzegają zasad. Jeśli się wydestaną, to się ukrywają, aż ich znajdziemy. Nigdy nie wracają z własnej woli.

Hunt wiedział, że to oczywista i poprawna odpowiedź. Było to również wyrachowanie. Ale wszyscy w pokoju wiedzieli, co pominięte zostało milczeniem - że każde więzienie miało dobrze prosperujący czarny rynek handlu papierosami, alkoholem i narkotykami, że kontakty seksualne, nie tylko pomiędzy więźniami, ale również strażnikami i więźniami, nie były aż takie rzadkie, że „śluby” z rozsądku, dla ochrony lub nawet z miłości, mogły uczynić życie w więzieniu lepszym niż to na zewnątrz; że strażnicy mogli pobić więźnia na śmierć i nigdy nie zostać pociągniętym do odpowiedzialności; że omerta - zmowa milczenia - była żelazną zasadą wszystkich strażników we wszystkich więzieniach stanu.

Jakiegokolwiek wykroczenia miały miejsce i podlegane były przez kilku skorumpowanych strażników - pranie brudnych pieniędzy, prostytutka, handel narkotykami, morderstwa - niebezpieczeństwo i nuda codziennej pracy oraz stopień wzajemnych zależności pomiędzy tymi mężczyznami gwarantował, że żaden strażnik nie zgodziłby się zeznawać przeciwko jednemu ze swoich. Zły strażnik to zły strażnik, fakt, ale w pierwszej kolejności to brat.

A na brata się nie donosi. To kultura. Hunt, Juhle i Harron wiedzieli, że ucieczka Mowery'ego mogła zostać zaplanowana i wykonana.

- Niemniej - odezwał się Juhle - w chwili obecnej nie mamy wyjścia, ale uznać musimy Mowery'ego za potencjalnego podejrzanego w tym dochodzeniu.

- Niech pan robi, co pan chce - odparł Harron. - Ale niech mi pan odpowie: czy w którymkolwiek z tych artykułów była mowa o San Quentin?

- Nie. Corcoran, Avenal, Pelican Bay, Folsom, jeszcze kilka, ale nie San Quentin.

- Chciałbym móc wierzyć, iż nic z tego, co pan sugeruje, nie mogłoby się wydarzyć w czasie mojej służby.

- Tak, oczywiście.

- Przeprowadziliśmy już, naturalnie, dochodzenie wstępne. Przeszedł do biurka i podniósł leżący na nim folder. Rozluźnił ramiona. Przejechał otwartą dłońią po głowie.

- Nie mogę dać panom całości, ale o jakie szczegóły wam chodzi?

- Niech pan nam powie - odparł Juhle.

Harron usiadł i rozłożył dokumenty. Poprawił okulary, jednak nim opuścił wzrok, podniósł na chwilę oczy i patrzył przed siebie.

- Dwukrotne złamanie warunków zwolnienia przez Mowery'ego jest interesujące w tym kontekście, prawda? - wrócił do dokumentów, przewrócił kilka stron, przesunął po blacie wydruk z komputera. Juhle i Hunt stanęli przy biurku.

- Trzykrotnie spisany za napaść - powiedział Harron. - Aktywny członek BA - Bractwa Aryjskiego - uważany za „wojownika”. Zamieszany w jedno śmiertelne zranienie nożem w więzieniu. Brak chętnych świadków, zatem brak postępowania. Pięć tysięcy na koncie. Prawdopodobnie przepukstwo lub wymuszenie, albo jedno i drugie.

- Ma zatem pieniądze - powiedział Hunt. - Co oznacza połączenie z ludźmi na zewnątrz.

Juhle spojrział na wydruk.

- Najwyraźniej dobrze się sprawował przez osiem lat.

- Tak - powiedział Hunt. - Albo jego kurator miał powód, by nie zgłaszać złamania warunków zwolnienia.

Juhle spojrział na dyrektora.

- Nie ma pan tam przypadkiem nazwiska adwokata Mowery'ego?

Harron przewrócił kilka stron, znalazł przyczepioną do jednej z nich wizytówkę.

- Siedem lat temu był nim Jared E. Wilkins. Trzeci, żeby nie było niedomówień - podał mu wizytówkę.

Juhle podniósł ją, zerknął i pokazał Huntowi.

- Sacramento.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- W jaki sposób zbir z San Francisco zatrudnia prawnika z Sacramento? - spytał Hunt. Wyjął komórkę i kierując się przeczuciem, wybrał numer z wizytówki. - Z panem Wilkinsem. Jim Pine. Tak, wiem, walczę z przeziębieniem - Hunt zamknął telefon i podał go Juhle'owi. - Prawnik Mowery'ego zna Pine'a.

Harron nie zamykał ust, jakby jego szczęki się zablokowały. W końcu zmusił je do poruszenia.

- Jeśli coś z tego wyniknie, inspektorze - powiedział - to proszę mnie uprzedzić, tak między nami.

- Jeśli coś z tego wyniknie, dyrektorze, cały świat będzie o tym wiedział.

Kto jest kuratorem Mowery'ego, kto go dwa razy wsadził?

W odpowiedzi Harron znalazł odpowiednią stronę i powiedział bez tchu.

- Skurczysyn - zdjął okulary i potarł oczy. - Phil Lamott.

- Coś to panu mówi - powiedział Juhle.

Dyrektor przytaknął.

- Poznaję nazwisko. Zaczynał karierę tutaj, na początku lat dziewięćdziesiątych. Jako strażnik.

25

Podchodzili do samochodu, gdy odezwał się telefon Juhle'a. Zdjął go z paska po pierwszym dzwonku, spojrzął na numer i odezwał się do osoby na drugim końcu linii.

- Mów, Shiu. Uczyń mnie szczęśliwym.

Rozmowa nie przyniosła jednak tego efektu. Wysłuchawszy mniej niż minutę, w czasie której kiwał głową w przód i tył, powiedział:

- Wychodzimy właśnie z Wyattem Huntem z San Quentin. Nie, nie z więzienia, Shiu. San Quentin, lokal serwujący burgery. Nie znasz? Nieopodal Cliff House. Świetne frytki. W każdym razie możliwe, że mamy nowy trop. Wyatt podrzuci mnie do Pałacu, wtedy ci opowiem.

- Niech zgadnę - powiedział Hunt, gdy Juhle zamknął telefon. - Testy balistyczne nie wykazały zgodności.

- Nienawidzę tego faceta - odparł Juhle.

W czasie drogi powrotnej do miasta Juhle wykonał jeszcze kilka telefonów, aby sprawdzić, czy Andrea albo Mowery pojawili się. Nie, żadne się nie pojawiło.

- To był Jeff Elliot - odezwał się Juhle, gdy skończył kolejną długą rozmowę, w czasie której zadał kilka pytań, ale zasadniczo milczał - „City Talk”? - Była to popularna kolumna w „Chronicle”, która często zajmowała się kwestiami prawnymi oraz osobami mającymi do czynienia z prawem zawodowo.

- Dobrze go znam. Co miał do powiedzenia?

- Ogólnie rzecz biorąc wszystko. Ale zapytałem go - słyszałeś - co facet musi zrobić, żeby wrócił do więzienia za złamanie warunków zwolnienia? Nie wiesz? Wystarczy, że jego kurator tak powie, koniec, kropka. Zapalił jointa. Spotkał się z niewłaściwą osobą. Nie potrzeba nakazu ani dowodu. Przeprowadza się jakieś przesłuchania? Coś do czynienia z sędzią lub ławą przysięgłych albo prawnikiem?

- Zgaduję, że nie.

- I dobrze zgadujesz. Więc łamiący przepisy więzień, wraca do więzienia i co się dzieje?

- Urządzają mu wielkie przyjęcie powitalne?

- Tak. Balony i cała reszta. Ale potem, w ciągu czterdziestu pięciu dni, więzień staje przed komisją wykroczeń złożoną całkowicie ze strażników więziennych i zgadnij ile, procentowo, razy utrzymują złamanie warunków w mocy?

- Sto dziesięć?

- Blisko. Dziewięćdziesiąt dziewięć i pół. No więc nasz nieborak dostaje do roku więcej za naruszenie warunków zwolnienia. I można to ciągnąć aż do trzech lat, nawet jeżeli zostałeś pierwotnie skazany na rok. Można składać apelację? Jasne. Zajmuje osiem miesięcy i daje pozytywny rezultat w połowie procenta przypadków. Jeden na dwustu.

- Elliot zamierzał napisać o tym książkę, czy coś? - spytał Hunt.

- Trafilem na jego dobry dzień. Niemal mi ucho odpadło. Powiedziałem ci, że on wie wszystko. Chcesz więcej faktów?

- Musi być na temat związku? Chciałbym znać głębokość jeziora Tahoe.

- Za głęboko, żeby nurkować do dna. Tylko tyle musisz wiedzieć. Oto twoje ostatnie prawdziwe pytanie. Ilu więźniów w więzieniach Kalifornii siedzi za złamanie warunków zwolnienia? Pytam w procentach.

- Dziewiętnaście?

- Pięćdziesiąt.

- To tak jakby połowa.

- Zgadza się.

- No to więcej niż dziewiętnaście procent?

- Dużo więcej, Wyatt. Dużo więcej.

Juhle musiał poczekać na Shiu, ale Hunt miał własny transport i własny grafik, i nie zamierzał już na nikogo więcej czekać, nie wtedy, gdy czuł, że są coraz bliżej. Podrzucił Juhle'a do Pałacu Sprawiedliwości na Bryant, po czym skręcił i pojechał w górę Mission, gdzie naśladowując najlepiej, jak potrafił technikę Mickeya Dade'a, skręcił w lewo. Biura kuratorów 1-3 oddalone były o zaledwie sześć przecznic, a jeśli Phila Lamotta nie było tam, to numer cztery nie był zbyt daleko. Zrobiło się popołudnie, między czternastą trzydzieści a piętnastą, niemal dokładnie siedemdziesiąt dwie godziny odkąd wyszedł z domu Andrei. Przpracowawszy sporą część swego życia w miejskiej biurokracji, Hunt wiedział, że szansa jest całkiem realna, iż kuratorzy sądowi, jak jego niegdysiejsi współpracownicy z SOD, byli w piątkowe popołudnia w pracy, próbując uporać się z robotą papierkową przed weekendem.

Z bliska Hunt ocenił Lamotta jako swego równolatka. Jak na policyjne standardy jego płowe włosy były nieco za długie. Przeszedł kiedyś przez paskudną postać trądziku i teraz starał się zamaskować blizny, raczej bez powodzenia, krótką, ale postrzępioną brodą i rzadkimi wąsami. Pochylony był nad olbrzymią maszyną do pisania, istnym dinozaurom, z boku zabałaganionego biurka, stukając, wypełniając jakiś oficjalny formularz.

- Oficer Lamott?

Jego palce zamarły. Odwrócił głowę.

Hunt bezzwłocznie rozpoznał wyraz twarzy z czasów pracy w SOD - niech to lepiej nie oznacza dodatkowej pracy, bo od weekendu dzieli mnie tylko kilka godzin.

- Tak. Jak mogę pomóc? - nie odwrócił się do gościa, nie podał ręki. Hunt przedstawił się, pokazał identyfikator. Wyjaśnienie jego pracy, jakie Juhle podał dyrektorowi Harronowi było dobre z uwagi na oficjalny ton, więc ponownie go użył.

- Pracuję dla kancelarii prawnej Piersall-Morton, próbując zlokalizować jedną z ich prawniczek, która zaginęła.

- Andrea Parisi - powiedział Lamott.

Nadal było o tym głośno.

- Zgadza się.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Nic. Ale Arthur Mowery może mieć.

To przykuło jego uwagę. Dał sobie spokój z pisaniem i odwrócił się.

- Co to ma niby znaczyć?

Hunt zdał sobie sprawę, że aby scenariusz, który starali się udowodnić, miał jakikolwiek sens, musiał podać Lamottowi trochę tych samych szczegółów, które podał już Harronowi. Nie był na to przygotowany z kilku powodów, z czego najmniejszym nie był ten, że jakakolwiek teoria spisku pomiędzy członkami CCPOA zakładała zмовę, jeśli nie samego Lamotta, to kogoś na analogicznym stanowisku.

A więc nie wdawał się w detale, ominął jakiegokolwiek powiązania z morderstwami Palmer/Rosalier.

- Policja uważa go obecnie za osobę potencjalnie zamieszana w jej zniknięcie.

- Arthur? Znał ją?

- Miałem nadzieję, że pan mi to powie. Jak się domyślam, to pan wsadził go dwa razy za naruszenie warunków zwolnienia.

- Tak, to byłem ja. Obydwa razy.

- Co zrobił?

- To, co zwykle. Naćpał się. To kokainista, ale to pewnie już pan wiedział. Mówi pan, że on miałby porwać Parisi albo coś takiego?

- To musi być opinia policji. Od nich to wiem.

- Rozmawiają z prywatnymi detektywami?

- Próbuję ją znaleźć. Oni próbują znaleźć jego. Współpracujemy.

- Podali jakieś powody? Jakies dowody?

- Mnie nie i z tego, co wiem, nie mają.

Lamott pociągnął za jeden wąs, potem za drugi. Ścisnął dolną wargę.

- No więc na czym opierają swoje zainteresowanie? Meldował się skądś?

Hunt udawał niewiedzę. Zadawał swoje pytania.

- Wiedziałem, że przez osiem lat sprawował się dobrze.

- Ożenił się i to go trochę uspokoiło. Przeniósł się na El Dorado Hills, czy jakoś tak, żył jak normalny obywatel, aż parę lat temu żona go zostawiła.

- Nie jest to trochę dziwne? Facet z jego kartoteką? Szczególnie biorąc pod uwagę przemoc. Można by się spodziewać, zgłoszenia przemocy w rodzinie, nieprawdaż?

- Może nie. Ludzie łagodnieją - Lamott wzruszył ramionami. - Zdarza się. Przeszają brać, mają się dobrze. Ale ma pan rację, tak czy inaczej Arthur jest agresywny.

- Ma w aktach usiłowanie zabójstwa. Ostatnim razem, gdy go pan aresztował - w niedzielę, tak? - też miał przy sobie broń. Rozumiem, że w więzieniu wpakował się w jakieś gówno. Naprawdę wierzy pan, że przez osiem lat był czysty?

- Tak, wierzę. Mniej więcej.

- Widywał go pan w tym czasie?

- Kilka razy. Jak powiedziałem, przeniósł się do Sacramento, więc tam się meldował.

- I nigdy nie złamał warunków zwolnienia.

- Najwyraźniej nie.

- Aż tu wrócił i wtedy go pan wciągnął z powrotem.

- Zgadza się.

- Po ośmiu latach?

- O co panu chodzi?

Hunt pomyślał, że to dość oczywiste - Mowery miał w Sacramento jakiegoś rodzaju ochronę i został rzucony wilkom na pożarcie, gdy przestał współpracować - ale nie chciał zrazić Lamotta, bo mógłby przestać z nim rozmawiać.

- Nic, po prostu to trochę dziwne - powiedział. Po czym zmienił temat. - No a czym się zajmował? Zawodowo?

- Mechaniką. Głównie prywatne samoloty.

- To trochę niespotykane, prawda?

- Nie wiem. Ma licencję pilota i dobrze zna się na samolotach. Jak się nie naćpa, to nawet całkiem bystry facet. Ale poszedłem do niego w niedzielę i był naćpany, więc nie miałem wyboru. Musiałem to zgłosić.

- Ma licencję pilota? - Hunt wyobrażał sobie, jak Mowery wyrzuca Andreeę nad oceanem całe mile od brzegu.

- Zawieszoną obecnie. I nie ma samolotu. Choć właściwie nie wiadomo.

- Co takiego?

Nagle na ziemistej twarzy pojawiła się podejrzliwość.

- Gliny tego panu nie powiedziały? Powinni o tym wiedzieć.

- Ja szukam jej - powtórzył Hunt. - Oni jego. Najwidoczniej to wystarczyło.

- Z lotniska Smith Ranch skradziono w poniedziałek mały samolot, chyba cessnę. Nadal jej nie znaleziono.

- Lotnisko Smith Ranch? Nie znam.

- Prywatne. Małe samoloty. Spory ruch, niemal żadnej ochrony. Znajduje się nieopodal San Rafael i jako pilot Arthur na pewno je zna. Prawdę mówiąc, Departament Więziennictwa skupił poszukiwania Mowery'ego w okolicach lotnisk.

- A gdzie to jest? Smith Ranch?

- Nie wiem dokładnie - około trzech, trzech i pół mili od San Quentin - nagle kolejne spostrzeżenie uderzyło Lamotta z niemal widoczną siłą. - Może się mylę, ale Parisi nie zaginęła w poniedziałek? Już tak dawno?

- Nie. Wtorek po południu.

- Hmm. Nie twierdzą, że Arthur zdecydowanie uruchomił silnik na krótkie spięcie i ukradł samolot, ale jeśli tak, i jest to możliwe, to we wtorek już dawno się ulotnił.

Hunt siedział w samochodzie, zastanawiając się, co uniknęło jego uwagi. I oczywiście, jak powiedział Lamott, możliwe, że Mowery wcale nie ukradł tej cenny. Albo z tego, co wiedział Hunt, ponieważ Mowery był mechanikiem samolotowym, mógł zbiec samolotem z lotniska Smith Ranch, lecąc poza zasięgiem radarów, wylądować na którymkolwiek z małych, prywatnych lotnisk w pobliżu miasta i dokonać wszelkich możliwych zbrodni w San Francisco. Lecz nagle to, co wydawało się jeszcze godzinę temu oczywiste, stało się teraz mało prawdopodobne lub nawet niemożliwe.

Reakcje Lamotta na pytania Hunta, czy ściśle mówiąc, brak owych reakcji, również był znaczący. Rozmowa o jednym z więźniów na zwolnieniu, pozostającym pod jego kuratelą, nie wywołała postawy obronnej, jak z pewnością stałoby się, gdyby Lamott zamieszany był w spisek mający na celu wyciągnięcie Mowery'ego z San Quentin, by mógł on dokonać zabójstwa sędziego federalnego. Lamott zachowywał się dokładnie tak, jak powinien funkcjonariusz pełniący służbę cywilną, która nieczęsto wymagała poświęceń kosztem czasu lub życia prywatnego. Huntowi z trudem przychodziło wyobrażenie sobie mało energicznego Lamotta jako jakkolwiek zaangażowanego w dramatyczne i tajne rozgrywki wewnątrz politycznej odnogi związku. W oczach tego konkretnego kuratora sądowego Arthur Mowery był ewidentnie kolejnym z setek żalonych kryminalistów, z którymi bez końca miał kontakt. Możliwe, że Mowery miał zwierzchnika pośród kuratorów w Sacramento, który kierował nim w dokonaniu zbrodni dla związku, lecz Lamotta w tej roli Hunt wyobrazić sobie nie potrafił.

Huhle powiedział mu, że połowa więźniów w Kalifornii siedziała za złamanie warunków zwolnienia, ale co więcej, Hunt słyszał, że około siedemdziesięciu procent wszystkich wychodzących na zwolnienie warunkowe w

Kalifornii wraca za kratki, co stanowi ponad dwukrotność średniej krajowej. Kuratorzy typu Lamott nie brali udziału w pomocy w ucieczkach z więzienia, to jedno było pewne. Bez względu na wszystko. Całe dążenie biurokracji CCPOA polega na utrzymaniu ich w więzieniach, podtrzymaniu ich wysokiej liczby, aby dać powód budowania większej ilości więzień i zatrudniania większej armii strażników.

Niemniej wszystko to zostawiło Hunta w wielkiej próżni. Teorię, że związek miał coś wspólnego ze zniknięciem Andrei, cechowała symetria, a nawet pewna elegancja. Oboje z Palmerem byli zaangażowani w sprawy strażników na wielu poziomach. Ostatni nakaz sędziego był poważnym i bezpośrednim zagrożeniem dla samego istnienia organizacji. Tajne materiały, które zebrała Andrea na temat ich prawdopodobnych zbrodni wspierających działania polityczne, mogły zostać odkryte, a ona sama padła ofiarą zemsty. Ale wszystko to razem zależało od wiary w to, że związek zajmował się nie tylko regularnymi wymuszeniami, lecz również zlecaniem zabójstw.

A jeśli tak było w rzeczywistości i Jim Pine dysponował funduszami w wysokości milionów dolarów, to dlaczego używałby w najlepszym przypadku ledwie godnych zaufania więźniów na zwolnieniach, podczas gdy mógł płacić profesjonalistom, którzy wykonywaliby zadania bardziej wydajnie i przedstawiając niższe ryzyko? A nawet jeśli Juhle nie miał nic innego, to w jednym był niewzruszony, od początku dochodzenia: morderstwa Palmer/Rosalier nie zostały dokonane przez zawodowca.

To dlatego w ogóle rozważali teorię więźniów na zwolnieniu warunkowym. A teraz również ta wersja okazała się mieć straszliwe wady.

Co pozostało?

Hunt wyciągnął komórkę. Była wyłączona przez cały dzień i wiedział, iż jeśli cholerstwo zadzwoni, gdy trzyma je w dłoni, to nie odbierze, chyba że będzie to ktoś z jego ludzi. Niech Bogu będą dzięki za ID dzwoniącego. W ciągu dnia nie odebrał pięciu połączeń i przeglądając listę, zobaczył, że byli to tylko klienci. Wszyscy prawdopodobnie w najlepszym przypadku niezadowoleni, a w najgorszym wściekli.

Cóż, nic nie mógł na to poradzić. Nie teraz. Nie, zanim to się skończy.

Będzie musiał się do tego przyzwycząić.

Zamknął telefon, ponownie go wyłączył, rozluźnił zaciśnięte szczęki, wrzucił bieg i wyjechał na ulicę. Na szybach zebrały się strzępy targanej wiatrem mgły, zmuszając go do włączenia wycieraczek. Jechał na południe, aż w końcu zaparkował na wolnym miejscu, pół przecznicy od stacji Barta na Mission Street. Pięć minut później jadł, jego zdaniem, największe i najlepsze burrito w mieście.

Wciąż wracał do faktu, jak niechętnie Juhle chciał zaakceptować możliwość, że Rosalier przypadkiem była u Palmera, gdy ktoś przyjechał go zabić.

Staci jakoś zawsze przewijała się przez wszystkie teorie, dając słaby związek pomiędzy Palmerem a Andrea, ale CCPOA aż do tej chwili zdawało się mieć większe znaczenie. Teraz, gdy wszystkie inne możliwości zostały podważone lub odrzucone - nie żona, prawdopodobnie nie Arthur Mowery. Zawodowiec wynajęty przez związek, wykonałby zlecone zabójstwa dużo częściej i wydajniej. Hunt nadal nie mógł dać wiary teorii Juhle'a, iż to Andrea popełniła podwójne morderstwo, po czym albo zbiegła, albo odebrała sobie życie, choć w każdym przypadku zbadali jej ubrania i broń z jej domu, nie znajdując żadnego wskazującego na nią dowodu.

Hunt popijał colę, ledwie tknął burrito, czując potrzebę działania, nie wiedząc jednak, co robić.

Obracał sprawę na wszystkie strony, podchodził do niej pod wszystkimi kątami.

Były trzy ofiary. Zaczynij od tego.

Jeśli Hunt grał według zasad Juhle'a, wyłączając zbieg okoliczności, ofiary te musiały być jakoś połączone.

Siedział w środku, przy czerwonym, plastikowym stoliku. Za późno na lunch, za wcześnie na obiad, oprócz niego lokal miał jeszcze jednego klienta, kobietę sześćdziesięcio- lub siedemdziesięciolatkę, siedzącą kilka stolików od Hunta, nad miską albondigas. Patrząc na nią, przypomniał sobie Carol Manion, którą widział rano na pogrzebie Palmera. Nagle zdał sobie sprawę, że zawsze była, w najlepszym wypadku, luźno związana ze sprawą, poprzez spotkanie, na jakie umówiła się z Andrea Parisi. To za sprawą Andrei, nie Palmera, Manion była zamieszana. Ale, jak się okazało, sędziog też znała.

Usiłując wymyślić jakiś związek pomiędzy Manion a Staci Rosalier, by dopełnić trójki, skończył na besztaniu siebie w duchu za chwytywanie się tak słabych tropów. Mimo to wysiłki nie okazały się całkiem daremne, ponieważ zaczął zastanawiać się nad osobami nawet najmniej zaangażowanymi w to fandango.

Fairchild? Były kochanek Parisi, ale żadnego znaczącego powiązania z Palmerem czy Rosalier.

Tombo? Nie. Nic.

I w każdym razie obaj zapewnili sobie nawzajem alibi na poniedziałkowy wieczór. Piersall?

Hunt przerwał żucie, postawił szklanke z napojem na stole. Piersall znał ich oboje. Bez wątplenia, choć raz jadł lunch w MoMo. Może nawet był starym klientem. Możliwe, że poznał Staci Rosalier, co uczyniłoby go jedyną

osobą powiązaną ze wszystkimi trzema ofiarami. Andrea powiadomiła go o bliskim zagrożeniu ze strony nakazu Palmera, a także, ponownie, o jej obawach na temat, jak się wydaje, kryminalnych działaniach CCPOA. Poza tym hotel Saint Francis znajdował się tylko kawałek od biur firmy na Montgomery. Mógł zadzwonić stamtąd do Parisi do domu, w środę po południu i poprosić, aby wstąpiła do biura...

Gdzie, co? Gdzie czekali na nią ludzie Pine'a, gdy zaparkowała w podziemnym garażu, i ją porwali?

Hunt zamknął oczy, zmuszając umysł, aby zwolnił, wziął się w garść. Było to dokładnie to, co on i Juhle, jeśli o to chodzi, robili od ponad dwóch dni, budowanie teorii i scenariuszy z możliwości wziętych znikąd. Mógłby spędzić kolejną godzinę, sprawdzając, co Piersall robił w poniedziałkowy wieczór, czy opuścił biuro w środę pomiędzy czternastą i piętnastą trzydzieści. I nawet, jeśli Piersall nikogo nie wynajął, nawet jeśli zrobił to własnoręcznie, nawet jeśli nie miał żadnego alibi, Hunt nadal stałby w tym samym miejscu, bez najmniejszego dowodu.

Ale wróciła męcząca myśl. Fakt, że Piersall pozostał jedynym człowiekiem o dających się udowodnić powiązaniach z Palmerem i Parisi i, całkiem możliwe, z Rosalier. Nie mając innych alternatyw, Hunt spytał siebie, czy nie warto by tego sprawdzić? Co miał do stracenia?

Dokończył colę, zawiązał resztki burrito i wstał. Starsza kobieta uśmiechnęła się do niego i Hunt odpowiedział tym samym, klepiąc się po brzuchu, po czym przeszedł za nią i wyrzucił śmieci do kosza obok drzwi.

Ta okolica była zazwyczaj ostatnim miejscem, gdzie pojawiała się mgła, a teraz była gęsta i lepka, wiedział więc, że gdzieś indziej warunki będą okropne. Przebiegł krótki odcinek do samochodu i siedząc w stosunkowo ciepłym wnętrzu, wyciągnął telefon i zadzwonił do biura.

* * *

Nim Hunt wrócił do domu, nie została mu już żadna teoria.

Zgodnie z poleceniem, Tamara zadzwoniła do kancelarii Piersalla i rozmawiała z jego osobistą sekretarką, która powiedziała jej, że szef prowadził w poniedziałek posiedzenie akcjonariuszy, które ciągnęło się przez całą porę kolacji, niemal do jedenastej w nocy. Całe środowe popołudnie spędził z Pine'em, innymi przedstawicielami i prawnikami związku w sali konferencyjnej kancelarii.

Tamara powiedziała mu również, że Craig dostarczył dwa pozostałe wezwania do stawienia się w sądzie, po czym pojechał na Ocean Avenue i znalazł lokal, gdzie Staci Rosalier pracowała przed MoMo. Nazywał się Royal

Thai i była tam dwa lata. Była to jej pierwsza posada po skończeniu szkoły średniej w Pasadenie w Południowej Kalifornii.

Ostatni gwóźdź to trumny przybił Juhle. Hunt zadzwonił do niego zaraz po wyjściu od Lamotta, by zaoszczędzić mu wycieczki do kuratora oraz przedstawić zrewidowaną opinię o prawdopodobieństwie, że Arthur Mowery odegrał jakąkolwiek rolę w zabójstwie Palmer/Rosalier lub w porwaniu Andrei. Wjechał właśnie na swoje miejsce w magazynie, drzwi się zamykały, gdy Juhle zadzwonił powiedzieć, że był to długi i bezowocny dzień i zmierza obecnie do domu na weekend, ale Hunt na pewno chciałby wiedzieć, iż na poszarpanym obszarze gór Tehachapi, niedaleko Bakersfield, na wysokości siedmiu tysięcy metrów odnaleziono wrak cessny, której zaginięcie zgłosiło lotnisko Smith Ranch. Choć jak dotąd nie zidentyfikowano pilota, zakłada się, że jest to Arthur Mowery, który najwyraźniej próbował dotrzeć do Meksyku.

- Znowu zacznym wierzyć, że się zabiła - powiedział Juhle. - Nie zostało nic innego. Chcesz wpaść do nas na kolację? Mógłbyś nawet zobaczyć mnie po raz pierwszy w roli trenera Małej Ligi w czasie meczu. Zadzwonię do Connie, to nie musielibyśmy iść na pizzę.

Ale Hunt dopiero co jadł i nie miał ochoty na towarzystwo, a z całą pewnością nie chciał kłócić się z Juhle'em, który może myśleć, co mu się żywnie podoba. Ze swojej strony Hunt był pewien, że Andrea nie popełniła samobójstwa, a to dlatego, że nie zabiła ani Staci, ani Palmera. Przyjął to za niepodważalny fakt, niezmienną prawdę.

26

Hunt siedział przy komputerze, sprawdzając pocztę. Choć miał zainstalowany program antyspamowy, to i tak większość wiadomości pochodziła od organizacji lub przedsiębiorstw, o których nigdy nie słyszał. Ponadto było kilka wejść przez stronę internetową od ludzi zainteresowanych jego usługami oraz parę od kancelarii, dla których pracował. Przesłał wszystkie zapytania do biura do Tamary, zakładając, że jeszcze ich nie miała - to był jego system zabezpieczający.

E-mail Mickeya z poprzedniego dnia zaopatrzył go w dokładny adres Manionów, plus - jego młody pracownik zrobił dodatkową milę i zdobył - prywatny i zastrzeżony numer telefonu, którego Hunt już nie potrzebował. Przeglądając pobieżnie załączone zdjęcia, Hunta bynajmniej nie zaskoczyło, że dom był wielki i elegancki. Pokryty terracottą, mógł być włoskim zamkiem zbudowanym na wybrzeżu Amalfi z widokiem na morze. Musiał mieć ze dwadzieścia pokoi, choć najbardziej rzucającą się w oczy cechą architektoniczną była porośnięta bougenwillą kwadratowa wieża. Mickey miał drogi sprzęt i dobre oko, i zrobił zdjęcia z trzech czy czterech różnych kątów, może planując użycie ich do stworzenia modelu, gdy zostawszy sławnym kucharzem, będzie budował swoją willę.

Ostatnie zdjęcie wykonane przez teleobiektyw - pani Manion i jej syn idący ścieżką z przodu domu do czekającej limuzyny - przerwało pogłębiającą się frustrację Hunta. Ciężkie czasy dla bogaczy, pomyślał. Ale przypominając sobie o śmierci starszego syna, natychmiast pożałował takiej reakcji. Był małostkowy.

Donikąd to nie prowadziło. Nic go donikąd nie zaprowadziło. Ktoś zabił Parisi niemal pod jego nosem i uszło mu to na sucho. Wylogował się, uderzając w klawisze niemal tak mocno, że je zniszczył.

Kilka minut później przebrał się w dresy i buty do tenisa, i stał w drugiej części magazynu, na linii rzutów wolnych. Zamierzał rzucać, aż trafi dziesięć razy z rzędu, albo się zmęczy, cokolwiek stanie się prędzej. Odbił kilka razy piłkę od podłogi, zatrzymał się, ponownie odbił, skupiając się na celu, zawężając pole widzenia.

Ustawiając się, zamiast rzucić do kosza, cisnął długie, proste podanie - najmocniej jak umiał - w tablicę za koszem. Piłka uderzyła w szczyt wzmocnionego szkła. Dźwięk odbił się głośnym i głębokim echem, pusty strzał, młot uderzający o pustą beczkę po benzynie. Dźwięk odbijał się rykoszetem od ścian.

Złapał wracającą piłkę w locie.

Trzymał ją z całej siły. Stał bez ruchu. Ponownie rzucił. Ta sama trajektoria, ta sama siła. Ta sama eksplozja dźwięku powracająca do ciszy.

Za każdym razem odstęp między eksplozjami były coraz krótsze. Od interwałów minuta dwadzieścia do dziesięciu sekund, potem pięciu, dwóch. Rzucił tak mocno, że jęczał z wysiłku. W końcu rzucił i złapał piłkę po raz ostatni. Oddychał ciężko, szczęki miał boleśnie zaciśnięte.

Rozluźnił ciało. Uspokoił oddech.

Jeszcze raz zakozłował, wycelował i rzucił piłkę wysokim lobem. Przecięła ze świstem powietrze i pozwolił, by odbijając się od podłogi, wypadła z boiska i zatrzymała się w dalekim rogu.

Zegar wiszący nad wejściem do części mieszkalnej wskazywał 4:22. Wrócił do komputera, włączył go i czekał w napięciu, gdy system się ładował. Kiedy był gotowy, ponownie otworzył maile i długo siedział, próbując poukładać to, co wiedział, opierając się tym razem impulsowi, aby teoretyzować nim pozna fakty.

Minimalnie zadowolony, wstał nie wyłączając komputera i niczym w transie wszedł do sypialni. Z kieszeni wiszącego w szafie garnituru wyjął dyktafon i przewinął do początku rozmowy, jaką odbył rano z Betsy Sobo. Włączył odtwarzanie.

Wysłuchawszy nagrania dwukrotnie, stanął przy łóżku i nie ruszał się przez chwilę. W końcu usiadł i sięgnął po telefon, wybrał jeden z numerów, który znał na pamięć.

Wu musiała siedzieć przy biurku, ponieważ odebrała po pierwszym dzwonku.

- Tu Amy.

- O której Carol Manion zadzwoniła do biura Andrei, pytając, czy przyjedzie na spotkanie? - spytał bez żadnego wstępu. - Po tym, jak Andrea się u niej nie pojawiła?

- Jeszcze raz, Wyatt, mógłbyś?

- Carla powiedziała, że rano na sekretarce Andrei była nagrana wiadomość od Carol Manion, tak?

- Chyba tak.

- Okay. To oznacza, że zadzwoniła, gdy Carla poszła już do domu. Tak?

- Chyba, że Andrea miała bezpośrednią linię i z tej skorzystała. Czy to do czegoś zmierza, Wyatt? Tamara powiedziała, że pojechałeś do San Quentin...

- Nie. To był ślepy zaulek. Teraz próbuję uniknąć kolejnego. Carla powinna być jeszcze w pracy, prawda?

- Raczej tak.

- No to na razie.

Rozłączył się, a w głowie rozbrzmiewała mu całkiem logiczna uwaga Wu: Chyba, że Andrea miała bezpośrednią linię i z tej skorzystała. Hunt, podobnie jak wcześniej tego dnia Juhle, zaczął się zastanawiać, czy zdolny był do racjonalnego myślenia. Jeśli Andrea miała bezpośrednią linię i Carol Manion

nagrała wiadomość pomiędzy, powiedzmy, piętnastą a siedemnastą w środę, oznaczałoby to koniec również tego i tak już wątpliwego dochodzenia.

Ale nie miał wyboru. Patrzył, jakby z oddali, jak jego palce wystukują numer Piersalla-Mortona. Po chwili rozmawiał z Carla.

- Nie - powiedziała, a Hunt poczuł, jak ucieka z niego powietrze. - Pani Manion miała numer Andrei i nagrała się na jej sekretarkę, nie na moją.

- Wiesz skąd miała prywatny numer Andrei?

- Nie. I nie jest prywatny. To po prostu bezpośrednia linia do jej gabinetu. Ale możliwych jest milion sposobów. Był na jej wizytówce. Albo gdzieś się poznały i jej go wtedy dała. Cokolwiek takiego.

- Nie możesz zatem w żaden sposób sprawdzić, o której dzwoniła?

- Nie, to znaczy tak, pewnie, że mogę. Nadal jest nagrane. Nie kasowałam nic przez cały tydzień, a maszyna pokazuje godzinę i datę.

Hunt starał się, by w jego głosie nie było słychać natarczywości.

- Carla, mógłbym cię poprosić, byś sprawdziła to dla mnie? Nie było jej całą wieczność. Hunt, zostawiając odciski palców na słuchawce, nie mógł wytrzymać i włączył głośnik, aby móc się przechadzać. Wreszcie, wreszcie:

- Wyatt.

- Jestem - wrócił na łóżko, podnosząc słuchawkę.

- Dziewiętnasta siedemnaście, środa, pierwszy czerwca, ale datę już znamy.

Ale Hunt usłyszał to, co miał nadzieję usłyszeć.

- Dziewiętnasta siedemnaście?

- Tak. Słuchałam dwa razy, żeby mieć pewność.

- A na którą były umówione?

- Piętnastą trzydzieści. Wspomniała o tym w nagranej wiadomości.

- Co jeszcze powiedziała? Mogłabyś zadzwonić do mnie z gabinetu Andrei i odtworzyć mi to nagranie?

- Teraz?

- Tak. Dam ci mój numer.

Chwilę później Hunt słuchał głosu Carol Manion nagranego na automatycznej sekretarce Andrei: „Panno Parisi, witam. Mówi Carol Manion. Ciekawa jestem, czy zapomniała pani o naszym spotkaniu dziś o wpół do czwartej, czy może ja źle zapisałam w kalendarzu. Mogłaby pani do mnie zadzwonić, proszę? I może umówimy się na inny termin? Dziękuję”.

- I tyle - odezwała się Carla. - Wygląda na całkiem zwyczajną wiadomość.

- Masz rację - Hunt nie zastanawiał się, jak brzmiało nagranie, ale kiedy zostało wykonane. - Ale, Carla, posłuchaj. Mogłabyś przez jakiś czas nikomu nie wspominać o naszej rozmowie? Zupełnie nikomu.

- Nie, oczywiście. Skoro mówisz...

- Tak. Proszę. A teraz, możesz jakoś połączyć mnie z Eubanksem? Myślę,

że jest jednym ze współników. Jest w zespole Betsy Sobo.

- Tak, zgadza się. Jasne. Możesz sekundę poczekać?
- Pewnie. I, Carla?
- Tak?
- Tylko między nami, dobrze? Nikomu.
- Nikomu - powtórzyła. - Dobrze, łączę. Poczekaj chwilkę.

Mike'a Eubanksa nie było.

W piątki pan Eubanks często wychodzi wcześniej. Nie, jego sekretarka nie mogła podać panu Huntowi jego numeru komórkowego ani domowego, ale jeśli to coś ważnego, to może do niego zadzwonić i poprosić, by skontaktował się z panem Huntem.

Hunt wziął telefon ze sobą do komputera i ponownie otworzył zdjęcie Carol Manion idącej z synem Toddem do zaparkowanej przed domem limuzyny. Nagle przypomniał sobie, że jakiś czas temu kupił szkło powiększające, którego ani razu nie użył. Znalazł je z tyłu szuflady. Skupił je na zdjęciu, na pewnej anomalii, która, gdy wreszcie ją zauważył - uderzyła go.

Rano widział Carol Manion we własnej osobie, idącą z mężem do Katedry Najświętszej Marii Panny, w drodze na pogrzeb Palmera. W czasie tego przelotnego, bliskiego spotkania, zdołał odnotować tylko jedno, mianowicie wiek. Nie osłabiającą starość, z całą pewnością, ale też nic zbliżonego do młodości. Wyrazne zdjęcie teleobiektywem, na jakie właśnie patrzył, potwierdzało, że miała co najmniej sześćdziesiątkę.

Przesunął szkło na chłopca, zastanawiając się, czy w jakiś sposób mógłby znaleźć związek ze Staci Rosalier, którego zawsze brakowało w jakichkolwiek rozważaniach na temat Carol Manion z pozostałymi dwiema ofiarami. Wpatrywał się w twarz chłopca, z tego kąta niemal profil, z nadąsaną miną. Istotną cechą rozmazanego portretu, jaki oprawiony trzymała w mieszkaniu Staci, był szeroki uśmiech dziecka, zatem podobieństwo, jeśli istniało, pozostawało nieokreślone. Pomijając kolorystykę, mógł się wpatrywać, ile chciał, ale nie był w stanie stwierdzić, nie tylko, czy jest to to samo dziecko, ale nawet, czy Todd Manion jest w ogóle podobny do brata Staci.

Jednak tym, co na początku przykuło uwagę Hunta, nie była tożsamość chłopca per se, ale wiek jego matki. Nawet jeśli Hunt pomylił się, oceniając wiek Carol Manion o dziesięć lat i miała ona tylko, powiedzmy, pięćdziesiąt parę (w co wątpił), mało prawdopodobne było, że osiem lat wcześniej urodziła dziecko.

Oznaczało to, że Todd jest adoptowany.

Była to dziedzina, w której Hunt miał doświadczenie, nawet może był ekspertem, i wiedział, że jeśli tak jest w istocie, to byłoby to zdecydowanie nie-

spotykane. Stosunkowo normalne było, aby bezdzietna początkowo para zdecydowała się na adopcję, a potem miała naturalne dzieci. Tak było w przypadku rodziny Hunta - jego matka najwyraźniej bezpłodna nim go zaadoptowali, urodziła w ciągu następnych ośmiu lat czwórkę jego rodzeństwa.

Wiedział jednak, że dużo rzadziej zdarza się, by para posiadająca już jedno lub dwoje naturalnych dzieci, chciała dodać do kompletu adoptowanego brata lub siostrę. Szczególnie, jeśli różnica wieku byłaby większa niż dziesięć lat. Nie oznacza to, że się tak nie działo. Ale jeśli tak, to okoliczności zachęcały do dowiedzenia się więcej.

Żeby nie wspominać o tym, że na tym etapie, cokolwiek odbiegającego od normy, co miało choćby najbardziej luźny związek z Andreą, skazane było na przykucie uwagi Hunta, który nie odpuści dopóki nie wycisnie z tego wyjaśnienia.

Siedział bez ruchu przed monitorem, ale przestał go widzieć. Biorąc pod uwagę wszystkie dotychczasowe wysiłki, wszystkie spekulacje, został mu tylko jeden fakt, który mógł dać mu jakiś zaczep: Carol Manion zadzwoniła do biura Andrei o 19:17.

Dlaczego akurat o tej godzinie? Czemu nie o piętnastej czterdzieści pięć albo o szesnastej, gdy czekała w domu na rychłe przybycie Parisi? Żeby sprawdzić, czy nie zgubiła się, albo czy nie zatrzymały jej inne sprawy? Albo nawet, czy nie stoi w korku? Choć taki telefon wykonałaby na komórkę Andrei. Prawda? Powinna mieć również numer komórki Andrei, czyż nie? Dzwonek telefonu wyrwał go z zadumy.

- Wyatt Hunt.

- Panie Hunt, z tej strony Mike Eubanks. W biurze powiedziano mi, że to ważne. Jak mogę pomóc?

- Pracuję na polecenie Gary'ego Piersalla nad sprawą zaginięcia Andrei Parisi - nie do końca prawda, ale Huntowi było wszystko jedno. Tym sposobem mógł zyskać sobie przychylność Eubanksa.

I zyskał.

- W takim przypadku odpowiem na wszelkie pytania.

- Zakładamy, że sprawy, jakie miała do omówienia z Betsy Sobo mogą mieć jakieś znaczenie, ale do spotkania nigdy nie doszło. Rozmawiałem dziś rano z Betsy, lecz miała jedynie ogólne pojęcie na temat tego, co Andrea mogła chcieć z nią omówić. Ale powiedziała mi, że Andrea zadzwoniła najpierw do pana i to pan skierował ją do Betsy.

- Zgadza się. Chciała omówić jakieś sprawy dotyczące praw do opieki, a to bardziej jurysdykcja Betsy, więc powiedziałem Andrei, żeby to z nią się skontaktowała.

- Prawa do opieki? Zdradziła jakieś szczegóły?

Eubanks nie odpowiadał przez chwilę.

- Powiedziała, że ma potencjalnego klienta ze skomplikowanym przypadkiem przyznania praw do opieki, więc powiedziałem, że Betsy jest naszym asem w takich sprawach.

- Powiedziała, że ma potencjalnego klienta?

- Tak, jestem całkiem pewien.

- Więc nie chodziło o związek strażników?

- Klienta? Nie, nie odniosłem takiego wrażenia. Pracowałem już z nią nad sprawami związku, ogólne umowy i zasiłki, ale to było zdecydowanie coś innego. Poza tym... - przerwał.

- Co takiego?

Zaśmiał się zawstydzony.

- No więc, mieliśmy z Andrea taki żarcik, tylko między nami. Zawsze, gdy dzwoniła w sprawach związków, zaczynała od słów „Włączaj silniki, Mike”.

- Włączaj silniki?

- Oznaczało to, że możemy wystawić rachunki za cały poświęcony czas. Tym razem, gdy sekretarka powiedziała mi, że na linii jest Andrea, odbierając połączenie powiedziałem „Już zwiększam obroty”, ona odparła „Obawiam się, że nie tym razem”. Więc nie chodziło o związek. Czy to o to panu chodziło?

- Nie jestem pewien. Ale nie zaszkodzi.

- Dobrze - po czym dodał. - Panie Hunt?

- Tak?

Eubanks wahał się przez chwilę.

- Czy myśli pan, że jest szansa, że ona jeszcze żyje?

- Nikt nie znalazł jej ciała - kolejne zdanie Hunt wypowiedział, nim zdążył się nad nim zastanowić. - A dopóki się to nie stanie, wolę w to wierzyć.

- Dobrze to słyszeć, szczególnie, że cała reszta cholernego świata, już ją pochowała. Mam nadzieję, że pomogłem.

Zamierzał od razu wykonać kilka telefonów, ale dochodziła siedemnasta i w TV mogło być coś, co wolałby najpierw zobaczyć.

Hunt kupił telewizor, żeby oglądać sport i, bardzo sporadycznie, wypożyczone filmy. Od lat nie polubił ani jednego programu telewizji lokalnej, ani nawet kablowej. Znajomi rozmawiali czasami o „Seinfeld” lub „Przyjaciółkach”, a ostatnio o „Rodzinie Soprano” albo „Deadwood”, albo o tych durnych reality-shows. Nie pojmował tego - może to był nawyk, którego nigdy nie wykształcił. Nawet w czasie urlopu, co zdarzało się rzadko, zawsze robił coś aktywnego, zajmując czymś ciało lub umysł.

Ale teraz oglądał wiadomości. Już pierwszy kanał, który się pojawił, otrzymał od Hunta wzorową ocenę za subtelność, dzięki zdjęciu uśmiechnię-

tej fotogenicznej Andrei Parisi w rogu ekranu z podpisem „Czekamy na Andreeę” oraz bezustannie migającym cyfrowemu zegarowi odliczającemu godziny, minuty i nawet sekundy odkąd jej nie było. 50:06:47.

Licząc od telefonu do niej do domu, o piętnastej w środę.

Zmieniając stację, usłyszał poważny głos prezentera: „...który odmówił ujawnienia tożsamości, potwierdził przed kilkoma minutami, iż Andrea Parisi jest obecnie uznawana za potencjalną samobójczynię i pozostaje, cytat, „nadal w kręgu podejrzanych”, koniec cytatu, w sprawie zabójstwa dokonanego w zeszły poniedziałek na sędzim federalnym George’u Palmerze i jego domniemanej kochance Staci Rosalier. Policja San Francisco nie potwierdza, ani też nie zaprzecza tym informacjom, jednak...”.

Wystarczy.

Hunt przełączył na TV Proces. Rich Tombo robił swoją część podsumowania kolejnego dnia procesu Donolana, stojąc przed Pałacem Sprawiedliwości, tuż za rogiem od mieszkania Hunta. Wydawało się, że cała wieczność minęła od rana, gdy na ulicy przed biurami Piersalla Spencer Fairchild oskarżył Hunta o zмовę z Andreeą w obmyśleniu skomplikowanego chwytu reklamowego. Kiedy tego dnia w sądzie Tombo skończył swą analizę działań oskarżenia, wprawił w osłupienie nawet cynicznego Hunta, gdy zaczął przedstawiać nową kobietę, która zajmie miejsce zmarłej Andrei Parisi, zapewniając wgląd w obronę...

Hunt nie był w stanie nawet spojrzeć, kim była.

Wróciwszy na sieć lokalną, kolejna stacja, którą włączył, informowała o niemożności władz w identyfikacji jakiegokolwiek krewnego Staci Rosalier. Mieli nawet kopię rozmazanego zdjęcia brata Staci i teraz chłopiec uśmiechał się z ekranu, podczas gdy głos prezenterki zachęcał wszystkich, którzy rozpoznali chłopca, by zadzwonili na policję lub pod numer widniejący na dole ekranu.

Lecz nagle Hunt nie widział już twarzy dzieciaka.

Widział kształt i kolor tego, co widniało za nim. To również było rozmazane, tylko w tle, ale gdy raz się to ujrzało, nie można było się pomylić.

Po chwili siedział ponownie przy komputerze, otwierając wykonane przez Mickeya zdjęcie posiadłości Manionów. Wieża w kolorze terracotty, porośnięta bougenwillą. Sprawdzał ujęcia tego samego domu z różnych stron, znajdując nawet miejsce, gdzie rzekomy Todd Manion musiał stać, gdy robione było zdjęcie z mieszkania Staci.

Wrócił do zdjęcia Carol Manion i jej syna, przesuując się do limuzyny. Na samym brzegu zdjęcia było coś jeszcze.

Ponownie przejrzał pliki. Jedno ze zdjęć pokazywało wzniesienie z przodu

domu, jedno wieżę po prawo, potrójne garaże i szeroki podjazd po lewo od wejściowego portyku. Hunt zatrzymał się przy tym, pochylił się w stronę ekranu, choć widział dokładnie - na podjeździe, błyszcząc w jasnym słońcu, stało BMW Z4 cabrio.

Hunt wiedział, że Juhle jest na meczu Małej Ligi, więc zadzwonił na komórke, gdzie nagrał wiadomość: „Dev, zdjęcie brata Staci Rosalier zostało zrobione przed domem Carol Manion w Seacliff. Nie wiem, co dokładnie to oznacza, ale jak dla mnie jest cholernie prowokujące. Mógłbyś sprawdzić, czy jest jakiś zapis połączeń telefonicznych pomiędzy Palmerem i Manion, biuro-biuro, dom-dom, jakichkolwiek. W każdym razie, zadzwoń, jak odbierzesz tę wiadomość. Do boju, Szerszenie!”.

Następnie rozważył telefon do domu Manionów, nawet podniósł słuchawkę, ale powstrzymał się. Co by powiedział? Mimo wszystko była to szalenie bogata i znacząca rodzina, o wyjątkowej wrażliwości na punkcie prywatności. Zatrudniali na pełen etat rzecznika prasowego, który dbał o to, by ich nazwisko nie pojawiało się w prasie, za wyjątkiem zatwierdzanych każdorazowo rubryk o modzie lub biznesie. Nie można było do nich po prostu zadzwonić w piątkowy wieczór, przedstawić się jako prywatny detektyw i wypytywać ich o syna, ich związki - jeśli istnieją - z zamordowanym sędzią federalnym, jego kochanką i zaginioną adwokat. Juhle jako inspektor wydziału zabójstw mógłby może wykonać taki telefon, ale również on byłby ponownie sparaliżowany przez trwałe ograniczenie w całej tej sprawie: brak jakiegokolwiek fizycznego dowodu. Na czym miałby oprzeć swe pytania?

I co takiego Hunt dokładnie miał? Całkowicie uzasadniony telefon na temat umówionego spotkania od bogatej kobiety do jej potencjalnego adwokata. Zdjęcie chłopca zrobione prawdopodobnie przed domem Carol Manion. Czarne cabrio.

Prostak.

Sześć godzin wcześniej Hunt czuł, że ma więcej na Arthura Mowery’ego, Jima Pine’a i nawet Gary’ego Piersalla i gonienie za tymi chimerami doprowadziło go, dokładnie rzecz ujmując, donikąd. Potrzebował czegoś prawdziwego, czegoś namacalnego i przekonywującego, co zapewniłoby Juhle’owi przynajmniej jakiś punkt zaczepienia, od którego mógłby rozpocząć jakiegokolwiek dochodzenie.

Ponieważ siedział przy komputerze, ponownie przywołał w Google’u olbrzymią listę wyników wyszukiwania na temat Manionów. Kiedy połączył hasła „sędzia federalny George Palmer” z „Ward i Carol Manion”, dowiedział się, że rodziny musiały znać się przynajmniej towarzysko, albowiem obecni byli na masie tych samych przyjęć charytatywnych. Spróbował „Staci Rosalier’ i ‘Manion” - nic, potem skonkretyzował „Todd Manion” też nic, niemniej sam Todd miał już niemal tysiąc własnych wyników, jednak wszystkie, za

wyjątkiem czterech, wymieniały również jedno lub oboje jego rodziców. Cztery pozostałe były, najwyraźniej, podpisami pod zdjęciami, na których pojawił się bez rodziców, a zamieszczone zostały na jakiejś stronie o wyższych sferach.

Po kwadransie pracy i braku nowych poszlak, Hunt zaniechał wyszukiwania w sieci. Coś mogło znajdować się pomiędzy tymi wszystkimi informacjami o Manionach, jednak jeżeli nie miał bardziej sprecyzowanego pojęcia, czego szuka - a nie miał - znalezienie tego zajęłoby całą wieczność. Tak, jak zrobił to Mickey w przypadku zdjęć, Hunt musiał spojrzeć na to pod innym kątem.

Nim wyszedł, przebrał się z dresów w normalne, miejskie ubranie, buty, gruby czarny sweter.

Na małym półokrągłym podjeździe przed domem sędziego Palmera na Clay Street oraz na ulicy bezpośrednio przed nim stało jakieś dziesięć samochodów. Hunt zaparkował siedem czy osiem domów dalej, wysiadł ze swojego coopera i przeszedł zamglonym chodnikiem, wciąż nie wiedząc dokładnie, co zamierza zrobić. Musiał działać, coś zrobić, odwracać kamienie, z kimś porozmawiać, wyjść z domu i być z dala od pokusy zajęcia się rutynową pracą na komputerze. Jeśli nic innego, to teraz miał przynajmniej punkt zaczepienia, ogólne pojęcie tego, co chciał odkryć.

Jeśli Manionowie znali sędziego Palmera z imprez charytatywnych na tyle, by czuć się w obowiązku uczestniczenia w jego pogrzebie, to żona sędziego mogła być źródłem informacji, faktów, może nawet dowodów. Jeannette tego dnia rano pochowała męża. Zgodnie z oczekiwaniem Hunta, ludzie po wyjściu z cmentarza zgromadzili się u nich w domu. Była to najlepsza okazja, jaka będzie mu dana.

Przeciął trawnik otoczony niskim murkiem, rzucił pełne zachwyty spojrzenie na łagodnie szemrającą fontannę, wszedł po schodach i nacisnął dzwonek.

W środku nikt bynajmniej nie urządzał hulanek, ale sądząc z natężenia dźwięku, zebrani próbowali miło spędzić czas.

Drzwi otworzyła kobieta w wieku Hunta, uśmiechając się lekko, jakby ze zmęczenia.

- Mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję. Ciekaw jestem, czy mógłbym zamienić kilka słów z Jeannette Palmer?

Wszelki ślad uśmiechu zniknął natychmiast z jej twarzy.

- Jest pan dziennikarzem?

- Nie - Hunt sięgnął po legitymację. - Jestem prywatnym detektywem...

- Przykro mi - przerwała mu - ale to naprawdę nie jest najlepsza chwila, jak pan może wie. Dziś rano odbył się pogrzeb mojego ojca i moja matka nie jest obecnie w stanie z kimkolwiek rozmawiać. Jeśli zechciałby pan zadzwonić i umówić się na spotkanie... - cofnęła się o krok i zaczęła zamykać drzwi.

Hunt zareagował bez zastanowienia, wyciągnął rękę, przeniósł stopę nad progiem.

Kobieta spojrzała na jego nogę na podłodze, na rękę trzymającą drzwi.

- Zamykam drzwi. Radzę się panu odsunąć.

- Proszę - Hunt nie poruszył się. - Nie chcę sprawiać kłopotów, naprawdę. Ale sprawa jest pilna i może być dosłownie kwestią życia i śmierci.

- Nie widzi pan? - spytała kiwając głową. - Już pan sprawił kłopot. To jest kłopot.

- Wszystko w porządku, Kathy? - zza jej pleców dobiegł głęboki, męski głos.

Odrzuciła się w stronę głosu, uchylając drzwi o kilka cali.

- Ten pan twierdzi, że jest prywatnym detektywem i musi porozmawiać z mamą.

- O czym?

- Nie wiem. Powiedziałam mu, że to nieodpowiednia pora, ale nie chce sobie pójść. Teraz zablokował drzwi. Mówi, że to kwestia życia i śmierci.

- Ta? No to się jeszcze okaże - nagle drzwi otworzyły się. Hunt stanął twarzą w twarz z rozgniewanym osiłkiem w ciemnym garniturze i z bursztynowym napojem w dłoni. - Zabieraj nogę, koleś. Ale to już. A teraz masz dwie sekundy, żeby powiedzieć mi, co jest niby takie ważne.

- Próbuję znaleźć Andreę Parisi.

- Tak jak policja.

- Z różnych powodów.

- Tak? Jak ostatnio słyszałem, to ich zdaniem zabiła mojego tatę. Więc jestem po ich stronie.

- Mylą się. Nie zrobiła tego. Możliwe, że sama została zabita.

- Przez kogo?

- Tę samą osobę, która zabiła twojego ojca - Hunt ściszył głos, choć nie zmniejszył intensywności. - Mam trop w tej sprawie. Muszę to sprawdzić. Chcesz złapać tego, kto zabił twojego ojca, czy nie?

Hunt widział, że mu się udało. Wielki mężczyzna zachwiał się. Zrobił długi, drżący wydech. Postawił szklanekę z napojem obok drzwi, powiedział siostrze, że zajmie to tylko chwilę, po czym wyszedł na ganek, zamykając za sobą drzwi.

- Jestem Dave Palmer. Co pan wie?

- Próbuję uzyskać informacje o Manionach. Byli dziś rano na pogrzebie twojego ojca. Myślę, że jedno z twoich rodziców musi ich znać.

- Manionów? - Hunt miał wrażenie, że nazwisko zadziało, jakby było nie z tej planety. - Mówi pan o Manionach od Piwnic Manionów?

- Zgadza się. - Jeśli Hunt chciał utrzymać zainteresowanie Dave'a, musiał mówić szybko. Przedstawił mu to, co wiedział. - Staci Rosalier miała w mieszkaniu oprawione zdjęcie ośmioletniego syna Manionów, Todda. Pokazywali je dziś w telewizji, a jutro będzie w gazetach. Przyjaciołom mówiła, że to jej brat.

Temat Staci Rosalier budził niechybnie niesmak w tym otoczeniu, lecz odpowiedź mogła rozwinąć sytuację na tyle, że pokonało to jego skrupuły.

- Kłamała.

- Myślę, że to możliwe. Ale dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem. Może oprócz tego, że była zdziwą, była też kłamczucha. Może chciała, by ludzie, może nawet mój tata, wierzyli, że pochodzi z bogatej rodziny? Że ma wpływowe powiązania? Nie wiem.

- Na moim świadku nie próbowała robić wrażenia. Nie w ten sposób, w każdym razie.

Ale Dave opierał się dopuszczeniu do siebie nawet takiej możliwości.

- Więc, jeśli jest siostrą Todda, to pochodzi z Manionów? Nie wydaje mi się.

- Tego też nie jestem pewien, szczerze mówiąc, czy byli rodzeństwem. Może był jej bratem przyrodnim. Dlatego muszę porozmawiać z kimś, kto zna ich dłużej. Manionów. Przyjaźnili się z twoimi rodzicami?

- Jak sam pan powiedział, znali się. Nie wiem jak blisko.

- Pomogłoby, gdybym mógł się tego dowiedzieć.

- Mama nie będzie chciała rozmawiać o Staci Rosalier - Dave nadal się nie poddawał. - Gwarantuję. Nie będzie chciała o niczym rozmawiać.

- Postaram się jej w to nie mieszać. Chcę tylko dowiedzieć się o Toddzie.

- Po co pokazywali go w TV?

- Policja stara się znaleźć krewnych Staci.

- No to już wszystko jest jawne, albo wkrótce będzie. O Manionach.

- Niekoniecznie. To niezbyt dobre zdjęcie. I może mieć kilka lat.

Dave chwycił się kolejnej wymówki, by zaprzeczyć, jego gniew buzował tuż pod powierzchnią, gotów eksplodować.

- Więc do jutra ktoś go dla glin zidentyfikuje, zgadza się?

- Możliwe.

- I wtedy będą mogli porozmawiać z Manionami, uzyskać od nich cokolwiek chcą i nie mieszać w to mojej matki.

- Tak. Mogliby. Jeśli identyfikacja okaże się wystarczająco przekonująca. Ale jeśli Manionowie mają coś do ukrycia, to do tego czasu zostaną ostrzeżeni. Mogą zwyczajnie zaprzeczyć, że na zdjęciu jest Todd. A jeśli potrzeba czegoś więcej, to będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby coś wymyślić.

Możliwe, że już o wszystkim wiedzą.

- Ale pan mówi o sławnych Manionach. Co mieliby mieć do ukrycia?

- Jeśli pomiędzy nimi a Staci Rosalier istnieje jakiś związek, stanie się on częścią dochodzenia w sprawie śmierci twojego ojca. Nie rozumiesz? Teraz nie jest. W ogóle nie biorą w tym udziału. Jak do tej pory, jedyne, co mamy, to umówione spotkanie Carol Manion z Andrea Parisi...

- Moment. Co?

Hunt zdał sobie sprawę, że w tym pośpiechu nie wspomniał o zasadniczym połączeniu. Teraz ustawił je w odpowiednim miejscu.

- Zatem, jeśli istnieje związek - jakikolwiek - pomiędzy nimi a Staci, to jak dotąd świadomie go ukrywali. Nie sądzisz, że powinni byli zrozumieć, jakie to ważne? Nie uważasz, że to całkiem przekonujące? - Hunt wiedział, że zrobił wszystko, co mógł. Nie wiedział tylko, czy to wystarczy. - Proszę - dodał. - To niezwykle ważne. Nie wspomnę o Staci. Nie zajmę twojej matce nawet pięciu minut.

Mężczyzna walczył ze sobą. Ulicą przejechał samochód z włączonymi światłami, choć nie było jeszcze ciemno. Fontanna pluskała do stawu. Wewnątrz domu, za zamkniętymi drzwiami, ponad szmerem rozmów rozległ się kobiecy śmiech.

- Może. Zapytam - powiedział w końcu syn sędziego.

Nikt nie zamierzał zostawić Hunta samego z Jeannette Palmer.

Siedząc na kanapie w salonie, po jej obu stronach stały jej siostra Vanessa i córka Kathy, która na początku otworzyła drzwi. Reszta, około dwudziestu osób, rodziny i, prawdopodobnie, koteria bliskich przyjaciół, zebrała się w salonie oraz kuchni i jadalni, ale pierwsze pytanie, które Hunt postawił pani Palmer uciszyło szmer otoczenia wyciszeniem przetaczającym się przez cały dom, jakby ktoś przekreślił wyłącznik.

- Carol Manion? Oczywiście - odparła Jeannette. - Znamy Warda i Carol przynajmniej piętnaście lat. Byli dziś rano na pogrzebie.

- Tak, wiem - Hunt usiadł na otomanie naprzeciwko stolika. - Ja też tam byłem, pani Palmer. Ale zauważyłem, że przyszli bez syna.

- Ma pan na myśli Todda. Nie, to prawda. Myślę, że był w szkole. Pogrzeby to i tak nie miejsce dla dzieci.

- Ma około ośmiu lat, prawda? Przerwała, zastanawiając się przez chwilę.

- Tak. Tak myślę.

- Jest więc adoptowany?

Pytanie bynajmniej nie zbiło jej z tropu.

- Tak, to chyba oczywiste, prawda? Carol musi być z rok lub dwa lata starsza ode mnie, a ja skończyłam sześćdziesiąt dwa.

- Pani Palmer - powiedział Hunt - czy pamięta pani, żeby ktoś zwrócił uwagę, że to dość dziwne, gdy Manionowie, po adopcji Todda, przywieźli go do domu? Carol miała pięćdziesiąt sześć czy siedem lat, miała już szesnastoletniego syna, Camerona, zgadza się?

- Tak. Cameron.

- Więc po co było jej kolejne dziecko? Gdy przywiozła Todda, był noworodkiem, prawda?

- Tak, jak najbardziej.

Hunt postawił pytanie wprost:

- Pani Palmer, czy myślała pani wtedy lub myśli teraz, że Todd może być naprawdę synem Camerona?

Jeannette Palmer zacisnęła wargi, ale po chwili rozluźniła je i skinęła.

- Cameron pojechał latem na obóz sportowy. Oni przywieźli Todda pod koniec kwietnia następnego roku. Nie chcę być nieżyczliwa, ale trochę trudno było nie wyciągnąć takiego wniosku. Choć nikt, oczywiście, nigdy nic bezpośrednio im nie powiedział, Wardowi i Carol. A oni zawsze traktowali Todda jak własnego syna.

Hunt był całkiem blisko boiska Małej Ligi na Presidio, więc podjechał tam, jednak tylko po to, by dowiedzieć się, iż wszystkie wieczorne mecze zakończyły się niemal godzinę wcześniej. Nigdzie nie widział Juhle'a ani nikogo z jego rodziny, wszyscy prawdopodobnie pojechali na posiłek do jednej z pięciu tysięcy restauracji w mieście. Najpierw jednak spróbował numeru domowego - nigdy nie wiadomo, może po raz pierwszy w historii, pojechali po meczu po prostu do domu.

Ale nie, tradycja to rzecz święta.

Następnie spróbował ponownie złapać Juhle'a na komórkę i ponownie odezwała się poczta głosowa. Tym razem nagrał bardziej konkretną wiadomość: „Todd Manion nie jest bratem Staci. To jej syn. Musisz natychmiast porozmawiać z Manionami, Dev. I weź ze sobą kajdanki. Zadzwoń”.

Ale cały podekscytowany, Hunt nie zamierzał pojechać do domu Juhle'a i czekać na powrót przyjaciela z rodziną.

Nadal nie dawał mu spokoju brak dowodu.

Nawet jeśli Todd był adoptowany, Staci była jego biologiczną matką, a Cameron ojcem, to co z tego? Jeśli nie istniały zapisy rozmów telefonicznych lub innego rodzaju kontaktów pomiędzy głównymi osobami - Carol Manion, Palmerem, Andrea i Staci - to Manionowie mogli zaprzeczyć, jakoby mieli do czynienia ze Staci od jej przyjazdu do San Francisco, blokując tym Juhle'a na zawsze. A mając zastępy najlepszych prawników, byli w stanie tego dokonać.

Aby posunąć się choć trochę do przodu, Juhle potrzebowałby przynajmniej dowodu, że Staci w istocie była matką Todda. Cameron zginął rok wcześniej w wieku dwudziestu czterech lat. Staci miała dwadzieścia dwa. Mieliby zatem, odpowiednio, szesnaście i czternaście. I poznali się na obozie sportowym.

Jedynie, co Hunt wiedział o Staci, to to, że cztery lata temu mieszkała w Pasadenie.

No ale przynajmniej było to w ogóle coś.

Praca w branży znajdowania ludzi nauczyła Hunta, że należy zaczynać od najprostszego, najbardziej oczywistego rozwiązania. Siedząc nadal w samochodzie zaparkowanym przy boisku Małej Ligi przy Presidio, wybrał numer informacji miasta ze stadionem Rose Bowl i nawet nie wkładając w to zbyt wielkiej nadziei, zapytał o numer Rosalier, imię nieznanne. Nie jest to Smith, pomyślał. Ale wtedy operator powiedział:

- Mam jeden numer - i Hunt wcisnął gwiazdkę na klawiaturze, by uzyskać numer, który zapisał w notesie, słuchając sygnału łączenia go z aparatem jakieś czterysta mil na południe.

- Tak? - głos kulturalnej kobiety.

- Dobry wieczór. Czy rozmawiam z panią lub panną Rosalier?

- Mówi pani Rosalier, ale jeśli próbuje pan coś sprzedać, to pora kolacji w piątek naprawdę nie jest...

- Nic nie sprzedaję! Słowo. Nazywam się Wyatt Hunt i jestem prywatnym detektywem, pracuję w San Francisco. Próbuję znaleźć krewnych Staci Rosalier. To naprawdę bardzo pilne.

- Staci Rosalier? - kobieta umilkła. Gdy ponownie się odezwała, jej głos był ostry. - Czy to ma być zabawne? Jakiś chory żart? Odkładam słuchawkę.

- Nie! Proszę.

Ale było za późno. Rozłączyła się. Hunt natychmiast wcisnął klawisz ponownego wybierania, usłyszał sygnał zajętości, rozłączył się, spróbował jeszcze raz z tym samym efektem. Po kilku minutach uspokoił się, włączył silnik i spojrzął na zegar na desce rozdzielczej, dochodziła ósma wieczorem. Niebo ciemniało. Może powinien podjechać do Royal Thai, sprawdzić, czy Staci zostawiła jakieś referencje, a po drodze zobaczyć, czy Juhle już wrócił do domu. Albo może, czy jednak nie opłaciłoby się wstąpić do Manionów?

Wyjeżdżając z Presidio, jeszcze raz wcisnął ponowne wybieranie. Tym razem, ku jego zadowoleniu, linia nie była zajęta. Szybko zaparkował, wyłączył silnik i czekał.

Kiedy po drugiej stronie usłyszał męski głos, odparł:- To nie jest żart. Proszę się nie rozłączać - przedstawił się ponownie, podał numer telefonu, mówiąc, że może do niego oddzwonić, jeśli woli. Powtórzył, że sprawa była pilna.

Mężczyzna wysłuchał go i powiedział:

- Wiemy, kim jest Staci Rosalier. To ta dziewczyna, którą zabito z sędzią w San Francisco.

- Zgadza się - odparł Hunt. - Jak powiedziałem pani, która odebrała poprzednio, staramy się zlokalizować krewnych. Nie chciałem jej zdenerwować.

- Gdy nosi się takie nazwisko jak ofiara morderstwa, ludzie mają zwyczaj człowiekowi o tym opowiadać. Moja żona stała się przez to nieco spięta. Pomyślała, że jest pan jakimś wariatem. Nie znamy osobiście żadnej Staci Rosalier.

Teoretycznie powinno to zakończyć rozmowę, lecz coś w tej odpowiedzi uderzyło Hunta.

- Nie chcę sprawiać trudności, ale czy jest pan pewien?

- Oczywiście, że tak. Co to za pytanie?

- Miała dwadzieścia dwa lata.

Tym razem pauza była dłuższa.

- Czytaliśmy.

Hunt przerwał - tylko na chwilę. Nie chciał stracić kontaktu.

- Powiedział pan, że nie znacie żadnej Staci Rosalier osobiście. Ale wydaje mi się, że to imię coś panu mówi.

Hunt usłyszał, jak mężczyzna mówi nie do słuchawki. - Nie, w porządku. Wydaje się być okay - po czym wrócił do niego. - No więc, oczywiście nasze nazwisko brzmi Rosalier. I mamy córkę, Caitlin, która dopiero co skończyła dwadzieścia trzy lata.

Hunt nie miał pojęcia do czego zmierza pan Rosalier, ale chciał, by mówił dalej.

- I?

- I jej najlepsza przyjaciółka w szkole średniej miała na imię Staci. Staci Keilly. W czasie ostatniej klasy, właściwie mieszkała tu z nami. Żartowaliśmy, że powinna należeć do rodziny - jego głos ucichł nieznacznie. - To dlatego, gdy usłyszeliśmy, że kobieta zabita razem z sędzią nazywa się Staci Rosalier...

- Zadzwoniliście państwo na policję?

- Nie. Rozmawialiśmy o tym, oczywiście, ale Staci Keilly, to nie Staci Rosalier. W końcu zdecydowaliśmy, że to musiał być zbieg okoliczności.

Pomijając fakt, pomyślał Hunt, że Juhle miał rację, w przypadku zabójstw nie ma zbiegów okoliczności. Poza tym, naturalnym było, że Rosalier nie chcieli angażować się w cokolwiek związanego z zamordowanym sędzią federalnym.

- Gdybym mógł zająć panu jeszcze chwilę, czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, gdzie Staci Keilly może być obecnie? Miał pan ostatnio jakieś wieści od niej?

- Już od kilku lat nie. Caitlin pojechała na Wschód studiować. Middlebury. Zawsze była dobrą uczennicą, a Staci raczej... Staci wiodła inne życie. Była bardzo ładna i popularna, jak to bywają uczennice w szkole średniej. Tak czy inaczej, gdy Caitlin wyjechała, przestaliśmy widywać Staci.

- A jej rodzice? Mieszkają w Pasadenie?

- Sądzę, że tak. Ale nigdy ich nie poznaliśmy. Sądzę, że ich dom nie był... nie przypominał naszego. Nie interesowało ich, jak często Staci u nas nocowała, ani do jak późna zostawała. Nie byli raczej chodzącą reklamą rodziny zastępczej.

Hunt poczuł dreszcz, który wywołał gęsią skórę na jego ramionach.

- Mówi pan, że Staci wychowała się w rodzinie zastępczej ?

- Tak. Wiemy to wszystko z drugiej ręki, od Caitlin, ale sytuacja ewidentnie nie była dobra. Pewnie dlatego przesiadywała u nas - na sekundę umilkł. - Nie sądzi pan chyba, że ta kobieta u was...?

- Że to wasza Staci Keilly? Nie mam pojęcia. Zależy to od tego, czy państwa zdaniem możliwe jest, że Staci tak bardzo nie cierpiała swoich przybranych rodziców, że wyrzekła się ich nazwiska i przyjęła wasze.

- Brzmi to dość skrajnie. Ale sam nie wiem. Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Możliwe - odkaslnął - ale to oznaczałoby, że ona nie żyje, prawda?

Tak, jak powiedział ojciec, Caitlin Rosalier była kujonem. Piątkowy, wiosenny wieczór, a ona siedziała sama w swym mieszkaniu w Bostonie, czytając.

- Moi rodzice dali panu ten numer? Naprawdę?

- Caitlin, możesz zadzwonić do domu i ich spytać. Zadzwonię jeszcze raz za trzy minuty.

- Tak właśnie zrobię, jeśli pan pozwoli. Jeśli zechcę z panem mówić, to ja zadzwonię - wykapaną córka. Rozłączyła się.

Po trzech długich minutach zadzwoniła, a jej głos brzmiał, jakby jedno z rodziców nie tylko zaręczyło za Hunta, ale również przekazało jej złe wieści. Jej głos był drżący, przygaszony.

- Powiedzieli, że chce pan wiedzieć trochę więcej o Staci? Nie mogę uwierzyć, że ktoś ją zabił. Kto mógł zrobić coś takiego?

- Tego właśnie staram się dowiedzieć, Caitlin. Twój tata powiedział mi, że rodzina Keillych... Może ty mogłabyś powiedzieć mi, co wiesz?

- Po pierwsze, to nie znałam ich zbyt dobrze. Głównie z tego, co Staci mi mówiła.

- To znaczy?

- Nie lubiła ich za bardzo, ale też nie przeszkadzali jej zbytnio. Chyba się przyzwyczaiła. To nie był prawdziwy dom.

Hunt miał całkiem wyrobione zdanie o niektórych domach zastępczych, ale każdy taki dom jest wyjątkowy i musiał wiedzieć o konkretnych doświadczeniach Staci.

- Czym się różnił?

- Prawie wszystkim. Za wyjątkiem tego, że została adoptowana - Hunt wiedział, iż istotnie, jest to niezwykle. Z zasady opieka zastępcza jest krótkotrwała, kończąc się umieszczeniem z powrotem z biologicznymi lub adopcyjnymi rodzicami. Bardzo rzadko rodzice zastępczy adoptują którekolwiek z dzieci, którymi się opiekują.

- Była chyba jednym z pierwszych dzieci, które do siebie wzięli, kiedy miała około trzech, czterech lat.

- Wiesz może, czemu nie wychowywali jej biologiczni rodzice?

- Chyba - wiem, że zabrzmiało to melodramatycznie, ale sądzę, że to prawda - została porzucona po urodzeniu. Jako dziecko cały czas przerzucali ją z miejsca na miejsce. Najwyraźniej była nerwowa i często miała kolki i dużo płakała. Właściwie, to sama mówiła o sobie, trudne dziecko. Choć wcale taka nie

była, trudna, nie wtedy, gdy ją znałam. W każdym razie w końcu trafiła do Keillych i ją zatrzymali.

- Ale w domu były też inne dzieci?

- Cóż, w tym tkwił problem. Kiedy zaprzyjaźniłam się ze Staci, jej rodzice zaczęli traktować opiekę zastępczą jak interes. Żadne z nich nie miało pracy, a płacono im za każdy dzień i za każde dziecko. No więc agencje zwoziły im dzieci do domu na dzień, kilka tygodni, czasami miesiąc...

- Tak, wiem, jak to działa - powiedział Hunt.

- Okay, ale ta zmiana odbiła się na Staci. Nagle, z całym tymi przyjazdami i wyjazdami, nie czuła, że ją jeszcze kochają albo że w ogóle chcą ją jako córkę. Sprawiała same kłopoty, a w efekcie i tak nie była tego warta. Nie przynosiła im żadnych dochodów. Jeśli chodzi o ścisłość, to musieli na nią łożyć.

- W jaki sposób sprawiała im kłopoty?

- Tego nie wiem. Nie chciała o tym rozmawiać. Tylko, że była trudnym dzieckiem. Ale domyśliłam się, że musiało to być, nim przenieśli się do Pasadeny. Coś się wydarzyło, co zmieniło ich relacje, że nagle przestali już o nią dbać. Tak jakby dali sobie spokój, bo sprawiała za dużo problemów.

- Kiedy to było?

- Myślę, że początek pierwszego roku. To znaczy pierwszej klasy szkoły średniej.

- A gdzie mieszkali wcześniej?

- Chyba Fairfield. To w Północnej Kalifornii.

- Wiem. Dzwonię z San Francisco - przerwał na moment. - Caitlin, nie wiesz przypadkiem, czy to nie dlatego, że zaszła w ciążę?

Zawahała się.

- Kiedyś zaczęłyśmy rozmawiać o tym, jak powychodzimy za mąż i będziemy mieć dzieci. Wie pan, jak to się rozmawia w szkole średniej. A ona zaczęła płakać. Ale naprawdę płakać. Kiedy się uspokoiła, zapytałam, o co chodzi, a ona odparła, że nie chce rozmawiać o dzieciach. Nigdy, przenigdy. Dzieci były dla niej zbyt bolesne.

- Dlaczego?

- Miała kiedyś synka. Ale jej go zabrali.

Hunt nadal siedział w Cooperze zaparkowanym na ulicy w obrębie Presidio. Potrzebował jeszcze jednego przystanku na tej ponurej drodze, musiał bowiem mieć niepodważalną pewność. Pocieszył się, że znajdując rodzinę Staci Rosalier oddaje również przysługę Juhle'owi. Informacja podała mu numer jedynych Keillych w Pasadenie i dwie minuty po tym, jak skończył rozmowę z Caitlin Rosalier, rozmawiał poprzez kakofonię w tle - telewizja, muzyka, krzyczące dzieci - z Kitty Keilly.

- Przepraszam, kto mówi?

Hunt powtórzył, po czym musiał zaczekać, gdy ona starała się dotrzeć do jakiegoś cichszego miejsca. Słuchając jej przeprawy przez dom - „Wyłącz to!”, „Jason odłóż to!”, „Przestań jeść. Mówię poważnie!”, „Cholera, cholera, cholera” - Hunt zyskał doskonałe wyobrażenie środowiska, z jakiego uciekła Staci i nigdy nie oglądała się za siebie. Trzasnęły drzwi i kobieta odezwała się:

- No. Nie słyszałam samej siebie. Dobrze, panie Hunt, zgadza się? Jest pan prywatnym detektywem i chodzi panu o Staci?

- Tak sędzę. Choć wydaje mi się, że zmieniła nazwisko.

- Znowu ma problemy? Od początku same problemy. Nie wiem, jak mogę pomóc. Nie widzieliśmy jej na oczy od kilku lat, odkąd jakimś cudem skończyła szkołę. Nie żebyśmy się tego nie spodziewali, oczywiście, mając nasze doświadczenie. Znaczący mają swoje życia, a dla ludzi, którzy ich wychowali, nie istnieje coś takiego, jak wdzięczność. Bóg świadkiem, że dobrze o tym wiemy. Jak potrzebuje pieniędzy, to niech jej pan powie, że źle kombinuje. No, ale dobrze, co tym razem zrobiła?

- Nim do tego dojdziemy - a bólu tego, co miał jej do przekazania, naprawdę wolałby jej oszczędzić - czy mogłaby mi pani powiedzieć o jej dziecku?

Wahanie zdradziło prawdę.

- Nie miała nigdy żadnego dziecka. Dla kogo pan pracuje?

- W tym momencie, dla Staci.

- To jak chce o tym rozmawiać, to czemu sama nie powiedziała panu o dziecku?

- Wydawało mi się, że pani stwierdziła, że nie miała dziecka. Cisza.

- Osiem lat temu urodziła chłopca, prawda? Ojcem był Cameron Manion.

- Nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Manionowie zapłacili, by pani o tym nie mówiła? Nie odpowiedziała.

- Pani Keilly?

- Nigdy nie miała dziecka.

- Myślę, że właśnie pani przyznała, że miała.

- Nie chcę już tego słuchać - ale nie rozłączyła się.

Hunt czekał. W końcu odezwała się innym, przygaszonym głosem.

- O Boże, co się stało?

- Nic dobrego. Lepiej, jeśli pani usiądzie - najdelikatniej jak potrafił, przekazał jej wieści. Choć wyobrażał ją sobie jako humorzystą, użalającą się nad sobą i prymitywną, łączył się z nią w bólu, gdy usłyszał pustkę w jej głosie. - Och.

Gdy skończył, połączenie zatoneło w ciszy. Kiedy pani Keilly w końcu się odezwała, jej głos był cichszy niż szept.

- Dla tej staruchy synalek był taki cudowny, taki doskonały. A oni wszyscy

byli od nas tacy lepsi. I że moja mała to śmieć. Że my wszyscy to śmieci. Uważała, że Staci celowo zasła, żeby położyć łapę na nich i ich pieniądzech.

- I co zrobili?

- Najpierw, oczywiście, zaprzeczyli, że Cameron jest ojcem. Powiedzieli, że wszyscy wiedzą, że Staci to zdzira i że spała z każdym na obozie.

- Była na obozie sportowym Camerona? Zaśmiała się sucho.

- Żartuje pan? Nie stać nas na coś takiego. Była ratownikiem w Berryessie. To była jej praca na lato. Może nie powinniśmy jej pozwolić, żeby jechała tam sama, ale to miał być świetny obóz dla bogatych dzieciaków, a my jej ufaliśmy. Nie sądziliśmy... cóż, to nie ma znaczenia, co myśleliśmy.

- Co dalej ?

- No więc, jeśli chodzi o chłopca, to się postawił. Nie chciał słyszeć, że Staci była z kimś innym. Że to było ich dziecko, owoc miłości i on zachowa się jak mężczyzna i będzie się nimi opiekował i że ją poślubi. Kochał ją. Szesnaście lat. Dureń.

- Więc państwo...

- Moment. My nic nie zrobiliśmy. Nic złego, w każdym razie. Jeśli to było dziecko ich cudownego synka, to było jej wnukiem.

- Ma pani na myśli Carol Manion?

- No a o kim rozmawiamy? Carol bogata pieprzona suka Manion. Jej synek nie będzie brał za żonę żadnej białej biedoty. A ona nie pozwoliłaby, żeby jej wnuk wychowywał się w przyczepie campingowej. Och, no i skandal. Niech pan nie zapomina o skandalu. Wie pan, że nawet nigdy do nas nie przyjechali, nigdy nie rozmawiali. Przyszli swoich lekarzy i prawników. Żeby załatwili sprawę.

- Z kim? Ze Staci?

Pani Keilly znów mówiła swoim napastliwym, jazgotliwym głosem.

- Staci nie miała wyboru. Na litość boską, miała czternaście lat. Kiedy nie chciała podpisać papierów, my je za nią podpisaliśmy. To była nasza decyzja i najlepsze wyjście dla dziecka, dla wszystkich. Nie było w tym nic złego.

- Ile wam zapłacili? - spytał Hunt. Żebyście oddali im dziecko waszej córki, aby wychowali je jak swoje? A potem przenieśli się z czternastoletnią Staci - bez wątplenia bez żadnej zapowiedzi i być może z kłamstwami, które równały czyn z porwaniem - do najbardziej oddalonej części stanu.

- Nie chodziło o pieniądze - odparła.

Ale Hunt wiedział, że to właśnie dokładnie o nie chodziło.

Pracujesz nad sprawą czy nie, ciężkie doświadczenia nauczyły Juhle'a, że jeśli nie chcesz, aby ci przeszkadzano, w czasie gdy dzieci grają mecz, nie bierz ze sobą komórki. A tego wieczora, gdy występował w roli trenera Szerzeni, zasady tej przestrzegał jeszcze surowiej. Był więc naprawdę nieosiągalny - pager i telefon zostawił w schowku na rękawiczki w samochodzie.

Później, po wygranej drużyny i pizzy z rodziną, sumienie wzięło górę i pojechał ze wszystkimi aż do Francis Wood, odwiedzić Malinoffa. Doug nadal leżał w łóżku, mając nogę unieruchomioną aż do uda. Wszyscy podpisali się na gipsie - Juhle napisał „Ślizg, cholera, ślizg!”, a pod spodem Connie dopisała „Ale nie w korkach na trawie”. Wszyscy się nieźle uśmiali. Potem Juhle i Connie wypili kilka piw i posiedzieli w sypialni z inwalidą i jego żoną, Liz, aż mecz Gigantów na dużym ekranie dobiegł końca, podczas gdy szóstka dzieci siedziała w pokoju dziecięcym wpatrzona w jakąś długometrażową kreskówkę.

Było trochę po dziesiątej, dzieci leżały w swoich łóżkach z powrotem w domu, a Juhle zdjął temblak i położył go na oparciu łóżka, zatoczył ramieniem małe kółko.

- Choć trochę lepiej? - spytała Connie, idąc korytarzem do sypialni.

- Przynajmniej działa. Chyba przestanę nosić ten temblak. W drugą rękę mogę już brać małe przedmioty. Powoli, ale za każdym razem, jak mnie to przybija, myślę sobie o biednym Dougu przykutym do łóżka na kilka następných tygodni z uszkodzonym kręgosłupem, i może jestem okrutny, ale jakoś mi od tego lepiej.

- Jesteś okrutny.

- Fakt. Ale w delikatny, sympatyczny sposób. Nie wiem, może to tylko moje wrażenie, ale nie wydaje ci się, że Doug był zaskoczony naszym dzisiejszym zwiąstwem?

- Zaskoczony? Jego światopogląd leżał w gruzach. Widziałeś jego minę, jak powiedziałeś mu, że pozwoliłeś, żeby dzieci same ustalały kolejność? I jak wszyscy grali na pozycjach, na których jeszcze nigdy nie grali? Myślałam, że dostanie ataku serca.

- Pewnie cofnąłem drużynę o kilka lat.

- Bez dwóch zdań - nie zatrzymując się, Connie podeszła do niego i położyła palec na jego klatce piersiowej. - Widzę, że patrzysz na telefon, inspektorze, i muszę cię upomnieć - nie włączaj go. Nawet go nie dotykaj. Na chwilę wejść do łazienki, a kiedy wyjdę w stanie naturalnego piękna, powinienes być przygotowany. Ostrzegam, będzie ci potrzebna cała energia.

Prawie godzinę później Connie spała obok niego, oddychając głęboko i Juhle wstał, zabierając telefon i szlafrok i przeszedł do salonu. Odebrał wiadomości. Na koniec zadzwonił do Hunta.

- Nie śpisz?

- W żadnym wypadku - odparł Hunt. - Gdzie jesteś? Odebrałeś moje wiadomości?

- W domu i właśnie je odsłuchałem. Sporo zrobiłeś.

Hunt opowiedział mu wszystko pokrótce, Juhle zapisał nazwiska, przybliżone daty, numery telefonów.

- Więc w tym wszystkim chodzi o to dziecko? - spytał Juhle, gdy Hunt skończył.

- Tak. Carol Manion od samego początku wychowywała Todda jak własnego syna, braciszka Camerona, podczas gdy był on jego synem. Wygląda na to, że nawet adopcja nie była legalna. Po prostu zapłacili rodzicom Staci zaraz po urodzeniu, by się pozbyć biologicznej matki z życia.

- Przyznali się do tego?

- Tak jakby, Dev. Ale Staci nie umie z tym żyć. Gdy kończy osiemnaście lat, przeprowadza się tutaj po szkole średniej, bez wątplenia, by być blisko dziecka, i niedługo potem znajduje Todda i robi mu zdjęcie z oddali, to które już wszyscy znają. Nie wiem, co się dzieje potem. Może zobaczyła, że dzieciak dobrze żyje, dużo lepiej, niż ona mogłaby mu zapewnić. Ma tylko naście lat. Manionowie z pewnością ją onieśmielają. No, ale jest przynajmniej fizycznie blisko syna. A Todd ma kochającą matkę i wierzy, że to jego prawdziwa matka. Do tego Todd nie zna Staci, nigdy jej nie znał. I mieszka z biologicznym ojcem. Może się z tym wszystkim pogodziła.

- Aż Cameron ginie w wypadku?

- Dokładnie. Myślę, że tak było. Cameron, prawdziwy ojciec Todda, zginął. I przez to sytuacja nie była już taka sama. Dla Staci to nie było to samo, Todd wychowywany tylko przez babkę. To było nie fair i nie w porządku. Poza tym wtedy - mówimy o minionym lecie - w jej życiu zaszło sporo zmian. Ma cztery lata więcej i jest oficjalnie dorosła, ma dobrą pracę, mieszka w ładnym mieszkaniu. Na dodatek jest blisko z Palmerem, który nie tylko ma wielką władzę, ale również, jak się okazuje, zna Manionów. Ma punkt zaczepienia, a nawet reprezentanta prawnego. Może walczyć, by odzyskać syna.

- Więc sędzia kontaktuje ją z Parisi - powiedział Juhle, podążając tym samym tokiem.

- Nie, myślę, że jeszcze nie - odparł Hunt. - Daje jej wizytówkę Andrei, okay, ale nim zaczną zatrudniać prawników, a sytuacja zrobi się paskudna, Palmer chce być wielkim negocjatorem, plus ma niemałe ego, tak? Może zadzwonić do Carol Manion i mogą to przedyskutować jak cywilizowani

ludzie. W oczach Staci robi to z niego jeszcze większego bohatera.

- Więc zaprasza ją do siebie na poniedziałkowy wieczór?

- Tak to widzę. Zaczyna się od miłego telefonu - Palmer do Carol Manion, starzy przyjaciele. Przyjedź, pogadamy o zaistniałej sytuacji, dojdziemy do jakiegoś polubownego rozwiązania. Sędzia wspomina, że jest bardzo czuły na punkcie prywatności Carol, więc dopilnował, by ani on, ani Staci nie wspomnieli o tym nikomu. Staci chce tylko trochę czasu, może regularne spotkania z dzieckiem.

- Ale...

- Właśnie. Ale Carol nie chce polubownego porozumienia. Rok wcześniej straciła Camerona. Nie ma mowy, żeby ta biała zdzira z przyczepy campingowej miała do czynienia z Toddem, teraz jej jedynym synem, i życiem, jakie dla niego stworzyła. Więc kiedy pojawia się u sędziego w poniedziałek, ma broń. Gotowa jest uczynić wszystko, aby cała sprawa skończyła się wraz ze śmiercią sędziego i Staci.

- A Parisi?

- Zastanawiałem się nad tym i mogło być tak. Słuchaj. Wiemy, że Carol nie otworzyła ognia od razu. Sędzia siedział przy biurku, tak? A Staci stała obok. Czyli przynajmniej przez chwilę rozmawiali, może dużo dłużej. Myślę, że Palmer powiedział Carol, że on, albo Staci, rozmawiali już z Andrea, że ona zajmie się szczegółami odwiedzin, dokumentami, coś w tym stylu. No więc zadzwoniła do Andrei tego samego wieczora albo następnego dnia i umówiła się na spotkanie na środę.

- Yhy.

- Co?

- Dobrze ci szło. Dlaczego czekałaby do środy?

- Może Andrea nie miała wcześniejszego terminu.

- Ale gdybyśmy zidentyfikowali Rosalier wcześniej, Parisi dostrzegłaby powiązanie i zgłosiła się na policję.

- Może, ale niekoniecznie. Nie sądzę, że musiałaby komukolwiek powiedzieć. Jest prawnikiem. Manion mogła zadzwonić, obiecać zaliczkę, by powstała relacja adwokat-klient, po czym wyznać jej wszystko w poniedziałek, a tamta nie mogłaby słowa pisać. I nie zrobiłaby tego. Andrea mogła spotkać się z nią, myśląc, że będzie prowadziła jej obronę w sądzie. - Po minucie ciszy, spytał: - Dev?

- Jestem.

- Podoba mi się.

- Mnie też.

- Ale nadal nie mamy dowodów.

- Ano nie.

- Ani śladu Andrei.

- Hej, Wyatt - powiedział Juhle łagodnie - tego możemy nigdy nie mieć.
Rozumiesz?

- Wiem. Nie liczę na to. Manionów nie ma w domu, tak przy okazji.

- Pojechałeś tam?

- Ta.

- Po co?

- Może, żeby z nimi porozmawiać.

Juhle wziął głęboki wdech.

- Wyatt, myślę, że wkroczyliśmy na obszar działania policji. Może dotarłeś już tak blisko, to teraz ja zacznę wykonywać moją pracę. Nie chcesz przecież tego popsuć.

- OK.

- Gdzie jesteś?

Hunt nie odpowiedział od razu.

- Stoję przed ich domem.

- Wyatt!

- Spokojnie, Dev. Nic się nie martw. Nie zrobię nic głupiego.

- Już robisz coś głupiego. Jeśli Carol zabiła Andreę, to sprawa policji.

- Oczywiście, coś innego?

- Coś, co sam chciałbyś z niej wyciągnąć. Może jakieś przeczucie, że mógłbyś znaleźć Andreę?

- Nie.

- No więc co? Andrea nie żyje, Wyatt. Naprawdę. Przykro mi, ale taka jest prawda. I wołałbym, żebyś nie rozmawiał z żadnym z Manionów, nawet jeśli nadarzyłaby ci się okazja. Mówię poważnie.

- Jak powiedziałem, nie ma ich w domu.

- Ciebie też nie ma, a powinienes.

- Niedługo tam pojadę.

- A dokładnie?

- Jak tu skończę.

Kiedy się rozłączył, zadzwonił do Mickeya Dade'a i próbował skusić go na wybranie się do Napa, by znalazł Piwnice Manionów, sprawdził, czy właściciele są w domu w zagłębiu winiarskim. Mickey nie okazał zbytniego zainteresowania tą wycieczką. Już stracił trochę możliwości zarobku jako taksówkarz, jeżdżąc dla Hunta poprzedniego wieczora i tego dnia rano. Piątek jest jego najlepszym dniem, a potrzebne mu są pieniądze na zajęcia w przyszłym tygodniu. Poza tym był już w tamtych okolicach wielokrotnie i wie, gdzie są Piwnice Manionów. Nie bardzo starali się ukryć budynki, skoro zadali sobie trud postawienia i wyposażenia sal do degustacji i całej reszty.

- Jeśli ich nie znajdziesz, Wyatt - powiedział - to na twoim miejscu pomyślałbym o zmianie zawodu. Słyszałem, że hydraulika jest w modzie.

Kiedy Hunt podjechał pod posiadłość Manionów, zadzwonił do drzwi, słuchając jak kurant wygrywa melodyjkę, która umilkła w niewidocznym, przepastnym wnętrzu. Przez jakiś czas siedział w samochodzie, unieruchomiony przez sprzeczne uczucia. Nie wiedział, gdzie są Manionowie, ani kiedy wrócić. Nie był też stuprocentowo pewien, co zamierza zrobić, jeśli się pojawią i musiałby z nimi rozmawiać.

Ale pojechał tam, kierując się instynktem, a teraz ponownie usłyszał jego głos. Wsiadł z samochodu i stał przez chwilę, wpatrując się przez mgłę w ciemną fasadę domu. Przeszedł przez ulicę i zaczął iść w stronę drzwi, gdy usłyszał za sobą dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi samochodu. Odwrócił się i zmrużył oczy pod nagłym, jaskrawym światłem latarki. W jego stronę zbliżało się dwóch mężczyzn.

- Stać! Policja! Podnieś ręce nad głowę!

Zamiast tego, myśląc, że to Juhle lub jego koledzy, których namówił, żeby podreźczyli go dla zabawy, Hunt rozłożył ramiona i ruszył w ich stronę:

- Co wy...

- Powiedziałem nad głowę!

- Sięga po broń...!

Nagle ruszyli na niego pędem, jeden uderzył go mocno w głowę, brutalnie popchnął do tyłu, oszałamiając, nim miał nawet szansę zareagować.

- Jezu! Hej! Co do...

A wtedy już obaj się nim zajęli, profesjonaliści w każdym calu, którzy wiedzieli, jak szybko obezwładnić człowieka i ewidentnie robili to już wiele razy. Jeden pociągnął ręce Hunta za plecy, przetaczając go na mokrą trawę; drugi, z kolanem w jego zębach, jedną ręką ścisnął mu kark, a drugą obszukał go, znajdując pistolet i wyciągnął go z kabury.

- Proszę, proszę - usłyszał.

Spojrzał w górę, w nieco oszołomioną twarz Shiu. Skuwając go, policjant niemal wyłamał mu ramiona ze stawów.

Hunt nadal czuł kolano wgniatające się w jego kręgosłup i dłoń na karku. Wciąż się szarpiać, zdołał powiedzieć:

- Shiu, to ja, Wyatt Hunt. Daj spokój. Popełniasz błąd!

- To ty popełniłeś błąd - usłyszał głos drugiego mężczyzny - kiedy nie podniosłeś rąk.

Dyszając, niezadowolony z ucisku na kark, Hunt rzucił ze złością:

- Mam pozwolenie na ten pistolet - powiedział. - Sprawdź w moim portfelu, prawa kieszeń z tyłu.

- Wiem, kim jesteś - odparł Shiu. - Uspokój się i zaraz to wyjaśnimy. Niemniej ucisk na jego plecy i kark nie osłabł. Dłonie wyszarpane portfel z jego kieszeni, strumień światła zatańczył na wypielegnowanym trawniku, przez kilka sekund chór ciężkich oddechów wypełniał nocną ciszę, ale nikt

się nie odezwał.

- Co tu robisz, Hunt? - powiedział w końcu Shiu.

Hunt przetoczył się na bok, mrugając pod wpływem światła.

- Może tak zdejmiesz mi te kajdanki?

- Jeszcze nie - padła odpowiedź. - Zadałem ci pytanie. Co tu robisz?

Hunt udzielił odpowiedzi, która, jak sądził, może się im spodobać:

- Pomagam Devinowi.

Sprawy nie potoczyły się tak, jak Hunt planował.

Z jakiegoś powodu, prawdopodobnie chcąc zażyć trochę nieprzerwanego snu, nim rozpocznie w sobotę rano pracę, Juhle nie odebrał telefonu, gdy Shiu zadzwonił do niego przekazać wieści.

Shiu i Al Poggio, drugi glina biorący udział w zatrzymaniu, należeli do grupy około dziesięciu inspektorów wydziału zabójstw, którzy sporo czasu po służbie poświęcali na ochronę dla Manionów. W mieście, gdzie policjanci dorabiali do pensji, wynajmując się do wszystkiego: od wydarzeń sportowych po konwencje zawodowe, od pokazów mody po uroczyste otwarcia, najlepszą fuchą była tego typu prywatna ochrona. I stąd zarezerwowana była dla elity, takiej jak wydział zabójstw i kilku innych starszych inspektorów. Płatna pięćdziesiąt dolarów na godzinę, praca ta była śmiesznie łatwa i polegała zazwyczaj na kilku godzinach zmiany oglądania telewizji - przemysłowej, kablowej i krajowej.

Kiedy Juhle nie odebrał telefonu, ani Shiu, ani Poggio nie byli skłonni rozkuć Hunta. Było to jak najbardziej na ich korzyść, gdy od czasu do czasu zareagowali na faktyczne zagrożenie bezpieczeństwa klienta, a jeśli zagrożenie to większe było poprzez zagrożenie związane z posiadaniem ukrytej broni, tym lepiej. Manionowie płacili najwyższe stawki, aby ich dom był chroniony, a jeśli nigdy nie zachodziło żadne niebezpieczeństwo, mogli poczuć pokusę, by obniżyć stan gotowości bojowej - i liczbę ochrony.

Pod żadnym pozorem Shiu i Poggio nie zamierzali pozwolić, żeby zajście to zakończyło się bez jakiegoś oficjalnego sprawozdania. Sig Sauer P232 Hunta nie figurował na jego pozwoleniu na ukrytą broń i więcej nie potrzebowali. Wezwali zatem radiowóz, by zabrał ich zatrzymanego na miejscowy posterunek celem przesłuchania.

Shiu oczywiście dobrze wiedział o współpracy Hunta z Juhle'em, ale był na krawędzi i kipiał cały dzień - a właściwie już kilka dni - pod wpływem niezbyt subtelnych żartów Juhle'a. Mówiąc mu, by w laboratorium użył trochę władzy. Żartując o San Quentin - budzie z hamburgerami. Nie śmieszne. Cóż, Shiu przekona się, czy Juhle uzna to za zabawne - Wyatt Hunt za kratkami całą noc. Bezprawne wkroczenie. Posiadanie niezarejestrowanej broni.

Shiu zamknął telefon i wrócił do miejsca, gdzie stał Poggio z Huntem.

- Jeśli my czegoś szukamy - mówił Poggio - to zdobywamy nakaz oparty na prawdopodobnej przyczynie, podpisany przez sędziego. Może coś obito ci się o uszy? Więc biorąc to pod uwagę, może nam powiesz, co tu robiłeś?

- Pracuję nad sprawą Palmer/Rosalier i mam kilka pytań do Manionów - powiedział Hunt. - Byłem w okolicy, więc pomyślałem, że sprawdzę, czy są w domu - odwrócił się do Shiu.

- Wiesz, że nad tym pracuję. Powiedz mu.

- Wiem, że pracujesz z Devem, pewnie - odparł kręcąc głową - ale nie mam pojęcia, co tu robisz, a Dev nie odbiera telefonu, więc nie wygląda to na twoją najszcześniejszą noc. A skoro o tym mowa, to CO tu robisz?

- Chciałem porozmawiać z Mamonami.

- Dobrze - zachichotał Poggio. - Tylko, że zauważ, chyba nie ma ich w domu. No więc akurat tędy przejeżdżałeś i zamierzałeś zapukać? O tej porze?

Hunt wzruszył ramionami.

- Chciałem zobaczyć, czy pałą się jakieś światła, może zajrzeć do garaży.

- A to zabawne - powiedział Shiu - bo mamy cię na taśmie godzinę temu, jak dzwoniś do drzwi. I cały czas miałeś samochód zaparkowany przed ich domem. Myślałeś, że wrócili, jak tam siedziałeś i ich po prostu nie zauważyłeś?

Na co Hunt nie mógł udzielić żadnej odpowiedzi, która by go jeszcze bardziej nie pogrążyła.

Po chwili pojawił się radiowóz. Gdy w końcu zdjęli mu kajdanki, dwaj policjanci złapali go pod ramiona i razem wsadzili na tylne siedzenie, zatrzasnąjąc za nim drzwi. Shiu odciągnął kierowcę na bok.

- Możecie spisać go za dwanaście-zero-dwadzieścia-pięć - ukryta broń bez pozwolenia - ale nie wieźcie go do śródmieścia, bo od razu dostanie kaucję. Potrzymajcie go z godzinę na komisariacie, wtedy pojawia się tu następna zmiana, a my przyjedziemy z nim porozmawiać.

30

Mickey Dade był prawdziwym wielbicielem kuchni i wina. Hunt zadzwonił do niego, by przejechał się do zagłębia winiarskiego. Gdyby tylko pamiętał, że w ten weekend odbywa się aukcja win Napa czy też, jak nazwali ją tego roku, aukcja doliny Napa - święty Graal amerykańskiego winiarstwa - odparłby szefowi, że za nic jej nie przepuści.

Dla uczczenia tego dnia wszystkie wspaniałe lokalne restauracje będą miały specjalne menu, niektóre w cenach przystępnych dla plebsu. Na parkingach rozstawione zostaną grille, gdzie światowej sławy kucharze piec będą jagnięta, przepiórki i szparagi, małże, kiełbaski i bakłażany, a powietrze przesycone będzie aromatem ziół, musztardy i dymu ze ściętych gałązek wina.

Mickey zarobił trzysta czternaście dolarów, plus pięćdziesiąt jeden w napiwkach w czasie regularnej zmiany, która kończyła się o drugiej rano. Odstawiając taksówkę w bazie, przesiadł się do własnego, używanego camaro, po czym, mając po dziurki w nosie mgły i zupełnie nie będąc zainteresowany snem, skierował się na północ trasą 101, przez most Golden Gate, minął salon JV w Mill Valley, następnie dom Vanessy Waverly w Novato Skręcając na wschód na 37, jechał średnio osiemdziesiąt dwie mile na godzinę, aż dotarł do zjazdu Napa/Sonoma na 121, następnie przebył Carneros Grade i dotarł na autostradę 29 w niewiele ponad dwadzieścia minut. Wszystko razem czterdzieści osiem minut - osobisty rekord.

Będąc już w dolinie, pod czystym i chłodnym nocnym niebem, na Oakville Crossroads, skręcił na północ w Silverado Trail - kolejną arterię północ - południe. Po kilku milach zjechał z drogi w lewo, na podjazd do Piwnic Manionów, wyraźnie widocznych nawet w świetle księżyca. Samo chateau stało na niskim wzniesieniu. Falujące tereny porastały po obu stronach sinusoidalne rzędy winorośli. Nieco na prawo i z przodu wzniesienie opadało w stronę kolejnych winnic, a nad nimi dostrzegł zarys czterech par drzwi do nowo wykutych w wapiennej skale jaskiń, których Piwnice Manionów używały jako logo.

Brama wjazdowa była zamknięta, zatem Mickey wycofał się i ruszył na północ Silverado Trail, aż do Saint Helena i Howell Mountain Road, gdzie znał kilka ustronnych miejsc i w jednym z nich zaparkował przy ulicy, pod niską koroną dębu. Na wypadek sytuacji takich jak ta, woził ze sobą śpiwór i pięć minut po wyłączeniu silnika spał głęboko na miękkiej ziemi obok samochodu.

O piątej czterdzieści pięć rano Juhle podniósł z ganku gazetę i zaniósł ją do kuchni, gdzie położył ją na stole obok kawy. Po nocy znów mógł mniej poru-

sząć ramieniem, ale podjął decyzję, że zostawi temblak w domu i zamierzał się jej trzymać. Kiedy zakończyły się jego boje z administracją i został przywrócony do służby, Connie dała mu w prezencie urządzenie o nazwie, jak sądził - jego francuski był marny - *cafe filtre* - w którym kawę robiło się zalewając gorącą wodą wyspane do cylindra dokładnie zmielone ziarna, a następnie naciskając filtr. Odkąd zagrał z Malinoffem w „spalonego”, używanie przyrządu sprawiało mu za dużo bólu, ale tego ranka, w nowym duchu zdrowienia, przepychając filtr przez czarny płyn, zdał sobie sprawę, że nawet połamane kości lewej dłoni zaczęły się naprawdę goić.

Kawa była mocniejsza od tej, jaką zazwyczaj parzył sobie w domu i smakowała mu ta przygaszona dwoma łyżeczkami cukru gorycz. Delektując się, otworzył gazetę i zaczął szukać zdjęcia brata Staci. A może Todda Maniona, który został mu przedstawiony, gdy po raz pierwszy złożyli wizytę Carol Manion.

Z dała od boiska Presidio Małej Ligi, oglądając mecz Gigantów u Malinoffów poprzedniego wieczora, przegapił emisję zdjęcia w telewizji, a teraz chciał ponownie przestudiować je w świetle informacji Hunta.

Znalazł je dość łatwo, było umieszczone w widocznym miejscu na górze strony piątej, ale patrząc na nie poczuł rozczarowanie i sporo wysiłku kosztowało go, by połączyć twarz chłopca, na którą patrzył, z chłopcem, któremu kilka dni wcześniej ścisnął rękę. Po pierwsze, rozmazanie oryginalnego zdjęcia wzmożone zostało przez druk niskiej jakości. Poza tym, Todd Manion, którego poznał, był starszy od uśmiechniętego chłopca na zdjęciu - w istocie ani on, ani Shiu nie zauważyli żadnego podobieństwa między tą dwójką, kiedy po raz pierwszy zobaczyli zdjęcie w mieszkaniu Staci.

No i oczywiście fotografia w gazecie była czarno-biała, więc nawet charakterystyczne tło - pokryta terracottą wieża domu Manionów - nie mogła go przekonać. Przyglądając się uważnie twarzy przed nim, Juhle uzmysłowił sobie, że nie bardzo wierzył, że jeśliby ktoś go natychmiast spytał, to zidentyfikowałby chłopca jako Todda Maniona.

Jednak Hunt, rozpoczynając od tego założenia, najwyraźniej zdobył mnóstwo informacji. Odkrył kolejny niemożliwy scenariusz śmierci Palmera i Rosalier, może nawet wyjaśnienie losu zaginionej i uznanej za nieżyjącą Andrei Parisi. Tak jak on i Shiu zrobili w przypadku Jeannette Palmer oraz on i Hunt, pracując wspólnie poprzedniego dnia, w przypadku Arthura Mowery'ego, Jima Pine'a i CCPOA.

Juhle postawił kubek z kawą na stole i spojrzał przed siebie. Wiedział, co ta sprawa mogła znaczyć dla jego kariery, na dobre czy na złe. Jeśli ją schrząni przez błędne aresztowanie, nieprawidłowo przeprowadzone aresztowanie lub brak aresztowania - wszystkie trzy potencjalne, lecz zupełnie różne rodzaje porażki - może się pożegnać z szansą na zdobycie tytułu poli-

cjanta roku. I bez tego uważał, że jego pochwała za bohaterstwo zawsze będzie skalana, jego reputacja nie do odzyskania. Z drugiej strony, sukces znacznie przyczyniłby się do udowodnienia, że wiara, jaką pokłada w nim Lanier, nie jest błędem, że przywrócenie go do roli czynnego inspektora wydziału zabójstw było uzasadnione.

Tak bardzo sobie tego życzył, że aż zęby go bolały. Ale teraz najnowsza ścieżka Hunta ku samozbawieniu zaczynała wyglądać, jakby prowadziła ku śledztwu przeciwko jednej z najbogatszych, najlepiej powiązanych politycznie i wybitnie filantropijnej rodzinie San Francisco. I dlaczego? Ponieważ osiem lat wcześniej adoptowali dziecko, być może własnego wnuka.

Bez wysiłku przypomniawszy sobie słowa Laniera, gdy ostatnim razem spotkali się w jego gabinecie. Porucznik nie chciał słyszeć o żadnych podejrzanych, szczególnie w tej sprawie i szczególnie od Juhle'a, jeśli nie dysponuje dowodami na poparcie swych oskarżeń. Juhle czuł, jak go zółć zalewa na wspomnienie dyskusji, jaka wywiązała się na temat teorii, że Andrea Parisi zabiła sędziego i jego przyjaciółkę, a potem siebie - scenariusz, który, bazując na posiadanych informacjach, nadal był realny.

Poprzedniego wieczora, wyczerpany i rozradowany nagromadzeniem faktów przedstawianych mu przez Hunta, uznał, że nowa teoria nabrała blasku. Oszustwa w wyższych sferach, tuszowanie, konspiracje, walka klas. Brzmiało to tak seksownie, tak słusznie.

Ale tu, teraz, gdy pierwsze światło dnia ukazało gruby, szary koc otulający śpiące miasto, Juhle rzucił ostatnie spojrzenie na zdjęcie brata/syna Staci. A może nikim dla niej nie był? Wizją dziecka, które może straciła, a może i nie.

Juhle zdał sobie sprawę, że wszystkie telefony, jakie wykonał Hunt, powinien teraz zrobić on i Shiu. I nawet jeśli wszyscy powtórzyliby swoje historie - choć to niekoniecznie pewne - musiałby zorganizować przyłot pani Keilly, by zidentyfikowała Staci jako swoją córkę.

Dopiero wtedy, być może, mógłby zacząć budować oskarżenie przeciw Carol Manion, jeśli nadal miałyby podstawy. Jeśli była adopcyjną matką dziecka i jego opiekunem prawnym, nie musiałaby bronić tych praw. Ale jeśli najzwyczajniej kupiła chłopczyka od rodziców Staci i sfalsyfikowała lub sfabrykowała dokumenty, albo nie miała żadnych dokumentów, to Staci mogła mieć prawo odzyskania syna, a Carol Manion byłaby pospolitą porywaczką. Juhle nie mógł wyobrazić sobie innych okoliczności, które doprowadziłyby potężną i wpływową kobietę do zrobienia czegoś pochopnego, nie mówiąc już o popełnieniu morderstwa.

Czy mogłoby to być aż tak proste, tak podstawowe, tak bardzo ograniczone do kwestii klasy i chciwości?

Tak, zdecydował. Mogło być.

W podobnych sytuacjach każdy ruch należało wykonywać zgodnie z wy-

tycznymi. Najmniejsze uchybienie proceduralne sprawiłoby, że wszystkie jego wysiłki będą bezowocne. Prawnicy ustawiliby się w kolejce, aby żonglować dowodami, odrzucać oskarżenia, szkalować oficerów, którzy dokonali aresztowania. Musiał działać powoli. Pragnął szybkiego i zgodnego z prawem aresztowania, bardziej niż był się w stanie przyznać przed samym sobą. Przemykał od teorii do teorii przez większą część tego tygodnia i każda była logiczna, aż dochodziło do miejsca, gdzie pokazać trzeba było dowód.

Tak się oto przedstawia jego sytuacja w sobotni poranek. Miał już swoją dawkę kofeiny i nie zaśnie. Pił kawę, bezcelowo przerzucając strony gazety. Na chwilę zatrzymał się w dziale sportowym, sprawdził pogodę - nic nowego: rano i wieczorem mgła, częściowo pochmurne popołudnie, słaby wiatr, maksymalna temperatura w mieście pięćdziesiąt cztery - i nagle zatrzymał się na pierwszej stronie dodatku weekendowego.

I wiedział już, czemu Manionów nie było w domu poprzedniego wieczora, gdy Hunt na nich czekał. Byli na aukcji doliny Napa. Właściwie opisani zostali jako jedni z potencjalnie najwyżej obstawiających licytantów, tak jak i w poprzednich latach. Do kompletu, ładne, najwyraźniej niedawno wykonane zdjęcie, lecz niestety!, bez Todda.

Juhle zaparzył sobie kolejny kubek kawy. Wkradł się po cichu do sypialni po telefon, po czym ponownie stanął przy oknie w salonie i wpatrywał się w szarość. Według gazety Napa oczekiwała dziś piękna pogoda - nie, doskonała pogoda na aukcję. Słonecznie, jasno, temperatura ponad siedemdziesiąt. Kalifornia była krainą mikroklimatu i choć Napa znajdowała się jedyne sześćdziesiąt mil od San Francisco, pogoda była tam zdecydowanie inna i niemal zawsze ładniejsza.

Gdy sprawdzał wiadomości, nocny telefon od Shiu wywołał niekontrolowaną salwę śmiechu. A więc wbrew jego radom, Hunt został mimo wszystko na Seacliff i zebrał tego plon. Niezła by była zabawa, pomyślał, jakby naprawdę osadzili go w areszcie na jakiś czas. Jak na razie Juhle nie mógł nic zrobić dla przyjaciela. Jeśli nadal był w więzieniu, no cóż. Nie jego problem. Może, jak się wyśpi po tej długiej nocy, to porozmawiają. W każdym razie całe zajście można obrócić będzie w całe miesiące przycinków i Juhle'a kusilo, żeby zadzwonić, obudzić go, jeśli był w domu, i od razu na niego wsiąść.

Ale nie posłuchał tego impulsu, pomyślał, że lepiej zrobi, jeśli zadzwoni do informacji policji, by sprawdzić, czy wbrew temu czego oczekiwał, zredukowany do minimum personel, który pracował całą dobę, odebrał jakieś telefony dotyczące zdjęcia z mieszkania Staci.

Powitał go zaskakująco radosny, rozbudzony kobiecy głos, przejawiając - choć Juhle wiedział, że to niemożliwe - entuzjazm.

- Odebraliśmy siedem telefonów, panie inspektorze. I jeden w związku z dzisiejszym porannym wydaniem gazety. Cztery osoby zidentyfikowały

chłopca jako jedną i tę samą osobę. Niejakiego Todda Maniona.

Juhle nie uświadomił sobie, że wyszeptał:

- Mój Boże. - Po czym spytał normalnym głosem: - Masz nazwiska i adresy świadków?

- Oczywiście.

- Żaden z nich to nie jest przypadkiem Carol albo Ward Manion?

- Momencik. Nie. Kto to, rodzice? Sławni, miejscowi Manionowie?

- Możliwe.

- Dlaczego sami nie zadzwonili?

- Też się zastanawiam. Może nie widzieli zdjęcia - co zdaniem Juhle'a było możliwe, jeśli całą noc bawili w Napa. Interesującym byłoby, gdyby zadzwonili, gdy zobaczyli zdjęcie w gazecie. Albo ktoś, kto ich znał, zobaczył je i powiedział im o tym.

Ale ciekawsze, jeśli tego nie zrobią.

Rozłączywszy się - wszystkie wątpliwości co do wczesnej godziny na telefon rozwiane - natychmiast wbił automatyczne wybieranie numeru Shiu i wysłuchał głosu partnera na jego poczcie głosowej. Mógł się domyślić, że będzie jeszcze spał: nękał jego kumpla Wyatta i dorabiał do pensji u Manionów aż do późnej nocy. Zostawił wiadomość. Walcząc ze sobą przez jakieś dwadzieścia sekund, zadzwonił na jego numer domowy i znowu usłyszał, że ma zostawić wiadomość. Następnie zadzwonił na jego pager, wbijając numer swojej komórki jako numer kontaktowy.

Ubierając się, obudził Connie.

- Hej - powiedział cicho.

- Hej. Czy dziś nie jest sobota?

- Tak. Przepraszam, że cię obudziłem, ale chciałem cię o coś zapytać.

Podniosła się i usiadła oparta o poduszki.

- Jedziesz do pracy?

- O to właśnie chciałem cię zapytać - odparł, siadając na brzegu łóżka. - Najnowsza teoria Wyatta na temat Palmera i Parisi - wygląda, że właśnie została częściowo potwierdzona. Cztery osoby zidentyfikowały dziecko czy brata Rosalier, kimkolwiek jest. Zdjęcie? W każdy inny dzień porozmawiałbym z dzwoniącymi, zobaczył, czy są pewni, wiarygodni. Potem załatwiłbym nakaz, gdybym zdołał wymyślić dla sędziego wystarczająco dobrą historię.

- Zawsze potrafisz.

Wzdrygnął się, słysząc komplement, położył dłoń na jej udzie.

- Ale chodzi o to. Wczoraj wieczorem, to był tylko pomysł Wyatta. Dziś, jeśli to są prawdziwi świadkowie, to jest szansa, że sprawy potoczą się szybko.

- A ty musisz panować nad sytuacją.

Skinął.

- Przynajmniej muszę sprawdzić, czy podejrzana będzie chciała ze mną porozmawiać, nim obstawi się prawnikami.

- To znowu ona?

- O tak. Zdecydowanie ona - skinął. - Carol Manion.

Connie niemal wybuchnęła śmiechem.

- Nie. Pytam serio.

- Ja nie żartuję - pogłaskał ją po nodze. - Próbowałem mówić sobie, by zwolnić, upewnić się, że działam zgodnie z wytycznymi. Jeśli to schrzanię...

- A niby jak miałbyś to zrobić? Schrzanieś coś kiedykolwiek?

- Nie. Ale nie mam się też za bardzo czym pochwalić.

- Ale teraz byś miał?

- Tak, myślę, że tak.

- No więc, gdzie jest problem? Zgarnij ją.

- Tak po prostu?

- To twoja praca, Dev. Grasz zgodnie z zasadami, dobrze. Nie oszukujesz. Ale zawsze wykonujesz zadanie do końca, prawda?

- Jak do tej pory. Miałem szczęście.

- Nie tylko szczęście, jesteś dobry. Dokładny. Przepisowy. Ale nie musisz być przepisowy powoli. To nie w twoim stylu.

Jakbyś był wolny, to w zeszłym roku skończyłbyś jako trup, a nie bohater - ale dostrzegła coś w jego twarzy. - Hej, spójrz na mnie. Ani się **WAŻ** słuchać opinii jakichś podłych i wstrętnych ludzi, słyszysz? Wiesz, co zrobiłeś, co musiałeś zrobić. Nie zawahałeś się. Zachowałeś się dzielnie, mądrze i ocaliłeś tym wielu ludzi.

- I jednego straciłem.

- Nie. Shane nie ma związku z tym, co zrobiłeś. Było po nim, zanim którykolwiek z was zdołał się poruszyć. Przerabialiśmy to już, kotku.

- Wiem - zaległa cisza. - Ale ja mówię o Manionach, wiesz. Jeśli to ona i jeśli to znowu zrobi się sprawa polityczna i znowu będę miał kłopoty.

- Jeśli, jeśli, jeśli... nie mówimy tak. Pamiętasz? Jeśli kogoś zabiła, to ją zgarnij.

- Możliwe, że trzy osoby.

- I chcesz wiedzieć, czy moim zdaniem powinieneś pojechać do centrum?

- Chyba już wiem, co myślisz.

Uśmiechnęła się, pochylając się, żeby go pocałować.

- Bez dwóch zdań.

Mickey spał dobrze i nie obudził się przez całą noc. Wstał nieco później, niż się spodziewał, gdy znikwały ostatnie kłęby porannej mgły. Wrzucił śpiwór do bagażnika i ponownie przejechał pół doliny aż do Saint Helena, gdzie restauracyjki w stylu country serwowały już śniadanie. Odświeżywszy się nieco w łazience, usiadł samotnie przy jednym z sześciu stolików - każdy

przyozdobiony doskonałym storczykiem i wykrochmalonym białym obrusem. Zamówił prażoną kawę Peet's French, omlet z ekologicznych jaj z rancza Kelly, z serem roblochon i szczypiorkiem, sałatkę ze startych ziemniaków odmiany Yukon Gold smażonych z cebulą, domowej roboty keczup z anchois i chilli oraz briożkę. Jego kelnerka, Julia, miała około dwudziestu ośmiu lat i gdy Mickey ją ujrzał, starał się sobie przypomnieć, czy słyszał gdzieś, że Julia Roberts zajęła się kelnerstwem, ale jakoś nie mógł.

Miła też była.

Po tym jak trzykrotnie dolewała mu kawy, odmówił czwartej, oparł się z zadowoleniem i poprosił o rachunek.

- Jesteś pewien? Nic więcej?

- Jest jeszcze coś, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Jasne.

- Może mi powiesz, czemu mieszkam w mieście, a nie tu?

- Och, ja uwielbiam San Francisco.

- Ja też, ale tu bardziej mi się podoba.

- Wiem - wydawała się unosić w ulotnej aurze, całkiem niezaintersowana i nieświadoma upływu czasu. Nagle, lecz bez pośpiechu, rozejrzała się dokoła, chłonąc eleganckie pomieszczenie. - Tak, to miejsce jest naprawdę niezwykłe.

- Szczególnie dziś.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Nie mów, że jedziesz na aukcję.

- Dobrze. Nie powiem.

- Ale tak?

- Właściwie, niestety, nie.

- Tak, niestety, ale gdybyś jechał, to musiałabym cię na chwilę znieawdzić.

- A tak nie musisz. Codziennie tu pracujesz?

- To podryw?

- Może. Ale nie musi. Obraziłabyś się, gdyby to był podryw?

- Nie.

- No to niech będzie, że był.

- Słodki jesteś, ale mam chłopaka - uśmiechnęła się cudownie, mówiąc, że za chwilę przyniesie rachunek. Patrzył na nią ze straszliwą tęsknotą, jak obsługiwała inne stoliki, z taką samą sympatią i wydajnością jak jego. Może była robotem, prototypem żony Stepforda. Ale i tak...

Gdy wróciła, pochyliła się do niego i szepnęła, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Nie patrz - powiedziała z cichą ekscytacją - ale dziadkowie i chłopiec przy stoliku z przodu? Oni jadą na aukcję.

- Kto to?

- Manionowie. Mega, super nadziani. Piwnice Manionów?

Mickey rzucił spojrzenie w ich stronę.

- Jedzą śniadanie w lokalu jak pospolici obywatele?

- Właściwie to często tu przychodzą.

- Myślisz, że zabierają dziecko na aukcję?

- Może nie. Ale jeśli tak, to raczej wątpię, żeby pozwolili mu obstawiać.

Manionowie zapłacili i właśnie się podnosili. Mickey zwalczył szok wywołany rachunkiem opiewającym na dwadzieścia osiem dolarów, zdecydował, że mógłby trochę się odkuć, robiąc coś dla Hunta. Zostawił dla Julii dwie dwudziestki - przynajmniej zostawi jej dobre wspomnienie. Nie był skąpy.

Wyszedł na ulicę, która nieco się ożywiła teraz, parę minut po dziewiątej, choć nigdzie nie było śladu Manionów.

Co, pomyślał, jest niemożliwe. Opuścili restaurację zaledwie trzydzieści czy czterdzieści sekund przed nim i widział, że poszli w prawą stronę. Jego zdaniem nie powinni dotrzeć nawet do najbliższego rogu. Musieli wejść do jednego z pobliskich sklepów, zaczął więc iść powoli, patrząc w szyby wystawowe. Zatrzymał się, a potem wszedł do środka przy czwartym z kolei, staroświeckim szyldzie fryzjera.

* * *

- Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć - Mickey siedział w swoim samochodzie w Saint Helena ze świeżo ostrzyżonymi włosami.

- Bo chcę wiedzieć - odparł Hunt.

Nie wyszedł z aresztu aż do trzeciej trzydzieści rano, Shiu i Poggio postanowili uprzykrzyć mu życie tylko dlatego, że było to takie cholernie zabawne. Chronili życie dobrych obywateli San Francisco, sprawdzając pozwolenie Hunta na noszenie ukrytej broni, upewniając się, czy jego licencja jest ważna, a następnie łaskawie informując go, że puszczą go z ostrzeżeniem za noszenie innej broni niż ta, na którą ma pozwolenie. Miał autentyczne wrażenie, iż Shiu czeka na „dziękuję”.

Teraz przynajmniej rozumiał, dlaczego Juhle go nienawidzi.

Nim odzyskał samochód i wrócił do domu, była niemal piąta rano i drzemał w ubraniu przez jakieś cztery godziny, aż obudził go Mickey.

- Ale myślałem, że nie chciałeś tam jechać.

- Ta. Zmieniłem zdanie - przez chwilę Mickey rozplątywał się poetycko na temat rozkoszy dnia, włączając śniadanie, które właśnie zjadł, a które byłoby warte swej wygórowanej ceny, nawet gdyby nie zostało podane przez Julię

Roberts.

- Umówiłeś się z nią?

- Nie. Ma chłopaka.

- I bliźniaki, z tego, co słyszałem.

- Co? Moja kelnerka?

- Nie. Prawdziwa Julia, durniu. Może mi powiesz o Mamonach.

- Dobra, po pierwsze, dzieciak nie miał ochoty na fryzjera, i wcale mu się nie dziwię. Ale mamusia postanowiła. Tak przy okazji, to naprawdę mama? Julia twierdziła, że to jego babcia i też bym tak powiedział.

- Może być babcią, ale jest również mamą.

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię. To skomplikowane. No i co z tym fryzjerem?

- Ogolili go na łyso. Był wkurzony. Też bym był. Ale ona była strasznie ostra. Nie miał nic do gadania.

- Musiała zmienić jego wygląd. Dziś.

- Dlaczego?

- Żeby nie wyglądał jak chłopiec na zdjęciu, które wczoraj widziałeś.

- To był on?

- To był on. A gdzie są teraz?

- Nie wiem. Wrócili do domu albo pojechali na aukcję.

W głosie Hunta wyraźnie dało się słyszeć rozczarowanie.

- Nie jesteś już z nimi?

- To chyba byłoby zbyt oczywiste, nie sądzisz? Nie. Jak już tam byłem, to też się ostrzygłem. Tylko strzyżenie, dzięki.

- Mick.

- Mam ich znowu znaleźć - to nie było pytanie.

- Jeślibyś mógł.

- Przyjeżdżasz?

- A jak myślisz?

31

Oceniając po opisie Hunta, Juhle stwierdził, że najlepiej ze wszystkich głównych świadków powinno mu pójść z Caitlin Rosalier. Poza tym mieszkała w Bostonie, gdzie nie było tak wcześnie. Bogowie uśmiechnęli się do niego i nie tylko dlatego, że była w domu, ale wydawała się też chętna do rozmowy.

Rozmowa z poprzedniego wieczora wytrąciła ją z równowagi i nie spała przez większą część nocy. Tak, Juhle może przysłać jej faksem zdjęcie z autopsji. „Nie jest zbyt obrzydliwe, prawda?”. Swego czasu była blisko ze Staci i teraz zdawała się potrzebować jakiegoś zamknięcia, jeśli w istocie jej przyjaciółka była ofiarą. Punkt ksero na rogu zaopatrzone był w faks i mogła tam pójść i zadzwonić do Juhle’a z numerem, a on odparł, że będzie czekał.

Nim zadzwoniła, zgłosił się partner Juhle’a, by poinformować go, że nie pojawi się w poranek tego weekendu. Może Juhle o tym nie wiedział, ale sobota jest sabatem w Kościele Świętych Dnia Ostatniego i Shiu musi iść na nabożeństwo, a potem ma służbę u Manionów. Ale Juhle będzie go na bieżąco informował. Prawda? Dziękuję bardzo. W nagłym przypadku mógłby pojawić się wczesnym popołudniem, ale nic nie obiecuje, chyba że Juhle miałby coś naprawdę istotnego i, cytując Shiu, „Pamiętaj Dev, opartego na dowodach”.

- Dupek - powiedział Juhle, rozłączając się i wpatrywał się przez mgłę w autostradę, siedząc przy biurku w pustym wydziale zabójstw.

Przez niemal dwadzieścia minut przeglądał folder pod tytułem „Medycyna Sądowa”, męcząc się z oświadczeniem pod przysięgą, jakie zamierzał dołączyć do nakazu, który miał nadzieję otrzymać na oba domy Manionów i ich samochody. W miejscach tych szukałby konkretnie narzędzia zbrodni albo ubrań, na których mogły znajdować się ślady krwi lub prochu. W samochodach miał nadzieję znaleźć włosy lub może nawet ślady krwi Andrei Parisi.

Dowody nie byłyby takie przekonujące, ponieważ badanie odcisków palców było długotrwałe, a pani Manion mogła być w domu Palmera towarzysko, ale szukali będą jej odcisków w gabinecie sędziego. Również dywanik z miejsca zbrodni dostarczył włosów pochodzących od różnych osób i choć jakiegokolwiek testy DNA czy inne skomplikowane badania są dość powolne, to ich pozytywne wyniki pomogłyby w śledztwie.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, Juhle rzucił się do aparatu. Caitlin, wreszcie z numerem faksu w punkcie ksero. Zapisał, podziękował i poprosił,

by, jeśli może, nie rozłączała się. Złapał najlepsze zdjęcie twarzy Staci Rosalier z autopsji i wsunął do faksu. Kiedy wrócił do telefonu, Caitlin płakała i Juhle dostał identyfikację.

Nadal męcząc się nad oświadczeniem do nakazu, Juhle podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Patrzcie państwo, kogo przywiało. Nie wiń mnie za cokolwiek, co ci się wczoraj w nocy przytrafiło. Powiedziałem ci, żebyś jechał do domu.

Hunt nie był w nastroju do uśmiechania.

- Ty ich na mnie nasłałeś?

- Daj spokój, Wyatt. Sam to sobie zrobiłeś. Ja cię nawet ostrzegłem. Dowiedziałeś się chociaż czegośkolwiek?

- Tak. Pracujesz z socjopatami.

- Hej. To wymóg. Przyzwyczaj się.

Hunt nie przyjechał strofować Juhle'a i wskazując na folder, zmienił temat.

- Są w Napa - powiedział.

- Wiem.

- Skąd?

- Było w gazecie. Ucieszy cię, że mamy czterech raczej wiarygodnych świadków co do zdjęcia. To Todd Manion.

- Któremu obcięto dziś włosy. Na zero.

- Ciekawe. Trochę za późno, ale i tak ciekawe - Juhle przechylił głowę. - Ale chwileczkę. Skąd o tym wiesz?

- Mickey tam jest.

Juhle oparł się, pomasaował bark, najwyraźniej odczuwając spory ból. Kiedy się odezwał, mówił oficjalnym tonem.

- Musisz się z tego wycofać, Wyatt. Mówię poważnie. Całkowicie się wycofać. I trzymać swoich ludzi również z daleka.

- Moment. Niech no znajdę właściwą odpowiedź - zajęło mu to sekundę. - Nie wydaje mi się.

- Przeszkadzasz mi w dochodzeniu na tym etapie...

- Hej! - Hunt wymierzył palcem w Juhle'a. - Tylko dzięki mnie masz w ogóle dochodzenie na tym etapie.

- Wyatt - Juhle zachował spokój - to już jest ponad tobą. Może chciałbyś wiedzieć, że pół godziny temu Caitlin Rosalier zidentyfikowała Staci.

- Wiedziałem to dwanaście godzin temu. Juhle pokręcił głową.

- Nie wiedziałeś. Domyślałeś się. Ja to udowodniłem.

- Tracąc po drodze pół dnia. I zatrzymując moje działania.

- Ponieważ tego wymaga procedura, przyjacielu. Właściwa procedura prawna. Coś kojarzysz? Czasami trzeba czasu, by zrobić coś prawidłowo.

- Czasami nie masz luksusu czasu. Co ty na to?

- To nie jest jeden z tych przypadków.

- No, chyba, że jest, Dev. No chyba, że jest.

Słowa Hunta wyprowadziły Juhle'a z równowagi. W jego głosie dało się słyszeć ogień.

- Nadal myślisz, że znajdziesz Parisi, prawda?

- Ujmijmy to może tak. Ja szukam Andrei. Ty szukasz mordercy. Możemy udawać, że nie ma wewnętrznego konfliktu.

- Może i nie. Ale tańczymy na tyle blisko siebie, że mamy spore szanse, aby się nawzajem przewracać. I musisz zejść mi z drogi, Wyatt. Zamierzam niebawem dokonać legalnego aresztowania, a cała ta procedura - procedura - jest naprawdę baletem synchronizowanym. Musisz to zrobić dobrze, albo nikt nie będzie bił brawa.

- Wydaje mi się, że zdaję sobie z tego sprawę, Dev. Ale twoje aresztowanie to naprawdę nie moja broszka.

- Ale nie obrazisz się, jeśli to moja, co? - niemniej Juhle świadom był całego wkładu Hunta w śledztwo. Zasadniczo zbudował sprawę, którą on usiłował teraz zweryfikować. A biorąc pod uwagę brak jakiegokolwiek użytecznego wkładu ze strony prawdziwego partnera z wydziału zabójstw, Juhle skłaniał się ku przyjęciu wszelkiej oferowanej pomocy, o ile nie stawała ona na drodze jego końcowej rozgrywki. Oparł się i spojrzał na przyjaciela.

- No więc po co przyjechałeś?

- Powiedzieć ci o Napa i o fryzjerze, upewnić się, że jesteś na bieżąco. Rozumiem, że zgodnie z całą swoją właściwą procedurą prawną pojedziesz tam, mam rację? Zdobędziesz nakazy, czy co tam normalnie robicie. Wyślesz zespół, żeby rozejrzał się u Manionów w domu.

- Coś w tym stylu, mam nadzieję. A w międzyczasie, co ty zamierzasz robić?

- W międzyczasie jestem w Napa.

- Po co?

- Pociągnę za parę sznurków i zobaczę, co się wydarzy. Juhle zwiesił na chwilę głowę, potem podniósł wzrok i odezwał się spokojnym tonem.

- Gdybym poprosił cię, żebyś nie rozmawiał z Carol Manion, mógłbyś się powstrzymać? Jeśli ją wystraszysz i obstawi się prawnikami, nim ja do niej dotrę, a stanie się to już niebawem, to najpierw będę cię torturował, a potem cię zabiję i mówię poważnie.

- Nie zamierzałem z nią rozmawiać, Dev. Nawet jeśli powiedziałaaby mi prawdę, czego i tak nie robi, nie powiedziałaaby mi nic, czego jeszcze nie wiem.

- Poza może tym, co zrobiła z Parisi.

- Tego nie powie mi w rozmowie, Dev. Po tym wszystkim, niczego dobrowolnie nie zdradzi.

- Więc jak?

- Pracuję nad tym - odparł Hunt. - Jak będę wiedział, dam ci znać.

Do południa było jeszcze daleko, gdy skończywszy kompletowanie dokumentów, Juhle stanął przed sędzią Oscarem Thomasino, który cały tydzień pełnił funkcję sędziego pokoju i nie był zbyt zadowolony z najścia w domu w sobotnie przedpołudnie. Sędzia, w ubraniu wyjściowym, siedział za biurkiem w gabinecie. Powieść, którą czytał, spoczywała okładką do góry, na suszce.

- Niech pan odświeży moją pamięć, inspektorze - powiedział.

- Ale czy nie był pan u mnie niedawno z partnerem, prosząc o podobny nakaz?

- Tak, Wysoki Sądzie, kilka dni temu.

- Ale nie w tej samej sprawie?

- Tak, w tej samej.

Łagodna twarz Thomasino zachmurzyła się pod rzadkimi siwymi włosami. Zdjął okulary w stylu Bena Franklina i z nieobecnyim wzrokiem zaczął wycierać je szmatką, którą wyjął z szuflady biurka.

- Mogę wiedzieć, jakie były rezultaty tamtej rewizji?

- W domu kobiety znaleźliśmy dwa pistolety kalibru .22. Wysoki Sądzie, które zostały poddane testom balistycznym. I ubrania, które sprawdziliśmy na ślady prochu.

- I jakie były wyniki tych testów?

- Negatywne.

- Rozumiem - Thomasino spojrział na szkła okularów, chuchnął na nie, po czym kontynuował polerowanie. - I rozumiem, że jeśli podpiszę ten nakaz, będziecie szukać pozytywnych wyników na tych samych przedmiotach - pistolet, ubrania i tak dalej ?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Thomasino założył okulary, rzucił Juhle'owi czujne spojrzenie.

- Gdzie jest dziś pański partner, inspektorze?

- W kościele. Na nabożeństwie. Jest Mormonom.

- Ach - sędzia zrobił pauzę. - Ale jak do tej pory pracowaliście nad tą sprawą razem? Pan i inspektor...

- Shiu.

- Tak, Shiu - pochylił się nieco, opierając łokcie na stole.

- Zmierzam do tego, inspektorze Juhle, czy - to tylko pytanie, proszę nie żywić urazy - czy pańskie pojawienie się tu bez partnera, może wskazywać na pewien brak zgodności między panem a Shiu, co do tego, czy nakaz ten po party jest dowodami.

- Nie, Wysoki Sądzie. Nie sądzę, że chodzi tu o brak zgodności. Inspektor

Shiu jest człowiekiem o bardzo głębokich przekonaniach religijnych i...

Thomasino podniósł rękę.

- Tak jak wielu z nas, inspektorze, jak wielu z nas. A jednak jestem całkiem pewien, że większość pana kolegów z wydziału zabójstw, pracując nad niesamowicie znaczącą sprawą morderstwa sędziego federalnego, mogłaby uznać to za swój obowiązek, by, powiedzmy, skrócić trochę obecność na mszy lub zupełnie ją opuścić, gdyby nagle w niedzielny poranek pojawił się decydujący dowód. Nie sądzi pan, że można to uznać za regułę?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Pozwolę sobie pójść nieco dalej. Czy myśli pan, że pana własny partner, inspektor Shiu, opuściłby dobrowolnie okazję wzięcia czynnego udziału w bez wątpienia najważniejszym, najbardziej znaczącym aresztowaniu w jego całej karierze, gdyby uważał, że zbliżacie się do przełomu w tej sprawie?

- Zazwyczaj, nie, myślę, że nie, Wysoki Sądzie. Na pewno nie. Ale w tym przypadku...

- Proszę mówić dalej.

- No cóż, inspektor Shiu dorabia sobie u Manionów. Z tego, co wiem, pracuje dla nich od kilku lat. Często zastanawiałem się, iż nie jest wykluczone, że tak szybko dotarł do wydziału zabójstw dzięki, że tak powiem, wpływom politycznym.

- Przyjaciół Manionów?

- To tylko teoryjka.

- Mało przyjemna.

- Mało, Wysoki Sądzie. Ale jestem szczerzy.

- Więc pana zdaniem, uważa on ten nakaz za pewnego rodzaju konflikt interesów?

- Nie poszedłbym aż tak daleko. Ale powiedzmy, że mógłby czuć się nieswojo, tłumacząc Manionom, czemu wziął w tym udział.

- A nie sądzi pan, podążając tym samym tokiem, że woli zdystansować się od przedsięwzięcia, które uważa za nieprzemyślane, które jego zdaniem mogłoby rozwścieczyć wpływowych i potężnych ludzi, nie gwarantując sprawie sukcesu? Inspektorze, ludzie w pańskiej branży mogliby nazwać to wskazówką.

Juhle milczał.

Thomasino pokiwał głową i westchnął, zasmucona mina przemknęła po jego twarzy.

- Inspektorze - powiedział - skoro jesteśmy szczerzy i mówimy nieoficjalnie, to pozwolę sobie zapytać pana o coś innego, tylko między nami. Czy uważa pan, pomijając naturalną wagę sprawy, że w tym budynku i w całym mieście są ludzie, którzy widzą tę sprawę jako pana osobisty sprawdzian?

Powaga pytania zachwiała Juhle'em, ale nie ustąpił pola.

- Tak, Wysoki Sądzie, myślę, że tak. Ale staram się, by nie wpływało to na moje decyzje - mówił dalej mimo sceptycznego spojrzenia Thomasino. - W przeciągu kilku minionych godzin dowiedziałem się bezspornie, że adoptowany syn Carol Manion jest biologicznym synem Staci Rosalier, kobiety zabitej z sędzią Palmerem. Pani Manion zadała sobie dużo trudu przez minione osiem lat, by utrzymać ten fakt w tajemnicy. Łącznie z tym, że gdy rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu, nie wspomniała o niczym.

- Spytał ją pan o to?

- Nie, Wysoki Sądzie, ale...

- Ale pana zdaniem powinna dobrowolnie podać tę informację?

- Nie może mi się w głowie pomieścić, że tego nie zrobiła, Wysoki Sądzie. Nie może. Choćby tylko... „Wiem, że to niesamowity zbieg okoliczności, ale sądzę, że powinniście o tym wiedzieć”. Nie mogła być tego nieświadoma.

Thomasino zastanawiał się, palcami zakrywając górną wargę. Popatrzył na notatki, które robił, gdy Juhle wykladał mu całość dość złożonego scenariusza.

- Może źle zrozumiałem niektóre szczegóły, inspektorze, a jeśli tak, to proszę mnie poprawić. Lecz jeżeli dobrze pojąłem pana objaśnienia, pani Manion adoptowała dziecko Staci Keilly, czyż nie? A skoro tak, to czemu nazwisko Rosalier miałyby sprowokować ją do wspomnienia panom o jej synu? Jeśli we wtorek po południu, gdy z nią rozmawialiście, również panowie znali tylko to nazwisko.

Juhle'owi zrzędnęła mina. Poczuł, jak z głowy odplywa mu krew. Zasadniczy fakt o rodzicach Todda nie był kwestionowany - albo tak mu się wydawało - ale Carol Manion niekoniecznie wiedziała o Staci we wtorek, gdy razem z Shiu przepytawali ją na temat umówionego spotkania z Parisi.

Carol mogła wiedzieć o prawdziwym związku Staci z jej synem jedynie w przypadku, jeśli została z tym skonfrontowana i zabiła ją. Ale to było odwracanie kota ogonem. Jeśli tego nie zrobiła, a nie było dowodu na to, że zrobiła, to wszystkie jej działania - niewspomnienie o Toddzie jemu i Shiu, ogolenie włosów syna, ponieważ, mimo wszystko, lato było coraz bliżej - były niewinne. Nagle uświadomił sobie również, że nawet on i Shiu nie byli w stanie zidentyfikować Staci jako Rosalier czy Keilly, aż do wtorkowej nocy, kiedy to spotkali się z Mary Mahoney w kostnicy. I co zatem oznaczało to wobec czterech identyfikacji Todda dziś rano?

Sędzia nadal spoglądał znad zaciśniętej dłoni.

- Wszystko w porządku, inspektorze? Nie wygląda pan zbyt dobrze.

- Nie. Dobrze, Wysoki Sądzie. Zażywam leki przeciwbólowe. Przez chwilę poczułem lekkie zawroty głowy.

Thomasino ewidentnie nie był co do tego przekonany, ale nie zamierzał tego dyskutować i mówił dalej.

- A więc, summa summarum, inspektorze, jestem nieco niechętny, żeby podpisać to, co wygląda na niepewną wyprawę na jedną z najbardziej prominentnych rodzin w mieście. Szczególnie, iż byłby to drugi niemal identyczny nakaz, jaki wydałem na dwoje podejrzanych w odstępie ledwie dwóch dni. Rozumie pan, że mogłoby to wzbudzić pewne kontrowersje, he? Ja i pan moglibyśmy zostać oskarżeni o nadinterpretację? Bezpodstawne naruszenie prywatności? A w pana przypadku, nawet desperacką vendettę, by odwrócić uwagę od stojącego w miejscu dochodzenia?

- Tak, Wysoki Sądzie, niemniej to nie jest...

- Naturalnie, inspektorze, oczywiście. Nie musi pan wyjaśniać - ponownie się przesuwając, poprawiwszy okulary, sędzia opuścił wzrok na papiery, które Juhle położył przed nim i przejrzał je.

- Oto, co mógłbym zasugerować, jeśli mi wolno, to rozumie pan ryzyko tego nakazu i nie ma pan prawdopodobnego motywu. Pisze pan tu, że posiada niezidentyfikowane odciski palców, włosy i włókna. Jeśli może pan powiązać część z nich z panią Manion, to okay, ma pan chociaż dobry powód, by udać się do jej domu i spytać, w jaki sposób się tam znalazły. Gdy pojawi się dowód na miarę możliwego motywu, wtedy wezmę pod uwagę kolejne podanie o nakaz rewizji domu. Ale w międzyczasie - podniósł wzrok, uśmiechając się dobrodusznie - może pojedzie pan do domu i odeśpi te leki. Jest sobota, inspektorze. Nikt nie będzie miał panu za złe wolnego dnia.

Ale Juhle, roztrzęsiony, nie zamierzał robić sobie wolnego dnia. Pod wielkim dachem właściwej procedury prawnej istniały inne drogi, którymi mógł bezkarnie ruszyć, a teraz został właśnie zmuszony, by wybrać jedną z nich. Być może sędzia Thomasino miał rację, że nakaz przeszukania domu Carol Manion jest trochę przedwczesny. Niemniej jako inspektor wydziału zabójstw, Juhle miał prawo przesłuchiwać ludzi, kiedy tylko i w jaki tylko sposób mu się podobało, zakładając, że był w stanie przekonać ich do mówienia.

Pani Manion mogła w miniony wtorek nie wiedzieć, iż Staci Rosalier to Staci Keilly, ale pouczającym, być może nawet rozstrzygającym, byłoby zobaczyć jej reakcję, gdy skonfrontowana zostanie z tą fundamentalną prawdą. Juhle miał dobrego nosa do świadków - jeśli kłamali, to zdradzało ich milion rzeczy i umiał zauważyć większość z nich. Wtedy przynajmniej tylko dla samego siebie znałby prawdę. Od tego zaczęłyby śledztwo i prowadził je powoli, ostrożnie, przez miesiące, jeśliby trzeba było, budując sprawę, którą prokurator okręgowy wygrałby przeciwko jakkolwiek licznej armii wysoko płatnych adwokatów.

Jeśli Carol Manion, w całym swym bogactwie i aroganckiej dumie, odważyła się zabić sędziego federalnego, to Juhle ją dopadnie. A żeby to osiągnąć - a teraz wszystkie pytania, które by jej zadał, były takie oczywiste! - musiał najpierw przekonać ją do rozmowy.

32

Stojąc w szerokim i pokrytym plamami słońca korytarzu na piętrze chateau w dolinie Napa, Carol Manion zapukała do drzwi sypialni syna.

- Todd?

Brak odpowiedzi. Zapukała ponownie.

- Todd, proszę. Twoja mama chce z tobą porozmawiać.

- Ja nie chcę z nią rozmawiać. Jestem na nią zły.

- Nie bądź, proszę. Nie mogę tego znieść, gdy się na mnie złości. Obiecuję, że twoje włosy odrosną.

- Ale teraz wyglądam jak palant.

- Ależ skąd. Wyglądasz na przystojnego młodzieńca, którym jesteś. Możesz, proszę, otworzyć drzwi?

- Nie chcę.

- Ale muszę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Todd. Nie przez drzwi, dobrze? Proszę. Powiedziałam proszę.

- Ja też mówiłem proszę, zanim kazałaś mu obciąć moje włosy. Proszę, proszę, proszę, podkreślając każde słowo kopnięciem w drzwi. - To nie fair.

- Wiem. Przykro mi. Razem z twoim tatą pomyśleliśmy, że to dobry pomysł.

- Dlaczego? - przerywane szlochem. - Nikomu nie szkodziło.

Niemniej gałka przekręciła się i zamek drzwi zwolnił się, choć Todd nie stworzył ich na oścież. Carol popchnęła je łagodnie.

Todd podszedł do wychodzącego na pola winorośli okna wykuszowego, rzucił kołdrę z łóżka i zakopał się w niej. Carol usiadła tak, by czuć obok siebie drobne ciało chłopca.

- Dziękuję, że mnie wpuściłeś - powiedziała. - Jesteś bardzo grzecznym chłopcem.

- Nic z tego nie mam.

Carol Manion westchnęła.

- Nie jest ci tam trochę za gorąco?

Kołdra poruszyła się, gdy pokręcił przecząco głową.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Nadeszła ta chwila. Ponownie westchnęła.

- W porannej gazecie jest zdjęcie chłopca, który wygląda jak ty. Właściwie, to może być nawet twoje zdjęcie, które ktoś zrobił z daleka kilka lat temu.

Spod kołdry wysunęła się głowa o zapłakanych, ale teraz zaciekawionych oczach.

- Dlaczego ktoś by to robił?

- Nie wiem na pewno, ale w gazecie napisane było, że zdjęcie znaleziono w pokoju kogoś, kto został zabity w zeszłym tygodniu.

- Zabity? Tak naprawdę zabity w prawdziwym życiu? Nie jak w TV?

- Nie. Naprawdę zabity.

- Ale fajnie - powiedział Todd.

- Wcale nie, Todd. To raczej przerażające. W każdym razie policja pomyślała, że jeśli ktoś rozpozna chłopca ze zdjęcia, to będą mogli znaleźć rodzinę zabitej kobiety. Czy jesteś z nią spokrewniony. Rozumiesz?

- Ale nie jestem?

- Nie, nie jesteś. Ale twój tata i ja, nie wiemy, kto zrobił to zdjęcie i dlaczego. Ani nawet, co ma to z tobą wspólnego. Chcemy tylko, żebyś był bezpieczny.

- I to dlatego obciężcie mi włosy? Dlaczego mi od razu nie powiedzieliście?

- Ponieważ nie chcieliśmy cię przestraszyć.

- Wcale bym się nie przestraszył.

- Nie. Pewnie nie, wiem. Ale twój tata i twoja mama się wystraszyli, gdy dowiedzieli się, że ktoś, kto został zabity, miał twoje zdjęcie, a zabójca może teraz wiedzieć, jak wyglądasz. Więc pomyśleliśmy, że dobrze byłoby trochę to zmienić, przynajmniej na jakiś czas. Rozumiesz? Naprawdę chcę, żebyś zrozumiał.

- Chyba tak.

- Dobrze. Możliwe, że przyjdą różni ludzie i będą zadawać pytania. Może nawet policjanci. I nie chcę, żebyś się martwił.

- Dlaczego miałbym się martwić?

- Nie powinieneś. Dlatego mówię, że nie ma powodu do zmartwienia. Po prostu powiemy wszystkim, że to nie ty. Może jest do ciebie podobny, ale naszym zdaniem to nie ty.

- Na zdjęciu, znaczy?

- Tak. W ten sposób wcale nie będziemy się w to mieszać. Ponieważ nie musimy. To nie ma z nami nic wspólnego. Chcę, żebyś to zrozumiał.

- Ale jeśli to ja? Mogę je zobaczyć? Założę się, że bym wiedział.

- Ja też. Ale zdjęcie nie jest najważniejsze, Todd. Najważniejsze jest to, że cię chronimy. Musisz zawsze pamiętać, że jesteś bezpieczny, nieważne, co się stanie.

- Wiem, mamo.

- Ponieważ jesteś moim jedynym synem i nigdy nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało. Nigdy. Okay? A teraz może wyjdiesz spod tej kołdry i uściskasz swoją starą matkę?

Ward Manion miał twarz kowboja Marlboro, który zaczął pracować dla wielkiej korporacji, ale teraz gościła na niej surowa mina, gdy patrzył na przednie siedzenie, na swą żonę.

- Nie sądzę, iż zgodziłbym się, że to w ogóle dobry pomysł. Szkoda, że rozmawiałaś z chłopcem, nie przedyskutowałaś tego ze mną.

Choć Jay Leno nie pojawi się na scenie, a sama aukcja nie zacznie się oficjalnie przed osiemnastą, oboje zostali zaproszeni na ekskluzywny przegląd niektórych pozycji wina, które zostaną wystawione na aukcji i jechali teraz BMW z opuszczonym dachem na Silverado Trail.

Spojrzał na żonę, którą nadal uważał za bardzo ładną kobietę, choć o nietypowej urodzie, o silnych szczękach, głęboko osadzonych i szeroko rozstawionych szarych oczach. Dwa razy przeszła lifting twarzy z powodu zmarszczek i kurzych łapek, lecz jej kości policzkowe nie potrzebowały i nigdy nie będą potrzebowały ulepszenia.

- Zgadza się co do fryzjera - powiedział Ward - ponieważ nikomu to nie zaszkodziło. Ale nie rozumiem, dlaczego nie chcesz sama skontaktować się z policją. Powiedzieć, że chłopiec podobny jest do Todda, ale, że nic więcej nie wiesz, co jest zgodne z prawdą.

- Nie, Ward, nie jest zgodne z prawdą. Nie z ich punktu widzenia i wiesz o tym. Jak mogę im powiedzieć, że wygląda na Todda, ale nie wspomnieć, że jego biologiczna matka miała na imię Staci?

- Ale nie Staci Rosalier.

Carol zbyła to machnięciem ręki.

- No więc zmieniła. Albo zdzira wyszła za męża. Dwa albo może i trzy razy.

Ward zacisnął wargi. Dla Carol, dziewczyna, która urodziła dziecko ich syna, teraz ich własne, zawsze była i zawsze pozostanie „dzizirą”. Przeszkadzało mu to, ale nie sądził, że byłby zdolny do zmienienia tego w jakikolwiek sposób.

- No, a jeśli to ona? - spytała. - Staci. Matka biologiczna Todda. Odwrócił się do niej.

- Cóż? Oboje jesteśmy zgodni, że to możliwe. No i co z tego?

- To z tego, że to nas dotyczy, Ward. Ciebie i mnie, i Todda. Wiesz, że nie jesteśmy zamieszani w żadne zabójstwo, ale oni rozgrzebią całą historię, będą sprawdzać adopcję Todda, wszystko. Na pewno pamiętasz tę okropną rodzinę Staci. Nie chcę dawać im jakiegokolwiek powodu, by wracali do naszego życia.

Zdawał się być nieco rozbawiony tym pomysłem, kręcąc głową wobec absurdalności.

- To nie jest śmieszne, Ward. Mówiłam ci, że George Palmer dzwonił do mnie do domu ostatniego dnia...

- Żeby zaprosić nas na przyjęcie, tak?

- Tak, ale dla nich ważne będzie tylko...

- Co znowu za oni?

- Policja. Dla nich ważne będzie tylko to, że dzwonił. Co jeśli zobaczą powiązanie między nami i tą zdzirą?

- Co jeśli? Co jeśli? A skoro już o tym mowa, używanie określenia „zdzira” nie pomaga, by ukryć twoje zaangażowanie. Ta kobieta jest mimo wszystko ofiarą morderstwa. Zasluguje na choć trochę współczucia.

- W porządku. Ale tak czy inaczej George dzwonił do mnie, a także ja dzwoniłam do tej Parisi. To sporo zbiegów okoliczności, sporo interakcji z ludźmi, którzy są w to zamieszani.

- A właśnie, skoro już o tym wspomniałaś - Ward nadal się uśmiechał. - Gdybym nie znał cię lepiej...

- Nawet w żartach nie waż się tego mówić!

- Spokojnie - powiedział. - Nie ma się po co tak unosić. Uspokoila się, biorąc się w garść.

- Dużo lepiej, jeśli najzwyczajniej pozostaniemy całkiem nie zaangażowani w całą sprawę. Jeśli powiemy, że chłopiec na zdjęciu nie przypomina Todda w tamtym wieku, to zamknie to sprawę.

- Carol - powiedział z takim samym spokojem jak ona - mimo wszystko nie jesteś jakąś grasującą morderczynią. Myślę, że oboje jesteśmy raczej ponad to, czyż nie? Zachowujesz się jak w paranoi, a to do ciebie niepodobne.

- Chyba nie doceniasz tego, jak bardzo chcą nas zniszczyć - odparła, kręcąc głową. - Jesteśmy bogaci i dlatego źli. Tylko popatrz, co dziś robimy.

- Niby co takiego?

- Aukcja.

- Darowanie sześciocyfrowych sum na cele charytatywne? Jakoś nie widzę w tym nic złego.

- Płacenie niebotycznych cen za wino, Ward. Popisywanie się przed tymi, którzy tego nie mają. Płacenie siedmiu tysięcy pięciuset dolarów tylko za to, żeby kupić karty do obstawiania. Zdaje się, że nie wiesz, jak nasze bogactwo wpływa na niektórych ludzi, jak podsyca ich zawiść.

- Nie, oczywiście, że rozumiem. Najgorsze, co w niektórych kręgach człowiek może zrobić, to osiągnąć sukces. Ale tacy ludzie są zawsze obecni i nie powinni nas wcale interesować. Są daleko poniżej nas. Nawet poniżej naszej pogardy.

- Aż poczuja, że coś zrobiliśmy źle, dzięki czemu mogliby nas zniszczyć. Popatrz na Marthę Steward, w więzieniu za nic. Michael Milken. Sami dyrektorzy naczelni.

- Ale my nie zrobiliśmy nic takiego jak oni, Carol. Moim zdaniem, jeśli

przyznamy, że na zdjęciu może być Todd, a nawet, że Staci mogła być jego biologiczną matką, zniszczymy jakiegokolwiek dochodzenie w załączku. Możliwe, że któryś z naszych znajomych i tak już zawiadomił policję, może jeden z nauczycieli Todda, ktokolwiek. Jeśli się sami nie zgłosimy, to będzie wyglądało, jakbyśmy mieli coś do ukrycia - położył dużą, sękową dłoń na jej udzie. - Nie chcemy sprawiać wrażenia, że coś ukrywamy, Carol. Nie chcemy nic ukrywać - poklepał ją po nodze. - Jestem za tym, żeby powiedzieć o sprawie jednemu z naszych ochroniarzy w mieście, którzy i tak są policjantami, przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy. Powiemy im, co wiemy. Odpowiemy na ich pytania, jeśli będą jakieś mieli i poprosimy o dyskrecję, jak zawsze. Przeżyjemy jakoś małe zamieszanie, które może wyniknąć.

Carol odwróciła twarz w drugą stronę, po czym spojrzała przed siebie. Usta miała zamknięte, szczęki zaciśnięte, oczy złowrogie. Otworzyła parę okularów przeciwsłonecznych, założyła je i spojrzała na Warda, jakby chciała coś powiedzieć, potem jednak zmieniła zdanie i pogrzyżyła się w złowieszczym milczeniu.

Miłośnicy wina mieszały się, rozmawiali, spacerowali i kosztowali w przepiękne popołudnie na eleganckim terenie Meadowood Resort. Boisko do krykieta wypełniało morze ludzi. Dym wisiał aromatyczną chmurą pomiędzy dębami i sosnami. Sławni kucharze układali swe przysmaki na olbrzymich otwartych grillach, podczas gdy cieszący się podobną sławą producenci win szczerze nalewali swe najlepsze trunki w kieliszki z kryształu Reidela kolegów oraz reszty zebranych gości - gwiazd sportu i kina, rekinów biznesu i różnych notabli z całego świata, których łączyła miłość do kultury wina i ekstrawaganckiego bogactwa.

Manionowie dyskutowali z parą dobrze ubranych, elokwentnych, czarujących i czujących się bardzo pewnie w oderwanym od rzeczywistości kulturowym świątku Napa młodych ludzi. Poznawszy się przy jednym z białych stołów pod ogromnym namiotem, który rzucał cień na Pierwszą Aleję w Meadowood, Ward Manion wziął młodego gentelmana pod swe skrzydło i obaj pogrzyżyli się teraz w rozmowie nad oszałamiającą, niedawną popularnością szczepu Rhône w Kalifornii - syrah, mourvedre, carignane - i o konsekwencjach tego dla miejscowej gospodarki, która tyle zainwestowała w cabernet, chardonnay, pinot noir i merlota.

- Szczerze mówiąc, jeśli zapytałby mnie pan o nowy popularny szczep, powiedzmy, dziesięć lat temu - mówił młody człowiek o imieniu Jason - nawet bym nie spojrzał na Rhône. Stawiałbym na sangiovese.

- Nic dziwnego - powiedział Ward, uśmiechając się z satysfakcją. - Tak samo postawiłem, właśnie mniej więcej dziesięć lat temu - Ward uwielbiał

mówić o winie, szczególnie w takich okolicznościach. - Teraz mam prawie siedem akrów sangiovese, które muszę łączyć z moim cabernet.

- Kalifornijskie super Tuscan - powiedział Jason. - Dobry wybór.

- Mało oryginalny - przyznał Ward - ale to lepsze niż wyrwanie dobrych winorośli, które w końcu owocują, i ponowne błędne postawienie na grana-che albo inne cholerstwo.

Mężczyzna ewidentnie był w stanie kontynuować w tym samym fascynującym tonie przez jakiś czas, ale nawet tu i teraz, pijąc drugi kieliszek char-donnay, Carol Manion wkładała sporo wysiłku, by się skoncentrować, uśmiechając się lekko, nieobecnie, myślami była gdzie indziej, we własnym świecie.

Stojąca obok Carol, trzymając w dłoni nie tknięty kieliszek szampana, młoda towarzyska Jasona przysunęła się do niej i szepnęła poufałym tonem:

- Cudownie jest tu być. To nasz pierwszy raz i muszę powiedzieć, że czujemy się, jakbyśmy się tu wprosiłi. Z technicznego punktu widzenia nie powinno nas tu w ogóle być, ale przyjaźnimy się z Thomasem i to on nas wprowadził.

W tym kontekście Thomasem mógł być tylko Thomas Keller z French Laundry, überchef tej doliny, a zdaniem wielu, całego cywilizowanego świata.

- Ale jeśli ma się wystarczająco szczęścia, by dostać dwa bilety w tak precudowny dzień jak dziś, to raczej się nie odmawia, n'est-ce pas?

- Oui. Sans doute - Carol zdobyła się na uśmiech, który choć zmęczony, wyglądał na szczerzy. - Przepraszam. Jestem nieco rozkojarzona. Jak ma pani na imię?

- Amy.

Zaczęły odzywać się wrodzone maniery, jak Amy miała nadzieję, a Hunt zakładał. Carol Manion, o czym oboje wiedzieli, spędzała sporo czasu na przyjęciach charytatywnych i obiadach dobroczynnych. Towarzyska rozmowa przychodziła jej tak naturalnie jak oddychanie i cała banalność okoliczności dawała pozorne wytchnienie wobec tego, co jak zakładali, zajmowało ją obecnie najbardziej.

- Cóż, Amy - powiedziała - bardzo miło panią poznać, tym bardziej skoro nie będzie pani konkurencją w czasie aukcji.

- Nie sądzę, by musiała się pani tym martwić - odparła Amy, śmiejąc się z wdzięcznością. - Oboje jesteśmy etatowymi pracusiami.

- Jesteście państwo w przemyśle winiarskim? Pani mąż zdaje się całkiem znać na rzeczy.

- Jason? Nie jest jeszcze moim mężem - pobieramy się we wrześniu. Ale nie tylko na winie, zna się na wszystkim. To rodzaj przekleństwa.

- Wiem, co ma pani na myśli. Mój Ward też jest trochę taki. Raz coś zoba-

czy, albo usłyszysz, albo przeczyta i już mu to zostaje w głowie na zawsze.

- Jak Jason. Ale nie mamy nic wspólnego z przemysłem winiarskim, prócz tego, że lubimy wino. - Wu przesunęła się, cofając, odcięła ich od mężczyzn.

- W prawdziwym życiu jesteśmy oboje prawnikami.

Usta Carol Manion zdrząły tak nieznacznie i szybko, że gdyby Wu nie przyglądała się dokładnie, nigdy by tego nie zauważyła. Natychmiast powrócił wyćwiczony uśmiech, ale w ciągu tej sekundy, może mniej, starsza kobieta zdała się stracić rezon, zapadła cisza, aż w końcu Manion wydusiła z siebie

- Słucham?

Amy nie widziała nic złego w tym, aby jeszcze raz zadać jej ten sam cios.

- Powiedziałam, że jesteśmy oboje prawnikami - nie przerwał - Jason pracuje w prokuraturze okręgowej, a ja, już od pięciu lat, w dobrej kancelarii. Uwielbiam swoją pracę, choć ludzie mówią czasami o nas straszliwe rzeczy. Wszystkie żarty o prawnikach, wie pani. Ale ja uważam, że moi koledzy i koleżanki są dużo sympatyczniejsi niż się większości ludziom wydaje. Właściwie - zupełnie jakby jej się przypomniało - to zabawne, że akurat z Jasonem wpadliśmy na państwa, ze wszystkich tu obecnych, bo zdaje się, że mamy wspólną znajomą - twarz Wu posmutniała i nie było to udawane. - Czy też mieliśmy, powinnam powiedzieć, do tego tygodnia. Andrea Parisi?

Tafla wina w kieliszku Carol Manion zdrząła, jakby maleńkie trzęsienie poruszało ziemią pod jej stopami.

- Andrea... tak, ta prezenterka telewizyjna?

- I jeśli się nie mylę, jedna z grona pani adwokatów? Czy też się mylę?

- Nie, nie. Choć nigdy się nie poznałyśmy. Tak... to prawdziwa tragedia, to, co się stało. To znaczy nadal jej nie odnaleziono, prawda?

- Nie. Choć nie sądzę, że ktokolwiek ma jeszcze nadzieję. To najstraszniejsze. Była taką wspaniałą osobą. Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami - ze zdziwieniem Amy poczuła, jak autentyczne łzy napływają do jej oczu.

- Och, przepraszam. Nie chcę wprowadzać żaloby w tak miły dzień jak dziś. Ale pani i ona... Naprawdę miałam wrażenie, że pani również dobrze ją znała. Skoro przyjeżdżała do pani do domu...

- Nie! Nigdy tego nie zrobiła...

- Fakt. Wiem. Rozmawiałam z nią krótko po tym, jak zadzwoniła pani do niej z Saint Francis zasugerować spotkanie u niej w biurze. Obawiała się, że ma pani stracha.

- Z jakiego powodu?

- Jej reprezentowania pani.

- Ale ona mnie nie reprezentowała. Ona... - nagle przerwała, gdy uderzyła ją inna myśl. - Powiedziała pani, że zadzwoniła do pani?

- Mhm. Tuż po rozmowie z panią. Miałyśmy iść na kolację na Avenues, ale zdecydowałyśmy się przenieść do śródmieścia, skoro obie miałyśmy i tak

tam pracować. Boże, to było zaledwie w minioną środę? Wydaje się, jakby minęły całe wieki - jakby dopiero zdała sobie z tego sprawę, Wu dodała. -Ale skoro pani jej nigdy nie poznała, to również spotkanie z panią musiała prze-gapić.

Carol Manion rzuciła ukradkowe spojrzenie dokoła. Szybko oceniła dłu-gość i szerokość terenu, po czym spojrzała na Wu.

- Tak. To znaczy nie, nie poznałam jej - przerwała, po czym wydusiła z trudem. - Musiałam odwołać w ostatniej chwili.

- Szkoda - powiedziała Wu. - Na pewno by ją pani polubiła. Nie mogę uwierzyć, że jej z nami już nie ma. Była świetna... świetną osobą.

- Tak, cóż... - Carol Manion zrobiła kilka niepewnych kroków w przód, w stronę męża. - Jestem pewna, że ma pani rację. A teraz, proszę mi wybaczyć, myślę, że najwyższa pora zacząć przyglądać się tym winom. Miło było panią poznać. Ward.

Brandt i Wu zniknęli za połą namiotu i obserwowali oddalających się Ma-nionów. Carol była mocno wsparta na ramieniu męża.

- Miły facet z tego Warda - powiedział Brandt.

- Ona nie jest miła. Jest zabójcą.

- Tak myślisz?

- Założę się o moje życie, Jason. Myślałam, że zemdleje, jak wspomniałam o Andrei. Nie wyparła się telefonu z Saint Francis, a to sporo. Naprawdę my-ślałam, że zacznie wymiotować. Wiem, że nieźle to nią wstrząsnęło.

- Taki był cel.

- Nie, cel był taki, żeby zmusić ją do opuszczenia aukcji.

- Ale nie za wcześnie. Devin musi mieć czas, żeby tu dojechać.

Wu spojrzała na zegarek.

- Miał już dwie godziny. Zdaży.

- Lepiej, żeby zdażył - powiedział Brandt. - Popatrz na to. Manionowie za-trzymali się w drodze na swoje miejsce przy stole licytacyjnym. Carol naci-skała dłonią na klatkę piersiową męża, a drugą rękę przyciskała do swojej lewej piersi. Ledwo trzymała się na nogach. Na twarzy Warda malował się wyraz nieskrywanej frustracji i złości, przez chwilę patrzył na sklepienie na-miotu. Wziął kieliszek żony i wraz ze swoim postawił na najbliższym stole. Następnie zaczęli oboje iść w stronę najbliższego wyjścia.

- Zaczęło się - powiedział Brandt. Wu przytaknęła z ponurą satysfakcją.

- Na to wygląda.

33

Tamara i Craig podnieśli kieliszki na poziom oczu i ze skupieniem wpatrywali się w pół łała czerwonego płynu.

- Czego tu szukamy? - wyszeptał Craig.

- Nie jestem pewna - odparła Tamara. - Czerwieni?

- To widzę.

W sali degustacyjnej Piwnic Manionów, wino nalewały trzy osoby - dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli młodzi, znający się na winie, entuzjastyczni. Osobą, która naląła im wino, był dwudziestoparoletni niedoszły matinee o imieniu Warren, który czekał w napięciu na reakcje kilkunastu ludzi przy barze przed nim, zanim mógł kontynuować swoją mowę.

- Po pierwsze, jestem pewien, że wszyscy zauważamy zadziwiającą przejrzystość, głęboki rubin o minimalnym odcieniu bursztynu, a nawet cegły, na brzegach. Jest to naturalne w przypadku starszego rocznika, szczególnie sangiovese. Widać to często w przypadku starych chianti, które, jestem pewien, że wszyscy wiemy, pochodzi z tego samego grona. Gdy zamieszamy, może my wychwycić przebłyski głębszego rubinu, który charakteryzuje ten szczep w jego początkowych latach. Następnie, gdy wino ponownie uspokaja się na dnie czary, na pewno zauważymy niezwykle piękną podstawę...

Craig cofnął się o krok od baru, zerknął w dół.

- Ma rację, jeśli chodzi o twoje nogi - wyszeptał do Tamary. - Ale jak on może to stamtąd widzieć?

Dała mu kuksańca w żebra, wzięła mały łyk, po czym wypluła do wiaderka i odstawiła kieliszek. Warren paplał o lotności alkoholu, strukturze i czego należy szukać, jakie odczucia zmysłowe odnotowywać, kiedy wino przepływa przez wargi i rozpoczyna się faktyczny proces smakowania.

Tamara pochylała się w stronę Craiga i wyszeptała:

- Bez obrazu, ale jeśli o mnie chodzi, to dajcie margaritę.

- Wiem, o czym mówisz. - Craig nawet nie fatygował się, by skosztować tego konkretnego wina. Spróbował już łyżeków z trzech czy czterech innych butelek i edukacja ta nie miała zbytniego wpływu na jego początkową, negatywną reakcję. Ani on, ani Tamara nie interesowali się takimi rzeczami. Albo po prostu tego nie kumali. Kogo obchodziło, czy kolor był rubinowy, czy może bardziej w barwę owocu granatu? Jaką to robiło różnicę? Odkąd to kolor jest składnikiem smakowym? Jego zdaniem wszystkie smakowały jednakowo, pomimo tego całego gadania o dominującej nucie oraz wyraźnej podporze tanicznej, cassis (czykolwiek były) oraz czarnej porzeczeki, być może z nutami czekolady, tytoniu i skórzanych siodłał.

Tytoni? Skórzane siodła? Tak jak w skórzanych rękawicach baseballo-

wych? Czy Warren naprawdę myślał, że ludzie chcieli, żeby ich napoje smakowały koniem i cygarami?

Nie Craig. Nie Tamara. Jak już pili, to coś zimnego z kopem. A jak Craig będzie miał ochotę na dominującą nutę cytrusową to possie limonkę, dziękuję bardzo.

Ale tego ranka odebrali nagłący telefon od Wyatta Hunta i przyjechali tu z nim wykorzystać tę ostatnią szansę, zrealizować może niebezpieczny plan i wykonując polecenie, by nie zwracać na siebie uwagi, zdobywali się oboje na takie mniej więcej zainteresowanie, jakie widzieli u pozostałych gości.

- A teraz, proszę, zostawiamy tu kieliszki - ciągnął Warren - i przechodzimy do następnej części naszej wycieczki, mianowicie małej wspinaczki do naszych nowych jaskiń, ale na pewno zobaczymy, że warto. Jesteśmy niezwykle podekscytowani naszym potencjałem magazynowym, niemal piętnaście tysięcy beczek, mniej więcej pół na pół stary i nowy dąb, który dzięki skale wapiennej utrzymywany jest na stałym poziomie temperatury i wilgotności, co jest... - bla, bla, bla. - Więc proszę. Wszyscy za mną.

Poprowadził grupę z sali degustacyjnej na wiodącą w górę ścieżkę, która dochodziła do częściowo brukowanej drogi, która z kolei skręcała w prawo za rogiem wzniesienia i zniknęła z pola widzenia.

Ich własna ścieżka prowadziła jeszcze trochę w górę, wiodąc ich, jak zostało obiecanie, do nowych jaskiń, które, nawet Craig musiał to przyznać, robiły wrażenie. Rozciągając się pozornie setki stóp w głąb litej, białej skały i wypełnione po obu stronach szeregami beczek wina, jedna na drugiej, aż pod sufit, jaskinie stanowiły skomplikowany labirynt wycięty w samym wnętrzu wapiennego wzgórza.

I najwyraźniej prace nadal trwały. W regularnych odstępach, niedokończone skrzydła biegły w ciemność. Cztery główne arterie - każda wiodąca od drzwi do środka - kończyły się w olbrzymiej, słabo oświetlonej komorze głównej, która w ciągu kilku następnych lat mieścić miała obszerne muzeum wina o nazwie Sztuka Wina

- Manionowie mieli nadzieję, iż samo w sobie stanie się ono celem wycieczek. Znajdowała się tutaj również prywatna sala restauracyjna oraz scena dla przedstawień teatralnych i muzycznych - akustyka, zapewnił ich przewodnik, była doskonała.

Warren oraz czternastu z szesnastki gości z tury porannej zgromadzili się dokoła modelu architektonicznego w centrum pomieszczenia, który przedstawiał, jak wyglądać będzie komora po zakończeniu wszystkich prac.

Dwoje gości zniknęło w ciemności.

- Piwnice Manionów. Jak mogę pomóc?

- Cześć. Mówi Andy ze sklepu spożywczego w Oakville. Czy rozmawiam z kuchnią?

- Nie. Przykro mi, to sala degustacyjna i mamy tłum.

- Okay. Przepraszam, że przeszkadzam. Mogłabyś przełączyć mnie do kuchni, proszę?

- Nie mogę. To linia publiczna. Nie przełączamy do domu.

- Świetnie. A mogłabyś podać mi numer?

- Ponownie mi przykro, ale nie wolno mi tego robić.

- Jeeezu. Z kim rozmawiam?

- Natasha.

- Dobra, Natasha, posłuchaj, mam następujący problem. Carol Manion zadzwoniła tu powiedzieć, że jakieś sześćdziesiąt osób pojawi się w domu po aukcji, więc zgromadziliśmy jej bardzo drogie i raczej wyrafinowane zamówienie, ale muszę pomówić z kuchnią, żeby wiedzieć, co mam tu w całości przygotować, a czym wy możecie się zająć. Ale ta linia, na której rozmawiamy: ten numer dostałem od Carol.

- Wierzę. Jest ostatnio dość rozkojarzona.

- A któż nie jest? Tu też mamy wariacki tydzień. Tak czy inaczej, jeśli nie będziemy tam na czas i ze wszystkim przygotowanym, to promieniowanie po wybuchu uczyni naszą piękną dolinę niezdatną do zamieszkania przez kolejne dwieście lat, a co wtedy będzie z tobą i ze mną? Więc, czy mogłabyś, proszę, ten jeden raz, podać mi numer domowy? Obiecuję, że spalę go i dwa razy zjem prochy, gdy tylko skończę.

- Raz powinno wystarczyć, Andy - zaśmiała się Natasha. - Poczekaj chwilę. Dobra, gotów? - i podyktowała mu numer.

- To było zbyt proste - powiedział Mickey. - To nie może być takie proste.

- Czasami jest - Hunt nie był w nastroju do żartów. Miał numer Manionów i tego potrzebował, a teraz znowu miał komórkę przy uchu, rozmawiając z Juhle'em.

- Co to za miejsce? - spytał Devin. - Disneyland? Epcot Center? Nie wiedziałem, że w całej historii wyprodukowano tyle samochodów, a teraz wszystkie są tutaj. Przez ostatni kwadrans nie ujechałem nawet mili.

- Gdzie teraz jesteś?

- W korku.

- Tego się domyśliłem. Musisz się stamtąd wydostać. Rozmawiałem właśnie z Amy i Jasonem. Carol Manion prawie przyznała, że dzwoniła z Saint Francis.

- Co to ma niby znaczyć? Prawie przyznała.

- Nie zaprzeczyła. Amy konkretnie o to ją spytała.
- Jeśli to prawda - powiedział Juhle - to możemy mieć pierwszy przełom.
- Możliwe - przyznał Hunt - ale musisz się pospieszyć. Carol i Ward są w drodze do domu.
- Więc będą na parkingu.
- Tak, ale z drugiej strony i może będą szybsi. Gdzie jesteś?
- Na jakiejś autostradzie. Dwadzieścia dziewięć.
- Minąłeś miasto Napa?
- Tak sądzę.
- Okay. Uda ci się. Skręć w pierwszą w prawo.
- Którąkolwiek? Nawet nie wiesz, gdzie jestem.
- Jesteś na północ od Napa, reszta nieważna. Skręć w pierwszą w prawo i za wszelką cenę kontynuuj w tym kierunku, w stronę wzgórz, które widzisz przez okno od strony pasażera. Tak? Następna duża droga to Silverado Trail, gdzie skręcisz w lewo. Jestem na niej teraz i ruch jest płynny w obu kierunkach. Po lewo zobaczysz Winnice Quintessa - są wielkie, nie możesz przegapić i tam zwolnisz. Piwnice Manionów są tuż obok, ale Mick zaparkował swoje zielone camaro trochę dalej, po prawej stronie, i tam będziemy. Nie zajmie ci to więcej niż dziesięć, piętnaście minut, a to powinno wystarczyć.
- Na co?
- Żebyś tu dotarł, zanim pojedą do domu.
- A dlaczego to takie istotne?
- Może nieistotne. Ale ponieważ i tak chciałeś z nią porozmawiać, to możesz jednocześnie spełnić też mój kaprys, w porządku? Daję ci ją na tacy. Może roztrzęsioną i może gotową pęknąć.
- Pomimo twej obietnicy, że nie będziesz z nią rozmawiał.
- Nigdy tego nie zrobiłem.
- Ale jest roztrzęsiona? Jak do tego doszło?
- Magia. Później zdradzę ci ten sekret, a na razie masz jechać, okay? Wiem, że jesteś gliną i stoi to w opozycji do wszystkiego, w co wierzysz, ale przekrocz prędkość, jeśli musisz.
- Marne szanse - powiedział Juhle.

* * *

Juhle wjechał po wijącym się podjeździe, minął „Otwarte dla Gości” sale degustacyjne i przylegający do nich parking, w górę, aż zatrzymał się, by nacisnąć guzik na skrzynce przymocowanej do bramy z kutego żelaza, która rozciągała się przez szerokość prywatnej drogi. Przedstawił się jako inspektor wydziału zabójstw policji San Francisco, po czym musiał czekać około pięciu

minut, aż młody człowiek w ciemnym garniturze opuścił kompleks przez kolejną bramę w ogrodzeniu i podszedł do Juhle'a, by sprawdzić jego tożsamość.

- Ale obawiam się, że fatygował się pan tu na marne. Nie ma ich obecnie w domu.

- Nic nie szkodzi. Zaczekam, jeśli pan pozwoli.

- To może trochę potrwać. Są na aukcji.

- Na jakiej aukcji?

- Aukcji doliny Napa.

- Przykro mi. Nie znam.

Mężczyzna nie był przekonany, czy może wierzyć Juhle'owi, ale wyjaśnił:

- No cóż, to spore wydarzenie i znane jest z tego, że trwa do późna, ze wszystkimi przyjęciami po aukcji.

- Czy chce pan powiedzieć, że mnie nie wpuści?

- Może pan wjechać przed dom, sir - odparł ochroniarz po długiej przerwie - ale bez wyraźnego pozwolenia państwa Manionów nie mogę pana wpuścić do domu.

Uśmiechając się, Juhle przytaknął.

- Dobra, dzięki. Zaryzykuję.

Strażnik wbił kod, brama otworzyła się i Juhle wjechał do środka. Droga wznosiła się pod ostrym kątem przez pięćdziesiąt stóp, po czym rozgałęziała się, stając się bardziej pozioma, a jedna z alejek odbijała w prawo, wiła się między winoroślami, aż znikwała za bokiem wzniesienia. Juhle zatrzymał się przy rozwidleniu i poczekał aż mężczyzna, który go wpuścił, dotrze na wysokość samochodu.

- Podwieźć pana na górę?

- Pewnie, dzięki. To dalej niż się z zewnątrz wydaje.

- Lewo czy prawo.

- Lewo.

W ciszy pokonali kolejne wzniesienie, zjechali w dół, w prawą stronę przed nowymi jaskiniami z ich imponująco zdobionymi dębowymi drzwiami, podjechali po raz ostatni i znaleźli się na płaskim, dużym, okrągłym parkingu pokrytym żwirem, z działającą fontanną pośrodku i otoczonym drzewkami oliwnymi, przed bogato zdobioną strukturą samego chateau. Juhle minął dwa ciemne SUV i starą hondę civic i jechał dalej po okręgu, aż znalazł cień i tam zaparkował, mówiąc pasażerowi, że zaczeka w samochodzie.

- To naprawdę może potrwać.

- Jeśli zmęczy mnie siedzenie, to się przespaceruję. Może być?

- Jak pan chce, ale proszę nie opuszczać terenu przed domem - obszedł samochód i zatrzymał się przy oknie Juhle'a. - Przepraszam, ale właśnie do mnie dotarło. Pan jest z wydziału zabójstw? Czy stało się coś złego? To zna-

czy w rodzinie? Mam numer do nich, ale tylko na wyjątkowe wypadki.

- To tylko rutynowa wizyta - Juhle nie udzielił żadnych dalszych wyjaśnień.

Po sekundzie czy dwóch młody człowiek wzruszył ramionami i oddalił się.

Przez jakiś czas Juhle siedział w samochodzie, przy opuszczonej szybie, upajając się ciepłem i słońcem. Ze swego dogodnego miejsca miał widok rozciągający się całe mile w górę i w dół doliny. Zieleń pączkujących winorośli na rdzawej glebie, postrzępione wzgórza znaczone granitem, modre, bezchmurne niebo z jednym szybującym sępem. Olśniewająca panorama.

Przyglądając się, zauważył, że choć ruch na Silverado Trail w dole nie był mały, to samochody poruszały się w obu kierunkach. Jeśli Hunt nie pomylił się w swych założeniach - a jak na razie nie - na Carol i Warda nie trzeba będzie długo czekać.

W końcu na fotelu zrobiło się gorąco, zatem otworzył drzwi, wysiadł i poszedł na krawędź parkingu z przodu, gdzie wzniesienie opadało stromo przed nim. Zmagając się z niejakim wysiłkiem spowodowanym wspaniałością otoczenia, upomniął się, iż winnice są jedynie polami uprawnymi, których plon stanowią winogrona.

Istotnie, w małym zagłębieniu obok nowych jaskiń, Juhle dostrzegł niewiarygodnie zniszczoną, starą stodołę z sekwoi, otoczoną dużą ilością rdzewiejących narzędzi rolniczych, a także kilkoma nowszymi ciężkimi maszynami, których użyto w niedawnych pracach wyrobiskowych oraz w wyrównywaniu i obsadzaniu - kilka traktorów, spulchniacze i koparki, olbrzymie części wymienne i wiertła, łopaty i szpadle, motyki i widły. Niektóre lśniły w słońcu, ale większość była wręcz w opłakanym stanie. Teren dokoła wejść do jaskiń był nadal poharatany i pozbawiony gleby, nagi wapień jaśniał w słońcu niby zwierzęce kości.

Przyjechał tu jednak w konkretnym celu i ku swej satysfakcji zobaczył, iż nie będzie miał czasu na żadne dalsze obserwacje samego chateau, ani też otaczających go terenów. Tuż pod nim, czarne BMW Z4 cabrio pokonywało wzniesienie przed bramą.

Juhle cofnął się o kilka kroków, aż zniknął z pola widzenia pasażerów samochodu. Gdy minęli wzniesienie i wjechali na płaski teren w cieniu drzewek oliwnych, gdzie czekał, założył okulary i ruszył w ich kierunku, trzymając w wyciągniętej ręce odznakę, z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Jego kroki chrzęściły głośno na pokrytej żwirem powierzchni parkingu, gdy podszedł prosto do samochodu od strony Carol i odezwał się, zanim samochód całkowicie się zatrzymał.

- Pani Manion? Inspektor Juhle z wydziału zabójstw San Francisco. Może mnie pani pamiętać? Gdyby mogła mi pani poświęcić chwilę, chciałbym za mienić z panią kilka zdań.

34

- Nalegam - powiedział Ward. - Jak pan widzi, to naprawdę nie jest najlepsza pora, inspektorze. Moja żona czuje się bardzo źle. Musieliśmy opuścić aukcję z tego powodu, a zapewniam pana, że nie zrobilibyśmy tego, gdyby nie było to coś poważnego.

Mężczyźni stali twarzą w twarz w okrągłym, sklepionym, marmurowym foyer. To, że zgodzili się i w istocie zaprosili Juhle'a do wnętrza chateau, stanowiło wielki błąd Manionów - gdyby zmusili go do pozostania na zewnątrz, potrzebowałby nakazu, by wejść bez ich pozwolenia, ale gdy już go wpuszczono, z psychologicznego punktu widzenia dużo trudniej będzie go wyrzucić.

Gdy tylko przekroczyli próg, Carol, jak ktoś osłabiony przez upał, padła na jeden z foteli pod ścianą. Teraz położyła łokieć na oparciu i zamknęła oczy. Po chwili wsparła czoło o dwa pierwsze palce prawej dłoni. Nieoczekiwana obecność Juhle'a pojawiającego się z oślepiającej bieli popołudnia, zadała jej drugi cios psychiczny tego dnia i zachwiała nią.

Taki był zamiar Hunta, sedno jego planu, który najwyraźniej działał.

- Panie Manion - nie ustępował Juhle - przyjechałem tu aż z San Francisco, by zadać pana żonie kilka pytań, po czym odjadę. Jestem w środku dochodzenia w sprawie o zabójstwo sędziego federalnego i zeznanie pańskiej żony jest dla mnie istotne. Jeśli potrzebują państwo, aby napiła się wody albo odświeżyła, to w porządku, ale to naprawdę bardzo pilne.

Ward Manion spojrzął na żonę i ponownie na Juhle'a.

- To niedopuszczalne. Dzwonię do mojego adwokata.

- Proszę bardzo - odparł Juhle. - To pańskie prawo. Ale jeśli nie macie państwo nic do ukrycia, najprościej byłoby odpowiedzieć na moje pytania.

- Jeśli nie mamy nic do ukrycia? - Manion podniósł głos. - To absurdalne! Proszę natychmiast opuścić ten dom. Nie może pan mówić do nas w taki sposób...

Ale Carol nagle wstała, podeszła z tyłu do męża i dotknęła jego ramienia.

- Ward.

Odwrócił się, niemal ją przewracając.

- Carol, usiądź. Ja się tym...

- Nie. Nie, nie trzeba. Porozmawiam z nim. Nie potrzebuję prawnika. Jak wiesz, nie zrobiliśmy nic złego.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to wszystko jest takie... takie niewłaściwe. Traktują cię jak pospolitego przestępcę, tak się tu wpraszaając... - Ward pokręcił głową z obrzydzeniem. Zwrócił się do Juhle'a. - To absurd. Co chce pan wiedzieć?

- O co chce mnie pan zapytać? - odezwała się pani Manion.

Juhle wyjął dyktafon, włączył i postawił na koszu na parasole przy drzwiach wejściowych.

- Kiedy rozmawiała pani po raz ostatni z George'em Palmerem?

Westchnęła głęboko, rzuciła mężowi zmęczone spojrzenie i opadła głęboko na fotelu. Wreszcie podniosła wzrok na Juhle'a.

- W ostatni poniedziałek po południu. Zadzwoił tu do domu zaprosić mnie na przyjęcie.

Po niemal pół godzinie wszystko wyszło na jaw - dawny związek Staci Keilly z jej synem Cameronem, związek Staci Rosalier z Palmerem, zdjęcie, prawdziwa tożsamość Todda. Wszystkie jej odpowiedzi były bezpośrednie i jednoznaczne. Przyznała, że to niezwykley zbieg okoliczności. Ale nie wiedziała, kim jest Staci Rosalier. Nigdy nie słyszała tego nazwiska, nim pojawiło się w minioną środę w prasie. Gdyby ofiara nazywała się Staci Keilly, oczywiście zawiadomiłaby władze. Jeśli chodzi o zdjęcie, to naturalnie zauważyła pewne podobieństwo między chłopcem a jej synem Toddem, ale wiedząc, że nigdy nie poznała tej Staci - i czemu ta obca osoba miałaby mieć zdjęcie Todda? - zignorowała to, jako kolejny element w tym niezwykley ciągu zbiegów okoliczności. Tak między nimi, jej zdaniem tamten chłopiec wcale nie wyglądał dokładnie jak Todd.

W końcu Juhle spytał o Andreę Parisi i Carol powtórzyła, że już mówiła mu o swoim telefonie do Andrei, zaproszeniu, aby wystąpiła w roli mistrza ceremonii na przyjęciu na rzecz Fundacji Biblioteki, spotkaniu, na którym Parisi nigdy się nie pojawiła.

Juhle wskazał konkretnie na pozorne rozbieżności: Dlaczego czekała trzy godziny z telefonem do biura Parisi, po tym, jak ta nie przyjechała na spotkanie? Czemu nie zadzwoniła w czasie, gdy powinna czekać z niecierpliwością? Dlaczego Parisi powiedziała kolegom z kancelarii, że spotkanie dotyczyć będzie kwestii przyznania opieki? Biorąc to pod uwagę, czy Carol oczekiwała, że Juhle uwierzy, że pani Manion, Staci, Palmer i Parisi nie byli jeszcze zaangażowani w negocjacje na temat dziecka?

A jednak zaprzeczyła. Z rosnącym spokojem i rosnącą pogardą.

W miarę, jak kontynuował starcie, Juhle czuł, że atmosfera staje się coraz gęściej sza i odrażająca. Choć jego wersja tego, co i dlaczego się wydarzyło, zdawała się szokować, to stawała się coraz bardziej opanowana.

Wreszcie Juhle doszedł do kwestii telefonu.

- Pani Manion, niecałe dwie godziny temu, w rozmowie z naszym świadkiem, nie zaprzeczyła pani wykonania w środę po południu telefonu z hotelu Saint Francis, by zmienić miejsce spotkania na biuro panny Parisi.

Oskarżenie - a wraz z nim wiedza o tym, że najwyraźniej Juhle rozmawiał z młodą kobietą, która zaczepiła ją w Meadowood - dodało jej nowej energii.

Fasada ustąpiła, popękała, powróciła.

- To nieprawda, inspektorze. Nie było mnie tam.
- Naszemu świadkowi powiedziała pani, że tam była.
- Nie powiedziałam. Ona się albo pomyliła, albo kłamie.

Juhle nie przeoczył tego:

- Skąd pani wie, że to ona?
- Nie wiem, inspektorze. To musi być on lub ona, prawda? Wybrałam jedno na chybił trafił. Ma pan innych świadków, którzy faktycznie widzieli mnie w Saint Francis?

- Znajdziemy ich.

- Wątpię, inspektorze. Bardzo wątpię. Ponieważ mnie tam nie było. Czekalam w domu na pannę Parisi.

W końcu Ward nie mógł już znieść milczenia.

- Czy nie powinniśmy na tym skończyć, sierżancie? Skoro do tej pory nie dostał pan tego, po co przyszedł, to nie sądzi pan, że to się raczej nie stanie? Najwyraźniej moja żona mimowolnie związana jest z tymi wszystkimi tragicznymi wydarzeniami, lecz zakładanie, jak pan to czyni, iż odegrała w nich choćby najbardziej pośrednią rolę, jest całkiem niedorzeczne.

Część planu Hunta polegała na tym, by Juhle przekazał jej wiadomość, że nikogo nie oszukała. Prawda wyszła na jaw. Ludzie wiedzieli, co zrobiła. I Juhle wykonał swoje zadanie. Ale nie mógł przepuścić okazji, żeby zmusić ją do przyznania się.

Ukucnął, by jego oczy znalazły się na poziomie jej oczu, oparł łokcie na udach, splótł palce. Odezwał się prosto z serca.

- Pani Manion. Jest pani inteligentną kobietą. Myślę, że instynktownie rozumie pani, że to tylko kwestia czasu, nim to wszystko panią zniszczy. Pani nie jest złą osobą. Załamana się pani na myśl o zagrożeniu przyszłości pani syna i waszego wspólnego życia, a potem starała się pani ukryć to, co uczyniła. Ale nie będzie pani w stanie żyć sama z sobą, wiedząc, co pani robiła, że zabiła pani niewinnych ludzi. Nie chce pani, by jej syn musiał żyć z tym, jak to wszystko panią zmieni. A wie pani, że tak się stanie. To już się stało.

Patrząc na wyraz jej twarzy, przez chwilę myślał, że ją ma.

- To może się teraz skończyć - powiedział. - Może to pani skończyć tu i teraz.

Zdawała się rozważać jego słowa. Ostro wciągnęła powietrze, zacisnęła usta i zamrugowała kilkakrotnie. W końcu przechyliła głowę i otwartą dłonią zakryła usta. Wyprostowała plecy.

- Todd jest moim synem i jest niewinny. On mnie kocha.

I Juhle wiedział, że przegrał.

- Jestem jego matką - mówiła dalej. - Nigdy bym nie pozwoliła, by stała mu się jakakolwiek krzywda. Będę go chronić. Jestem jego matką - powtórzyła.

Juże, napełniony obrzydzeniem i wyczerpany, wstał.

- Jeśli chodzi o ścisłość - powiedział - to nawet pani nią nie jest.

Hunt rozbił swój obóz na bocznej drodze, która zaczynała się kilkaset stóp na północ od podjazdu Manionów i wiła się po zachodnim stoku naprzeciw chateau. Było to miejsce znane Mickey owi - przyjechał tu kilkakrotnie na amory z kobietami - gdzie skręt, któremu towarzyszyło obniżenie w topografii zapewniał im czyste pole widzenia, a co ważniejsze, zasięg krótkofalówek poprzez dolinę, wzniesienie, aż do kalifornijskich dębów, które rosły pomiędzy głazami na samym szczycie grzbietu górskiego za dachem Manionów.

W linii prostej znajdowali się niecałe pół mili od domu.

Cooper Hunta i camaro Mickeya, oba bardzo zielone i dobrze widoczne na Silverado Trail, zaparkowane były na brzegu drogi. Jason, wróciwszy z Meadowood, zaparkował swego purpurowego PT cruisera spory kawałek dalej, by nie wzbudziło to podejrzeń przypadkowego gliniarza z Napa.

Amy i Jason oraz Hunt i Mickey stali blisko siebie w plamie cienia. Juhle był w domu już od jakiejś pół godziny i ich mało znaczące rozmowy stawały się coraz bardziej nieznaczne, aż całkowicie umilkli. Nagle Mickey, który przez cały czas nie odrywał wzroku od chateau, powiedział:

- Akcja.

Hunt podniósł lornetkę i patrzył, jak Juhle pojawia się przy drzwiach frontowych. Sama mowa jego ciała wskazywała, co zaszło, potwierdzona tym, iż nie odprowadzało go żadne z gospodarzy.

Juhle doszedł do samochodu i otworzył drzwi, a Hunt opuścił lornetkę, zdjął z paska telefon i podał go Wu.

- Gotowa?

Cały czas była gotowa. Choć jej zadanie było proste i bezpośrednie, razem z Wyattem przedyskutowali je dość szczegółowo, więc teraz wzięła telefon bez wahania. Mimo to miała jeszcze jedno pytanie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz poczekać na Devina?

- Tak - odparł Hunt. - Cokolwiek zaszło między nią i Devem, to na pewno przekazał jej wiadomość, więc musimy uderzyć teraz, dopóki leży jej to na wątrobie, nim się z tym upora. I jestem pewien, że Dev nie chce oglądać tej części. Nawet nie będzie chciał o tym słyszeć.

- Koleś jest w tym po same uszy - wtrącił Mickey. - Teraz podąża za tobą i powinien się z tym pogodzić.

- Ta, no, to jego robota - wzdrygnął się Hunt. - Wszystko, co do tej pory robił, jest w jego małym podręczniku, co mu wolno, a czego nie. Jak wszyscy wiemy, miał pewne problemy z przestrzeganiem właściwej procedury prawnej, czym ja, na szczęście, nie muszę się martwić.

- Ale żeby wszystko było jasne, ja i Amy nadal jesteśmy pracownikami sądu. Właściwie, to jeśli nic się nie zmieniło, ja jestem w prokuraturze okrę-

gowej - Jason, bardzo zdenerwowany, nie narzekał, po prostu stwierdzał fakt.

- Zatem, gdy już skończymy, to pamiętajmy o pomysle Wyatt, by o tym nie rozmawiać.

- Rozumiemy - Amy położyła na jego ramieniu uspokajającą dłoń. - Chyba wszyscy o tym wiedzą, Jason. Miejmy to za sobą. Wyatt, podaj mi ten numer.

Hunt podyktował, a ona wybrała go, podczas gdy trzej mężczyźni stali dookoła w różnym stopniu zdenerwowani. Hunt skrzyżował ramiona, mięśnie szczęki poruszały się od zbytniego napięcia. Mickey przestępował z nogi na nogę. Jason, z rękoma w kieszeniach, twarz miał zarumienioną, choć jego ciemne oczy były przygaszone, niemal ponure; przygryzał wewnętrzną stronę dolnej wargi. Nikt się nie odzywał.

Amy udawała opanowanie, ale jej oczy błędziły dookoła, od drzew na niebo i na mężczyzn, czekając na połączenie, co zdradzało kondycję jej nerwów. Wiaterek ożywił się i zawiął jej włosy na twarz, odgarnęła je niemal ze złością. Nagle, z głośnym westchnięciem ulgi, skinęła.

- Dzwoni - szepnęła. Ponownie skinęła. Ktoś odebrał.

- Mogę mówić z Carol Manion? - Wu zacisnęła w skupieniu oczy. - Tak, rozumiem, ale to nagła sprawa. Muszę rozmawiać z nią osobiście - kolejna pauza. - To nie byłoby możliwe. Mogłaby pani spytać? To naprawdę bardzo ważne. Tak - i wreszcie cios - proszę jej powiedzieć, że dzwoni Staci Rosalier.

Palce zaciśniętej na telefonie dłoni Wu były białe. Otworzyła oczy, ujrzała stalowe spojrzenie Hunta i ponownie skinęła niepostrzeżenie. Carol szła do telefonu.

Gdy się odezwała, jej głos w niczym nie przypominał dopracowanego kontralto, które Wu odnotowała na przeglądzie przed aukcją. Wszystko, co przytrafiło się tego dnia Carol Manion, najpierw z Amy, potem z Juhle'em, zdołało, zgodnie z oczekiwaniem Hunta, zniszczyć powierzchnię jej opanowania i wyrafinowania. Głos wyrażał przerażenie, które kipiało w jej gardle.

- Kto mówi?

Hunt powiedział Amy, żeby dobrze to rozegrała i nie dała Carol szansy na rozłączenie się. Wu mówiła rytmicznie.

- Tu Staci Rosalier, Carol. Staci Keilly. Matka Todda.

- Kto mówi? Znowu policja? To czystej wody nękanie.

- To nie policja, Carol. Wiesz, że to nie policja.

- Więc kto? Czego chcesz?

- Chcę odzyskać syna. Ale na to jest już za późno. Zgodzę się na Andree Parisi.

- Odkładam słuchawkę.

- Dam ci spokój, jak zaprowadzisz mnie do Andrei.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, Carol, wiesz. Nie zmuszaj mnie, żebym ci groziła. Nie chcę odbierać ci Todda i zmuszać cię do wymiany, ale zrobię to, jeśli będę musiała.

Przez telefon Carol sprawiała wrażenie pogrążonej w panice. Wu słyszała, jak wrzeszczy „Todd! Todd! Gdzie jesteś? Chodź tu. Muszę cię zobaczyć. Natychmiast!. Ostatnie słowo było jazgotem.

W tle słyhać było inne dźwięki. Męski głos. Zaniepokojony. Kiedy ponownie zaczęła mówić do telefonu, nie było żadnych wątpliwości, że strach Carol zawładnął jej głosem.

- Jest tu. Nic mu nie jest.

- Wiem. Nigdy nie skrzywdziłabym własnego syna. Ale zabrałabym ci go.

- Powiedz mi kim jesteś!

- Powiedziałam ci. Gdzie jest Andrea?

- Powiedziałam, że nie wiem! Nie wiem.

- W porządku - powiedziała Wu. - Ostrzegałam cię. Wyrzuj przez okno z tyłu domu. Zadzwoń ponownie za dokładnie pięć minut.

Carol stała w jadalni, obok kuchni, ściskając telefon, jej twarz zbladła. Ward przybiegł, słysząc początkowe krzyki, za nim Todd z ochroniarzem, który wcześniej wpuścił Juhle'a oraz niania Todda. Teraz ta czwórka zatrzymała się w drzwiach.

Patrząc na telefon, jakby zdziwiona, że nadal ma go w dłoni, położyła słuchawkę na miejsce i odwróciła się do zebranych.

- Och, Todd - powiedziała, idąc w jego kierunku z rozłożonymi ramionami. - Moje dziecko. Wszystko dobrze? Powiedz mi, że nic ci nie jest.

- Nic, mam. W porządku. Dobrze się czujesz?

Kucnęła, by być na jego wysokości i ścisnęła go mocno.

- Dobrze - powiedziała, ale jej głos się łamał. Jej ramiona uniosły się jeszcze raz. Usiłowała zdusić rozpaczliwe łkanie.

- Carol - Ward uklęknął obok niej. - O co chodzi? Powiedz coś.

Zamiast tego opanowała się i stanęła twarzą do strażnika.

- Czy ktokolwiek, oprócz inspektora Juhle'a, był dziś w domu?

- Nie, proszę pani.

- Jesteś pewien? - krzyknęła na niego. - Nie patrz na Todda! Odpowiadaj. Był tu ktokolwiek?

Oszołomiony agresją tego wybuchu, mężczyzna cofnął się o krok.

- Nie, proszę pani. Jestem pewien. Nikt.

Ward wyciągnął dłoń:

- Carol...

Podniosła na męża ostrzegawczo palec, wróciła do strażnika.

- Kiedy podjechaliśmy, on był na zewnątrz. Juhle. Długo był tam sam?
- Nie, proszę pani. Minutę, najwyżej dwie, nim państwo przyjechaliście. Cały czas miałem go na oku.

- Co robił?

- Przez chwilę siedział w samochodzie, potem wysiadł i podszedł do miejsca, gdzie podjazd opada.

- I co tam robił?

- Wyglądało, jakby podziwiał widok.

- I tyle? Nie poszedł za dom.

- Nie, proszę pani, nie miał na nic takiego czasu. Pani i pan Manion przyjechaliście jakąś minutę później. Niemal natychmiast, jeśli o to chodzi.

Odkręciła się do niani.

- A ty byłaś z Toddem cały dzień?

- Si, senora. Toda el dia.

Odwróciła się do syna.

- Todd? Czy to prawda? Cały dzień?

Chłopiec, wystraszony szaleństwem matki, przesunął się o krok w stronę niani.

- Mamo?

Ward podszedł i położył jej dłoń na ramieniu, machnięciem ręki nakazując reszcie oddalenie się. Przeszedł z nią kilka kroków w głąb salonu, gdzie olbrzymie, zachodnie okna ozdabiały białe zasłony, zaciągnięte teraz w ochronie przed popołudniowym słońcem.

- Kto dzwonił, że tak cię to zdenerwowało? Znowu ta cała policja? - wyciągnął do niej dłoń, gdy ruszyła do przodu. - Carol? Proszę...

Włożyła dłoń między stykające się pośrodku okna zasłony i rozsunęła je z taką siłą, iż jedna urwała się przy karniszu. Następnie, cofając się, jakby pod ciosem, zakryła usta dłońmi, kwiliła przez palce.

Srebrnym sprayem, od tyłu, tak, by można było odczytać od wewnątrz, ktoś napisał dużymi literami T-O-D-D.

- Halo - głos pani Manion był ledwie słyszalny w telefonie, podszyty paniką, choć nadal zachowywała słabą kontrolę.

- Nie przerywaj. Możesz wszystkich innych odesłać - powiedziała Wu, używając tych samych, dokładnie wyćwiczonych fraz, na które wszyscy przystali. - Nie musisz mieszać w to nikogo innego. Teraz chodzi o Andree, nie o ciebie. Będziemy cię obserwować.

Amy zbladła, jej dłoń trzęsła się, gdy oddawała telefon Huntowi - teraz góraczy od jej dotyku.

- Boże - powiedziała, oddychając ciężko. - O mój Boże.
- Dobrze się czujesz? - spytał Jason, obejmując ją ramieniem.
- Zaprzeczyła ruchem głowy. Ponownie odetchnęła głęboko.
- Cholera. Cholera, cholera, cholera. To było straszne.
- To było rewelacyjne - powiedział Mick.
- Chyba będę wymiotować.
- Już - Jason pomógł jej usiąść, obejmując ją cały czas ramionami. Hunt przyklęknął na jedno kolano, podniósł palcem jej podbródek.
- To było doskonałe, Ames - powiedział. - Dobrze się sprawiłaś. Przytaknęła, nadal ciężko oddychając, a Jason spojrzął na Hunta.
- Co robimy teraz? - spytał.
- Teraz, wy - Amy i Jason - wy znikacie. Wystarczająco dużo oboje zrobiliście. Jeśli zostaniecie na jakimkolwiek etapie złapani, wasze pozycje zawodowe będą poważnie narażone, o ile nie stracone. Macie za dużo do przegrania.
- Tak, a wy niby nie? - powiedział Jason.
- Hunt machnął na to ręką.
- Już zmieniałem parę razy zawód. Nie zabiło mnie to. Zawsze mogę zająć się czymś innym. A z Devina jest duży chłopiec, który przyjechał tu z własnej woli. Cała reszta - Mick, Tammy, Craig - są w pracy. Jestem pewien, że czeka ich spora nagroda.
- Mick od razu się ożywił
- Jak spora?
- Wielka - powiedział Hunt. - Bezprecedensowa. - Po czym odwrócił się ponownie do Jasona i Amy. - Ale wy jesteście ochotnikami, którzy wykonali świetną robotę, a teraz musicie pojechać do domu. Mówię poważnie.
- A co wy zamierzacie? - spytała Amy.
- My - powiedział Hunt - będziemy czekać.

Od telefonu Amy do Carol minęły trzy godziny. Juhle i Hunt byli w obozie, a Mickey zaparkował przy zjeździe na Silverado Trail, skąd mógł śledzić Manionów, gdyby usiłowali, razem z Carol, wyjechać z domu i uciec.

Juhle skończył z żoną rozmowę z serii „Będę później” i podszedł do Hunta, który opierał się o dach coopera, a przed nim, na statywie, stała lornetka.

- Ile masz zamiar czekać? - zapytał.

Hunt spojrzął na zegarek, na opadające słońce, na chateau, w końcu na przyjaciela.

- Tak długo, jak będzie trzeba - powiedział. - Jak chcesz, to jedź do domu. Zadzwonię, jak znajdziemy Andree. Możesz wtedy przyjechać i zebrać laury.

- Nadal myślisz, że to zadziała?

- Nie wiem.

- Trochę trwa.

- Spodziewałem się tego. Musi podjąć kilka decyzji. Mogłaby wyznać wszystko Wardowi - albo prawie wszystko, tyle, by z nią współpracował. Albo przekonać jego i wszystkich pozostałych w domu, że cokolwiek to jest, może poradzić sobie z tym sama, że nie przechodzi załamania nerwowego. Jeśli taką opcję wybierze, to będzie musiała się ich pozbyć, wysłać na kolację, powiedzieć, że ma migrenę, albo coś. Cokolwiek zrobi, zajmie to trochę czasu.

- Jak ktoś pisze imię jednego z moich dzieci na oknie mojego domu, to dzwonię po gliny.

- Wiem, ale ona tego nie robi.

- A jeśli zadzwoni po dwudziestu ochroniarzy, albo nawet po Shiu, na liść boską. To by się dopiero zrobiło nieciekawie, co?

- Co jeśli... - Hunt spojrzął na dom. Ani w środku, ani dokoła nie działa się nic od telefonu Wu. - Nie zadzwoni po żadną policję, Dev. Jeśli tak zamierzała, to już by tu byli. Wszyscy jesteście teraz jej wrogami. Nawet Shiu. Może i dorabia u niej, ale przede wszystkim jest twoim partnerem, gliniarzem z wydziału zabójstw, który prowadzi dochodzenie w sprawie kilku morderstw, i wygląda na to, że ona je popełniła. Nie przyjedzie pomóc jej się z tego wypłatać. Nawet jeśli by dziś pracował, a nie pracuje.

- Mógłby przyjechać zarobić podwójne nadgodziny.

- Mało prawdopodobne.

- I sądzisz, że Ward też nie wezwie policji?

- Możliwe, że chciałby - odparł Hunt, kręcąc głową - ale ona przekona go, by tego nie robił. To jej problem i jest niezłe zmotywowana. Mam nadzieję, że rozumiała, że oddanie Andrei jest jej jedynym wyjściem. Tylko tego chcemy.

- Niezupełnie - powiedział Juhle. - Ja, na przykład, chcę ją aresztować.

- To pominąłem. A jeśli by cię tu nie było, to nie byłaby moja sprawa, jak ciągle powtarzałem.

- Pozwoliłbyś, żeby morderstwa uszły jej na sucho? - spytał Juhle. Hunt wzruszył ramionami.

- Chcę Andrei - zaszachował przyjaciela. Dyskusja została zakończona. Podnosząc walkie-talkie, nacisnął guzik. - Dobrze u was?

- *Affirmativo, mon capitaine* - rozległ się w trzaskach głos Chiurco - ale od zasłon, nic. Poza tym, że widzieliśmy grzechotnika. Wielkiego, starego skurczybka.

- Może go złapiecie i wpuścicie do domu? To ją wypłoszy.

- Nie ma mowy, Wyatt - dobiegł ich głos Tamary.

- To miał być, mniej więcej, żart, Tam.

- Przecież się śmieję - powiedziała.

- Dobrze. Dajcie znać, jak się wam sprzykrzy - Hunt wyłączył się i odwrócił się do Juhle'a. - Serio, nie musisz zostawać. Poradzimy sobie. Poza tym, może się nic nie wydarzyć.

Przyszła kolej, by Juhle sprawdził chateau, zanotował czas.

- Serio - powtórzył Hunt.

- Może mam jeszcze kilka minut. Zaryzykuję.

Do najdłuższego dnia w roku zostały trzy tygodnie, ale Coast Range odciła bezpośrednie słońce w dolnych partiach doliny krótko po osiemnastej. Kwadrans przed dziewiętnastą obóz pogrążył się w długich cieniach i Juhle założył marynarkę, którą nosił cały dzień w San Francisco.

- Ruszamy - powiedział Hunt.

Juhle podszedł do niego, mrużąc oczy w cieniu, gdy Hunt rozłożył dach samochodu, złapał walkie-talkie i zawiadomił swoich ludzi, mówiąc Mickeyowi, że z domu na parking zaczęli wychodzić ludzie. Ma włączyć silnik i być w pogotowiu.

- O ilu mówimy?

- Moment - Hunt złapał za nogę statywu i spojrzął przez lornetkę. W bagażniku coopera miał noktowizor, ale nie zapadł nawet zmierzch, więc nie wyciągnął go jeszcze. - Jakiś facet w ciemnym garniturze z dzieckiem i kobietą. Nie wiem, czy to Carol. Craig, widzisz ją? Over.

- Nie, dom nam zasłania.

Hunt podązał wzrokiem za małą procesją w drodze do jednego z SUV-ow.

- Wiesz, ile osób było w domu? Manionowie, dzieciak, ochroniarz. Ktoś jeszcze?

- Dzieciak ma nianię - powiedział Craig. - Widzieliśmy ją przez okno na górze.

- Więc pięć. Pięć.

- Zgadza się - potwierdził Mickey.

Mężczyzna w garniturze usiadł za kierownicą, podczas gdy kobieta z dzieckiem zajęli miejsca z tyłu, wsiadając przez drzwi, których Hunt nie widział. W ciszy wieczoru, nawet mimo odległości, dobiegło Hunta echo włączanego silnika. Samochód pojechał kawałek i zatrzymał się tuż przez samymi drzwiami frontowymi, zasłaniając większość. Hunt widział, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Widział ruch, ale nic poza tym.

- Mick - powiedział - jadą na dół. Nie wiem, czy wszyscy wsiedli, więc lepiej pojedź za nimi i się przekonaj.

- Roger. Robi się - trzy minuty później Mick odezwał się ponownie. - Przyciemnione szyby, Wyatt. Nic nie widać.

Hunt opanował chęć zabłąźnienia.

- Dobra. W którym kierunku jadą?

- Na północ.
- Więc nie wracają do miasta?
- Raczej nie. Może jadą na kolację w dolinie.
- Miejmy nadzieję. Okay, jedź za nimi. Odezwij się, jak będziesz wiedział, kto jest w samochodzie.
- Przyjąłem.

Dwadzieścia minut później głos Chiurco, choć przytłumiony, zaskrzeczał w krótkofalówce.

- Wyatt. Słyszysz mnie? Tylne drzwi właśnie się otworzyły.
- Masz noktowizor?
- Pewnie.

Choć niebo wprost nad ich głowami było nadal niebieskie, to cienie z Coast Range pochłonięły cały krajobraz aż po pagórki poza zasięgiem wzroku Hunta. Do prawdziwego zmierzchu nie zostało więcej niż dziesięć minut. Hunt podszedł do lornetki Night Scout, ale była bezużyteczna, nie widział bowiem tyłu domu.

Nie potrzebował jednak żadnego sprzętu, żeby dostrzec ostrze światła, które omiotło wzgórze za chateau, a potem wspięło się wyżej pomiędzy dęby i skały, gdzie całe popołudnie ukrywali się Tamara i Craig. Hunt nie widział po nich śladu w strumieniu światła, co było dobrym znakiem - nikt inny też nie mógł ich widzieć.

A przynajmniej taką miał nadzieję.

- Leżcie nisko - wyszeptał.

Światło zniknęło całkowicie, ale pojawiło się ponownie po około dwudziestu sekundach i wykonało dokładnie ten sam taniec, od tego samego punktu, po tej samej trajektorii.

- Próbuje nas wypłoszyć - Chiurco odezwał się prawie niesłyszalnym szeptem.

- Przyjąłem. Trzymajcie cię. Możesz stwierdzić, kto to?
- Starsza kobieta, moim zdaniem. Musi być Carol, co? Wróciła do środka.

Przyklejony do lornetki, Hunt zdał sobie sprawę, że popełnił błąd taktyczny. Mickey miał walkie-talkie, więc on sam nie mógł opuścić dogodnej pozycji w obozie, obserwując jednocześnie drzwi wejściowe. Będzie musiała powstać luka. Gdyby zaczęli jechać w stronę domu, nie wiedzieliby, czy Carol jedzie, czy idzie gdzieś. Wszystko zależało od tego, czy będą w stanie za nią podążać, gdziekolwiek będzie ich prowadziła, ale jeśli zniknie z ich pola widzenia, możliwe, że ją zgubią. Powiedział o tym Juhle'owi.

- Więc co? Chcesz, żebyśmy ruszyli na dół?
- Ten sam problem - odparł Hunt. - Cholera... Oto i ona - odezwał się przez

walkie-talkie. - Craig, wyszła z domu frontowymi drzwiami. Możesz utrzymać ją w polu widzenia?

- Nie tak szybko. Zaczynamy schodzić. Idziemy w waszą stronę.

- Dobra. Pospieszcie się, jeśli możecie. Ale ma latarkę i wygląda, że coś w drugim ręku. Może to pistolet, Craig. Uważajcie.

- Uważamy.

- Gdzie ona idzie? - spytał szeptem, stojący obok Hunta Juhle.

- Jak podejdzie do samochodu, musimy zabierać tyłki!

- Musimy czekać, Dev. Musimy czekać. Jeśli nie wsiądzie do samochodu, to ją mamy.

Widzieli snop latarki za fontanną.

- No dalej, Carol - powiedział Hunt. - Nie wsiadaj do samochodu! Nie wsiadaj do samochodu!

- Musimy jechać - Juhle wyczuwając potrzebę natychmiastowego działania, otworzył drzwi coopera od strony pasażera.

- Musimy się ruszyć, Wyatt. Teraz! Boją zgubimy!

Światło latarki oświetlało teraz od wewnątrz maskę drugiego SUV na parkingu przed chateau, Hunt zdał sobie sprawę, iż nie zamierzał nigdzie jechać. Chwycił statyw, wrzucił go na tylne siedzenie i wziął jedyną parę noktowizora-gogli - Viperow. Siadając za kierownicą, podał je Juhle'owi:

- Nie upuść - powiedział.

Włączył silnik, wrzucił bieg, wykręcił i ruszył w chmurze kurzu i żwiru.

36

Od momentu, gdy Hunt wcisnął gaz, Cooperowi zajęło siedemdziesiąt osiem sekund, by dojechać do podjazdu do Piwnic Manionów. Po skręcie w prawo Hunt wyłączył światła samochodu, wziął Vipery od Juhle'a i założył je na głowę. Oswoił się z noktowizorem, jechał wolno i miał nadzieję, że cicho przedostanie się w stronę bramy, która przecinała podjazd.

- Craig? Masz ją? - wyszeptał do krótkofalówki.

- Nie. Ale po mojej prawej stronie stoi stara stodoła, gdzie, jak sądzę, widziałem światło. Teraz już zniknęło.

- Gdzie jesteś?

- Ciągle dość wysoko. Nie chciałem, żeby nas usłyszała. Jestem przy drodze, która biegnie z tyłu wzgórze, tam gdzie są jaskinie.

Juhle spytał, czy jest nad, czy poniżej stodoły i Craig powiedział, że nadal ponad.

- Wiesz, gdzie jest ta stodoła? - spytał Hunt, odwracając się do Juhle'a.

- Tak, jeśli podjedziesz przed nowe jaskinie, to ona stoi po prawej stronie w małym zagłębieniu. Na ziemi dokoła leży masa śmieci.

- Craig - znowu do walkie-talkie - gdzie jest Tam?

- Wyżej, z lornetką. A wy?

- Ja i Dev stoimy przy bramie.

- Powinniście się rozdzielić.

- Tak zamierzam. Wyślę Deva w górę drogi, na której wy jesteście - Hunt widział to wystarczająco dobrze z obozu. Niebrukowana droga wiła się wokół podstawy wzniesienia i pięła się w górę, aż zniknęła za chateau. - Zaczynaj wolno schodzić. On będzie szedł w górę. Spotkacie się za stodołą i zaczekać. Jeśli wyjdzie, nie pozwólcie, by was zobaczyła i nie zatrzymujcie jej. Niech robi, cokolwiek ma do zrobienia.

- A ty?

- Ja idę od przodu jaskini.

- Więc ona jest w stodole?

- Powiedzmy, że taką mamy teorię. Dobra, musimy wyłączyć krótkofalówki.

- Okay - wyszeptał Craig. - Out.

Hunt wyłączył swoje walkie-talkie i upuścił na podłogę obok stóp. Osłaniając ręką, włączył i wyłączył małą, silną latarkę i włożył do kieszeni kurtki. Obaj mężczyźni sięgnęli do klamek, ale Hunt zatrzymał Juhle'a, łapiąc go za rękaw.

- Martwa cisza, Dev. Lekko otwórz, nie zamykaj. Niech się dzieje. A jeśli coś zacznie się psuć, natychmiast się wynoś. Nigdy cię tu nie było.

Hunt okrążył samochód i pochylając się nisko, szedł za Juhle'em przez około pierwszych pięćdziesiąt stóp, aż dotarł do ścieżki odbijającej w lewo i w górę, wiodącej do nowych jaskiń, od sali degustacyjnej poniżej. Gdy tylko zszedł z asfaltu, uświadomił sobie, że żwir chrupiący pod jego stopami wyolbrzymia każdy krok w nocnej ciszy.

Musiał zwolnić niemal do ślimaczego tempa, każdy krok zajmował teraz całą wieczność. Pokonawszy pierwsze wzniesienie, dotarł na względnie otwartą przestrzeń przed wejściami do jaskiń. Obsługa zamknęła na noc olbrzymie wrota, ale Hunt i tak sprawdził je wszystkie, okazały się solidne i niewzruszone. Gdy minął czwartą jaskinię, przeciął ścieżkę, by mieć lepszy widok na wglębie, w którym stała stodoła.

Juhle miał rację. Otoczenie zaśmiecone było narzędziami i sprzętem. Bez noktowizora Hunt nie miałby szansy dotarcia do środka stodoły, już nie mówiąc o poruszaniu się wewnątrz, bez podniesienia larum. Ale nawet zaopatrzone w nie, musiał ostrożnie stawiać kroki.

W upiornej zielonej poświacie zrobił krok, potem następny, starając się patrzeć jednym okiem na przeszkody przed nim, a drugim na stodołę, wypatrując jakiegokolwiek światła wewnątrz. Przed każdym kolejnym krokiem zatrzymywał się i czekał, nasłuchując. Nie dobiegł go żaden dźwięk.

Była to duża struktura, o dwóch poziomach, trzech ścianach, wbudowana w zachodni stok wzniesienia. Znajdował się dokładnie przed nią, przeszedł z przodu przez ziemię niczyją. Drzwi do stodoły okazały się do połowy otwarte. Jeśli była za nimi, czekając...

Nie mógł pozwolić sobie na takie myśli.

Słuchał. Słuchał.

Wyciągnął broń.

Przechodząc przez otwarte drzwi, pochylił się i odwrócił. Coś poruszyło się na obrzeżach jego pola widzenia i odkręcił się gwałtownie, by ujrzeć wielkiego, świecącego na zielono szczura, który biegł w stóg siana i poza pole widzenia. Wziął drżący oddech, odwrócił się ponownie, tym razem o trzysta sześćdziesiąt stopni. Sześć przegród zajmowało boczną ścianę, częściowo otwarta siodlarnia mieściła się w przeciwległym rogu z tyłu.

I wtedy to zobaczył.

W ścianie wzniesienia były kolejne drzwi do, najwyraźniej, kolejnej jaskini. Oczywiście, pomyślał. Jak to możliwe, że nigdy na to nie wpadł? Jeśli istniały nowe jaskinie, to logicznym było, że istnieć musiały stare.

Lub przynajmniej jedna stara jaskinia, teraz opuszczona, nieodwiedzana, zamknięta.

Podszedł do drzwi, które nie były zamknięte jak pozostałe, ale lekko uchylone. Z wnętrza dobywała się lekka, chłodna bryza i Hunt pociągnął masywne drzwi do siebie - miały co najmniej cztery cale grubości.

Wszedł do środka.

Nawet z noktowizorem trudno było cokolwiek dostrzec - okulary nie produkowały własnego światła, jedynie potęgowały światło otoczenia, a w tej jaskini niewiele było do potęgowania. Położył dłoń na ścianie i zrobił kolejny niepewny, cichy krok i następny. Po mniej więcej trzydziestu krokach ściana skręcała lekko w lewo, po czym ponownie ostro w prawo. Musiał pokonać kilka starych beczek po winie, leżących po bokach przy ścianie jaskini. Hunt szedł naprzód, aż dotarł do krańca.

Tak głęboko noktowizor był bezużyteczny. Nie było tu żadnego światła. Hunt zdjął okulary i włączył latarkę, zdziwiony, że drogę blokują mu kolejne drzwi, najwyraźniej wbudowane w skalne ściany jaskini. Za nim, w przepastnej ciemności, w głębiach jaskini rozległ się odbity echem charakterystyczny skrzek. Nim zdołał się odwrócić, dobiegł go stłumiony i przerażający odgłos.

Nie mogło to być nic innego - drzwi do jaskini zostały zamknięte.

Choć nie był głośny, to był to pierwszy dźwięk, który Andrea Parisi usłyszała, odkąd lite drzwi zamknęły się za nią przed, ile to już minęło?, kilkoma dniami. Leżała na plecach na kamiennej podłodze, tuż przy drzwiach - właściwie to przyciskała się do nich bokiem. Głód i pragnienie niemal ją paraliżowały i na początku pomyślała, że dźwięk jej się przyśnił lub cokolwiek, co przyjęłaby za sen w jej obecnym, odmiennym stanie. To, co zostało z jej umysłu, zaczęło wierzyć, że tak naprawdę wcale jej tam już nie ma. To nie było rzeczywiste, a nawet jeśli, to nie może jeszcze długo potrwać. Może już nie żyła.

Ale to był zdecydowanie dźwięk. Wystarczająco blisko, żeby usłyszała.

Próbowała obrócić się na bok, twarzą do drzwi, żeby zawołać, ale jej mięśnie nie były posłuszne na tyle, by w ogóle się poruszyła, a gardło było tak suche, że nie dało się skłonić do wytworzenia odgłosu.

Ale jeśli był dźwięk, to oznaczało, że ktoś mógł tam być. Może jeszcze zostać ocalona.

Musiała ponownie spróbować.

Próbowała się skupić, z trudem nabrała powietrza do suchych i pustych płuc.

Tym razem dźwięk, który się z niej dobył, był bezforemny. Żadne słowo. Pierwotny jęk, który rozległ się w jej zimnym grobie, wyczerpał ją. Jej gardło płonęło.

A jednak zebrała resztki sił i ponownie wyrzuciła go z siebie w ciemność, która stała się jej światem i jej piekłem.

I znowu to usłyszała! Bez wątpienia, kolejny dźwięk dobiegł przez drzwi i ktoś w nie pukał. I jej imię!

Andrea.

Z głębi przepastnej studni, ktoś wołał jej imię.

Hunt nie miał czasu poddać się przerażeniu, które groziło pochłonięciem go. Mimo wszystko powiedział sobie, Craig, Juhle i Tamara byli w pobliżu, zaledwie na zewnątrz. Ale wszyscy czekali na jego polecenia i było mało prawdopodobne, by weszli do środka po tym, jak podkreślił, by zostawili Carol w spokoju i pozwolili, żeby zaprowadziła ich do Andrei.

Co właśnie zrobiła.

Zdał sobie sprawę, że nawet Juhle byłby niechętny do podjęcia niezależnych działań. Juhle nie wiedział, że Andrea zamknięta była za drugimi drzwiami w tej jaskini - tylko Hunt o tym wiedział - i bez tej wiedzy, nie miał żadnego innego powodu, by aresztować Carol Manion, niż miał wcześniej. Już nie mówiąc o tym, że złamał wszelkie przepisy, wchodząc na teren jej nieruchomości. Jeśli ktokolwiek połączyłby go z tymi nieortodoksyjnymi, żeby nie nazwać ich nielegalnymi, elementami planu Hunta, kosztowałyby go to nie tylko tę sprawę, ale i ceną pracę.

Hunt wrócił do wejścia do jaskini w stodole, by sprawdzić, czy hałas był tym, na co brzmiał. Tak, drzwi na zewnątrz zostały zamknięte. Zamknięte, solidne, nieruchome.

Ale poszedł z powrotem pod drzwi i usłyszał zduszony krzyk Andrei. Wąłąc w nieustępujące drzwi, zawołał, aby coś jej odpowiedzieć, ale dźwięk zdawał się być wchłaniany przez jego własne echo.

I po tej odpowiedzi, nic.

Ponownie oświetlił latarką drewno drzwi. Słabość dźwięku z wewnątrz mogła oznaczać tylko to, że były one niesamowicie grube. Osadzone w ciężkich belkach, które z kolei tkwiły w litym cemencie wbudowanym w ścianę jaskini.

Hunt opadł na podłogę i nieprzerwanie walił w drzwi, ale dźwięk wcale się nie niósł. Zupetnie, jakby same drzwi wykonane były z litej skały.

- Andrea! - zawołał ponownie. - Andrea, słyszysz mnie? Ogłuszająca cisza. - Wyciągnijmy cię stamtąd - wyszeptał.

Same w sobie słowa zadziały pobudzająco. Stojąc, wyciągnął rękę nad głowę, wyczuwając ruch powietrza. Przy wejściu do jaskini, wewnątrz stodoły, czuł zdecydowanie wiaterek z wewnątrz pieczary skalnej. Oznaczało to, że powietrze musiało dostawać się do jaskini z zewnątrz, z innego wejścia.

Jeszcze raz spróbował ruszyć drzwi do wewnętrznej komory, gdzie zamknięta była Andrea, i ponownie nie ustąpiły. Oglądając w świetle latarki brzegi, zdał sobie sprawę, iż zamknięcie było prawie lub może idealnie hermetyczne. Żadne powietrze lub bardzo mało - na pewno zbyt mało, by wy-

wołać podmuch - przedostawało się na zewnątrz. To nie była zła wiadomość, oznaczała bowiem, że ruch powietrza, który czuł przy wejściu, miał źródło w jego komorze, a nie za drzwiami.

Hunt zaczął iść z powrotem w stronę wejścia do jaskini, oświetlając latarką każdy cal ścian i sklepienia. Przy zamkniętych drzwiach do stodoły przeciąg ustał. Starał się przywołać w pamięci, czy czuł wiatr, gdy wchodził, a drzwi wejściowe nadal były otwarte, ale koncentrował się wtedy na tym, co może znajdować się przed nim, albo gdzie postawić stopę, albo kto może na niego czekać w tej zasadzce.

Źródło podmuchu nawet mu przez myśl nie przeszło.

Gdy w drodze do wejścia jaskinia zakręcała ostro w lewo, zauważył pęknięcie w skale, wysoko, tam gdzie ściana zaczynała przechodzić w sklepienie. Nie więcej niż osiemnaście cali w najszerszym punkcie i może pięć stóp od wąskiego końca do wąskiego końca, ginęło w ciemności. Stojąc dokładnie pod nim, Hunt wyciągnął dłoń i naprężył całe ciało, by sprawdzić, czy wpada tamtędy świeże powietrze.

Ale nic nie poczuł.

Z tego miejsca, w którym się znajdował, nawet stojąc pod przeciwległą ścianą jaskini, nie był w stanie ocenić, jak głęboki był otwór. Mógł wychodzić na zewnątrz, zwązać się aż zniknie lub kończyć się po kilku stopach. Nie można było stwierdzić. Na początku nie było też jasne, dlaczego mogło mieć to znaczenie. Nawet jeśli mogło otwierać się na zewnątrz, ocenił, że pęknięcie znajdowało się co najmniej cztery stopy ponad jego wyciągniętą ręką.

To było niewykonalne.

Nadal sprawdzał ściany, minął beczki, dochodząc aż do drzwi frontowych. Całość była najwyraźniej wykuta w skale wapiennej. Wąskie pęknięcie na wysokości dziesięciu stóp było jedyną opcją. Nigdzie nie było śladu innego otworu. Usiadł na podłodze, plecami opierając się o drzwi stodoły. Wyłączył latarkę, oswoił się z ciemnością i spróbował się skupić. I pomyślał o beczkach.

Zawrócił i położywszy latarkę na ziemi, ruszył jedną z ciężkich, pustych beczek z drewnianego stojaka i przeturlał ją pod pęknięcie.

Za mało.

Wciągnąwszy się na beczkę i stojąc na niej, nadal nie mógł dosięgnąć dolnego brzegu otworu. Brakowało mu jeszcze stopy, może więcej.

Zszedł z beczki, podniósł latarkę i ponownie poświecił do środka otworu, usiłując lepiej zorientować się, jak daleko biegł w głąb. Nadal widział raptem na kilka stóp. Przeniósł spojrzenie na dolną krawędź pęknięcia. Poszarpana, o ostrych brzegach, zdawała się być naturalnym ubytkiem w litej skale, ale wiedział, że jeśli spróbowałby podskoczyć i złapać się występu, a skała odłamałaby się pod jego ciężarem lub zwyczajnie skruszyła, mógłby skoń-

czyć, w najlepszym razie, mocno potłuczony. Może ze złamanymi kośćmi lub gorzej.

Ale nie miał innego wyjścia.

Za pomocą noktowizora ustawił latarkę na ziemi w taki sposób, że jej snop padał na pęknięcie. Wyciągając się ponownie na beczce, obejrzał dokładnie miejsce, gdzie musi chwycić, próbował wizualizować następne kroki - uderzenie o ścianę, wciągnąć się na tyle, by wsunąć do wewnątrz ramiona, pracując łokciami, wsunąć się do środka, podrzucić stopy w górę z nadzieją, że jest tam dla niego wystarczająco miejsca. I że pęknięcie nie kończyło się kolejną ścianą skały gdzieś w sercu wzniesienia.

Myślenie o tym w niczym mu nie pomoże.

Skoczył.

Całkowita ciemność.

Powinien był wziąć noktowizor. Albo latarkę, choć potrzebował, by oświetlała wlot. Trzeba było użyć pistoletu do oparcia latarki, a nie cennych gogli; bezużyteczna broń objęła się w kaburze o jego plecy.

Jedyne, co mógł zrobić, to czołgać się do przodu na brzuchu, cal po calu, macając przed sobą drogę na wypadek występow w wąskiej przestrzeni, która już dwukrotnie obniżyła się nad nim wystarczająco gwałtownie, by rozciąć mu skórę głowy; ciecz, która spływała po jego czole do niewidzących oczu, smakowała jak krew. Wiedział, że jego dłonie były poszarpane i również krwawiły.

Przejście przed nim zwęziło się jeszcze trochę. Gdy zaczynał, miejsca było wystarczająco dużo, aby mógł czołgać się, używając łokci i poruszać kolanami, jak nauczono go na obozie dla rekrutów. Teraz jednak, po niekończącej się wspinaczce, poczuł, że sklepienie i podłoże zaczynają się coraz bardziej zamykać - na jego klatce piersiowej, niemal ocierając się o jego plecy, broń zaczepiała się przy prawie każdym ruchu. Nie mógł się nawet odwrócić, nie był też pewien, czy byłby w stanie zawrócić, gdyby chciał. Wpychając się naprzód, ręce wyciągnięte, rozpaczliwie zapierając się stopami, niemalże zaklinował się w litej skale.

Jeśli przejście jeszcze się zwęzi, nie będzie miał miejsca, by ruszyć się w żadną stronę. Czołgał się już długie minuty, przemierzył co najmniej kilkaset stóp. Jeśli się tu zaklinuje, umrze, pogrzebany we wnętrzu góry.

Ręce miał całkowicie wyprostowane, ponownie sięgnął przed siebie, macając kamień na dole i na górze. Jego ramiona zaparły się po obu stronach skały - trzecie i najgorsze przewężenie.

Ale jeśli zdołałby się przepchnąć, wydawało się ono rozszerzać po drugiej stronie. We wszystkich kierunkach.

Jego zakrwawione palce chwyciły skałę, usiłując pociągnąć całe ciało, ale skała skruszyła się. Szukając punktu oparcia z tyłu, zaparł się stopami, z całej siły popchnął ramiona w przód, ale zyskał nie więcej niż cal. W końcu z nie-ludzkim krzykiem, jakiego nigdy dotąd nie słyszał, pchnął się z całej siły i przepchnął się przez przewężenie.

Gdzieś w górze poczuł pierwszy, lekki zapach świeżego powietrza. Pociągnął się w jego kierunku. Ciemność zdawała się zmieniać. Koncentrując się na tym, ponownie pociągnął się w przód i poczuł, jak zerodowana ziemia ugina się nieco pod nim. Ujrzał kropeczkę światła i zdał sobie sprawę, co to jest.

Gwiazda.

Hunt wytoczył się na bardzo stromy stok wzgórza rzadko porośnięty krzakami i szorstką, wiosenną trawą. Reszta zdawała się być pokryta śliskimi łupkami wapienia i suchym kurzem. Nad horyzontem wisiał jasny półksiężyc. Około stu stóp poniżej Hunt widział niebrukowaną drogę na styku bardziej stromego stoku i zadbanej winnicy. Bez wątpienia tę drogę wybrał Juhle, gdy się rozdzielili, a kilkaset stóp w górę przy stodole miał spotkać się z Chiurco.

Wytarł krew z twarzy w rękawy koszuli, a z dłoni w spodnie. Zaczął schodzić, nisko pochylony, używając osłony zarośli, gdy tylko mógł, tak na wszelki wypadek. Z tego, co wiedział i zakładał, pani Manion była uzbrojona i ewidentnie na tyle kompetentna jako strateg, iż niemal powiodło jej się wyeliminowanie go z dzisiejszej rozgrywki.

Z uwagi na telefony Amy na pewno zdawała sobie sprawę, że walczy z więcej niż jednym przeciwnikiem, i mogło jej się udać obezwładnienie jednego lub wszystkich jego ludzi. Nie można było teraz pozwolić sobie na lekomyślność.

Zmusił się zatem do poruszania powoli i bardzo ostrożnie. Mimo tego, co pięć, sześć kroków wywoływał małe lawiny niezbitego kurzu i kamieni, które pokrywały stok. Dwukrotnie wyzwolił coś, co brzmiało jak lawina ziemi. Poruszając się następnie od krzaka do krzaka, by uniknąć kolejnych obsuwów, dotarł wreszcie do drogi, gdzie skręcił w lewo. Wyjął pistolet z kabury, odbezpieczył, po czym trzymając się nisko, zaczął po cichu, miał taką nadzieję, truchtać.

Do skrzyżowania, gdzie mieli się spotkać Juhle i Chiurco, nie było daleko - kilkaset metrów - i Hunt stał na środku drogi, skąd odchodził podjazd i prowadził do stodoły po jego lewej stronie. Sparaliżowany, stał wyprostowany u styku dróg, gdzie Juhle i Chiurco muszą go zauważyć, wstrzymał oddech i usiłował wsłuchać się w odgłosy nocy, ponad biciem swego serca. Gdzie oni są? Gdzie jest Tamara?

Machinalnie spojrział na zegarek, choć nic mu to nie dało. Nie miał prawie żadnego pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd rozstał się z Juhle'em - może nawet godzina. Na pewno nie mniej niż czterdzieści pięć minut.

Ale ile by to nie było, jego ludzi nie było tam, gdzie mieli się spotkać czy też czekać na niego. Co oznaczało, że coś poszło źle. Albo Craig i Devin zrezygnowali z czekania i coś sami zaplanowali. Jeśli tak było, to sądząc z panującej ciszy, było już po wszystkim.

Odwrócił się w stronę stodoły i wpatrywał się w jej zarysowaną sylwetę.

Przesuwając się w jedną, po czym w drugą stronę, próbował dostrzec coś przez stare belki z sekwoi. Były w ogóle miejsca, przez które mógłby cokolwiek zobaczyć? Czy mu się wydawało, czy też na wysypisku po drugiej stronie widział przyćmione światło?

Teraz, bez gogli, bez latarki, musiał polegać na księżycu, lecz gdy posuwał się w stronę stodoły, cień wzniesienia zalał drogę i Hunt ponownie znalazł się w ciemności. Ale tu, z powodu kontrastu, widział, że się nie pomylił. Ktoś używał światła, być może nad drzwiami stodoły z drugiej strony.

Poruszał się naprzód, powoli, cicho, w kierunku stodoły, przegroda po przegrodzie, pozwalając, by jego wzrok przyzwyczajał się do tej przestrzeni. Drzwi frontowe nie były całkiem zamknięte i przez szczelinę sączył się wąski promyk słabego światła.

I wtedy, tak ulotny, że nie mógł ocenić skąd dochodził, usłyszał męski głos. Czekał cierpliwie, nie chcąc ujawnić swej obecności, aż będzie całkiem pewien, co działo się na zewnątrz. W końcu dotarł do niskiej ścianki ostatniej przegrody i przeszedł na twardą ziemię niczyją w samym środku stodoły, zatrzymując się w cieniu wciąż daleko od drzwi.

Teraz głos kobiety. Ostry i władczy, choć słowa pozostawały niezrozumiałe. Z całą pewnością nie była to Tamara, a Hunt nie mógł uwierzyć, żeby Carol Manion mówiła takim tonem do Juhle'a. Kto zatem?

Przemieścił się w lewo i w stronę drzwi. Cicho, cicho. Pistolet prosto przed sobą. Jeszcze jeden krok i widział Juhle'a, najwyraźniej żywego i całego, który siedział z rękami za sobą obok Chiurco, na brzegu pustej niecki, na środku zaślanego śmieciami dziedzińca. Opanowała go niesamowita ulga i nawet opuścił broń i zrobił kolejny krok w stronę drzwi - gdzie zobaczył całą scenę.

Shiu też tam był!

Juhle musiał zmięknąć i zadzwonił po niego, gdy siedzieli znudzeni w obozie i powiedział, że pewnie jednak wolały tu przyjechać. Najwyraźniej Juhle chciał dopuścić go do aresztowania, chroniąc żałosny tyłek swojego partnera, bo inaczej mogłoby się to źle skończyć dla Shiu, który wyglądałby, jakby nie chciał prowadzić dochodzenia przeciwko ludziom, dla których wykonywał tyle pracy ochroniarskiej.

Obecność Shiu nie była częścią oryginalnego planu Hunta, ale niewiele tej nocy zdawało się dziać wedle zaplanowanego scenariusza. Poza tym Dev był zawsze tak niepoprawnie dobrym facetem, a jeśli wezwanie Shiu bez zawiadomienia o tym Hunta było częścią wprowadzenia planu w życie, nie zamierzał na to narzekać.

Shiu stał przed przerdzewiałym traktorem, obok Carol Manion, trzymając

broń.

Właśnie miał dojść do drzwi i wyjść na zewnątrz, ale coś w układzie postaci zatrzymało go. Ponownie spojrzął na Juhle'a - który miał ręce za plecami.

Przyjrzał się dokładniej, zauważył błysk metalu.

Chryste! Juhle był skuty.

Co mogło oznaczać tylko, że Shiu...

Shiu?

- Jak twoja dziewczyna ma na imię? - Shiu celował w twarz Craiga Chiurco.

- Tamara.

- Zawołaj ją.

- Nie ma jej tu - powiedział Chiurco.

- Juhle powiedział, że jest.

- Myliłem się - wyjaśnił Juhle.

- Zamknij się, Devin. Rozmawiam z twoim przyjacielem.

- Juhle mówi prawdę, sir. Pomylił się. Zeszła szlakiem z tyłu, gdy on wchodził na górę.

- Zatem obawiam się, że okaże się to bardzo niekorzystne dla ciebie.

- Panie Shiu - odezwała się Carol Manion. - Proszę nie...

- Nie teraz, pani Manion - Shiu nieprzerwanie wpatrywał się w Juhle'a, lecz mówił do Carol. - Jakby pani nie spanikowała i nie porwała Parisi, nawet by nas tu nie było. Ale nie, pani musiała z nią porozmawiać, żeby dowiedzieć się, co ona wie, prawda? I przez to wszystko się spieszyło. Nie rozumie pani? Jakby zostawiła pani wszystko mnie, nic z tego by się nie wydarzyło. Więc niech mi pani nie mówi, co mam robić. Ja podejmuję decyzje.

- No więc, co pani zrobiła z Parisi? - spytał Juhle. - Nie żyje?

- Prawdopodobnie - odparł Shiu. - Już nie - po czym wrócił do Chiurco. - Zawołaj swoją dziewczynę.

Craig zaczerpnął trochę powietrza i przełknął.

- Powiedziałem już. Nie ma jej tu.

Shiu postąpił szybko krok w przód, spojrzął w dół lufy i pociągnął za spust - wystrzał odbił się echem w całej dolinie. Craig wydał zduszony krzyk i padł na ziemię.

- Tamara! - krzyknął Shiu. - To było ostrzeżenie. Następny będzie w jego głowę. Wyjdź natychmiast.

Krzycząc, Tamara wybiegła zza cienia chateau do nich, w stronę światła.

- Craig!

Shiu wycelował do Juhle'a, żeby upewnić się, że nadal ma jego uwagę, po czym ponownie odwrócił się do Chiurco. Cofając się, zrobił miejsce, by Tamara podeszła do Craiga. Chłopak podnosił się do pozycji siedzącej, przestraszony, trzymał się za prawe ucho.

- Nie musiał pan tego robić, panie Shiu - Carol Manion, nawykła do wydawania rozkazów, mówiła ostrym tonem. - W końcu by wyszła.

- Nie mamy w końcu, pani Manion. Mamy ją teraz i ona jest już z nami, więc może uznajmy, że mój sposób zakończył się sukcesem.

- Ciesz się, póki możesz - powiedział Juhle. - To twój pierwszy? Sukces, mam na myśli?

- A więc, nie, Devin. Skoro już o tym mówisz, skucie cię twoimi kajdanami, też bym uznał za sukces. Czy też może będzie to zabicie cię z twojego własnego pistoletu?

Shiu pokręcił głową z rozczarowaniem.

- Co? Żadnej błyskotliwej riposty? Nie wiem czemu, ale wciąż oczekuję, że wymyślisz coś trafnego, pasującego do okoliczności. Zaczynam sądzić, że nie masz do tego wystarczającej wyobraźni.

- Biorąc pod uwagę źródło krytyki, to uznam to za komplement. A mówiąc o wyobraźni, co zamierzasz teraz zrobić, skoro masz już nas wszystkich? Zastanowiłeś się nad tym, pieprzony debilu? Myślisz, że zabicie nas wszystkich ujdzie ci na sucho? - Juhle skorzystał z trwającej dynamiki między Shiu i jego szefem. Odwrócił się do Carol Manion. - Co on miał na myśli, że pani zabrała Parisi i ona prawdopodobnie nie żyje? Nie zajął się tym dla pani, tak jak sądzią i Staci? Zakładam, że zapłaciła mu pani za to.

Shiu ponownie podniósł broń.

- Zamknij się, Devin.

Ale do Juhle'a już celowano. Obecne zagrożenie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia, do tego stopnia, że nawet zachichotał.

- Albo co, Shiu? Albo mnie zastrzelisz tu i teraz. Nie wydaje mi się. Wszystko bym zakrwawił, a nawet ty powinienesz wiedzieć, że pozostawi to ślady. W niektórych okręgach większość gliniarzy jest kompetentna.

Carol Manion złożyła ramiona przed sobą, na twarzy malował jej się wyraźny niepokój.

- Panie Shiu, on ma rację. Nie możemy...

- Wystarczy! Myślę.

Juhle patrzył na matriarchinię.

- Tylko posłuchajcie, jak te trybiki próbują się poruszać - powiedział. - Sam widok aż boli, prawda? - Po czym, zaczynając sobie zdawać sprawę z faktów, dodał: - Wsadziła ją pani do jaskini, gdzie teraz zamknęła pani Hun-

ta.

- Nie chciałam jej zabić - powiedziała pani Manion. - Nie mogłabym nikogo zastrzelić.

- Nie. Sądzę, że nie.

- Razem z George'em i tą zdziwą... chcieli odebrać mi Todda i nagle, nie było innego wyjścia, tylko pan Shiu... ale ja, ja nie planowałam nic przeciw panie Parisi. A pan Shiu nie mógł... pracował. To był środek dnia.

- Więc pojechała pani po nią, zabrała ją z garażu i przywiozła tutaj? Carol skinęła.

- Chciała przyjechać. Powiedziałam, że jestem pod wrażeniem jej pracy w telewizji i chciałam, żeby pracowała dla nas jako prawnik, dla winiarni, że powinna ją zobaczyć. Nie chciałam jej skrzywdzić. Po prostu musiałam się jej pozbyć - spojrzała na stary, rozpadający się budynek. - Burzymy w tym tygodniu stodołę, wie pan? Oczyszczamy cały teren. Ward chce założyć organiczny zielnik. I położyć stiek nad starą jaskinią, oczywiście. To doprawdy odrażający widok.

- Wystarczy! - powiedział Shiu. - Wszyscy wstawać.

- Nie wydaje mi się - powiedział Juhle. - Albo kończymy tu, albo wcale.

- W porządku, zatem jeśli tak ma być, to niech będzie i tu - podniósł broń. Carol Manion zakryła dłonią twarz.

- Nie! Nie może pan tego zrobić.

W stodole Hunt zrozumiał, że jego czas się skończył. Podniósł broń, wyciągnął ramię, celując w Shiu.

Ale na podwórzu, postępując w panice krok w stronę zakładników, Carol Manion zasłoniła mu widok. Nie mógł strzelić do Shiu. Ona stała na linii strzału.

Coś się działo z Shiu, choć tego nie widział, i pani Manion zrobiła kolejny krok, wyciągając do niego rękę, i krzyknęła.

- Nie może pan tego zrobić!

Hunt usłyszał słowa Shiu.

- Mam cię dość.

Powietrze przeszły straszliwa eksplozja i Hunt zobaczył, jak ramiona Carol Manion lecą w tył, gdy zatoczyła się i padła na plecy. Tamara krzyknęła. Ale w tym czasie, dosłownie w sekundzie, kiedy Hunt przenosił wzrok z powrotem z miejsca, gdzie upadła Carol Manion, Shiu ponownie się przesunął, tym razem za Juhle'a, znowu zablokowany, z wyciągniętą bronią.

Hunt musiał się natychmiast ruszyć, jeśli chciał mieć jakąkolwiek szansę.

W pośpiechu, by przejść na jedną stronę, nie mając czasu na myślenie ani

nic do stracenia, usiłując nie spuszczać wzroku z Shiu i wycelować - Hunt nie zastanawiał się nad wszystkimi narzędziami rolniczymi i gruzem zaśmiecającymi podłogę stodoły, które, jak do tej pory, z taką ostrożnością omijał - kopnął coś metalowego i w tak grobowej ciszy mógł równie dobrze odpalić petardę.

Słyszając hałas, Shiu odwrócił się i bez wahania strzelił dwukrotnie w szczelinę w drzwiach stodoły. Kule uderzyły w drewno po obu stronach. Zaraz oddał kolejną serię strzałów.

Ze stodoły nie padł ani jeden strzał.

Wprawdzie ręce Juhle'a skrępowane były z tyłu, jednak w sekundach rozproszenia spowodowanego strzałami, zdołał się podnieść i zaserwował okrutne uderzenie karate w rękę, w której Shiu trzymał broń, uderzając pistolet i posyłając go ślizgiem w kurz.

- Craig! Tam! - wrzasnął. - Łapcie broń.

Shiu uderzył Juhle'a łokciem w twarz, przewracając go w tył przez prze-grodę, po czym obrócił się i kopnął w tej samej chwili, trafiając Chiurco, który wstawał, i posłał go z zamachem Tamarze pod nogi. Ona także padła. Shiu przez chwilę rozglądał się dokoła, zebrał się, odwrócił i schylił po pistolet.

Teraz wreszcie Hunt miał czystą linię strzału, choć do ruchomego celu i ruszył w stronę drzwi naciskając na spust. Dwa, cztery. Wszystkie strzały spudłowane. Widział kurz wzbijający się dokoła nóg jego celu. Shiu, turlając się po ziemi, dotarł do pistoletu Juhle'a i na brzuchu wyciągnął ramiona i oddał dwa strzały w drzwi stodoły. Po pierwszym Hunt krzyknął. Shiu odwrócił się i strzelił w stronę swoich więźniów, aby wybić im z głów jakąkol-wiek myśl o ataku.

Jego pistolet kliknął pusty. Kliknął ponownie, Shiu przeklął, odrzucił go, i znowu się przeturlał, zmierzając za koło traktora, by się ukryć.

- Wyatt! On nie ma pocisków! - krzyknął Juhle. - Wyatt!

- Leżę, Dev. Dostałem!

- Cholera!

Przycupnięta za brzegiem niecki z Juhle'em i Chiurco, Tamara jako pierwsza przyszła do siebie i ruszyła się.

- Nie ruszaj się, kotku - powiedziała, po czym rzuciła się szalonym biegiem. Pistolet Juhle'a leżał pięć stóp przed traktorem, Tamara skoczyła, przeokołkowała i podniosła się, trzymając go w rękę, a potem rzuciła go swojemu chłopakowi.

- Craig! Devin ma naboje! Przetaduj!

Ledwie skończyła mówić, Shiu uderzył ją od tyłu w kolana i padła z impetem. Przez krótki moment wytchnienia, który zyskał za traktorem, Shiu wy dobył z kabury własną broń. Teraz pociągnął Tamarę za włosy, założył jej rękę wokół szyi i przycisnął lufę do skroni.

- Koniec! Poddajcie się!

Gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, oddał dwa nagłe strzały w powietrze, po czym wrzasnął.

- Następna kula ją zabije! Następna kula ją zabije! To nie bluff! Rzucić broń i wyłazić! Wszyscy! Ruszać się albo ona zginie!

Chiurco tylko przez moment zahałał się, po czym rzucił przed siebie pistolet. Wymienił spojrzenia z Juhle'em. Nie mieli wyboru. Podnieśli się.

Płynnym i niespodziewanym ruchem Shiu pochylał się i wziął broń Juhle'a. Trzymając własny pistolet przyciśnięty do głowy Tamary, wolną ręką wypuścił magazynek z broni automatycznej i niemal nim dotknął ziemi, przeładował pistolet Juhle'a. Tamara nie widziała, co się dzieje i nie zareagowała wystarczająco szybko - a teraz Shiu włożył swoją broń z powrotem do kabury, a przeładowaną broń Juhle'a przystawił jej do głowy.

- OK, teraz wy dwaj - powiedział - do drzwi stodoły - po czym podnosząc głos. - Ty w stodole! Hunt! Wyrzucić broń.

Cisza.

- Hunt! Liczę do trzech i ona umrze. Raz...

- Nie mam. Odstrzeliłeś ją. Leży gdzieś w ciemności.

Na chwilę zwolniło to impet Shiu, ale pozbierał się wystarczająco szybko.

- Muszę cię zobaczyć. Wyjdź na zewnątrz.

- Leżę na ziemi.

- To się czołgaj. Ręce z przodu. Tylko ślad broni i wszyscy umierają, rozumiesz? Pierwsza dziewczyna. Wy dwaj, odsuńcie się. Wypuście go.

Jedynym dźwiękiem było powolne szuranie ciała Hunta, gdy ciągnął je przez kilka stóp aż do drzwi stodoły. Gdy zaczął się pojawiać, wyglądało, jakby dostał dwa razy w lewy bok. Jego lewe ramię wisiało najwyraźniej bezużyteczne wzdłuż zakrwawionej lewej nogi, gdy czołgał się prawą stroną. Twarz nadal była pokryta rozmazaną masą zaschniętej i świeżej krwi. Jego prawa ręka, drapiąc ziemię, gdy ciągnął się na zewnątrz, pozostawiała krwawy ślad na drodze.

Gdy trochę więcej niż połowa jego ciała wystawała ze stodoły, zatrzymał się i spojrzał w górę. Dyszał ciężko z bólu i wyczerpania.

- Nie możesz tego zrobić, Shiu.

- Nie? A niby co ja robię?

- Nikt ci nie uwierzy.

- Nie? Śmieszne, bo mnie się wydaje, że i owszem - powiedział Shiu. - Mimo wszystko to z pistoletu Devina zginęła biedna pani Manion. Obawiam się, że będzie wyglądało na to, że inspektor Juhle wplątał się w kolejną strzelaninę - wiecie, że jest z tego znany. A potem znalazł również powód, by zabić ciebie i twoich ludzi. Jakoś go zdradziłeś. Gdy przyjechałem tu po telefonie Manionów, po tych wszystkich dzisiejszych groźbach pod adresem rodziny, zobaczyłem, co się dzieje i próbowałem cię powstrzymać. W efekcie musiałem zabić partnera w samoobronie, lecz niestety za późno, by ocalić resztę ofiar. Myślę, że zadziała.

- Za wyjątkiem jednej rzeczy.

- Niby jakiej?

Hunt zrobił pauzę, aby upewnić się, że jego ciało przygotowane było do reakcji.

- Nie odbezpieczyłeś przy ostatnim przeładowaniu - gdy to powiedział, wyciągnął lewą rękę z bronią, którą trzymał ukrytą pod nogą.

Oszłomienie Shiu trwało tylko ułamek sekundy, zanim pociągnął za spust glocka Juhle'a za głowę Tamary.

Suche kliknięcie nadal wisiało w powietrzu, gdy Hunt wymierzył z własnej broni tak szybko, jak potrafił. Jednym ruchem zablokował lewy nadgarstek prawą dłonią i wystrzelił.

Shiu dostał w czoło. Pistolet Juhle'a poleciał w górę, gdy impet kuli, która trafiła Shiu, sprawił, że uderzył on o traktor i padł na ziemię.

Tamara również padła i Chiurco podbiegł do niej, a Juhle ruszył do Shiu i kopnął go w ramię, przewracając na bok. Hunt, kulejąc, był tuż za nim i wyciągnął pistolet z kabury Shiu.

Nabierając powietrza, położył palec na szyi Shiu i przytrzymał go tam przez dłuższą chwilę. Następnie wyprostował się i stanął przed przyjacielem.

- Chyba mu się nie uda - powiedział.

- Ta, ale dość o nim - powiedział Juhle. - Zdejmij mi te cholerne kajdanki.

Hunt nigdy nie używał kuli, którą dostał na pogotowiu. Pocisk drasnął kość udową. Miał teraz bliznę, którą będzie mógł się chwalić do końca życia w pewnym towarzystwie, ale faktyczna rana, choć bolesna i spektakularna, jeśli chodzi o utratę krwi, nawet przez chwilę nie zagrażała jego życiu, niemniej przez jakiś czas będzie utykał. Jego lekceważenie właściwego postępowania prawnego Juhle'a w czasie wykonywania planu, dostarczyło mu jednak wystarczająco dużo biurokratycznych migren na następne kilka tygodni, by nadrobić fizyczny ból, jaki mógł go ominąć przy okazji rany.

Prokurator okręgowy hrabstwa Napa uznał rolę Hunta w zamknięciu sprawy Palmera i ocaleniu życia Andrei Parisi. Niemniej nie był początkowo skłonny przymknąć oko na nielegalne działania przeciwko jednym z najbardziej znaczących obywateli okolicy - wandalizm, bezprawne wkroczenie na teren nieruchomości - do których uciekł się Hunt, by osiągnąć swoje cele. Prokuratorowi nie podobało się również niechlujstwo w związku z pozwoleniem na ukrytą broń, szczególnie że z broni tej zabity został Shiu.

W efekcie jednak zeznanie Juhle'a, opisujące rozwój wypadków tamtej nocy, w połączeniu z niechęcią Warda Maniona do wnoszenia oskarżenia - chciał tylko, by ten koszmar się skończył - przekonały prokuratora, że nie musi wnosić oskarżenia wobec tego, co, mimo wszystko, okazało się zadowalającym rozwiązaniem niezwykle nietypowej, trudnej, a nawet tragicznej sytuacji. Prokurator nie omieszkiał jednak wyłożyć Huntowi, że gdy następnym razem przyjedzie do pracy w zagłębiu winiarskim, lepiej, żeby unikał wszystkich metod, których użył przeciwko Manionom. A gdyby jego legitymacja nie była aktualna, bez wahania wsadziłby go za to.

Ale pomiędzy rehabilitacją nogi, wizytami u Parisi, najpierw w szpitalu, potem w domu w czasie jej rekonwalescencji oraz rozwiązaniem wszystkich kwestii prawnych w związku z użyciem broni w Napa, w pierwszych tygodniach lata jego firma pracowała na najwyższych obrotach. Sława, jaką zdobył dzięki Palmerowi i Parisi, nie kompensowała bynajmniej braku czasu, jaki faktycznie mógł spędzić, pracując, zatem on sam, Craig, Tamara i Mickey spędzili niemal każdą wolną chwilę na początku lipca w terenie i w biurze, nadrabiając zaległości.

Znakiem tego, że jego życie wróciło do względnej normalności, było to, że znalazł czas, po miesiącu, aby spotkać się na lunchu z Juhle'em w Ploof, francuskiej restauracji specjalizującej się w muszlach. Był to akurat Dzień Bastylli, czwartek, i cała Belden Alley ozdobiona była francuskimi flagami. Nad ich głowami jaśniało letnie słońce, temperatura wahała się w okolicach

siedemdziesięciu stopni.

Juhle siedział sam przy stole na zewnątrz, pod parasolem, trzymając w ręku przezrzysty, gazowany napój z lodem. Nie dał po sobie poznać, iż zauważył przyjście Hunta, aż powiedział:

- Nadal kulejesz?

Hunt wysunął sobie krzesło i usiadł.

- Chcesz, to cię postrzelę w nogę i też będziesz miał. Ale mogę spudłować i przestrzelę ci przypadkiem rzepekę.

- Nikt by nie uwierzył, że to był przypadek. Nie po tym strzale, którym położyłeś Shiu. Musiał być tak samo szczęśliwym zbiegiem okoliczności jak ten, przez który ja miałem kłopoty. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

- To nie było szczęście, Dev. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że ręka-oko to moja rzecz. Cały czas wiedziałem, co robię. Co pijesz?

- Wodę mineralną.

- Żyjesz na krawędzi.

- Jestem na służbie - odparł Juhle, wzruszając ramionami - a na służbie nie piję. To jeden z bonusów tej pracy. Ale ty się śmiało napij.

- Chyba tak zrobię. Mam dla odmiany kilka wolnych godzin. Może pójde po lunchu do domu i się zdrzemnę.

- Nadal wszędzie chodzisz?

- Głównie, albo Mickey po mnie przyjeżdża. Nie mogę jeszcze poradzić sobie z cholernym sprzętem w cooperze - pojawił się kelner i Hunt zamówił kieliszek beaujolais. Obaj poprosili na lunch różne wariacje przewodniego motywu muszli. Hunt patrzył za odchodzącym kelnerem. - No i - odwrócił się do przyjaciela - mówię, że masz wieści.

- Zgadza się - Juhle napił się wody. - Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że dziś rano zamknęliśmy sprawę Palmera. Oficjalnie.

- Nie martwiłem się o to. W końcu musiało się to stać.

- Może, ale dobrze, że to skończone. To znaczy zamknięte, jakim by nie było, dopóki nie doszliśmy kilku faktów, których nie znaliśmy.

- Takich jak?

- Takich jak pistolet, narzędzie zbrodni. Ten kretyn nawet go nie wyrzucił.

- Gdzie go znaleźliście?

- W garażu, który wynajmował obok swego mieszkania, gdzie stał również jego beemer cabrio - kelner wrócił z winem Hunta i Juhle zamilkł, aż ten ponownie się oddalił. Oparł się o stół i ściszył głos - oraz gotówkę.

- Gotówkę?

- Całe pudło. W tym samym garażu. Dziewięćdziesiąt siedem tysięcy osiemset dolarów.

- Więc zapłaciła mu sto patyków. Zastanawiałem się, jakie są aktualne ceny.

- Tak, ale pamiętaj, że za dwie osoby. Można by trochę oszczędzić, gdyby jednym z celów nie był sędzia federalny.

Hunt spróbował wina, chłonąc jadalnię al fresco nakrapianą plamami słońca.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Niby co? Że kiedyś byłeś przystojniejszy?

- A ty bystrzejszy. Powiedz mi coś innego.

- Dobra. Co?

- Andrea powiedziała mi, że pani Manion wyznała, że wszystko zaczęło się, gdy w poniedziałek po południu sędzia zadzwonił do niej umówić spotkanie. Moje pytanie zatem: Jak zatrudniasz kogoś do zabicia dwóch osób od ręki? Tak: „A przy okazji, panie Shiu, jak już pan odbierze rzeczy z pralni, mógłby pan wpaść do sędziego Palmera i zastrzelić jego oraz jego dziewczynę?”. No jakoś mi się nie widzi.

Juhle podniósł jeden palec.

- Aha! To jest fajne. Nie mówiłem ci?

- No chyba nie.

- Już wcześniej go wyczuła. Ward nam to powiedział. W zeszłym roku mieli problem w domu, jakiś kopnięty koleś stwierdził, że są mu winni pieniądze, albo przynajmniej powinni mu trochę dać, bo mają tak dużo. Coś w tym stylu albo równie głupiego. Tak czy inaczej kilka razy dostał się na teren posiadłości w mieście, a jak sam się przekonałeś, ich ochrona potrafi być stanowcza.

- Co najmniej.

- No więc dorwali go i posłali do diabła, ale wrócił, więc ponownie to samo i tak w kółko. Koleś być generalnie nieszkodliwy, ale zaczynał naprawdę działać im na nerwy. No i raz, kiedy Warda nie ma, podróżuje, koleś pojawia się na podjeździe, gdy Carol wyprowadza samochód, żeby zawieźć Todda do szkoły. I ten startuje do dzieciaka. Dlaczego niby zasłużył na cokolwiek, co posiada? I tak dalej. Ale ewidentnie staje się to dość osobiste i groźne, a Carol decyduje, że chciałaby, żeby ktoś się nim zajął.

- Powiedz, że Shiu go zabił.

- Nie mogę, bo nie zrobił tego. Ale za to zbił go na kwaśne jabłko i porzucił na śmietniku w śródmieściu. W cywilu, przypadkowe pobicie bezdomnego, nie? Żadnych zapisów pewnie, ale Ward zauważył, że koleś się już nie płacze koło domu, więc spytał Carol. A ona mu powiedziała. Więc, gdy Ward poradził sobie z najcięższym szokiem po wydarzeniach minionego miesiąca,

przypomniał sobie o tym i nam powiedział.

- Zapłaciła mu?

- Dziesięć tysięcy. Ward sam mu wypłacił jako bonus gwiazdkowy. Ale najistotniejsze jest to, że zadziało. Koleś nigdy nie wrócił.

- Nie dziwię mu się. Przy takim niegrzecznym potraktowaniu też bym nie wrócił.

Kelner wrócił z jedzeniem i przez kilka minut zajadali się soczystymi małżami - czosnek, śmietana, wino, pietruszka. Cudo.

Po kilku zachwycających minutach Hunt przerwał jedzenie.

- A jak się ma Todd?

- Trzyma się, jak sędzę. Jest z Wardem i nianią.

- Ile lat ma Ward?

- Nie wiem. Siedemdziesiąt? Siedemdziesiąt jeden?

- Chryste. Biedny dzieciak.

- Biedny, bogaty dzieciak, Wyatt. Nie zamartwiałbym się tym. Będą się nim dobrze opiekować. Nie bój się.

Hunt odłożył widelec.

- Nie chcę moralizować czy coś, Dev, ale nie będzie kochany, a to, wiesz, jest najważniejsze.

Juhle wyjmował właśnie mięso, używając jednej z pustych muszli. Wyciągnął kawałek i żuł przez chwilę.

- Tak, ale tak niewielu z nas ma to szczęście – powiedział - wyłączając tu obecnych, rzecz jasna - po minucie wzdrygnął się. - Przejdzie mu, Wyatt. Większości ludzi przechodzi.

- Za wyjątkiem tych, którym nie przechodzi.

- Zgadza się - powiedział Juhle. - Za wyjątkiem tych.

- Podałbyś mi chleb? Ten sos jest boski, prawda?

Wes Farrell miał T-shirt „Tak wygląda feministka”, a jego dziewczyna Sam Duncan „Picie melisy doprowadza mnie do szału”. Żadne z nich nie zakryło ich ubraniem do pracy, ale prezentowali je otwarcie i dumnie. Taki dzień - kolejna, jedna z nielicznych ciepłych sobót pod koniec lipca.

I to było tego typu przyjęcie w magazynie Hunta.

Świętowali przyznanie Devinowi Juhle'owi tytułu Oficera Roku Policji San Francisco. Miał za sobą oficjalny obiad z elitą policji, rodziną i masą kolegów po fachu u Gino&Carlosa w North Beach, w miniony weekend, ale ta impreza była inna.

W alejce za magazynem Hunt rozstawił grill, a w zlewku w kuchni stała w lodzie beczka piwa Gordon Biersch. Drzwi do garażu z przodu były całkiem

otwarte. Sam magazyn od ponad godziny bujał w rytm wszystkiego od Beatlesów i Rolling Stonesów do Toma Petty'ego, Toby'ego Keitha, Jimmy'ego Buffetta, Raya Charlesa. Juhle i jego synowie, Erie i Brendan, grali w kosza razem z Mickeyem, Jasonem i Craigiem. Stawili się ludzie, z którymi Hunt na co dzień pracował, a także ex officio członkowie Klubu Detektywów - Sam, Wes, Jason i Amy - jak również żona Juhle'a, Connie, i ich córka Alexa.

Hunt obracał kiełbaski i przewracał burgery, gdy Connie - zuchwała i ładna w żółtym letnim wdzianku - podeszła do niego.

- No i gdzie jest sławna Andrea Parisi? - spytała. - Myślałam, że wreszcie ją poznam.

- Nie wiem. Myślałem, że już zdąży do tej pory dojechać, szczerze mówiąc. Pewnie pracuje.

- W sobotę?

Hunt uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, Con, ale prawnicy nie różnią dni tygodnia. Po prostu ciągle pracują. Sobota, wtorek wieczorem, czwarta rano, podaj jakąkolwiek porę, oni pracują - wskazał gestem do wnętrza magazynu.

- Nawet Wes, Amy, Jason, oni tam. Wszyscy pracują, gwarantuję.

- Cieszę się, że nie wybrałam sobie takiej pracy.

- Ja też. Ale Andrea wybrała.

Connie zawahała się.

- I lubisz ją? Ona lubi ciebie?

- No cóż, mimo wszystko uratowałam jej życie, więc jest w pewnym stopniu zobowiązana być dla mnie przynajmniej miła. Ale, hej, proszę. Możesz sama ją spytać.

Andrea Parisi pojawiła się na początku alejki w towarzystwie Richarda Tombo. W espadrylach, spódnico-spodniach i mandarynkowej bluzce bez rękawów, nawet z daleka wyglądała niesamowicie ponętnie. Gdy podeszli bliżej, Hunt uświadomił sobie, że nawet z bliska nie widać było po niej wielu lub nawet żadnych oznak osiemdziesięciu godzin bez jedzenia i płynów. Jej włosy lśniły w słońcu, twarz odzyskała kolor.

Connie odwróciła się do Hunta i skinęła z zadowoleniem.

- Nieźle - powiedziała.

Przedstawili się, po czym Hunt poszedł przynieść piwo w plastikowym kubeczku dla Tombo i kieliszek białego wina dla Andrei. Wymienili kilka towarzyskich uwag, podczas gdy Hunt doglądał grilla. Kiedy pierwsza partia była gotowa, Connie poszła poinformować o tym resztę gości.

Hunt rozdzielał jedzenie, uśmiechając się do nowo przybyłych.

- Burger, kiełbaska, napoje, sałatka z ziemniaków i przyprawy w środku. Mamy wszystko. Co sobie życzyście?

Tombo, jakby to był znak, powiedział:

- Ja sobie życzę pobiec do toalety. Zaraz wracam. Zostawił go samego z Andrea, której wyrazu twarzy nie mógł odczytać.

- Jak się szybko zdecydujesz, możesz jeszcze dostać krwisty - powiedział, ale widząc jej zboląły wyraz twarzy, zostawił zajmowanie się grillem. - Dobrze się czujesz? - spytał.

- Świetnie - odparła. Napiła się wina. - Kiedy tu skończysz, moglibyśmy porozmawiać?

- Pewnie.

- To trochę krępujące - powiedziała.

Dostarczył do środka półmisek jedzenia i teraz ponownie stał z nią w alejce. W połowie drogi do ulicy, z dala od tylnych drzwi i przyjaciół.

- Poradzę sobie. O co chodzi?

- No więc - wzięła głęboki wdech. - Prawda jest taka, Wyatt, że dostałam propozycję.

- Propozycje są dobre.

- Czasami tak. To jeden z tych przypadków - mówiła szybciej, chcąc wyznać wszystko w pośpiechu, kontynuowała. - Wiesz, jak wszystko było, znaczy z ludźmi z TV Proces, zanim zostałam... zanim zniknęłam? To znaczy Spencer nie był w stanie mi pomóc. Nie miałam szans.

- Tak.

- No więc, to jest... To znaczy nie można czegoś takiego zaplanować, ale gdy mnie nie było... no wiesz, stałam się dość interesująca.

- Żadnego „dość”. Byłaś najgorętszym tematem w kraju.

- Byłam najgorętszym tematem - przyznała ze smutnym spojrzeniem. - A potem, gdy się okazało, że zostałam porwana i gdy uratowano mnie tak... tak jak ty mnie uratowałeś... to wszystko, no wiesz. Potem wszystkie te wywiady i artykuły.

Hunt coś pamiętał. Time, Newsweek, CNN. Generalnie, wszędzie - sam był małą częścią tego szaleństwa. Zdecydował, że ułatwi jej to.

- I teraz cię chcą.

Nie mogła ukryć dumnego uśmiechu, gdy skinęła.

- Tak. Tak, chcą. Dzieje się to, a ja nic dla tego nie zrobiłam, wygląda, że mam znane nazwisko.

Hunt zmusił się do odważnego uśmiechu. Dotknął jej policzka.

- I znana jesteś z urody.

- Może nawet - powiedziała. - Jeśli dałbyś wiarę.
- Och, bez problemu. Powiedziałaś już swojemu szefowi?
- Gary'emu? Cóż, to kolejna sprawa. W pracy, u Piersalla, zrobiło się... no cóż, już ci trochę o tym mówiłam. Wygląda na to, że Gary zaczął wierzyć, że byłam w związku z sędzią Palmerem...

- Andrea, w porządku. Nie muszę...

- Nie - wpatrywała mu się w oczy, sygnalizując absolutną szczerość, błaganie, by uwierzył, ponieważ ona jest taka poważna. - Muszę ci powiedzieć, że nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego. To byłoby całkowicie nieetyczne. Pracowaliśmy razem nad wielką sprawą, sędzia Palmer i ja, miliony dolarów i cokolwiek osobistego pomiędzy nami zagrażałoby wszystkiemu, czego byśmy dotknęli.

- Okay - powiedział Hunt, czując, jak jego serce się zaciska. Przez chwilę zamierzał powiedzieć jej, że to nie ma znaczenia. Ludzie nie są doskonali, wszyscy popełniamy błędy. Nie jemu jest ją sądzić. Ale zabolalo go, że czuła, iż musi go okłamywać, że to było okay, może nawet szlachetnie okłamywać go, jeśli tylko jego wizja jej osoby pozostanie nienaruszona.

Tak jakby kiedykolwiek pragnął wizji. Pragnął osoby.

A teraz osoba ta była nieodwoływalnie kimś, kto mógł nie mówić prawdy, patrząc mu w oczy. Ponieważ, choć może nigdy nie byłby w stanie dowieść jej rzekomego romansu z sędzią Palmerem, wiedział, że jej zaprzeczenie, że wytrenowane słowa, były kłamstwem. I nagle to, co mogło być, stało się tym, co nigdy nie miałyby szansy.

Mówiła dalej.

- Gary powiedział, że nawet cień takiego podejrzenia, jakikolwiek ślad i Jim Pine zwolniłby całą kancelarię. Cała nasza praca dla nich byłaby podejrzana, stanowiłaby podstawę apelacji lub procesu, bezwartościowa - zaczerpnięta powietrza. - Tak czy inaczej nie wiem, czy w tym mieście jest jeszcze dla mnie praca. Cokolwiek to znaczy, to Gary zdawał się mieć tego świadomość. Odprawa była całkiem porządna.

- Więc wszystko załatwione? - spytał Hunt, wymuszając kolejny uśmiech.

- Tak, ale... - przerwała. - Cóż, to, że ty i ja, nigdy nie mieliśmy okazji... Łagodnie podniósł dłoń i położył dwa palce na jej ustach.

- Nie martw się o siebie i o mnie. Jesteś gwiazdą, Andrea. Idź i bądź gwiazdą.

Skinęła, westchnęła i uśmiechnęła się do niego.

- Wiedziałam, że zrozumiesz, Wyatt.

- Rozumiem. Całkowicie - po raz ostatni spróbował się uśmiechnąć. - No więc kiedy wyjeżdżasz?

- Uwierzyłybyś? Chcą mnie od poniedziałku. Wylatuję jutro.

* * *

Hunt siedział na chłodziarce w alejce, trzymając w obu dłoniach kubek pełen piwa, gdy w drzwiach pojawiła się Connie.

- Mogę spędzić minutkę z panem Huntem? - spytała.

- Możesz nawet godzinę, jeśli chcesz, ale Devin mógłby być niezadowolony.

- Nie. Lubi, gdy spędzam czas z innymi mężczyznami. Mówi, że zawsze wypada lepiej w porównaniu.

Hunt musiał się uśmiechnąć.

- Jest jedyny w swoim rodzaju, to fakt.

- Nie jest zły, nie cały czas, w każdym razie.

Hunt objął ją ramieniem.

- Jeśli to flirt, to masz pół godziny, żeby przestać.

- Wyrobię się - powiedziała. Spojrzała przez ramię, żeby upewnić się, że nikt ich nie słyszy. - Chciałam ci powiedzieć, poważnie, jak jestem - wszyscy jesteście - ci wdzięczni. I jestem dumna.

Hunt odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Za co?

- Cóż, może umknęło to twojej uwadze w natłoku wydarzeń, Wyatt, ale gdy zbierałeś całą sławę i chwałę za odnalezienie Andrei Parisi, dla mnie ważne jest, że ocaliłeś przy tym życie mojego męża. On też o tym pamięta.

- Nie.

- Nie zaczynaj ze mną i tą skromnością, Wyatt. To nie na miejscu. Uratowałeś mu życie. Uratowałeś ich wszystkich. Nigdy nie będę w stanie odwdziaczyć ci się za to, ani dzieci, a one nie mają jeszcze o tym, co naprawdę zaszło, pojęcia.

- Nie jestem skromny, Con, ale takie były okoliczności. Mogło potoczyć się inaczej i to on ocaliłby mnie. Wiesz, nie jest gliną roku za nic.

- Nie. Wiem o tym. Ale nie byłby gliną roku, gdyby coś nie zrobiło z niego z powrotem tego, kim jest.

- Myślę, że to trochę też twoja zasługa.

Przytaknęła.

- Przyjęłam, ale to ty rozpałiłeś w nim ogień. To dzięki tobie. Myślę, że ocaliłeś więcej niż jego życie, Wyatt. Dzięki tobie wrócił do tego, kim jest.

- Cóż, to wspaniałe facet.

- Tak i zawsze nim był, choć czasami o tym zapomina. Ale, gdy to się dzieje, ja jestem przy nim, by mu przypominać. Ty. I sądzę, że tobie też niezbyt często przypomina się, że również jesteś naprawdę wyjątkowy. Więc pomyślałam, że przyjdę i ci to powiem - położyła mu rękę na ramieniu. - Słyszysz mnie?

Hunt wypuścił powietrze.

- Tak. Dziękuję.

- Proszę - Connie na chwilę przytuliła się do niego, po czym wstała i spojrzała za siebie. - Okay. Gdzie ona jest? Nie zamieniłam z nią nawet dziesięciu słów.

- Kto?

- On pyta „Kto?”. Sławna Andrea Parisi. Może twoja dziewczyna, nie że bym pytała.

Hunt starał się nadać swoim słowom lekki ton.

- Musiała iść. Dostała nową pracę w Nowym Jorku i zaczyna w poniedziałek.

- W Nowym Jorku. Ale co z tobą?

- Co ze mną? Mam się dobrze.

- Wcale nie. Lubieś ją. I to bardzo.

Ale pokręcił głową.

- Nigdy jej naprawdę nie znałem, Con. Tylko tyle, że była piękna i mądra, i zabawna, i miła.

- No cóż, mój drogi, to brzmi całkiem nieźle. Wiesz, niektórzy szukają takich cech u potencjalnych partnerów.

- To pozytywne cechy, o ile pasują.

- Ale nie pasują wystarczająco dokładnie? O to chodzi?

- Ładnie powiedziane - odparł po chwili namysłu. - Gdy odwrócił się do Connie, tym razem jego uśmiech był autentyczny. - Tak jest lepiej, Con. Naprawdę uważam, że tak jest lepiej.

Podziękowania.

Pierwsze i największe podziękowania należą się mojej towarzyszce życia, przyjaciółce i muzie Lisie Sawyer. Jej siła, rozsądek i fundamentalna, życiowa radość czynią z niej najlepszą partnerkę, jaką można sobie wyobrazić. Bez trwałego i szczęśliwego domu, nie jestem zdolny do żadnej kreatywnej pracy. Do naszego domowego spokoju, jak również do tonu tych książek, przyczynia się znacząco nasz syn Jack Sawyer Lescroart, który pozostaje niezmiennie najlepszym kumplem, żartownisiem, krytykiem i, ogólnie, wszechstronnym osobnikiem.

Pozostając w kręgu ludzi bliskich, mój długoletni współpracownik Al Giannini ponownie towarzyszył mi od najwcześniejszych etapów tej pracy. Jego rozeznanie w labiryntach najbardziej wewnętrznych mechanizmów działania społeczności prawniczej, encyklopedyczna wiedza na temat zarówno prawa, jak i ludzkiej natury, oraz instynkty twórcze były i są częścią podbudowy każdej z moich książek związanych z San Francisco i moja wobec niego wdzięczność nie zna granic. Andy Jalakas przez około trzydzieści lat pracował w Służbie Ochrony Dzieci w Nowym Jorku i wiele z jego doświadczeń pomogło mi w stworzeniu historii najważniejszej postaci tej powieści. Andy zasugerował mi lekturę potężnej i ważnej książki Marca Parenta „Turning Stones: My Days and Nights with Children at Risk”, z której czerpałem.

Z wdzięcznością uchylam również kapelusza przed Davidem Corbettem, znakomitym pisarzem i byłym prywatnym detektywem, który bez wahania poświęcał mi swój czas, dzielił się wiedzą i był wyrozumiały. Moja asystentka, Anita Boone, nieprzerwanie w roli majordoma, eksperta wydajności, kontrolera i generalnie prawej ręki. Jest nieocenioną pomocą i być może najcierpliwszą osobą na świecie, szczególnie w przypadku pisarzy opanowanych czasami przez swoisty strach.

W czasie kilku minionych lat korespondencja internetowa odegrała ważną

rolę w mojej bezpośredniej komunikacji z czytelnikami. Niektórzy z nich zasugerowali tematy, którymi mógłbym być zainteresowany. Nim nawet zacząłem planować „Wyciąg z czasem”, jeden z moich korespondentów, Joe Phelan, polecił mi, bym przyjrzał się California Correctional Peace Officers Association (CCPOA), innymi słowy Związkowi Zawodowemu Strażników Więziennych. Sugestia ta odegrała fundamentalną rolę w tej książce i jestem mu wdzięczny za wszystkie materiały. Jednocześnie powtarzam, że choć informacje na temat CCPOA w książce oparte są na faktach i autentycznych wydarzeniach, to powieść jest dziełem fikcji i pozwoliłem sobie na sporą dowolność w przedstawieniu struktury organizacyjnej oraz kierownictwa związku (uwielbiam poznawać komentarze moich czytelników i można skontaktować się ze mną poprzez moją stronę <http://www.johnlescroart.com>).

Za różnorodne rady techniczne chciałem podziękować: oficerowi policji San Francisco Shawnowi Ryanowi za mrozące krew w żyłach szczegóły strzelaniny, w której brał udział; mojemu przyjacielowi Peterowi J. Diedrichowi Esq. za dziwne, mroczne szczegóły życia prawniczego, które doprawiły tę opowieść, oraz Frankowi Seidlowi za jego rozległą wiedzę na temat hrabstwa Napa i przemysłu winiarskiego, który, ku mojemu zachwytowi, miałem nareszcie okazję zgłębić. Karen Hlavacek jest niezastąpionym korektorem i nigdy nie będę w stanie się jej odwdziżyć.

Ta powieść, by użyć eufemizmu, nie napisała się sama. Właściwie w początkowych stadiach miałem czasami wrażenie, że nigdy się nie zacznie. Ale w walce z tymi blokadami pomagali mi dwaj wspaniali przyjaciele, którzy, tak się złożyło, na co dzień zmagają się ze słowami - John Poswall i Max Byrd.

Carole Baron, choć nie pełni już funkcji kierowniczej w Dutton, od samego początku była siłą napędową i cheerleaderką mojej pracy, wnosząc znaczący wkład w powstanie pierwotnej koncepcji tej powieści. Dzień po dniu, mój edytor, Mitch Hoffman, dzięki kilku lekturom (i przenikliwym komentarzom) utrzymywał proces pisania na właściwym kursie. Don Matheson, wieczny kawaler, zapewnia mi regularne zastrzyki zdrowego rozsądku, bez których stron przybywałoby zbyt wolno, a pisanie ich przynosiłoby dużo mniej przyjemności.

Kilka postaci w tej książce zawdzięcza swoje nazwiska (choć nie cechy fizyczne lub osobowościowe, które są w całości wytworem mojej wyobraźni) osobom, których datki dla różnych organizacji charytatywnych były wyjątkowo szczodre. Ludzie ci (i odpowiednie organizacje) to: Doug Malinoff, Yolo County Court Appointed Special Advocates (CASA); Sue Kutschkau, Cal State Fullerton Foundation oraz Betsy Sobo, The American Repertory

Ballet. Na koniec jestem niezmiernie wdzięczny, jak zawsze, mojemu agentowi Barneyowi Karpfingerowi, który od samego początku wziął pod swoje skrzydła potencjalnie ryzykowny projekt wydania tej książki i pomógł utrzymać nasionko żywe, aż wydało owoce.